

A close-up photograph of a hand gripping a thick, braided rope. The rope is looped, and the hand is positioned at the top of the loop. The background is solid black, which makes the hand and the metallic sheen of the rope stand out. The lighting is dramatic, highlighting the texture of the rope and the skin of the hand.

PETLA

F A Y E

KELLERMAN

Faye Kellerman

PĘTLA

*Tłumaczenie:
Bogumiła Nawrot*

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Na zdjęciach miała nabrzmiąłą i posiniaczoną twarz, spuchnięte usta, podbite oczy. Deckerowi aż trudno było sobie wyobrazić, że przedstawiają tę samą kobietę o niezwykłej urodzie, która teraz siedzi przed nim. Terry zmieniła się przez tych piętnaście lat. Przeistoczyła się ze ślicznej szesnastolatki w elegancką, olśniewającą kobietę. Z wiekiem twarz się zaokrągliła, rysy stały się delikatniejsze, przypominała kameę z czasów wiktoriańskich. Przeniósł wzrok ze zdjęcia na jej twarz, unosząc brwi.

- Nieciekawie, co? - powiedziała.

- Mąż z pewnością nieźle cię urządził. - Gdyby Decker wystarczająco wyteżył wzrok, dostrzegłby ślady pobicia. Miejscami skóra twarzy była zielonkawa. - Te zdjęcia zrobiono sześć tygodni temu?

- Mniej więcej. - Usiadła nieco inaczej na kanapie. - Ludzkie ciało jest niewiarygodne. Ciągłe mnie zaskakuje.

Będąc lekarzem, Terry stykała się z tym na co dzień. To, że udało jej się ukończyć medycynę i wychować dziecko, mając za męża szaleńca, świadczyło o sile charakteru. Trudno było patrzeć na jej zmaltretowaną twarz na zdjęciach.

- Jesteś pewna, że tego chcesz? - spytał z naciskiem. - Spotkać się z nim tu, w Los Angeles?

- Odwlekałam to tak długo, jak mogłam, ale naprawdę nie ma sensu się ukrywać. Jeśli Chris zechce mnie odszukać, to

mnie znajdzie. Nie martwię się jednak o siebie, tylko o Gabe'a. Jeśli Chris wpadnie w szal, może się zemścić na nim. Muszę poczekać, aż Gabe osiągnie pełnoletność, nim będę mogła pomyśleć o sobie, panie poruczniku.

- Ile lat ma Gabe?

- Zgodnie z metryką za cztery miesiące skończy piętnaście. Ale pod względem psychicznym jest w pełni dojrzały.

Decker skinął głową. Siedzieli w elegancko urządzonym apartamencie hotelowym w Bel Air w Kalifornii. Zdecydowano się na różne odcienie beżu. Obok drzwi był dobrze zaopatrzony barek z marmurowym blatem do przygotowywania drinków. Terry siedziała z podwiniętymi nogami na kanapie naprzeciwko kamiennego kominka. Decker zajął miejsce na lewo od niej w fotelu z uszakami, z widokiem na prywatne patio z paprociami, palmami i kwiatami - prawdziwa oaza dla zranionej duszy.

- Dlaczego sądzisz, że wytrwasz, póki Gabe nie skończy osiemnastu lat?

Terry, nim odpowiedziała, zastanawiała się przez moment nad odpowiedzią.

- Poruczniku, przecież pan wie, jaki zimny i wyrachowany jest mój mąż. Wtedy pierwszy raz podniósł na mnie rękę.

- Co takiego się stało?

- Nieporozumienie. - Spojrzała w sufit, unikając wzroku Deckera. - Znalazł jakąś dokumentację lekarską i myślał, że usunęłam ciążę. Kiedy w końcu udało mi się go skłonić do tego, żeby przestał mnie bić, dotarło do niego, że źle odczytał imię. Aborcji poddała się moja przyrodnia siostra.

- Pomylił Melisę z Teresą.

- Mamy tak samo na drugie imię. Ja jestem Teresa Anne, a ona Melissa Anne. To głupi pomysł, ale mój ojciec jest głupi. Nadal posługuję się nazwiskiem McLaughlin, jak moja przyrodnia siostra, bo widnieje na wszystkich dyplomach i innych dokumentach. Źle odczytał imię i nie zapanował nad sobą. Nie, żeby zależało mu na dzieciach, ale na myśl, że mogłabym zabić jego potomka, zupełnie mu odbiło. - Wzruszyła ramionami. - Cieszę się, że nie miał broni pod ręką.

- Dlaczego za niego wyszłaś, Terry? - spytał Decker.

- Chciał, żebyśmy oficjalnie się pobrali. Cóż, nie mogłam mu odmówić, bo nas utrzymywał. Gdyby nie jego pieniądze, nigdy nie ukończyłabym medycyny. - Urwała na chwilę. - Na ogół zostawia mnie i Gabe'a w spokoju. Pracuje, pije, ćpa albo spotyka się z innymi kobietami. Gabe i ja nauczyliśmy się schodzić mu z drogi. Odnosimy się do siebie obojętnie, czasem z sympatią. Jest hojny, potrafi być czarujący, kiedy na czymś mu zależy. Daję mu to, czego chce, i mam spokój.

- Chyba że jest inaczej. - Decker uniósł zdjęcia. - Pani doktor, czego dokładnie pani ode mnie oczekuje?

- Zgodziłam się z nim spotkać, panie poruczniku, ale nie wrócę do niego. Przynajmniej nie od razu. Nie wiem, jak przyjmie tę wiadomość. Ponieważ nie mogę przed nim uciec, chcę, żeby wyraził zgodę na separację. Nie, nie nalegam na oficjalną separację małżeńską, bo to by nie przeszło. Chcę jedynie, żeby się zgodził, bym jeszcze trochę czasu mogła pomieszkać sama.

- Jeszcze trochę? To znaczy ile?

- Może trzydzieści lat - odparła z uśmiechem. - Prawdę mówiąc, chcę się przeprowadzić do Los Angeles, póki Gabe nie skończy szkoły średniej. Znalazłam dom do wynajęcia w Beverly Hills. Nie tylko chcę, żeby Chris zgodził się, byśmy mieszkali osobno, ale chcę również, by za wszystko płacił.

- Jak chcesz to osiągnąć?

- Przekona się pan. - Uśmiechnęła się. - Wytresowałam mnie, ale ja również wytresowałam jego.

- Jednak odczuwasz potrzebę, by się przed nim chronić.

- Kiedy się ma do czynienia z dzikim zwierzęciem, wszystko może się zdarzyć. Lepiej przedsięwziąć środki ostrożności.

- Jest wielu młodszych i silniejszych facetów ode mnie. Bardziej nadają się na ochroniarzy niż ja.

- Och, proszę! Chris mógłby pokonać każdego z nich. Jednak wobec pana zachowuje się bardziej... oględnie. Szanuje pana.

- Strzelał do mnie.

- Gdyby naprawdę chciał pana zabić, już by pan nie żył.

- Wiem o tym - powiedział Decker. - Chciał udowodnić, kto tu rządzi. - Wypuścił powietrze z płuc. - Ale jest coś ważniejszego. Chris lubi strzelać do ludzi. Likwidując mnie, zyskałby podwójnie.

Terry spuściła wzrok, nim powiedziała:

- Przechwalał się, że poprosił go pan o przysługę. Czy to prawda?

Decker wyszczerzył zęby w uśmiechu.

- Od czasu do czasu proszę go o informacje. Kiedy prowadzę śledztwo, korzystam ze wszystkich źródeł informacji, jakie tylko są dostępne. - Przyjrzał się jej twarzy: młecznej cerze, złotobrazowym oczom, długim, kasztanowym włosom. Można było dostrzec kilka siwych pasm, jedyny dowód, że żyje w wiecznym stresie. Miała na sobie luźną długą sukienkę bez rękawów z jedwabistej tkaniny w pomarańczowe, zielone i żółte wzory geometryczne. Bose stopy wystawały spod rąbka sukienki. - Kiedy ma się tu pojawić?

- Poprosiłam go, żeby przyjechał do hotelu w niedzielę w południe. Uznałam, że to odpowiednia pora dla pana.

- Gdzie będzie wasz syn podczas tej rozmowy?

- W Los Angeles. Ćwiczy grę na fortepianie w kampusie Uniwersytetu Kalifornijskiego. Gabe ma komórkę. Jeśli mnie potrzebuje, dzwoni. Jest bardzo samodzielny. Musi być. - Spojrzała gdzieś w dal. - Jest bardzo dobry... Całkowite przeciwieństwo swojego ojca. Mając na względzie warunki, w jakich dorastał, do tej pory powinien już parę razy trafić do ośrodka resocjalizacyjnego. Ale jest wyjątkowo dojrzały. Martwi mnie to. Przemilczał przede mną tyle spraw, tyle faktów. Naprawdę zasłużył sobie na lepsze życie. - Uniosła dłonie do ust i zamrużyła, żeby się nie rozplakać. - Bardzo dziękuję panu za pomoc.

- Proszę poczekać, aż coś zrobię, nim mi podziękujesz. - Decker spojrzał na zegarek. Pół godziny temu powinien być w domu. - Dobrze, Terry, przyjdę w niedzielę. Ale stawiam pewien warunek, to się odbędzie według mojego

scenariusza. Zaraz ci powiem, w czym rzecz... - Milczał przez chwilę. - Po pierwsze i najważniejsze, musisz poczekać w sypialni, póki nie przeszukam Chrisa. Dopiero wtedy będziesz mogła wyjść.

- Nie ma sprawy.

- Musisz też powiedzieć Gabe'owi, żeby nie wracał, nim go nie zawiadomisz, że wszystko w porządku. Nie chcę, żeby się pojawił w środku naszej rozmowy.

- To bardzo rozsądne.

W pokoju przez jakiś czas panowała cisza.

Wreszcie Terry wstała i oznajmiła:

- Bardzo dziękuję, panie poruczniku. Mam nadzieję, że honorarium jest odpowiednie?

- Bardziej niż odpowiednie. Jesteś bardzo hojna.

- Powiem panu jeszcze coś o Chrisie. Ma szeroki gest. Gdybym zaproponowała panu mniej, poczułby się znieważony.

- Słuchaj, jeśli nie chcesz, żebym się tym zajął, nie zrobię tego - powiedział Decker.

- Naturalnie, że nie chcę, żebyś się tym zajął - odparła Rina. - Na litość boską, przecież strzelał do ciebie!

- W takim razie zadzwonię do niej i jej odmówię.

- Nie sądzisz, że trochę na to za późno? - Rina wstała od stołu i zaczęła sprzątać naczynia - dwa talerze i dwie szklanki. Obecnie Hannah rzadko z nimi jadała. Jesienią rozpocznie studia w Izraelu. Zostały jej trzy miesiące szkoły, ale właściwie jakby już wyjechała.

Decker poszedł za żoną do kuchni.

- Powiedz mi, czego chcesz. - Kiedy Rina odkręciła wodę, zaproponował: - Ja pozmywam.

- Nie, ja to zrobię.

- A najlepiej, żebyś skorzystała ze zmywarki.

- Żeby zmyć dwa talerze?

Jeśli uwzględnić wszystkie szklanki, przybory kuchenne, garnki i rondle, zebrałoby się tego trochę, ale nie zamierzał się spierać.

- Powinienem naradzić się z tobą, nim wyraziłem zgodę. Przepraszam.

- Niepotrzebne mi twoje przeprosiny. Niepokoję się o twoje bezpieczeństwo. Peter, przecież to płatny zabójca.

- Nie zabije mnie.

- Czy to nie ty wciąż mi powtarzasz, że domowe nieporozumienia zawsze są najbardziej niebezpieczne, bo ludzi ponoszą nerwy?

- Tak, jeśli człowiek nie jest na to przygotowany.

- Nie uważasz, że twoja obecność jeszcze zaogni sytuację?

- To całkiem możliwe, ale jeśli Terry nie będzie miała nikogo obok siebie, może być jeszcze gorzej.

- To niech wynajmie sobie kogoś innego. Dlaczego musisz to być właśnie ty?

- Według niej mam największe szanse na to, żeby rozładować napięcie i rozbroić Chrisa.

- „Rozbroić” to odpowiednie słowo - powiedziała Rina. - Ten człowiek to chodząca bomba! - Pokręciła głową i odkręciła wodę. Bez słowa wręczyła Deckerowi pierwsze naczynie.

- Dziękuję za śniadanie. Łosoś po benedyktyńsku był naprawdę wyśmienity.

- Każdy zasługuje na ostatni posiłek.

- To wcale nie jest śmieszne.

Rina podała mu kolejne naczynie.

- Jeśli coś ci się stanie, nigdy ci tego nie daruję.

- Rozumiem.

- Jest mi obojętne, co ją spotka. Nie wątpię, że miła z niej kobieta, ale na własne życzenie ma to, co ma. - Rina poczuła, że ogarnia ją złość. - Dlaczego właśnie ty masz ją ratować z opresji? To bezczelność z jej strony prosić cię o pomoc.

- Zupełnie jakby była moim przeznaczeniem. - Decker odstawił naczynie i położył dłonie na ramionach żony. Czarne włosy opadały jej na plecy. Miała bojową minę. A Rina zwykle taka nie była. Zasadnicza, skupiona na celu... To owszem. Ale bojowa? - Zadzwońię do niej i odmówię.

- Peter, już nie możesz tego zrobić. Do spotkania zostało parę godzin. Poza tym, jeśli się wycofasz, Chris uzna cię za mięczaka, a to najgorsze, co mógłbyś zrobić. Nie masz wyjścia. - Stała na palcach i pocałowała go w czubek nosa. Był wysoki i potężny, ale Donatti też. - Uważam, że powinnam jechać z tobą.

- Wykluczone. Wolę się wycofać.

- Lubi mnie.

- I dlatego będzie go kusiło, żeby mnie zastrzelić. Podkochuje się w tobie.

- Wcale się we mnie nie podkochuje...

- Mylisz się.

- Cóż, w takim razie pozwól mi chociaż jechać z tobą do miasta. Możesz mnie podrzucić do moich rodziców. Odwiedzę ich.

- Zgoda. - Decker spojrzał na zegar kuchenny. - Zostaw zmywanie. Dokończę, kiedy wrócę.

- Już jedziesz?

- Chcę odpowiednio przygotować pokój przed pojawieniem się Chrisa.

- Świetnie. Pójdę po torebkę. Zadzwoń do mnie, jak będzie po wszystkim.

- Dobrze. Obiecuję.

- Taak, taak. - Rina odepchnęła go. - Czy małżonkowie nie przysięgają sobie, że będą się kochać, szanować i być sobie posłuszni?

- Coś w tym guście - powiedział Decker. - Nie chcę się przechwalać, ale dotrzymuję przysięgi.

- Jeśli chodzi o miłość i szacunek - zgodziła się z nim Rina.
- Ale z posłuszeństwem masz duży kłopot.

ROZDZIAŁ DRUGI

Jakby zszedł z obrazu Diega Rivery - pojawił się z ogromnym bukietem kalii, który zasłaniał mu prawie cały tors. Donatti mierzył ponad metr dziewięćdziesiąt, czyli tyle samo co Decker.

- Niepotrzebnie. - Nim zdążył się zdziwić, Decker wziął kwiaty, rzucił je na marmurowy blat obok drzwi, następnie odwrócił Chrisa i popchnął, aż przyparł go do ściany. Ruchy Deckera były szybkie i bezwzględne. Przytknął lufę beretty do głowy Chrisa. - Przykro mi - powiedział - ale kompletnie straciła do ciebie zaufanie.

Donatti nic nie powiedział, kiedy Decker go obmacywał. Miał przy sobie broń dobrej jakości. Były to narzędzia jego pracy. Za paskiem automatyczny smith & wesson, a w bucie schował glocka kaliber .22. Ciągłe trzymając przy karku Donattiego służbową berette, Decker sprawdził mu kieszenie. Rzucił portfel na blat, kazał zdjąć buty, odpiąć pasek i zegarek.

- Zegarek?

- Wiesz, jak to się porobiło, Chris. Dzisiaj wszystko jest mikroskopijne. Kto wie, co w nim ukryłeś?

- To breguet.

- Nic mi to nie mówi, ale sprawia wrażenie drogiego. - Decker uwolnił go od złotego czasomierza. Był wyjątkowo ciężki. - Nie ukradnę ci go, tylko sprawdzę.

- To zegarek szkieletowy. Jak otworzysz kopertę, możesz zobaczyć mechanizm.

- Hm... Nie wybuchnie mi w rękę, prawda?

- To zegarek, nie broń.

- W twoich rękach wszystko może być bronią.

Donatti nie zaprzeczył. Decker kazał mu trzymać ręce w górze i stać bez ruchu pod ścianą. Wolno cofnął się o kilka centymetrów, żeby zrobić sobie miejsce. Ani na chwilę nie spuszczał wzroku z jego dłoni, Decker zaczął usuwać amunicję z pistoletów Donattiego.

- Możesz się odwrócić, ale nie opuszczaj rąk.

- Ty tu rządzisz.

Odwrócił się, aż znaleźli się twarzą w twarz. Pozbawiony broni Chris sprawiał wrażenie obojętnego. Jego niebieskie oczy były bez wyrazu. Trudno było powiedzieć, czy jest zły, czy rozbawiony.

Jedno nie ulegało wątpliwości. Kiedyś lepiej wyglądał. Dziś bladą skórę miejscami pokrywały plamy, na czole miał krosty. Zapamiętał włosy, już nie był ostrzyżony na rekruta jak kilka lat temu, kiedy Decker widział go po raz ostatni. Zaczesał je do tyłu, w stylu hrabiego Draculi, sięgały mu za uszy. Wciąż był tyczkowaty, ale miał szersze ramiona, niż zapamiętał Decker. Wystroił się na spotkanie z żoną - włożył niebieską koszulkę polo, spodnie z antracytowej gabardyny, a na nogi crocsy.

- Zaczynają mi drętwieć ręce.

- Opuść je powoli.

Gdy to zrobił, spytał:

- Co teraz?

- Usiądź. Żadnych gwałtownych ruchów. Wtedy ja też nie wykonam żadnych gwałtownych ruchów. W przeciwnym razie najpierw strzełę, a potem będę zadawał pytania. - Kiedy Donatti zamierzał usiąść w fotelu, Decker powstrzymał go. - Proszę na tej kanapie.

Donatti posłusznie klapnął na miękkich poduchach. Decker rzucił mu zegarek. Donatti złapał go jedną ręką i założył na przegub.

- Czy w ogóle tu jest?

- Tak, w sypialni.

- Dobry początek. Przyjdzie tu?

- Przyjdzie, kiedy dam jej znak, że wszystko w porządku.

- Gdzie Gabe?

- Nie ma go tutaj - powiedział Decker.

- Może to i lepiej. - Donatti ukrył twarz w dłoniach. Po chwili podniósł głowę. - Cóż, w sumie twoja obecność ma sens.

- Dzięki za uznanie.

- Słuchaj, nic jej nie zrobię.

- To po co cały ten arsenał?

- Zawsze chodzę uzbrojony. Czy mogę teraz porozmawiać ze swoją żoną?

Decker stanął obok marmurowego blatu hotelowego barku, wciąż trzymając w ręku berettę.

- Najpierw kilka podstawowych zasad - powiedział. - Po pierwsze, przez cały czas będziesz siedział. Nie zbliżaj się do niej. I żadnych gwałtownych ruchów, bo mogę się

zdeenerwować.

- Zgoda.

- Nie przeklinaj i zachowuj się grzecznie, wtedy jestem pewien, że wszystko gładko pójdzie.

- Taak... Jasne - szepnął.

- Jesteś blady. Chcesz wody? - Otworzył barek. - A może coś mocniejszego?

- Obojętne mi.

- Macallan, chivas, glenfiddich...

- Może być glenfiddich. - Chwilę później Decker wręczył mu kryształową szklaneczkę szkockiej. Nie skąpił przy nalewaniu. Donatti najpierw pociągnął mały łyk, a potem napił się więcej. - Dzięki. Teraz mi lepiej.

- Nie ma za co. - Decker mu się przyjrzał. - Już nie jesteś taki blady.

- Przez cały dzień nic nie miałem w ustach.

- Dopiero południe.

- W Nowym Jorku już prawie happy hour. Nie chciałem, żeby sobie pomyślała, że jestem słaby. Ale jestem. - Znow pociągnął łyk. - I ona o tym wie. Co jest, kurwa!

- Nie przeklinaj.

- Przeklinanie to mój najmniejszy problem. - Oddał Deckerowi pustą szklaneczkę.

- Powtórzyć? - Kiedy Donatti pokręcił głową, Decker zamknął szafkę. - Co się stało?

- Co się stało? Skończony idiota ze mnie.

- Delikatnie mówiąc.

- Zawsze miałem kłopoty z czytaniem ze zrozumieniem.

- Nie pojmujesz najważniejszego, Chris. Nie używa się własnej żony w charakterze worka treningowego, nawet gdyby usunęła ciążę.

- Nie sprąłem jej, tylko ją uderzyłem.

- To też zabronione.

Donatti potarł czoło.

- Wiem. Jedynie cię poprawiam, bo uderzyłem ją z liścia. Gdybym przywalił jej pięścią, już by nie żyła.

- Czyli wiedziałeś, że ją bijesz bez opamiętania?

- Nigdy wcześniej nic takiego się nie wydarzyło i nigdy więcej się nie wydarzy.

- I powinna ci uwierzyć, ponieważ...

- Mogę zliczyć na palcach jednej ręki, ile razy poniosły mnie nerwy. Słuchaj, wiem, że się boi, ale nie musi się bać. Po prostu... - Zaczął podnosić się z kanapy, więc Decker zamachał mu bronią przed nosem. - Czy mogę się zobaczyć ze swoją żoną? Proszę.

- Tym razem przynajmniej powiedziałeś „proszę”. - Decker utkwiał w nim wzrok. - Pozwól, że najpierw zadam ci kilka teoretycznych pytań. A co, jeśli ona nie chce z tobą rozmawiać?

- Skoro zgodziła się ze mną spotkać, to znaczy, że chce ze mną porozmawiać.

- Może nie chciała ci tego powiedzieć przez telefon. Wtedy zyskałbyś czas na zaplanowanie czegoś niebezpiecznego i najpewniej bardzo głupiego.

- Czy tak powiedziała? - Donatti uniósł wzrok.

- Pozwól, że ja będę zadawał pytania.

- Niczego sobie nie zaplanowałem. Zachowałem się jak idiota. To się nigdy więcej nie powtórzy. Tylko pozwól mi się zobaczyć z żoną, dobrze?

- A jeśli już nigdy więcej nie chce cię widzieć? Co, jeśli wystąpi o rozwód?

- Nie wiem. - Donatti splótł dłonie. - Nie zastanawiałem się nad tym.

- Wkurzyłbyś się, prawda?

- Przypuszczalnie tak.

- Co byś wtedy zrobił?

- Nic, kiedy ty byłeś w pobliżu. - W końcu się ożywił. - Decker, Terry nie wystąpi o rozwód... Przynajmniej nie teraz, ponieważ po pierwsze i najważniejsze, mam dość pieniędzy, żeby rozpocząć bardzo kosztowną i długą batalię sądową o Gabe'a. Lepiej, żeby zaczekała, aż Gabe skończy osiemnaście lat. Terry jest osobą bardzo praktyczną. Mam jeszcze trzy i pół roku, nim ewentualnie wystąpi z takim żądaniem. Chciałbym zobaczyć się z Terry - wysapał.

- Jeszcze jedną szkocką? - spytał Decker.

- Nie. - Donatti pokręcił głową. - Dziękuję. - Odetchnął głęboko. - Jestem gotów.

Decker spojrzał na niego twardo.

- Będę obserwował każdy twój ruch.

- Nie ma sprawy. Nie poruszę się. Nie podniosę tyłka z kanapy. Czy możemy to już mieć za sobą?

Nie było sensu odwlekać tego, co nieuniknione. Decker zawołał Terry. Fotel przeznaczony dla niej postawił z boku, żeby nic nie stało na przeszkodzie między lufą jego pistoletu

a głową Donattiego. Nie, żeby naprawdę przypuszczał, że dojdzie do strzelaniny, ale Decker był skautem i gliną, więc zawsze starał się być przygotowany. Terry ukryła nogi pod długą sukienką, ale jej postawa była królewska. Ta suknia też nie miała rękawów, długie, opalone ręce zdobiło kilka bransoletek. Patrzyła w oczy Donattiemu, chociaż on unikał jej wzroku.

- Dobrze wyglądasz - powiedział.

- Dziękuję.

- Jak się czujesz?

- Dobrze.

- A Gabe?

- Też.

Donatti westchnął i spojrzał na sufit. A potem przeniósł wzrok na jej twarz.

- Co mogę dla ciebie zrobić?

- Ciekawe pytanie - odparła. - Wciąż się nad tym zastanawiam.

Podrapał się w policzek.

- Zrobię wszystko.

- Czy mogę cię trzymać za słowo? - Nim zdołał coś powiedzieć, dodała: - Nie jestem gotowa, żeby wrócić do ciebie.

Donatti położył ręce na kolanach.

- Dobrze. Czy kiedykolwiek będziesz gotowa?

- Przypuszczalnie... Przypuszczalnie tak. Ale jeszcze nie teraz.

- Dobrze. - Chris spojrzał na Deckera. - Czy moglibyśmy

porozmawiać bez świadków?

- Wykluczone. - Decker wziął kwiaty. - Przyniósł je dla ciebie.

Terry spojrzała na kalie.

- Później poproszę o przyniesienie wazonu. - I zwróciła się do Chrisa: - Są śliczne. Dziękuję.

Donatti zaczął się wiercić.

- Czyli... Jak sądzisz... Chciałem zapytać, jak długo chcesz tu jeszcze zostać.

- W Kalifornii czy w tym hotelu?

- Miałem na myśli z dala ode mnie, ale dobrze, jak długo zamierzasz jeszcze tu zostać?

- Nie wiem.

- Miesiąc? Dwa?

- Dłużej. - Oblizwała usta.

- To trochę kosztowne. Oczywiście nie żałuję ci pieniędzy, ale...

- Przyznaję, że hotel jest drogi - powiedziała Terry. - Chcę wynająć dom. A ściślej mówiąc, żebyś ty wynajął dla mnie dom. Widziałam jeden, który mi się spodobał. Czekam, aż wypiszesz czek.

Decker był zaskoczony jej pewnym siebie tonem głosu. Jakby chciała sprowokować Chrisa do odmowy.

- Gdzie? - spytał Donatti.

- W Beverly Hills. Gdzież by indziej?

Kiedy zaczęła się podnosić z fotela, Decker powiedział:

- Co podać?

- Trochę mi zaschło w gardle.

- Siedź. Na co masz ochotę?
- Pellegrino bez lodu.
- Nie ma sprawy. A ty, Chris?
- To samo.
- Nalej mu szkockiej - powiedziała.
- Nic mi nie jest, Terry.
- Czy powiedziałam coś takiego? - warknęła. - Nalej mu szkockiej.

Donatti wyrzucił ręce w górę.

- Nie ma sprawy - zgodził się Decker - póki oboje siedzicie spokojnie.

- Nigdzie się nie wybieram - cierpko odparł Donatti. Gdy tylko napił się szkockiej, jakby się uspokoił. - Więc... Powiedz mi o tym domu, który mam wynająć.

- Znajduje się we Flats. To najlepsza dzielnica Los Angeles. Dwanaście tysięcy miesięcznie. Za mniejszą kwotę nic się tam nie wynajmie. Dom wymaga drobnego remontu, ale można się od razu wprowadzić. Wybrałam Beverly Hills głównie ze względu na dobre szkoły w pobliżu.

- Nie ma sprawy - powiedział Donatti. - Jeśli tego chcesz.

Sądząc po tej rozmowie, można było odnieść wrażenie, że w ich małżeństwie o wszystkim decyduje Terry. Możliwie, że na ogół tak było. Ale na ogół nie oznacza zawsze.

- Czy dostanę klucz? - spytał Donatti.
- Naturalnie. Przecież to ty wynajmiesz dom.
- Jak długo zamierzasz mieszkać... w tym wynajmowanym przeze mnie domu?
- Zwykle umowy wynajmu zawierane są na rok.

- To długo.

Terry się nachyliła.

- Chris, nie proszę o separację, chcę tylko osobno zamieszkać. Po tym, co się stało, to minimum, czego mogę się od ciebie domagać.

- Nie sprzeczasz się z tobą, Terry, chcę tylko wiedzieć, choćby w przybliżeniu, jak długo to potrwa. Chcesz rok, niech będzie rok. Ty jesteś tu ważna, nie ja.

Milczała przez chwilę, nim powiedziała:

- Będiesz wiedział, gdzie jestem, będziesz miał klucz do domu. Będiesz mógł przyjeżdżać, kiedy tylko zechcesz. Nigdzie się nie wybieram. Czy to uczciwe rozwiązanie?

- Jak najbardziej. - Donatti zmusił się do uśmiechu. - Właściwie dobrze, jak będę miał metę na Zachodnim Wybrzeżu. W sumie to niezły pomysł.

- Czyli wyświadczyłam ci przysługę.

- Nie powiedziałbym. Dwanaście tysięcy miesięcznie... Jak duży jest ten dom?

Terry rzuciła mu uśmiech, taki nieco zalotny, nieco wesoły.

- Cztery sypialnie, Chris. Myślę, że to w sam raz.

Donatti wreszcie naprawdę się uśmiechnął.

- Dobra. - Pociągnął łyk whisky, roześmiał się głośno. - Dobra. Jeśli tego chcesz... W porządku. Może zatęsknisz za mną podczas tej rozłąki.

- Nie mogę zabronić ci marzyć.

- Bardzo śmieszne.

- Jesteś głodny? - Terry zmierzyła go od stóp do głów. - Schudłeś.

- Trochę się niepokoiłem.
- W ogóle znasz to uczucie?

Donatti spojrzał na Deckera nieprzeniknionym wzrokiem.

- Dowcipna z niej kobieta - poinformował cichym głosem.
- Jesteś głodny, Chris? - spytała Terry.
- Zjadłbym coś.

- Mają tutaj pierwszorzędną restaurację. - Spojrzała na wysadzany brylantami zegarek między złotymi bransoletkami. - Sama też chętnie coś zjem.

- Świetnie. - Zaczął się podnosić, ale spojrzał na Deckera.
- Jak wstanę, nie zastrzelisz mnie?

- Zejdź do restauracji, Chris, i zamów coś dla siebie i Terry. Zarezerwuj dla mnie stolik obok drzwi. Za chwilę do ciebie dołączymy.

Donatti wyraźnie stracił humor.

- Będziemy w miejscu publicznym, Decker. Nic się nie wydarzy. Nie możemy mieć odrobiny prywatności?

- Będę siedział przy innym stoliku - powiedział Decker. - Możesz rozmawiać szeptem, jeśli nie chcesz, żebym usłyszał. No, idź już. Spotkamy się na dole.

Donatti wzniosł oczy.

- Dostanę z powrotem swoje gnaty?
- Kiedyś tak - obiecał Decker.
- Możesz zatrzymać amunicję, daj mi tylko broń.
- Kiedyś.
- Uważasz, że co zrobię? Znokautuję cię?
- Nawet o tym nie myślałem, ale skoro o tym wspomniałeś... Jesteś nieprzewidywalny. - Decker zwrócił się

do Terry. - Będzie ci przeszkadzało, jeśli będę miał przy sobie broń?

- To zależy od niego - odparła Terry.

- Bez amunicji jest bezużyteczna. - Kiedy Decker nic nie powiedział, Chris dodał: - Daj spokój. To by świadczyło o twojej dobrej woli. Proszę tylko o to, co jest moją własnością.

- Słyszałem, co powiedziałeś, Chris. - Decker otworzył drzwi. - Ale nie zawsze możesz dostawać to, co chcesz.

Zmierzyli się wzrokiem, ale po chwili Donatti wzruszył ramionami.

- Jak sobie chcesz. - Wyszedł, nie oglądając się za siebie.

Decker pokręcił głową.

- Luzak z niego. - Uważnie spojrzał na Terry. - Doskonale sobie z nim poradziłaś.

- Mam nadzieję. W najgorszym razie zyskam trochę czasu, żeby się zastanowić, co dalej.

Decker zauważył, że Terry drży.

- Dobrze się czujesz? - spytał.

- Tak, jestem tylko trochę... - Na jej czole pojawiły się kropelki potu. Wytarła twarz chusteczką. - Wie pan, co mówią, poruczniku? - Roześmiała się nerwowo. - Nigdy nie wolno pokazywać, że się spociliśmy.

ROZDZIAŁ TRZECI

Skoro Decker był w mieście – jakieś trzydzieści kilometrów od domu – Rina zarezerwowała stolik w jednej z licznych koszernych restauracji przy Pico Boulevard. Wyszli z domu jej rodziców o szóstej i pół godziny później siedzieli już i popijali z kieliszków wino z winnic Côte du Rhône. Chociaż Peter nigdy nie był specjalnym gadułą, tego wieczoru sprawiał wrażenie wyjątkowo powściągliwego, więc Rina usilnie starała się podtrzymywać rozmowę. Może Peter jest głodny. Uznała, że stanie się bardziej rozmowny, jak poprawi mu się humor. Ale nawet po spałaszowaniu antrykotu, frytek i surówki pozostał milczący.

- O czym tak rozmyślasz? – spytała w końcu.

- O niczym.

- Nie wierzę.

- Widzisz, właśnie w takich sytuacjach wy, kobiety, wszystko psujecie. Zawsze, kiedy mężczyźni milczą, przypisujecie to milczenie jakimś głębokim, wewnętrznym medytacjom, gdy tymczasem ja myślę o deserze, a konkretnie zastanawiam się, czy wart jest swoich kalorii.

- Jeśli chcesz, możemy zjeść do spółki.

- Co jak zawsze będzie miało taki skutek, że ja zjem dziewięć dziesiątych.

- To może darujmy sobie deser i jedynie napijmy się kawy. Wyglądasz na trochę zmęczonego.

- Naprawdę? - Decker pogładził się po rudo-siwych wąsach, jakby rozmyślał nad czymś głębokim. Jego zarost wciąż zachował trochę żywego, młodzieńczego koloru, natomiast włosy miał prawie zupełnie siwe, choć nadal bujne.

Uśmiechnął się do żony. Rina przebrała się w ciemnofioletową suknię z atlasu, którą trzymała w szafie matki. Chociaż była zbyt religijna, żeby pokazać dekolt, wycięcie podkreślało śliczną szyję. Na czterdzieste piąte urodziny podarował jej kolczyki z dwukaratowymi brylantami, które zawsze wkładała, gdy tylko nadarzała się okazja. Lubił oglądać ją w drogich rzeczach, choć przy swojej pensji niezbyt często mógł sobie pozwolić na kosztowne prezenty.

- Masz rację, jestem trochę zmęczony - dodał po chwili.

- W takim razie wracajmy do domu.

- Nie, nie. Kawa dobrze mi robi.

- Zgoda. - Rina dotknęła jego dłoni. - To nie tylko zmęczenie. Widzę, że coś cię gryzie. Co dzisiaj się wydarzyło?

- Już ci mówiłem. Wszystko przebiegło gładko.

- A jednak jesteś niespokojny.

Po chwili milczenia zaczął mówić, starannie dobierając słowa:

- Kiedy z nim rozmawiała, sprawiała wrażenie pewnej siebie... Jakby panowała nad sytuacją.

- Może dlatego, że obok miała ciebie.

- Z pewnością odgrywało to jakąś rolę. A on był skruszony,

więc miała nad nim pewną przewagę. Sam nie wiem, Rino. Zachowywała się niemal apodyktycznie. Podczas obiadu głównie to ona mówiła.

- Słyszałeś, o czym rozmawiali?

- Widziałem ich. Terry wyraźnie dominowała.

- Może dużo mówi, kiedy jest zdenerwowana.

- Możliwe. Nim dołączyliśmy do niego w restauracji, rozmawialiśmy przez kilka minut. Nagle zaczęła się trząść i oblał ją zimny pot.

- No widzisz.

- Ale było jeszcze coś, Rino. Gdybym nie wiedział, co się wydarzyło wcześniej, przysięgłbym, że podczas obiadu zachowywała się zalotnie... a nawet prowokująco. Coś było dziwnego w tym wszystkim.

- Co w tym takiego dziwnego? Lubi go.

- Sześć tygodni temu pobił ją.

- Zna go, ale widocznie coś ją w nim pociąga. Źle wybrała, dlatego spotkało ją to, co spotkało. Nikt jej nie kazał odwiedzać go w więzieniu i uprawiać z nim seksu bez zabezpieczeń.

- Nie jest głupia, Rino. Jest troskliwą matką i dobrą lekarką.

- Jak wszyscy ma dobre strony i słabości. W przypadku Terry jej słabości są groźne. - Nachyliła się. - Ale jak już mówiłam dziś rano, to nie nasz problem, Peter. Wynajęła cię, żebyś jej pomógł. Zapłaciła ci, a ty zrobiłeś, co do ciebie należało. Może przestań sobie tym zaprzętać głowę?

- Masz rację. - Usiadł prosto i pocałował jej dłoń. -

Wybraliśmy się razem na kolację, a ty zasługujesz na męża, który nie śpi przy stoliku.

- To co z tą kawą?

- Marzę o kawie! - Uśmiechnął się szeroko. - I nawet zdecyduję się na deser.

- Co powiesz na placek z brzoskwiniami?

- Okej, popieram. A do tego zamówmy lody waniliowe albo coś w tym stylu.

Rina się uśmiechnęła.

- Jasne. Jak szaleć, to szaleć.

Komórka zadzwoniła akurat wtedy, gdy mknęli autostradą numer 405 i zaczęli zjeżdżać do doliny San Fernando. Ponieważ po obu stronach wyrastały góry, połączenie nie było najlepsze. Decker prowadził, więc Rina wyjęła telefon z kieszeni jego marynarki.

- Jeśli to Hannah, powiedz jej, że będziemy w domu za dwadzieścia minut.

- To nie Hannah. Nie wiem, czyj to numer. - Nacisnęła przycisk. - Halo?

W słuchawce była cisza. Przez chwilę Rina myślała, że ją rozłączyło, ale zobaczyła, że nadal ma połączenie.

- Halo? - spróbowała jeszcze raz. - Słucham?

- Kto to? - spytał Decker. Kiedy wzruszyła ramionami, powiedział: - Rozłącz się.

- Przepraszam - odezwał się jakiś mężczyzna i odchrząknął. - Szukam porucznika Deckera.

- Połączył się pan z jego komórką. Kto mówi?

- Gabe Whitman.

Rina musiała zmobilizować wszystkie siły, żeby nie okazać zaskoczenia.

- Wszystko w porządku? - spytała.

- Z kim rozmawiasz? - spytał Decker.

- Nie - powiedział Gabe. - Znaczący się nie wiem.

- Kto to, Rino? - spytał Decker.

- Gabe Whitman.

- O Boże! Powiedz mu, żeby się nie rozłączał.

- Zaraz przekażę mężowi słuchawkę - powiedziała do Gabe'a.

- Dziękuję.

Decker zjechał na pobocze, włączył światła awaryjne i wziął od Riny telefon.

- Tu porucznik Decker.

- Przepraszam, że pana niepokoję.

- Nic nie szkodzi. Co się stało?

- Nie mogę znaleźć mamy. Nie ma jej tutaj, nie odbiera telefonów. Tata też nie odbiera.

- Rozumiem. - Umysł Deckera pracował gorączkowo. - Kiedy ostatni raz rozmawiałaś z mamą?

- Wróciłem do hotelu między wpół do siódmej a siódmą. Mieliśmy iść na kolację. Ale nie było jej w pokoju. Nie ma jej samochodu i torebki, ale nie zostawiła żadnej wiadomości. To do niej niepodobne.

Deckerowi ścisnął się żołądek. Teraz dochodziła dziewiąta.

- Kiedy ostatni raz z nią rozmawiałaś, Gabe? - powtórzył pytanie.

- Gdzieś tak o czwartej, kiedy pana już tu nie było. Mama

powiedziała, że wszystko przebiegło dobrze. Sprawiała wrażenie spokojnej. Powiedziała, że chce załatwić kilka spraw i wróci około szóstej. Nie wiem, czy nie przesadzam, ale z Chrisem... Sam nie wiem.

- Gdzie jesteś?

- W hotelu.

- W pokoju?

- Tak, proszę pana.

- Posłuchaj, Gabe. Zawracam i będę u ciebie za dwadzieścia minut. Czekaj na mnie w holu. Pójdź tam od razu. Chcę, żebyś przebywał w miejscu publicznym. Jasne?

- Dobrze. - Nastąpiła chwila ciszy. - W pokoju wszystko w porządku... Znaczy się nie widzę, żeby coś było nie tak.

- Ale to nie znaczy, że twój tata nie może się niespodziewanie pojawić. Lepiej, żebyście nie znaleźli się sam na sam.

- Racja. - Znów chwila milczenia. - Dziękuję.

- Nie musisz mi dziękować. Wyjdź i nie oglądaj się za siebie.

Piętnaście minut później Decker zatrzymał porsche przed hotelem. Pracowali teraz inni parkingowi niż po południu. Kiedy go zapytali, jak długo pozostanie w hotelu, odparł, że nie wie.

Hotel, zbudowany u podnóża Bel Air, otaczało sześć hektarów bujnej roślinności i tropikalnych kwiatów. Wieczorne powietrze było słodkie od jaśminów i gardenii. Szerokolistne palmy, paprocie i kwitnące krzewy tworzyły szpaler wzdłuż kamiennych alejek i porastały brzeg sztucznej

laguny, po której pływały kaczki i łabędzie.

Gdy przeszli przez mostek, patrząc na wodę i ptaki szybujące w powietrzu, Decker powiedział do żony:

- Może weź samochód i jedź do domu.

- Hannah jest u przyjaciółki. Mogę poczekać.

- Cóż, wolałbym, żebyś nie była w pobliżu, jeśli pojawi się Chris. Mam złe przeczucia.

- To może zaczekam w holu?

- Byłabyś tak dobra? To może trochę potrwać. Jeśli szybko nie znajdę Terry, będę musiał przeszukać cały hotel.

- Nie ma sprawy, o ile mnie nie wyrzucą. - Urwała. - Co zamierzasz zrobić z Gabe'em? Nie wiesz, co się dzieje. Z całą pewnością nie możesz go zostawić samego. Jest jeszcze niepełnoletni. - Gdy nic nie odpowiedział, zaproponowała: - Może zatrzymać się u nas.

- Według mnie to nie jest dobry pomysł.

- A według mnie nie masz wyboru.

- W Dolinie mieszka jego dziadek.

- Rano możesz do niego zadzwonić. Jedna noc spędzona u nas nie sprawi większej różnicy.

- Naprawdę prawdziwa z ciebie Matka Wygnańców.

- Taka już jestem - odparła Rina. - Dajcież mi waszych zmęczonych, waszych biedaków, wasze zgromadzone tłumy, tęskniące, by odetchnąć wolnością... I tak dalej, i tak dalej. Emma i ja mamy ze sobą o wiele więcej wspólnego niż takie samo nazwisko. - Rina z domu była Lazarus.

Hotel składał się z szeregu połączonych ze sobą, nierzucających się w oczy parterowych pawilonów,

otynkowanych na różowo, z dachami z czerwonej dachówki. Hol mieścił się w osobnym budynku. Decker widział przez okno recepcję i jakąś kobietę w uniformie, szukającą czegoś w teczkach. Za biurkiem konsjerża nikt nie siedział. Przed kamiennym kominkiem stały tradycyjne meble. W jednym z beżowych foteli siedział chudy nastolatek - niczym *Myśliciel*, ale wyrzeźbiony przez Giacomettiego. Kiedy Decker wszedł z Riną do środka, chudy chłopak uniósł wzrok, a potem wstał. Decker uśmiechnął się do niego.

- Gabe?

Skinął głową. Ładny był z niego chłopak - orli nos, ostry podbródek, ciemnoblonde włosy, szmaragdowe oczy spoglądające zza okularów bez oprawek. Był szczupły i żyłasty, jak jego ojciec, gdy miał naście lat. Chyba przekroczył już metr osiemdziesiąt wzrostu.

Decker wyciągnął rękę, a chłopak ją uściśnął.

- Jak sobie radzisz? - Gdy Gabe tylko bezradnie wzruszył ramionami, Decker dodał: - To moja żona. Zaczeka tu na mnie... Albo na nas. Nikt się z tobą nie kontaktował?

- Nie, proszę pana - powiedział, patrząc to na Rinę, to na Deckera. - Przepraszam, że tu państwa ściągnąłem. Prawdopodobnie nic takiego się nie wydarzyło.

- Dobrze, że zadzwoniłeś. Chodźmy do pokoju.

Kobieta w recepcji uniosła wzrok.

- Czy wszystko w porządku, panie Whitman?

- Tak. - Gabe zmusił się do uśmiechu. - Świetnie.

- Na pewno?

Gabe szybko skinął głową, a Decker zwrócił się do Riny:

- Do zobaczenia wkrótce.

- Nie śpiesz się.

Decker wyszedł z chłopakiem na chłodne wieczorne powietrze. Szli w milczeniu. W nocy alejki wyglądały inaczej niż za dnia. W sztucznym kolorowym oświetleniu, rozmieszczonym wśród roślinności, cały kompleks wyglądał trochę surrealistycznie, jak plan filmowy. Szli krętą alejką, mijając kolejne ogrody, aż znaleźli się przed bungalowem, w którym Gabe zamieszkał razem z matką. Otworzył drzwi, zapalił światło i weszli do środka.

- Nic się nie zmieniło - powiedział Gabe.

To prawda, wiele się tu nie zmieniło, odkąd Decker stąd wyszedł. Kwiaty, które Chris dał Terry, stały w wazonie na stoliku kawowym. Szklaneczka po szkockiej, którą pił Donatti, była w zlewozmywaku w barku. Wyniesiono śmieci, kanapę w pokoju dziennym rozłożono, na srebrnej tacy zostawiono spis potraw, które podawano do pokoju na śniadanie, i kilka czekoladek. Na stoliku kawowym stała woda, z głośników dobiegała muzyka klasyczna.

- Ty tu śpisz?

Gabe skinął głową.

Decker wszedł do sypialni. Łóżko Terry też przygotowano na noc.

- Czy kiedy tu się pojawiłeś koło szóstej, posłania były przygotowane do snu?

- Nie, proszę pana. Przychodzą zrobić to później. Koło ósmej. - Umilkł na chwilę. - No tak, nie powinienem ich wpuszczać.

- To nie ma znaczenia, Gabe. - Decker uważnie rozejrzał się po pokoju. W szafie było dużo ubrań i mały sejf. - Znasz szyfr? - spytał.

- Znam szyfr, którym matka zwykle się posługuje. Myślę, że i tu pasuje.

- Możesz spróbować otworzyć?

- Jasne.

Gabe wstukał szereg cyfr. Musiał ponowić próbę, ale ostatecznie drzwiczki się otworzyły. W środku były pieniądze i biżuteria.

- Czy masz coś, w czym można przewozić kosztowności? - spytał Decker.

- Dlaczego pan pyta?

- Jeśli twoja mama nie wróci, nie możesz tu zostać sam.

- Nic mi nie będzie.

- Nie wątpię, że umiesz zatroszczyć się o siebie, ale jestem gliną, a ty jesteś niepełnoletni. Naruszylibym prawo, gdybym pozwolił ci tu zostać bez opieki osoby dorosłej. Poza tym, uwzględniając sytuację, nie chciałbym cię zostawić samego, nawet gdybyś miał osiemnaście lat.

- Dokąd mnie pan zabierze?

- Masz wybór. - Decker pomasaował skronie. - Wiem, że twój dziadek i ciocia mieszkają w Los Angeles. Czy chciałbyś do nich zadzwonić? Chętnie cię do nich zawiozę.

- Czy to jedyne rozwiązanie?

- Możesz przenocować w moim domu. Miejmy nadzieję, że rano wszystko się wyjaśni.

- Wolę pojechać do pana niż do dziadka. Moja ciocia jest

miła, ale trochę głupia. I jest niewiele starsza ode mnie.

- Ile lat ma Melissa?

- Dwadzieścia jeden. Niedawno miała urodziny.

- No dobrze. Czyli zrobimy tak. Pojedziesz z moją żoną do naszego domu. Ja tu zostanę i spróbuję się zorientować co i jak.

- Dlaczego nie mogę zostać z panem?

- Ponieważ może to trochę potrwać. Najlepiej będzie, jak pojedziesz z moją żoną do domu i pozwolisz mi skupić się na pracy. Skontaktuję się z tobą rano. Jeśli twoja mama wróci do hotelu, natychmiast do ciebie zadzwonię. A gdyby matka albo ojciec skontaktowali się z tobą, od razu daj mi znać, żebym niepotrzebnie nie tracił tu czasu. Dobrze?

- Dziękuję, proszę pana. - Gabe skinął głową. - Naprawdę doceniam to, co pan dla nas robi.

- Nie ma za co. - Decker wyjął notes. - Mam numer do twojej mamy. Daj mi numer do taty i do siebie.

Gabe spełnił prośbę, a potem powiedział:

- Wie pan, że mój tata stale zmienia telefony. Jednego dnia numer może działać, a następnego już być nieaktualny.

- Kiedy ostatni raz rozmawiałeś z ojcem?

- Niech pomyślę. Chris zadzwonił do mnie w sobotę rano... Koło jedenastej. Akurat wylądował. Powiedział mi, że jest na lotnisku i następnego dnia spotka się z mamą.

- Co mu powiedziałeś?

- Nie pamiętam. Chyba „świetnie”. Potem mnie spytał, jak się czuje mama, a ja powiedziałem, że dobrze. Rozmawialiśmy może ze dwie minuty... To dla nas typowe. -

Gabe zagryzł usta. - Właściwie Chris niezbyt mnie lubi. Przeszkadzam mu, stoję między nim a mamą. Rzadko ze mną rozmawia, chyba że o muzyce albo o mamie. Ale musi mnie znosić, bo ja jestem ogniwem, które łączy go z mamą. Strasznie to wszystko pokręcone.

- Twój ojciec jest pokręcony. Przypadkiem nie znasz numeru jego lotu, co? - Gdy Gabe przecząco pokręcił głową, zadał następne pytanie: - A może wiesz, jakimi liniami lotniczymi zwykle lata?

- Jeśli nie leci wynajętym samolotem, najczęściej jest to pierwsza klasa American. Lubi się wyciągnąć.

- Jeśli opuściłby Los Angeles, jak sądzisz, dokąd by się udał?

- Mógł polecieć do domu. Albo do Nevady i zabawić tam jakiś czas.

- Jest właścicielem domów publicznych w Elko, prawda? - Kiedy chłopak się zarumienił, Decker dodał: - Nie znasz nazwy któregoś z nich?

- Jeden nazywa się Kopuła Rozkoszy. - Był już czerwony jak burak. - Pałac Rozkoszy... Jest właścicielem trzech czy czterech przybytków z „rozkoszą” w nazwie.

- Próbowalesz tam zadzwonić?

- Nie, nawet nie znam numerów telefonów. Ale mogą być w książce telefonicznej. Jeśli pan chce, mogę zadzwonić na informację.

- Nie, dziękuję. Spakuj, co ci będzie potrzebne, no i zabierz z sejfu pieniądze oraz biżuterię. Odprowadzę cię do holu.

- Bardzo mi przykro, że sprawiam tyle kłopotu. Bardzo mi

głupio.

- Nie przejmuj się. - Objął Gabe'a za ramię. W pierwszej chwili chłopak zeszywniał, ale potem się odprężył. - I nie denerwuj się zbytnio. Prawdopodobnie wszystko się wyjaśni.

- Jak zwykle. Czasami wszystko się dobrze układa, a kiedy indziej źle. Boję się, żeby tym razem nie było źle.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Jechali do domu w milczeniu. Gabe wyglądał przez okno z miną porzuconego szczeniaka, a Rina nawet nie próbowała wciągnąć go w rozmowę. Całą uwagę skupiła na kierowaniu porsche Petera. Jeden Bóg wie, o ile koni mechanicznych kazał zwiększyć moc silnika. Do tego sprzęgło wymagało sporej siły, żeby zmienić bieg. Na szczęście autostrada była prawie pusta, więc Rina mogła jechać na tym samym biegu.

Jak tylko zaparkowała na podjeździe, Gabe wyskoczył z samochodu niczym zamknięty w klatce kot, którego w końcu uwolniono. Cały jego bagaż stanowiły szkolny plecak, który niósł za jeden pasek, laptop i mały worek marynarski. Chłopak był wysoki jak na swój wiek, miał patykowate nogi. Spodnie mu opadały, bo nie miał wcale bioder.

Rina wsadziła klucz do zamka.

- Mamy z porucznikiem Deckerem czworo dzieci, ale tylko najmłodsza córka jeszcze mieszka z nami. Ma siedemnaście lat. - Otworzyła drzwi i głośno zawołała „cześć”. Hannah odpowiedziała jej przez zamknięte drzwi swojej sypialni. - Mamy gościa - poinformowała ją Rina. - Czy mogłabyś tu przyjść na chwilkę?

- Teraz?

- Naprawdę nie trzeba - powiedział wyraźnie zażenowany Gabe.

Rina starała się przybrać pewną siebie minę, kiedy Hannah wymaszerowała ze swojego pokoju w piżamie i szlafroku. Młodzi obrzucili siebie szybkim spojrzeniem.

- Hannah, to Gabe Whitman - przedstawiła go Rina. - Tę noc spędzi u nas. Możesz go zaprowadzić do pokoju twoich braci i posłać mu łóżko?

- Sam mogę to zrobić - powiedział zaczerwieniony Gabe.

- Hannah też - odparła Rina.

- Czemu nie. - Dziewczyna wzruszyła ramionami. - Chcesz coś zjeść? Właśnie miałam wziąć trochę czereśni. Chcesz zajrzeć do lodówki?

- Ja... Jasne. - Gabe poszedł za nią do kuchni.

Czasami rówieśnicy potrafią lepiej sobie poradzić niż najlepsza matka.

Hannah umyła czereśnie i dała Gabe'owi porcję w papierowej miseczce.

- Są naprawdę dobre. Pewnie mama je kupiła na bazarze.

- Owoce i warzywa są tu bardzo dobre.

- Tu? Skąd jesteś?

- Z Nowego Jorku.

- Z samego miasta?

- Z przedmieść. - Przyjrzał się owocom. - Znasz Nowy Jork?

- Mam tam mnóstwo koleżanek. - Zjadła czereśnię, wypluła pestkę. - A mój brat w Nowym Jorku studiuje medycynę.

- Moja mama przez jakiś czas pracowała w szpitalu Mount Sinai. Jest lekarzem, pracuje na oddziale ratunkowym.

- Interesujesz się medycyną?
- Boże broń. - W końcu wziął czereśnię i ją zjadł. - Wiesz, że potrafię sam posłać łóżko.
- Proszę bardzo. Mogę zapytać, dlaczego tu jesteś?
- Moja mama... zniknęła. Twój tata jej szuka. Powiedział, że to niezgodne z prawem, żebym sam został w hotelu, i zaproponował mi nocleg w swoim domu.
- To podobne do mojego taty.
- Równy z niego gość?
- Wyjątkowo równy - z uśmiechem odparła Hannah. - Udaje surowego gliniarza, ale ma miękkie serce. A moja matka jeszcze miększe. Obydwoje są okropnie łatwowierni. Chcesz coś do picia?
- Nie, dzięki. Wolałbym się już położyć. - Odstawił owoce na szafkę. - Dziękuję za czereśnię, ale nie jestem głodny.
- Uda ci się zasnąć?
- Obawiam się, że nie.
- Pokażę ci, jak obsługiwać telewizor. To trochę skomplikowane, bo jest z epoki kamiennej. Moi bracia już jakiś czas temu wyprowadzili się z domu. W której jesteś klasie?
- W dziesiątej. Razem z mamą niedawno się tu przenieśliśmy, więc na razie nie chodzę do szkoły.
- Czyli masz piętnaście lat?
- Bez czterech miesięcy. Dużo ludzi sądzi, że jestem starszy. To przez ten mój wzrost.
- Mam tak samo, ale wcale mi to nie przeszkadza. - Zeskoczyła z szafki. - Chodź za mną. I staraj się za bardzo

nie przejmować całą tą sytuacją. Mój tata może być pobłażliwy wobec mnie, ale jako gliniarz jest bezwzględny. Dotrze do dna sprawy.

- To dobrze. - Gabe uśmiechnął się lekko. - Mam nadzieję, że kiedy mu się to uda, dno nie odpadnie.

Decker w pierwszej kolejności zadzwonił do swojej ulubionej detektyw, sierżant Marge Dunn.

- Mam pewną sprawę. Przyda mi się pomoc.

- Co się stało? - spytała, a po chwili dodała: - Czy ma to coś wspólnego z Terry McLaughlin?

- Zniknęła. - Decker wyjaśnił, co zaszło, a potem dodał: - W mieście mieszka jej ojciec i siostra. Do Melissy, jej siostry, już zadzwoniłem i przedstawiłem sytuację. Od kilku dni Terry nie kontaktowała się z nią. Poradziła mi też, żebym nie dzwonił do ojca. Prawie nie utrzymują ze sobą kontaktów.

- Czy była zaniepokojona?

- Owszem. Powiedziała, że Terry nigdy nie zostawiłaby Gabe'a bez bardzo ważnego powodu. Obiecałem, że będę ją informował na bieżąco. Jeśli chodzi o Donattiego, zadzwoniłem pod wszystkie znane mi numery i zostawiłem wiadomość. Ale to ślepa uliczka. Jest właścicielem kilku burdeli w Nevadzie. Złapałem recepcjonistkę, która wyjawiała mi, że Chris zapowiedział swoją wizytę jutro po południu.

- To nic nie znaczy.

- Jasne. Zadzwoniłem na policję w Elko, poprosiłem, żeby mnie poinformowali, jak tylko Donatti pojawi się w mieście.

- Pomogą nam?

- Trudno powiedzieć. Burdele zarabiają masę pieniędzy,

możliwe więc, że tamtejsza policja nie będzie chciała donieść na jednego ze swoich. Staram się ustalić, co robił Donatti od chwili, kiedy przyleciał do Los Angeles. Sprawdzam linie lotnicze, firmy, które wynajmują samoloty i oferują prywatne odrzutowce. Oraz wypożyczalnie samochodów. Musi czymś jeździć. Jak na razie szczęście mi nie dopisuje.

- Przeszukałeś hotel?

- Jeszcze nie. Jeśli okaże się to konieczne, zadzwonię na posterunek w West Los Angeles. To ich rewir. Na razie próbuję sam to rozwiązać... Z małą pomocą.

- Już tam jadę.

- Wracalem do domu po kolacji na mieście. Jak tylko Gabe zadzwonił, zawróciłem i pojechałem do hotelu. Nie mam przy sobie żadnych zestawów ani toreb na dowody rzeczowe.

- Czy coś wygląda nie tak?

- Nie, właściwie wszystko wygląda tak samo jak wtedy, kiedy opuszczałem pokój. Ale jest tu szklaneczka, którą chciałbym zachować jako dowód rzeczowy.

- Wszystko przywiozę.

- Sensownie wyglądają tylko dwa powody, dlaczego Terry mogła wyjechać, nie informując o tym syna. Coś ją przestraszyło albo przyłożono jej słuwę do głowy. Wzięła torebkę, klucze, samochód, ale zostawiła kupę forsy i biżuterię.

- Nie wygląda to dobrze. Mówiłeś, że spotkanie przebiegło spokojnie...

- Tak mi się wydawało. Ale Donatti jest nieprzewidywalny.

- Podał adres. - Marge, jeśli nie będzie dużego ruchu, jazda

zajmie ci jakieś czterdzieści minut.

- Gdzie jest chłopak?

- Razem z Riną. Na dzisiejszą noc zabrałem go do naszego domu.

W słuchawce na moment zaległa cisza, wreszcie Marge spytała:

- Czy nie za bardzo się w to angażujesz?

- I kto to mówi? - odgryzł się Decker. - Gdybyś nie adoptowała Vega po całej tej historii z ojcem Jowiszem, objęto by ją państwowym programem opieki nad nieletnimi. Prawdopodobnie zostałaaby młodocianym przestępcą, dziesięć razy zaszłaby w ciążę, uzależniłaby się od narkotyków i skończyła jako prostytutka. Ale ponieważ zbyt się zaangażowałaś, Vega właśnie kończy pisać pracę doktorską z astrofizyki. Więc nie mów mi, że źle robię, nadmiernie się w to angażując.

W słuchawce przez dłuższą chwilę znów panowała cisza, którą ponownie przerwała Marge:

- Masz za sobą ciężki dzień, Pete?

- Nie najłatwiejszy.

- Do zobaczenia wkrótce.

- Lepiej wcześniej niż później.

Marge pojawiła się ze sprzętem, torbami i rękawiczkami. W ciągu ostatniego roku trochę przybrała na wadze, ale prawie wyłącznie były to mięśnie. Przy stu siedemdziesięciu ośmiu centymetrach wzrostu i siedemdziesięciu dwóch kilogramach wagi była szczupła. Codziennie ćwiczyła w siłowni. Miała pobrużdżone czoło i delikatną pajęczynkę

zmarszczek wokół brązowych oczu. Blond włosy - kiedyś jasnobrązowe - ściągnęła w kucyk, w uszach miała kolczyki z perełkami. Ubrała się w szare spodnie i czarny sweter, na nogi włożyła buty na gumowych podszewkach.

- Dzięki, że przyjechałaś - powiedział Decker.

- Ktoś musi cię odwieźć do domu - odparła Marge.

Wstępne przeszukanie hotelu zajęło im ponad trzy godziny. Najpierw sprawdzili bar i restaurację, potem wszystkie pokoje, na końcu zajrzeli do spa, pomieszczeń magazynowych, pustej sali bankietowej. Przez kolejną godzinę przeszukiwali pokój Terry. Kiedy skończyli umieszczając w torbach dość nikłe dowody rzeczowe, które udało im się znaleźć, zegar wybił pierwszą. Marge widziała, że Decker jest bardzo niespokojny, a przecież zwykle zachowywał się profesjonalnie, z dystansem.

- Co powiem chłopakowi? - zapytał.

- Prawdopodobnie śpi.

- Czy usnęłabyś, gdybyś była na jego miejscu?

- Nie. - Milczała przez dłuższą chwilę. - Jeśli nie śpi, powiesz mu, że zrobiłeś wszystko, co można było zrobić w niedzielną noc. Jutro zadzwonisz do firmy telekomunikacyjnej, żeby sprawdzić, czy matka korzystała z komórki, zadzwonisz do banku, żeby sprawdzić, czy korzystała z karty kredytowej, czy są jakieś podejrzone wypłaty z jej konta. - Marge uśmiechnęła się. - Bardziej prawdopodobne, że zlecisz to komuś innemu, bo jesteś człowiekiem zajęтым, a to nawet wykracza poza zakres twoich kompetencji. Czy już zadzwoniłeś na posterunek

w West Los Angeles?

- Owszem. Krótko przed twoim przybyciem poprosiłem o ustalenie, gdzie znajduje się samochód Terry. To mercedes E550 rocznik 2009. Ktoś musi tu się pojawić i przesłuchać wszystkich pracowników. Rozmawiałem tylko z dyżurną, która nic nie wie.

- Teraz jest szkieletowa załoga. I nie zmieni się to do rana.

- Dyżurna obiecała, że zadzwoni do mnie ktoś z działu poszukiwań osób zaginionych. Ktokolwiek odbierze telefon, musi wiedzieć, z kim ma do czynienia.

- Czyli wszystko pod kontrolą. Jedźmy do domu.

- Jestem zbyt zdenerwowany, żeby teraz porozmawiać z Gabe'em.

- Uspokoisz się, nim wrócimy do Doliny. Jeśli nie, kupię ci kubek gorącego kakao w całodobowym sklepie.

Decker się uśmiechnął.

- Gorące kakao?

- Kto raz zostanie matką, zawsze będzie matką. Vega może być zdolna i mieć karierę naukową przed sobą, ale nadal się o nią troszczyć. - Marge poklepała go po ramieniu. - Wiemy lepiej niż ktokolwiek inny, że nawet najinteligentniejsze osoby zdolne są do popełniania niewyobrażalnych głupstw.

ROZDZIAŁ PIĄTY

O drugiej w nocy dom był ciemny i cichy, tak jak powinno być. Decker zamknął drzwi wejściowe najciszej, jak umiał, spodziewając się, że Gabe wyłoni się z pokoju jego synów. Kiedy się nie pojawił, na palcach przeszedł do swojej sypialni, rozebrał się i wsunął pod kołdrę. Rina przewróciła się na bok i objęła go ramieniem.

- Wszystko w porządku?

- Nie ma o czym mówić.

Rina milczała przez chwilę, a potem westchnęła.

- Jesteś zdenerwowany. Przykro mi.

- Owszem, denerwuję się. Powinienem ją odwieść od zamiaru spotkania z nim.

- Tylko byś odwlókł to, co nieuchronne. - Rina usiadła w łóżku. - Z tego, co mi powiedziałaś podczas kolacji, nie zamierzała odejść od niego na zawsze.

- Masz rację, ale pozostaje faktem, że zaginęła. - Odwrócił się do niej. - Rino, co mam powiedzieć jej synowi?

- Że robisz, co w twojej mocy, i będziesz go informował. Ważniejsze, co zrobimy z nim. Naturalnie może tu zostać przez kilka dni, ale jeśli to dłużej potrwa, trzeba będzie podjąć decyzję.

- Cóż, w Los Angeles mieszka jego dziadek, ale chłopak go nie lubi. Terry też nie. Powiedział, że jego ciocia jest miła, ale głupia.

- Ile ma lat?

- Dwadzieścia jeden... Według Gabe'a jest bardzo niedojrzałą dwudziestojednolatką.

- Och, jest za młoda, żeby zajmować się nastolatkiem, na dodatek takim, który ma kłopoty. Pracuje? Uczy się?

- Nie wiem o niej nic poza tym, że ostatnio usunęła ciążę. - Decker westchnął głęboko. - Zajmę się tym rano. Prześpijmy się trochę.

- Dobry pomysł. - Wsunęli się pod kołdrę. Peter zapadł w sen, nim minęło dziesięć minut, ale Rina długo nie mogła usnąć, prześladowana obrazami zagubionego, samotnego chłopaka.

Rina wstała o szóstej, ale okazało się, że nie jest pierwsza na nogach. Gabe siedział po ciemku na kanapie w salonie z głową odchyłoną do tyłu, z zamkniętymi oczami, w okularach bez oprawek. Koło nóg postawił torby ze swoimi rzeczami. Ubrany był w czarną koszulkę, dżinsy i adidasy, które na pierwszy rzut oka miały rozmiar dwanaście.

- Dzień dobry - odezwała się cicho Rina.

Chłopak gwałtownie uniósł głowę.

- Och. - Potarł oczy. - Witam.

- Gdzieś się wybierasz? - Kiedy wzruszył ramionami, dodała: - Może coś zjesz na śniadanie?

- Nie jestem głodny... Ale dziękuję.

- A co powiesz na gorącą czekoladę albo kawę?

- Jeśli parzy pani kawę, chętnie się napiję.

- Chodź, dotrzymasz mi towarzystwa w kuchni.

Z ociąganiem wstał i poszedł za nią. Zmrużył oczy, kiedy

zapaliła światło, więc natychmiast je zgasiła i ograniczyła się do oświetlenia pod szafkami.

- Przepraszam. - Gabe usiadł przy kuchennym stole. - Rano zachowuję się jak nietoperz.

- Za wcześnie na iluminacje - przyznała mu rację Rina. - Na pewno nie jesteś głodny? Uważam, że dobrze by było, gdybyś coś zjadł i się wzmocnił. - Z całą pewnością nie wyglądał, jakby zgromadził duże zapasy energii.

Uśmiechnął się lekko.

- No dobrze.

- Może grzanka?

- Tak, bardzo proszę. - Urwał na chwilę. - Dziękuję za to, że pozwolili mi państwo przenocować u siebie.

- Wygodnie ci się spało?

- Tak, dziękuję.

- Przykro mi, Gabe. Jeśli czegoś potrzebujesz, powiedz mi, proszę.

- Czyli pani mąż nie... Chciałem powiedzieć, że moja matka się nie odnalazła?

- O ile mi wiadomo, nie. - Wsadziła do tosterka dwie kromki chleba. - Porucznik Decker powinien niebawem wstać. Możesz go o wszystko wypytać.

Tylko skinął głową. Wyglądał jak siedem nieszczęść.

Położyła na talerzu dwie grzanki, postawiła je przed nim, a także dżem, masło i kubek gorącej kawy.

- Z mlekiem czy cukrem? - spytała.

- Tak, proszę.

- Proszę bardzo.

- Dziękuję. - Chłopak ugryzł suchą grzanekę. - Wie pani, dokąd pojedę?

- Porucznik Decker powiedział mi, że masz ciocię i dziadka w Los Angeles.

- Tak, mam... - Skinął głową. - Więc zadzwoni do nich albo...

- Nie znam zasad postępowania w takich przypadkach. Pozwól, że zajrzę do sypialni, sprawdzę, czy mąż już wstał. - Weszła do sypialni akurat w chwili, gdy Decker skończył brać prysznic. - Kawa gotowa.

- Za chwilę zejść na dół.

- Dobrze. Biedny chłopak zastanawia się, gdzie zamieszka, póki to wszystko się nie skończy.

- O ile się skończy. Już wstał?

- Wstał, spakował się i wygląda na bardzo przygnębionego.

Dziwisz mu się?

- Podła sprawa. - Włożył spodnie i buty.

- Może powinniśmy przenocować go u nas jeszcze parę nocy... Póki sprawa się nie wyjaśni - powiedziała Rina.

- A potem co? - spytał Decker. - Szkoda mi go, Rino, ale to nie nasze zmartwienie.

- Nie powiedziałam tego.

- Znam cię. Masz zbyt miękkie serce. Już za bardzo się zaangażowałem w życie Terry i zobacz, dokąd mnie to przywiodło... I ją... Jeden Bóg wie, gdzie teraz jest. A gdzie chłopak?

- W kuchni.

Zapiął guziki koszuli.

- Porozmawiam z nim, a ty obudź naszą córkę. - Roześmiał się, zawiązując krawat. - Mnie trafiło się łatwiejsze zadanie.

Chłopak siedział ze wzrokiem utkwionym w blat stołu.

- Cześć, Gabe - powitał go Decker.

Uniósł wzrok.

- Dzień dobry.

Decker położył mu dłoń na ramieniu.

- Jeszcze nie znaleźliśmy twojej matki.

Zmusił się do uśmiechu, by ukryć, że usta mu drżą.

- A co z Chrisem?

- Jego też szukamy. Zostało nam jeszcze masę pracy. Więc jedyne, co mogę teraz powiedzieć, to nie denerwuj się, będziemy cię na bieżąco informować.

Kilka razy zamrugał.

- Jasne - mruknął.

- Ale musimy porozmawiać o kilku sprawach. Wiem, że twój ojciec jest jedynakiem, jego rodzice nie żyją. I wiemy o krewnych twojej mamy. Zanim do tego przejdziemy, czy jest ktoś w Nowym Jorku, z kim chciałbyś, żebym się skontaktował?

- Znaczy się krewni?

- Krewni, przyjaciele, kumple...

- Mam przyjaciół, ale nie chciałbym zamieszkać u żadnego z nich. Przynajmniej nie teraz.

- No dobrze, czyli zostają nam krewni twojej mamy.

- Prawie nie znam swojego dziadka. Mama nie utrzymuje z nim kontaktów.

- Czyli zostaje twoja bardzo niedojrzała ciocia.

- Chyba mógłbym z nią zamieszkać. - Spuścił wzrok. - Zresztą jakie mam inne możliwości?

- Opiekę nad tobą przejąłoby państwo. Wtedy trafiłbyś do rodziny zastępczej, a na pewno tego nie chcesz. - Decker nalał sobie kawy. - Powiedz mi, dlaczego nie chcesz zamieszkać z cicią?

- Nie ma pieniędzy, żeby mnie utrzymać. Żyje z tego, co dostanie od mojej mamy. Cały czas imprezuje. Pali trawkę, a jej mieszkanie przypomina chlew. Wiem, że pozwoli mi u siebie zamieszkać. I właściwie nawet ją lubię. Ale nie jest osobą zbyt odpowiedzialną. - Ukrył twarz w dłoniach. - Życie jest do dupy!

Decker usiadł.

- Przykro mi, Gabe.

- To... - Zdjął okulary i wytarł je serwetką. - Nic mi nie będzie. Dziękuję za gościnę. - Zabębnił palcami w kuchenny stół. - Wie pan, że mam swoje pieniądze. Mam oszczędności, fundusz powierniczy i takie tam. Myśli pan, że sąd pozwoliłby mi zamieszkać samemu?

- Nie, bo masz dopiero czternaście lat.

Spojrzał na Deckera. Głos miał smutny.

- Czy mógłbym tu zostać jeszcze parę dni, póki coś się nie wyjaśni? Jestem naprawdę spokojny. Nie jem dużo i obiecuję, że nie będę przeszkadzał. Chętnie panu zapłacę...

- Daj spokój. - Czuł, że mu zaraz pęknie serce. - Naturalnie, że możesz u nas zostać na kilka dni. Już rozmawiałem o tym z żoną. Zgadza się ze mną. Właściwie to był jej pomysł.

Gabe zamknął oczy i po chwili je otworzył.

- Bardzo dziękuję. Naprawdę doceniam to. Przepraszam, że sprawiam tyle kłopotu.

- Żaden kłopot i nie musisz przeproszać. Masz problemy, współczuję ci. Będziemy działać systematycznie.

Do kuchni weszły Rina i Hannah.

- Przepraszam. - Gabe wstał.

Gdy tylko wyszedł z kuchni, Decker uniósł brwi.

- Poprosił, żebyśmy pozwolili mu zostać u nas kilka dni.

Rina spojrzała na Hannah, która wzruszyła ramionami i powiedziała:

- Nie mam nic przeciwko temu, o ile nie jest psycholem ani nic z tych rzeczy.

Decker wypuścił powietrze z płuc i mruknął:

- Nie wygląda na psychola, choć jego ojciec nim jest. A tak naprawdę nic nie wiem o tym chłopaku.

- Nie chce zamieszkać z krewnymi? - spytała Rina.

- Widocznie nie - odparł Decker.

- Ile dni wchodzi w rachubę? - dociekała Hannah.

- Mam nadzieję, że wkrótce uda mi się znaleźć jego matkę lub ojca.

- Więc niech zostanie. - Uśmiechnęła się. - Nawet jeśli jest psycholem, niewiele jest tu rzeczy, które mógłby ukraść.

- Parę dni nie zrobi wielkiej różnicy - powiedział Decker. - Jeśli się okaże, że może to potrwać dłużej, wrócimy do tematu.

- Powinien chodzić do szkoły - zauważyła Rina.

- Tylko nie do mojej - sprzeciwiła się Hannah.

- Dlaczego nie? - spytał Decker. - Dużo w niej odmieńców.
- To ortodoksyjna szkoła dzienna, abba, a nie sądzę, żeby wyznawał naszą wiarę.

- Podobnie jak połowa dzieciaków w twojej szkole.

- Nieprawda - zaperzyła się Hannah. - Słuchajcie, mogę go zaprowadzić do naszej szkoły. Jest słodki i jestem pewna, że wszystkie dziewczyny zakochają się w nim do szaleństwa. Tylko nie miejcie do mnie pretensji, kiedy rabini wpadną w szal.

- Jak będzie siedział w domu, poczuje się jeszcze gorzej - powiedziała Rina i zwróciła się do Hannah: - Idź i powiedz mu, że zaprowadzisz go do swojej szkoły.

- Chcesz, żebym ja mu o tym powiedziała?

- Owszem - odparła Rina.

- Dziś wieczorem mam próbę chóru. Wrócę do domu późno.

- Zabierz go ze sobą - zaproponował Decker. - Zdaje się, że gra na fortepianie. Może wam akompaniować.

- Akurat! - prychnęła Hannah i wyszła, żeby przyprowadzić Gabe'a z pokoju swoich braci.

Kiedy zostali sami, Decker powiedział:

- Mam nadzieję, że się to na nas nie zemści.

- Niewykluczone - odparła Rina. - Ale nawet Bóg sądzi nas po naszych obecnych uczynkach, a nie po tym, co wie, że zrobimy kiedyś. Jak my, śmiertelnicy, możemy postępować inaczej?

- Brzmi bardzo ładnie, ale my, śmiertelnicy, musimy kierować się przeszłością do oceniania przyszłości, ponieważ

nie jesteśmy Bogiem. – Pokiwał głową. – Jaki nastolatek nie chce zamieszkać z młodą, nieodpowiedzialną ciotką, która imprezuje i ćpa?

- Nastolatek zbyt dojrzały jak na swój wiek.

Siedział na jednym z dwóch łóżek, plecak położył koło nóg i patrzył gdzieś w dal, kiedy inni rozmawiali o jego losie. Nie po raz pierwszy znalazł się w takim położeniu. W pokoju pełno było trofeów sportowych, książek w miękkich oprawach, komiksów, płyt i filmów na DVD, na ogół z lat dziewięćdziesiątych. Wisiały plakaty z Michaeliem Jordanem i Michaeliem Jacksonem, jeden z Kobe Bryantem, kiedy miał z siedemnaście lat. Wśród płyt były krążki Green Day, Soundgarden i Pearl Jam.

Najzwyczajniejszy pokój w najzwyczajniejszym domu najzwyczajniejszej rodziny.

Co by dał za najzwyczajniejsze życie.

Miał dość ojca wariata, zupełnie nieprzewidywalnego, o gwałtownym charakterze. Miał dość matki maltretowanej psychicznie, a ostatnio również fizycznie. Bał się swojego taty, kochał mamę, ale obojga miał serdecznie dość. I chociaż szczerze ubóstwiał muzykę i grę na fortepianie, nie chciał być cudownym dzieckiem. Bo czuł się zobowiązany do stałego podnoszenia sobie poprzeczki.

A chciał być zupełnie zwyczajny. Czy to takie wygórowane życzenie?

Usłyszał pukanie do drzwi i wytarł oczy. Spojrzał w lustro i zobaczył, że są zaczerwienione. No świetnie! Dziewczyna na pewno pomyśli, że prawdziwy z niego palant.

Mamo, gdzie jesteś, do jasnej cholery? - myślał zrozpaczony. Chris, coś ty, do jasnej cholery, zrobił mamie?

Otworzył drzwi.

- Cześć.

- Cześć. - Uśmiechnęła się. - Jeśli chcesz się tu zamelinować na kilka dni, jesteś mile widzianym gościem.

- Twój tata już mi to powiedział. Dziękuję. Naprawdę. - Zagryzł dolną wargę. - Jestem pewien, że do tego czasu wszystko się wyjaśni. Powiedz swoim rodzicom, że nie będę sprawiał kłopotów.

- Wystarczy, że ja sprawiam kłopoty za dwoje. - Znów się uśmiechnęła. - Niechętnie to mówię, kolego, ale moja mama chce, żebyś poszedł ze mną do szkoły.

- Do szkoły?

- Jestem tylko posłańcem, nie zabijaj mnie.

- Dobrze. - Roześmiał się. Cóż innego mógł zrobić? - Jasne.

Czemu nie?

- To szkoła wyznaniowa.

- Jakiego wyznania?

- Żydowskiego.

- Jestem katolikiem.

- Nie szkodzi. Nie będziesz musiał robić nic sprzecznego z tym, w co wierzysz.

- Wierzę jedynie w to, że człowiek z natury jest zły. - Spojrzał na nią. - Z wyjątkiem twoich rodziców.

- Jeśli to dla ciebie za trudne, zapewne uda mi się mamę odwieść od tego pomysłu.

- Nie, w porządku. - Umilkł na chwilę. - Dam sobie radę.

Będzie mi potrzebny jakiś notes czy coś z tych rzeczy?

- Dam ci notatnik. Powiedziałeś, że chodzisz do dziesiątej klasy?

- Tak.

- Uczysz się algebry czy różniczek i całek?

- Różniczek i całek.

- Zajmę się tym. Słyszałam też, że grasz na fortepianie.

- Masz fortepian? - Nieco się ożywił.

- Nie, ale w szkole mają pianino. Dobrze grasz?

Hannah po raz pierwszy zobaczyła prawdziwy uśmiech na jego twarzy.

- Dobrze - powiedział.

- To może zostałbyś po lekcjach, żeby akompaniować naszemu chórowi. Okropnie śpiewamy. Przyda nam się dobry akompaniator.

- Jasne, mogę wam pomóc.

- Chodźmy. - Dała mu znak ręką. - Wszystko ci pokażę. Może o tym nie wiesz, Gabe, ale patrzysz na wielką szycę w naszej szkole.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Do przerwy obiadowej Decker ustalił, że od czwartej wczorajszego popołudnia Terry McLaughlin nie korzystała z komórki. Rachunek kart kredytowych obciążył jedynie hotel, ale przed południem. Jej nazwisko nie widniało na liście pasażerów żadnych lotów, krajowych i międzynarodowych, linii American czy United. Z tym że Decker nie miał możliwości, by sprawdzić każdą linię lotniczą i wszystkie okoliczne lotniska. Jeśli Terry chciała się wymknąć, mogła to zrobić na tysiąc sposobów. Nigdzie też nie widziano jej samochodu. Decker mógł jedynie czekać na wiadomość i mieć nadzieję, że nie będzie to zła wiadomość.

Donatti też nie odbierał telefonów. Gabe powiedział, że jego ojciec zmienia aparaty, często używa jednorazowych. Możliwe, że Decker nie miał aktualnego numeru komórki. Ustalił, że Donatti przyleciał do Los Angeles liniami Virgin America w przeddzień spotkania z żoną, która od niego uciekła. Nie było żadnych informacji, by wypożyczył samochód. Żeby ustalić, gdzie się zatrzymał przed spotkaniem z Terry, Decker zaczął wydzwaniać do hoteli, zaczynając od zachodu, od Ritz-Carlton w Marinie, i systematycznie przesuwał się na wschód. Właśnie miał zadzwonić do Century Plaza, kiedy rozległo się pukanie do drzwi gabinetu. Odłożył słuchawkę.

- Proszę.

Weszła Marge. Ubrana była w żółtą koszulę, brązowe spodnie i buty na płaskiej gumowej podeszwie. Oczy miała wielkie, twarz – szarą. Deckerowi zamarło serce.

- Co się stało?

- Kierownik budowy znalazł samobójczynię. Młoda kobieta powiesiła się na krokwi...

- Wielki Boże! - Deckera zemdlilo. - Powiesiła się?

- Na kablu elektrycznym. Przynajmniej tak mi powiedziano.

- Zidentyfikowano ofiarę?

- Jeszcze nie. Mundurowi są na miejscu, odgradzają teren taśmą.

- Czy ktoś odciął ofiarę?

- Nie. Kierownik budowy niczego nie dotykał. Zadzwoił pod dziewięćset jedenaście, a mundurowi pojawili się na tyle szybko, żeby zabezpieczyć miejsce wydarzenia. Już powiadomiono biuro koronera.

Decker spojrzał na zegarek.

- Jest druga po południu. A kierownik budowy przed chwilą znalazł zwłoki? Od kiedy jest na placu budowy?

- Nie wiem, Pete.

- Gdzie to jest? - Kiedy Marge podała adres, serce Deckera zaczęło szybciej bić. Oczami wyobraźni ujrzał Terry ze stryczkiem na szyi. - To niedaleko od miejsca, gdzie zamordowano Cheryl Diggs.

- Wiem. Dlatego ci o tym mówię.

Dawno temu, kiedy Chris Donatti, w tamtych czasach Chris Whitman, był w ostatniej klasie szkoły średniej, Cheryl Diggs

była jego dziewczyną. W dniu balu absolwentów Donattiego oskarżono o jej zamordowanie i wkrótce potem trafił do więzienia przez szlachetne, ale błędne przeświadczenie, że w ten sposób oszczędzi Terry McLaughlin przykrego obowiązku zeznawania na jego procesie. Okazało się, że Chris był niewinny, prawdopodobnie jeden jedyny raz w swoim życiu.

- Jadę tam z Oliverem - powiedziała Marge. - Chcesz jechać z nami czy mam cię informować na bieżąco?

- Z wami. - Wziął marynarkę, telefon komórkowy, aparat fotograficzny. - Pojadę drugim samochodem, spotkamy się na miejscu.

- Czy mam czegoś szukać?

- Wiesz, jak wygląda Terry McLaughlin?

- Kiedy widziałam ją ostatni raz, miała szesnaście lat. Przypominam sobie, że śliczna była z niej dziewczyna.

- Przybyło jej lat, ale nadal jest śliczna. - Decker uderzył pięścią w dłoń. - Ale jeśli to ona, wcale nie będzie wyglądała ładnie.

Przestępczość jest wszechobecna, ale chociaż policja w Devonshire miała do czynienia z napaściami, włamaniami i kradzieżami, to stosunkowo rzadko zajmowała się zabójstwami. Więc kiedy już ktoś odebrał sobie życie, uważano to za coś dziwnego. A przypadki powieszenia się były równie rzadkie, jak śnieg w Los Angeles.

Decker jechał głównym krętym bulwarem, nim znalazł się w jednej z bogatszych dzielnic mieszkaniowych. Zabudowa była tu jednolita, piętrowe domy z garażami na trzy

samochody na działkach o powierzchni ćwierć hektara. Przeważały domy w stylu hiszpańskim, Tudorów, kolonialnym, włoskim i modernistycznym, to znaczy wielkie klocki z wielkimi oknami. Kilka domów było w trakcie budowy.

Pod wskazanym adresem kręciła się spora grupka gapiów. Ludzie wyciągali szyje, żeby zobaczyć, co się dzieje. Już przyjechał jeden radiowóz i niewątpliwie kilka następnych było w drodze. Decker zaparkował w pewnej odległości od zbiegowiska. Mignął odznaką jednemu z mundurowych, po czym przeszedł pod żółtą taśmą, którą ogrodzono miejsce zdarzenia.

Piętrowy dom był na ukończeniu. Wytyczono pomieszczenia, wstawiono okna, położono dach. Spora grupa, głównie mundurowych, kręciła się w głębi, ale Decker widział też częste błyski lamp błyskowych. Marge razem ze swoim partnerem, Scottem Oliverem, dotarła na miejsce przed nim.

Scott był jak zwykle elegancki, miał na sobie marynarkę w kurzą stopkę, czarne spodnie, czarny jedwabny krawat i białą wykrochmaloną koszulę. Kiedy Decker znalazł się bliżej ofiary, poczuł smród ekskrementów. W powietrzu krążyła chmara meszek, komarów i innych owadów.

Oliver opędzał się przed nimi.

- Wynocha stąd. Lećcie jeść ściervo.

Z kieszeni marynarki Decker wyjął tubkę Vicks VapoRub i posmarował nos maścią. Machał ręką przed twarzą, żeby odgonić owady, patrząc na ciało zwisające z krokwi. Twarz

kobiety była tak blada i napuchnięta, że prawie nie przypominała ludzkiej. Ktoś zdarł z niej ubranie i ułożył w stosik na podłodze, tylko długie ciemne włosy na próżno próbowały okryć nagość. Kabel elektryczny kilkakrotnie był owinięty wokół szyi, jeden koniec przywiązano do belki stropowej. Pomalowane na czerwono paznokcie u nóg niemal dotykały ziemi.

- Ustalono jej tożsamość? - spytał Decker.

- Jeszcze nie - powiedziała Marge. - Czy to Terry?

Wpatrywał się dłuższą chwilę w denatkę.

- Chciałbym powiedzieć, że nie, ale jeśli mam być szczery, ma zbyt zniekształcone rysy, by cokolwiek powiedzieć. - Wyciągnął notes i zaczął w nim rysować. - Jaka firma układa kable w tej okolicy?

- Większość Doliny obsługuje American Lifeline - wyjaśniła Marge. - Zadzwońię do nich i spytam, kto pracuje w tym rejonie.

- Dowiedz się, jakich kabli elektrycznych używają - poprosił Decker. - I niech ktoś zacznie dzwonić po tutejszych sklepach elektronicznych i komputerowych, żeby się dowiedzieć, jakie kable sprzedają.

- Ja się tym zajmę - powiedział Oliver.

- Nie, niech Lee Wang zajmie się telefonami. A ty i Marge zacznijcie wypytywać okolicznych mieszkańców. Podeślę wam jeszcze paru detektywów do pomocy. - Decker znów przyjrzał się zwłokom. - Kto to może być?

- Wynona Pratt dzwoni na inne posterunki, żeby sprawdzić, czy nie zgłoszono zaginięcia jakichś młodych

kobiet.

Decker potarł czoło i zwrócił się do fotografa, George'a Stubbsa, siwowłosego i krępego policjanta po pięćdziesiątce.

- Skończyłeś tu?

- Prawie.

- Zrobiłeś zbliżenia szyi?

- Tak, kilka. Mogę zrobić więcej.

- Zrób. I jeszcze kilka ujęć węzła, na jaki przywiązano kabel do belki.

Marge włożyła rękawiczki i przyglądała się uważnie zwłokom, krążąc wokół nich niczym padlinożerca. Zgodnie z przepisami nikt nie mógł dotknąć zwłok, póki koroner nie wydał zgody.

- Nie wygląda to na samobójstwo, ale na zabójstwo bez rozlewu krwi. Żadnych śladów po kuli, żadnych ran kłutych. Na rękach brak ran obronnych. Paznokcie nie są połamane. Francuski manikiur jest w idealnym stanie. - Uniosła wzrok.

- Przypadkiem zwróciłeś uwagę, czy Terry miała pomalowane paznokcie?

Decker skupił się, starając się przypomnieć sobie dłonie Terry. A potem zauważył stopy wiszącej kobiety i paznokcie pomalowane na czerwono.

- Kiedy pierwszy raz rozmawiałem z Terry, była boso. Nie przypominam sobie, żeby miała pomalowane paznokcie u nóg. - Umilkł na chwilę. - Mogła je sobie pomalować później, kiedy wyszedłem, ale raczej skłaniam się ku temu, że kazałaby sobie zrobić pedikiur w hotelowym salonie kosmetycznym.

- Zadzwoń tam i spytam - powiedziała Marge.

Uważnie przyjrzał się twarzy denatki.

- To nie ona.

- Jesteś tego pewien?

- Prawie na sto procent. - Przyjrzał się rysom twarzy, a potem pokręcił głową. - Czy znaleziono coś na terenie placu budowy? Spernę, odciski palców, odciski butów, może ślady opon? Dużo tu kurzu i piasku, więc może uda się coś znaleźć.

- Umieściłem odpadki w torbach na dowody rzeczowe - poinformował Oliver.

- Zaznaczyłeś miejsca, skąd je wzięłeś? - Gdy Oliver uniósł rękę, w której trzymał kilka małych pomarańczowych stożków opatrzonych numerami, Decker spytał: - Co zebrałeś?

- Głównie opakowania po kanapkach z baru i śmieci z furgonetek-bufetów. Ludzie z dochodzeniówki już są w drodze. I dwóch śledczych z Crypt.

- Skoro to plac budowy, dlaczego nie widać robotników? - spytał Decker.

- Czekają na inspektora, żeby zatwierdził stan gotowy zamknięty. Umówili się z nim dziś na czwartą po południu. Kierownik budowy, Chuck Tinsley, pojawił się pierwszy, żeby zrobić obchód i upewnić się, że wszystko jest jak należy. Czekał na wykonawcę i architekta, kiedy natknął się na zwłoki. Zadzwoił pod dziewięćset jednaście, a zaraz potem do wykonawcy, który jest w drodze.

- Gdzie jest Tinsley?

Marge wskazała radiowóz.

- Siedzi w środku. Mam go przyprowadzić?

Decker skinął głową, znów utkwiwszy wzrok w bujających się zwłokach. Błądził gdzieś myślami. Nie wyglądało to dobrze.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Tylne drzwi były otwarte, policjantka w mundurze stała obok nich, pilnując swojego podopiecznego i radiowozu. Gdyby Decker zmrużył oczy, dostrzegłby skuloną postać na tylnym siedzeniu, obejmującą się w taki sposób, jakby ręce były wiązaniami kaftana bezpieczeństwa. Decker podszedł do radiowozu, skinął funkcjonariuszce i wskazał otwarte drzwi. Policjantka pochyliła się i coś powiedziała do zgarbionego mężczyzny. Kiedy Tinsley wysiadł, okazało się, że jest średniego wzrostu, potężnej budowy ciała, ma długie umięśnione ręce, ciemne oczy, ostro zarysowany podbródek, na twarzy krótką szczecinę. Policjantka podprowadziła go do Deckera, który rzucił okiem na jej identyfikator.

- Dziękuję, Breckenridge. Zostawcie nas samych. - Wyciągnął rękę do kierownika budowy o twarzy szarej jak popiół. Miał brązowe oczy, orli nos i cienkie usta. Włosy opadały mu na czoło. Wyglądał na trzydzieści kilka lat. - Jestem porucznik Peter Decker.

- Chuck Tinsley. - Głęboki głos lekko mu drżał. - To jest... Trochę się zdenerwowałem.

- W taki sposób zarabiam na życie i często się denerwuję - powiedział Decker.

Tinsley roześmiał się nerwowo.

- Jeśli zobaczy pan rzygowiny, prawdopodobnie będą moje.

- Jak teraz pański żołądek? - spytał Decker.

Uniósł puszkę z zimnym napojem.

- Ktoś okazał się na tyle miły, by mi to dać. Chyba ta policjantka. Jestem trochę oszołomiony.

Decker wyciągnął notes.

- Może powie mi pan, co się wydarzyło.

- Właściwie nie ma o czym mówić. Przyszedłem wcześniej, żeby posprzątać przed pojawieniem się przedstawiciela wykonawcy. - Zagryzł usta. - I zobaczyłem zwłoki.

- Czy możemy skupić się na tym?

- Jasne.

- Kiedy pojawił się pan na placu budowy?

- Za kwadrans.

- Za kwadrans która?

- Och, za kwadrans druga. O trzynastej czterdzieści pięć.

- A o której godzinie miał się pan spotkać z wykonawcą?

- Koło wpół do czwartej, czwartej.

Decker spojrział na zegarek. Dochodziła trzecia.

- Wcześniej się pan tu pojawił.

- Chciałem posprzątać. Wie pan, jak to jest z robotnikami budowlanymi - powiedział Tinsley. - Okropnie bałaganią. Staram się ich zmuszać do tego, żeby pod koniec dnia sprząkali, ale jeśli mają za sobą ciężki dzień, macham ręką. Łatwiej samemu posprzątać, kiedy ich tu nie ma. I właśnie byłem tym zajęty. Przed przyjściem inspektora plac budowy powinien być uprzątnięty.

- Czyli dotarł tu pan o trzynastej czterdzieści pięć i... co zaczął pan robić?

- Zacząłem sprzątać. Rozumie pan, zbieranie gwoździ,

układanie na stos desek, zbieranie porozrzucanych narzędzi, wyrzucanie śmieci... A dużo tego było.

- Miał pan ze sobą worek na śmieci?

- Jasne.

- Gdzie on teraz jest?

Zmieszany Tinsley zmrużył oczy.

- Nie jestem pewien. Przypuszczalnie wypadł mi z rąk, kiedy zobaczyłem trupa.

- Jak długo był pan na placu budowy, nim zauważył pan zwłoki?

- Może pięć minut. Zobaczyłem chmarę much i pomyślałem, że jest tu psia kupa, którą należy uprzątnąć. Nie, żebym często widywał psie kupy na placu budowy, ale co na zdrowy rozum innego mogło przyciągnąć tyle much?

- A co pan zrobił potem?

- Poszukałem torebki plastikowej, przez którą mógłbym wziąć kupę. Potem wszystko jest zamazane. Może krzyknąłem, na pewno się wyrzygałem. I zadzwoniłem pod dziewięćset jedenaście ze swojej komórki.

- Zadzwonił pan również do przedstawiciela wykonawcy?

- Tak, do niego też zadzwoniłem. Powiedział mi, że chyba się spóźni, ale ma nadzieję, że dotrze przed inspektorem. Powiedziałem mu o trupie i że zadzwoniłem na policję, i że powinien odwołać inspekcję.

- Co pan zrobił po telefonie do przedstawiciela wykonawcy?

- Niezbyt pamiętam. Policja pojawiła się parę minut później. Ktoś mnie poprosił, żebym zaczekał w samochodzie,

i poinformował, że za chwilę ktoś ze mną porozmawia. Powiedziałem, że trochę mnie mdli, i ktoś mi dał puszkę napoju. To tyle.

- Czy dotykał pan zwłok? - spytał Decker. - Może chciał pan wyczuć tętno?

Tinsley zrobił się zielony na twarzy.

- Mogłem to zrobić. Nie pamiętam za dobrze.

- Czy dobrze przyjrzał się pan twarzy ofiary?

- Tylko rzuciłem okiem... Mało przypomina twarz człowieka.

- Czy rozpoznał ją pan? To znana panu osoba albo widział ją pan w tej okolicy?

- Prawdę mówiąc, nie przyglądałem jej się zbyt długo.

- Czy może pan jeszcze raz przyjrzeć się ofierze, żeby się przekonać, czy mógłby pan podać jej tożsamość?

- Chyba tak...

Decker zaprowadził go do zwłok. Ktoś z biura koronera pozwolił je odciąć. Leżały na noszach na kółkach. Twarz ofiary przykryto prześcieradłem. Człowiek z dochodzeniówki pobierał odciski palców. Decker delikatnie uniósł prześcieradło, żeby odkryć twarz. Nadal była czerwona i obrzęknięta, ale odrobinę mniej zniekształcona.

Kierownik budowy przez kilka sekund wpatrywał się w denatkę, potem odwrócił wzrok i złapał się za brzuch.

- Nie znam jej.

- Dziękuję, że spróbował pan ją rozpoznać. - Decker wrócił z nim do radiowozu.

Tinsley uśmiechnął się słabo.

- Przynajmniej tym razem nie wymiotowałem. Kiedy będę wolny?

- Prawie skończyliśmy - odparł Decker. - Chcę, żeby dokładnie opisał pan to, co mi pan powiedział, łącznie z tym, że nie rozpoznaje pan ofiary.

- Jasne. Nie ma sprawy.

Decker wręczył mu blok żółtego papieru w linię.

- Może pan pisać w radiowozie. Zabiorę puszkę z napojem, jeśli już jest pusta. Ma pan ochotę na jeszcze jedną?

- Tak, jeśli można. - Tinsley wręczył Deckerowi puszkę.

- Żaden kłopot. Może mi pan podać nazwisko wykonawcy i numer jego telefonu komórkowego?

- Nazywa się Keith Wald. Muszę zajrzeć do komórki, żeby sprawdzić numer, bo w tej chwili jestem zbyt poruszony i zapomniałem, chociaż wybierałem go tysiące razy.

- Odnajdę jego numer w pańskiej komórce. Aha, jeszcze coś. Ma pan coś przeciwko temu, żebym ją sprawdził? Chcę wiedzieć, o której dokładnie godzinie pan dzwonił.

- Jasne. - Tinsley podał mu telefon. - Może pan sprawdzić wszystkie numery, pod które dzwoniłem. Bo właśnie to chce pan zrobić, prawda?

- Jeśli nie ma pan nic przeciwko temu.

- To oczywiste, że musi pan podejrzewać wszystkich. Większość telefonów dotyczyła spraw służbowych, ale z pewnością znajdzie się też kilka do moich przyjaciół. Powiem panu, do kogo należą poszczególne numery telefonów. Zrobię wszystko, byleby tylko nie myśleć o...
tamtym.

Tinsley wskazał dom, zapewne myśląc o zwłokach, które się w nim znajdowały. Po chwili Decker dostrzegł ciemnowłosego wąsatego mężczyznę, który maszerował przez działkę. Eskortowała go Mary Breckenridge. Twarz mężczyzny pokrywały zmarszczki, bruzdy i dzioby. Miał dołek w brodzie, ciemne gęste loki, krzaczaste brwi i pałkowate nogi. Mierzył z metr siedemdziesiąt wzrostu i był pod pięćdziesiątkę.

- To wykonawca, panie poruczniku. - Tinsley krzyknął i zamachał rękami. - Cześć, Keith! Chodź tu.

- Co się stało, do diabła? - Keith Wald zaczął biec. - Co się dzieje?

- Breckenridge, odprowadźcie pana Tinsleya do radiowozu, żeby spisał zeznania.

- Tak jest. - Breckenridge lekko pchnęła Tinsleya. - Proszę tędy.

- Chwileczkę, chwileczkę - powiedział głośno Wald. - Muszę z nim porozmawiać.

- Później, najpierw porozmawia pan ze mną. - Decker się przedstawił.

- O, policja. - Wald wyciągnął rękę. - Może mi pan powiedzieć, co tu się dzieje, do diabła? Chuck wspomniał coś o jakimś wisielcu.

- Co jeszcze panu powiedział?

- Że to kobieta. Boże, to okropne. - Wald spojrzał na zegarek. - Za godzinę ma przyjechać inspektor.

- Będzie pan musiał odwołać jego przyjazd - oznajmił Decker. - Nikomu nie wolno tu przebywać, póki nie

skończymy.

- Właściciele domu się wściekną. Już mamy dwa miesiące opóźnienia. Ale to nie ja zawiniłem. Ciągłe zmieniają zdanie.

- Czy mogę prosić o nazwiska właścicieli domu? - Kiedy Wald się skrzywił, Decker powiedział: - I tak się dowiedzą. Lepiej, kiedy ta wiadomość dotrze do nich oficjalną drogą.

- Racja. Państwo Grossmanowie, Nathan i Lydia Grossmanowie. On jest lekarzem, więc na ogół kontaktuję się z nią.

- Ma pan ich numer telefonu?

- Tak... Chwileczkę. - Wald sprawdził w blackberry, wąsy mu chodziły, kiedy poruszał górną wargą. - O, tu jest.

Decker zapisał numer w notesie.

- Co może mi pan o nich powiedzieć?

- On ma z sześćdziesiątkę, ona jest sporo młodsza, ze czterdzieści lat. Mają dwóch synów, piętnastoletniego i trzynastoletniego. On ma również syna z poprzedniego małżeństwa. Boże, coś okropnego!

Zmarła kobieta nie wyglądała na nastolatkę, więc chłopcy raczej nie byli głównymi podejrzanymi. Ale i tak należało im się przyjrzeć.

- Ile lat ma syn z pierwszego małżeństwa?

- Nie mam pojęcia. - Wald zbladł. - Dlaczego pan pyta?

- Rutynowe przesłuchanie. Będę się chciał skontaktować ze wszystkimi, którzy w jakikolwiek sposób są powiązani z tym miejscem - wyjaśnił Decker. - Wie pan, jak się on nazywa? Po ojcu Grossman, ale imię?

- Nie, nie wiem.

- Spytam właścicieli domu. Czy może pan wejść do środka i przyjrzeć się ofierze? Może ją pan zna.

- Ja?

- Nie ustaliliśmy jeszcze jej tożsamości. Może mieszka gdzieś w sąsiedztwie.

- Nie mam w zwyczaju rozglądać się za kobietami. Kiedy tu jestem, pracuję.

- Byłbym wdzięczny, gdyby zechciał pan rzucić na nią okiem.

- O Boże. - Wald westchnął. - No dobrze.

- Dziękuję. - Decker zaprowadził go do środka i drugi raz w ciągu dziesięciu minut uniósł prześcieradło, żeby odkryć twarz ofiary. Nadal była nabrzmiała i fioletowa, ale można było się zorientować, że to twarz młodej kobiety. Widział teraz wyraźnie ciemnofioletową pręgę na szyi na wysokości grdyki.

Mógł już z całą pewnością stwierdzić, że nie są to zwłoki Terry McLaughlin.

Jedna sprawa mniej... A raczej więcej. Terry wciąż się nie odnalazła.

Wald zakrztusił się i zasłonił usta dłonią.

- Nigdy wcześniej jej nie widziałem. - Odwrócił się gwałtownie i odszedł.

Decker zakrył twarz denatki i go dogonił.

- Dziękuję panu za pomoc.

- Czy to naprawdę było konieczne? Będą mi się śniły koszmary.

- Zadzwoił pan do inspektora? - spytał Decker.

- Racja, już to robię. - Wybrał numer, a po chwili powiedział: - Nie mogę się do niego dodzwonić. Cholera!

- Proszę się nie przejmować - uspokoił go Decker. - Zajmiemy się tym. Potrzebuję listy wszystkich osób, które tu pracowały. Nie powinno to być zbyt trudne, bo na razie stoi tylko szkielet budynku.

- Od trzech lat mam tę samą ekipę. To z pewnością nikt z nich.

- I tak muszę mieć tę listę. - Decker wręczył Waldowi zapasowy notes bez żadnych poufnych notatek. - Proszę spisać wszystkich, którzy są związani z tą inwestycją, poczynając od właścicieli domu.

- Gdzie mogę usiąść?

Decker wezwał Breckenridge.

- Czy możecie odprowadzić pana Walda do radiowozu, żeby mógł spisać dla mnie kilka informacji? - Gdy usłyszał, że Marge go woła, szybko podszedł do niej. - O co chodzi?

- Zadzwoił Lee Wang. Zaginęła pielęgniarka pracująca w szpitalu St. Timothy, jakieś sześć przecznic stąd.

- O Boże. Jak się nazywa?

- Adrianna Blanc. Zgodnie z informacjami zawartymi w prawie jazdy ma dwadzieścia osiem lat, niebieskie oczy, brązowe włosy, metr sześćdziesiąt osiem, pięćdziesiąt siedem kilogramów.

- Mężatka?

- Panna.

- Kto zgłosił jej zaginięcie?

- Jej matka. Dziś rano poszła do mieszkania córki, żeby coś

dla niej zostawić, i nie zastała jej. Łóżko było zasłane.

- Może spędziła noc poza domem.

- Matka podzwoniła tu i tam. Jej chłopak wyjechał z dwoma kumplami w góry, a przyjaciółki Adrianny Blanc nie mogą się do niej dodzwonić. Najwidoczniej dziś rano skończyła pracę w szpitalu, ale od tamtej pory nikt nie miał z nią kontaktu. Jej samochód stoi na szpitalnym parkingu.

- Niedobrze. - Decker potarł czoło. - Gdzie jej matka?

- Nazywa się Kathy Blanc i jest na posterunku policji - odparła Marge.

- Lee jest z nią?

- Lee zadzwonił i przekazał informacje, a z Kathy Blanc jest Wanda Bontemps.

- Powiedz Wandzie, żeby ją przytrzymała. Pojadę tam i z nią porozmawiam.

- Już to zrobiłam - odparła Marge. - Korzystając z komputera w jednym z radiowozów, ściągnęłam zdjęcie z prawa jazdy, żeby sprawdzić, czy jesteśmy na dobrym tropie. - Wręczyła mu kartkę. - Trochę niewyraźne, ale niewykluczone, że to ona. Możemy tu przywieźć matkę, żeby dokonała identyfikacji, albo możemy jej pokazać kilka zdjęć zrobionych przez George'a.

Decker patrzył na zdjęcie do prawa jazdy. Młoda kobieta z długimi włosami uśmiechała się do obiektywu.

- Mamy jakieś wydrukowane zdjęcia zrobione pośmiertnie?

- Tak, zdjęcia z aparatu George'a wydrukowane z jego laptopa.

Decker przejrzał je, porównując ze zdjęciem z prawa jazdy.

Jeśli wystarczająco mocno zmrużyć oczy, widać było, że chodzi o tę samą kobietę.

- Podobne. Jedź z Oliverem do szpitala, ja pokażę matce zdjęcia pośmiertne. Przeżyje mniejszy szok, niż gdyby musiała dokonać identyfikacji zwłok. Skończyłaś przepytывanie sąsiadów?

- Dopiero zaczęliśmy. Zdążyliśmy wypytać mieszkańców z dwóch kwartałów, kiedy zadzwonił Lee.

- Ściągnij Drew Messinga i Willy'ego Brubecka, niech was tu zastąpią. Mogą pokierować ekipą mundurowych. Ty i Oliver natychmiast udajcie się razem z technikami na parking szpitalny i sprawdźcie samochód Adrianny Blanc. Zobaczymy, czy naprowadzi nas to na jakiś trop. Co to za samochód?

- Bordowa honda accord, rocznik 2002. - Podyktowała numer rejestracyjny.

- Kiedy ekipa z dochodzeniówki będzie oglądała samochód, ty idź do szpitala i sprawdź, czy uda ci się ustalić, co robiła Adrianna Blanc tuż przed zaginięciem.

- Dobrze.

- Wykonawca spisuje nazwiska i telefony wszystkich, którzy są powiązani z tą inwestycją budowlaną. Właściciele domu mają dwóch nastoletnich synów. Jeśli to Adrianna Blanc, jest raczej za stara dla takich chłopców, ale i tak musimy ustalić, gdzie spędzili ostatnią noc. Jest również starszy syn z pierwszego małżeństwa ojca.

- Ile ma lat?

- Nic o nim nie wiem. Zadzwoń do Wynony Pratt. Powiedz

jej, żeby sprawdziła wszystkich z listy.

- Czyli mamy plan działania. - Marge wzruszyła ramionami. - Przynajmniej się okazało, że ofiarą nie jest Terry McLaughlin.

Decker westchnął.

- Jedyna różnica polega na tym, że komuś innemu będę musiał przekazać złą wiadomość.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Absolutnie najgorszym obowiązkiem policyjnym jest przekazywanie złych wiadomości. To po prostu okropne. Dłonie Kathy Blanc drżały, kiedy Decker wręczył jej pierwsze zdjęcie. Spojrzała na nie i wybiegła z gabinetu. Za drzwiami stała Wanda Bontemps i pokazała jej, gdzie jest damska toaleta. Decker siedział za biurkiem, twarz ukrył w dłoniach i zastanawiał się, jak długo jeszcze będzie mógł żyć w takim stresie. Jakby tego było mało, pod dachem jego domu przebywał czternastoletni chłopak, którego rodzice zaginęli.

Czasami nie warto wstawać rano z łóżka.

Pięć minut później Wanda Bontemps wprowadziła Kathy Blanc do gabinetu Deckera i posadziła ją naprzeciwko jego biurka. Twarz Kathy miała kolor jasnożółty, a łzy, które spływały po policzkach, zostawiały czarne smugi. Czerwona szminka rozmazała się na ustach, ciałem wstrząsały dreszcze. Objęła się ramionami, na próżno próbując je powstrzymać. Starannie uczesane jasne włosy okalały pociągłą arystokratyczną twarz z rozmazanym makijażem. Kathy Blanc miała perełki w uszach i czarne dzianinowe spodnie oraz czerwoną dzianinową górę. Na nogach czarne czółenka.

Wanda Bontemps stała na progu, spoglądając ponuro ciemnymi oczami.

- Może przyniosę trochę wody i mokry ręcznik?

Decker skinął głową i spojrzał w błagalne oczy Kathy Blanc.

- Bardzo mi przykro, pani Blanc. Czy chciałaby pani, żebyśmy do kogoś zadzwonili?

- Do... mojego... mę...ża. - Otworzyła torebkę, ale Decker był szybszy. Wręczył jej chusteczkę jednorazową. - Dziękuję.

- Czy ma pani jego numer?

- Kierunkowy 213-827...

Podał jej kolejną chusteczkę. Kathy Blanc jakoś udało się wydukać następne cztery cyfry. Kiedy wróciła Wanda, Decker dał jej kartkę z numerem i poprosił, żeby zadzwoniła. Potem podał Kathy wodę i biały wilgotny ręcznik.

- Czy chce pani, żebym skontaktowałem się jeszcze z kimś? - spytał Decker.

- Nie jestem w stanie myśleć.

- Rozumiem, pani Blanc - powiedział ciepło. - Chcę, aby pani wiedziała, że dołożymy wszelkich starań, by ustalić, co się wydarzyło. Sprawą zajmuje się wiele osób. Czy może pani odpowiedzieć na kilka pytań?

- Nie... - Z oczu znów popłynęły łzy, jednak Kathy Blanc potakująco skinęła głową.

- Czy Adrianna miała z kimś jakieś kłopoty?

Zaprzeczyła ruchem głowy.

- A jak układało jej się z chłopakiem? Powiedziała pani, że córka miała chłopaka.

- Nazywa się Garth Hammerling.

- Czy przeżywali jakieś kłopoty?

- Nic mi o tym nie wiadomo.

- Nie chciałbym być wścibski, pani Blanc, ale czy na tyle blisko związana była pani z córką, by Adrianna zwierzała się pani ze swoich spraw osobistych?

Kathy otarła oczy ręcznikiem. Kiedy zobaczyła na nim ślady tuszu, szepnęła:

- O Boże... - Zebrała się w sobie i powiedziała: - Adrianna nie należała do osób, które narzekają. - Energicznie wytarła twarz, żeby usunąć rozmazany makijaż. - Ale gdyby działo się coś złego, chybaby mi powiedziała.

- Jaka jest pani opinia o jej chłopaku?

- Garth wydawał się w porządku. - Znow wytarła twarz. - Nie sędzę, żeby Adrianna traktowała tę znajomość zbyt poważnie.

- Gdzie go poznała?

- Pracują w tym samym szpitalu. - Uniosła wzrok. - Dlaczego tak dociekliwie pyta pan o Gartha? - Jej oczy znów zwilgotniały. - Czy została... zgwałcona?

- Nie wiem...

- Nie czuję się dobrze. - Wstała. - Muszę skorzystać z łazienki.

- Detektyw Bontemps zaprowadzi panią.

- Sama trafię. - Odwróciła się i wymaszerowała.

Bontemps weszła do gabinetu.

- Garth Hammerling był chłopakiem Adrianny. - Decker napisał jego imię i nazwisko na kartce i dał ją Wandzie. - Sprawdź go... Chociaż zdaje mi się, że Marge wspomniała o tym, że wyjechał z miasta. Skontaktowałaś się z mężem pani Blanc?

- Tak. Nie powiedziałam mu, co się stało, ale domyślił się, że dotyczy to Adrianny, bo Kathy dzwoniła do niego kilka razy.

- Gdzie pracuje?

- W kancelarii prawniczej Rosehoff, Allens, Blanc i Bellows. Mack Blanc jest starszym wspólnikiem. Już tu jedzie z centrum Los Angeles.

- Należało posłać po niego samochód. Nie powinien sam prowadzić.

- Nie zdążyłam mu wiele powiedzieć. Rozłączył się, jak tylko się dowiedział, że jego żona jest u nas.

- Daj mi jego numer. Może uda mi się z nim połączyć. Ty idź do łazienki i upewnij się, że z panią Blanc wszystko w porządku. Wiem, że nie jest z nią w porządku, ale upewnij się, czy nie potrzebuje pomocy lekarskiej. Jeśli tak, wezwij karetkę pogotowia. Mogą ją zabrać do każdego szpitala, byle nie do St. Timothy.

- Matka zidentyfikowała ofiarę na podstawie zdjęć - poinformował Decker Marge przez telefon. - To oznacza, że samochód stanowi część miejsca zbrodni. Czy dotarli już technicy kryminalistyki?

- Powinni tu być lada moment. Też tu przyjedziesz?

- Czekam na spotkanie z ojcem Adrianny, więc zjawię się później. Czy rozmawiałaś z kimś ze szpitala o Adriannie?

- Oliver stara się ustalić, kiedy co się wydarzyło. Wygląda na to, że pracowała do końca zmiany, czyli opuściła budynek koło ósmej rano. Nie wiadomo, co było potem. Znaleźliśmy pielęgniarkę, Mandy Kowalski, która zna Adriannę od

sześciu lat. Za pół godziny będzie miała przerwę, zgodziła się z nami spotkać. Szukamy odpowiedniego miejsca na rozmowę. Chyba zwycięży bufet.

- Z kim jeszcze rozmawialiście w szpitalu?

- Z różnymi osobami. Ludzie są w pracy i niechętnie z nami rozmawiają.

- Personel szpitala nie okazuje chęci do pomocy?

- Pracownicy administracji są w porządku. Przekonamy się, co się stanie, kiedy dowiedzą się, że chodzi o morderstwo. Oliver ustala listę nazwisk ochroniarzy na służbie. Zawsze dwóch ochroniarzy pilnuje parkingu.

- A co z kamerami monitoringu?

- Staramy się uzyskać nagrania z kamer zainstalowanych we wszystkich wejściach i wyjściach. Nie wiem, czy są kamery na parkingach, ale dowiem się.

- Czy w przeszłości szpital miał problemy z przestępstwami?

- Nie wiem. Zostało nam jeszcze wiele do ustalenia. Jak tylko czegoś się dowiemy, poinformuję cię.

- Dobrze.

- Razem chodziłyśmy do szkoły pielęgniarzkiej.

Mandy Kowalski wpatrywała się w kubek kiepskiej kawy stojący na stole. Oliver wiedział, że jest kiepska, bo pił taką samą.

Fajna laska, pomyślał. W niebieskim fartuchu, o drobnej twarzy, jasnorudych włosach, brązowych oczach, wyglądała bardzo urokliwie. Jakiś czas temu umówiłby się z nią mimo czterdziestoletniej różnicy wieku. Ale złe wybory, których

dokonywał przez całe życie, w końcu uzmysłowiły mu, że czasami lepiej pozostać służbistą. Obecnie spotykał się z nauczycielką gimnazjum, Carmen, która była dla niego o wiele za dobra. Dzięki łasce Boga potrafiła rozprawić się z jego nerwicami i kręctwami śmiechem i porozumiewawczym spojrzeniem.

- Jesteście pewni, że zaginęła? - Mandy siedziała ze spuszczonego wzrokiem. - Czasami ludzie wyjeżdżają, nic nikomu nie mówiąc.

Marge i Oliver wymienili spojrzenia.

- Mandy - powiedziała Marge. - Otrzymaliśmy najświeższe informacje i niestety nie mamy dobrych wieści. Okazało się, że Adriannę zamordowano.

- O Boże! - Mandy aż odjęło mowę. Drżącą ręką przewróciła kubek z kawą. Zasłoniła usta dłonią. - O nie! O mój Boże! To straszne! O nie! - Uniosła wzrok, z oczu trysnęły jej łzy. - To nie może być prawda!

- Zidentyfikowała ją matka - poinformowała Marge.

- Och, biedna kobieta. Biedna Adrianna. - Ukryła twarz w dłoniach. - Przepraszam. Nie mogę...

- W porządku - powiedziała jej Marge. - Mamy czas.

Oliver wstał.

- Przyniosę pani szklanek wody.

Marge starała się odwrócić jej uwagę.

- Zauważyłam, że nosi pani strój instrumentariuszki.

- Asystuję przy operacjach odcinka piersiowego. - Wytarła oczy serwetką. - Klatki piersiowej.

- Czy Adrianna też?

Na dźwięk imienia przyjaciółki Mandy znów zalała się łzami.

- Nie, pracuje na oddziale intensywnej opieki nad noworodkami. Jest... Była pielęgniarką dziecięcą. Niezrównana w tym fachu. Nazywałyśmy ją zaklinaczką niemowląt. Ale przepadały za nią także starsze dzieci.

- Rozumiem. - Marge wyjęła notes. - I znała pani Adrianę od sześciu lat?

- Tak, mniej więcej od sześciu.

Wrócił Oliver z wodą i nowym opakowaniem chusteczek.

Mandy podziękowała mu, a potem powiedziała:

- Właśnie mówiłam pani partnerce, że znałam Adrianę od sześciu lat. Razem chodziłyśmy do szkoły pielęgniarskiej.

- Gdzie? - spytał Oliver. - W Kalifornijskim Uniwersytecie Stanowym w Northridge?

- Nie - powiedziała Mandy. - Chodziłyśmy do szkoły zawodowej Howard. Początkowo Adrianna zamierzała zostać pomocą pielęgniarską, ale oświadczyłam jej, że jest na tyle inteligentna, że może zostać samodzielną pielęgniarką. Nie będę kłamać, to o wiele trudniejsze, ale przekonałam ją, że warto spróbować.

- Och, to bardzo ładnie z pani strony - powiedziała Marge.

- Częściowo kierowałam się pobudkami egoistycznymi - przyznała się Mandy. - Spotkałyśmy się pierwszego dnia zajęć i od razu przypadłyśmy sobie do gustu. Uznałam, że będzie mi łatwiej, jak będę miała przyjaciółkę. Trochę jej pomagałam, kiedy miała trudności, ale samodzielnie przystąpiła do sprawdzianów i dobrze na nich wypadła.

- Odnoszę wrażenie, że dobra była z pani przyjaciółka - stwierdził Oliver.

- W owym czasie bardzo się przyjaźniłyśmy.

- Później już nie? - spytała Marge.

- Wie pani, jak to jest... - Mandy patrzyła to tu, to tam. - Wszystko się zmienia.

- Na przykład co? - spytał Oliver.

- Oddaliśmy się od siebie - powiedziała Mandy. - Przestałyśmy się spotykać poza pracą.

- Co się stało?

- Właściwie nic... Chodziło o styl życia. Adrianna ma... - Mandy oblizwała usta. - Adrianna ma znacznie więcej energii ode mnie. Lubi się dobrze zabawić.

- Lubi imprezy? - spytała Marge.

- Nie chcę, żeby pomyśleli państwo, że była łatwa - zastrzegła się Mandy. - Lubiła się bawić. Ja też lubię, ale potrzebuję więcej godzin snu od niej.

- Czy brała narkotyki? - spytała Marge.

Mandy się zawahała.

- Przypuszczam, że brała je dla odprężenia.

- Czy kiedykolwiek przeszkodziło jej to w wykonywaniu obowiązków służbowych?

- Nigdy! - oświadczyła z mocą Mandy. - Była cudowna z niemowlakami.

- Co pani wie o jej chłopaku? - Marge zajrzała do swoich notatek. - Garth Hammerling. Co pani o nim wie?

- Pracuje w naszym szpitalu. Jest technikiem radiologii.

- Jak dobrze go pani zna? - spytał Oliver.

- Niezbyt dobrze - odparła Mandy.

Ale nie patrzyła mu w oczy.

- Wie pani, gdzie on mieszka? - spytała Marge.

Mandy odwróciła wzrok.

- Dlaczego miałabym to wiedzieć?

- Może była pani na imprezie, którą zorganizował u siebie?

- Nie przypominam sobie. - Mandy patrzyła na swoje dłonie. - Pewnie mogłabym zdobyć jego adres, ale równie łatwo państwo mogą go zdobyć bez mojej pomocy.

- Nie ma sprawy - powiedział Oliver. - Ciekaw byłem, czy zna pani na pamięć jego adres, bo musimy porozmawiać z Garthem. - Ponieważ Mandy milczała, dodał: - Wie pani, że musimy zadawać pytania natury osobistej.

- Więc jeśli zadam pani pytanie natury osobistej - przemówiła Marge - nie powinna się pani czuć urażona.

- Bo wszystkim zadajemy takie pytania - dodał Oliver. - Na przykład mógłbym zapytać, czy coś panią łączy z Garthem.

- Nie! - Mandy wytarła oczy. - Dlaczego tak sobie pan pomyślał?

- To tylko pytanie - uspokoiła ją Marge.

- Bo jeśli coś panią łączy z Garthem - powiedział Oliver - w końcu i tak się o tym dowiemy.

- Więc teraz jest najlepsza pora, żeby się do tego przyznać - dodała Marge. - Jeśli coś pani przed nami ukryje, nie będzie to dobrze wyglądało.

- Nic nas nie łączyło... - Znów jej oczy zwilgotniały. - No, przystawiał się do mnie.

- Widzi pani, jakie to łatwe - powiedziała Marge. - Co

może nam pani o tym powiedzieć?

- Do niczego nie doszło. Nie byłam zainteresowana. - Pokręciła głową. - To było na jednej z imprez u Adrianny. Organizowała je niemal w co drugi weekend. Dopadł mnie w kuchni i próbował obłapywać. Boże, jakie to było żenujące. Był pijany. Ona też. - Otarła oczy. - Trudno mi mówić o niej niepochlebnie, szczególnie teraz, kiedy... Kiedyś byliśmy prawdziwymi przyjaciółkami. Garth nie jest złym facetem. Po prostu taki podrywacz. Wszyscy o tym wiedzą.

- Adrianna też?

- Owszem, choć może podświadomie. - Wstała. - Muszę wracać do pracy. Jeśli znów będą chcieli państwo ze mną porozmawiać, to proszę nie tutaj. Mieszkam w Canoga Park. Mój adres jest w książce.

- Dziękuję, Mandy - powiedziała Marge. - Bardzo nam pani pomogła.

- Nie ma sprawy. Tylko znajdźcie tego drania, który ją skrzywdził. Adrianna mogła mieć kłopoty, ale kto ich nie ma?

- To prawda - przyznała Marge, patrząc za oddalającą się pielęgniarzką. A po chwili spytała: - Co sądzisz?

- Bardzo uczuciowa dziewczyna jak na kogoś, kto oddalił się od ofiary. - Oliver wzruszył ramionami. - Co z Garthem?

- Jego automatyczna sekretarka informuje... - Marge zajrzała do swoich notatek - że Garth, Aaron i Greg wybrali się na spływ i wrócą za tydzień. Jeśli wyjechał parę dni temu, to zapewnił sobie alibi.

- Niektórzy mają doskonałe wyczucie czasu.

- Wiesz, co myślę? - powiedziała Marge. - Doskonałe

wyczucie czasu zawsze jest podejrzane.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Decker odnosił wrażenie, że Kathy Blanc wstydzi się języka, jakiego używa jej mąż Mack, ale jest zbyt otępiała, żeby zwrócić mu uwagę.

Choćby taki fragment rozmowy:

- Co, kurwa, się stało?

- Właśnie próbujemy to ustalić, panie Blanc. Bardzo mi przykro.

- Nie potrzebuję pańskich pierdolonych przeprosin! Żądam konkretnych odpowiedzi, do kurwy nędzy!

I tak w kółko. Przebywali we trójkę w gabinecie Deckera. Kathy siedziała w milczeniu, natomiast jej mąż chodził tam i z powrotem i przeklinał.

W końcu Mack spróbował innej taktyki:

- Cóż, skoro nie wiecie, co się, kurwa, stało, to co wy w ogóle wiecie, do kurwy nędzy?

Decker wskazał mu krzesło. Mack usiadł z ociąganiem. Jak tylko przestał mówić, do oczu napłynęły mu łzy. Decker bez słowa wręczył mu chusteczkę.

- Jej samochód nadal jest na szpitalnym parkingu. W tej chwili prowadzimy oględziny wozu.

- Czy... - Kathy zdusiła szloch. - Czy to się stało w samochodzie?

- Nie wiem, pani Blanc. A nie chciałbym pani wprowadzić w błąd.

Gdy Mack ujął jej dłoń, rozszlochana Kathy wsparła głowę na jego piersi. On zaś, kompletnie pogubiony, nie potrafił znaleźć żadnych słów pocieszenia.

- Przesłuchujemy również personel szpitala - powiedział Decker - żeby się zorientować, kiedy się to wydarzyło. Pańska żona okazała się na tyle dobra, że dała nam numer komórki Adrianny. Ustaliliśmy, że pod koniec pracy przeprowadziła parę rozmów telefonicznych.

- Zadzwoń do Seli Graydon - wyjaśniła Kathy mężowi.

- Sela i Adrianna znają się od gimnazjum - powiedział Mack. - A ten drugi numer do kogo należy?

- Kiedy zadzwoniliśmy, nikt nie odebrał. Skrzynka jest pełna, więc nie wiemy, do kogo należy ten numer. Możemy ustalić, kto jest jego właścicielem i jak długo trwała rozmowa, ale będzie to wymagało odrobiny zachodu. No i nie ma gwarancji, że właściciel tego numeru odebrał telefon.

- Tego numeru nie znam - powiedziała Kathy do męża.

- Może to telefon Gartha? - spytał Mack.

- Nie, to nie jego numer.

- Nie mam do niego zaufania - powiedział Mack. - Jest zbyt pewny siebie. Jeden Bóg wie czemu.

- Jest przystojny - powiedziała Kathy.

- Jak możesz mówić coś takiego? - oburzył się Mack. - Ma ze dwadzieścia kolczyków w uszach i tę zwariowaną bródkę poniżej dolnej wargi. A włosy... Wygląda, jakby wsadził palec do kontaktu.

- Taka moda, Mack. Wszystkie gwiazdy rocka mają takie fryzury.

- Nie jest szczególnie bystry. Ciągłe jeździ do Las Vegas, ale nigdy nie zabrał ze sobą Adrianny. Jeden Bóg wie, skąd bierze pieniądze na te wszystkie eskapady.

Decker, który zauważył rumieńce na policzkach Kathy, spytał:

- Co pani wie na ten temat, pani Blanc?

- Słucham? - Uniosła wzrok.

- Czy Adrianna kiedykolwiek pożyczała pieniądze Garthowi?

- Co? - Mack utkwił wzrok w żonie. - Dawała pieniądze temu nieudacznikowi?

- Nie dawała mu, tylko pożyczała.

- Nie wierzę... - Zerwał się z krzesła i znów zaczął chodzić tam i z powrotem. - Dlaczego?!

Kathy zalała się łzami.

- Nie wiem dlaczego, Mack. Wiem jedynie, że mu pożyczała!

- Czy łatwo ją było naciągnąć na pożyczkę? - spytał Decker.

Mack tylko coś mruknął pod nosem, nie przestając krążyć po pokoju.

- Miała miękkie serce - wyjaśniła Kathy. - Dlatego została pielęgniarką.

- Staram się tylko zorientować, jaka była - tłumaczył Decker - więc proszę nie czuć urazy z powodu moich pytań. Wiedzą państwo, czy Adrianna brała narkotyki albo nadużywała alkoholu?

- Nie wiem tego - powiedziała Kathy.

- Naturalnie, że wiemy - odparł Mack. - Kiedy chodziła do szkoły średniej, znaleźliśmy trawkę w jej toalecie. I to dwa razy!

- Powiedziała, że przestała palić trawkę.

- Powiedziała też, że trawka nie należy do niej. - Zwrócił się do Deckera. - Tak, prawdopodobnie paliła trawkę i prawdopodobnie nadużywała alkoholu.

Kathy otarła oczy.

- Nie była narkomanką, Mack.

- Nie powiedziałem, że była.

- Nie wygląda na to, żeby się uzależniła - wtrącił Decker. - Miała odpowiedzialną pracę i z tego, co słyszałem, bardzo dobrze wywiązywała się ze swoich obowiązków.

- Pracowała na oddziale intensywnej opieki noworodków. Opiekowała się chorymi wcześniakami. - Kathy zaszlochała. - Wszystkie ją kochały.

- Dobry Boże. - Oczy Macka zwilgotniały. - Co się, kurwa, stało?

No i wszystko od początku, pomyślał Decker, po czym spytał:

- Co jeszcze mogą mi państwo powiedzieć o Garcie Hammerlingu?

- Widziałem go kilka razy. Nie ufałem mu. - Mack zatrzymał się. - Jeśli mam być szczery, nie zawsze też ufałem Adriannie. Nie znała się na ludziach.

- Dobry był z niej dzieciak - powiedziała Kathy. - Ale czasami trochę...

- Była szalona. I rozpuszczona. Jej starsza siostra sprawiła,

że przestaliśmy być czujni. Nigdy nie dawała nam najmniejszych powodów do zmartwień.

- Bea była zupełnie innym dzieckiem. Nie ma sensu ich porównywać.

- Ale i tak to robimy - rzucił gniewnie Mack. - Niejeden raz o czwartej nad ranem wydzwanialiśmy do przyjaciółek Adrianny, bo jej komórka była rozładowana i nie wiedzieliśmy, gdzie jest nasza córka. Kiedy postanowiła zostać pielęgniarką, nie kryłem swego sceptycyzmu. Ale... - Załamał mu się głos. - Udowodniła mi, że się myliłem. - Powstrzymał łzy. - Nie tylko skończyła szkołę, ale wykonywała odpowiedzialną pracę. Jej koleżanki ze szpitala ją uwielbiały.

- Poznał je pan? - spytał Decker.

- Dwa lata temu urządziła przyjęcie bożonarodzeniowe w swoim mieszkaniu - powiedziała Kathy. - Nas też zaprosiła.

- Wydaje mi się, że właśnie wtedy poznaliśmy Gartha - wtrącił Mack.

- Pamiętacie państwo jakichś innych jej kolegów i koleżanki ze szpitala?

- Ma przyjaciółkę, Mandy Kowalski - powiedziała Deckerowi Kathy. - Razem chodziły do szkoły pielęgniarskiej. To chyba Mandy poznała Adriannę z Garthem.

- Mandy poznała ją z Garthem? - powtórzył Decker.

- Chyba tak było. - Kathy zmrużyła oczy, starając się sobie przypomnieć. - Znała kogoś, kto znał Gartha... Coś w tym rodzaju.

- Pamiętacie państwo, jak się nazywał ten ktoś?
 - Nie. - Mack machnął ręką. - Nie wtrącaliśmy się w sprawę Adrianny.
 - Nazywał się Aaron Otis - powiedziała Kathy.
 - Pamiętasz to?
 - Tak.
- Mack pokręcił głową.
- Zapisuje sobie w głowie nazwiska wszystkich ludzi, z którymi się zetknęła lub o których coś usłyszała.
 - Bardzo dobrze - ucieszył się Decker. - Aaron Otis. Czy poznała go pani?
 - Musiałam go raz widzieć, bo pamiętam, że jest wysoki i ma jasne włosy... Chyba że coś mi się pomyliło. - Spuściła wzrok. - To bardzo możliwe.
 - To cenna informacja - zapewnił ją Decker. - A inni przyjaciele i znajomi Adrianny?
 - Może pan zacząć od Seli Graydon i Crystal Larabee. We trzy były nierozłączne.
 - Czy któraś z nich została pielęgniarką?
 - Boże broń - powiedział Mack. - Zdaje się, że Crystal chciała zostać aktorką. Ale to nierealne, kiedy się ma dwadzieścia dziewięć lat. Kim jest? Barmanką?
 - Główną hostessą w Garage'u.
 - Tak. I czeka, aż ją ktoś odkryje.
 - Nie bądź złośliwy, Mack. - Kathy przyjrzała się Deckerowi. - Garage to najnowsza restauracja Helmeta Grassa. Jest w centrum... Niedaleko New Otani.
 - Rozumiem. A czym się zajmuje Sela Graydon?

- Jest prawnikiem - poinformował Mack. - Była najinteligentniejsza z nich trzech.

- Czy obie mieszkają w mieście?

- Tak - powiedziała Kathy. - Dam panu ich numery.

- Czy wiedzą państwo coś o Mandy Kowalski?

- Tylko tyle, że Adrianna poznała ją w szkole pielęgniarstwa - powiedział Mack. - Sprawia wrażenie dość sympatycznej.

- Pomagała się uczyć Adriannie, szczególnie podczas egzaminów końcowych. Za pierwszym razem Adrianna spanikowała. Nie mogłam jej pomóc. Nie mam bladego pojęcia o układzie nerwowym czy krążenia, ale po wspólnej nauce z Mandy Adrianna nie tylko zdała egzaminy, ale nawet uzyskała dobre wyniki. Z niektórych przedmiotów dostała najwyższe noty. - Łzy popłynęły po policzkach Kathy. - Była taka... Dumna!

Decker dał jej jeszcze jedną chusteczkę i patrzył, jak nieszczęsna matka szlocha. Na całym świecie nie ma tamy zdolnej powstrzymać ten potok łez.

- Nie ma tu specjalnie po co przyjeżdżać. - Marge stała na szpitalnym parkingu, bo tam był lepszy zasięg. - Dokonano oględzin samochodu, właściwie skończyliśmy przesłuchiwać personel. Rozmawialiśmy z jej kolegami i koleżankami z pracy. Przesłuchaliśmy również Mandy Kowalski. Ona i Adrianna chodziły razem do szkoły pielęgniarstwa, ale nie pracują na tym samym piętrze.

- Tak, mama Adrianny wymieniła Mandy podczas rozmowy - odparł Decker. - Sądzi, że Mandy mogła poznać Adriannę

z Garthem.

- Hm... Mandy nie wspomniała o tym. Ale przyznała się, że Garth ją podrywał.

- No dobrze... Namierzyliście kogoś?

- Bardzo możliwe - powiedziała Marge. - Spróbuję uporządkować notatki dotyczące znajomych Adrianny, może coś ciekawego wyjdzie na jaw. Jutro rano umówiliśmy się na przesłuchanie pielęgniarki, która była jej bezpośrednią przełożoną. Adrianna cieszyła się powszechną sympatią, sumiennie wykonywała swoje obowiązki, ale kilka osób napomknęło, że lubiła imprezować.

- To pokrywa się z tym, co mi powiedzieli jej rodzice.

- Powiedzieli ci, że lubiła imprezować?

- Tak, jej ojciec. Opisał ją jako imprezowniczkę i nie było to pochlebstwo.

- Dziwne, że tak się wyraził, uwzględniając okoliczności.

- Mam wrażenie, że od dawna miał do niej pretensje.

- Ale przecież ona nie żyje. W takiej sytuacji choćby napomknięcie o dezaprobachie czy niechęci... Dziwne.

- W takich chwilach ludzie radzą sobie na różne sposoby. Może uznał, że jeśli potrafi się na nią wściekać, to wcale nie umarła... Tak czy owak, mają jeszcze jedną córkę, Beatrice Blanc. Trzeba będzie ją osobno przesłuchać.

- Ja to zrobię.

- Poza siostrą są również dwie najlepsze przyjaciółki Adrianny ze szkoły średniej, Sela Graydon i Crystal Larabee.

- Przeliterowałam nazwiska i podałam Marge numery telefonów. - No i musimy ustalić, jak się nazywa najstarszy syn

właściciela domu.

- Już załatwione. Trent Grossman. Ma dwadzieścia sześć lat. Mieszka w Bostonie razem z żoną, wczoraj wieczorem byli na przyjęciu. Czyli można go wykreślić. Dwaj młodszy Grossmanowie byli wczoraj wieczorem w domu, jeśli wierzyć rodzicom. Wysyłali mejle, SMS-y, zalogowali się do Facebooka. Trzeba to sprawdzić. Jeśli chcesz, mogę się tym zająć.

- Ile mają lat? Piętnaście i trzynaście?

- Tak.

- Na razie umieść ich na samym końcu listy. Wróćmy do rówieśniczek Adrianny, do Crystal i Seli. Umów się z nimi na rozmowy, ponieważ... - zajrzał do notatek - Adrianna zadzwoniła do Seli Graydon dziś rano, zaraz po zakończeniu pracy. Dowiedz się, o czym rozmawiały. Adrianna zadzwoniła pod jeszcze jeden numer, ale nie wiemy, do kogo należy. Próbowałem kilka razy, ale skrzynka jest pełna. To komórka, więc na nic nam się nie przydadzą książki telefoniczne. Może będzie nam potrzebny nakaz, żeby się dowiedzieć, do kogo należy numer. Zorientuj się, czy to numer do jednej z jej koleżanek.

- Dobrze. Rozmowy z sąsiadami coś dały? - spytała Marge.

- Do tej pory nie mam na ten temat żadnych wiadomości. Może spotkamy się wieczorem i porównamy notatki?

- Czemu nie. Porozmawiamy później.

Marge się rozłączyła i zaczęła wybierać numer Seli Graydon, kiedy jedna z techników kryminalistyki ruszyła w jej stronę. Sięgała Marge do pasa. Może trochę wyżej, ale

z całą pewnością mierzyła niewiele więcej niż metr pięćdziesiąt. Była młodą Azjatką o delikatnej urodzie, tylko miała głos palacza. Nazywała się Rebel Hung.

- Prawie skończyliśmy. - Rebel zdjęła lateksowe rękawiczki. - Wezwałam lawetę. Odholujemy samochód do laboratorium i szczegółowo go zbadamy.

- Nie wygląda na to, żeby był sceną przestępstwa - zauważyła Marge.

- Zgadzam się - powiedziała Rebel. - Nie wiadomo, czy w ogóle dotarła do swojego samochodu.

- Odciski palców?

- Mamy kilka niepełnych. I masę fragmentarycznych. Może coś znajdziemy.

- Miejmy nadzieję.

- A co, jeśli chodzi o miejsce przestępstwa? - spytała Rebel. - Tam, gdzie ją znaleźliście?

- Tam tylko znaleźliśmy zwłoki, ale wcale nie jesteśmy pewni, czy to miejsce zabójstwa. Jeśli tam odebrano jej życie, nie widać, żeby się broniła. Ludzie z biura koronera nie znaleźli ran postrzałowych ani kłutych. Ale mogła zostać otruta albo uśpiona, nim ją powieszono. Przeprowadzimy analizę toksykologiczną.

- Została zgwałcona?

- Nic na to nie wskazuje, ale będziemy wiedzieli więcej po sekcji zwłok.

Rebel zasznurowała usta.

- Powieszenie to osobliwy sposób odebrania komuś życia.

- Tak, ktoś ją powiesił dla uzyskania większego efektu.

- I udało mu się. Można by wysnuć przypuszczenie, że to robota seryjnego mordercy.

- Zgadza się, nie wykluczyliśmy takiej ewentualności.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Kiedy uczniowie pierwszych klas ustawiali krzesła, Hannah zaprowadziła Gabe'a do kierowniczkich chóru. Pani Kent była energiczną, korpulentną kobietą z krótko obciętymi czarnymi włosami. Jej okulary wisiały na łańcuszku.

- To jest Gabe - przedstawiła go Hannah. - Gra na fortepianie.

Pani Kent wsadziła okulary na nos i zmierzyła chłopaka wzrokiem od stóp do głów.

- W której jesteś klasie?

- W drugiej. Jestem tu tylko przejazdem.

- Przejazdem? - Pani Kent pozwoliła, żeby okulary opadły jej na piersi. - Na jak długo?

- Nie wiadomo - wtrąciła się Hannah. - Może na dzień lub dwa. Pomyślałam sobie, że gdyby zamiast pani zagrał *My Heart Will Go On*, pani będzie się mogła skupić na śpiewie. Chociaż na moje ucho jeszcze dużo nam brakuje, żebyśmy zaśpiewali czysto.

- To bardzo cyniczne stwierdzenie w ustach przewodniczącej chóru. - Utkwiła spojrzenie w nowym akompaniatorze. - Znasz tę piosenkę?

- Mogę spróbować. Jest w tonacji E, prawda?

- Tak. Potrafisz czytać nuty?

- Nawet wolę grać z nut.

- Są na pianinie - poinformowała go pani Kent. - Decker,

pomóż porozstawiać krzesła.

Gabe zobaczył w kącie pokoju instrument firmy Gulbransen stojący przodem do sceny. Wprawdzie wiele mu brakowało do niemieckiego Steinwaya, ale dało się na nim grać. Poprawił okulary na nosie i dotknął klawiszy z kości słoniowej od środkowego C dwie oktawy w górę, grając tylko palcami prawej dłoni. Lewą dłonią zagrał od środkowego C dwie oktawy niżej. Potem naciskał przypadkowe klawisze. Dźwięk był taki, jakiego można się było spodziewać po instrumencie tej klasy. Owszem, był jako tako nastrojony, ale nie wszystkie dźwięki brzmiały idealnie. Przeszkadzało mu to. Jeśli chodzi o muzykę, przeszkadzało mu wszystko, co nie było idealne, ale nauczył się z tym żyć. Rzadko chodził na koncerty muzyki rockowej, chyba że na thrash metal, gdzie dźwięki i tak były zniekształcone, więc nikt się nie przejmował tonacją. Najgorsi byli wykonawcy muzyki pop. Chociaż stworzono system Pro Tools, bardzo niewielu piosenkarzom udawało się nie fałszować.

Spojrzał na zapis nutowy. Brakowało mu skali. Niewątpliwie chór zarżnie utwór, tak jak przewidywała Hannah. Polubił ją. Była sympatyczna, ale powściągliwa. Podczas rozmowy nie poruszała tematów osobistych. Nie brakowało jej pewności siebie, ale nie była arogancka.

Chór liczył dwudziestu trzech członków. Stali na podwyższeniach. Gdy tylko nauczycielka zaczęła do nich mówić, Gabe się wyłączył. Pięć minut później zorientował się, że pani Kent mówi do niego.

- Słucham?

Pani Kent głośno westchnęła.

- Spytałam, czy czujesz się na siłach zagrać ten utwór.

- Jasne.

- Jasne?

- Tak, jasne. - Gabe uśmiechnął się. - To nie Rachmaninow.

Pani Kent przyjrzała mu się uważnie.

- Musisz być spokrewniony z Hannah. Macie identyczne poczucie humoru.

Gabe jeszcze raz się uśmiechnął, ale nic nie powiedział.

- Zaczynamy, jak tylko będziesz gotowy.

- Jestem gotowy.

- To zaczynaj.

Gabe zdusił śmiech. Kiedy zaczął grać wstęp, zobaczył, że nauczycielka zrobiła wielkie oczy. To głupie, że była tak zaskoczona. Dlaczego miałby powiedzieć, że umie grać, gdyby nie umiał? Nie można udawać, że się coś potrafi, a już jeśli chodzi o muzykę...

Jak słusznie przewidziała Hannah, chór śpiewał fatalnie; szczególnie sopranu mocno fałszowały. Gabe'a aż rozboleły uszy. W połowie utworu przestał grać. Nauczycielka kazała chórzystom przerwać i spytała, co jest nie tak.

- Nie chcę być zarozumiała, ale to trochę za wysoko jak na ich głosy. Może obniżę tonację do Es-dur? A może o cały ton, do D? Nie lubię zmieniać melodii zapisanej z krzyżykiem w melodie z bemolem. Ale to moja fanaberia.

Pani Kent gapiała się na niego.

- Możesz to zrobić? - Nie czekając, dodała: - Wiem, to nie

Rachmaninow. No dobrze, zagraj pierwszą nutę.

Gabe zagrał D i znów wykonali cały utwór. Nadal brzmiał fatalnie, ale przynajmniej soprany tak się nie wysilały. Kiedy pani Kent zarządziła pięciominutową przerwę, Hannah podeszła do Gabe'a.

- To potrwa jeszcze z godzinę. Przepraszam, że tak długo.

- I tak nigdzie się nie wybieram. Gdyby twój tata miał dla mnie jakąś wiadomość, zadzwoniłby, prawda?

- Z całą pewnością.

Gabe wzruszył ramionami, ale nic nie powiedział.

- Naprawdę fantastycznie grasz - dodała Hannah.

Gabe się roześmiał.

- Każdy idiota, który brał lekcje gry, potrafiłby to zagrać.

- Nie wierzę.

- Naprawdę. Jeśli uwzględnić, jak długo gram, powinienem być lepszy.

- Jak można grać lepiej od ciebie?

Zadała to pytanie zupełnie szczerze. Gabe znów musiał się uśmiechnąć.

- Dziękuję. Zwrócę się do ciebie, kiedy będę się czuł zdołowany i zapragnę, by ktoś podbudował mi ego.

- Kiepsko śpiewamy, co?

- Ujdzie.

Podeszła do nich pani Kent.

- Czyli jak długo zamierza pan u nas zabawić, panie...

- Whitman - przedstawił się Gabe.

- Dzień, dwa - odpowiedziała za niego Hannah.

- Czy rozważałeś przeniesienie się do nas? Mamy szkolną

orkiestrę i zawsze znajdzie się miejsce dla solisty.

- Będę o tym pamiętał - obiecał Gabe.

- Czy kiedyś występowałeś już jako solista?

Wykluczone, by zagrał dla niej. Był spragniony anonimowości, a nie skupiania uwagi na swojej osobie.

- Minęło trochę czasu, więc nieco zapomniałem.

- Z przyjemnością bym posłuchała twojej gry, jeśli będziesz miał ochotę zagrać.

- Jasne. Może następnym razem.

Kiedy nauczycielka odeszła, Hannah szepnęła:

- Bardzo przepraszam. Jest strasznie uparta.

- Jak wszyscy nauczyciele. - Umilkł na chwilę. - Hannah, jeśli jutro będę musiał tu z tobą przyjść, myślisz, że uda mi się poćwiczyć, kiedy nikt nie będzie korzystał z sali? Bo według mnie to głupi pomysł, żebym chodził do twojej szkoły na zwykłe lekcje. Lepiej spędzę ten czas, ćwicząc. To nie znaczy, że koniecznie muszę grać. Ale gra mnie uspokaja.

- Jestem pewna, że będziesz mógł grać, ale musisz zapytać o zgodę panią Kent. - Hannah uniosła brwi. - Ostrzegam cię, że jeśli to zrobisz, będzie to równoznaczne z zawarciem paktu z diabłem. Bo będzie ci kazała wystąpić ze szkolną orkiestrą.

- Trudno. Ale pod warunkiem, że nie będę musiał grać jako solista.

- Rozumiem. Chociaż może jeszcze się zastanów nad grą w orkiestrze. Jest naprawdę zła! Gorsza od chóru, uwierzysz?

- Nie szkodzi, Hannah. Mam za sobą trudniejsze doświadczenia niż kilka fałszywych nut.

- Gdyby chodziło tylko o kilka, nawet bym o tym nie wspomniała. - Pogroziła mu palcem przed nosem. - I nie bądź taki miłutki. Rozpraszasz wszystkie soprany. A na wypadek, gdyby to umknęło twojej uwadze, dodam, że i bez tego mają trudności, by czysto śpiewać.

Kiedy państwo Blanc opuścili gabinet, Decker poczuł się, jakby zdjął zimową kurtkę, w której siedział w zbyt ciepłym pomieszczeniu. Innymi słowy, poczuł się o dziesięć kilogramów lżejszy.

W końcu mógł odetchnąć głęboko. Kathy Blanc powiedziała, że w mieszkaniu jej córki na pozór wszystko było w porządku, ale przyznała, że nie rozejrzała się po nim zbyt dokładnie.

Decker zaczął planować resztę dnia. Wstąpi do domu na obiad, a potem pojedzie do mieszkania Adrianny... A może powinien wstąpić do szpitala St. Timothy i sprawdzić, co robią Marge i Oliver. Myślami był zupełnie gdzie indziej, kiedy zadzwoniła komórka, więc nie spojrzał, kto dzwoni. Zresztą i tak nic by mu to nie dało, bo numer był zastrzeżony. Ale wystarczyło, że usłyszał jedno słowo, i już wiedział, z kim ma do czynienia.

- Czego?

Był raczej zirytowany niż zaniepokojony, ale było to typowe dla Donattiego. Deckerowi szybciej zabiło serce.

- Twoja komórka nie działa, Chris? Od dwudziestu czterech godzin próbuję się do ciebie dodzwonić.

- Wiesz, jak to jest, Decker. Czasem człowiek nie chce, żeby mu przeszkadzano.

- Gdzie byłeś?

- Gdzie byłem? - W słuchawce rozległ się śmiech. - A co za różnica?

- Po prostu jestem ciekaw, czym byłeś aż tak zajęty, że nie sprawdzałeś, kto do ciebie dzwoni.

Znów rozległ się śmiech, a potem:

- Sprawiasz wrażenie wkurzonego.

- Gdzie byłeś?

- Teraz zabrzmiało to tak, jakbyś mnie przesłuchiwał. Nie podoba mi się twój ton głosu. Właściwie w ogóle cię nie lubię. Masz dwie sekundy, by mi powiedzieć, czego chcesz, nim się rozłączę.

- Nie chcesz oddzwaniać do mnie, nie ma sprawy. Ale sądziłem, że odbierasz telefony od syna. Tak bardzo był zdenerwowany, że zadzwonił do mnie. - Nastąpiła spodziewana cisza w słuchawce. Mogła być prawdziwa lub udawana. - Mamy duży problem, Chris. Terry zniknęła.

Tym razem cisza trwała znacznie dłużej.

- Mów dalej.

Gdzieś ulotnił się gniew, ale ton głosu pozostał obojętny.

- To wszystko - powiedział Decker. - Terry zniknęła.

- Jak to zniknęła?

- Nie możemy jej znaleźć...

- Wiem, do jasnej cholery, co oznacza słowo „zniknęła”. Jak to zniknęła?

Donatti w pięć sekund przyspieszył od zera do sześćdziesiątki. Był wyraźnie poruszony, chociaż mogło to być udawane. Trudno było ocenić przez telefon prawdziwość

jego emocji.

- Musisz przyjechać na posterunek, Chris. Musimy porozmawiać.

- Nie, póki mi nie powiesz, co się dzieje, do jasnej cholery.

- Twój syn zadzwonił do mnie wczoraj koło dziewiątej wieczorem. Był zdesperowany. Kiedy wrócił o siódmej do hotelu, nie zastał Terry. Nie odbierała połączeń na komórkę, więc zadzwonił do ciebie. Kiedy nie udało mu się skontaktować z żadnym ze swoich rodziców, zadzwonił do mnie. Zabrałem go na noc do mojego domu, bo nie chciał jechać do swojej cioci. Czyli teraz odpowiadam za twojego syna, póki się tu nie pojawisz. Gdzie jesteś?

- W Nevadzie. Recepcjonistka powiedziała, że dzwoniłeś.

- Musisz przyjechać do Los Angeles. Musimy porozmawiać.

- Co się stało, do diabła?

- Nie wiem i dlatego musimy porozmawiać...

- Przecież rozmawiamy, do jasnej cholery!

- To nie jest sprawa na telefon - powiedział spokojnie Decker. - Powinniśmy się spotkać. Zresztą i tak musisz tu przyjechać. Zapomniałeś, że jest tu twój syn?

- Dobrze już, dobrze, niech pomyślę. - Coś mrucał do siebie. - Kiedy... Znaczą się od jak dawna jej nie ma?

- Wystarczająco długo, że może to oznaczać kłopoty.

- Jej samochód też zniknął?

- Chris, nie mogę ci tego powiedzieć przez telefon. Jak szybko uda ci się dotrzeć do Los Angeles?

- Kurde! Która teraz godzina?

- Koło szóstej.

- Kurde! - Decker usłyszał w słuchawce, jakby coś się rozbiło. - Kurde, kurde, kurde! Kiedy to się stało? Wczoraj?

- Tak. Chris, wszystko ci powiem, gdy tylko wrócisz do Los Angeles. Jak szybko możesz tu dotrzeć?

- Jestem dwie godziny drogi od Las Vegas. Przyjechałem tu samochodem, więc nie ma tu mojego samolotu. Zanim dotrę na lotnisko McCarran, a stamtąd do Los Angeles, będzie po jedenastej. Jazda samochodem zajmie mi pięć, sześć godzin... Kurde! Sprawdzę, czy uda mi się wynająć jakiś samolot na pobliskim lotnisku. Zadzwoń do ciebie. - Donatti rozłączył się.

Decker odłożył słuchawkę i zaczął bębnić palcami w biurko, czekając na nowe informacje. Ale w głowie utkwiło mu jedno zdanie:

„Przyjechałem tu samochodem, więc nie ma tu mojego samolotu”.

Przyjechałem.

Między Kalifornią a Nevadą jest dużo pustkowi i nieuczęszczanych dróg. Bezkresna, słabo zaludniona pustynia Mojave zawsze stanowiła atrakcyjne miejsce pozbywania się tego, co niepotrzebne.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Chociaż już minęła happy hour, w barze było tłoczno. Ice należała do modnych restauracji z pastelowymi ścianami i sufitami z paneli z ukrytym w nich oświetleniem. Odcień się zmieniał podczas spożywania wieczornego posiłku. Teraz był to kolor niebieskawy, więc lokal wyglądał trochę jak igloo. Panująca w środku temperatura z pewnością byłaby znośniejsza, gdyby wpuścić nieco arktycznego powietrza. Dzień był wyjątkowo gorący i nieprzyjemny jak na tę porę roku. Chociaż Marge miała na sobie beżowe lniane spodnie i białą bawełnianą bluzkę, cała się lepiała. Odnosiła wrażenie, że ubranie przykleiło jej się do skóry. Przez telefon Sela Graydon powiedziała, że będzie w szarym kostiumie, czerwonej bluzce i czarnych czółenkach, więc łatwo ją było dostrzec.

Miała brązowe falujące włosy sięgające jej do ramion. Siedziała ze spuszczoną głową, brodę podparła na rękach i wpatrywała się w blat baru. Towarzyszył jej trzydziestokilkuletni mężczyzna z jasnym, kilkudniowym zarostem. Od czasu do czasu Sela unosiła głowę, ocierała końcami palców oczy, a potem znów ją spuszczała. Marge przecisnęła się przez tłum i zajęła stołek obok niej.

- Sela Graydon?
- Jest pani z policji? - Podniosła wzrok na nieznajomą.
- Sierżant Marge Dunn. Rozmawiałyśmy przez telefon.

Dziękuję, że zgodziła się pani ze mną spotkać jeszcze dziś.

Sela zagryzła usta i nic nie powiedziała, natomiast blondyn wyciągnął dłoń do Marge.

- Rick Briscoe. Też jestem prawnikiem, pracuję z Selą w kancelarii Youngblood, Martin i Fitch. - Marge krótko uścisnęła mu rękę. - Według mnie nie powinna być teraz sama.

- Bardzo ładnie z pana strony - powiedziała Marge, po czym zwróciła się do Seli: - Może usiadzimy przy stoliku w kącie. Nikt nam tam nie będzie przeszkadzał.

Sela się rozejrzała po sali.

- Nie widzę ani jednego wolnego stolika.

- Mój partner, detektyw Oliver, zajął jeden dla nas.

- Idź, Selo - powiedział Rick. - Zaczekam tutaj na ciebie. I tak pracuję nad zeznaniami Claridge'a. Zawołaj mnie, jeśli będziesz czegoś potrzebowała.

Sela skinęła głową, zsunęła się ze stołka i się wyprostowała. Mierzyła ze sto sześćdziesiąt centymetrów wzrostu. Marge zaprowadziła ją do stolika, przy którym Oliver pił tonik. Przedstawił się i spytał, czy jest głodna.

- Nie... - Usiadła, z oczu popłynęły jej łzy. - Nie mogę myśleć o jedzeniu. Kathy zadzwoniła do mnie i poprosiła, żebym do niej wstąpiła. Zgodziłam się, chociaż nie wiem dlaczego. Nadal jestem w szoku. Nic jej nie pomogę.

- Kathy to matka Adrianny? - spytał Oliver.

- Tak. Przepraszam. Jest dla mnie prawie jak druga matka. To będzie straszne.

- Czasami najlepiej nic nie mówić - poradziła jej Marge. -

Rozmawiała pani z Adrianną dziś rano.

- Nie, nie rozmawiałam - poprawiła ją Sela. - Zostawiła mi wiadomość.

- Połączenie trwało prawie dwie minuty.

- Zostawiła długą wiadomość.

- Czego dotyczyła? - spytał Oliver.

- Żałuję, że nie potrafię jej w całości powtórzyć. - Westchnęła głęboko. - Bo prawdę mówiąc, Adrianna czasami zanadto się rozwodzi i nie zwracam uwagi na to, co mówi. Skasowałam wiadomość, nim wysłuchałam do końca.

- O co jej z grubsza chodziło?

- Żebyśmy się spotkały dziś wieczorem, bo Gartha nie ma w mieście. Co wcale nie znaczy, że gdyby był, to nie umówiłaby się ze mną, bo on wiecznie gdzieś wyjeżdża. Potem powiedziała, że dobrze, że wyjechał, a gdyby ona była mądra, rzuciłaby go, bo drenuje ją emocjonalnie i finansowo. I nigdy nie docenia tego, co Adrianna dla niego robi. Że tego kwiatu jest pół świata i tak dalej, i tak dalej. - Policzki miała mokre od łez. - Usunęłam wiadomość, kiedy doszłam do tego punktu.

- Oddzwoniła pani do niej, pani Graydon - odezwał się Oliver.

- To stwierdzenie czy pytanie?

- Mamy jej telefon komórkowy, więc wiemy, że oddzwoniła pani do niej - powiedziała Marge.

- Tak, oddzwoniłam do niej. Zostawiłam jej krótką wiadomość. Dziś wieczorem jestem zajęta. Może spotkamy się w niedzielę przed południem. Zawsze łatwiej rozmawia

się z Adrianną w dzień.

- To znaczy? - spytał Oliver.

Sela uśmiechnęła się smutno.

- Proszę mnie nie zrozumieć źle. Kochałam Adriannę całym sercem. Ale czasami... Szczególnie gdy jest przygnębiona... Nie wie, kiedy przestać. - Znów otarła łzy. - Nigdy nie była agresywna, jak się upiła... Jednak czasami nie zważała na to, co mówi.

- Może pani podać jakiś przykład? - poprosiła Marge.

- Niech się zastanowię, jak to zgrabnie ująć... Kiedy Adrianna za dużo wypiła, lubiła dawać rady. Że powinnam częściej wychodzić z domu, więcej ćwiczyć. Próbowiła mnie umawiać z ludźmi, których nie znosiłam. Wiedziałam, że jest wstawiona, ale wiedziałam też, że mówi to, co naprawdę myśli. To irytujące.

- Tak, rozumiem. - Marge skinęła głową.

- Czasami potrafiła być naprawdę śmieszna. - Sela zaczerwieniła się. - Nie chcę wyjść na snobkę, ale zajmowałyśmy inne pozycje w świecie, jednak Adrianna wciąż uważała, że niczym się nie różnimy. Machałam na to ręką, lecz nawet jak była trzeźwa, mówiła różne rzeczy. Na przykład kiedy jej się poskarżyłam, że umówiłam dwóch klientów na jedną godzinę i nie wiem, co zrobić, zamiast okazać współczucie, powiedziała: „Och, masz klientów? Czyż to nie urocze?”. Przysięgam, że miałam ochotę jej przywalić.

Przy stoliku zapadła cisza.

Nagle Sela znów zaczęła płakać.

- O Boże, jak mogę mówić coś takiego! - oskarżała siebie

przez łzy. - Bywała trudna, ale zarazem była najmiłszą osobą pod słońcem. Naprawdę ją kochałam.

Marge położyła dłoń na jej ramieniu.

- Ależ naturalnie, że ją pani kochała. Byłyście bliskimi przyjaciółkami. A bliskie przyjaciółki wiedzą, jak sobą nawzajem manipulować.

- To straszne, że straciła życie w tak tragiczny sposób, bestialsko zamordowana - powiedział Oliver. - Ale nie musi jej pani z tego powodu wychwalać pod niebiosa. Żli ludzie też umierają.

- Nie była zła, tylko nieostrożna.

- Potrafiła zaleźć za skórę - powiedział Oliver. - Jej rodzony ojciec tak powiedział.

- Nie była z nim w dobrych stosunkach.

- Domyśliśmy się tego. O co się kłócili?

- A jakie to ma znaczenie? Nie zabił jej. Jestem tego pewna.

- Tylko próbujemy uzyskać pełen obraz - wyjaśniła Marge.

- Na przykład kiedy Gartha nie było w mieście i Adrianna za dużo wypija, czy spotykała się z innymi mężczyznami?

Znów nastąpiła długa chwila ciszy.

W końcu Sela powiedziała:

- Nie zniknęła z baru, tylko z miejsca pracy.

- Ale może umówiła się z kimś, kogo poznała poprzedniego wieczoru - nie poddawała się Marge. - Z tego, co powiedziała pani o Garcie, wynika, że była na niego wściekła.

- Zawsze była na niego wściekła. Ale zawsze do niego wracała... To jeden z powodów, że nie zwracałam uwagi na

jej narzekania. Nigdy nic by z tym nie zrobiła.

- Może zdradzając go, uważała, że coś z tym robi - powiedział Oliver.

- Jak mogła go zdradzić? Przecież szła do pracy na nocną zmianę.

- Rozpoczęła pracę o jedenastej wieczorem - zauważył Oliver.

- Nie poszłaby do baru przed pracą. - Jej oczy stały się rozbiegane, Oliver widział, że Sela jest zdenerwowana. - Pracowała z pełnym oddaniem. Nie spotkałam się z nią wczoraj wieczorem, jeśli o to chce pan zapytać.

- Wiedziałyby pani, gdyby Adrianna przed pracą umówiła się na kolację albo poszła napić się coli w barze? - spytał Oliver.

- Już panu powiedziałam, że nie była ze mną.

- To nie jest odpowiedź na nasze pytanie - zwróciła jej uwagę Marge. - Pytamy, czy wiedziała pani, że Adrianna poszła gdzieś wczoraj wieczorem.

- No dobrze. - Sela westchnęła. - Dowiedziałam się o tym po fakcie, bo zadzwoniła do mnie Crystal. Crystal Larabee. W szkole byłyśmy we trzy nierozłączne. Boże, mam wrażenie, że było to całe wieki temu. No więc powiedziała mi, że Adrianna była wczoraj wieczorem w Garage'u i z kimś flirtowała. Ale Crystal twierdzi, że nie wyszli razem. A kiedy Adrianna poszła do pracy, facet zaczął podrywać inną kobietę. No a skoro Adrianna stawiała się w pracy, facet prawdopodobnie nie ma nic wspólnego z jej śmiercią. Więc Crystal postanowiła o tym nie wspominać, szczególnie

policji, bo nie chce wpakować się w kłopoty.

- Kłopoty? Jakie kłopoty?

- Nie jestem tego pewna, ale podejrzewam, że Crystal nie brała od Adrianny pieniędzy za drinki. Może nawet nie brała pieniędzy za drinki od faceta, który był z Adrianną. Już wcześniej jej się to zdarzało. Zapewne Crystal nie chciała, aby kierownik się dowiedział, że rozdaje znajomym takie gratisy... na koszt firmy.

- Więc czemu nadal to robi?

- Bo to cała Crystal. Ale najważniejsze jest to, że Adrianna wyszła sama.

- A jeśli Adrianna i ten facet umówili się na spotkanie następnego dnia rano? - spytała Marge.

- Sądząc po tym, co nagrała na mojej komórce, nic nie wskazywało na to, że ktoś na nią czeka. Była zmęczona i zła. Dopiero co skończyła pracę, więc nie miała najlepszego humoru.

- Crystal nie przyszła dziś do pracy - poinformował ją Oliver. - Już dzwoniliśmy do Garage'u, próbując się z nią skontaktować.

- Wzięła wolny dzień - wyjaśniła Sela. - Kiedy z nią rozmawiałam, była w łóżku w swoim domu.

- Wstąpiliśmy do niej - powiedziała Marge. - Nie zastaliśmy jej w domu.

- Domyśla się pani, gdzie może być Crystal? - spytał Oliver.

- Nie wiem. Zwykle nie szpieguję swoich przyjaciółek.

- Chodzi nam o to, czy wie pani, gdzie Crystal lubi spędzać

wolny czas - uściśliła Marge. - Musimy z nią porozmawiać.

- A nie odbiera telefonów - dodał Oliver.

- Może nie lubi odbierać telefonów, kiedy nie wyświetla się numer dzwoniącego - powiedziała Marge. - Więc mam pomysł. Może pani do niej zadzwoni i spyta, gdzie teraz jest?

- Chcecie, żebym ją zakapowała?

- To nie kapowanie - zaprzeczył Oliver. - To... ustalenie, gdzie ktoś się znajduje, i tyle.

- Bo wiemy, Selo, że chce pani zrobić wszystko, by odnaleziono zabójcę Adrianny - dodała Marge.

Sela ostentacyjnie pomasowała skroń. Potem wzięła komórkę i wstukała jakiś numer.

- Cześć, gdzie jesteś?... Nie, nie mogę przyjść, muszę odwiedzić Kathy Blanc. Zadzwoniłaś już do niej?... Tak, obiecałam. Jestem pewna, że chciałaby się też zobaczyć z tobą... Nie, nic ci nie każę, tylko proponuję... Nie, nie musi to być teraz, tylko... Crys, bardzo się upiłaś?... Nie, nie chcę cię obrazić, ale... Wiem, co czujesz... O Boże... Przestań płakać, dobrze?... Przepraszam... Też czuję się okropnie, ale nie mogę się z tobą spotkać, żeby się napić. Muszę jutro iść do pra... Zadzwonię... Dobrze... Dobrze... Dobrze... Dobrze. Pa. - Sela zwróciła się do detektywów. - Zdenerwowałam ją. Zadowoleni?

- Gdzie jest Crystal? - spytała Marge.

- W Port Hole w Marina del Rey.

- Bardzo pani dziękujemy, pani Graydon.

- Jestem Sela i czuję się jak kapuś. - Wstała, wzięła torebkę. - Jeśli zapyta, jak ją odnaleźliście, nie wspominajcie

mojego nazwiska.

Gdy tylko Hannah zaparkowała na podjeździe, Gabe zmarkotniał. Chociaż to nie była jego szkoła, wszystko było dobrze mu znane – uczniowie, nauczyciele, klasy, szatnie. W jej domu czuł się obco. Nie miał ochoty rozmawiać z jej mamą. Była miła, ale jak większość mam, była zwyczajną mamą. Jego mama była inna: taka trochę mama, trochę koleżanka, trochę obrońca, trochę współkonspiratorka. Razem się zastanawiali, jak nie rozzłościć jego ojca. I na ogół im się to udawało. Czasami nie, a rozgniewany Chris Donatti był niebezpieczny. Kilka razy, kiedy Chris się upił albo naćpał, dla zabawy strzelał do Gabe'a. I zawsze powtarzał to samo:

– Nie rób takiej przerażonej miny. Gdybym chciał cię zabić, już byś nie żył.

Kochał mamę – naprawdę – chociaż kilka razy w swoim życiu podjęła złą decyzję. Ale nie gardził nią. Gdyby była mądrzejsza, w ogóle by się nie urodził. Gdzieś w głębi serca nawet kochał ojca. Ostatecznie to jego rodzice. A teraz oboje zniknęli i znów znalazł się w stanie zawieszenia. W jakiś przewrotny sposób ten dzień był jednym z łatwiejszych, jakie pamiętał, bo nie miał do czynienia z żadnym z nich.

Hannah wyłączyła silnik.

– Dobrze się czujesz?

– Tak. – Zdjął okulary, wytarł je w koszulkę, znów wsadził na nos. – Jasne.

– Och, zdaje się, że przyszła moja siostra z mężem. Znaczący się wiem, że tu są. To ich samochód.

- Nie ma sprawy.

- Tylko chciałam cię uprzedzić. Moja mama jest doskonałą kucharką. Będzie wielka uczta, jeśli Cindy i Koby zostaną na kolacji. Nie czuj się zobowiązany do zjedzenia wszystkiego.

- W ogóle zapomniałem dziś o jedzeniu i trochę zgłodniałem. Ile lat ma twoja siostra?

- Trzydzieści kilka. To córka mojego ojca z pierwszego małżeństwa. Jest policjantką, a Koby pielęgniarzem. Świetny z niego facet. Domyślam się, że moja siostra jest w ciąży. Może dlatego przyjechała. Mam nadzieję, że jakoś to zniesiesz.

- Jest dobrze. - Gabe otworzył drzwi starego volvo.

Po chwili weszli do domu. Siostry były do siebie podobne - obie wysokie, z długimi rudymi włosami, pociągłymi twarzami, ostro zarysowanymi podbródkami. Obie miały migdałowe oczy. Cindy brązowe, a Hannah niebieskie. Cindy była nieco wyższa, mierzyła ze sto siedemdziesiąt pięć centymetrów wzrostu. Ale Hannah prawdopodobnie jeszcze urośnie. Mąż Cindy był czarnoskóry. To zaskoczyło Gabe'a, chociaż nie wiedział dlaczego. Koby był wyższy od niego, ale niższy od jego taty. Mierzył prawie metr dziewięćdziesiąt.

- Cindy, Koby... Gabe - przedstawiła ich Hannah.

Koby wyciągnął rękę i Gabe ją uścisnął.

- Tata powinien wrócić lada moment - powiedziała Cindy do Hannah.

- Rodzinna kolacja? - Hannah spojrzała na brzuch siostry i dostrzegła, że jest zaokrąglony. Uśmiechnęła się w duchu. Dobrze wyczuła siostrzyczkę. - Z jakiej okazji?

- Z takiej okazji, że nie widziałam się z tatą od dwóch tygodni. - Cindy uśmiechnęła się do Gabe'a. - Mam nadzieję, że jesteś głodny. Rina przygotowała jedzenia dla całej armii.

- Gotuje jak anioł - dodał Koby.

- Świetnie. - Gabe zmusił się do lekkiego uśmiechu. - Pójdę umyć ręce.

Kiedy zostali sami, Hannah rzuciła z westchnieniem:

- O rety...

- Ciężko ci było? - spytał Koby.

- Nie, miły z niego chłopak. Musi się dziwnie czuć. Odnoszę wrażenie, że całe jego życie jest dziwne.

- Ładnie ze strony twojej mamy, że pozwoliła mu tu zostać - zauważył Koby. - Sprawdzę, czy nie potrzebuje pomocy.

- Za chwilę do was dołączę. - Kiedy skierował się do kuchni, Cindy powiedziała: - Zdaje się, że tata odszukał ojca chłopaka, ale nic mu nie mów, dobrze?

- Dobrze. To dobra wiadomość.

- Przynajmniej mam taką nadzieję. Jego tata jest szalony.

- Pod jakim względem?

- Nie wiem, ale z tego, co usłyszałam, tak mi się zdaje. Gabe rozmawiał z tobą o swoim tacie?

- Niewiele mówił, ale na jego miejscu też nie byłabym zbyt rozmowna.

Usłyszały, że podjeżdża samochód. Po chwili Decker otworzył drzwi i na widok córek na jego twarzy pojawił się uśmiech.

- Jak się czują moje dwie najukochańsze księżniczki? - Ucałował je w policzki. - Czemu zawdzięczam ten zaszczyt?

- Kiedy rozmawiałam z tobą przez telefon, miałam wrażenie, że humor raczej ci nie dopisuje - powiedziała Cindy. - Ponieważ jesteś absolutnym narcyzem, pomyślałam, że moja obecność poprawi ci nastrój.

- I miałaś rację. - Zwrócił się do Hannah. - Jak ci minął dzień?

- Spokojnie.

- A jak tam Gabe?

- W porządku. Jest w swoim pokoju. Udało ci się odszukać jego rodziców?

- Nadal nie wiem, gdzie jest jego matka, ale ojciec zadzwonił do mnie.

- To dobrze - powiedziała Hannah. - Dlaczego zadzwonił do ciebie, a nie do Gabe'a?

- Nie mam pojęcia. Za chwilę z nim porozmawiam. Gdzie Koby?

- W kuchni z imą.

Decker skierował się tam i wszedł do środka akurat w chwili, gdy Koby wyciągał z piekarnika wielgachne żeliwne naczynie do zapiekania.

- Coś tu bardzo smakowicie pachnie.

- Owszem, pachnie smakowicie, ale jest bardzo ciężkie - stęknął Koby.

- Paella z kurczakiem i kiełbasą. - Rina pocałowała męża w usta. Miała na sobie fartuch w motyle, czarne włosy ściągnęła w koński ogon. - Lubię posiłki jednodaniowe.

- Jest też surówka. - Koby postawił gorące naczynie na kuchence.

- Czyli posiłek z dwóch dań.

- Do tego przystawki. I deser. - Koby uśmiechnął się szeroko. - Nie martw się, Rino. Zjem wszystko. Jak zwykle.

- Jak to możliwe, że tyle jesz, a jesteś taki szczupły? - spytał Decker.

- Nie wiem, Pete. Powiedziałbym, że większość Etiopczyków jest szczupła, ale zarazem większość z tych, którzy mieszkają w Afryce, nie dojada albo nawet głoduje. Sądzę, że to kwestia genów i szczęścia. - Poklepał się po brzuchu i wziął stos naczyń. - Nakryję do stołu.

- Ja mogę to zrobić - zaproponował Decker.

- Zostań z Riną jako zastępca szefa kuchni. Pomogą mi moja żona i szwagierka, a jak je znam, w ogóle uwolnią mnie od obowiązku nakrycia do stołu. Nie mam nic przeciwko temu. Jeszcze nie przeczytałem dzisiejszej gazety.

- Leży na stole - powiedziała Rina.

Kiedy Koby wyszedł, Decker przyjrzał się uważnie wścibskim, niebieskim oczom żony.

- Znalazłem Chrisa Donattiego - poinformował ją. - A raczej on znalazł mnie. Jedzie samochodem z Nevady, powinien tu dotrzeć przed północą.

- To dobrze... Jak sądzę.

- Zobaczymy. Muszę porozmawiać z chłopakiem.

- Jeszcze go nie widziałam.

- Jakies pięć minut temu wrócił do domu razem z Hannah. Jest w sypialni.

- Dobrze - powiedziała Rina. - Długo potrwa ta rozmowa?

- Przypuszczam, że nie. Potrzebna ci pomoc?

- Chciałam cię prosić, żebyś wybrał wino, ale sama mogę to zrobić. Może butelka sangiovese?

- Wszystko jedno, byleby zawierało alkohol. - Urwał na chwilę. - Ale nie za dużo. Mam trochę pracy przy nowym śledztwie w sprawie zabójstwa, a potem czeka mnie rozmowa z Donattim. Muszę być w formie.

- Chodzi o tę powieszoną kobietę? Coś straszego. Jak przebiega śledztwo?

Wypuścił powietrze z płuc.

- Zdaje się, że dziewczyna lubiła imprezować. To nic złego, ale ryzykowne zachowanie zwiększa krąg podejrzanych. Ledwie zaczęliśmy się wgryzać w sprawę.

- Czeka cię długi wieczór.

- Jak zwykle. - Objął Rinę. - Na szczęście mam wyrozumiałą żonę, która gotuje jak demon.

Pocałowała go.

- Pozwól, że zadam ci pytanie. Co jest dla ciebie ważniejsze: to, że cię rozumiem, czy to, że tak świetnie gotuję?

- Zależy od tego, jak bardzo jestem głodny. W tej chwili mogłabyś być dla mnie niedobra, a ja i tak tym się nie przejmę, o ile dostanę należną mi porcję paelli.

Leżąc na łóżku z rękami pod głową, Gabe poczuł, jak mu się zamknęły oczy na kilka sekund, nim usłyszał pukanie do drzwi. Nie było nieśmiałe ani zbyt natarczywe. Było to puknięcie detektywa. Usiadł na łóżku.

- Proszę.

Wszedł Decker i usiadł na drugim łóżku.

- Jeszcze nic nie wiem o twojej mamie, ale twój ojciec zadzwonił do mnie z godzinę temu z Nevady. Ponieważ nie mógł znaleźć dobrego połączenia lotniczego, jedzie tu samochodem. Powinien dotrzeć koło północy.

Gabe poczuł, że głos mu uwiązał w gardle. Skinął głową.

- Co ty na to? - spytał Decker.

- W porządku.

- Naprawdę? - Kiedy chłopak się nie odezwał, Decker dodał: - Nie ma się co wstydzić. Oboje wiemy, kim jest twój tata i jakim jest człowiekiem. Czujesz się przy nim bezpiecznie?

- Tak. Jest w porządku.

- Pobił twoją mamę. Czy kiedykolwiek pobił ciebie?

- Nie. - Gabe umilkł na chwilę. - Wie pan, że wtedy pobił ją pierwszy raz.

- Być może - powiedział Decker. - Ale wiem również, że twój tata zna o wiele bardziej finezyjne sposoby zastraszania niż uciekanie się do pięści. Gdybyś naprawdę go znał, to bałbyś się go śmiertelnie.

- Znam swojego ojca. - Gabe oblizał usta. - Wiem, jak z nim postępować.

- Nikt nie powinien żyć w wiecznym strachu.

- Chodzi o to, że... - Zaczął machać nogą. - Jeśli moja mama się nie odnajdzie, mój tata nie zostanie tu, żeby się mną opiekować. Nawet kiedy jest w domu, zajmuje się swoimi sprawami. Tylko mu przeszkadzam. Zresztą nie potrzebuję nikogo, kto by się mną opiekował. Muszę mieć jedynie gdzie mieszkać, dostęp do samochodu z kierowcą

i nauczyciela gry na fortepianie. Chris da mi pieniądze.

- Masz inny wybór, Gabe.

- Ledwie znam dziadka i nie zamieszkać z ciocią. Jest flejtuchem, a ja mam obsesję na punkcie czystości. Jej bałaganiarstwo przeszkadza mi o wiele bardziej niż wybuchowy charakter mojego taty. Przynajmniej jest równie schludny jak ja.

- Dobrze - powiedział Decker. - Jeśli będziesz czegoś potrzebował, zadzwoń do mnie. Z całą pewnością możesz u nas zostać przez kilka dni, żeby podjąć decyzję.

- Dziękuję. - Zdjął okulary i wytarł je w koszulkę. Nawet się zdobył na uśmiech, chociaż zbierało mu się na płacz. - Bardzo panu dziękuję. Rozumiem, że nie wie pan nic o mojej mamie.

- Ty pierwszy się dowiesz, jak tylko coś ustalę. - Decker wstał. - Jesteśmy gotowi do kolacji. Będzie masa jedzenia. Mam nadzieję, że jesteś głodny.

- Jestem. Zaraz dołączę.

Decker zamknął drzwi, żeby chłopak mógł trochę побыć sam.

Udawał, że nie słyszy, jak Gabe płacze.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

Hannah nabierała pewności, widząc, że Cindy nie pije wina, a ima wmusza w nią jedzenie.

- Może jeszcze trochę placka z owocami? - spytała Rina.

- Jeśli jeszcze coś zjem, pęknę - odparła Cindy.

- To może zabierz na później. Zapakuję wam też trochę paelli. - Rina wstała od stołu i wyszła do kuchni, nim pasierbica zdołała zaprotestować.

Cindy spojrzała na zegarek. Było po dziewiątej.

- Ale szybko zleciał czas. Musimy już iść. Pomogę Rinie przygotować wałówkę.

- Też wam pomogę. - Hannah pobiegła za siostrą. - Jesteś pewna, że nie chcesz mi nic powiedzieć?

Cindy poczuła, jak robi się czerwona na twarzy.

- Nie jesteś zbyt ciekawska?

- Tak, nie, być może...

- Hannah, zachowujesz się nieodpowiednio - skarciła ją Rina.

- Czekam na odpowiedź.

- Cicho - powiedziała Cindy. - No więc tak, ale nie mogłam mówić o tym, gdy był z nami Gabe.

Hannah złączyła końce palców.

- Kiedy?

- Pod koniec grudnia.

- Wiecie już, czy to chłopiec, czy dziewczynka?

- Hannah, wystarczy! - napomniała ją Rina.
- Od jak dawna o tym wiesz? - zwróciła się do matki.
- Odkąd Cindy postanowiła mnie o tym poinformować.

I proszę, mów cicho.

- Twoja mama ma rację - powiedziała Cindy. - Zachowajmy to w tajemnicy.

- Mogę iść z tobą kupić łóżeczko dla dziecka?

- Ze mną możesz się wybrać na zakupy - zgodziła się Rina.

- Jedno postawimy tutaj.

- Nie mogę uwierzyć, że ty i ojciec ukryliście to przede mną. - Hannah umilkła na chwilę. - Mogę zrozumieć, że ty nic mi nie powiedziałaś, ale tata? Na pewno jest bardzo szczęśliwy.

- Mało powiedziane - przyznała Rina. - Ale łatwo było to przed tobą ukryć, bo rzadko się spotykacie. Oboje jesteście bardzo zajęci.

Hannah nie mogła przestać się uśmiechać.

- Pomogę mamie spakować wszystko. Ty usiądź i odpocznij.

- Doskonale się czuję, nic mi nie dolega. Ty usiądź. Za każdym razem, kiedy wstajesz od stołu, ten biedny chłopak wygląda, jakby wypił truciznę. Bądź tak dobra i powiedz, że musisz odejść od stołu, wtedy on też będzie mógł wstać.

- Dobrze. - Hannah mocno uścisnęła siostrę. - Kocham cię.

Tanecznym krokiem wróciła do jadalni, gdzie wymieniła szeroki porozumiewawczy uśmiech z ojcem. Gabe jakby tego nie zauważył. Razem z Kobym rozmawiali o muzyce. Okazało się, że Gabe potrafi grać na wielu instrumentach.

- Zauważyłem, że pana synowie trzymają w szafie dwa futerały - zwrócił się do pana domu. - Czy mogę do nich zajrzeć?

- To gitara i kontrabas - wyjaśnił Decker. - Raczej nie muzykowano na nich zbyt często. Możesz do woli.

- Nikt z nas nie jest muzycznie utalentowany - powiedziała Hannah. - Koby ma śliczny głos, ale tylko dlatego, że nie ma naszych genów. Czy mogę odejść od stołu?

- Wciąż widzę naczynia na stole - zauważył Decker.

Hannah westchnęła zniecierpliwiona i zaczęła zbierać talerzyki deserowe. Kiedy Gabe wstał, żeby jej pomóc, Decker powiedział:

- Ty jesteś gościem. Ona może to zrobić.

- Chętnie pomogę, panie poruczniku. Poczuję się jak w domu.

Decker skinął głową. Piętnaście minut później wyszedł z Hannah z jadalni. Drzwi do pokoju zajętego przez Gabe'a były zamknięte, ale muzyka dobiegała przez ściany, chociaż wzmacniacz był ściszony. Decker słuchał przez chwilę szybko następujących po sobie zniekształconych dźwięków. Atonalnych riffów, ale ciekawych. Kiedy zapukał cicho, muzyka się urwała, a Gabe uchylił drzwi.

- Za głośno?

- Nie. Chciałem ci tylko powiedzieć, jakie mam plany na wieczór, gdybyś chciał się ze mną skontaktować. Twój tata powinien tu dotrzeć za trzy godziny, a mnie zostało jeszcze trochę pracy, więc wrócę około jedenastej. Chcę tu być, kiedy przyjedzie po ciebie. Zresztą i tak muszę z nim

porozmawiać. Jeśli będziesz chciał wcześniej się ze mną skontaktować, zadzwoń na moją komórkę, dobrze?

- Dziękuję. Nic mi nie będzie.

- Jesteś spakowany?

- Spakuję się. Nie mam dużo rzeczy.

- Potrzebujesz czegoś?

- Nie, dziękuję. - Gabe milczał przez chwilę. - Dziękuję za wszystko.

- Jeśli potrzebujesz kilku dni na przemyślenie sytuacji, mogę to załatwić. Nie musisz już dziś z nim wyjeżdżać.

- Nic mi nie będzie.

- Mówię ci, żebyś wiedział.

Skinął głową, a Decker mówił dalej:

- Nie miałem żadnych złych wiadomości o twojej mamie i jej samochodzie. Może potrzebowała kilku dni, żeby sobie wszystko przemyśleć.

Gabe z trudem przełknął ślinę, ale ponownie skinął głową.

Decker położył mu dłoń na ramieniu.

- Twardy z ciebie chłopak. Ale nawet twardy chłopak od czasu do czasu potrzebuje pomocy. Nie miej żadnych oporów, gdybyś mnie potrzebował. Po prostu zadzwoń.

- Dobrze.

- Do zobaczenia.

- Do widzenia. - Drzwi zamknęły się delikatnie.

Muzyka, która teraz się rozległa, była łagodna i melancholijna.

Port Hole to restauracja z grillem i barem dla kibiców sportowych na nadbrzeżu. Chwaliła się darmowymi

przystawkami podczas happy hour, specjalnymi ofertami w tygodniu i transmisjami z zawodów sportowych na ogromnym płaskim ekranie. Akurat pokazywano mecz między Lakersami i Nuggetsami z Kobe Bryantem przy linii. Na dużym ekranie widać było każdy por jego spoconej twarzy. Marge pomyślała, że istnieje coś takiego, jak zbyt wielka rozdzielczość.

Sela Graydon tak opisała Crystal Larabee: niebieskooka blondynka, zgrabna, zazwyczaj seksownie ubrana, pijąca cosmopolitan. Trzy dziewczyny przy barze pasowały do tego opisu: blondynka w dżinsach i górze wyszywanej cekinami, blondynka w czerwonej koszulce i minispódnicy, blondynka w czarnej wąskiej bluzce bez ramiączek i dżinsach o obniżonym stanie, spod których widać było majtki.

- Przeczucie mi mówi, że to ta trzecia - powiedział Oliver.

- Zgadza się z tobą.

Docisnęli się do baru. Marge znalazła się za Crystal z prawej strony, a Oliver z lewej. Właściwie wylewała się z obcisłej góry, oczy miała mocno umalowane. Prowadziła ożywioną rozmowę z potężnym mężczyzną o byczym karku, który wsunął jej palec pod majtki. Wyglądał przynajmniej na dziesięć lat starszego od swojej zdobyczy.

- Crystal? - spytał Oliver.

- Ej... - Wolno odwróciła się w jego stronę. - Kim pan jest?

Głos miała bełkotliwy, w kąciку ust zebrała się ślina.

Oliver wyciągnął odznakę.

- Policja. Chciałbym z panią porozmawiać.

- Co się stało? - Ciężkie powieki miała na wpół

przymknięte.

- No właśnie, co się stało? - powtórzył jak echo zwalisty facet.

Marge też wyjęła odznakę i powiedziała:

- Chcemy porozmawiać bez świadków. Proszę nam dać parę minut, a zaraz sobie pójdziemy.

- Dobrze - powiedziała Crystal. - Zresztą i tak jestem zmęczona. - Włożyła czarny sweter i przewiesiła torebkę przez ramię. - Zmywam się. - Zsunęła się z barowego stołka i się potknęła.

Oliver złapał ją, nim upadła.

- Może się przejdziemy?

- Nie mam ochoty na spacer... - Wyciągnęła kluczyki.

Marge delikatnie odebrała je Crystal, która nie stawiała oporu.

- Naprawdę uważam - dodała Marge - że najpierw przyda się pani spacer.

Crystal utkwiała w niej wzrok, zamrugowała kilka razy i spytała:

- A co wy za jedni?

- Jesteśmy z policji - powtórzyła Marge. - Musimy z panią porozmawiać o Adriannie Blanc. Pamięta ją pani? To jedna z pani najlepszych przyjaciółek.

Crystal wybuchnęła płaczem.

Gdy Marge objęła ją ramieniem, wsparła głowę na jej piersi i zaszlochała.

- Wiem, skarbie. To boli.

- To strasznie boli! - zawodziła Crystal.

Przylizany śniady barman spojrział na nich.

- Czy możecie ją stąd wyprowadzić?

Oliver wziął Crystal pod jedno ramię, a Marge pod drugie i we troje opuścili restaurację. Przeszli przez wyasfaltowany parking, sprowadzili Crystal po kilku stopniach, aż znaleźli się na chodniku. Niebo było zachmurzone, latarnie dawały przyćmione żółte światło spowite mgłą. Ruszyli drewnianym skrzypiącym molo, mijając kolejne miejsca wyznaczone do cumowania. Na przystani można było spotkać łodzie wszelkiej maści, od średniej wielkości motorówek do ogromnych jachtów z antenami satelitarnymi. Od oceanu wiała łagodna słona bryza.

Crystal miała trudności z utrzymaniem się prosto w butach na wysokim koturnie.

- Dlaczego, dlaczego, dlaczego! - zawodziła.

- Właśnie próbujemy to ustalić - powiedział Oliver. - A pani może nam pomóc, Crystal. Ale musi się pani skupić.

- Nie chcę się skupiać. - Otarła oczy ręką, zostawiając na skórze czarną smugę tuszu. - Chcę iść do domu. Jestem śpiąca! - Pociągnęła nosem i zaczęła grzebać w torebce, szukając kluczy.

- Gdzie pani mieszka? - spytała Marge, choć znała odpowiedź. Razem z Oliverem dziś wieczorem byli pod jej domem.

- W Dolinie.

- To świetnie się składa, bo też tam mieszkam. Może podrzucę panią do domu, a detektyw Oliver odstawi pani samochód do garażu.

- Nic... mi... nie jest.

- Wiem, skarbie, ale w ten sposób będziesz mogła trochę odpocząć. - Marge już ją prowadziła z powrotem na parking.

- Gdzie twój samochód, skarbie?

- Chyba... - Crystal zmrużyła oczy. - Tam? - Zrobiła kilka kroków i przystanęła.

- Jakim samochodem pani jeździ? - spytała Marge.

- Priusem. Ponoć są... ekologiczne.

Na parkingu stało kilka priusów.

- Jakiego koloru?

- Niebieskiego.

- Widzę go. - Marge rzuciła Oliverowi kluczyki. - Do zobaczenia.

- Powodzenia.

Marge pomogła Crystal zająć miejsce w fotelu dla pasażera i zapięła pasy.

- Wygodnie pani?

Nie doczekawszy się odpowiedzi, uruchomiła silnik i ruszyła w kierunku autostrady.

Crystal chrapała przez całą drogę do domu.

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Adrianna mieszkała w długim na jeden kwartał kompleksie ciemnobrązowych dwupiętrowych budynków, wokół których posadzono paprocie i palmy. Nocą oświetlały je kolorowe reflektory. Zajmowała lokal numer 3J. Decker cicho przeszedł przez mieszkanie z dwiema sypialniami i łazienkami. Mogła być szaloną imprezowniczką, ale w jej mieszkaniu panował porządek. Może to skutek szkolenia na pielęgniarkę. Kiedy służył w wojsku jako sanitariusz, przekonał się, że dobra organizacja nie tylko się przydaje, ale jest wprost nieodzowna. Zależało od tego życie.

W mieszkaniu zastosowano plan otwarty. W pokoju dziennym z kącikiem jadalnym stały tylko podstawowe sprzęty - narożna kanapa, dwa stoliki i kufer pełniący rolę stolika kawowego. Był też kwadratowy stół i cztery krzesła. Mikroskopijna kuchnia miała blaty wyłożone beżowymi kafelkami, sprzęty były białe. Telewizor z płaskim ekranem zawieszono na ścianie naprzeciwko kanapy. Mieszkanie mogło należeć do każdego mieszkańca Stanów Zjednoczonych, gdyby nie półka z książkami.

Leżało na niej zaledwie kilka książek, za to sporo filmów DVD. Lecz istotniejsze były oprawione w ramki zdjęcia Adrianny. Była atrakcyjną kobietą o długich ciemnych włosach i szerokim uśmiechu. Stała na stoku, trzymając narty i uśmiechając się głupawo, pozowała z przyjaciółkami

w restauracji, trzymając kieliszek z margaritą, stała dumnie w tocie i czapce między swoimi rodzicami. Na kilku zdjęciach była z tym samym mężczyzną – średniego wzrostu, o jasnych, sterczących włosach i jasnych oczach, z kilkoma kolczykami w każdym uchu. Całkiem przystojny. To prawdopodobnie Garth Hammerling. Decker schował jedno z jego zdjęć do teczki.

Przeszedł do łazienki. Znalazł tam środki przeciwbólowe bez recepty, kremy do twarzy, pigułki antykoncepcyjne i sporą torbę trawki. Niczego nie ruszając, przeszedł do drugiej sypialni, w której Adrianna urządziła gabinet. Na tanim biurku stały laptop i drukarka. Były tu też bujany fotel i rozkładana kanapa.

Laptop stanowił cenny przedmiot dowodowy. Odłączył go od sieci, zamknął i ostrożnie włożył do torby. Potem zaczął grzebać w tym, co znajdowało się w biurku. A były tu ołówki, kartki papieru, paragony, spinacze, gumki recepturki, taśma klejąca, samoprzylepne karteczki i kilkanaście zdjęć luzem.

Przejrzał zdjęcia.

Adrianna lubiła porządek. Na odwrocie większych fotografii wypisała imiona uwiecznionych osób i datę zrobienia zdjęcia. Powtarzały się te same twarze i nazwiska: Sela Graydon, Crystal Larabee, Mandy Kowalski, Garth Hammerling – przystojny chłopak z oprawionego w ramki zdjęcia w pokoju dziennym – i przyjaciół Gartha: Aaron Otis i Greg Reyburn. Decker wybrał kilka zdjęć i schował do aktówki.

Poza tym w biurku było niewiele rzeczy. W jednej

szufladzie papier do drukarki, w drugiej splątane przewody. Wstał i zajrzał do garderoby. Adrianna trzymała w niej ciężkie zimowe płaszcze, narty, deskę surfingową, sześć czarnych sukienek i komplet walizek.

W sypialni też panował porządek. Na szerokim łóżku leżała różowa kołdra w turecki wzór. Dwie nocne lampki stały na identycznych nocnych szafkach, na których poza tym był radiobudzik, telefon stacjonarny oraz notes i ołówek. Decker wziął wierzchnią kartkę notatnika, lekko zamazał ją ołówkiem i stwierdził, że na poprzedniej kartce wypisano listę zakupów. Odłożył notes.

W regale stał telewizor z płaskim ekranem. Natomiast szafa na ubrania była pełna. Adrianna wydzieliła osobne części na bluzki, koszule, spódnice, spodnie i sukienki, ale nie podzieliła ich kolorami. Eleganckie rzeczy sąsiadowały z noszonymi na co dzień. Miała dużo pantofli i butów do biegania. Dziesiątki torebek, pasków i apaszek, dziesięć par okularów przeciwsłonecznych. Nic ze znanych domów mody. Adrianna przedkładała ilość nad jakość.

Spojrzał na zegarek. Pora wracać na wypadek, gdyby Donatti gnał na złamanie karku i dotarł do celu wcześniej. Nie chciał, żeby Chris zabrał Gabe'a pod jego nieobecność. Ostatni raz rozejrzał się po sypialni. Wiedziony impulsem, podszedł do szafki nocnej po prawej stronie łóżka i wyciągnął małą górną szufladę. Były w niej książeczka z sudoku, kilka automatycznych ołówków, pilniczek do paznokci, kilka tamponów i bloczek karteczek samoprzylepnych. W szufladzie szafki po lewej stronie zobaczył opakowanie

pigułek antykoncepcyjnych, pilota do telewizora i oprawioną w skórę, zamykaną na zatrzask książkę. Decker wziął ją.

Dziennik.

Niezbyt często się je spotyka. Czyżby miał wyjątkowe szczęście?

Schował dziennik do teczki.

Poczyta sobie do poduszki.

Mieszkanie Crystal Larabee mieściło się w piętrowym, otynkowanym na biało domu z lat sześćdziesiątych. Znajdowało się na pierwszym piętrze i Marge zrobiło się żal tych, którzy mieszkali niżej. Aż trudno uwierzyć, jak głośno stukają pantofle na korkowym koturnie. Gdy tylko je zdjęła, Marge zauważyła, że Crystal jest bardzo niska, mierzy niewiele ponad metr pięćdziesiąt. Nogawki džinsów szorowały podłogę. Klapnęła na kanapie i położyła nogi na szklanym stoliku.

- Która godzina? Chce mi się spać.

- Jeszcze nie jest późno - skłamała Marge. - Zajmiemy pani tylko kilka minut.

Crystal ziewnęła.

- Jestem zmęczona.

Rozległ się dzwonek u drzwi.

- Kto to, u diabła? - spytała Crystal.

- Mój partner.

- Tamten facet?

- Tak, tamten facet. - Marge wstała i otworzyła drzwi. - Detektyw Oliver. To on przyjechał pani samochodem z Port Hole.

- Naprawdę? - Crystal potarła oczy i zobaczyła, że ma czarne palce. - Muszę umyć twarz. - Przesunęła językiem po zębach i skrzywiła się. - Mam niesmak w ustach. Nie czuję się najlepiej. To nie może poczekać?

- Może pójdzie pani umyć twarz, a ja zaparzę kawy - zaproponowała Marge. - Ma pani kawę w domu, prawda?

- Tak.

- W takim razie ją zaparzę, dobrze?

- Wszystko mi jedno. - Crystal zniknęła w sypialni.

Oliver wzniosł oczy.

- Jak sądzisz, ile uda nam się z niej wyciągnąć?

- W tej chwili zależy mi jedynie na nazwisku tego byczka, z którym flirtowała Adrianna. A może to on flirtował z Adrianną.

Rozejrzeli się po pokoju dziennym. Dywan nie był odkurzany od jakiegoś czasu, żaluzje też były zakurzone. Na stolikach i podłodze leżały egzemplarze *Cosmopolitan*, *People* i *Us*. Umeblowanie było proste: kanapa, puf, stoliki, komplet stołowy, telewizor z płaskim ekranem. W pokoju panował nieład, ale nie było w nim brudno.

Kuchnia to zupełnie inna historia: naczynia w zlewie, lepkie od brudu blaty, brudna podłoga, przepełniony kosz na śmieci. Marge znalazła w lodówce kawę i mleko, które na szczęście nie było przeterminowane. Zaparzyła dzbanek mocnej kawy, znalazła kilka czystych kubków, ale na wszelki wypadek opłukała je, i naląła kawy sobie i Oliverowi.

Crystal coś długo się nie pojawiała. Marge wstała z kanapy i powiedziała:

- Sprawdzę, co się dzieje.

Zastała Crystal w sypialni. Leżała w samej bieliźnie na kołdrze i mocno spała.

- O rany. - Marge delikatnie nią potrząsnęła. - Crystal, musimy z panią kilka minut porozmawiać. - Jeszcze raz nią potrząsnęła. - Obudź się.

Crystal otworzyła oczy.

- O czym?

- O wczorajszym wieczorze, skarbie - powiedziała Marge. - Musimy porozmawiać o wczorajszym wieczorze.

- Byłam w Port Hole.

- Nie dziś wieczorem, Crystal, tylko wczoraj wieczorem. W Garage'u, gdzie pracujesz.

Crystal przekręciła się na bok.

- Wzięłam wolny dzień.

Marge potrząsnęła nią.

- Crystal, chcę porozmawiać o Adriannie. Flirtowała w Garage'u z jakimś facetem. Chciałam panią spytać o niego.

- Co? - Odwróciła się do Marge.

- Wczoraj wieczorem w Garage'u nalewała im pani darmowe drinki. Może mieć pani przez to kłopoty.

Usiadła prosto, wyraźnie się zaniepokoiła.

- Nie zakabluje mnie pani?

- Nie, jeśli porozmawia pani z nami - obiecała Marge. - Proszę włożyć szlafrok, przyjść do pokoju dziennego i poświęcić nam kilka minut. Potem może pani iść spać.

- Dobrze. - Crystal kilka razy zamrugnęła. Okazało się, że może poruszać powiekami uwolnionymi od grubej warstwy

tuszu. Bez makijażu wyglądała na bezbronną. - Za chwilę przyjdę.

- Będziemy czekać w pokoju dziennym.

Chwila trwała piętnaście minut, ale w końcu Crystal się pojawiła.

Marge podała jej kawę.

- Proszę się napić.

Crystal posłusznie się napiła, a gdy zaczęła mówić, głos jej drżał.

- Nie możecie powiedzieć mojemu szefowi... o tych darmowych drinkach. - Potarła oczy dłonią. - Jeśli się o tym dowie, wyleje mnie z roboty.

- Za kilka darmowych drinków? - spytał ją Oliver.

- To nie było... pierwszy raz. - Znów pociągnęła łyk kawy. - Chociaż to nic takiego. Jezu, i tak rozcieńczają alkohol. Na ogół nalewam za darmo wodę.

- Dobra z pani przyjaciółka - powiedziała Marge.

Do oczu Crystal napłynęły łzy.

- Nie spodziewałam się jej wczoraj wieczorem. Wpadła bez uprzedzenia, ale w sumie nie zdziwiłam się, bo często tak robi, kiedy Gartha nie ma w mieście.

- Co często robi? - spytała Marge.

Crystal sprawiała wrażenie, jakby głęboko się zamyśliła.

- Kiedy Garth wyjeżdża, czuje się osamotniona. Lubi towarzystwo. Zwykle nie przychodzi do Garage'u, bo drinki są drogie. Ale wiedziała, że tam pracuję i nie wezmę od niej pieniędzy.

- Zna pani tego faceta, z którym flirtowała?

- Nie przypominam sobie, żebym go kiedyś poznała. Nie jest stałym gościem.

- Wie pani, jak się nazywa?

Zamyśliła się.

- Chyba słyszałam, jak ktoś wołał na niego Farley.

- To imię czy nazwisko?

Tylko wzruszyła ramionami.

- Jak wygląda? - spytał Oliver.

- Ja wiem? Średniego wzrostu, średniej tuszy... Barczysty.

- Przystojny? - spytała Marge.

- Niczego sobie.

- Byczek z niego?

- Raczej przypomina Hulka, z uwagi na te bary.

Marge skinęła głową. Sela Graydon powiedziała, że Crystal opisała go jako byczka. Może się przesłyszała, a może Crystal w świetle dnia inaczej go oceniła.

- Czy przypadli sobie do gustu?

Crystal znów napiła się kawy.

- Może on tak uznał. Adrianna tamtego wieczoru nie zamierzała nikogo poderwać. Szła do pracy na nocną zmianę.

- O której godzinie opuściła Garage?

- Koło dziesiątej.

- Czy Farley był zły, kiedy zbierała się do wyjścia? - spytał Oliver.

- Nie wiem, czy tak się nazywa, detektywie.

- Na razie będzie dla nas Farleyem. No więc czy był zły, kiedy Adrianna wyszła z baru?

- Nic a nic. Może nawet uścisnęli sobie dłonie.

- Czy mogli się umówić na później, kiedy Adrianna skończy nocną zmianę?

- Nie wiem. - Dopięła kawę. - Wyszła, a on zainteresował się innymi kobietami. Może nawet z którąś z nich wyszedł. Zresztą nawet gdyby Adrianna się z nim umówiła, nie traktowała tego poważnie. Naprawdę zależy jej na Garcie.

- A gdyby się z nim umówiła?

Crystal westchnęła głęboko.

- Adrianna nie uważa, że przespać się z jakimś facetem to wielka sprawa. Idzie do łóżka z tym, który jest pod ręką. A Garth często wyjeżdża.

- Słyszałem różne opinie o jej chłopaku - powiedział Oliver.

- Niezłe z niego ciacho i wie o tym. Wykorzystuje ją.

- W jakim sensie?

- Zawsze pożycza od niej pieniądze. Może ma kłopoty. Czy dostanę jeszcze kawy?

- Zaraz przyniosę. - Marge poszła do kuchni i zaparzyła świeżej kawy. Kiedy wróciła, spytała: - Jakie kłopoty ma Garth? Bierze narkotyki?

- Pali trawkę, ale nie to miałam na myśli. Pożycza pieniądze na weekendowe wyjazdy. Często jeździ do Las Vegas.

- Uprawia hazard - domyślił się Oliver.

- Tak. I może kręci z inną - dodała Crystal.

- Może tak się umówili - zauważył Oliver. - Ona kręci z innymi i on kręci z innymi.

- Ona tylko dlatego kręci z innymi, ponieważ wiecznie go nie ma. - Crystal zamyśliła się. - Adrianna mówiła, że

czasami Garth ma kłopoty w łóżku. Uważa, że to przez trawkę, a naprawdę dużo jej pali, ale zastanawiam się, czy nie chodzi o to, że ma inną na boku.

- Czyli twierdzi pani, że Garth po prostu doi Adriannę.

- Może trochę za mocno powiedziane.

- Pożycza od niej pieniądze, pali trawkę, zabawia się z innymi kobietami - podsumował Oliver. - Czy ten facet ma jakieś zalety?

- Niezłe z niego ciacho.

- Staramy się skontaktować z Garthem - powiedziała Marge - ale jest na spływie.

- Akurat! - prychnęła pogardliwie Crystal. - Tak się akurat składa, że ten spływ jest niedaleko Reno.

- Naprawdę? - spytała Marge. - Skąd pani wie?

- Przyjaźnię się z Gregiem Reyburnem, jednym z kumpli Gartha. Powiedział, że wybierają się na spływ, ale przy okazji odwiedzą kasyna. Prosił mnie też, żebym nie wygadała się z tym przed Adrianną.

- No i nie wygadała się pani? - spytał Oliver.

- Nie zamierzałam jej o tym powiedzieć, ale sprawiała wrażenie mocno samotnej, więc mogłam coś napomknąć, że Garth nie jest z nią do końca szczery, że powinna się dobrze bawić i zapomnieć o nim. - Spojrzała na sufit. - Chyba to był błąd.

- Tak pani sądzi? - spytała Marge. - Jak Adrianna zareagowała?

- Spytała mnie, co mam na myśli, więc zdradziłam jej, co do mnie dotarło. Że chłopaki wybierają się również do Reno,

żeby się trochę rozerwać. Spytała mnie, skąd o tym wiem. No więc powiedziałam jej, że od Grega. Spytała, dlaczego jej wcześniej o tym nie powiedziałam, a ja wyjaśniłam, że obiecałam Gregowi, że nic nie powiem. Wtedy spytała, dlaczego w takim razie jej o tym powiedziałam. A ja odparłam, że uznałam, iż powinna znać prawdę, by mogła miło spędzać czas bez wyrzutów sumienia. – Crystal odwróciła wzrok. – Była wściekła, ale naprawdę miała powód. Okazało się, że pożyczyła Gregowi pięćset dolarów, bo powiedział jej, że jedzie na spływ, a nie grać. Gdyby wiedziała, że wybierają się do Reno, nie pożyczyłaby mu ani centa. A potem wstała i zaczęła rozmawiać z Farleyem czy jak mu tam. Poprawił jej się humor, dała mi znak, że wszystko w porządku. Więc nie wiem. Ponieważ wciąż dręczyły mnie wyrzuty sumienia, nalałam im za darmo kilka drinków.

– Wygląda na to, że Garth jest nieudacznikiem – odezwała się Marge. – Nie wie pani, dlaczego Adrianna już dawno temu z nim nie zerwała?

– Jak powiedziałam, niezłe z niego ciacho. Po prawdzie lepiej się prezentuje od Adrianny. I zapewniała mnie, że jest niezły w łóżku. Może jej to wystarczało. A może dobrze się czuła, pokazując się z takim ciachem. Niektórym dziewczynom to imponuje.

– Crystal, chciałabym poznać pani opinię w pewnej sprawie – zwróciła się do niej Marge. – Czy po tym, jak powiedziała jej pani, że Garth ją oszukał, mogła do niego zadzwonić i z nim zerwać?

- Nie wiem. Najlepiej sprawdzić jej telefon.

- Zrobiliśmy to - powiedział Oliver. - Po pracy nie zadzwoniła do niego, tylko do dwóch innych osób. Do Seli Graydon i jeszcze do kogoś. Nie wiemy, do kogo należy drugi numer telefonu, ale wiemy, że nie jest to numer komórki Gartha.

- Może mogłaby nam pani pomóc ustalić, do kogo Adrianna dzwoniła - poprosiła Marge.

Kiedy podała numer, Crystal wzruszyła ramionami.

- Nie wiem, czyj to telefon, ale na pewno nie Grega. Co się stało, kiedy dzwoniłście pod ten numer?

- Rozlega się informacja, że skrzynka jest pełna. Wygląda na to, że ktoś od jakiegoś czasu nie odsłuchiwał wiadomości.

- Może ten ktoś wybrał się na spływ - powiedział Oliver. - Co pani wie o drugim przyjacielu Gartha, Aaronie Otisie?

- Nie znam numeru komórki Aarona. Mogę się dowiedzieć. Musiałabym podzwonić tu i tam.

- Świetnie. Zaczekamy.

- Dlaczego miałyby zadzwonić do Aarona?

- Żeby złapać Gartha.

- Dlaczego nie zadzwoniła do niego?

- Nie wiem, Crystal. W tej chwili sprawdzamy wszystkie tropy.

- Myślę, że nawet gdyby Adrianna zadzwoniła do Gartha i z nim zerwała, specjalnie by się tym nie przejął. Aż tak bardzo nie zależało mu na niej.

- Może na niej nie, ale zależało mu na jej pieniądzach - zauważył Oliver.

- Nigdy nic nie wiadomo - powiedziała Marge.

- To prawda. - Crystal odstawiła kubek. - Kiedyś w szkole dowiedziałam się na lekcji fizyki, że wszechświat nieubłaganie dąży do całkowitego chaosu. To samo odnosi się do ludzi. Czasami dobrze trafimy i jest w porządku. Ale na ogół źle trafiamy i wszystko jest do dupy.

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

- Crystal Larabee powiedziała nam, do kogo należy tajemniczy numer - rzuciła Marge do słuchawki. - To numer komórki Aarona Otisa.

Decker zrobił minę, chociaż Marge nie mogła tego zobaczyć.

- Kumpel Gartha od spływów?

- Tak jest. Skrzynka Otisa nadal jest pełna, co świadczyłoby, że wciąż przebywa na jakimś odludziu, chociaż Crystal w to wątpi.

- Jak to?

- Trzeci kumpel, Greg Reyburn, powiedział jej, że wybierają się również do Reno, by się trochę rozerwać. - Powtórzyła mu, czego się dowiedziała od Crystal. - Zdaje się, że Garth lubi hazard i wszystkie związane z tym rozrywki.

- Ciekawe. - Decker leżał na łóżku, rozmawiając z aparatu na nocnym stoliku. - Kiedy planowali wrócić do Los Angeles?

- Zgodnie z informacją nagrany przez Gartha, za kilka dni - poinformowała Marge. - Adrianna najwyraźniej była zła, kiedy się dowiedziała o planach Gartha. Może rozważała, czy ostatecznie z nim nie zerwać.

- Jeśli Adrianna chciała zerwać z Garthem, to czemu zadzwoniła do Aarona, a nie do niego?

- Może wiedziała, że jeśli zadzwoni do Gartha, ten nie odbierze.

- A może romansowała z Aaronem.

- Zdaje się, że oboje zdradzali się w wolnym czasie. Czy w jej dzienniku są jakieś wzmianki, że coś ją łączyło z Aaronem?

- Na razie nie natrafiłem na nic takiego, ale tylko pobieżnie go przejrzałem. Ostatni wpis pochodzi sprzed pięciu dni. Napisała, że Garth wyjeżdża z miasta na spływ. Dokładne przeczytanie całego dziennika zajmie trochę czasu. - Decker spojrział na zegar stojący na szafce nocnej. Minęła północ, a Donatti jeszcze się nie pojawił. - Ale może będę go miał sporo. Wciąż czekam na Chrisa Donattiego, który ma przyjechać po syna.

- Czy się spóźnia?

- Jeszcze nie, ale póki tu nie dotrze, jestem pełen sceptycyzmu. To, co zdążyłem przeczytać do tej pory, pokrywa się z tym, co Crystal wam powiedziała o Adriannie i Garcie. Niezbyt im wychodziło w łóżku i kilka razy się zastanawiała, czy Garth nie ma kogoś innego.

- Była zła?

- Raczej zawiedziona - odparł po chwili namysłu.

- Czy w dzienniku wspomina, z kim mógł kręcić Garth?

- Jak na razie nie, ale zastanawiałem się nad Mandy Kowalski. Czy to nie ty mówiłaś, że Garth ją podrywał?

- Tak nam powiedziała. Wyznała, że Garth zadawał się z innymi kobietami. Zdaje się, że miała rację.

- Skoro Garth lubił zabawiać się z kobietami, dlaczego Mandy poznała go ze swoją przyjaciółką Adrianną?

- Nie mam pojęcia.

- Zapytaj ją o to. I dowiedz się, gdzie była tego ranka, kiedy zamordowano Adriannę.

- Pracowała.

- Sprawdź to dokładnie. Może znajdziesz jakieś niewyjaśnione nieobecności.

- Śledczy był prawie pewny, że Adrianna zginęła na skutek uduszenia - przypomniała mu Marge. - Miała wybroczyny na twarzy i w gałkach ocznych. Mandy jest pielęgniarką. Mogła otruć Adriannę, ale nie wydaje mi się, żeby miała dość siły, by ją udusić, a następnie powiesić zwłoki. Martwy człowiek jest bardzo ciężki.

- Może ktoś jej pomagał - zasugerował Decker. - Dlatego musicie znów z nią porozmawiać. A co z tym Farleyem, którego Adrianna poznała w Garage'u? À propos, to imię czy nazwisko?

- Nie wiemy, Pete. Crystal była mocno pijana, kiedy z nią rozmawialiśmy, więc nie do końca można wierzyć w to, co nam powiedziała. Dziś wieczorem ponownie pójdziemy do Garage'u.

Decker znów sprawdził na radiobudziku, która godzina.

- Powiniennem się rozłączyć, bo Donatti może do mnie dzwonić.

- Co myślisz o przekazaniu mu chłopaka? - spytała Marge.

- Jest jego ojcem. Mam związane ręce, jeśli nie udowodnię, że się nad nim znęcał, a nie mogę tego udowodnić.

- Ciągle nic nie wiadomo o Terry?

- Kompletnie nic.

- To niepokojące.

- Owszem. Prześpij się trochę. Zobaczymy się jutro.

Usiadł na skraju łóżka i włożył buty. Poszedł do salonu, gdzie Rina leżała w poprzek kanapy z poduszką pod głową. Rozwiązywała krzyżówkę. Kiedy wszedł, uniosła wzrok.

- Zrobić ci kawy?

- Nie, dziękuję. Gdzie Gabe?

- W pokoju chłopców. Nie rozmawiałam z nim. Uznałam, że jeśli będzie czegoś chciał, to poprosi. Myślę, że woli trochę побыć sam.

Decker usiadł, położył sobie nogi Riny na kolanach, zaczął masować jej stopy.

- Dlaczego nie kładziesz się spać? - spytał.

- Nie chcę, żebyś był z nim sam na sam... Nigdy nie wiadomo, co mu strzeli do głowy.

- Niczego nie będzie próbował.

- Pete, wtrąciłeś się w prywatne sprawy między nim a jego żoną. Wystąpiłeś w roli jej obrońcy, stając przeciwko niemu. Przysłuchiwałeś się ich sprzeczce. Zabrałeś mu broń, a to dla niego równoznaczne z wykastrowaniem. Innymi słowy, upokorzyłeś go. I uważasz, że nie będzie chciał się zemścić?

Było w tym trochę racji.

- W tej chwili ma co innego na głowie. Na przykład szukanie żony.

- O ile już jej nie zabił. Jestem pewna, że wszystko się w nim gotuje. Założę się, że cię wrobi.

- Bez względu na to, jak bardzo jest na mnie wkurzony, nadal odbiera moje telefony. Poza tym to płatny zabójca. Jeśli zechce mnie dopaść, to mnie dopadnie.

- Bardzo mnie pokrzepiłeś.

Uśmiechnął się.

- Nic mi nie robi.

- Skąd wiesz?

- Bo jeśli jej nie zabił, martwi się o nią i wie, że mogę mu pomóc. Jeśli ją zabił, będzie chciał mnie wysondować, dowiedzieć się, ile wiem. Tak czy owak, mam dla niego większą wartość żywy niż martwy.

- Sądzisz, że ją zabił?

- Nie można tego wykluczyć.

- I chcesz mu oddać Gabe'a, chociaż sądzisz, że zabił swoją żonę?

- Jeśli syn chce być z ojcem, to nie mam wyboru.

- Chce być z nim tylko dlatego, by nie mieszkać z dziadkiem lub ciotką. Może wolałby zostać u nas.

- Rino, jeśli Donatti chce zabrać swojego syna, a Gabe jest gotów z nim wyjechać, na pewno im nie przeszkodzę. To byłaby niepotrzebna prowokacja. Ale w tej chwili nic jeszcze nie wiem, tylko czekam, aż Chris wreszcie się pojawi. Mam do niego mnóstwo pytań.

- Pete, przecież on do niczego się nie przyzna.

- Naturalnie, że nie. Ale nie można wykluczyć, że tego nie zrobił. Donatti ma licznych wrogów. Może któryś z nich przyczynił się do zniknięcia Terry.

- Jest w tym jakiś sens - odparła Rina po namyśle.

Decker pocałował ją w czoło.

- Idź do łóżka. Pozwól mi się tym zająć, dobrze?

- Nie usnę, póki nie położysz się obok mnie.

- W takim razie nie uśniesz do rana. To zajmie dużo czasu.
- Nie szkodzi. Zaczekam. - Wzięła magazyn. - Mam tu pięćdziesiąt trudnych krzyżówek i jestem dopiero przy czwartej.

O trzeciej nad ranem Decker wstał z kanapy i zapukał do sypialni zajmowanej przez Gabe'a. Po chwili chłopak otworzył.

- Przyjechał?
- Sprawiasz wrażenie zdziwionego. - Kiedy Gabe nic nie powiedział, Decker pokręcił głową i oświadczył: - Nie, nie przyjechał i nie zadzwonił. Obawiam się, że w ogóle może się nie pojawić.

Gabe wrócił do pokoju, przysiadł na skraju łóżka Sammy'ego i położył ręce na kolanach. Decker usiadł naprzeciwko, na łóżku Jacoba. Między łózkami stała szafka nocna.

- Przykro mi.
- A mnie nie - wyznał Gabe. - Czuję ulgę.
- Ulgę?
- Mhm. - Chłopak skinął głową.
- Powiedziałem ci, że nie musisz z nim jechać.
- Prawdę mówiąc, musiałbym - odparł Gabe. - Jak Chris mówi „chodź”, trzeba przyjść. Ale nie pojawiając się tu, dokonał wyboru. Zyskałem chwilę wytchnienia.

- Postawiłeś mnie w trudnym położeniu. Co powinienem zrobić, jeśli się jednak pojawi?

- Panie poruczniku, gdyby tego chciał, już by tu był. Mój ojciec ma różne obsesje, między innymi na punkcie

punktualności. Nie pojawi się.

- Nie przeszkadza ci to?

- Nie, nie przeszkadza.

Decker przyjrzał mu się uważnie. Miał worki pod oczami, w ogóle wyglądał mizernie, jak ktoś udręczony.

- Naprawdę nigdy cię nie uderzył?

- Naprawdę. Nigdy. Ale to wcale jeszcze nie znaczy, że chciałbym z nim zamieszkać, a już szczególnie bez mamy. To szalenie.

- Dlaczego nie powiedziałeś mi tego na samym początku?

- Bo jeśli Chris chciałby się mną opiekować, pojechałbym z nim. Nie chcę go denerwować. To równoznaczne z samobójstwem. - Gabe zdjął okulary i potarł oczy. - Gdyby chciał mnie zabrać ze sobą, już by tu był. Ale prawda jest taka, że podrzucił mnie panu, panie poruczniku. Wie pan, że to zrobił.

- Zaproponowałem ci, żebyś u nas został, Gabe. Nikt cię nigdzie nie podrzucił.

Ale Gabe znał prawdę. Chociaż nie był pozbawiony środków do życia, przyszłość zapowiadała się niewesoło. Więc co się zmieniło?

- Znając mojego ojca, wiem, że przekaże jakieś pieniądze. To w jego stylu. Uważa, że forsa wszystko załatwia. - Spojrzał na Deckera. - Co teraz?

- Nie wiem, Gabe. Nie wybiegam myślami tak daleko do przodu.

- Nie zamieszkać z dziadkiem. Mama go nienawidzi. - Uniósł wzrok. - Czyli zostaje ciocia Missy. Jest dobra...

O wiele lepsza od rodziny zastępczej.

- Nikt nie umieści cię w rodzinie zastępczej, Gabe. To nie wchodzi w grę. Możesz zostać tutaj, póki sprawa się nie wyjaśni.

- Dziękuję. - Wytarł oczy, a potem znów włożył okulary. - Naprawdę dziękuję. Czy pana żona nie będzie miała nic przeciwko temu?

- Ma jeszcze bardziej miękkie serce ode mnie. Za późno, żeby myśleć, jak rozwiązać sytuację. Chodźmy spać, rano wszystko zobaczymy wyraźniej. - Decker się uśmiechnął. - Na mnie czeka praca, a na ciebie szkoła.

- Muszę jutro iść do szkoły?

- Tak.

- Jest wpół do czwartej nad ranem.

- Więc będziesz trochę niewyspany. Jestem pewien, że znosiłeś w swoim życiu gorsze rzeczy. - Wywołał tym uśmiech na jego twarzy. - Musisz chodzić do szkoły, bo musisz obracać się w normalnym środowisku, chociaż Hannah może mieć zastrzeżenia, czy jej szkoła to „normalne środowisko”. Jeśli pojedziesz z nią do szkoły, będę wiedział, gdzie przebywasz i że jesteś pod opieką, na wypadek gdyby pojawił się twój ojciec.

- Naprawdę źle się czuję, że wciągnąłem w to pana.

- Twoja matka zaginęła. To sprawa dla policji. Więc w nic mnie nie wciągnąłeś. - Położył mu dłoń na ramieniu. - Prześpij się trochę, dobrze?

- Dobrze. Dziękuję za wszystko.

- Proszę bardzo.

Gabe zagryzł usta.

- Cokolwiek to znaczy, mama naprawdę pana lubi. Zawsze powtarza, że bardzo żałuje, że to nie pan jest jej ojcem.

- Twoja mama jest bardzo dobra.

- I myślę, że Chris też pana lubi na swój pokrętny sposób.

- „Lubi” to niewłaściwe słowo. - Decker zastanowił się chwilę. - Może „szanuje”.

- Tak... To lepsze słowo.

Decker wstał.

- Powiem ci coś, Gabrielu. Kiedy twoi rodzice byli młodzi, niewiele starsi od ciebie, zakochali się w sobie do szaleństwa. Łatwo zrozumieć, dlaczego twoja mama straciła głowę dla twojego taty. Była młoda i naiwna, a twój tata nie tylko był przystojny i utalentowany, ale również potrafił każdego oczarować. Lecz musisz wiedzieć, że twój tata też stracił dla niej głowę. Zakochał się w niej bez reszty.

- Nadal ją kocha. Ma obsesję na jej punkcie. Dlatego nie sądzę, żeby ją skrzywdził. Wiem, że ją pobił, ale według mnie to był przypadek. Chociaż uważam, że jest szalony, nie sądzę, by ją zabił.

Decker skinął głową, chociaż wiedział, jak to jest. Pierwszy raz zawsze jest najtrudniejszy. Potem jest już tylko łatwiej i łatwiej.

- Coś panu powiem, panie poruczniku. - Gabe miał nieobecny wzrok. - Byłem dla ojca swoistym zabezpieczeniem, gwarancją, że mama zwiąże się z nim. Gdyby nie ja, myślę, że nie zdecydowałyby się na to. - Spojrzał na sufit. - Biedna mama. Miała zaledwie szesnaście

lat. Nie domyślała się, co ją czeka.

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

Idąc noga za nogą do kuchni z naręczem ubrań, Gabe czuł się, jakby jego dni były policzone. Chociaż bardzo się starał, nie udało mu się usnąć, i o szóstej rano się poddał. Zdziwił się, gdy zobaczył, że pani Decker już się krząta w kuchni. Miała na sobie dżinsową spódnicę i bawełnianą koszulkę z długimi rękawami, a na głowie chustkę. Hannah wytłumaczyła mu, że zamężne ortodoksyjne Żydówki ubierają się skromnie.

Nie był do tego przyzwyczajony.

Matki jego kolegów przypominały kocice, nosiły koszulki bez rękawów, minispódniczki i wąskie dżinsy. Czasami wkładały tak obcisłe sukienki, że przypominały drugą skórę. Wszystkie operacyjnie powiększały sobie biust. Nosiły długie włosy i się malowały. Chodziło im o to, żeby uwieść jak najwięcej nastoletnich chłopców. On zawsze stanowił największą zdobycz, bo był synem Donattiego. Ale chociaż próbowały, skutecznie się im opierał.

Za jego plecami nazywały go pedziem.

Pani Decker powitała go radośnie i uwolniła od naręcza ubrań. Wspaniale było znaleźć się koło dojrzałej kobiety, która nie próbowała go złapać za krocze. Miał okropny nastrój – był wściekły, czuł się porzucony i mdliło go. Najchętniej by w coś walnął, rozbił w drobny mak to, co znajdzie się na jego drodze. Ale doszedł do wniosku, że lepiej

uprać brudne ubrania, kiedy, jak sądził, wszyscy będą jeszcze spać.

- Naprawdę nie musi pani tego robić, pani Decker. W domu zawsze ja robię pranie.

- Ja też. - Znów się uśmiechnęła. - Gabe, wyglądasz na wykończonego. Czy chcesz jeszcze trochę pospać? Do szkoły mogłabym cię zawieźć po południu.

- Nic mi nie będzie. Ale dziękuję.

- Jesteś głodny?

- Nie bardzo. - Umilkł na chwilę. - Może poleżę jeszcze z pół godzinki.

- Świetny pomysł.

- No właśnie. - Znów urwał. - Dziękuję za gościnę i za wszystko.

- Nie ma sprawy. Pokój chłopców, tak czy owak, stoi pusty.

- Ile lat mają pani synowie?

- Dwadzieścia kilka. Starszy, Sammy, kończy medycynę i będzie miał staż w Nowym Jorku. Nie wiem, co u Jacoba. Jest z wykształcenia bioinżynierem, ale udziela ludziom pomocy prawnej. Zawsze robi to, co chce, nie zważając na to, co inni o tym myślą.

Gabe skinął głową.

- No tak... Cóż, jeszcze raz dziękuję.

Do kuchni wszedł Decker.

- Wcześniej wstałeś - powiedział do Gabe'a. - A może w ogóle się nie kładłeś?

- Nic mi nie jest. - Zapadła niezręczna cisza, ale Gabe dodał: - Tak czy inaczej, może trochę się zdrzemnę.

- Jesteś pewien, że nie chcesz się porządnie wyspać? - spytała Rina.

- Nie wolno mi. - Uśmiechnął się szczerze. - Rozkaz porucznika.

- Wiesz, że istnieje wyższy stopień od porucznika - skomentowała Rina. - Żona.

- Dziękuję, ale naprawdę nic mi nie będzie. No to na razie.
- Gabe wyszedł z kuchni, wiedząc, że jak tylko zniknie za drzwiami, porucznik i kobieta z wyższym stopniem zadecydują o jego losie.

- Czuję zapach kawy. - Decker usiadł za kuchennym stołem.

- Masz szczęście, że zaparzyłam tyle, że starczy dla nas obojga. - Podała mu parujący kubek. - Na co masz ochotę na śniadanie?

- Może sprawny umysł? - Uderzył się w czoło. - Co ja sobie myślałem, angażując się tak w sprawy Terry. Głupiec, głupiec, głupiec.

- Pete, przecież nie mogłeś jej zostawić na łasce losu. Czasami trzeba się mocniej zaangażować. I czy nie stało się dobrze, że tak właśnie postąpiłeś? Masz czyste sumienie, a Gabe dach nad głową. - Usiadła obok niego. - Mówiłam ci, że moi rodzice zaopiekowali się moją koleżanką, kiedy miałam piętnaście lat?

- Nie, nie mówiłaś. Co to za historia?

- Miałam przyjaciółkę. Jej ojciec od dawna nie żył, a matka popełniła samobójstwo, kiedy już się znałyśmy. Miała starszego brata i młodszą siostrę. Brat był już samodzielny,

młodsza siostrą zaopiekowali się jacyś krewni, ale moja przyjaciółka nie miała gdzie się podziać. Spytałam rodziców, czy może zamieszkać z nami.

- Co oni na to?

- Zgodzili się bez chwili wahania. Mieszkała z nami przez rok. Potem na dwa lata wyjechała na Wschodnie Wybrzeże. Następnie wróciła i mieszkała z moimi rodzicami jeszcze przez sześć miesięcy, kiedy ja już byłam mężatką. Nie było łatwo przebywać z nią pod jednym dachem. Czasami byłam wściekła na rodziców, że się na to zgodzili, chociaż sama ich o to poprosiłam. Czasami czułam się, jakby ktoś naruszył moją przestrzeń. Ale nigdy nie żałowałam, że ich poprosiłam. A moi rodzice zgodzili się, bo byli wspaniałymi ludźmi. Przeżyli Holocaust i doskonale wiedzieli, co to znaczy czuć się zagubionym.

- Co się później stało z tą dziewczyną?

- Dziwne, ale nie wiem. Straciłyśmy ze sobą kontakt. Nazywała się Julia Slocum. Nawet nie była Żydówką. Poznałam ją w kółku plastycznym, kiedy miałyśmy ze dwanaście lat. Bardzo się zaprzyjaźniłyśmy, bo była inteligentna i wesoła. Musiało jej być bardzo ciężko, ale nigdy tego nie pokazywała po sobie.

- Twoi rodzice są jak skała.

- To prawda. - Rina umilkła na chwilę. - Wiem, że wyszła za mąż i ma dzieci. Ale poza tym nic mi o niej nie wiadomo i tak naprawdę nigdy mnie nie korciło, żeby dowiedzieć się czegoś więcej. To była przyjaźń na tamten czas. Moi rodzice czuli się moralnie zobowiązani do pomocy, dlatego pomogli.

- Wiem, do czego zmierzasz.

Ujęła jego dłoń.

- Słusznie postąpiłeś, angażując się w to. - Urwała. -
A teraz przejdźmy do rzeczy. Co chcesz zrobić z Gabe'em?

- Pozwól, że tobie zadam to pytanie, moja droga. Co chcesz zrobić?

- Istnieją dwa rozwiązania, na krótką metę i na dłużej. Jeśli chodzi o to pierwsze, pozwolimy mu zostać z nami, mając nadzieję, że sprawy jakoś same się ułożą. Matka, ojciec albo oboje pojawią się i zabiorą go do domu.

- Podoba mi się to rozwiązanie. Ile czasu musi upłynąć, żeby rozwiązanie na krótką metę przerodziło się w problem, który wymaga podjęcia decyzji?

- Powiedzmy miesiąc.

- A jeśli przez ten miesiąc nic się nie zmieni?

- Wtedy uważam, że powinniśmy poczekać przynajmniej do końca roku szkolnego. A potem się zastanowimy, co dalej.

- Wtedy będzie już za późno, żeby się go pozbyć.

- Więc się go nie pozbędziemy. Ale może pojawią się inne możliwości. Założę się, że ma pieniądze. Może sąd pozwoli mu zamieszkać samodzielnie.

- Nie dostanie takiej zgody, przecież ma tylko czternaście lat.

- Tak, racja. Może ją dostać, gdy skończy szesnaście, siedemnaście lat. Jeśli będzie chciał się wprowadzić do własnego mieszkania, jak to zrobił jego tata, nic nie stoi na przeszkodzie. Albo może mieszkać trochę u swojej ciotki, trochę u nas. Nie wiem, jak będzie. Może nie doczekamy

takiej chwili. Może tak bardzo nie spodoba mu się u nas, że uda się gdzieś w nieznane. Pożyjemy, zobaczymy.

- Jak chcesz rozwiązać kwestię jego nauki szkolnej? Nie ma żydowskich korzeni, jest innej wiary.

- Będę musiała porozmawiać w szkole. Wolałabym, żeby chodził do szkoły Hannah, niż wysłać go do szkoły państwowej. Zapewnię mu tam lepszą opiekę. Z całą pewnością nie będzie brał udziału w lekcjach religii, ale nie sądzę, żeby były jakieś trudności, by kontynuował naukę przedmiotów świeckich. - Gdy Decker milczał, spytała: - Nad czym rozmyślasz?

- Nadal się zastanawiam nad rozwiązaniem długofalowym, Rino. Już nie mogę się doczekać, kiedy przejdę na emeryturę, będę bawił wnuki i podróżował, gdy Hannah wyjedzie na studia.

- Jestem pewna, że jego ciotka przyjmie go do siebie podczas naszej nieobecności. A jak często zamierzasz podróżować w sytuacji, kiedy twój wnuk w drodze?

- Nie o to chodzi. Jeśli Gabe zechce zamieszkać z nami, oznacza to jeszcze trzy lata wychowywania dziecka. W dodatku dorastającego chłopaka przeżywającego trudności. Ty jesteś jeszcze młoda, ale ja nie.

- Gdzie ty pójdziesz, tam ja pójde, kolego. Musimy być jednomyślni, bo to poważna decyzja. Ale nie musimy jej podejmować natychmiast. Więc powiedzmy mu, że może u nas zostać, póki wszystko się nie wyjaśni. Powinien mieć poczucie bezpieczeństwa. Nad resztą zastanowimy się później.

- Czy mamy włączyć Hannah w dyskusję na ten temat?

- Jej życie się zmieni, jeśli Gabe zamieszka z nami, ale uważam, że decyzja należy wyłącznie do nas. - Rina pocałowała go w czoło. - Może przejrzysz poranną gazetę?

- Jakbym i bez tego nie był wystarczająco przygnębiony. - Ale wziął gazetę, żeby poczytać o świecie, który był znacznie gorzej zorganizowany niż jego własne życie.

Pięć minut później Gabe pojawił się w kuchni.

- Cześć - powiedziała Rina. - Nie poleżałeś zbyt długo.

- Nie mogę sobie znaleźć miejsca.

- To zrozumiałe. Może zjesz grzanekę?

- Czy jest jeszcze kawa?

- Tak, częstuj się. I usiądź z nami. Może tobie uda się poprawić humor panu porucznikowi. Wygląda na przybitego.

- Sama dałaś mi gazetę - mruknął Decker zza papierowej płachty. - Jak mam się czuć po lekturze tych wszystkich przygnębiających wiadomości?

- Za bardzo bierzesz sobie wszystko do serca - skomentowała Rina. - Usiądź, Gabe. Zjedz trochę płatków śniadaniowych. - Postawiła przed nim miskę cheerios. - Smacznego.

Kilka minut później do kuchni weszła Hannah. Była zaspana i nie do końca ubrana. Włożyła niebieską spódnicę od mundurka szkolnego, ale wciąż była w górze od piżamy. Spojrzała na Gabe'a.

- Wciąż tu jesteś. - Było to stwierdzenie, nie pytanie.

- Przepraszam.

Hannah usiadła.

- Co się stało?
- Mój tata się nie pojawił. - Milczał przez chwilę. - Wielki szok.
- Możesz zostać tutaj, jeśli chcesz. - Spojrzała na rodziców.
- Nie macie nic przeciwko temu, prawda?
- Później o tym porozmawiamy - powiedział Gabe.
- Możesz tutaj zostać, Gabe - orzekła Rina. - Pan porucznik i ja już przedyskutowaliśmy sprawę. I na ten czas zapiszemy cię do szkoły Hannah.
- Współczuję - stwierdziła Hannah. - Będziesz chodził do mojej szkoły, chociaż nie masz nic wspólnego ani z Żydami, ani z naszą wiarą.
- Nie czuj się zmuszony do zamieszkania z nami, Gabe - dodał Decker. - Decyzja należy do ciebie, a my ją zaakceptujemy. Zastanów się i szczerze powiedz, co ci najbardziej odpowiada.
- Mogę tu zostać. - Gabe zdjął okulary i potarł zaczerwienione, szmaragdowe oczy. - Podoba mi się tu. Bardzo, bardzo państwu dziękuję.
- Decker wstał od stołu.
- W takim razie do zobaczenia wieczorem, o ile dobrzy ludzie w moim rewirze będą się zachowywali jak należy.
- Cześć, tato. Kocham cię.
- Ja też cię kocham, koteczku. - Pocałował jej ognistorude włosy. - Jedź ostrożnie. Och, i może zechcesz zmienić górę przed wyjściem z domu.
- Ha, ha.
- Muszę sprawdzić kilka rzeczy w komputerze, nim pójde

do pracy. – Rina pocałowała córkę. – Do zobaczenia w szkole. Jedź ostrożnie.

– Pa, pa. – Kiedy rodzice wyszli, Hannah zwróciła się do Gabe’a: – Dobrze się czujesz?

– W porządku, tylko jestem zmęczony.

– Pechowo się złożyło z twoim tatą.

– Szczerze mówiąc, tak jest lepiej. Znam twojego tatę od dwóch dni, ale lubię go o wiele bardziej niż własnego.

– Równy gość z mojego staruszka.

– Jesteś szczęściarą, że masz normalną mamę, tatę, braci i siostrę, regularnie jesz kolację i wszystko u ciebie gra jak należy.

– Tak, jestem szczęściarą. Kocham swoich bliskich. Ale nie jesteśmy normalną rodziną, Gabe, bo nie istnieje coś takiego jak normalna rodzina. Posłuchaj tylko... – Przysunęła się do Gabe’a, żeby ściszyć głos, by nie usłyszała jej matka. – Moja siostra jest z pierwszego małżeństwa mojego ojca, moi bracia są z pierwszego małżeństwa mojej matki. Moja mama poślubiła pierwszego męża, kiedy miała osiemnaście lat. Kiedy moi bracia byli jeszcze mali, zmarł na guza mózgu. Mój ojciec ich adoptował, a raczej został adoptowany. Moi dziadkowie ze strony ojca są bardzo religijnymi baptystami i najpewniej sądzą, że trafię do piekła, bo wyznaję wiarę żydowskich przodków. Ale kochają mnie, a ja kocham ich. Babcia Ida robi najlepsze pierogi na świecie... Brat ojca, wujek Randy, był żonaty trzy czy cztery razy. Rodzice matki uratowali się z Holocaustu, więc zawsze z tyłu czai się duch zagłady. Brat mojej matki mieszka w Izraelu i jest fanatykiem

religijnym. Jej drugi brat jest lekarzem, on i ciocia są bardzo fajni. Dwójka ich starszych dzieci też jest lekarzami, ale najmłodszy, odkąd ukończył szesnaście lat, ciągle trafia do ośrodków resocjalizacyjnych. Gdybym głębiej pokopała, prawdopodobnie natknęłabym się na więcej patologii.

Wzruszyła ramionami, milczała przez chwilę. Gdy Gabe nie skomentował jej wyznania, dodała:

- Przepraszam, że rozwiałam twoje złudzenia, ale jeśli chodzi o moją rodzinę, to świetnie do niej pasujesz.

ROZDZIAŁ SZESNASTY

Mając nadzieję, że uda mu się wygospodarować trochę czasu, by w spokoju przeczytać dziennik Adrianny od deski do deski, Decker zasiadł za biurkiem kwadrans po siódmej i zaczął przeglądać różowe karteczki z wiadomościami o telefonach do niego. Do większości osób mógł oddzwonić później, ale kilka spraw było pilnych. Kontaktował się koroner w sprawie Adrianny Blanc, dwa razy dzwoniła Kathy Blanc z pytaniem, kiedy wydadzą im zwłoki córki, również dwa razy Melissa McLaughlin, przyrodnia siostra Terry, zostawiono też wiadomość z West Los Angeles w sprawie Terry McLaughlin.

Najpierw zadzwonił do policji z Los Angeles, do detektyw Elizy Slaughter z wydziału osób zaginionych, która zajmowała się sprawą Terry. Miał szczęście, że zastał ją w pracy o tej porze.

- Zniknęła bez śladu, nie ma samochodu, nie ma nic - powiedziała. - Gdzie mogę złapać jej męża? Bardzo chciałabym z nim porozmawiać, a numer, który mam do niego, nie odpowiada.

- Ma pani kilka minut? - spytał Decker. - Powiniennem trochę opowiedzieć o tej sprawie, wtedy zrozumie pani, z kim mamy do czynienia.

Kilka minut przeciągnęło się do dwudziestu.

- O rety - wykrzyknęła Eliza. - Ładna historia. Naprawdę

jest płatnym zabójcą?

- Tak mi powiedziano.
- Więc dlaczego go nie ujęto?
- Jest świetny w swoim fachu.
- I regularnie pan z nim rozmawia?

- Nie, to nie tak. Kilka razy na przestrzeni lat. Jak już pani powiedziałem, miał do mnie przyjechać ostatniej nocy po syna. Nie wiem, gdzie teraz jest, ale wiem, że wcześniej czy później skontaktuje się ze mną, ze swoim synem lub z nami oboma.

- Trochę tego dla mnie za dużo jak na tak wczesną porę dnia. Mówi pan, że jego ojciec jest właścicielem burdeli?

- Ma kilka legalnych domów publicznych w Elko w stanie Nevada. Miał inne, nielegalne, w całych Stanach. Może je sprzedał, żeby kupić legalne. Nie śledzę jego działalności gospodarczej.

- W jaki sposób uzyskał zgodę na prowadzenie legalnych domów publicznych, jeśli jest zabójcą?

- Wszystkie są zarejestrowane na jego żonę. To jeden z powodów, dlaczego się pobrali.

- Czy mam zadzwonić na policję w Elko?

- Wie pani, zastanawiałem się nad tym. Jeśli Donatti dojdzie do wniosku, że go osaczamy, to zniknie na dobre. Według mnie najlepiej wziąć go na przeczekanie. Ale decyzja należy do pani.

- A co, jeśli zabił swoją żonę? Dlaczego miałby kręcić się w pobliżu, żeby wziął go pan na przeczekanie?

- Mógł ją zabić, ale fakt, że do mnie oddzwonił, może

świadczyć, że tego nie zrobił. Czy wczoraj udało się pani skontaktować z pracownikami hotelu?

- Rozmawiałam z recepcjonistką i asystentem... Chwileczkę, sięgnę po teczkę. - Potrwało to chwilę. - Harveyem Dulappem i Sarą Littlejohn. Oboje znają Terry dość dobrze, bo mieszkała w hotelu od jakiegoś czasu.

Decker wyjął notes.

- Kiedy widzieli ją ostatni raz?

- Nie przypominają sobie, żeby widzieli ją w niedzielę. Zapłaciła za cały miesiąc. Jeśli chce pan pojechać i rozejrzeć się po jej pokoju, nie ma sprawy, może pan to zrobić o każdej porze.

- Czy rozmawiała pani z kimś z parkingu? Może ktoś pamięta, że widział ją, gdy odjeżdżała...

- Nie miałam okazji porozmawiać z pracującymi tamtego dnia ludźmi, którzy odprowadzają samochody na parking. Jest również parking samoobsługowy, gdzie zatrudniają parkingowego. Prawdopodobnie tam zostawiła swoje auto. Dziś chcę ponownie się tam udać i ustalić, czy ktoś pamięta ją, jak wyjeżdżała po rozmowie z synem. Chce się pan ze mną spotkać w hotelu?

- Akurat prowadzę ważne śledztwo. Może znajdę czas po południu.

- Świetnie. Próbuję ustalić, co robił Donatti w niedzielę. O której godzinie opuścił pan hotel?

- Koło wpół do trzeciej. Razem z Chrisem poszliśmy na parking. Widziałem go, jak odjeżdżał czarnym lexusem rocznik 2009, GS 10 albo ES 10. Jak skończony idiota nie

zapisalem numeru rejestracyjnego.

- I juz nie wrócił?

- Jeśli nawet, to Terry nie zadzwoniła do mnie z tą informacją. Ale może po tym, jak spotkała się z nim i dostała to, na czym jej zależało, poczuła się na tyle bezpiecznie, by powtórnie się z nim spotkać, tym razem w cztery oczy.

- Naprawdę musimy z nim porozmawiać, panie poruczniku.

- Najpierw musimy go znaleźć. To wielka ryba, pani detektyw. Jeśli spróbujemy go zbyt szybko wyciągnąć, urwie się z wędki i ucieknie. Musi go pani najpierw zmęczyć.

- Dobrze, panie poruczniku. Jest pan nie tylko wyższy ode mnie stopniem, ale ma pan dłuższy staż pracy. Wierzę panu na słowo. O której godzinie chciałby się pan spotkać w hotelu?

- Może o drugiej po południu?

- Okej, pasuje mi. Spotkamy się na parkingu. Nadal szukamy samochodu Terry. Skoro, jak pan mówi, ten facet jest płatnym zabójcą, może postanowiła z nim zerwać.

- Całkiem możliwe, ale nie wyobrażam sobie, by porzuciła syna. - Decker umilkł. - Na pewno nie zostawiłaby go pod opieką Chrisa. Lecz myślę, że zgodziłaby się, by zamieszkał u mnie.

- Może dlatego chłopak jest teraz u pana. Do zobaczenia o drugiej.

Rozłączyła się. Decker potarł skronie. Następna w kolejce była Melissa McLaughlin. Podniosła słuchawkę po drugim sygnale.

- Mówi porucznik Decker. Jak się pani ma, Melisso?

- Wciąż nic nie wiadomo o mojej siostrze?

- Gdybym coś wiedział, natychmiast bym do pani zadzwonił. Nie znaleźliśmy jej.

- Zabił ją! Wiem to! Ten drań w końcu to zrobił!

Drań, który od czterech lat utrzymuje swoją szwagierkę, czyli odkąd Melissa zamieszkała sama, skonstatował w duchu Decker.

Słyszał, jak Melissa chodzi po pokoju tam i z powrotem.

- Czy ma pani jakieś wiadomości od Chrisa?

- Jak to?

- Czy dzwonił do pani?

- Dlaczego miałby do mnie dzwonić?

Powoli, nie śpiesz się, nakazał sobie.

- Melisso, nie można wykluczyć, że ją zabił. Ale równie prawdopodobne jest to, że tego nie zrobił i jej szuka. Mógł zadzwonić do pani, żeby uzyskać jakieś informacje.

- Jakie informacje?

- Czy nie ma pani jakichś wiadomości od Terry.

- Dlaczego miałabym je mieć, skoro ją zabił?

Decker westchnął w duchu.

- Może jej nie zabił. Może zniknęła bez jego udziału.

- Nigdy nie zostawiłaby Gabe'a. Wiecznie się bała, co Chris mógłby mu zrobić.

- Czy znęcał się nad Gabe'em?

- Nie powiedziała mi tego, ale Chris jest zdolny do wszystkiego.

Spróbuj z innej strony, pomyślał.

- Melisso, gdyby Terry chciała uciec... nie, nie twierdzę, że

to zrobiła... ale gdyby zamierzała uciec, wie pani, dokąd mogłaby się udać? Czy miała jakieś ulubione miejsce, gdzie chętnie spędzała wakacje?

- Wakacje! Dobrze sobie! Facet nie spuszczał jej z oka. Nie miała odrobiny swobody. Zaznała trochę wolności, kiedy przyjechała tutaj po tym, jak ją stłukł na kwaśne jabłko. A teraz zniknęła.

- Czyli nie zna pani żadnego miejsca, gdzie mogłaby przed nim uciec?

- Nie słucha mnie pan. Nie zostawiłaby Gabe'a... Przepraszam, mam drugi telefon.

- Proszę. - Decker wzniósł oczy. Cierpliwość jest cnotą, pomyślał. W sumie Melissa była jeszcze dzieckiem.

Usłyszał ją minutę później.

- Muszę wyjść. Znajdźcie tego drania, dobrze?

- Dobrze. Gdyby ten drań skontaktował się z panią, da mi pani znać?

- Jeśli zbliży się do mojego mieszkania, zadzwonię pod dziewięćset jedenaście.

- To dobry pomysł. Gdyby Terry się z panią skontaktowała, też proszę mi dać znać.

- Jeśli się ze mną skontaktuje, to tylko podczas seansu spirytystycznego. Bo według mnie może ze mną porozmawiać tylko z zaświatów. - Rozłączyła się.

Następna na liście była Kathy Blanc.

- Kiedy będziemy mogli wyprawić pogrzeb naszej córce? - spytała pogrążona w żalu matka.

- Muszę zadzwonić do lekarza sądowego - odparł Decker. -

Skontaktuję się z panią, jak tylko będzie zgoda na wydanie zwłok.

- A kiedy to będzie?

- Już niedługo. Najpóźniej pod koniec tygodnia.

- To bardzo długo.

- Spróbuję to przyspieszyć. Dziękuję za cierpliwość.

- Czy mam inne wyjście? - Kiedy nic nie powiedział, dodała: - Jak przebiega śledztwo w sprawie zabójstwa mojej córki?

- Przesłuchujemy jej przyjaciół i znajomych.

- A jeśli zrobił to ktoś inny?

Morderca z zewnątrz, przypadkowy, nasłany... Na początku śledztwa możliwości było mnóstwo.

- Sprawdzamy wszystko, również hipotezę, że zabójcą był ktoś, kogo nie znała. Wysłałam ekipę, żeby wypytała lokatorów osiedla, w którym mieszkała. Czy Adrianna skarżyła się kiedyś, że ktoś ją niepokoił... Może chodził za nią?

- Ktoś, kto mieszkał na jej osiedlu?

- Tak, jakiś sąsiad albo ktoś z pracy.

Nastąpiła chwila ciszy.

- Nie przypominam sobie, żeby choćby mimochodem coś o tym wspomniała. Ale była osobą bardzo otwartą, więc może ktoś błędnie wziął jej otwartość za coś więcej?

- Rozumiem - powiedział Decker. - Może wie pani przypadkiem, gdzie lubiła chodzić?

- Kocha filmy.

- A jeśli chodzi o restauracje? - A raczej restauracje

z barami, pomyślał, ale nie powiedział tego.

- Jej przyjaciółka Crystal pracuje w Garage'u w centrum miasta. Adrianna zaglądała tam czasami. Wiem również, że lubiła Marinę.

- A restauracje bliżej miejsca pracy? Wiem, że jej przyjaciółka Sela Graydon czasami chodzi do Ice.

- Naprawdę nie wiem, panie poruczniku. To była moja córka, nie kompanka od kieliszka.

- Rozumiem, pani Blanc, ale musiałem sprawdzić, czy pani coś o tym wie. Czy ma pani do mnie jeszcze jakieś pytania?

- Proszę się tylko dowiedzieć... kiedy możemy ją zabrać.

- Dobrze. Proszę dzwonić, jeśli będzie pani czegoś potrzebowała.

- Potrzebuję masę rzeczy, panie poruczniku, ale wątpię, czy może mi pan pomóc.

Marge zapukała we framugę otwartych drzwi i weszła do środka. Wyletniła się, chociaż dopiero zaczęła się wiosna. Włożyła lniane spodnie w kolorze écru, białą bluzkę i białe tenisówki. Postawiła na biurku Deckera kubeczek gorącej kawy.

- Dla ciebie.

Napił się, nie unosząc wzroku.

- Mm... Dobra. - Przesunął palcami po włosach, przygładził wąsy i uśmiechnął się do ulubionej sierżant. - Dziękuję.

- Nie ma za co. Wyglądasz na wykończonego, a dopiero dziesiąta rano.

- Oddzwaniam do różnych osób. - Gdy wskazał krzesło, Marge usiadła. - Adrianna poniosła śmierć w wyniku

uduszenia, ale na jej ciele nie znaleziono żadnych śladów poza pręgą od kabla elektrycznego. Żadnych siniaków, żadnych zadrapań, nic pod paznokciami. Według mnie zanim została powieszona, podano jej środek usypiający, a potem uduszono. Kabel wokół szyi mógł zatrzeć ślady uduszenia rękami.

- Znana jest zawartość żołądka?

- W chwili śmierci zawierał niewiele niestrawionego jedzenia. Zbadaliśmy krew na obecność alkoholu i otrzymaliśmy negatywny wynik. W organizmie nie stwierdzono również ani kokainy, ani marihuany. Jeśli chodzi o inne, bardziej nietypowe substancje, musimy poczekać na wyniki analiz laboratoryjnych.

- Stwierdzono ślady gwałtu?

- Nie znaleziono spermy, ale dzisiejsi psychole są sprytniejsi, jeśli chodzi o zostawianie dowodów. Mógł mieć prezerwatywę.

- Jakież oznaki uprawiania seksu?

- Nie pod przymusem.

- Lee Wang przegląda akta starych śledztw - poinformowała Marge - żeby się przekonać, czy są jakieś niewyjaśnione przypadki powieszzeń. Jak na razie nie natknął się na nic takiego.

- To osobliwy sposób zadania śmierci, wyłączając samobójstwa i powieszona o podtekście erotycznym, ale zwykle częściej się to przytrafia facetom niż kobietom. I na ogół wykorzystywany jest sznur, a nie kabel elektryczny. Znaleźliście jakiś stołek albo karton, na którym mogła

stanąć?

- Nie - powiedziała Marge. - Ale w pobliżu jej nóg były stosy desek. Powiem ci, czego się dowiedziałam. Oddzwoniło do nas przedsiębiorstwo energetyczne. Twierdzą, że nikt od nich nie był wczoraj w tej okolicy.

- Niedobrze. A jak idzie ustalanie miejsca pobytu Aarona Otisa?

- Zabawne, że pytasz.

- Znaleźliście go? - Decker usiadł prosto.

- W końcu postanowił odsłuchać wiadomości. Przed chwilą sobie z nim pogawędziłam.

- No i co?

- Aaron rozmawiał z Adrianną przez telefon. Jeśli damy mu wiarę, oto co mu powiedziała. - Marge zajrzała do notatek. - Poprosiła go, czyli Aarona, o przekazanie wiadomości Garthowi. Wiadomość brzmiała, cytuję: „Może się pieprzyć”. Następnie Adrianna oznajmiła, że ma dość pożyczania Garthowi pieniędzy, które wydaje na wyjazdy bez niej. Powiedziała również, że Garth może sobie darować dzwonenie do niej teraz czy kiedykolwiek, bo odłoży słuchawkę. Kiedy Aaron zaproponował, że poprosi Gartha do telefonu, rozłączyła się. Rozmowa trwała według niego jakieś dwie minuty. Z billingu wynika, że trwała dwie minuty pięćdziesiąt dwie sekundy.

Decker pomyślał chwilkę, po czym stwierdził:

- Skoro chciała zerwać z Garthem, dlaczego nie zadzwoniła do niego?

- Nie wiem, Pete. Aaron sądzi, że woląca mieć posłańca do

przekazania złych wieści, no i padło na niego.

- Przekazał Garthowi wiadomość?

- Tak, i tu zaczyna się robić ciekawie.

- Mów.

- Planowali tygodniowy spływ rzeką, ale postanowili go skrócić i spędzić dwa dni w Reno, żeby się rozerwać.

- Czyli się zgadza z tym, co ci powiedziała wczoraj Crystal.

- Tak. Adrianna zadzwoniła do Aarona kilka godzin przed planowanym wyruszeniem na spływ, czyli około ósmej rano.

- To również się zgadza.

- Aaron nie przekazał od razu wiadomości Garthowi, bo uznał... - Zajrzała do notatek. - Znów cytuję: „Po co psuć kumplowi humor?”. Ale po namyśle doszedł do wniosku, że lepiej mu o tym powiedzieć od razu, bo przecież Gartha mogła najść ochota, by zadzwonić do Adrianny. Później byłoby to niemożliwe, bo w głębi gór nie ma zasięgu.

- I?

- Nie spodziewał się takiej reakcji. Aaron powiedział, że „facet spanikował!”. Garth chciał natychmiast wracać do Los Angeles, ale pozostali dwaj nie mieli na to ochoty. Od jakiegoś czasu planowali ten wypad i starali się przekonać Gartha, żeby nie rezygnował. Jednak uparł się i koniec. Ta reakcja zaskoczyła Aarona. Od dawna się przyjaźnią i naprawdę nie sądził, że Garthowi tak bardzo zależy na Adriannie.

- No dobrze. Więc co zrobił?

- Według słów Aarona spakował się i pojechał taksówką na lotnisko.

- Czyli Aaron uważa, że wrócił do Los Angeles?
- Garth miał taki zamiar.
- Czy Aaron pamięta dokładnie, o której się rozstali?
- Przypuszcza, że koło dziewiątej rano. Aaron i Greg załadowali sprzęt i bagaże do samochodu i o dziesiątej udali się w góry. Po kilku godzinach zniknął zasięg, więc nie odbierał telefonów.
- Czyli koło... południa, może pierwszej po południu?
- Mniej więcej - powiedziała Marge. - Kiedy dotarli do miejsca, gdzie zamierzali rozbić obóz, stwierdzili, że rzeka bardzo przybrała. Poza tym było przeraźliwie zimno, więc zrezygnowali ze spływu. Spędzili noc pod namiotem i postanowili wracać do Reno. Jak tylko mieli zasięg, Aaron sprawdził pocztę. Podobnie jak Greg. Dowiedzieli się o Adriannie mniej więcej o jednej porze, bo wszyscy do nich wydzwaniali. Przestraszyli się, a już szczególnie bał się Aaron, bo miał telefony z policji, czyli od nas. Próbowali dodzwonić się do Gartha, ale nie odbierał ani komórki, ani telefonu stacjonarnego. Aaron mówi, że jest wstrząśnięty tym zabójstwem.
- Gdzie są teraz Aaron i Greg?
- Jadą do domu z Reno. Już ich poinformowałam, że muszą się zgłosić na posterunek. Że to poważna sprawa. Jak do tej pory starają się maksymalnie pomóc w śledztwie.
- I nie wiedzą, gdzie jest Garth?
- Nie mają pojęcia. Podzwoniłam do linii lotniczych, Oliver dzwonił do krewnych i przyjaciół Gartha, a Brubeck i Messing obserwują jego mieszkanie. - Zabrzęczał

blackberry Marge. Spojrzała na wyświetlacz. – Hm... Dobrze.

– Co to?

– Dostałam SMS-a. Wczoraj o dziesiątej dziesięć był lot z Reno do Burbank. Wylądował o jedenastej czterdzieści pięć. Pracownica linii lotniczych zgodziła się sprawdzić, czy Garth widniał na liście pasażerów. – Schowała telefon do kieszeni. – Oddzwonię do niej za jakiś czas.

– Jeśli Garth leciał tym lotem – powiedział Decker – nie miał zbyt dużo czasu.

– Wystarczy dusić przez sześć do dziewięciu minut, by nastąpił zgon – powiedziała Marge. – Według mnie miał masę czasu.

ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

Ponieważ połowa przedmiotów nauczania była związana z religią, Gabe miał dużo okienek, czyli ogólnie rzecz biorąc, nieźle.

O siódmej trzydzieści pięć odmawiano modlitwę poranną. Zwolniono go z niej.

Poza tym było coś, co nosiło nazwę „Gemara”. Hannah wyjaśniła, że to komentarze i objaśnienia tekstów rabinicznych.

Na to też nie musiał chodzić.

Angielski to angielski. Jedyna różnica polegała na tym, że na lekcji panował większy hałas niż w poprzedniej szkole Gabe'a. Gdyby jego koledzy z klasy tak pyskowali nauczycielom, jak ta żydowska młodzież, nie tylko zostaliby usunięci ze szkoły, ale ojcowie sprawiliby im porządne manto. St. Luke w założeniu był prywatną szkołą katolicką, ale tak naprawdę przechowalnią, póki chłopcy nie rozpoczną pracy w firmach swoich ojców, a dziewczyny nie zajdą w ciążę, wyjdą za mąż i się rozwiodą... Przepraszam, ich małżeństwo zostanie unieważnione. Zdarzali się zdolni uczniowie, którzy kontynuowali naukę na renomowanych uniwersytetach, ale większość trafiała do państwowych uczelni, o ile przedtem ich mózgi nie uległy kompletnej degeneracji w wyniku pijaństwa lub narkotyzowania się.

Jak na razie nowa szkoła była w porządku. Nikt nie

próbował z nim zadzierać i Gabe trzymał się z boku.

Po angielskim była historia narodu żydowskiego. Ponieważ prowadzono ją po angielsku, poradzono Gabe'owi, żeby na próbę przyszedł na lekcję. Mówiono na niej o Holocauście. Gabe przekonał się, że niektórzy mieli znacznie trudniej w życiu od niego. Rozmawiali o getcie w Warszawie, o którym nigdy nie słyszał.

Historia Ameryki to historia Ameryki.

Po lekcji matematyki stało się jasne, że szkoła o wiele bardziej stawia na inteligencję niż na tężyznę fizyczną. Mógł włączyć się do rywalizacji na tym polu, ale po co zawracać sobie głowę? Nie chodzi o to, że uczniowie byli dupkami, tylko w jego nieustabilizowanym życiu nastąpiła jeszcze większa tymczasowość, więc uznał, że nie ma sensu się integrować z pozostałymi uczniami. Dziewczyny prezentowały wszystkie typy urody. Zdarzały się brzydule i prawdziwe piękności. Mało było blondynek. Połowa brunetek miała jasną różaną cerę, połowa - oliwkową i czarne kręcone włosy. Typowa uroda śródziemnomorska, co mu nawet odpowiadało, bo dorastał wśród Włochów. Dziewczyny spoglądały na niego ukradkiem spod przymkniętych powiek. Nie okazywał zainteresowania nimi, bo po co?

Hannah była jedyną rudowłosą dziewczyną w szkole. Lubił ją. Czuł się przy niej swobodnie, nie zadawała pytań, miała cięty język i poczucie humoru. Ich znajomość pozbawiona była jakichkolwiek podtekstów erotycznych. Czuł się przy niej, jakby była jego starszą siostrą. Zdumiewało go, że

z taką łatwością zaakceptowała jego obecność. Wiedział, że gdyby się znalazł na jej miejscu, nie zdobyłby się na taką wspaniałomyślność.

Kolejna lekcja była poświęcona księgom Starego Testamentu. Prowadzono ją w języku hebrajskim, więc został z niej zwolniony. Miał ochotę pójść gdzieś i porządnie się wyspać, ale ponieważ był uzależniony od Hannah, jeśli chodzi o transport, nie miał wyboru, tylko musiał zostać w szkole. Poza tym gdyby nie pojawił się na biologii, ktoś mógłby to skomentować, a nie chciał sprawiać najmniejszych kłopotów.

Podczas przerw spróbował grać gamy, ale pianino nie było zbyt dobrze nastrojone, więc takiego perfekcjonistę jak Gabe aż bolały uszy. Owszem, nie miał nic przeciwko temu, żeby wykonać w innej tonacji *My Heart Will Go On*, ale Chopin zasługiwał na lepsze traktowanie. Nie znał się na strojeniu instrumentów, więc w końcu się poddał.

Po drugiej stronie ulicy mieścił się bar, gdzie mógł się napić kawy. Teoretycznie uczniom drugiej klasy nie wolno było opuszczać terenu szkoły, ale właściwie nikt tego nie pilnował. Z łatwością wymknął się ze szkoły i znalazł się na wolności, cokolwiek to znaczy.

Uszedł zaledwie kilka kroków, kiedy usłyszał, że ktoś gwizdże jakąś melodię. Po chwili znów i znów - w takim samym tempie, w takiej samej tonacji, tyle samo czasu.

Gabe nie bez powodu miał dobry słuch.

Zatrzymał się, ścisnął mu się żołądek, na chwilę stracił głowę. Nie ma sensu udawać, że niczego nie słyszał. Musiał

usłyszeć, skoro się zatrzymał. Pozostawało jedynie wybrać odpowiedni samochód, żeby nie wyjść na kretyna.

Wzdłuż krawężnika parkowały trzy auta. Honda accord nie wchodziła w grę - za przeciętna i zbyt wolna. Jaguar zbyt się rzucał w oczy i był w nieodpowiednim kolorze - wykluczone, żeby wybrać bładoniebieski samochód. Ostatnie było czarne audi A8 z 2008 roku. Dobry, w miarę zrywny, a co najważniejsze - wystarczająco duży, by pomieścić jego długie nogi i sto dziewięćdziesiąt trzy centymetry wzrostu. Szyby były przyciemnione, ale nie na tyle, by wzbudzić podejrzenia.

Gabe jednym skokiem znalazł się koło samochodu, otworzył tylne drzwi i wsunął się do środka. Spoglądał przez okno i liczył upływające sekundy. Wiedział, że jedyny sposób na Chrisa Donattiego to robienie uników.

Minęło dobrych pięć minut, nim jego ojciec przemówił:

- Wszystko w porządku?

- Tak. - Gabe skinął głową, wciąż patrząc prosto przed siebie.

Słyszał głośnie oddechy ojca. Nie poczuł alkoholu, czyli ojciec był trzeźwy, co jeszcze bardziej wzmogło lęk Gabe'a. Po chwili na jego kolanach wylądowała żółta koperta. Była zamknięta na metalowy zatrzask kilkakrotnie owinięty taśmą.

- Twoja metryka urodzenia, paszport, legitymacja ubezpieczenia społecznego plus dziesięć patyków w gotówce, dwie karty płatnicze i numery twoich kont bankowych - powiedział Donatti. - Na jednym z nich masz pięćdziesiąt

patyków. Możesz wypisywać czekii albo korzystać z karty płatniczej. Z drugiego będziesz mógł korzystać po ukończeniu osiemnastu lat. Jest na nim ze sto patyków. Z trzeciego konta będziesz mógł korzystać po ukończeniu dwudziestu jeden lat. To rachunek funduszu powierniczego. Są na nim dwa miliony. Powiernikiem jest bank. Jeśli będziesz wcześniej potrzebował pieniędzy, musisz tam się zwrócić.

- Nie wiem - ciągnął Donatti - na jak długo wystarczy ci pięćdziesiąt patyków, ale od czasu do czasu będę sprawdzał stan konta. W razie potrzeby zasilę je. Nie zabraknie ci pieniędzy.

Gabe nie dotknął koperty, tylko skinął głową.

- Jakieś pytania?

Spojrzał na kopertę, swoje zabezpieczenie na życie.

- Wyjeżdżasz z kraju?

- Gabe, w tej chwili jest taki pieprznik, że nie wiem, co robić.

Spojrzał na ojca, a po chwili znów odwrócił wzrok. Chris rzadko przypominał okaz zdrowia, ale teraz wyglądał wyjątkowo źle. Twarz porastała mu jasna szczecina. Oczy miały wszystkie trzy kolory flagi państwowej - czerwony, biały i niebieski. Czasami trudno było uwierzyć, że Chris ma zaledwie trzydzieści cztery lata. Ale kiedy się odstawił, był trzeźwy, wyspany i najedzony, ludzie brali ich za braci.

- Uznałem, że najlepiej, jak uporządkuję twoje sprawy, na wypadek gdyby coś mi się stało - powiedział Donatti.

- A co miałyby się stać? - spytał Gabe.

Donatti uśmiechnął się krótko.

- Żartujesz sobie?

Milczenie.

- Spójrz na mnie, Gabrielu. - Kiedy syn posłuchał, Donatti powiedział wolno i wyraźnie: - Nie... zabiłem... jej.

Gabe odwrócił wzrok.

- Rozumiem. - Milczenie. - Wierzę ci.

- Ale... - Donatti zbliżył pięść do ust, a po chwili ją cofnął. - Ale sprawa jest skomplikowana.

Milczenie.

- Wróciłem do hotelu... kiedy Decker odjechał... - Donatti przerwał na moment. - Jak cię traktuje?

- Jest w porządku.

- Rozmawiał z tobą o mnie?

Gabe przecząco pokręcił głową.

- Nie wierzę.

- Poprosił, żebym mu powiedział, jeśli skontaktujesz się ze mną. Ale ponieważ się nie skontaktowałeś...

- To o czym rozmawiacie?

- Z Deckerem?

- Tak, z Deckerem.

- Właściwie o niczym. Jeśli w ogóle rozmawiamy, pyta mnie o mamę. Czy sprawiała wrażenie zdenerwowanej, kiedy ostatni raz z nią rozmawiałem...

- Była zdenerwowana?

Gabe spojrzał na ojca.

- Właściwie nie, ale nie zwracałem na to uwagi. - Serce mocno mu waliło w piersiach. - Co się stało, Chris?

- Wróciłem, kiedy Decker odjechał. - Donatti zaczął się wiercić na fotelu. - Wpuściła mnie. Pokłóciliśmy się. I to bardzo, Gabe. Straciłem panowanie nad sobą.

- Znowu ją pobiliś?

- Nie, nie, nie. - Urwał. - Nie pobitem jej i z całą pewnością jej nie zabiłem. Żyła, kiedy wyszedłem z pokoju. Cholernie się bała, ale żyła.

- Dlaczego się bała?

- Bo jej powiedziałem, że jeśli nie wróci tam, gdzie jej miejsce, zaciągnę ją tam żywą lub martwą. - Donatti otarł ślinę, która zebrała się w kąciku ust, i zapalił papierosa. Palił tylko wtedy, kiedy był wykończony. - Z pewnością krzychałem. Znasz mnie, wiesz, że nigdy nie podnoszę głosu.

- To prawda.

- Nikt nie potrafi mnie tak wyprowadzić z równowagi jak twoja mama. Wie, jak mną manipulować, i tamtego dnia maksymalnie to wykorzystała. Kurde, poniosło mnie. Zacząłem wrzeszczeć. - Zaciągnął się dymem papierosowym. - A najgorsze jest to, że jeden z pieprzonych ogrodników, konserwatorów czy sam nie wiem kto taki, usłyszał, jak krzyczę. Zapukał do drzwi, spytał, czy wszystko w porządku.

- Zadzwoił na policję?

- Nie. Drzwi otworzyła twoja mama i zapewniła go, że wszystko w porządku. Ale tylko idiota by w to uwierzył. Facet wyraźnie chciał coś powiedzieć. Więc wkroczyłem i dałem mu pieniądze. Było tego z tysiąc dolarów. - Donatti się roześmiał. - Wziął pieniądze i problem został rozwiązany... Chwilowo. - Znow się zaciągnął dymem papierosowym. -

Wiedz, że nie lubię Deckera. Uważam go za aroganckiego i zadufanego w sobie łobuza, któremu sprawia przyjemność znęcanie się nade mną. Ale jest dobrym gliną. Jak myślisz, ile czasu minie, nim znajdzie tego głupka?

Gabe milczał.

- Dowie się, że się z nią pokłóciłem. Dowie się, że jej groziłem. I na dodatek zniknęła. - Znów się zaciągnął. - Poszlaki... Bo nie ma ciała, a bez ciała nie można niczego udowodnić. Gdyby mnie oskarżono, mój adwokat będzie utrzymywał, że uciekła i gdzieś się ukryła. Ale na dwoje babka wróżyła, uwzględniając fakt, że niedawno twoja matka poznała siłę moich ciosów. Równie logiczne jak to, że się ukrywa, jest to, że ją zabiłem. Sędziowie są nieprzewidywalni, więc wolę nie ryzykować. - Strząsnął popiół do papierowego kubeczka. - Jeśli postanowiła ode mnie uciec, znajdę ją. Nie ma ze mną szans.

Gabe spojrzał na niego, ale szybko odwrócił wzrok.

Donatti głośno wypuścił powietrze.

- Chciałem powiedzieć, że potrafię znaleźć każdego. I kiedy ją znajdę, nie zrobię jej krzywdy. Chcę tylko, żeby mnie wysłuchała. Muszę... No wiesz... wszystko naprawić.

Gabe skinął głową, chociaż wątpił, czy tak samo rozumieją zwrot „wszystko naprawić”.

- Lecz nie można wykluczyć, że spotkało ją coś złego... - Donatti wrzucił niedopałek do kubeczka. Była w nim woda, więc rozległo się skwierczenie. - Muszę wiedzieć, co ją spotkało. Jeśli coś złego, to muszę wiedzieć, kto ją skrzywdził. I na swój sposób zemścić się na tym łobuzie. Jak

mam tego dokonać, jeśli mnie wsadzą za kratki?

Gabe gapił się na żółtą kopertę – plik kartek stanowiących podsumowanie jego życia.

- Rozumiesz to, prawda?

- Jasne.

- I nikomu nie piśniesz ani słówka?

- Jasne.

- Powtórz to, patrząc mi w oczy.

Gabe spojrzał ojcu w oczy.

- Jeśli nie skrzywdziłeś mamy, nigdy cię nie wydam. Jesteś moim ojcem.

- Cokolwiek to znaczy.

- Dla mnie to ma znaczenie.

- Nienawidzisz mnie?

- Czasami. A czasami cię kocham. Na ogół staram się nie wchodzić ci w drogę.

Donatti przyjrzał się jego twarzy.

- Wiesz, że twoje poczęcie to była wpadka, ale nie żałowałem tego.

- Dzięki.

- No więc jak zamierzasz to wyjaśnić Deckerowi? - Donatti wskazał kopertę.

- Nim opuściłem hotel, wyjąłem wszystko z sejfów i wsadziłem do plecaka.

- Co było w sejfie?

- Bizuteria mamy i dużo gotówki. Ale rzecz w tym, że pan porucznik nie wie, co wziąłem z sejfów.

- Ile gotówki?

- Nie wiem. Nie liczyłem.

- Jak sądzisz?

- Może pięć tysięcy dolarów. W setkach. Mam ci je oddać?

- Nie, nie chcę ich. - Zapalił kolejnego papierosa. - Niedobrze, jeśli zostawiła gotówkę. - Zaciągnął się głęboko.

- Chociaż z drugiej strony, na jak długo starczyłoby jej pięć patyków? Kurde! Naprawdę nie daje mi to spokoju. Nie mogę spać, nie mogę jeść, nie mogę pracować, nie mogę myśleć. Chyba nawet nie udałoby mi się celnie wystrzelić. Mam wielu wrogów, Gabe. Zawsze oglądam się za siebie. Muszę być czujny. Muszę się dowiedzieć, co się z nią stało. Nie mogę normalnie funkcjonować, póki tego nie wyjaśnię. - Urwał. - Ta rozmowa zostanie między nami, dobrze?

- Jasne.

- Nie wierzę ci - powiedział Donatti. - Nie dlatego, że jesteś nieuczciwy, ale dlatego, że jesteś zbyt uczciwy. Jakoś się z tym zdradzisz.

- Umiem kłamać. - Spojrzał na ojca. - Miałem najlepszych nauczycieli.

- Tak sądzisz? - Donatti się roześmiał. - Nieodrodny syn mamusi. Gdybyś nie miał tak dobrego słuchu, gotów byłbym przysiąc, że twoja mama przespała się z jakimś innym wysokim facetem, kiedy mnie zamknęli. Gabe, twoja twarz jest jak otwarta księga i jeśli ja potrafię w niej czytać, to Decker też.

- Przysięgam, że nic mu nie powiem. Czego jeszcze chcesz ode mnie?

Donatti przez dłuższą chwilę milczał, nim powiedział:

- Daj mi trzy dni, żebym zniknął. Za trzy dni nikt nie trafi na mój ślad. Zgoda?

- Zgoda.

- Potem chcę, żebyś mu przekazał, o czym rozmawialiśmy. Powiedz mu, że przyjechałem, by dać ci to wszystko, co ci dałem. I powiedz mu, że tego, o co mnie podejrzewa, nie zrobiłem. Ale nie mów mu o kłótni ani o tym gościu, któremu zapłaciłem za milczenie. Niech sam do tego dotrze. Zgoda?

- Zrobię, co chcesz, Chris. Ty dyktujesz warunki.

- Właśnie tego chcę.

- Zrobię i powiem, co tylko zechcesz, o ile nie skrzywdziłeś mamy.

- Kiedy się z nią rozstałem, żyła. Przysięgam na grób swojej matki, że to prawda.

- W takim razie układ stoi.

Donatti położył mięsistą dłoń na ramieniu syna.

- Poradzisz sobie?

- Nic mi nie będzie. - Prawdę mówiąc, poczuł ulgę, usłyszawszy wyznanie ojca. Naturalnie mama wciąż się nie odnalazła, ale w tamtej chwili najbardziej mu odpowiadało uwierzyć w to, co właśnie usłyszał.

Donatti ostatni raz zaciągnął się i wrzucił niedopałek do kubeczka.

- Wiesz, że jesteś w dobrych rękach. Lepiej ci będzie u Deckerów niż ze mną. Obaj o tym wiemy.

- Z tobą też byłoby mi dobrze, Chris. Zawsze jakoś sobie radzę.

- Ta dziewczyna, z którą cię widziałem, to córka Deckera,

prawda?

- Tak.

- Powinieneś ją przelecieć.

Gabe poczuł, jak robi się czerwony na twarzy.

- Wolę nie.

- Dlaczego nie? - Donatti umilkł na chwilę. - Jesteś pedziem?

- Nie, nie jestem pedziem.

- Byłoby mi to obojętne, gdyby się okazało, że jesteś.

- Wiem o tym. - Nie kłamał. Jego ojciec był prawdopodobnie biseksualistą. Często, kiedy jego mama pracowała do późna albo wyjeżdżała, Gabe widział, jak zabierał do swojej sypialni młodych chłopców i dziewczyny „pracujących” dla niego. Chris Donatti pieprzył wszystko, co się rusza.

- Nadal jesteś prawiczkiem?

- Czy możemy zmienić temat?

- Tak czy nie?

- Chris, żaden chłopak z mojej szkoły nie jest prawiczkiem po skończeniu czternastu lat. - To też była prawda. Związany z tym był cały rytuał. Jedną z uczennic starszych klas szkoły St. Beatrix robiła to w samochodzie. Jego pierwszy raz był równie nieskomplikowany, jak zagranie na pianinie *Heart and Soul*. Spodobał jej się i zaproponowała, że zrobi to z nim jeszcze raz. Śmiesznie wyglądała, ale i tak się zgodził. Gabe, podobnie jak jego tata, nigdy nie narzekał na brak powodzenia u dziewcząt.

Usłyszał koniec pytania Chrisa:

- ...nie chcesz jej przelecieć?

Spojrzał prosto w zimne, puste oczy ojca. Choć wydawało się to niemożliwe, kiedy Chris był zły, stawały się jeszcze bardziej lodowate.

- Wiesz co, tato, nie zawsze chodzi o seks.

- Mylisz się, Gabrielu. - Donatti przesunął dłońmi po swojej zarosniętej twarzy. - Zawsze chodzi o seks.

ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

Parking samoobsługowy znajdował się po drugiej stronie hotelu. Ot, trochę asfaltu rozsmarowanego na szczycie góry jak masło na babeczce. Niezabudowane działki w Bel Air są na wagę złota i było jedynie kwestią czasu, nim jakiś koncern wpadnie na pomysł zagospodarowania tego terenu.

Zdaje się, że ta chwila już nadeszła.

Decker przeczytał zawiadomienie wywieszone obok stanowiska parkingowych. Informowało o zamknięciu hotelu z powodu remontu i dziękowało lojalnym gościom za korzystanie z usług. Spytał parkingowego w jasnoniebieskiej koszuli, kiedy ma zacząć się remont. Wysoki młodzieniec o imieniu Skylar odparł:

- Planują modernizację hotelu, która potrwa parę lat. Czym mogę panu służyć?

- Umówiłem się tu z kimś. - Po chwili Decker się zorientował, że parkingowy pracował w ostatnią niedzielę. - Ale skoro już tu jestem... - Wyciągnął odznakę. - Próbuję odszukać kobietę, która zatrzymała się w hotelu razem z synem. - Wyjął kilka zdjęć, które ściągnął ze strony Gabe'a na Facebooku. Nie były najlepszej jakości, ale widać było na nich twarze Terry i jej syna. - Mieszkała w hotelu przez sześć tygodni.

Skylar przyjrzał się odznace, a potem zdjęciom. Energicznie poruszał szczękami, żując gumę.

- To pani McLaughlin.
- Zgadza się.
- Próbuje ją pan odszukać?
- Owszem.
- Zaginęła?
- Może zaginęła, a może wyjechała z miasta. Jeszcze tego nie ustaliliśmy.
- Dlaczego policja się nią interesuje?
- Na prośbę syna.
- Och. - Skylar oddał zdjęcia Deckerowi. - Była urocza. - Umilkł na chwilę. - Znaczy się miała uroczy sposób bycia. Ładna, ale przede wszystkim bardzo miła. Dawała nam napiwki, chociaż nigdy nie korzystała z naszych usług. Parę razy pomogłem jej zanieść jakieś rzeczy z zaparkowanego samochodu do pokoju hotelowego. Dała mi wtedy napiwek w podwójnej wysokości, chociaż powiedziałem jej, że nie musi tego robić.

Decker wyciągnął notes.

- Może pamięta pan, kiedy pan ją zobaczył po raz pierwszy?
- Nie wiem... Może z miesiąc temu.
- Jak wyglądała?
- Jak wyglądała? - Nie czekał na bliższe wyjaśnienia. - Miała na policzkach i pod okiem parę siniaków... I spuchnięte usta. Często przyjeżdżają tu osoby, żeby się zregenerować po operacji plastycznej. Nie wiem, jak wyglądała przedtem, ale operacja musiała się udać. Piękna z niej kobieta.

Decker nie wyprowadził go z błędu.

- Skąd się pan dowiedział, jak się nazywała?

- Przedstawiła się. Powiedziała, że zatrzymała się w hotelu na jakiś czas, żeby odpocząć. Przykro mi, że...

- Tak, rozumiem. - Decker skinął głową. - Czy kiedykolwiek sprawiała wrażenie zatroskanej, zmartwionej?

- Nie wydaje mi się. Zawsze była miła.

- Była tu z synem. Ale czy kiedykolwiek widział ją pan z kimś innym?

Podjechał srebrny rolls-royce phantom. Skylar przeprosił na chwilę, pozdrowił kierowcę i odprowadził wóz na parking. Po chwili był z powrotem i zwrócił się do Deckera:

- Co pan chce wiedzieć? - Gdy porucznik powtórzył pytanie, zamyślił się. - Nie, nie przypominam sobie, żebym ją widział z kimś innym poza chłopakiem. Ma z piętnaście lat, prawda?

- Mniej więcej.

- Spokojny dzieciak. Miała zwyczaj zagadywać do pracowników hotelu, mówiła: „Cześć, Skylar, jak tam przesłuchania?” albo „Kiedy zobaczę twoje nazwisko na afiszu?”. Takie tam, po prostu chciała zaznaczyć, że uważa nas za ludzi. Syn... - Parkingowy zastanowił się. - Ma na imię Dave?

- Gabe.

- Ach tak.

Czerwone ferrari z wyciem silnika zajechało przed hotel. Skylar z uśmiechem wręczył kierowcy kwit. Zaparkował narowisty wóz i przybiegł do Deckera.

- Dzieciak był spokojny. Kiedy matka do nas zagadywała, stał zmieszany. No wie pan, jak to zdarza się nastolatkom w obecności rodziców. Ładny z niego chłopak. - Pstryknął palcami. - Grał na pianinie.

- Skąd pan o tym wie?

- W holu stoi pianino. Kierownictwo hotelu pozwalało mu na nim grać, kiedy nikogo nie było w pobliżu. Słyszałem go parę razy. Jest niesamowity, prawdziwy zawodowiec. - Skylar spojrzał z niedowierzaniem. - Naprawdę zaginęła?

- Staramy się ustalić miejsce jej pobytu.

- A co z Gabe'em?

- Zatrószczono się o niego. - Decker pokazał mu zdjęcie Donattiego. - A jeśli chodzi o tego mężczyznę? Widział go pan?

Skylar uważnie przyjrzał się zdjęciu.

- Być może widziałem go parę dni temu.

- Być może? Hm... Czyli kiedy? W sobotę? W niedzielę?

- Pewnie w niedzielę.

- Pamięta pan, o której godzinie?

- Gdzieś tak koło południa. Serwujemy o tej porze wczesny obiad i zwykle na parkingu jest dużo samochodów. Ale chyba ten facet nie zajechał przed hotel samochodem. Zapewne skorzystał z samoobsługowego parkingu znajdującego się naprzeciwko.

- Czy wydaje pan pokwitowania na samochody pozostawione na parkingu samoobsługowym?

- Tak, ale nie gościom, którzy zatrzymują się w hotelu na dłużej. Wtedy opłata jest doliczana do dobowej ceny pokoju,

więc wydawanie kwitów miałyby się z celem.

- Ale jeśli ktoś tylko korzysta z restauracji, wtedy dostaje kwit?

- Tak, na ogół.

- Proszę jeszcze raz przyjrzeć się zdjęciu. Czy może mi pan coś powiedzieć o tym mężczyźnie?

Skylar przez chwilę wpatrywał się w fotografię.

- Był wysoki... Chyba niósł kwiaty.

Czyli to był Chris.

- Widział go pan, kiedy odjeżdżał?

- Nie, raczej nie. - Dostrzegł na podjeździe śliwkowego astona martina. - Ale skończyłem pracę o trzeciej, więc może odjechał później. Proponuję, żeby porozmawiał pan z którymś z moich kolegów pracujących na parkingu samoobsługowym.

- Który z nich pracował w niedzielę?

- Nie mam pewności. Trent albo Alex. Od trzeciej chyba Alex. Przepraszam na chwilkę.

Kiedy Decker czekał, aż Skylar odprowadzi astona martina, zauważył niską i drobną brunetkę, która machała do kogoś. Też jej pomachał, chociaż nie był pewien, czy machała do niego. Miała na sobie czarny kostium i czerwoną bluzkę, a na nogach pantofle na niskim obcasie. Szybkim krokiem maszerowała przez parking, niosąc teczkę.

Kiedy Skylar wrócił, Decker spytał:

- Czy pani McLaughlin rozmawiała z kimś innym poza panem?

- Rozmawiała z nami wszystkimi z parkingów, pewnie też

z pozostałymi pracownikami hotelu. Była bardzo miła.

- No dobrze. Na koniec jeszcze jedno pytanie. Kiedy widział ją pan po raz ostatni?

- Hm... - Zamyślił się, odwracając w palcach bloczek z kwitami parkingowymi. - Nie przypominam sobie, żebym ją widział w niedzielę. - Spojrzał na Deckera. - Ale nie jestem pewien. Przykro mi.

- Bardzo mi pan pomógł. - Decker uściśnął mu dłoń. - Wielkie dzięki. Mam nadzieję, że zatrudnią pana po remoncie.

- Wszystkich zwalniam - powiedział Skylar z goryczą i smutkiem. - Próbują pozbyć się związków zawodowych z hotelu, a jedynym sposobem na to jest zamknięcie hotelu na dwa lata. Ale proszę się o mnie nie martwić. Jak powiedziała pani McLaughlin, pewnego dnia zobaczy pan moje nazwisko na afiszu.

Gdy przyjrzał się z bliska Elizie Slaughter, uznał, że mierzy z metr pięćdziesiąt, może z centymetr na dokładkę, waży ze czterdzieści kilogramów, a kości musi mieć tak delikatne jak ptaszek.

- Kurczę! - wykrzyknęła. - Ile pan mierzy? Metr dziewięćdziesiąt pięć?

- Metr dziewięćdziesiąt trzy.

- Wyglądam przy panu jak kijek narciarski. Przepraszam za spóźnienie - powiedziała, stojąc z zadartą głową. - Był okropny ruch.

- Nie ma sprawy.

Z twarzy też przypominała elfa. Miała krótkie cienkie

włosy, kolczyki w kształcie dużych kół, różowe policzki. Nosiła bardzo delikatny makijaż, a paznokcie miała obcięte na krótko. Przedstawił ją Skylarowi, który przeprosił ich, by odprowadzić na parking maserati.

- Bardzo mi pomógł.

Decker powtórzył rozmowę z parkingowym, kiedy szli przez kładkę, a potem ruszyli alejką wijącą się wśród bujnej tropikalnej roślinności rosnącej w całej swej wiosennej krasie w donicach i pojemnikach. Niektóre kwiaty miały ostry zapach, inne słodki, a z zielonych liści kapłała woda po niedawnym zamgławianiu.

- Dowiedziałem się, że Terry była bardzo miła, więc powinniśmy porozmawiać z personelem. Nawet z tymi pracownikami, którzy mieli wolne w niedzielę. Może uda nam się uzyskać ich listę od kogoś z recepcji.

- Nie wiem, czy będą skłonni do pomocy. Pewnie powołają się na prawo gości do anonimowości.

- Jeśli kierownictwo hotelu będzie ściśle przestrzegać regulaminu, to owszem - zgodził się z nią Decker. - Ale z drugiej strony zamykają hotel, więc może potraktują nas mniej formalnie. Poprosimy o listę wszystkich pracowników, której nie otrzymamy. Potem poprosimy o listę tych, którzy pracowali w niedzielę, i chyba ją dostaniemy. Po obejrzeniu apartamentu Terry wstąpmy do biura. Tak naprawdę koniecznie powinniśmy porozmawiać z Alexem albo Trentem, pracownikami z parkingu samoobsługowego. Ponieważ Terry oficjalnie uznana została za zaginioną, po pierwsze, powinienem ustalić, czy ktoś pamięta, jak wyjeżdżała swoim

samochodem. Po drugie, jeśli ktoś widział ją, jak odjeżdżała, czy była sama. Po trzecie, jeśli nie była sama, to kto jej towarzyszył. Po czwarte, czy ktoś pamięta, jak Chris Donatti przyjechał, odjechał i wrócił, a po piąte, jeśli to wszystko zapamiętali, o której to było godzinie.

- Musieliby mieć wyjątkowo dobrą pamięć.

- Może parkingowy nie zwrócił uwagi na Chrisa, ale założę się, że zapamiętał Terry. Zatrzymała się w hotelu na dłużej i jak już powiedziałem, okazała się bardzo miłą osobką.

Zatrzymali się przed drzwiami do apartamentu Terry. Ponieważ zapłaciła do końca miesiąca, karta-klucz, którą Decker dostał od Gabe'a, nadal działała. Tego wieczoru, kiedy Terry wyjechała czy zniknęła, Decker polecił, żeby nikt nie wchodził do jej pokoju i nie sprzątał. Zresztą może nie tyle polecił, co zdołał osiągnąć taki kompromis z niezbyt skorym do współpracy pracownikiem hotelu. W zamian za to obiecał, że nie naklei na drzwiach policyjnej taśmy.

Pokoje wyglądały identycznie jak wtedy, kiedy opuścił je razem z Marge. Z uwagi na wysoką temperaturę było w nich duszno. Decker otworzył drzwi na patio i wyszedł na zewnątrz. Obejrzał rośliny wokół wybrukowanego placu. Były to azalie, niecierpki, gardenie i kamelie. Szukał czegoś, co świadczyłoby o kłótni lub bójce, czyli złamanych gałęzi, podeptanych krzaków, śladów butów na ziemi. Gdy przekonał się, że wszystko jest w idealnym stanie, wrócił do środka.

Eliza była w łazience.

- Apteczka jest pusta.

- Zabraliśmy z niej wszystko.

- Co w niej trzymała?

- Advil, tylenol, benadryl, a z leków na receptę ambien i vicodin. Kupiony dwa miesiące temu, do połowy zużyty. Nie sądzę, żeby brała go ostatnio. Chce pani, żebym to wszystko podrzucił do West Los Angeles?

- Nie, może to pan zatrzymać u siebie w magazynie dowodów rzeczowych - powiedziała Eliza. - A pigułki antykoncepcyjne?

Decker uniósł brwi.

- Nie znaleziono.

- Od jak dawna jest ze swoim mężem?

- Nie wiem dokładnie, kiedy wzięli ślub, ale znają się od szesnastu lat.

- Musi coś brać, żeby nie zajść w ciążę, nie sądzi pan?

- Prawdę mówiąc, właśnie to sprawiło, że Donatti stracił panowanie nad sobą. Sądził, że usunęła ciążę. Okazało się, że zapłaciła za aborcję przyrodniej siostry.

- Czyli próbowali lub...

- Kto wie? Najwyraźniej nie chciał, żeby usunęła ciążę. - Decker zastanowił się chwilę. - Terry zamierzała wynająć dom w Beverly Hills. Nakłoniła Donattiego, żeby płacił za wynajem, chociaż nie zgodziła się, by na stałe z nią zamieszkał.

- I jej mąż, płatny zabójca, potulnie wyraził zgodę?

- Chris był bardzo skruszony. - Decker przygładził wąsy. - Natomiast Terry nie zażądała pełnej separacji. Zaznaczyła, że dostanie klucz i może ją odwiedzać, kiedy tylko zechce.

Dała do zrozumienia, że będą dzielili sypialnię podczas jego pobytów w jej domu.

- Czyli najpewniej stosuje antykoncepcję, skoro sypiają ze sobą.

- Albo chciała, żebyśmy razem z Chrisem uwierzyli, że nadal pozostaną w związku.

- Przypuszcza pan, że pana oszukała?

- Nie, nie oszukała. Może próbowała przekonać takich ludzi jak ja, że spotkało ją coś traumatycznego. Może sobie to zaplanowała? Wiedziała, że nigdy więcej nie zobaczy się z Chrisem Donattim, więc wyrzuciła pigułki.

- I uważa pan, że zwyczajnie wyszła z hotelu i wyjechała bez syna?

- Cóż, to bardzo dziwne. Nie można wykluczyć, że Donatti wrócił i ją załatwił.

- Załatwił? Znaczący się zabił?

- Być może. Nie wiem. Kiedy byłem świadkiem ich rozmowy, nie miał nic przeciwko wynajęciu domu, ale może tylko udawał. - Rozejrzał się po pokoju. - Jeśli Terry opuściła hotel z Chrisem, nic nie świadczy o tym, że zmusił ją do tego.

- Sądzi pan, że mógł ją zabić tutaj i nie zostawić żadnych śladów?

- Zwykle coś zostaje, ale... Jest dobry w tym, co robi. Razem z Marge obejrzelśmy dywany, ściany, listwy przypodłogowe, gzymsy. Sprawdziliśmy łazienki, umywalki i odpływ wanny. Nie znaleźliśmy choćby śladu krwi, a także niczego, co świadczyłoby, że ktoś dokładnie posprzątał. Żadnego zapachu środków czyszczących, żadnych

brakujących ręczników, pustych opakowań po chusteczkach jednorazowych.

- Nie ma jej samochodu - powiedziała Eliza. - Jeśli zniknęła na dobre, to znaczy jeśli nie żyje, to pigułki raczej powinny tu zostać z innymi lekami.

- A może uciekła z innym mężczyzną? Choć Donatti mocno ją kontrolował, a nawet śledził, więc nie wiem, jak mogłaby kogoś poznać.

- Ale nawet najbardziej gorliwy prześladowca nie pilnuje swojej ofiary na okrągło. Co ma do powiedzenia na ten temat jej syn?

- Wydaje się szczerze zaskoczony jej zniknięciem. Może go nie wtajemniczyła w swoje zamiary.

- Albo niczego nie planowała - powiedziała Eliza. - Donatti wrócił i ją zamordował.

- Albo zabił ją ktoś inny. Póki nie znajdziemy ciała, nie dowiemy się, z czym mamy do czynienia. - Po raz ostatni rozejrzał się po pokoju. - Nie sądzę, żebyśmy coś tu znaleźli. Przekonajmy się, co personel ma do powiedzenia o sympatycznej doktor McLaughlin i jej spokojnym synu.

ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY

Wielką zaletą grania na instrumencie jest to, że to zajęcie całkowicie człowieka pochłania. Kiedy Gabe grał, nie miał sił, żeby zajmować się czymkolwiek innym. Kiedy grał, przenosił się gdzieś indziej. Był tak skupiony na tym, co robi, że potrafił całkowicie odizolować się od świata. Niestety miał tylko godzinę, by pobyć w całkowitej samotności, nim Hannah i reszta przyjdą na zajęcia chóru. Czuł się tak bardzo wyczerpany nerwowo, że najchętniej cały tydzień spędziłby sam na sam z panem Steinwayem.

Pierwsza pojawiła się Hannah i natychmiast podeszła do niego.

- Cześć. - Usiadła obok niego przy pianinie. - Gdzie się podziewałeś?

Gabe'owi zrobiło się gorąco.

- Ktoś zauważył moją nieobecność?

- Owszem, ja. Niepokoiłam się.

- Dlaczego? - zdziwił się.

Taka reakcja z kolei zdziwiła Hannah.

- Po tym, co spotkało twoją mamę, sądziłam, że będziesz ostrożniejszy.

- Tylko poszedłem na kawę. Nic mi nie jest. Bądź taka dobra i nie zaprzataj sobie mną głowy, okej?

Milczała przez chwilę, po czym powiedziała, wyraźnie ważąc słowa:

- Nie zamierzam cię pilnować, Gabe. Chodzi tylko o to, że mój tata trochę się o ciebie martwi.

- Dlaczego? Czego się boi?

- Jak sądzę, niepokoi się tym, co mógł zrobić twój tata.

Gabe znów poczuł, jak się czerwieni.

- Powtarzam twojemu ojcu, że mój tata ma mnie w nosie. - Przebiegał palcami po klawiaturze. - Widzisz, twój ojciec zachowuje się jak prawdziwy tata, ale mój jest inny. Póki nie mam czegoś, na czym mu zależy, jestem mu niepotrzebny. Chciał być z moją mamą, a ponieważ ona miała mnie, więc musiał tolerować niejakiego Gabe'a Whitmana. Ale moja mama zniknęła, więc ma mnie w nosie.

- Nie wierzę.

- Mogę cię zapewnić, że mój tata nie interesuje się mną. - Znów odwrócił się do klawiatury, mając nadzieję, że jego kłamstwa... no, półprawdy... zabrzmiały przekonująco.

W czasach, zanim rodzice się pobrali, a on był malutki, Chris odwiedzał ich w Chicago, gdzie mama studiowała medycynę. Spędzał cały dzień z Chrisem. Rano szli do parku, potem jedli obiad w restauracji, wracali do domu i Chris sadzał go do fortepianu i przez dwie, trzy godziny uczył go gry. Chris nie był wykształconym pianistą, ale miał wielki talent muzyczny i potrafił grać na wszystkich instrumentach. Gabe uważał go za jednego ze swoich najlepszych nauczycieli.

Kiedy rodzice się pobrali i całą rodziną przenieśli się do Nowego Jorku, nagle wszystko się popsuło, nastąpił totalny chaos. Prawda była taka, że nikt nie potrafiłby żyć na stałe

z tym człowiekiem.

- Hannah, porozmawiam z twoim tatą - obiecał Gabe. - I przestań się o mnie martwić. Potrafię zatroszczyć się o siebie. Robię to od zawsze. - Zaczęły się schodzić kolejne chórzystki. Gabe wstał. - Pomogę wam ustawić krzesła.

Hannah położyła mu dłoń na ramieniu.

- Nie złość się na mnie.

- Nie złość się, tylko... - Tak bardzo zacisnął usta, że aż rozboleły go zęby. - Czasami... potworność tego, co się stało, dociera do mnie w pełni, zalewa mnie niczym olbrzymia fala... I naprawdę trudno mi utrzymać się na powierzchni, bo pojawiają się kolejne fale. I za każdym razem, kiedy się wynurzę i mogę zaczerpnąć tchu, nadciąga kolejna olbrzymia fala, której muszę stawić czoło. - Spojrzał jej prosto w oczy. - Jest we mnie tak wiele złości. - Zorientował się, że ją wystraszył, więc zmusił się do uśmiechu. - Ale potem mi przechodzi i jest w porządku.

Jej dłoń powoli zsunęła się z jego ramienia.

- Gabe, nie musisz udawać, że jesteś szczęśliwy. To, przez co przechodzisz, jest straszne.

- Nic mi nie będzie.

Popatrzyła na niego uważnie, przenikliwie.

- Widzisz, dlatego nie wolno oceniać ludzi na podstawie pierwszego wrażenia. Naprawdę jesteś przystojny i utalentowany, wszystkie dziewczyny w szkole wypyują mnie o ciebie. Chłopaki też, bo chociaż chodzisz z dumnie zadartą głową, okazało się, że fajny z ciebie kumpel.

- Wcale nie chodzę z dumnie zadartą głową! - zaprzeczył

żywo.

- Oj, chodzisz, chodzisz.

Roześmiał się.

- Tak chodzi mój ojciec, ja nie.

- A właśnie że tak.

Ich rozmowę przerwała pani Kent:

- Decker, będziesz miała mnóstwo czasu na flirtowanie po próbie chóru. A teraz bądź tak dobra i rozstaw krzesła.

- Już się robi. - Hannah wzięła kilka składanych krzeseł i zaczęła je rozstawiać, a do Gabe'a powiedziała: - Nie jestem kocicą. Nie flirtuję z młodymi chłopakami.

- Wiem. Właśnie to mi się w tobie podoba. Jesteś bardzo... Czuję się... Jakbyś była moją siostrą.

- No właśnie. - Hannah westchnęła dramatycznie. - Wszyscy mnie traktują jak starszą siostrę.

- Nie to miałem na myśli - zaprzeczył żywo.

- Wiem, tylko się z tobą przekomarzam, Gabe.

- Uważam, że jesteś bardzo ładna.

- Daj spokój. - Uśmiechnęła się szeroko.

- Założę się, że wszystkie chłopaki podkochują się w tobie.

Ta epidemia dopadła i mnie.

- Wiesz, że sam sobie kopiesz grób?

- Po prostu o wiele bardziej potrzebuję przyjaciółki niż dziewczyny.

- Rozumiem. - Położyła mu dłonie na ramionach. - Dla twojej wiadomości, jestem już zajęta. Na imię mu Rafi. Zeszłego lata wyjechaliśmy na obóz. Chodzi do jesziwy HaKotel, ale chce się uczyć Shana Bet, więc w przyszłym

roku będziemy mogli być razem w Jerozolimie.

- Zrozumiałem wszystko, co powiedziałaś, z wyjątkiem ostatniego zdania.

- Nie szkodzi. Chodzi o to, Whitman, że masz pecha, jeśli robiłeś sobie jakieś nadzieje co do mnie.

- Cóż... trudno.

- I ani mi się waży chodzić ze smętną miną. Przecież sam przed chwilą powiedziałeś, że traktujesz mnie jak starszą siostrę.

- Bo tak cię traktuję. I nie będę chodził ze smętną miną. A nawet jeśli, to nie z twojego powodu. Przecież to, w czym się znalazłem, raczej nie jest do pozazdroszczenia. Więc nie wpadaj w dumę, że Gabe Whitman chodzi ze smętną miną z twojego powodu.

- Och, najmocniej przepraszam! I już po mojej dumie.

Wybuchnęli śmiechem.

Pani Kent spojrzała na nich gniewnie.

- Może raczyłabyś powiedzieć wszystkim, co cię tak rozbawiło, Decker?

Hannah zdusiła chichot i odparła:

- Pani Kent, dlaczego czepia się pani mnie? On śmiał się równie głośno.

- Jesteś przewodniczącą chóru. Powinnaś dawać dobry przykład.

Zaczęła ustawiać ostatni rząd krzeseł.

- Czyli mnie się karci, a jemu wszystko uszło na sucho?

- Cóż, panno Decker, nie ma sprawiedliwości na tym świecie.

- Oj, nie ma, nie ma. Lubi go pani bardziej niż mnie, bo o wiele łatwiej znaleźć kogoś na miejsce miernego altu niż niezrównanego akompaniatora.

- Stąpasz po kruchym lodzie, moja panno.

- Wiem, wiem - powiedziała Hannah. - Prawda boli, ale to nie pani wina. Gdybym miała wybierać między mną a nim, też wybrałabym jego.

Spojrzenie oczu pani Kent złagodniało.

- Hannah, jesteś jedyna w swoim rodzaju i nie ma drugiej takiej jak ty. - Klasnęła w dłonie. - Wszyscy na swoje miejsca. Panno Decker, ponieważ wybrano cię na przewodniczącą chóru, czy mogłabyś zaintonować hymn narodowy i *Hatikwę*?

Hannah się rozpromieniła.

- Pani Kent, zrobię to z największą przyjemnością.

Alex, parkingowy na parkingu samoobsługowym, był wysokim siwym mężczyzną po sześćdziesiątce. Prezentował się wspaniale w niebieskiej koszuli, białych spodniach i białych klapkach. Siedział za stolikiem ocienionym plażowym parasolem. O piątej po południu słońce, chociaż stało nisko na niebie, mocno prażyło. Decker przypomniał sobie, że właśnie od Alexa dostał pokwitowanie w niedzielę, czyli Alex pracował, kiedy Chris przyjechał i odjechał.

Kiedy Decker mu pokazał zdjęcie Terry, natychmiast ją rozpoznał.

- Naprawdę wyjątkowo urocza pani. Zawsze uśmiechnięta. Za każdym razem, kiedy jechała gdzieś samochodem i wracała, wsuwała mi kilka dolarów, chociaż nie musiała.

- Kiedy widział ją pan ostatni raz? - spytała Eliza Slaughter.

- Kiedy ją widziałem ostatni raz? - powtórzył, marszcząc czoło. - Czy coś się stało pani McLaughlin?

- Zdaje się, że zaginęła - wyjaśnił Decker.

- Zaginęła? - Alex się skrzywił. - Oj, to niedobrze.

- Może wyjechała z własnej woli - powiedział Decker. - Dlatego staramy się ustalić, co robiła. Kiedy widział ją pan ostatni raz?

- Rety, chyba z parę dni temu. Może w niedzielę. - Przyjrzał się uważnie Deckerowi. - Już pana widziałem.

- Też byłem tu w niedzielę. Wyjechałem koło wpół do trzeciej.

- Aha.

- Kiedy opuściłem hotel, pani McLaughlin jeszcze w nim była. Pamięta pan, czy ją pan widział po trzeciej po południu?

- Nie, proszę pana. Byłem dość zajęty.

- Ale pamięta pan porucznika? - spytała Eliza.

- Trudno nie zwrócić na niego uwagi.

Decker pokazał zdjęcie Donattiego i spytał:

- A jeśli chodzi o tego mężczyznę?

Alex przez chwilę przyglądał się zdjęciu.

- Ten facet... - Postukał palcem w zdjęcie. - Był tu w niedzielę. Niósł bukiet. Kto to taki?

- Mąż pani McLaughlin.

- Jest mężatką?

- Tak - potwierdziła Eliza. - Zdziwiło to pana?

- Tak, trochę. Sprawiała wrażenie zbyt bez troskiej jak na mężatkę. - Kiedy Decker i Eliza wybuchnęli śmiechem, dodał: - Nie to chciałem powiedzieć. Sam jestem żonaty od czterdziestu dwóch lat...

- Ja też jestem szczęśliwie żonaty - przerwał mu Decker. - Wiem, co miał pan na myśli.

- Czyli pamięta pan, że ów mężczyzna niósł kwiaty - powiedziała Eliza. - Dał mu pan pokwitowanie?

- Daję pokwitowania wszystkim, którzy nie są gośćmi naszego hotelu. Muszą go podstemplować w recepcji lub restauracji. W przeciwnym razie nie wolno im tu parkować.

- Pamięta pan, o której godzinie przyjechał ten mężczyzna? - spytał Decker.

- W niedzielę obiad jest serwowany między jedenastą a czwartą. Panuje duży ruch. - Pstryknął palcami. - Ale powiem panu coś, co być może okaże się pomocne. Zawsze zapisuję na kwicie parkingowym numer rejestracyjny samochodu. W ten sposób pod koniec dnia, kiedy przekazuję pokwitowania, pracownicy księgowości wiedzą, na zaparkowanie których samochodów wyrazili zgodę.

- Numer rejestracyjny się przyda, ponieważ nie pomyślałem o jego spisaniu - powiedział Decker.

- Wie pan, jak długo księgowość przechowuje pokwitowania? - spytała Eliza.

- Nie, muszą państwo ich zapytać.

- O której godzinie zakończył pan pracę w niedzielę? - spytał Decker.

- Ja? Koło piątej.

- I nie przypomina sobie pan, żeby pani McLaughlin pojawiła się na parkingu, żeby gdzieś pojechać samochodem? - spytała Eliza.

Alex zastanawiał się w skupieniu, wreszcie odparł:

- Nie mogę powiedzieć ani tak, ani nie. Nie chcę skłamać.

- W porządku - skwitował Decker. - Przekonamy się, czy uda nam się dotrzeć do pokwitowania wydanego jej mężowi. Alex, dziękuję panu, bardzo nam pan pomógł.

- Żałuję, że nie mogłem zrobić więcej, ale wie pan, jak to jest. Nie można na wszystko zwracać uwagi.

- Nikt od pana tego nie wymaga - zapewnił go Decker.

Natomiast on jest porucznikiem, do jasnej cholery. Dlaczego nie zapisał numeru rejestracyjnego samochodu Chrisa?

Dość poważne niedopatrzenie.

Przez chwilę zastanawiał się nad tym, próbował cofnąć się do tamtej niedzieli.

Ujrzał odjeżdżający samochód. I przypomniał sobie. Numery rejestracyjne i z przodu, i z tyłu były napisane na kartce papieru.

- Ej, Elizo.

- Słucham?

- Lexus, którym przyjechał Chris, miał numery rejestracyjne na kartce papieru. Czyli albo je zmienił, albo samochód był nowy i wypożyczony.

Kiedy Eliza spisywała pobliskie agencje wynajmu samochodów, Decker sprawdzał SMS-y w komórce. Marge przysłała pilną wiadomość. Wybrał jej numer, a kiedy

odebrała, rzucił do słuchawki:

- Powiedz mi, że znalazłaś Gartha Hammerlinga.
- Jeszcze nie - odparła Marge. - Ale właśnie zadzwonił do mnie Aaron Otis. Obaj z Gregiem będą tu za godzinę.
- Marge, ledwie cię słyszę.
- To dlatego, że jestem na parkingu podziemnym... Nie rozłączaj się, Pete. - Szybko wbiegła po schodach i wyszła na zewnątrz. - Teraz lepiej?
- O wiele. Na jakim parkingu?
- Szpitala St. Timothy. Właśnie wyjmujemy wideokasety z kamer monitoringu zainstalowanych na parkingu. Strażnik nam powiedział, że nagrania są kasowane raz w miesiącu.
- Chcę usłyszeć dobrą wiadomość.
- Mieliśmy szczęście. Nagrania mieli skasować za kilka dni. Jaka jest ich jakość, czy Adrianna albo jej samochód na nich będą, to zupełnie inna sprawa.
- Ile kamer widzi miejsce, gdzie stał samochód Adrianny?
- Z całą pewnością jedna. Może uda się też coś zobaczyć na nagraniu z drugiej. Wyciągamy też kasety z kamer przy wjeździe na parking i wyjeździe, żeby ustalić, o której godzinie Adrianna opuściła szpital. Zamierzamy jak najprędzej przejrzeć nagrania.
- Na posterunku?
- Nie, w pomieszczeniu ochrony w szpitalu. Ochroniarze pilnują kaset niczym sępy.
- To dobrze. Szkoda, że nie byli tacy gorliwi, jeśli chodzi o Adrianę.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY

Recepcjonistka miała na imię Grace. Była po czterdziestce, miała bladą twarz i miękkie kręcone włosy miodowego koloru. Nosiła czarny kostium i rozpinaną niebieską koszulę z nazwą hotelu wyhaftowaną na kieszonce. Jej brązowe oczy posmutniały, kiedy wspomniała o zamknięciu hotelu.

- Rozpoczęłam tu pracę, kiedy miałam dwadzieścia trzy lata, prosto po szkole hotelarskiej. Byłam taka zielona, że pierwszego dnia nie mogłam opanować drżenia głosu.

- Jestem pewna, że sobie pani poradziła - z uśmiechem powiedziała Eliza.

- Byłam do niczego, ale wtedy kierownictwo miało cierpliwość. - Wzniosła oczy. - Dbano o młodych pracowników.

- Ile lat tu pani pracuje? - spytał Decker.

- Dwadzieścia dwa.

- Ma pani jakieś plany na przyszłość?

- Wziąć długi urlop. A potem... Kto wie? Obecnie sytuacja w hotelarstwie nie jest najlepsza, ale zmienia się, jak wszystko. Może kiedy zacznę się rozglądać za pracę, znajdą się jakieś oferty. - Uśmiechnęła się. - Ale nie przyszli tu państwo, żeby słuchać o moich problemach. Czym mogę państwu służyć?

- Szukamy jednego z gości waszego hotelu.

- Pani McLaughlin. Ktoś zadzwonił do nas wczoraj i pytał

o nią.

- To byłam ja - powiedziała Eliza.

- Zastanawiałam się nad tym i wychodzi mi na to, że nie widziałam jej od połowy zeszłego tygodnia. Nie na sto procent, ale prawie na pewno.

- Czyli od środy? - spytała Eliza.

Zadzwoił telefon. Grace uniosła palec, odebrała połączenie i przełączyła rozmowę do sali restauracyjnej.

- Od środy... Może od czwartku.

- Nie widziała jej pani podczas weekendu?

- Miałam wolne.

Eliza zajrzała do notatek.

- Pracowali wtedy Harvey Dulapp i Sara Littlejohn. Nie widzieli Terry w niedzielę, ale wiemy, że tu była.

- Powiedziano mi, że pani McLaughlin była bardzo sympatyczna - odezwał się Decker. - Czy kiedykolwiek wstępowała tu, żeby się przywitać?

- Nie tylko po to - odparła Grace. - Jeśli tu zaglądała, to żeby odebrać pocztę albo wiadomości... Pamiętam, że kilka tygodni temu były jakieś problemy z toaletą. Osobiście przyszła, żeby nas o tym poinformować. Była bardzo sympatyczna.

- Wie pani, kto naprawił toaletę?

- Czy to ważne? - spytała z uśmiechem.

- Każdy, kto wchodził do jej apartamentu, jest dla nas ważny - odparł Decker.

- Zadzwoię do konserwatorów i spytam, czy mają odnotowane, kto przyjął zgłoszenie. Muszę państwu

powiedzieć, że została tylko garstka pracowników. Mamy polecenie, by w razie jakiejś awarii przenosić gości do innego pokoju, a ten, który zajmowali dotychczas, wyłączyć z eksploatacji.

- Czy przenieśli panią McLaughlin do lepszego apartamentu? - spytała Eliza.

- Nie, zajmowała najlepszy apartament. Musieli naprawić toaletę. Chcę tylko powiedzieć, że... - Zadzwoił telefon. - Przepraszam.

Rozmawiała przez telefon kilka minut, a kiedy skończyła, rzuciła im znużony uśmiech.

- À propos naszej rozmowy, jeden z telewizorów się zepsuł. Muszę znaleźć inny pokój dla naszego gościa. Przepraszam, o co państwo prosili?

- O nazwiska osób, które wchodziły do apartamentu pani McLaughlin.

- Znaczy się konserwatorów.

- Konserwatorów, pokojówek, kelnerów - powiedział Decker. - Może łatwiej będzie, jak da mi pani listę pracowników. Wtedy razem z detektyw Slaughter będziemy mogli porozmawiać ze wszystkimi.

- Przykro mi, panie poruczniku, ale nie mogę tego zrobić. Będzie pan musiał porozmawiać z kimś z wyższego kierownictwa. Poza tym dużo naszych pracowników już odeszło.

Decker jakby zastanawiał się nad tym, co usłyszał, ale doskonale wiedział, o co poprosi.

- W takim razie czy może pani przynajmniej zadzwonić do

konserwatorów i administracji, żeby się dowiedzieć, kto pracował w niedzielne popołudnie, kiedy zniknęła pani McLaughlin?

Westchnęła.

- Chyba tak, ale trochę to potrwa.

- Czy moglibyśmy porozmawiać z kimś z działu konserwacji i administracji, żeby oszczędzić pani trudu?

- To miłe z pana strony. Zadzwoń w pana imieniu do konserwatorów i administracji.

- Bardzo dziękuję - powiedział Decker. - Jeszcze jedno. Parkingowy z parkingu samoobsługowego poinformował mnie, że po pracy oddaje do księgowości pokwitowania za parking. Gdzie mieści się ten dział?

- To już nie dział, tylko jedna osoba, Debra. Czy mam ją poprosić?

- Może będzie prościej, jak pójdziemy do niej - zaproponowała Eliza.

- Spytam ją, czy nie ma dużo pracy - powiedziała Grace.

- Dziękuję. Ważne, żebyśmy znaleźli panią McLaughlin. Ma syna.

- Tak... Gabe'a. Okropność. - Grace pokręciła głową. - Nigdy wcześniej nie wydarzyło się tu nic takiego. Naprawdę to dyskredytuje hotel. - Urwała na moment. - Chociaż z drugiej strony i tak zamykają go na dwa lata. Nowi właściciele mają szczęście, że tutejsi mieszkańcy mają krótką pamięć.

Pokój strażników mieścił się w suterenie szpitala St. Timothy. Było to futurystyczne pomieszczenie bez okien

pełne czarno-białych monitorów, alarmów, czujników, magnetofonów i odtwarzaczy płyt DVD. Znajdował się tam też zajmujący całą ścianę pulpit z przyciskami. Kamery zainstalowano w wejściach i wyjściach, w windach, na klatkach schodowych, w wewnętrznych korytarzach i wszystkich szafkach z lekarstwami, od których można się uzależnić. Sala przypominała jaskinię. Była niezbyt duża, a także ciemna, żeby pracownicy łatwiej mogli śledzić to, co pokazywały monitory. Marge nienawidziła małych i ciemnych pomieszczeń. Ta fobia była następstwem trudnej policyjnej akcji sprzed lat, podczas której musiała się czołgać tunelem, by ewakuować dzieci, ratując je w ten sposób przed przywódcą sekty o zbrodniczych skłonnościach. Chociaż z drugiej strony dzięki temu adoptowała swoją córkę, Vegę. Oliver wiedział o tym urazie i klepnął Marge pocieszająco w ramię.

Szefem strażników był Rosjanin, Ivan Povich. Właśnie siedział w pokoju razem z Peterem, umundurowanym strażnikiem, który ani na chwilę nie odrywał wzroku od monitorów i jeszcze nie wypowiedział jednego słowa.

- Na każdym piętrze mamy też mniejszy pokój dla strażników - poinformował Povich. Mówił z lekkim akcentem.

Marge przyglądała się obrazom na monitorach - ludzie wchodzili i wychodzili. Podziałało to na nią uspokajająco.

- Ale w tym pomieszczeniu obserwujecie wszystkie wejścia i wyjścia.

- Tak - potwierdził Povich. - I zawsze ktoś tu jest.

Poważnie traktujemy swoje obowiązki. Zwykle on tu dyżuruje.

Peter pomachał im ręką.

- A podczas przerwy obiadowej i wyjść do toalety? - spytał Oliver.

- Osoba, która dyżuruje, prosi, by ktoś ją na ten czas zastąpił. Ani na chwilę nie przerywamy obserwacji. Gdyby się wydarzyło coś niezwykłego, ktoś by to zobaczył.

- Kto miał dyżur wczoraj rano? - spytała Marge.

Peter znów zamachał ręką.

- Od jak dawna pan tu pracuje? - spytała go Marge.

- Od zawsze - odpowiedział Povich. - To mój najlepszy pracownik. Chociaż nie narzekam na swoich ludzi. Gdybym miał z nimi kłopoty, z miejsca zostaliby zwolnieni. - Wręczył Marge pudełko. - Tutaj są kasety z wczoraj. Zwykle ponownie je wykorzystujemy, ale wsadziłem nowe do kamer, więc mogą je państwo obejrzeć. Nie ma żadnego pośpiechu. Jeśli będą państwo czegokolwiek potrzebowali, zwróćcie się do Petera. Zanim zaczniecie, chcecie kawy albo wody?

- Poproszę wodę - powiedziała Marge.

- A dla pana? - spytał Povich.

- Kawę, najmocniejszą, jaką macie.

- Nie ma sprawy. Wiecie, jak obsługiwać odtwarzacz kaset?

- Jestem pewien, że sobie poradzimy - uspokoił go Oliver.

- Jeśli będzie wam potrzebna pomoc, zwróćcie się do Petera.

- Czy on kiedykolwiek mówi? - spytała Marge.

- Tylko wtedy, kiedy ma coś do powiedzenia.

Dziesięć minut później Marge i Oliver wpatrywali się w czarno-białe nagranie. Przewinęli pierwszą kasetę mniej więcej na godzinę dwudziestą drugą trzydzieści w ostatnią niedzielę, a potem ją odtworzyli w przyspieszonym tempie. Ale na tyle wolno, żeby widzieć osoby, które zarejestrowała kamera. O dwudziestej drugiej pięćdziesiąt zaparkowano hondę.

- To jej samochód - powiedziała Marge.

Oliver przełączył na normalne odtwarzanie. Przyglądali się, jak Adrianna wysiada z auta i idzie, patrząc prosto przed siebie. Kilka razy odtworzyli nagranie, żeby się upewnić, że niczego nie przeoczyli. Kiedy uznali, że zobaczyli wszystko, co było do zobaczenia, znów przewinęli taśmę. Zaparkowana honda Adrianny widoczna była pośrodku monitora.

Taśma się przewijała, a oni siedzieli i się gapili w monitor.

Debra z księgowości, choć krępował ją regulamin hotelu, okazała im wszelką możliwą pomoc. Wręczyła im pokwitowania za parking, kiedy Decker wyjaśnił, że chcą porównać numery rejestracyjne z nazwiskami. Zapewnił, że interesuje go tylko jeden gość, Chris Donatti, mąż Terry McLaughlin.

- Mimo wszystko byłabym wdzięczna, gdyby nie zdradzili państwo nikomu, skąd mają tę informację. Kiedy dostanę je z powrotem?

- Postaram się jak najszybciej je przejrzeć - obiecała Eliza.

- Jeśli będzie pani czegoś od nas potrzebowała, to pracuję w West Los Angeles. Mogę tu przyjechać w każdej chwili.

- Bardzo dziękuję.
- Jak trafić do konserwatorów i administracji? - spytał Decker.
- Mogę państwu wyjaśnić, ale prościej będzie, jak zwrócicie się do Grace z prośbą o plan.
- Dziękujemy za pomoc.
- Nie ma za co. Powiedziałabym „polecam się na przyszłość”, ale za kilka tygodni nie będę już tu pracować - odparła Debra. - Ale proszę się o mnie nie martwić. Moje dzieci są zachwycone, mój mąż jest zachwycony, moja matka jest zachwycona. - Uśmiechnęła się. - Pomoc domowa i mój osobisty trener, którym płaciłam z mojej pensji... trochę mniej.

Kiedy szli porośniętymi drzewami alejkami, Eliza przeglądała pokwitowania.

- Na niektórych brak numerów rejestracyjnych.
- Przypuszczalnie jak miał dużo pracy, nie wypełniał ich tak skrupulatnie. - Decker wzruszył ramionami. - Nic na to nie poradzimy.
- Ej, panie poruczniku. - W głosie Elizy słychać było entuzjazm. - Na każdym pokwitowaniu są dwa datowniki, z godziną przyjazdu i wyjazdu. To istotna informacja. Jak już znajdziemy lexusa Donattiego, to będziemy wiedzieli, kiedy przyjechał i opuścił hotel.
- Jeśli parkingowy okazał się na tyle inteligentny, by zaznaczyć, że to lexus z numerami rejestracyjnymi na kartce.
- Gdyby Donatti miał złe zamiary, czy w ogóle zostawiłby samochód na parkingu? Wtedy bardziej ryzykował, że ktoś

go zauważy.

- Może nie planował tego, chociaż Donatti zwykle niczego nie robi pochopnie - powiedział Decker. - Ale pobił żonę... Otwartą dłonią... Powiedział mi o tym na samym początku. Jakby chciał zrobić na mnie wrażenie.

- Co za kanalia.

- Kanalia i psychol.

- A jaki jest ich syn?

- Spokojny, nierzucający się w oczy. Trudno powiedzieć, co sobie myśli. Moja córka się z nim zaprzyjaźniła.

- Oho.

- Też o tym pomyślałem - powiedział Decker. - Jest przystojny i przyjemny w sposobie bycia, myślę, że dziewczyny na niego lecą. Ale Hannah ma siedemnaście lat i chłopaka, no i za kilka miesięcy wyjedzie, a on ma dopiero czternaście lat. - Zadumał się na moment. - Gdyby był dwa lata starszy, nie pozwoliłbym mu zamieszkać z nami.

- Geny, co? Grzechy ojca.

- Szczególnie kiedy w grę wchodzi moja córka. Hannah jest bystra, ale naiwna. Nie wiem zbyt wiele o Gabie, ale coś mi się widzi, że jest dużo cwańszy od niej.

Przez jakiś czas szli w milczeniu, nim dotarli do pokoju konserwatorów. Drzwi były otwarte, więc weszli do środka. W niewielkim pomieszczeniu było gorąco. Śniady mężczyzna, który siedział za biurkiem, pocił się obficie.

- Tak?

- Szukamy Gregory'ego Zatcha.

- To ja.

Decker pokazał odznakę i wyjaśnił, że on i jego partnerka są z wydziału zabójstw.

- Z wydziału zabójstw? - zdziwił się Zatch. - Kogoś zamordowano?

- Ktoś zaginął - wyjaśniła Eliza. - Czasami nam przydzielają takie sprawy. Przyszliśmy tutaj, ponieważ parę tygodni temu wezwano konserwatora do apartamentu numer dwieście dwadzieścia dziewięć. Były problemy z przeciekającą toaletą. - Powachlowała się kwitami parkingowymi. - Chcieliśmy się dowiedzieć, kto ją naprawił.

- Jak rozumiem, zaginiona osoba mieszkała w tym apartamencie? - spytał Zatch.

- Tak.

- Kiedy zaginęła?

- W niedzielę wieczorem - powiedziała Eliza.

- Terry McLaughlin - dodał Decker. - Czy zna ją pan? Słyszeliśmy, że była bardzo sympatyczna.

- Nie, nie pamiętam jej - odparł po chwili namysłu.

- Ma czternastoletniego syna. Nie sądzimy, by mogła go porzucić z własnej woli.

- Ach, chłopak. Przypominam go sobie. Gra na pianinie jak wirtuoz. - Pokręcił głową. - Nie wygląda to obiecująco... To, że zaginęła. Sądzicie, że jeden z moich ludzi ma z tym coś wspólnego?

- To rutynowe postępowanie, panie Zatch - wyjaśnił Decker. - Sprawdzamy, kto był w jej apartamencie podczas jej pobytu w hotelu.

- Zauważyliście, jak tu gorąco? - spytał kwaśnym tonem

Zatch.

- Trudno nie zauważyć - powiedziała Eliza, nie przestając się wachlować.

- Kierownictwo wyłączyło klimatyzację w pomieszczeniach dla pracowników.

- Jak tak można.

- Wyraziłem głośno swoje niezadowolenie. Oświadczyli, że jeśli komuś się nie podoba, może się zwolnić. I wiecie co? Większość pracowników odeszła. Zostało czterech... nie, trzech konserwatorów. Jeden zwolnił się wczoraj rano. To znaczy, że ci, którzy zostali, pracują podwójnie. Żaden z nas nie zrobił nic złego waszej pani. Jesteśmy zbyt zajęci przyjmowaniem zgłoszeń.

- Czy konserwator, który naprawił toaletę w apartamencie dwieście dwadzieścia dziewięć, też się zwolnił?

- Muszę sprawdzić. Kiedy zgłoszono usterkę?

- Nie wiem dokładnie. Parę tygodni temu.

- No tak... - Zatch westchnął. - Jaki numer pokoju? Dwieście dwadzieścia dziewięć?

- Tak.

Zajrzał do ksiąg. Odszukanie zlecenia zajęło mu dziesięć minut.

- Reffi Zahrib. Zwolnił się jakieś dwa tygodnie temu. Większość osób wtedy odeszła, bo nowe kierownictwo zaproponowało, że zapłaci za dwa tygodnie wszystkim, którzy się zwolnią na miesiąc przed zamknięciem hotelu. Większość moich ludzi skorzystała z okazji i zaczęła szukać nowego zajęcia. Mnie potrzebne są pieniądze i nadgodziny.

W przeciwnym razie też bym się zwolnił.

- Kto wtedy by przejął zarządzanie działem konserwacji?

- Nikt, bo nie ma co naprawiać. Ja tylko odbieram telefony.

Niczego nie naprawiamy, chyba że pęknie większa rura. Wtedy wzywam hydraulika. To głupota siedzieć i odbierać zgłoszenia, a potem nic z tym nie robić.

- Czyli jesteście zajęci, ale nic nie robicie? - powiedział Decker.

- Odbieramy telefony, to nasza główna praca. Jeśli chodzi o coś prostego, na przykład podłączenie telewizora do gniazda, wtedy robimy to. Jeśli nie, drapiemy się w głowę, a recepcja przenosi gościa do innego pokoju. Ale nadal musimy odpowiedzieć na każde zgłoszenie. A ponieważ od trzech miesięcy niczego nie naprawiamy, otrzymujemy mnóstwo zgłoszeń.

- Czy możemy prosić o jego numer telefonu?

- Kogo? Reffięgo?

- Tak.

- Prawdopodobnie wrócił do Europy, ale dam wam taki numer, jaki mam.

- Bardzo dziękujemy. Powiedział pan, że ktoś zwolnił się wczoraj?

- Tak, Eddie Booker. Zrobił to w ostatniej chwili. Myślałem, że potrzebuje pieniędzy, ale powiedział, że się zmywa. Nie mam o to do niego pretensji.

- Czy mogę prosić również o jego numer telefonu?

- Jasne. - Spisał oba telefony i dał je Deckerowi.

- Dziękuję. Może pan powiedzieć, kto tu pracował

w niedzielę?

- Nie ja. - Sprawdził w księdze. - Booker. No tak, to nawet logiczne. Pracował na swojej zmianie przez całą noc, a w poniedziałek rano się zwolnił. - Zatch spojrział na Deckera. - Eddie to porządny gość. Od dwudziestu lat jest żonaty, ma dzieci, chodzi do kościoła.

O niczym to nie świadczyło. Niejeden seryjny morderca był diakonem. Decker zwrócił uwagę na co innego. Że Booker nie tylko pracował tamtej nocy, kiedy zniknęła Terry, ale że następnego ranka się zwolnił.

- Dziękujemy za pomoc - powiedział Decker.

- Nie ma za co. Przynajmniej zrobiłem coś pożytecznego, a nie tylko pocę się.

Honda stała zaparkowana i nikt się nią nie interesował do godziny czternastej czternaście w poniedziałek, kiedy znaleziono martwą Adriannę.

Marge wyłączyła odtwarzacz.

- Czyli nie dotarła na parking.

Oliver wstał, przeciągnął się, zamrugął, bo od ślepienia w monitor szczypały go oczy.

- Czy mogła opuścić szpital innym wyjściem?

- Jest tylko jeden sposób, żeby się o tym przekonać. - Marge podniosła rękę z kasetami.

- Która godzina?

- Za dziesięć piąta.

- Czy nie mieliśmy się spotkać z Aaronem Otisem i Gregiem Reyburnem?

- Muszę sprawdzić SMS-y. Mieli do mnie zadzwonić, kiedy

dotrą do miasta. Moja komórka nie ma tu zasięgu.

- Czyli mogli dzwonić, a ty nic o tym nie wiesz?

- No właśnie. Zróbmy przerwę. Sprawdź pocztę głosową.

Marge wstała w tej samej chwili, gdy wrócił Povich.

- No i co?

- Przejrzeliśmy najważniejsze nagrania - powiedział Oliver.

- Widzieliśmy, jak Adrianna zaparkowała samochód i weszła do szpitala mniej więcej za kwadrans jedenasta. Na tym nagraniu nie widać, żeby wróciła do samochodu.

- Ale to nie znaczy, że nie opuściła szpitala - zauważyła Marge. - Musimy sprawdzić nagrania z kamer zainstalowanych przy innych wejściach i wyjściach. To trochę potrwa. Dobrze by było, gdybyśmy mogli obejrzeć nagrania u nas, w budynku policji. Moglibyśmy poprosić kilka osób do pomocy i wtedy szybciej by nam to poszło.

- Tak czy inaczej, szpital będzie nam musiał przekazać taśmy - powiedział Oliver. - Stanowią dowody rzeczowe.

- Dowody rzeczowe czego? - spytał Povich. - Nie popełniono tu żadnego przestępstwa.

- Tego nie wiemy - odparła Marge. - Jeśli obejrzymy pozostałe nagrania i zobaczymy ją, jak opuszcza szpital innym wyjściem, nie tylko pomogłoby nam to w śledztwie, ale również oczyściło szpital z wszelkich podejrzeń. Skoro nie widzieliśmy jej, jak wychodzi, musimy przejrzeć wszystkie nagrania.

Povich zaczął bębnić w stół.

- Zadzwoń do kierownictwa i spytam, czy mogę wam wydać taśmy. Ale stawiam jeden warunek. Jeśli chcecie

obejrzeć nagrania na posterunku, chcę przy tym być obecny. Wtedy kierownictwo łatwiej wyrazi zgodę.

- Nie widzę przeszkód. - Marge uścisnęła mu dłoń. - Może pan jechać z nami.

- Będzie nam brakowało Petera - powiedział Oliver - ale musimy się jakoś obejść bez niego.

Peter zamachał do nich, nie odrywając wzroku od monitora.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIERWSZY

Kiedy Decker dotarł na posterunek, minęła już siódma. Pokój odpraw był pusty, jeśli nie liczyć kilku maruderów, wśród nich Wandy Bontemps, ostatnio przeniesionej do wydziału zabójstw w Devonshire. Decker pracował z nią przy sprawie Cheryl Diggs, kiedy Chris Donatti był niewiele starszy od Gabe'a. Goniąc za zabójcą, Decker znalazł się w rewirze Wandy. Początkowo były między nimi tarcia, ale nim zakończyli śledztwo, Decker przekonał się do niej z uwagi na jej profesjonalizm. Poparł ją, kiedy chciała się przenieść do wydziału zabójstw, i od tamtej pory była wobec niego lojalna.

Wanda, pod pięćdziesiątkę, mierzyła prawie sto siedemdziesiąt centymetrów wzrostu i była tęgawa. Ostatnio zaczęła ćwiczyć pompki, dzięki czemu zyskała muskularne ramiona. Miała cerę koloru kawy *mocha*, ciemne oczy i bardzo krótko ostrzyżone szpakowate włosy.

- Masz chwilkę, szefie?

- Jasne. - Decker wyjął klucze i otworzył drzwi do gabinetu. - Wejź. - Usiadł za biurkiem, a Wanda zajęła miejsce naprzeciwko, trzymając w ręku dokumenty. - O co chodzi?

Wanda zajrzała do notatek.

- Sprawdzalam przypadki śmierci na skutek powieszenia. Prawie zawsze były to samobójstwa albo przypadki asfiksji

autoerotycznej. Kobiety rzadko się wieszają, by odebrać sobie życie. Znalazłam dwa zabójstwa, kiedy ofiarę powieszono, oba sprzed lat, śledztwa prowadziła South Central.

- Sprawy pozostają otwarte? - Decker wyjął notes.

- Tak. Uznano, że to dzieło seryjnego mordercy, bo obie kobiety były prostytutkami.

- Ile czasu upłynęło od tamtych zabójstw?

- Dwadzieścia pięć lat.

- Nie wygląda, jakby miały coś wspólnego z przypadkiem Adrianny.

- Też tak uznałam.

- A co z powieszzeniami poza Los Angeles?

- Tym zajęłam się w następnej kolejności. Odebranie komuś życia w taki sposób naprawdę rzadko się zdarza, więc może to dzieło seryjnego mordercy, który niedawno tu zamieszkał.

- No pięknie - powiedział Decker. - Ale nawet logiczne.

- Poza tym, chociaż nikt z firmy energetycznej nie był w tamtej okolicy w poniedziałek, dowiedziałam się od kierownika budowy, że prywatna firma telekomunikacyjna zakładała w domu instalację dla telewizora i komputera. Nazywa się Rowan Livy. Mam do niego numer telefonu.

- Dobrze. Kto ci o nim powiedział?

- Kierownik budowy.

- Chuck Tinsley czy Keith Wald?

- Tinsley.

- Czyli ten, który znalazł zwłoki - powiedział Decker. -

Powinniśmy jeszcze raz z nim porozmawiać. Może przypomniał sobie jeszcze coś, kiedy już otrząsnął się z szoku. A pierwsza osoba na miejscu zbrodni zawsze jest podejrzana.

- Zgadza się. Rozmawiałam też z Beą Blanc, siostrą ofiary. Od lat nie utrzymywały bliskich stosunków. Bea jest maklerem giełdowym, ma męża i dwójkę dzieci. Styl życia sióstr bardzo się różnił. Niewiele wie o sprawach osobistych Adrianny.

- Czy wyczułaś niechęć między nimi? Bea Blanc z czymś takim się zdradziła?

- Nie. Kiedy z nią rozmawiałam, sprawiała wrażenie załamanej.

- Więc jako źródło informacji jest do niczego, a jako podejrzana znajduje się na końcu listy.

- No właśnie.

- Okej. Dobra robota. Jeszcze coś?

- W tej chwili nie. Chyba dołączę do pozostałych w sali projekcyjnej i obejrzę nagrania z kamer zainstalowanych w St. Timothy. Jak na razie ustalono, że Adrianna nie dotarła do swojego samochodu. Marge i Oliver chcą sprawdzić, czy Adrianna w ogóle opuściła szpital.

- Myślałem, że szpital nie udostępni nam nagrań.

- Jak widać, zmienili zdanie. Chcesz tam pójść i rzucić okiem?

- Może za chwilę. Muszę jeszcze podzwonić tu i tam. Powiedz im, że jestem u siebie, gdyby ktoś miał ochotę ze mną porozmawiać.

- Dobrze.

Kiedy Wanda wyszła, Decker zaczął wydzwaniać do konserwatorów z hotelu. W pierwszej kolejności wykręcił numer do Eddiego Bookera. Odebrał jakiś dzieciak, który po głosie sądząc, najpewniej przechodził mutację.

- Mama i tata wyjechali na urlop.

- Wiesz, kiedy wrócą? - spytał Decker.

- Nie. Może pan porozmawiać z babcią. Będzie za godzinę.

- Czy mogę zostawić numer do siebie, żeby oddzwoniła do mnie możliwie jak najszybciej?

- Nie mam ołówka. Mam po niego pójść?

- Bardzo proszę. - Decker podyktował mu numer telefonu, podziękował chłopakowi i się rozłączył, wiedząc, że jest spore prawdopodobieństwo, że babka nie dostanie wiadomości od niego. Następnie zadzwonił do Reffiiego Zahriba. Gregory Zatch, szef konserwatorów, powiedział, że Zahrib wyjechał do Europy, więc Decker nie zdziwił się, kiedy go rozłączyło. Ponieważ Zahrib zwolnił się, kiedy Terry jeszcze mieszkała w hotelu, i tak nie był wysoko na liście podejrzanych.

Zostało jeszcze sześciu konserwatorów i piętnaście pokojówek. Już miał zadzwonić do kolejnej osoby, kiedy rozległo się pukanie we framugę. Weszła Marge, trąc oczy.

- Zrobiliśmy sobie przerwę. Chcesz obejrzeć nagrania?

Decker spojrzał na zegarek.

- Raczej wpadnę do domu i sprawdzę, czy żona wciąż mnie pamięta. Wanda mówiła, że Adrianna nie dotarła do swojego samochodu.

- Widzieliśmy ją, jak wjechała do garażu, zaparkowała i skierowała się do windy.

- To wszystko?

- Do tej pory nie widzieliśmy, żeby szła przez któryś ze szpitalnych parkingów. Ale znaleziono ją na placu budowy, czyli musiała opuścić teren szpitala. Niestety nagrania nie są zbyt wyraźne. Widać wiele osób wchodzących i wychodzących, których nie możemy rozpoznać.

- Może ktoś ją wyniósł niepostrzeżenie. Z tego, co wiemy, śmierć Adrianny nie spowodowała rozlewu krwi. Najpewniej ją uduszono albo otruto. W szpitalu jest wiele możliwości zdobycia trujących substancji.

- Povich powiedział, że obok szafek z narkotykami zainstalowano kamery. Obejrzę nagrania, żeby się przekonać, kto brał z szafek silnie działające leki. Kiedy otrzymamy wyniki analizy toksykologicznej?

- Nie wcześniej, niż za dwa tygodnie - odparł Decker. - A co z Aaronem Otisem i Gregiem Reyburnem? Chyba już powinni dotrzeć do miasta?

- Zepsuł im się samochód jakieś osiemdziesiąt kilometrów na zachód od Santa Barbara. Naprawa potrwa do jutra. Szybciej by nam poszło, gdybyśmy pojechali do nich z Oliverem naszym samochodem, ale uznałam, że będzie bardziej profesjonalnie wyglądało, gdy przesłuchamy ich tutaj.

- Okej, to może poczekać do rana. Udało ci się znaleźć Gartha Hammerlinga?

- Nie. - Pokręciła głową. - A co myślisz o takim

scenariuszu, Pete? Może po telefonie Adrianny do Aarona Garth zadzwonił do niej i powiedział, że zrezygnował z wakacji, by z nią porozmawiać. Może nie chciała się z nim spotkać w domu, więc umówili się pod szpitalem.

- Mów dalej.

- Spotkali się, rozmawiali, a potem się pokłócili. Zdarzyło się nieszczęście i Adrianna zginęła tragicznie. Garth wpadł w panikę i pozbył się zwłok. Założę się, że wiedział, jak ją wynieść, by nikt tego nie zauważył.

- Ale z billingów nie wynika, żeby Garth zadzwonił na telefon Adrianny.

- To może zadzwonił do szpitala, bo wiedział, że nie odbierze telefonu od niego na komórkę.

- Zajął mu przynajmniej trzy, cztery godziny dotarcie do Los Angeles. Gdyby tak długo czekała na niego w szpitalu, ktoś by ją zobaczył.

- Może była bardzo zmęczona i czekając na niego, poszła się przespać do dyżurki.

- Jedź do szpitala i dowiedz się, czy ktoś widział Adrianę po tym, jak skończyła się nocna zmiana.

- Tak czy owak, musimy tam poje... - Marge urwała gwałtownie. - Jeśli tak było, jedna z kamer powinna zarejestrować Gartha, gdy wchodzi do szpitala. Czyli powinnam również jego wypatrywać na nagraniach.

- Tak.

- Tylko że nie mam pojęcia, jak on wygląda, jeśli nie liczyć kiepskiego zdjęcia, które nam przekazał wydział komunikacji.

Decker wysunął szufladę biurka i wyjął kilka zdjęć.

- Pożyczyłem je z mieszkania Adrianny. Sprawdź, czy Garth zarejestrował się na Facebooku. Prawdopodobnie udałoby się znaleźć w komputerze bardziej aktualne zdjęcia. Poza tym... Nie wiem, dlaczego wcześniej o tym nie pomyślałem. Może ostatnio coś opublikował w sieci.

- Dobry pomysł - powiedziała Marge. - Ludzie ciągle się wystawiają na widok publiczny. W dzisiejszych czasach prywatność jest czymś równie rzadkim, jak omdlenia.

Zaparkował przed domem kwadrans po ósmej. Zauważył, że na podjeździe nie ma samochodu Hannah. Kiedy Rina powitała go w drzwiach, spytał:

- Jesteśmy tylko we dwoje?

- Nie, we troje. Nie ma Hannah, ale jest nasz lokator.

Decker zmarszczył czoło.

- Dokąd pojechała?

- Do Avivy.

- Dlaczego nie zabrała go ze sobą?

- Nie wiem, Peter. Może potrzebowała trochę побыć sama.

Wejdz i zamknij drzwi. Porozmawiamy w środku. Ostatecznie tu mieszkasz.

Przeszli do kuchni, trzymając się za ręce. Decker usiadł przy stole, gdzie czekała na niego smakowita kanapka z wołowiną, sosem sojowym, surówką z białej kapusty i dużym ogórkiem konserwowym. Pochłonął ją błyskawicznie.

- Ale była pyszna.

- Chcesz jeszcze jedną?

- Nie, już wystarczy. - Deckera dobiegła skoczna melodia.

Nigdy wcześniej nie słyszał, żeby ktoś tak pięknie grał na gitarze elektrycznej.

- Co u Gabe'a?

- Dałam mu jeść. Podziękował.

- Nie rozmawialiście?

- Niewiele. Spytałam, czy dobrze się czuje w szkole, bo jeśli nie, to znajdę inną. Ale odparł, że jest w porządku, szczególnie że to rozwiązanie tymczasowe. - Roześmiała się.

- Według Gabe'a szkoła żydowska wcale tak bardzo się nie różni od szkoły katolickiej.

- A konkretnie? - spytał rozbawiony Decker.

- Powiedział, że rabini przypominają mu księży i że było w porządku. Potem podziękował za kanapkę i zaczął jeść. Gdy powiedziałam, że muszę dzisiaj sporo podzwonić, poprosił, żebym nie odkładała tego z uwagi na niego. Łatwo wyczuć, że nie jest zbyt biegły w towarzyskich pogaduszkach, więc zostawiłam go samego. Kiedy wróciłam, znów mi podziękował, i dodał, że kanapka była super. Potem przeprosił i od dwóch godzin gra na gitarze Yonkiego. Trzeba przyznać, że nie brak mu wytrwałości.

Nalała im kawy i usiadła.

- Czy są jakieś postępy, jeśli chodzi o ustalenie, gdzie jest Terry?

- Powiedziałbym ci, gdyby były. - Decker napił się kawy. - Przesłuchałem kilku pracowników hotelu, w którym zatrzymała się razem z Gabe'em. Wszyscy mi mówili, że chłopak gra na fortepianie jak zawodowy muzyk. Czy to, że zamieszkał z nami, jest uciążliwe?

- Niespecjalnie.
- Rino, musisz powiedzieć szczerze. Jeśli coś ci się w nim nie spodoba, możemy go odesłać do ciotki. Tak naprawdę nic o nim nie wiemy poza tym, że jest muzykalny.
- Wydaje się w porządku. Może powinniśmy wypożyczyć dla niego fortepian.
- Fortepian?
- Czemu nie?
- Nie uważasz, że byłaby to lekka przesada?
- Ty go do nas przywiozłeś. - Kiedy Decker nic nie powiedział, dodała: - Może porozmawiasz z nim i wybadasz, jak bardzo zależy mu na grze. Nie chciałabym być tą, przez którą zaprzepaści swój talent, szczególnie jeśli był cudownym dzieckiem.
- Nie musimy się przejmować jego postępami w grze na fortepianie. To nie nasza sprawa.
- To będzie nasza sprawa, jeśli zostanie z nami.
- Czemu się ograniczać do wypożyczenia instrumentu? Może zatrudnimy również nauczyciela? A co, jeśli się okaże, że potrzebny mu jakiś wyjątkowy nauczyciel, którego lekcje kosztują majątek?
- Zacznijmy od wypożyczenia - powiedziała Rina.
- Wiesz, ile to kosztuje?
- Nie wiem, ale mogę sprawdzić.
- A co zrobimy z instrumentem, jeśli matka Gabe'a nagle się odnajdzie, pojawi się ojciec albo chłopak po prostu spakuje manatki i się wyprowadzi?
- Brałam lekcje gry na pianinie, kiedy byłam dzieckiem.

Starzeję się. Może najwyższa pora znów zająć się moimi talentami artystycznymi.

Kiedy Decker zapukał do drzwi, muzyka umilkła. Po chwili Gabe mu otworzył.

- Witam.

- Masz chwilę? - Decker wszedł do pokoju i usiadł na jednym z łóżek. - Jak sobie radzisz?

- Dobrze. - Gabe odłożył gitarę i zaczął masować dłonie. - Coś się stało?

- Nie, ale nie dowiedziałem się niczego nowego. Rozmawialiśmy w hotelu z pracownikami. Twoja matka bardzo uprzejmie odnosiła się do personelu, co może nam ułatwić zadanie.

- Dlaczego?

- Zapamiętali ją. - Decker przerwał na moment. - Może kiedy ich wszystkich wypytam, ktoś przypomni sobie o czymś, o czym ty nie wiesz.

- Na przykład o czym?

- Na przykład o tym, że twoja matka zaprosiła gościa do swojego pokoju hotelowego. - Ponieważ Gabe milczał, Decker spytał: - Pamiętasz, żeby się kontaktowała z kimś spoza rodziny? Może dzwoniła do jakiejś starej przyjaciółki?

- Nic o tym nie wiem. - Przecząco pokręcił głową. - Ale nie zawsze byłem razem z nią. Wynajęła dla mnie salę do ćwiczeń na Uniwersytecie Los Angeles, więc sześć godzin dziennie nie było mnie w hotelu.

- Czyli to możliwe, że twoja mama miała jakieś plany... no, prowadziła życie, o którym nic nie wiedziałeś?

- Co pan sugeruje? - spytał wyraźnie zdenerwowany Gabe.
- Że z kimś uciekła?

- Po prostu rzucam luźny pomysł. Nie przebywałaś z nią przez cały czas, więc mogła mieć przed tobą jakieś tajemnice.

- Tak... - Gabe skinął głową. - Mama miała swoje sekrety, ale na pewno nie uciekłyby sobie ot tak. Po pierwsze, gdyby Chris się o tym dowiedział, mógłby ją zabić... No, bardzo by się rozgniewał. Jak go znam, odszukałby ją i sprowadził z powrotem, więc jaki miałyby to sens? Po drugie, na pewno by nie wyjechała, nic mi o tym nie mówiąc.

- Zapewne masz rację. Wszyscy uważają, że jest bardzo oddaną matką. - Gdy Gabe milczał z posępną miną, Decker pomyślał, że musiał dotknąć czułego punktu. - Będę cię informował na bieżąco. Przykro mi, że nic więcej nie wiem. - Gabe wciąż miał ponurą minę. - Sześć godzin dziennie. Dużo ćwiczyłeś.

- Nie, wszyscy, którzy poważnie myślą o muzyce, muszą tyle ćwiczyć. - Wzruszył ramionami.

- W Nowym Jorku też tak było?

- Kończyłem szkołę o pierwszej. - Przerwał na moment. - I bardzo dobrze, bo chodzenie do szkoły średniej to strata czasu.

- Z pewnością Hannah przyznałaby ci rację. Czy większość takich dzieciaków jak ty uczy się w domu?

- Tak, ale ja nie chciałem. Mój ojciec jest nocnym markiem i rano często zdarza mu się długo spać. Jest wrażliwy na hałas. Kiedy śpi, musi być cicho, więc wolałem o tej porze nie

być w domu.

- Jak poważnie traktujesz grę na fortepianie? - spytał Decker.

Gabe zdjął okulary, wytarł je koszulą i włożył na nos.

- Nie wiem, jak odpowiedzieć na to pytanie.

- Chcesz być zawodowym muzykiem? Czy też nim już jesteś?

- Jak rozumiem, chodzi panu o to, czy chcę być pianistą i grać w salach koncertowych. To ciekawe pytanie. Raczej powinien pan spytać moich nauczycieli, czy naprawdę mam talent.

- Kim byli twoi nauczyciele?

- Trzy razy w tygodniu miałem zajęcia w szkole Juilliarda. - Była to słynna amerykańska uczelnia muzyczna. - Mówię tak w związku z tym, gdzie powinienem mieszkać. W szkole Juilliarda pracuje jeden z moich nauczycieli. Powiedział, że mogę się zgłosić o każdej porze. Chyba dałbym radę to zrobić na jesieni. To rozwiązałoby problem mojego mieszkania, gdyby mama się nie odnalazła do tego czasu.

- Chcesz tego?

- Wolę to, niż zamieszkać z ciocią. Co do tego nie mam wątpliwości. - Zaczął bębnić palcami. - Miałem nadzieję, że będę chodził na jakąś zwykłą uczelnię, jak Harvard czy Princeton. Już za późno, żeby złożyć dokumenty na następny rok, ale wiem, że przyjmują młodsze dzieciaki, jeśli są szczególnie utalentowane. Chyba musiałbym zdać egzaminy dla kandydatów na studia.

- Podchodziłeś już do egzaminu sprawdzającego dla

uczniów szkół średnich?

Skinął głową.

- Jak ci poszło?

- Dostałem dwieście dziesięć punktów, czyli nieźle, chociaż w moim przypadku nie ma to znaczenia. Mogę dostać stypendium muzyczne do jednej z renomowanych uczelni. Jestem laureatem wystarczającej liczby konkursów, żeby zrobić wrażenie, wiem, jak grać podczas przesłuchań, żeby wyglądało to, że gram lepiej niż w rzeczywistości. Naprawdę potrafię się popisywać.

- Jak byś się czuł, gdybyś musiał sam zamieszkać w wieku szesnastu lat? - spytał Decker.

- Przez większość swego dotychczasowego życia mieszkałem sam, czyli to nic szczególnego. - Gabe urwał. - To nie do końca prawda. Moja matka odgrywała ważną rolę w moim życiu. - Do oczu napłynęły mu łzy. - Brakuje mi jej. Ale wracając do pańskiego pytania, jestem wystarczająco dobry, żeby zostać pianistą. Mógłbym grać utwory kameralne i w małych zespołach muzycznych. Ale to zupełnie co innego, niż dawać koncerty jako pianista. Mój nauczyciel w Nowym Jorku chciał, żebym za pięć lat wziął udział w konkursie chopinowskim w Warszawie. Kocham Chopina i tak się akurat składa, że całkiem dobrze interpretuję jego utwory. Ale powinienem mieć nauczyciela. - Roześmiał się. - I dobrze by było, gdybym miał fortepian.

- Właśnie rozmawialiśmy o tym z Riną. Spytała mnie, czy uważam, że powinniśmy wypożyczyć ci instrument.

- Byłoby cudownie! - Jego twarz się rozpromieniła. -

Nawet nie musieliby państwo płacić za jego wypożyczenie. Mama zostawiła mi pieniądze. Zapłacę, jeśli zgodzą się państwo na fortepian albo pianino w domu.

Decker uważnie spojrział na niego, po czym powiedział:

- Gabe, nie zapytałem o to wcześniej, bo uznałem, że byłoby to wścibstwo, ale teraz jednak zapytam. Chciałbym zobaczyć, co twoja matka zostawiła w hotelowym sejfie.

- Pieniądze i dokumenty.

- Chciałbym rzucić okiem na dokumenty.

- W porządku, ale nie ma tego dużo - wyraźnie zdenerwowany odparł po chwili. - Tylko moja metryka urodzenia, mój paszport i numery kont bankowych. - Opierał się, to było oczywiste.

- A jej metryka urodzenia i paszport?

- Nie wiem, panie poruczniku. Oddzieliłem gotówkę od dokumentów i schowałem je w bezpiecznym miejscu.

- Chciałbym rzucić okiem na dokumenty. Numery kont bankowych wiele by mi powiedziały.

- Jasne. - Gabe wstał. - Poszukam i zaraz je panu przyniosę.

Innymi słowy, wynos się z pokoju, kiedy będę ich szukał, pomyślał Decker, po czym wstał i powiedział:

- Nie chcę być wścibski w kwestii finansów, ale ile gotówki trzymała w sejfie?

- Jakies pięć tysięcy dolarów.

- To dużo pieniędzy, skoro większość należności regulowała kartami kredytowymi. - Gdy Gabe tylko wzruszył ramionami, spytał: - Masz kartę kredytową?

Skinął głową.

Starął się wydusić z niego więcej informacji.

- Czy ty jesteś właścicielem karty?

- Nie rozumiem.

- Kto płaci za to, co kupujesz na kartę? Matka czy ojciec?

- Chris płaci za wszystko.

- Rozumiem. Twoja matka pracowała, prawda?

- Tak.

- Czyli miała też własne pieniądze.

- Pewnie tak.

- Czy oddawała to, co zarobiła, Chrisowi? - Wzruszenie ramion. Chłopak wykręcał się od odpowiedzi. - Czy pozwoliłbyś mi spojrzeć na twoje potwierdzenia transakcji kartą?

- Nic nie kupowałem z wyjątkiem paru kaw i książek.

- Chciałbym zobaczyć potwierdzenia. Nadal próbuję ustalić miejsce pobytu twojego ojca. Jeśli on płaci za wszystko, może bank ma o nim jakieś informacje.

Gabe spuścił wzrok, po czym powiedział:

- Panie poruczniku, może lepiej zostawić mojego tatę w spokoju. Jeśli nie ma z tym nic wspólnego, po co mu zawracać głowę i niepotrzebnie denerwować? A jeśli to zrobił, nie chcę o tym wiedzieć.

- Czyli nie pokażesz mi potwierdzeń transakcji dokonanych kartą?

Gabe się skulił.

- Mogę się nad tym zastanowić? Nie lubię Chrisa, ale nie chciałbym, żeby trafił do więzienia ani nic z tych rzeczy.

- Nawet jeśli zamordował twoją matkę? - Chłopak milczał.
- Widzę, że się wahasz, jeśli chodzi o te dokumenty - powiedział Decker. - Według mnie ojciec skontaktował się z tobą i poinstruował cię, co masz robić, a czego nie. - Widział, jak Gabe się rumieni. Przez ojca znalazł się w trudnej sytuacji. - Gabe, jestem gliną, więc muszę zadawać pytania, ale nie musisz robić nic, czego byś później żałował. Zastanów się. Zależy mi na tym, co jest najlepsze dla twojej mamy. Tobie też.

- Zastanowię się, na pewno. Dziękuję za zrozumienie.

- Kto powiedział, że cię rozumiem? - Decker zmierzwił włosy. - Nic mnie nie odwiedzie od zamiaru odszukania twojego taty, ale ty nie jesteś mną i nie musisz go wydać. Rozumiem, że chciałbyś być lojalny i wobec ojca, i wobec matki.

Gabe uśmiechnął się gniewnie.

- Całe życie staram się tak postępować.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DRUGI

W środę o ósmej rano Decker siedział w gabinecie i pił cappuccino dzięki ekspresowi do kawy i niedawno opanowanym przez Marge umiejętnościom baristy. Przyniosła ekspres z miesiąc temu i od tamtej pory kawa w pracy to było coś. Marge stała się dzięki temu najbardziej lubianą policjantką, bo tylko ona wiedziała, jak spienić mleko.

- Obejrzałaś wszystkie nagrania?

- Tak. - Pociągnęła łyk kawy i oblizała wąsy z mleka na górnej wardze. - Pod koniec rozbolały mnie oczy. Povich powiedział, że możemy zatrzymać kasety jeszcze jeden dzień, więc ponownie obejrzę wszystkie nagrania.

- I widziałaś, jak Adrianna Blanc wchodziła do szpitala, ale nie widziałaś, żeby z niego wyszła.

- Jak ci już mówiłam wczoraj, widziałam mnóstwo osób, których nie zidentyfikowałam. Dlatego jeszcze raz chcę obejrzeć nagrania.

- A co z Garthem Hammerlingiem? - spytał Decker.

- Nawet jeśli pojawił się w szpitalu, to go nie wypatrzyłam, ale powtarzam, że nie zidentyfikowałam mnóstwa osób.

Przez otwarte drzwi wszedł Oliver.

- Ładnie pachnie. Z chęcią bym się napił.

- Zaparzę ci kawy, ale pod warunkiem, że zgodzisz się, bym cię nauczyła, jak to się robi - zaproponowała Marge.

- Jestem straszny patałach, jeśli chodzi o parzenie kawy.
Nie ruszyła się z miejsca.

- Właśnie mówiłam szefowi, że nie widzieliśmy Adrianny po tym, jak w niedzielę wieczorem wysiadła z samochodu i weszła do szpitala.

Oliver przysunął sobie krzesło.

- Tak, wyteżąłem wzrok, chociaż nie oglądałem porno.

- W nocy miałam sen - powiedziała Marge.

- Śniłaś o mnie?

- Nie, o Adriannie Blanc.

Oliver wyjął kubeczek z kawą z dłoni Marge.

- Bardzo ładnie proszę!

- Możesz ją dopić. To już moja druga kawa.

- Co z tym twoim snem? - spytał Decker.

- No właśnie, mój sen. Przez całą noc śniło mi się, że oglądam nagrania, jak w realu niewyraźne, czarno-białe, na których pojawiali się ludzie... Nagle obudziłam się, ale jedno nagranie nie dawało mi spokoju. Nawet nie jestem pewna, czy widziałam to naprawdę, czy tylko we śnie.

Oliver usiadł prosto i spytał:

- Co takiego zobaczyłaś?

- Czy widzieliśmy na nagraniu kobietę w fartuchu, która wychodzi głównym wyjściem koło szóstej rano? Patrzyła na aparat komórkowy, a potem wyjęła coś z kieszeni, co wyglądało jak druga komórka, po czym weszła do środka.

Oliver zmarszczył czoło.

- Taak... Przypuszczasz, że to była Adrianna Blanc?

- Nie daje mi to spokoju. Dlaczego nie pomyśleliśmy, że to

ona?

- Nie wykluczyliśmy jej, Marge, kłopot w tym, że nie widzieliśmy jej twarzy. Poza tym Adrianna była w szpitalu do kwadrans po ósmej. Więc nawet jeśli to była ona, niezbyt nam to pomoże.

- Chciałabym jeszcze raz obejrzyć to nagranie - oświadczyła Marge. - Zastanawiam się, dlaczego ktoś miałby wyjść ze szpitala, a po chwili wrócić. I dlaczego ta hipotetyczna Adrianna Blanc miała dwie komórki przy sobie?

- Mogła wyjść przed budynek, żeby zadzwonić, bo w szpitalu nie ma zasięgu - powiedział Decker.

- Owszem, ale to wyjaśni posiadanie jednej komórki. Ale dlaczego miała dwie?

- Może drugi aparat to był pager. Spojrzała na numer i wróciła do środka, bo ktoś jej potrzebował.

- Być może. W takim razie musimy ustalić, czy o tej godzinie ktoś zadzwonił do Adrianny na pager.

- Przed ósmą piętnaście nie łączyła się z nikim ze swojej komórki - powiedział Oliver.

- Okej, nie nawiązała połączenia, choć zamierzała. Coś jej przeszkodziło. Do kogo mogłaby dzwonić tak wcześnie rano?

Decker wzruszył ramionami.

- Dość oczywista hipoteza. Może chciała powiadomić Gartha, że z nim zrywa, ale dostała sygnał na pager i musiała wrócić do środka.

- Ale dlaczego wybrała na taką rozmowę tak wczesną porę?

- Miała kilka minut wolnego i chciała mieć to już za sobą -

podsunął Oliver.

- Co ci chodzi po głowie, Marge? - spytał Decker.

- Mogło być tak, że poznała kogoś w Garage'u i właśnie dlatego zebrała się na odwagę, by zerwać z Garthem. A następnego ranka spotkała się z księciem z bajki i to on ją zamordował.

- Ale jak mogła się z kimś spotkać, skoro nie widzieliśmy, żeby opuszczała teren szpitala? - spytał Oliver.

- Musiała wyjść, tylko to przeoczyliśmy. Gdyby udało się powiększyć obraz tej kobiety, która utkwiała mi w głowie, przynajmniej zobaczylibyśmy, jak wyglądała w dniu, kiedy ją zamordowano.

- Możemy spróbować - zgodził się Decker.

- To zabójstwo jest bardzo dziwne - stwierdziła Marge. - Morderca nie próbował ukryć zwłok, tylko wprost przeciwnie, zaprezentował je światu w bardzo teatralny sposób. Zupełnie jakby chciał się popisać. I odnoszę wrażenie, że było to zaplanowane. Ofiara się nie broniła. Nie wygląda mi to na kłótnię między dziewczyną a chłopakiem, która zakończyła się tragicznie.

- Naprawdę wierzysz, że umówiła się z jakimś psychopata? - powiedział Oliver.

- Chciałabym ustalić, z kim Adrianna rozmawiała podczas ostatniego wieczoru swego życia.

- Idź do Garage'u i wylegitymuj wszystkich - zaproponował Decker. - Już to mówiłem, ale powtórzę jeszcze raz. Może dlatego nie widzieliście Adrianny na nagraniach, bo nie opuściła terenu szpitala żywa. Według mnie uspiono ją albo

otruto, a następnie uduszono. Trzeba jeszcze raz pojechać do szpitala i dokładniej ustalić kolejność i czas poszczególnych wydarzeń. To nam może wiele wyjaśnić.

- Musiała opuścić teren szpitala - upierała się Marge - bo znaleźliśmy jej zwłoki na placu budowy.

- Karawany, samochody przedsiębiorstw pogrzebowych i z biura koronera nieustannie wywożą zmarłych ze szpitala - powiedział Decker. - Może ktoś ją wyniósł w worku na zwłoki.

- Trafiłam na ślad Donattiego - poinformowała Eliza przez telefon. - Jedno z pokwitowań wystawiono na lexusa rocznik 2009 z numerem rejestracyjnym wypisanym na kartce. Wypożyczono go z Luxury Cars and Vans w Westwood. To jakieś piętnaście, dwadzieścia minut jazdy od hotelu. Umowę na wynajem samochodu podpisał Donatti. Według pokwitowania przyjechał na parking o dwunastej osiemnaście, a opuścił go o czternastej czterdzieści siedem. Donatti odstawił samochód do wypożyczalni o piętnastej dwadzieścia siedem.

- Świetna robota.

- Niestety w tym miejscu ślad się urywa. Donatti musiał mieć jakiś środek transportu, żeby pojechać z wypożyczalni tam, gdzie zamierzał. Podzwoniłam do pobliskich przedsiębiorstw taksówkowych. Na szesnastą pięć zamówiono taksówkę do miejsca odległego jakieś osiemset metrów od wypożyczalni samochodów. Próbuje skontaktować się z taksówkarzem, może zapamiętał Donattiego. Choć mógł to być jakiś inny klient. Ale nie widzę

Donattiego, jak jedzie autobusem.

- Pewnie masz rację. A hotele? Chris przyleciał w sobotę rano. Gdzie się zatrzymał?

- Obdzwoniłam wszystkie hotele w Westwood, teraz sprawdzam hotele w Beverly Hills - Montage, Beverly Wilshire, Beverly Hills Hotel. Jak na razie nic. Może powinnam również sprawdzić mniejsze hotele.

- Może spędził noc w parku... Jezu, trudno ustalić miejsce pobytu tego faceta. - Decker przesunął rękami po włosach. - Gabe rozmawiał z matką o czwartej po południu. Powiedział, że Terry miała normalny głos. Wrócił do apartamentu hotelowego koło szóstej trzydzieści, siódmej, ale jej nie zastał. Jeśli Donatti zrobił coś Terry, miał na to dwie, maksimum trzy godziny. Czyli musiał tam wrócić zaraz po tym, jak odjechał. Czy wiadomo, by jakaś taksówka zawiozła go do hotelu?

- Na pewno nie taksówka, ale nie sprawdzałam jeszcze przedsiębiorstw zajmujących się przewozem osób.

- Może miał drugi samochód i od samego początku zamierzał złożyć swojej żonie ponowną wizytę po moim odjeździe.

- Czy byłaby na tyle głupia, żeby go wpuścić?

- Rozstali się w miarę przyjaźnie. Mogła stracić czujność.

- A może wcale nie wrócił do hotelu - powiedziała Eliza. - Skupiliśmy uwagę na nim, ale powinniśmy pamiętać, że Terry była kobietą życzliwie nastawioną do ludzi. Może ktoś wziął jej życzliwość za coś więcej.

- Wtedy znaleźlibyśmy ślady walki w pokoju hotelowym.

Poza tym nie ma jej samochodu, torebki i kluczy. - Decker zastanawiał się przez chwilę. - Samochody, w przeciwieństwie do ludzi, nie znikają bez śladu. Powinniśmy do tej pory znaleźć jej auto. To, że nam się to nie udało, daje mi do myślenia.

- Sprawdzę pobliskie garaże i przechowalnie - powiedziała Eliza.

- Dobry pomysł. Zastanawiam się, czy nie wybrała się gdzieś dalej. Myślę, że jej syn znalazł w hotelowym sejfie swoją metrykę urodzenia i paszport, ale jej dokumentów nie było. Może je zabrała i wyjechała z kraju.

- Całkiem możliwe. - Po chwili spytała: - Co chciałeś powiedzieć, mówiąc, że myślisz, że syn ma swój paszport?

- Poprosiłem, żeby mi pokazał dokumenty pozostawione w sejfie. Gabe wcale się do tego nie palił. Kiedy spytałem o paszport i metrykę urodzenia jego matki, nic nie powiedział. Coś ukrywa. Wcześniej czy później wyciągnę to z niego.

Po chwili milczenia Eliza spytała:

- Czyli nie widziałeś jego metryki urodzenia?

- Nie. A jakie to ma znaczenie?

- Ciekawa jestem, czy podała Chrisa jako ojca Gabe'a. Może Terry ukrywała jakąś wielką tajemnicę i Chris się o tym dowiedział. Chodzi mi o to, że zawsze wiadomo, kto jest matką dziecka, ale z ojcem to już różnie bywa.

- Nic mi nie wiadomo na ten temat. Miała szesnaście lat i była dziewicą, kiedy go poznała.

- Odebrał jej dziewictwo, ale to wcale nie znaczy, że z nim

zaszła w ciążę. Mówiłeś, że jakiś czas siedział w więzieniu. Może znudziło jej się czekanie?

- Może. - Decker umilkł na chwilę. - Zabiłby ją, gdyby się dowiedział, że to nie jego dzieciak.

- Ty to powiedziałaś. Może nazwisko prawdziwego ojca widnieje na metryce urodzenia. Albo może ukryła wyniki badań DNA. Wiesz, jak to jest, poruczniku. Nie zna piekło straszliwszej furii nad wściekłość zawiedzionego płatnego zabójcy.

Sądząc po głosie, dzwoniła starsza kobieta. Przedstawiła się jako Ramona White.

- Szukam porucznika Dettera.

- Porucznik Decker przy telefonie.

- Och, to Decker? Nie potrafię czytać bazgrołów mojego wnuka.

- Czym mogę pani służyć, pani White?

- Dzwonił pan do mnie.

- W sprawie...

- Nie wiem, w jakiej sprawie. Właśnie dostałam wiadomość, żeby do pana oddzwonić.

Decker musiał zastanowić się chwilę. Wnuczek... Babcia.

- A tak, dzwoniłem w sprawie pani zięcia, Eddiego Bookera. Czy wie pani, gdzie teraz przebywa?

- Razem z moją córką wybrali się w rejs.

- Wie pani, kiedy wrócą?

- Za parę dni. Popłynęli do Acapulco. Zaproponowali, żebym wybrała się z nimi, ale cierpię na chorobę morską. Zresztą ktoś musi pilnować potworów w domu.

- Zna pani nazwę linii żeglugowej?
- Seacoast czy Seacrest. Coś w tym rodzaju.
- Czy jest z nimi jakiś kontakt?
- Pewnie przez linię żeglugową. Gdzieś mi zostawili trasę rejsu. Czy to coś pilnego?
- Nie. Jeśli Eddie zadzwoni do pani, proszę mu powiedzieć, że próbuję się z nim skontaktować, dobrze?
- Co się stało? Czy Eddie ma jakieś kłopoty?
- Nic mi o tym nie wiadomo. Czy miał wcześniej kłopoty?
- Nic do mnie nie dotarło, ale wie pan, jak to jest. Miałam trzech mężów. Na początku wszyscy byli aniołami, ale pod koniec okazali się najgorszymi mętami. Więc proszę mi wybaczyć mój cynizm. To wina mężczyzn.

Bez względu na to, jak bardzo zwalniano szybkość przesuwania się taśmy, policjanci i tak nie mogli rozpoznać twarzy. Kobieta, która wyszła ze szpitala o szóstej rano, by po kilku chwilach wrócić do środka, pozostała zagadką.

Oliver włączył światło.

- Porażka na całej linii - powiedział.
- Masz rację. Możemy jeszcze raz obejrzyć nagrania.

Oliver spojrzał na zegar ścienny.

- Za pół godziny przyjdą Aaron Otis i Greg Reyburn. Może przejrzymy taśmy po ich przesłuchaniu?

- Czemu nie. - Marge wzięła komórkę. - Hm... - Odsłuchiwała pocztę głosową. - Dostałam wiadomość ze szpitala od jakiejś Hildy czy coś w tym stylu. O szóstej zero siedem wysłano powiadomienie na pager Adrianny. Więc ten drugi aparat to mógł być pager.

- Czyli ta kobieta na nagraniu to prawdopodobnie ona - powiedział Oliver.

- Do kogo próbowała zadzwonić? - spytała Marge.

- Prawdopodobnie do Gartha, ale nie ma na to śladu w spisie połączeń. Wygląda na to, że w ogóle się nie dodzwoniła. Co powiesz na przerwę na kawę?

- Decker dał mi dziennik Adrianny. Zamierzam go przejrzeć przed rozmową z Otisem i Reyburnem. Sprawdzę, czy znajdę jakąś aluzję, że Adrianna i Aaron Otis coś do siebie czuli. Ale możesz skorzystać z ekspresu.

- Wiesz, że nie potrafię go obsługiwać.

- A niby czemu to mój problem?

- Dobrze już, dobrze. - Wstał. - Złapię byka za rogi. Naucz mnie, jak spieniać mleko.

- Teraz musi to poczekać, Scott. Jestem zajęta.

- Jak długo to potrwa?

- Prawdę mówiąc, chyba niezbyt długo, ale nie w tym rzecz. Dziś rano proponowałam, że cię nauczę, ale wzgardziłeś moją pomocą.

- A jeśli teraz będę cię błagał na kolanach?

Wstała.

- Jeśli zamierzasz tak się poniżyć, to poproś o coś więcej niż jakieś tam latte.

- Skarbie, poniżałem się dla mniejszych rzeczy. Latte przynajmniej mnie nie spoliczkuje, kiedy już z nią skończę.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY TRZECI

Marge miała dość lat, by pamiętać czasy, kiedy tatuaż coś znaczył. W tamtych latach sztuka tatuazu szła ręką w rękę z przestępczością i przynależnością do gangu. Jedynymi powszechnie akceptowanymi tatuażami, na przykład serce, a w nim słowo MAMA, były te, jakimi ozdabiali się żołnierze armii amerykańskiej. Pozostali mężczyźni obywali się bez takich ozdób. Obecnie tatuaże bardzo spowszedniały, traktowano je jak biżuterię. Jedynym plusem ich popularności było to, że ułatwiały ustalanie tożsamości, albowiem nie było dwóch identycznych tatuaży.

Aaron Otis całe lewe ramię ozdobił barwnymi esami-floresami, natomiast na prawym ramieniu miał wytatuowane bransoletki, między innymi w kształcie drutu kolczastego, ze znaków pisma japońskiego, bransoletkę węża oraz z pocisków w pasie na amunicję. Jediną widoczną częścią ciała Aarona, którą można było obejrzeć w stanie naturalnym, była szczupła twarz – ogorzała i pobrużdżona, jakby całe życie spędził w buszu. Miał na sobie czarną koszulkę i beżowe spodnie wory, a na gołych stopach mokasyny marki Vans.

Drugi z młodych mężczyzn, Greg Reyburn, wykazał się większymi wymaganiami i oryginalnością, jeśli chodzi o dobór tatuaży, ale i tak wstrzyknięto mu pod skórę dość tuszu, by napisać nim nowelę. Był średniego wzrostu

i średniej budowy ciała, włosy miał czarne i kręcone, wydatne kości policzkowe i spiczastą brodę. Oczy, podobnie jak u kumpla, były zaczerwienione. Miał na sobie dzinsy, czarną koszulkę polo i sandały.

Marge umieściła ich w osobnych pokojach przesłuchań. Scott wziął w obroty Grega Reyburna, natomiast Aarona Otisa Marge zostawiła sobie. Przyniosła mu napój gazowany, usiadła obok niego i nachyliła się, próbując przybrać postawę macierzyńską.

- Wygląda pan na zmęczonego.

- Jestem wykończony. - Wziął napój. - Dziękuję, bardzo mi się przyda. Kilka ostatnich dni było okropnych. - Napił się łąpczywie. - Jestem kompletnie splukany po naprawie samochodu i urlopie. - Mówiąc „urlopie”, zrobił w powietrzu znak cudzysłowu. - Kompletny niewypał. A do tego teraz patrzy pani na mnie jak wudu.

- Dlaczego tak pan mówi? - Wyjęła notes.

- Ponieważ Adrianna zadzwoniła do mnie, a nie do Gartha. Gdybym wiedział, że straci życie, to na pewno bym... Och, nie wiem, co bym zrobił. To straszne. Dopiero co z nią rozmawiałem, a teraz... No wie pani... Aż ciarki człowieka przechodzą.

Marge skinęła głową, ale na razie milczała.

- No bo co się stało? Czują się doskonale, kiedy z nią rozmawiałem... Znaczą się była wkurzona jak wszyscy diabli, ale... To bardzo dziwne.

- Z czego pan żyje, Aaronie?

- Ja?

- Tak. Jak zarabia pan pieniądze?
- Jestem generalnym wykonawcą.
- Generalnym wykonawcą? To znaczy buduje pan domy?
- Na ogół zatrudniam się jako kierownik budowy w większych przedsiębiorstwach budowlanych.
- Rozumiem. - Czy to zbieg okoliczności, że Adrianę znaleziono na placu budowy? Ale Otis nie mógł tego zrobić, skoro był tak daleko. - Jak poznał pan Gartha?
- Chodziliśmy razem do szkoły. Znam go od siódmej klasy.
- Co może mi pan o nim powiedzieć?
- To dobry gość... Trochę próżny, ale czemu miałby być inny?
- Jesteście bliskimi kumplami?
- Tak, dobrymi przyjaciółmi. Na tyle dobrymi, że byłbym zaszokowany, gdyby... - Urwał.
- Czy Garth kontaktował się z panem po tym, jak wyjechał?
- spytała Marge.
- Nie. - Milczał przez chwilę. - Denerwuję się. Gdzie on się podziewa, skoro nie ma go w domu?
- Też zadajemy sobie to pytanie. Sprawdziliśmy listy pasażerów. Wsiadł z samolotu na lotnisku Burbank, ale potem ślad się urywa. Jest pańskim przyjacielem. Gdyby chciał się ukryć, dokąd pana zdaniem by się udał?
- Nie wiem. - Napiął bicepsy. Bransoletki się powiększyły, a potem znów zmniejszyły. - Jego rodzina mieszka tutaj. Próbowaliście się z nią skontaktować?
- To pierwsze, co zrobiliśmy. Jego matka sądziła, że nadal jest z wami.

- Stawia go to w złym świetle... Zniknąć tak nagle.
- A może spotkało go coś złego. Chciałabym go odszukać, żeby się upewnić, że nic mu nie jest.
- Myśli pani, że Garth... - Otis zrobił wielkie oczy - nie żyje?
- Nie wiem, Aaronie. Wiemy, że Adriannę zamordowano. Byłoby mi przykro, gdyby się okazało, że Gartha spotkał taki sam los.
- Kurde. - Podrapał się w kolorowe esy-floresy na ramieniu. - To naprawdę dziwne. Sądziłem, że... No wie pani.
- Nie, nie wiem. Proszę mi powiedzieć.
- Że uważa pani Gartha za podejrzanego. Chociaż nie mam pojęcia, jak mógłby to zrobić. Po tym, jak wyjechał z Reno, miałby za mało czasu.
- Marge nie sprzeciwiła się. Garth miałby wystarczająco dużo czasu, choć musiałby się mocno uwijać.
- Aaronie, proszę mi opisać reakcję Gartha, kiedy mu pan powiedział o telefonie od Adrianny.
- Był zdenerwowany.
- Co powiedział?
- Nie pamiętam dokładnie... Coś jakby... Że nie znosi, kiedy Adrianna się tak zachowuje. Zamierzał wrócić do Los Angeles, żeby z nią się spotkać, bo to nie była rozmowa na telefon.
- Kiedy Adrianna tak się zachowuje... Czy już wcześniej z nim zrywała?
- Tak, wiecznie się kłóca.

- O co?
- O różne rzeczy.
- Może mi pan podać jakiś przykład?
- Narzekał, że Adrianna jest zbyt apodyktyczna... Że za bardzo go kontroluje. A naprawdę nie miała powodu, żeby to robić, bo sama też nie była święta. - Otis umknął wzrokiem. - Naprawdę nie powinienem mówić za Gartha.
- A co może pan powiedzieć o niej?
- Prawie jej nie znam. Przyjaźnię się z Garthem.
- Jednak zadzwoniła do pana, żeby powiedzieć, że z nim zrywa. O czym to świadczy?
- Że miała mój numer telefonu i nie chciała rozmawiać z Garthem.

Marge nachyliła się bliżej.

- To coś więcej. Według mnie Adriannę i pana coś łączyło.
- Wcale nie. - Znów odwrócił wzrok.
- Może chciałby pan przemyśleć to oświadczenie. - Marge odsunęła się, żeby mu dać trochę więcej przestrzeni. - Wiedział pan, że Adrianna prowadziła dziennik?

Aaron zaczerwienił się. Chociaż Adrianna pisała o schadzках z innymi mężczyznami, nie podawała żadnych nazwisk. Marge nie miała pojęcia, czy spotykała się również z Aaronem, ale jeśli był typowym mężczyzną, to na pewno uważał, że jest na tyle ważny, by trafić na karty dziennika.

- Aaronie?
- To nie było nic poważnego.
- Ale coś więcej niż przelotna przygoda - skomentowała Marge.

- Nie, właśnie to była przelotna przygoda. Spotkaliśmy się trzy, może cztery razy, i żadne z nas nie traktowało tego poważnie. Wściekała się na Gartha i oszukiwała go, bo Garth oszukiwał ją.

- To czemu po prostu ze sobą nie zerwali?

- Jak widać, zerwała z nim. A przynajmniej miała taki zamiar.

- Dlaczego zajęło jej to tak dużo czasu?

- Nie wiem, ale wreszcie się zdecydowała. Już od jakiegoś czasu mieli problemy.

- W takim razie dlaczego według pana Garth z nią był?

- Bo była świetna w łóżku. Przynajmniej tak uważam.

- Tylko pan przypuszcza? Czy sam się pan o tym przekonał?

- Och, to zbyt osobiste pytanie.

- Aaronie, Adrianna nie żyje, więc muszę wiedzieć wszystko. Dlaczego powiedział pan, że jest świetna w łóżku?

- No dobrze, powiem - poddał się. - Godziła się na takie rzeczy, których wiele dziewczyn nie chce robić. Wszystko dozwolone, żadnych zakazów, żadnych tabu. No i dawała Garthowi pieniądze.

- Z pana słów wynika, że była idealną dziewczyną. Dlaczego ją zdradzał?

- Bo faceci to dranie - odparł z krzywym uśmiechem.

Celna, nawet jeśli nie do końca słuszna opinia o brzydszej płci, pomyślała Marge. Ale Adrianna też miała swoje wady.

- Aaronie, skoro była taka świetna w łóżku, dlaczego spotkaliście się tylko kilka razy?

- To ona postanowiła to zakończyć.
- Był pan za to na nią zły?
- Nie, też uznałem, że tak będzie lepiej.
- To dlaczego tak bardzo się złościła, że Garth ją zdradza, skoro też nie była mu wierna?
- Nie wiem. Jestem zmęczony, pani sierżant, i nie myślę zbyt jasno.
- Czy wyjaśniła panu, dlaczego z panem zerwała?
- Powiedziała, że już jej przeszło, jeśli wie pani, co mam na myśli.
- Chyba nie. Proszę mi to wyjaśnić.
- Pani sierżant, nie byłem pierwszym ani ostatnim, z którym spała, żeby się zemścić na Garcie.
- Skąd pan o tym wie?
- Bo mnie informowała za każdym razem, kiedy umówiła się z jakimś facetem, o którym Garth nie wiedział.
- Wygląda na to, że byliście dobrymi przyjaciółmi, skoro opowiadała panu o miłosnych podbojach. Dlaczego zwierzała się właśnie panu?
- Nie wiem. Może myślała, że powtórzę to Garthowi, a on zrobi się zazdrosny.
- A powtarzał pan?
- Skądże znowu. Nie zamierzałem kłaść głowy pod topór.
- Sądzi pan, że Garth wkurzyłby się na pana, chociaż sam uganiał się za spódniczkami?
- Przypuszczam, że w głębi serca zależało mu na Adriannie. W przeciwnym razie nie zrezygnowałby z urlopu, żeby ją udobruchać, prawda?

- Nie wiem, Aaronie. Szczerze mówiąc, zastanawiam się, co mogło się stać, jeśli nie udało mu się jej udobruchać.

- Nie wiem. To wszystko jest jakieś takie dziwne.

- Może w ich związku nie tyle seks był ważny, co pieniądze, które Adrianna dawała Garthowi. Skąd się pan dowiedział, że finansowała jego wypadki do Las Vegas?

- Zapytałem go, jakim cudem zawsze ma forszę na wyjazd do Las Vegas. Powiedział, że dostaje pieniądze od Adrianny.

- Jak pan na to zareagował?

- Rzuciłem komentarz w stylu „światny układ”.

- Pracowała jako pielęgniarka. Skąd brała pieniądze dla Gartha?

- Prawdopodobnie od swojej mamy. Jej rodzice są bogaci.

- Powiedziała panu, że matka wspomaga ją finansowo?

- Niewykluczone. Rzecz w tym, że oboje zawsze mieli dość forsy, żeby kupić alkohol i organizować imprezę. A Adrianna bardzo lubiła imprezować. - Oczy mu zwilgotniały. - To okropne, gdy pomyślę, że ktoś ją powiesił. Co za drań mógł zrobić coś takiego?

Marge westchnęła w duchu. Było to retoryczne pytanie. Ale i tak mogłaby mu udzielić kilku odpowiedzi, a wszystkie wywołałyby ciarki na skórze.

- Ciekawe, że Otis jest kierownikiem budów. - Decker zadumał się na chwilę. - Czy to istotne?

Marge wzięła krzesło i usiadła. Odchyliła głowę do tyłu i spojrzała w sufit.

- Sprawdzę, czy miał coś wspólnego z domem Grossmanów, gdzie znaleziono Adriannę.

- Według mnie wszyscy przedsiębiorcy budowlani są winni, o ile nie udowodnią swojej niewinności - wtrącił Oliver.

- À propos - powiedział Decker. - Udało się wam skontaktować z Keithem Waldem i Chuckiem Tinsleyem?

- Udało mi się dodzwonić do Walda - odparła Marge. - Umówiliśmy się na spotkanie. Tinsley nie oddzwonił. - Zwróciła się do Olivera. - Co robi Reyburn?

- Jest wózkarem w wytwórni filmowej Warner Bros w Burbank.

- Jak poznał Gartha? - spytał Decker.

- Cała trójka przyjaźni się od siódmej klasy.

- Sądysz, że gdyby któryś z nich miał kłopoty, pozostali by mu pomogli?

- Trzej muszkietierowie, tak? - spytał Oliver. - Być może, chociaż nasuwa się pytanie o lojalność, kiedy twój przyjaciel sypia z twoją dziewczyną.

- Ciekawa jestem, czy Greg Reyburn też jest na liście tych, z którymi sypiała Adrianna - dodała Marge.

- Nie wiem, bo go o to nie zapytałem.

- Jest tu jeszcze? - spytał Decker.

- Nie, wyszedł godzinę temu. Mogę go zapytać, ale wiemy, że Adrianna sypiała ze wszystkimi, podobnie jak Garth. Jeden więcej nie zmieni obrazu sytuacji.

- Niby tak, ale coś mi przyszło do głowy - powiedziała Marge. - Jeśli przyjaciele Gartha czuli wyrzuty sumienia w związku z tym, że spali z jego dziewczyną, to może, w ramach swoiście pojętego zadośćuczynienia, pomogli mu pozbyć się ciała Adrianny.

- Jak mieli mu pomóc, skoro byli daleko stąd? - spytał Oliver.

- Może Aaron poradził Garthowi, żeby zostawił zwłoki w domu Grossmanów.

- Jeśli Aaron ma coś wspólnego z tą budową, wiedziałby, że źle by się to dla niego skończyło.

- Nie chcę obrzucać go kalumniami, ale raczej nie grzeszy zbytnią inteligencją. Może spanikowany Garth zadzwonił do niego, a Aaron powiedział to, co mu pierwsze przyszło na myśl.

- Spytajcie Walda, czy Otis ma coś wspólnego z tą inwestycją - powiedział Decker. - Kiedy wybieracie się do szpitala St. Timothy? Trzeba ustalić, co robiła Adrianna przed śmiercią.

- Pojedziemy tam zaraz po przerwie na kawę - oznajmił Oliver.

- Ja rezygnuję z kawy - oświadczyła Marge. - Ale możesz skorzystać z ekspresu, Scott.

- Ostatnim razem, kiedy próbowałem, oparzyłem sobie rękę.

- Trening czyni mistrza. - Marge wstała. - No dobra, jeszcze raz ci pokażę, jak to się robi. Kto by pomyślał, że takie niewielkie urządzenie może być tak bardzo uzależniające.

- To nie uzależnienie, tylko wybór.

- Podobnie jak wypieranie się czegoś, póki nie stanie się to zwyczajem - powiedziała Marge. - Może należałoby utworzyć ośrodek odwykowy dla kawoszy? Kto spośród nas nie cierpiał

na ból głowy spowodowany brakiem kofeiny w organizmie? Jeśli ludzie są gotowi bulić pięć dolarów za coś, co kosztuje ze czterdzieści centów, możemy im wmówić, że wpadli w nałóg, z którym należy zerwać. To wszystko część współczesnej filozofii psychologii. Przypisywanie sobie zasług, ale uchylanie się od odpowiedzialności.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY CZWARTY

Decker siedział z nogami na biurku. Zamknął drzwi do gabinetu i był to jeden z nielicznych momentów, kiedy pozwalał sobie na chwilę wytchnienia. Musiał się zresetować po rozmowie z Kathy Blanc. Pragnienie rozwiązania sprawy zabójstwa przypominało uciążliwe swędzenie w miejscu, gdzie nie można się podrapać. Teraz rozmawiał z Elizą Slaughter i ledwie rozumiał, co do niego mówiła.

- Gdzie jesteś? Połączenie jest bardzo kiepskie.

- Jestem... terenie. Poczekaj, aż wró... wozu. ...dzwonię.

Rozłączyła się. Czekając, aż powtórnie zadzwoni, Decker sprawdził wiadomości. Spędził prawie całe przedpołudnie na rozmowach z pracownikami hotelu, którzy jeszcze się nie zwolnili. Trudno było przesłuchiwać ludzi przez telefon, może z kilkoma osobami będzie się musiał spotkać osobiście. Przeprowadził również krótką rozmowę z lekarzem sądowym. Zgodnie z wynikami sekcji zwłok, Adrianna Blanc poniosła śmierć w wyniku uduszenia przez powieszenie. Na jej ciele stwierdzono również obecność siniaków i innych obrażeń spowodowanych ciągnięciem ciała.

Zadzwonił telefon.

- Teraz lepiej? - spytała Eliza.

- O wiele. Co nowego?

- Prawie cały dzień sprawdzałam warsztaty samochodowe, dziuple i złomowiska. Ponieważ odwiedzanie warsztatów

i przechowalni wymaga posiadania kluczy i zgody właściciela, zaczęłam od złomowisk. Nikt nie zwraca uwagi, jak się przeszukuje sterty złomowanych samochodów. Jestem teraz na trzecim złomowisku. Wszystkie są w Dolinie.

- We wschodniej i północnej części. Pracowałem kiedyś w Foothill.

- To, w którym teraz jestem, znajduje się na obszarze działania twojego posterunku. Słyszałeś coś o Tully's Scrap Metal?

- To w pobliżu Rinaldiego.

- Powinieneś tu przyjechać. Coś zwróciło moją uwagę.

- Coś w rodzaju mercedesa E550 rocznik 2009?

- Tak mi się zdaje, chociaż trudno ustalić model i rok produkcji, kiedy samochód jest kompletnie wypatroszony. Aha, srebrny kolor.

- Kiedy tam trafił?

- Chłopak, który tu jest, nie ma pewności. Sądzi, że parę dni temu. Staramy się ustalić miejsce pobytu właściciela złomowiska, bo to on posiada rejestry.

- Za pół godziny mogę dojechać do ciebie.

- W takim razie czekam... Ale coś mi powiedz. Terry chodziła do szkoły w zachodniej części Doliny, prawda?

- Zgadza się.

- Więc możliwe, że zna to miejsce.

- Wszystko jest możliwe.

- Ale nie masz pewności.

- Po prostu nie wiem, Elizo. Według mnie większe znaczenie ma to, że Chris Donatti, w owym czasie Chris

Whitman, chodził do szkoły w Dolinie. I jako nastolatek jeździł szybkim samochodem. Natomiast Terry chodziła do szkoły na piechotę lub korzystała z autobusu.

Cappuccino działało na niego kojąco. Może za sprawą mleka, bo Oliver popijał kawę niemal z rozkoszą. Nie tylko nauczył się obsługiwać ekspres, ale również w końcu opanował sztukę spieniania mleka. Teraz był w drodze do szpitala St. Timothy. Marge prowadziła, Scott zajmował miejsce obok kierowcy.

- Staję się zniewieściami - powiedział.

- Picie boskiego napoju wcale nie jest oznaką zniewieścienia. Włosi na okrągło piją latte i cappuccino - odparła z uśmiechem. - Naturalnie nigdy po południu. Po południu piją espresso, bo kawę z mlekiem pija się na śniadanie.

- Czy jesteśmy we Włoszech, Marge?

- Mówię tylko, że...

- Kiedy sprawdzałem ostatni raz, włoski nie był tu językiem urzędowym...

- Chcę tylko trochę pogłębić twoją wiedzę na temat picia kawy.

- Wiesz co, Dunn, widzę cię, jak w przyszłości prowadzisz program w telewizji kablowej. W pełnej mundurowej gali będziesz spieniała mleko sojowe i wyjaśniała widzom, jak zapobiegać pobiciom z użyciem niebezpiecznych przedmiotów. Program będzie nosił tytuł *Gliniarz robi kawę*.

- Kojarzy mi się z pornosem.

- To też może być - odparł z uśmiechem i dokończył latte. -

Czyli jaki mamy plan?

- Najpierw oddamy nagrania Ivanowi Povichowi. -
Włączyła prawy kierunkowskaz.

- Rozmawiałaś z nim?

- Zostawiłam wiadomość. Poprosiłam o nagrania z kamer zainstalowanych tam, gdzie zatrzymują się karetki pogotowia.

- Dlaczego Povich od razu ich nam nie dał?

- Nie wiem. Przypuszczam, że kiedy poprosiliśmy go o nagrania, założył, że chodzi nam jedynie o wejścia i wyjścia.

- Czyli spodobał ci się pomysł, że Adriannę wyniesiono w worku na zwłoki?

- Nie można tego wykluczyć. - Marge umilkła na chwilę. -
Jeśli zabójstwa dokonano na terenie szpitala, zastanawiam się, co mogło pójść nie tak? Kto poza Garthem był na tyle blisko z Adrianną, żeby kłótnia przybrała aż tak tragiczny finał.

- Dlaczego uważasz, że zamordował ją ktoś, z kim była blisko? W twoim ujęciu wygląda to tak, jakby chodziło o coś, co przypomina awanturę w rodzinie, a po tym, co usłyszeliśmy o Adriannie od Aarona i Grega, można równie dobrze założyć, że poznała kogoś nowego i właśnie ta znajomość źle się zakończyła. Może kręciła z żonatym lekarzem albo dyrektorem szpitala. Może zagroziła, że wszystko powie żonie.

- Dlaczego miałyby nagle wpaść na pomysł, by ujawnić, z kim sypia?

- Bo była wściekła na Gartha - odparł Oliver - ale mściła się na innych mężczyznach, którzy byli pod ręką. Kobiety tak robią.

- W przeciwieństwie do mężczyzn? - Marge się roześmiała.

- Przypomnij sobie seryjnych morderców, którzy nienawidzili swoich matek.

- Tylko próbuję cię wkurzyć. - Odczekał chwilę. - Chociaż gdyby ktoś próbował ją zabić, powinna się bronić.

Marge skręciła w lewo.

- Chyba że oboje wypili za dużo. Albo była naćpana?

- W jej organizmie nie stwierdzono kokainy, alkoholu ani trawki. To wiemy na pewno.

- Może chodzi o coś nietypowego. Komu łatwiej zdobyć narkotyki niż pracownikom szpitala, którzy mają nieograniczony dostęp do wszystkich zamkniętych na klucz szafek z lekami?

- Wcale nie mają nieograniczonego dostępu - odparł Oliver. - Przecież są określone procedury, na przykład trzeba wszystko zapisywać. Powinniśmy sprawdzić rejestry pobieranych leków. Łatwiej by nam było, gdyby ktoś wziął jakiś nietypowy specyfik, którego obecność zostałaby stwierdzona w organizmie Adrianny.

- Cały kłopot polega na tym - powiedziała Marge - że czasami trzeba wiedzieć, czego szukać, żeby znaleźć podczas badania toksykologicznego.

Oliver otworzył termos i zebrał pianę palcem.

- Widzę, że jesteś sceptycznie nastawiona do tej teorii. Co ci się w niej nie podoba?

- Że znajomy Adrianny nagle postanowił ją zamordować. Co sobie powiedzieli albo zrobili, żeby sprawy przybrały tak zły obrót?

- Wiesz, jak to bywa, Marge. Zaczyna się od głupstwa, a potem kończy tragicznie.

Marge i Oliver znów siedzieli w pomieszczeniu ochroniarzy w szpitalu St. Timothy. Co było jeszcze dziwniejsze, Peter wciąż pracował.

- Czy on kiedykolwiek idzie do domu? - spytał Oliver Ivana Povicha.

- Idzie do domu, a potem pojawia się w pracy. - Povich wyjął kasetę z taśmą. - Dostałem wiadomość od pani, pani sierżant. To nagranie z kamery zainstalowanej tam, gdzie podjeżdżają karetki pogotowia. Mamy wszędzie kamery. Prosiła pani o wejścia i wyjścia, a ja nie pomyślałem o podjeździe dla karettek pogotowia. Mój błąd. Już wcześniej bym je pani dał.

- Nie ma sprawy.

- Mamy szczęście. Lada chwila skasowano by poprzednie nagranie i zaczęto zapisy od nowa. Ale mam to, co pani chciała.

- Cieszymy się z drobiazgów - skwitowała Marge.

Povich wsadził kasetę do odtwarzacza i przewinął ją do miejsca, gdzie zaczynało się nagranie z ostatniego poniedziałku. Cała trójka wpatrywała się w monitor. Nadjeżdżały karetki pogotowia z pacjentami podłączonymi do kroplówek i przypiętymi pasami do noszy. W interesującym ich przedziale czasowym byli to przeważnie

ci sami ludzie w tych samych samochodach, mimo że karetki przyjeżdżały z różnych stron.

Żadnych worków na zwłoki, ale Marge wypatrzyła coś ciekawego. O jedenastej trzynastej prywatny samochód tyłem wjechał do zatoki, nim zniknął z pola widzenia kamery. Przyglądała się jeszcze chwilę, a potem zrobiła wielkie oczy.

- Zatrzymajcie odtwarzanie!
- Co się stało? - spytał Oliver.
- I cofnijcie trochę taśmę.
- Co zobaczyłaś, Marge?
- Nie jestem pewna. Dlatego chcę to obejrzyć jeszcze raz.

Gdy taśma została cofnięta, przyglądali się czarno-białym postaciom na poszczególnych klatkach.

- Stop! - Marge wskazała małą samotną postać stojącą na podjeździe. - Możecie to powiększyć?

- Peter, chodź tu - polecił Ivan Povich. - Możesz to powiększyć?

Peter bez słowa wstał, podszedł do monitora i po chwili mała postać zaczęła się powiększać. Ale im stawała się większa, tym bardziej była zamazana.

- Nie przypomina ci kogoś, Scott? - spytała Marge.
- Nie. Widzę tylko rozmazaną osobę.
- Zmniejsz ją, Peterze. - Niemy ochroniarz zmniejszył nieco obraz. - A teraz?

Oliver wpatrywał się w postać

- Nadal nic.
- Nie patrz na twarz, tylko na strój, na wzrost i budowę ciała.

- Mandy Kowalski.
- Może masz rację.
- Może.
- Co ona tam robi? Dlaczego przygląda się, jak wyciągają nosze z karetek, a potem ładują je z powrotem?
- Jest tylko jeden sposób, żeby się tego dowiedzieć. - Oliver wstał. - Odszukajmy ją i zapytajmy.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIĄTY

Złomowisko Tully's Scrap Metal istniało od prawie czterdziestu lat. Obecnie pilnował go Caleb „Audi” Sayd, dwudziestoośmioletni facet, którego przodkowie może pochodzili z Egiptu, ale on sam mówił jak typowy Kalifornijczyk. Mierzył ponad sto osiemdziesiąt centymetrów wzrostu, ważył z osiemdziesiąt kilo, miał czarne włosy i ciemne oczy. Ubrany był w dżinsy biodrówki, biały T-shirt i wojskowe buty. Skrzyżował ręce na piersiach, dłonie wsunął pod pachy.

Kiedy Decker pokazał mu zdjęcie Terry McLaughlin, odparł:

- Nigdy jej nie widziałem.

- Jest pan pewien? - spytała Eliza Slaughter.

Audi dotknął zdjęcia palcem.

- Taka twarz... Zapamiętałbym, gdybym ją widział.

Stali pośród złomowanych aut. Wiele z nich już od dawna nie widziało szosy. Zainteresowała ich wypatroszona i sprasowana srebrna karoseria, która być może kiedyś była mercedesem E550. Od razu rzuciła się Elizie w oczy.

Decker przyjrzał się złomowi.

- Co może mi pan o tym powiedzieć? Wygląda mi na nowe, bo brak śladów rdzy.

- Jest nowe - potwierdził Audi. - Też mnie to zaintrygowało. Zwykle nie złomuje się nowych aut.

- Czyli wzbudziło to w panu podejrzenia? - spytała Eliza.
 - Naturalnie, że tak. Nie zostawił tu tego żaden z moich stałych klientów.
 - A wie pan, kto to zostawił?
 - Nigdy wcześniej nie widziałem gościa, ale miał pokwitowanie. Oczywiście sprawdziłem w wydziale komunikacji, nim przedstawiłem ofertę. Wszystko było w porządku.
 - Ma pan nazwisko tego gościa? - spytał Decker.
 - Dokumenty trzymam w biurze. - Audi wskazał przyczepę.
 - Na nazwisko miał Jones.
 - A imię?
 - Nie pamiętam. Nie wiem, czy je w ogóle poznałem.
 - Jak wyglądał? - spytała Eliza.
 - Śniada cera. Ciemne proste włosy, brązowe oczy. Niższy i szczuplejszy ode mnie.
 - Latynos?
 - Całkiem możliwe. Mówił z lekkim akcentem.
 - Bliskowschodnim?
 - Nie, proszę pani.
 - Kiedy tu przyjechał?
 - W ostatnią sobotę albo niedzielę. Mam zapisaną datę.
 - Sobotę albo niedzielę? - spytał Decker.
 - Tak, w weekend.
- To z całą pewnością nie pasowało do teorii Deckera. Zaczął się zastanawiać, czy chodzi mu o ten samochód.
- Jak był ubrany?
 - Jak mechanik, w kombinezon, T-shirt. Ale miał czyste

paznokcie i delikatne dłonie, jakby nigdy w życiu nie pracował fizycznie. Dziwne, ale cóż, zawsze opowiadają jakieś historyjki.

- A jaką historyjkę on przedstawił?

- Że samochód wywołuje w nim złe wspomnienia dotyczące byłej żony czy dziewczyny. Brzmiało to mało prawdopodobnie, ale jak już powiedziałem, wszystkie dokumenty były w porządku.

- Czyli nie zadawał pan żadnych pytań? - dociekała Eliza.

- W tym biznesie często ma się do czynienia z dziwakami. Kto poza nimi zajmuje się częściami zamiennymi i złomem? Jeśli samochód nie został skradziony, nie został użyty w celach przestępczych, jego właściciel nie jest przestępcą, dokumenty własności się zgadzają, lepiej o nic nie pytać. Nie chcę sobie ściągać na głowę kłopotów, pani detektyw.

- Ile mu pan zapłacił? - spytał Decker.

- Zaproponowałem bardzo mało, a on się nie targował. Nie zależało mu na pieniądzach, tylko nalegał, żeby możliwie jak najszybciej złomować wóz. Wrócił tu, by się upewnić, że to zrobiłem, i poprosił, żebym ukrył wóz w samym środku złomowiska. Powiedziałem mu, że to będzie kosztowało dodatkowo, a on od razu się zgodził. Kiedy wszystko zrobiłem zgodnie z umową, odjechał.

- Co zrobił pan z częściami?

- Przyholował samą karoserię. Nie wiem, co się stało z bebechami.

- I nigdy wcześniej nie robił pan z nim żadnych interesów?
- spytała Eliza.

- Powiedziałbym, gdyby było inaczej.

- Czy mógłby pan odnaleźć dokumenty pana Jonesa? - spytał Decker. - Bardzo by mi pomogło, gdybym poznał jego imię.

- Jasne. - Skierowali się do przyczepy i weszli do środka. W przyczepie było gorąco, chociaż kręciło się kilka wiatraków. Stało w niej biurko z kilkoma równymi stertami papierów, fotel, cztery składane krzesła i szafka na dokumenty. Audi usiadł, napił się wody z kubka Big Gulp, i w jednym ze stosów dokumentów szybko znalazł to, czego szukał. Wręczył Deckerowi kopię faktury. - Proszę.

- Dziękuję. - Pierwsze, co zauważył Decker, to data. Ostatnia sobota, dzień przed zniknięciem Terry. Czyli może się mylił. Klient nazywał się Atik Jones. - Oryginalne imię.

- Jak brzmi?

- Atik - powiedział Decker.

- Nie przypominam sobie, bym je słyszał. Chyba przedstawił się samym nazwiskiem.

- Więc skąd znalazło się na fakturze?

- Spisałem z zaświadczenia. Zaraz je odnajdę. - Audi obrócił się na fotelu i zaczął grzebać w aktach. Po chwili zrobił zdziwioną minę. - Nie mogę go znaleźć. Może włożyłem je nie tam, gdzie trzeba. Mogę prosić o fakturę?

Decker mu ją oddał. Audi spisał kilka numerów i znów zaczął szukać w aktach.

- Coś pokręciłem. Jakie to irytujące. Przejrzę wszystkie zaświadczenia na nazwiska rozpoczynające się na J. Może to potrwać kilka minut, bo jest ich sporo.

- Zaczekamy - odparła Eliza.

Po kilku minutach Audi powiedział:

- No, znalazło się. Źle wypisałem nazwisko na fakturze. Przysięgłbym, że przedstawił się „Jones”.

Podał Deckerowi zaświadczenie. Nazwisko brzmiało Jains, nie Jones. Atik Jains. Decker zastanowił się chwilę.

- Czy ten gość mógł być Hindusem? Jain i Jains to hinduskie nazwiska.

- Tak. - Audi skinął głową. - Tak, był Hindusem.

- Czy może nam pan skopiować zaświadczenie i fakturę?

- Jasne.

Kiedy Audi robił kopie, Decker zwrócił się do Elizy:

- Jains przez sześć tygodni był właścicielem samochodu. I w sobotę oddał go na złom.

- W sobotę?

- Taka data widnieje na fakturze.

- Jeśli był właścicielem auta przez sześć tygodni i złomował je przed zniknięciem Terry, czy szukamy właściwego samochodu?

- Nie wiem. Ale wiem, że Teresa McLaughlin sprowadziła się tutaj sześć tygodni temu - powiedział Decker. - Na zaświadczeniu jest numer identyfikacyjny pojazdu. To powinno nam pomóc ustalić jego historię.

Audi wręczył Elizie kopie i spytał:

- Jeszcze coś?

- Właściwie tak. - Decker wyjął zdjęcie Chrisa Donattiego.

- Czy widział pan kiedyś tego faceta?

Audi spojrzał na zdjęcie, a potem na Deckera.

- Mniej więcej pańskiego wzrostu i tuszy?

Decker poczuł, że serce szybciej mu zabiło.

- Tak.

- Owszem, był tu, ale wyglądał starzej niż na zdjęciu.

- To zdjęcie zrobiono dawno. Kiedy tu był?

- Dzień, dwa temu. Myszkował tu, kiedy przyszedłem do pracy.

- Czego chciał?

- Nie wiem. Niczego nie kupił, niczego nie sprzedał, tylko się pokręcił. Nim odjechał, dał mi pięćdziesiąt dolców za to, że pozwoliłem mu poniuchać. - Uśmiechnął się szeroko. - Wyjął gruby plik banknotów i dał mi jeden, jakby to już robił tysiąc razy. Spodziewałem się, że poprosi, abym nikomu nie zdradził, że tu był, ale nic takiego nie powiedział. Dał mi pięćdziesiąt dolarów i powiedział „dziękuję”.

- Ile czasu tu spędził?

- Z godzinę.

- Ale nie ujawnił celu swojej wizyty? - spytała Eliza.

- Nie. Kolejny dziwak, ale zdążyłem się do nich przyzwyczaić.

- Jeśli ponownie się pojawi, mógłby pan do mnie zadzwonić? - Decker dał mu swoją wizytówkę, Eliza swoją. - I w przeciwieństwie do pana Donattiego, chciałbym, żeby nikomu nie mówił pan o naszej wizycie. Donatti nie powinien wiedzieć, że rozmawiał pan z detektyw Slaughter czy ze mną.

- Donatti? - Gdy Decker skinął głową, Audi skrzywił się. - Włoch? Z całą pewnością nie wyglądał na Włocha. Czy to

jakiś mafioso lub ktoś w tym rodzaju?

- Po prostu policja się nim interesuje - powiedziała Eliza.

- Z jakiego powodu? - spytał Audi. - Na wizytówkach jest napisane, że pracujecie w wydziale zabójstw.

- Dlatego ma pan mu nic o nas nie mówić - poprosił Decker. - Może dziwnie zareagować.

- Czyli jak?

Decker zrobił taki gest, jakby pociągał za spust pistoletu.

- Czyli to niebezpieczny facet.

- Szczególnie gdy jest wściekły, a z tego co wiem, obecnie ma powód do niezadowolenia.

- Mandy ma dziś wolne.

Oliver i Marge rozmawiali z Hilly McKennick, przełożoną pielęgniarek na siódmym piętrze, gdzie mieścił się oddział torakochirurgii i kardiochirurgii. Hilly miała czterdzieści kilka lat, szeroko rozstawione brązowe oczy, cienki nos, usta z wyraźnie zaznaczonym łukiem Kupidyna i krótko ostrzyżone, platynowe włosy. Mandy Kowalski od sześciu miesięcy pracowała na wydziale intensywnej terapii i Hilly wprost nie mogła się jej nachwalić.

- Kiedy pracowała ostatni raz? - spytała Marge.

- Zdaje się, że wzięła dwie zmiany w niedzielę i poniedziałek, żeby wczoraj i dzisiaj mieć wolne.

- Dlaczego to zrobiła?

- Nie wiem. Poprosiła mnie o to, a ja mogłam spełnić jej prośbę. Mandy nigdy o nic nie prosi. Ciężko haruje, bierze dodatkowe zmiany, kiedy trzeba. Ponieważ pierwszy raz poprosiła mnie o przysługę, pomyślałam sobie, że mogę pójść

jej na rękę.

- Lubi ją pani - powiedział Oliver.

- Nie przyjaźnimy się, ale jest sumienną pracownicą. - Hilly umilkła na chwilę. - Według mnie nawet zbyt się angażuje. Większość z nas, pracujących tak intensywnie, potrzebuje od czasu do czasu chwili wytchnienia. Dla mnie jest to ogród. Hoduję kamelie. To moja pasja. Janice jeździ na nartach. Darla śpiewa w barze blisko swojego domu. Mandy tylko pracuje. Nie ma żadnego hobby, nawet nigdy nie widziałam jej z chłopakiem. Ponieważ poprosiła o kilka dni wolnego, pomyślałam, że może kogoś poznała. Ale nie pytałam.

- A jeśli chodzi o jej przyjaciółki? - spytała Marge.

- Wiem, że razem z Adrianną chodziły do szkoły pielęgniarstwa. Widziałam, jak razem jadły obiady, więc może były bliskimi przyjaciółkami. Wiem, że kiedy dowiedziała się o Adriannie, załamała się. Spytałam ją, czy chce wziąć kilka wolnych dni, ale podziękowała.

Gdy Hilly się zadumała, Oliver spytał, o czym myśli.

- Niepokoiłam się - odparła. - Uważałam, że nie powinna wykonywać tak odpowiedzialnej pracy w stanie wzburzenia. Ale jak zawsze sumiennie wykonała swoje obowiązki, a potem poszła do domu.

Marge pokazała jej czarno-białe zdjęcie.

- Czy według pani to jest Mandy Kowalski?

Hilly uważnie spojrzała na zdjęcie.

- Jest zamazane - powiedziała niepewnie.

- To kadr z nagrania z kamery zainstalowanej przed

szpitalem.

- Być może to ona. - Hilly znów przyjrzała się zdjęciu, ale zaraz uniosła głowę. - Dlaczego państwo pytają, czy to ona?

- To nagranie z kamery zainstalowanej tam, gdzie podjeżdżają karetki pogotowia - wyjaśnił Oliver. - Jeśli to Mandy, ciekawi jesteśmy, co tam robiła.

- Nie mam pojęcia - odparła Hilly.

- Czyli nie była przydzielona do pracy w tamtym miejscu.

- Nie, więc raczej to nie ona. Ale nawet gdyby to była Mandy, jakie to ma znaczenie?

- Próbujemy ustalić, gdzie kto był w poniedziałek, kiedy Adrianna poniosła śmierć - wyjaśniła Marge. - To zdjęcie zrobiono w poniedziałek. Chcemy wiedzieć, co kto robił od chwili, kiedy Adrianna skończyła swoją zmianę, do chwili znalezienia zwłok.

- Na razie nic nie wiemy o tym, co się działo od ósmej rano do drugiej po południu - powiedział Oliver, widząc, że przełożona pielęgniarek zastanawia się nad czymś. - Nie pora teraz cokolwiek ukrywać - dodał.

Hilly ugryzła się w kciuk.

- Tamtego dnia Mandy i Adrianna razem piły kawę... W bufecie. Czyli nie ukrywały się z tym.

Marge spojrzała na Olivera.

- Pamięta pani, która to była godzina?

- Rano. Pamiętam, że czułam zapach boczku.

- Czy coś im pani powiedziała?

Hilly umknęła wzrokiem.

- To dziwne, że przypomniałam sobie o tym właśnie teraz.

Nie odezwałam się do nich, ale byłam zła. Mandy nie powinna robić sobie przerwy. O tej porze mnie przysługuje przerwa. Pamiętam, że brakowało mi pielęgniarek, a nie mogłam jej znaleźć. Pomyślałam, że może poszła do łazienki, bo zwykle jest bardzo odpowiedzialna. Zeszłam na dół po bajglę, bo umierałam z głodu. Kiedy zobaczyłam, że Mandy rozmawia z Adrianną, zezłościłam się. Pokazałam jej zegarek. Mandy natychmiast wstała. Później mnie przeprosiła. Odparłam, że nie ma o czym mówić. Wiedziałam, że wzięła dwie zmiany pod rząd, uznałam, że była zmęczona i musiała napić się kawy.

Marge zapisywała to w notesie.

- Czy potrafi pani bliżej określić godzinę, kiedy to było?

- Niech pomyślę... Wróciłam na oddział kwadrans po dziewiątej. Czyli musiało to być około dziewiątej. Czy to państwu pomoże?

- Zyskaliśmy jeszcze jedną godzinę! - wykrzyknęła triumfalnie Marge.

- Czy orientuje się pani, o czym rozmawiały? - spytał Oliver.

- Nie, lecz pamiętam, że Mandy się zmieszała na mój widok, ale przecież udzieliłam jej milczącej nagany. - Hilly znów urwała. - Kiedy teraz się nad tym zastanawiam, mogę powiedzieć, że wprawdzie nie wiem, o czym rozmawiały, ale były całkowicie pochłonięte rozmową. Gdy weszłam i zobaczyłam je razem, Mandy nawet mnie nie zauważyła. A kiedy mnie dostrzegła, zarumieniła się. Najwyraźniej wiedziała, że nie powinna robić sobie przerwy.

- Co świadczyło o tym, że są pochłonięte rozmową? - spytała Marge.

- Mandy siedziała pochylona nad stolikiem, Adrianna gestykulowała. Ale widziałam je tylko przez parę sekund.

- Czy Adrianna mówiła?

- Tak, i sprawiała wrażenie zdenerwowanej. Może dlatego nie zareagowałam tak ostro. Mandy jak zwykle próbowała pomóc, tak po prostu jest.

- Czy zna pani adres domowy Mandy? - spytał Oliver. - Jeśli Adrianna była zdenerwowana, może Mandy będzie mogła nam wyjaśnić, co wytrąciło z równowagi jej przyjaciółkę.

- Czy nie rozmawiali już państwo z Mandy?

- Rozmawialiśmy - przyznała Marge. - Ale nie wspomniała, że piła kawę z Adrianną. Jesteśmy ciekawi, dlaczego o tym nie powiedziała.

- Nie ukrywały się - odparła Hilly. - Nie było to jakieś konspiracyjne spotkanie.

- Tym bardziej ciekawi nas, dlaczego nam o tym nie wspomniała - stwierdził Oliver.

- Przypuszczam, że nawet gdybym nie podała państwu jej adresu, i tak go zdobędziecie - powiedziała Hilly. - Więc mogę państwu oszczędzić trochę trudu.

- Bardzo bylibyśmy wdzięczni - ucieszył się Oliver.

- Rozmawiała pani z nami bardzo szczerze - powiedziała Marge. - Doceniamy to.

- Wszyscy w mojej rodzinie tacy są... Szczerzy i otwarci. Ma to swoje plusy i minusy. Owszem, często popełniam gafy,

ale za to nie grożą mi wrzody żołądka.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SZÓSTY

Marge zadzwoniła do Deckera i powiedziała:

- Nie odbiera telefonu i nie otwiera drzwi.
- Gdzie mieszka?
- Ma mieszkanie własnościowe ze trzy kilometry od szpitala.
- Ma prawo nie być w domu o piątej po południu. Może poszła na wczesną kolację i wyłączyła telefon. - Urwał na chwilę. - Na dworze jest ciepło. Czy czujesz jakiś dziwny zapach?
- Tylko bardzo słaby zapach kociego moczu pod drzwiami.
- Nie da się zajrzeć do środka?
- Rolety są opuszczone. Na drzwiach i oknach nie widać śladów, że ktoś próbował się dostać do środka.
- Zostaw wizytówkę - poradził Decker. - Jeśli w ciągu paru godzin nie skontaktuje się z tobą, odwiedź ją jeszcze raz.
- Razem z Oliverem wybieramy się do Garage'u. Przy okazji coś tam zjemy.
- Chcecie jeszcze raz porozmawiać z Crystal Larabee?
- Tak. I rozejrzeć się za tajemniczym mężczyzną, z którym rozmawiała Adrianna. Może ktoś go zapamiętał.
- Za wcześnie na stałych bywalców baru - zauważył Decker.
- Właśnie o to nam chodzi. Im wcześniej przyjedziemy, tym mamy większą szansę, że alkohol jeszcze nie uszkodził im

szarych komórek.

Nim we dwójkę odstawili wszystkie krzesła i posprzątali, volvo Hannah było jedynym samochodem na słabo oświetlonym parkingu naprzeciwko szkoły. Zadzwoiła kluczami.

- Muszę zamknąć bramę. - Spróbowała wymacać właściwy klucz. - Rany, ale jestem zmęczona.

- Jesteś przewodniczącą chóru - powiedział Gabe. - Nie możesz zlecić innym odstawiania krzeseł?

- Cóż, powinnam to zrobić na początku roku.

Zaczekali na zmianę świateł. Kiedy zapaliło się zielone, przeszli na drugą stronę ulicy.

- Która godzina? - spytał ją Gabe.

- Wpół do ósmej. Powinnam dać znać, że żyję, bo rodzice zaczną się niepokoić. Zadzwonię z samochodu. Chcę już stąd odjechać. - Podeszła do bramy z kutego żelaza i pchnęła ją, starając się ją przesunąć. - Możesz mi pomóc?

- Czy nie powinnaś najpierw wyjechać samochodem?

- Chcę, żeby najpierw wskoczyła na prowadnicę.

Gabe wsadził teczkę pod pachę i powiedział:

- Wyjedź samochodem, a ja...

W tym momencie usłyszał jakiś hałas i poczuł, jak coś wpiło mu się pod zebra. Dopiero po sekundzie dostrzegł z prawej strony niewyraźną postać. Intruz mówił coś groźnym tonem, próbując wyrwać teczkę.

Nie słyszał, co człowiek do niego mówi. Bo Gabe myślał tylko o jednym: że ktoś próbuje mu odebrać jego marną egzystencję zawartą w oficjalnych dokumentach i numerach

kont bankowych. Więc nie tylko będzie bez rodziców, ale również straci tożsamość. Bo wyrobienie nowych dokumentów będzie wymagało skontaktowania się z Chrisem i wyjaśnienia ojcu, dlaczego pozwolił okraść się jakiemuś łobuzowi.

Wszystko to wyobraził sobie w ułamku sekundy. Walnął bandziora teczką w głowę i powalił na kolana, a to, czym napastnik dźgał go w żebra, upadło na ziemię. Gabe kopnął przedmiot w zarośla i zaczął okładać złodzieja pięściami, aż nieszczęśnik rozplakał się i zaczął błagać o litość.

Ale Gabe nie słyszał błagań napastnika, tylko Hannah, która krzyczała:

- Przestań, przestań, przestań!

I jak u dobrze wytresowanego psa, ten krzyk nagle go otrzeźwił. Gabe wrócił do rzeczywistości. Poczował rwący ból w lewej dłoni i przeklął swoją głupotę. Puścił koszulę napastnika, który odczołgał się kawałek, a potem zerwał się na równe nogi i uciekł.

Dłoń Gabe'a była spuchnięta i mokra. Poruszył palcami. Nie były złamane.

Tym razem Bóg okazał się łaskawy.

Hannah wciąż krzyczała histerycznie.

Musiał się przez to przebić, starał się, żeby jego głos dotarł do niej:

- Już dobrze, już dobrze, już dobrze.

- Oszalałeś? - zawołała.

Zmieszał się. Uważał, że słusznie postąpił. Dlaczego wciąż się na niego wydzieriała?

- Przyłożył mi broń do boku.

- Był uzbrojony? Mógł cię zabić!

- Ale nie zabił. - Wciąż zaciskał i prostował dłoń. Wszystkie kości były całe, ale ręka i tak niemiłosiernie bolała. - Nic mi nie jest.

- Nic ci nie jest? - wrzasnęła. - Nic ci nie jest? Mylisz się. Jesteś szalony!

- Czyli powinienem pozwolić, żeby ten łobuz mnie okradł?

- Tak. Dlaczego mu nie oddałeś tej przeklętej teczki?

- Bo nie chciałem!

To wytłumaczenie zabrzmiało kiepsko nawet w jego uszach. I przez ułamek sekundy pomyślał, czy nie zwierzyć się Hannah. Wyznać, że wczoraj po południu spotkał się z ojcem, który dał mu to wszystko - numery kont bankowych, książeczki czekowe, dokumenty dotyczące jego majątku, paszport - a on zapomniał je wyjąć z teczki, bo jest skończonym kretynem. A ponieważ jest skończonym kretynem, musiałby znów spotkać się z Chrisem i przyznać się, że jakiś gnojek go okradł. I już nigdy nie mógłby spojrzeć ojcu w oczy. Lepiej umrzeć, niż narazić się na jego pogardę. Chciał jej to powiedzieć. Ale nie mógł tego zrobić, bo zdradziłby ojca.

Musi odczekać jeszcze parę dni.

Był nauczony, że trzeba dotrzymywać obietnic.

- Nie chciałeś? - krzyknęła Hannah. - I warto dla czegoś takiego stracić życie?

- To moja teczka. Dlaczego miałbym mu ją oddać?

- Co masz w niej takiego cennego, żeby ryzykować życie?

- Nic specjalnego. Tylko partytury.

- Jesteś zwykłym świrusem! - rzuciła z niesmakiem.

- Wydzierasz się na niewłaściwą osobę! - Jej zachowanie zaczynało go wkurzać. - To nie ja napadłem, tylko ktoś napadł na mnie. I jeśli postanowiłem zaryzykować, że mnie zastrzeli, to wyłącznie moja sprawa!

- Ha! - Wzięła głęboki oddech. - Naprawdę jesteś szalony!

- Przestań mówić, że jestem szalony! To nie na mnie powinnaś się wściekać!

- Wprost przeciwnie, jesteś idealną osobą, żeby się na ciebie wściekać. Byłeś gotów dać się zabić dla głupiej teczki, w której masz partytury. A co, gdyby próbował zabić mnie?

- Dlatego go powstrzymałem...

- A na dodatek wygląda na to, że coś ci się stało z dłońmi. To już szczyt głupoty.

- Słuchaj, mam wystarczająco popieprzone życie bez słuchania, jak mi mówisz, że jestem głupi. - Machnął ręką. - Pieprzę to wszystko! Zmywam się stąd!

Ruszył ciemną ulicą, nie wiedząc, gdzie jest ani dokąd zmierza. Usłyszał, jak Hannah biegnie za nim, po chwili złapała go za rękę.

- Wracajmy do domu.

- Ty wróć do domu, Hannah. - Nie zatrzymał się. - Bo widzisz, ty masz dom, a ja jestem bezdomny. Zapomniałaś?

- Gabe, zatrzymaj się! Zatrzymaj się! - Szarpnęła go za ramię. - Stój!

Rozpłakała się.

Zatrzymał się i jęknął.

Kolejna płaksa, która nie umie się wziąć w garść. Mama, kiedy była zdesperowana, zawsze wybuchiała płaczem, a już ciotka była zupełną wariatką, płakała z prawdziwych czy wymyślonych powodów. Czasami wolał mieć do czynienia z furią ojca niż z histerią matki.

Było ciemno, dokuczał mu głód. Jeśli postanowi się wyprowadzić i zamieszkać samodzielnie, lepiej to zrobić z pełnym żołądkiem.

- No dobrze, Hannah. Wracajmy do twojego domu, spotkajmy się z twoimi rodzicami, zjedzmy kolację przygotowaną przez twoją mamę!

- Przestań mnie wpędzać w poczucie winy! - krzyknęła.

- A ty przestań wrzeszczeć!

Naburmuszyła się i ruszyła w stronę samochodu, ale Gabe się zawahał.

- Chcę odszukać broń. Lepiej jej nie zostawiać, bo jeszcze znajdzie ją jakiś dzieciak albo kolejny popapraniec.

Hannah się zatrzymała.

- Dobry pomysł. Pomogę ci.

- Nie, zostaw to mnie. Ty wykręć samochodem i włącz reflektory, żeby oświetlić zarośla, dobrze?

Spełniła jego życzenie. Kiedy się okazało, że trochę to potrwa, wysiadła, żeby pomóc mu szukać. Oboje posuwali się na klęczkach w zaroślach, w których cuchnęło śmieciami, zepsutym jedzeniem i psimi kupami. Dotykaniem czegokolwiek budziło obrzydzenie.

- Może to nie była broń, Gabe. Może przytknął ci te obrzydliwe pałeczki, które tam leżą.

- To nie były pałeczki, tylko broń.

- A ty oczywiście wiesz, jakie to uczucie, jak ktoś ci przytknie pistolet?

- Zapewniam cię, że tak.

Nic nie powiedziała. Czasami lepiej nie ciągnąć rozmowy. Kilka minut później Hannah dostrzegła jakiś błyszczący przedmiot.

- Co to takiego?

- Gdzie?

- Pod tamtym krzakiem na lewo od opakowania z McDonalda.

Gabe położył się na brzuchu i wczołgał się pod krzak.

- Masz dobry wzrok. Wracaj do samochodu. Wyciągnę to.

- Zaczekam tu z tobą.

- Hannah, lepiej, żeby nie było cię w pobliżu, gdyby wypalił. Idź do samochodu, dobrze?

- Cofnę się, ale nie zostawię cię tutaj samego. - Musiała się pogodzić z tym, że tata nią dyrygował, ale nie zamierzała słuchać poleceń młodszego o trzy lata chłopaka.

- Dobrze, tylko się odsuń. - Gabe ostrożnie wyciągnął lewą rękę. Naturalnie zarośla były kolczaste. Miał długie palce, ale teraz, kiedy dłoń mu spuchła, przemieniły się w serdelki. W końcu udało mu się złapać palcami kolbę broni i wyciągnąć ją z zarośli. Wstał i ostrożnie wyjął magazynek.

- Półautomatyczny, kaliber dziewięć milimetrów. To nie pałeczki, siostró. - Schował pistolet do teczki, potem spróbował zamknąć bramę i się skrzywił.

- Ja to zrobię - powiedziała Hannah.

- Ciężka.

- Jeśli jest w prowadnicy, dam radę. Ty zajmij się swoją dłonią. - Zasunęła bramę, zamknęła ją na klucz, a potem usiadła za kierownicą i uruchomiła silnik. - Przepraszam, że na ciebie nakrzyczałam. - Miała łzy w oczach. - Ale bałam się.

- Nie ma o czym mówić. Przepraszam, jeśli przeze mnie się bałaś.

- Byłeś bardziej przerażający niż ten bandzior. - Wjechała na jezdnię. - Boże, myślałam, że go zabijesz.

- Jakby co, to lepiej, żeby on zginął niż ja.

- To nie ulega wątpliwości. Gdzie jest broń?

- W teczce.

- Oddamy ją tacie. Może zdoła ustalić, do kogo należy. Pozwól, że mu opowiem, co się wydarzyło. Nie chcę, żeby się wkurzył. Wiem, jak z nim rozmawiać, żeby się nie zdenerwował.

- Hm... Naprawdę wiesz, jak z nim rozmawiać, żeby się nie zdenerwował?

- Tak. I sama też już jestem spokojniejsza.

Kilka następnych minut jechali w milczeniu.

- Twój tata nigdy by nie pozwolił, żeby ktoś na niego napadł - powiedział Gabe.

- Od czterdziestu lat jest policjantem.

- To nie ma znaczenia. Albo się jest takim człowiekiem, albo nie.

- No dobrze. Jesteś superbohaterem.

- Jezu Chryste, nie twierdzą, że...

- Pozwól, że opowiem o tym tacie, dobrze?

- Dobrze, rób, co chcesz. To twój ojciec. Ja jestem tylko podrzutkiem.

- Przestań wpędzać mnie w poczucie winy.

- Nic takiego nie robię. - Ale wiedział, że to nieprawda. Odetchnął głęboko i dodał: - Chyba zadzwonię do cioci i spędzę ten weekend z nią. Tak czy owak, powinienem się z nią zobaczyć.

- Okej, w porządku. A jak twoje dłonie?

- Lewa strasznie boli. - Spojrzał w górę. - Upadł po pierwszym ciosie. Nie musiałem go tak stłuc. To była głupota.

- Jesteś leworęczny?

- Nie, praworęczny, ale łatwiej mi było uderzyć go lewą ręką. Właściwie to nawet i lepiej.

- Będziemy przejeżdżać obok 7-Eleven. Kupię ci torbę lodu.

- Sam kupię. Ty zostań w samochodzie.

Skręciła na parking. Wsiadł, a pięć minut później wrócił, niosąc dwuipółkilogramową torbę z lodem. Jak tylko wsiadł, rozerwał torbę i wsadził lewą dłoń do lodu. Wyjął ją dopiero wtedy, gdy stracił w niej czucie, ale po chwili znów wsadził.

- Nie złamałem żadnych kości. Jest tylko spuchnięta i obolała.

- To dobrze.

Dalej jechali w milczeniu. Wreszcie wysiedli z auta. Hannah otworzyła drzwi, Gabe wszedł pierwszy. Decker siedział na kanapie i czytał gazetę.

- Późno wróciliście. - Spojrzał na dłoń Gabe'a i torbę

z lodem. – Co ci się stało?

Gabe nic nie powiedział, tylko udał się do swojego pokoju.

– Abba, ale nie złość się, dobrze? – poprosiła Hannah.

Rina weszła do salonu.

– Co się dzieje?

– Nic. Wszystko w porządku – zapewniła ją córka. – Ktoś na nas napadł.

– O mój Boże! – Rina objęła ją. – Coś cię boli?

– Nie, nic mi nie jest.

Decker wstał.

– Zadzwoniliście pod dziewięćset jedenaście?

– Nie.

– Dlaczego?

– Facet uciekł...

– Mimo to powinniście zadzwonić pod dziewięćset jedenaście. A najlepiej do mnie.

– Abba, nic się nie stało, więc...

– Nieprawda, przecież Gabe ucierpiał – zganił ją Decker. – Boli go ręka. Powinnaś natychmiast do mnie zadzwonić. Co ty sobie wyobrażałaś?

– Czy mógłbyś nie krzyżeć na mnie? – Hannah zalała się łzami.

– Już dobrze, Chanelah – uspokajała ją Rina. – Już wszystko dobrze. Jesteś bezpieczna.

Decker klapnął na kanapie i wyciągnął ręce do córki.

– Masz rację. Teraz nie pora na to. Usiądź obok mnie, pączusiu. Proszę. – Hannah usiadła między rodzicami. – Możesz mi opowiedzieć, co się wydarzyło?

- Nawet nie wiem, co się stało. - Otarła łzy koszulą. - Razem z Gabe'em zamykaliśmy bramę na parking...

- Dlaczego zamykaliście bramę? - chciał wiedzieć Decker.

- Bo jako ostatni wyszliśmy ze szkoły.

- Zamykanie bramy nie należy do twoich obowiązków - oświadczył Decker. - Zadzwońię do szkoły i...

- Abba, nie!

- Jak to nie?

- Peter, czy mógłbyś pozwolić jej dokończyć? - wtrąciła się Rina.

Decker zaczął zaciskać dłonie w pięści i je prostować.

- Przepraszam. Mów. Zamykaliście bramę...

- No właśnie, zamykaliśmy bramę. A następane, co zobaczyłam, to jak Gabe siedzi na jakimś facecie i okłada go pięściami. Dopiero potem dowiedziałam się, co się wydarzyło.

- Więc czego się potem dowiedziałas?

- Ten facet próbował ukraść mu teczkę, a Gabe zaczął się z nim bić. Jest bardzo zajadły.

Rina i Peter spojrzeli na siebie.

- I przez to ma taką spuchniętą dłoń? - spytał Decker.

- Tak. - Hannah skinęła głową.

- Ten facet nie był uzbrojony?

- Miał broń. Przytknął ją Gabe'owi do żeber.

- Napastnik był uzbrojony, a on rzucił się na niego?!

- Tak, wiem, że to głupota. Powinien oddać teczkę, bandzior by się zmył i koniec... - Przerwała na moment. - Wszystko wydarzyło się tak szybko. Naprawdę się bałam. Ale

nie krzycz na Gabe'a. Ja już na niego nawrzeszczałam za nas oboje. Naprawdę jest mu głupio.

- I powinno mu być głupio! - wykrzyknął Decker.

Hannah nic nie powiedziała.

Rina spojrzała na męża i spytała:

- Co powinniśmy teraz zrobić?

- Jak to? - żywo zareagowała Hannah. - O co chodzi?

- Mama uważa, że przez jego głupotę oboje mogliście stracić życie.

- On tylko... zbyt mocno zareagował - łagodziła Hannah. - Wiesz, jak to jest, kiedy pojawia się adrenalina. Prawdę mówiąc, abba, tak samo byś zareagował. Znam cię i mogę to sobie wyobrazić.

- Hannah, jestem wyszkolonym policjantem.

- Założę się, że zachowałbyś się tak nawet wtedy, gdybyś miał inny zawód.

Decker nie skomentował tego, tylko spytał:

- Oho, nagle zostałeś jego adwokatem?

Hannah uznała, że lepiej to przemilczeć.

Decker zwrócił się do żony:

- Co powinienem zrobić?

- Może porozmawiajmy z Gabe'em i spytajmy, co się stało.

- Jakoś nie mam ochoty na sesję terapeutyczną. Czy pozwolimy mu zostać u nas, czy odeślemy go do ciotki i umyjemy ręce?

- Martwisz się, że jest agresywny? - spytała Rina.

- Trudno się nad tym nie zastanawiać, przecież nic o nim nie wiemy poza tym, że po ojcu odziedziczył złe geny.

- Nie jest agresywny - zapewniła Hannah.
- Dopiero co powiedziałaś, że spuścił mu łomot.
- Pobił bandytę, nie mnie. Na litość boską, może ocalił mi życie. Nie jest lekkomyślny. I prawdę mówiąc, jest wiecznie spięty, a uwzględniając to, co przeszedł, łatwo to zrozumieć. Nie powiem wam, co należy zrobić, ale zdajecie sobie sprawę z tego, że tak naprawdę Gabe jest bezdomny?
- Ma krewnych, Hannah, ale nie w tym rzecz - powiedziała Rina. - Czy karze się kogoś za altruistyczne zachowanie...
- Głupie zachowanie - poprawił ją Decker.
- Może tak, a może nie. Nie wiemy, co się stało. I może w środowisku, w którym się obraca, trzeba walczyć, bo inaczej kumple i rodzony ojciec skopią ci tyłek.
- Nie, kiedy napastnik jest uzbrojony - upierał się Decker.
- Wiesz co... - zaczęła Hannah, ale ugryzła się w język.
- Co? - spytał Decker.
- Nic.
- Mów, Hannah. Muszę wiedzieć wszystko, jeśli mam podjąć właściwą decyzję.
- Później zaczęliśmy szukać tej broni. Gabe nie chciał jej tam zostawić, bo bał się, że wróci po nią ten bandyta.
- Właściwie to złodziej.
- Nieważne, abba. Gabe nie chciał jej tam zostawić przede wszystkim dlatego, bo nie chciał, żeby jakiś dzieciak bawiący się w zaroślach ją tam znalazł.
- Cóż, to było rozsądne - pochwaliła Rina.
- Jakoś nie zrobiło to na mnie wrażenia - odparł Decker.
- Tak czy owak, szukaliśmy broni i znalazłam dwie

pałeczki. Powiedziałam żartem, że może ten bandzior przyłożył mu pałeczkę do żeber. Ale Gabe odparł, że to nie były pałeczki, tylko broń. Więc spytałam go, czy wie, jakie to uczucie, jak ktoś przytknie pistolet do żeber. A on zapewnił mnie, że wie.

Przez chwilę wszyscy milczeli.

- Wychodzi na to, że miał już takie... doświadczenia - powiedziała wreszcie Hannah. - Więc może dlatego zareagował. Może nie boi się tak bardzo widoku broni.

- I w tym sęk. Powinien się bać broni. - Decker wypuścił powietrze z płuc. - Ale znając jego ojca, wiem, że to, co powiedziałaś, jest prawdą. Na pewno nic ci nie jest?

- Nic a nic.

- Gdzie jest pistolet? - spytał Decker.

- Gabe go ma.

- Wszystko po kolei. - Decker wstał. - Najpierw wezmę od niego broń.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SIÓDMY

Wczesnym wieczorem większość barów restauracyjnych jest pustawa, ale w Garage'u podczas happy hour panował ruch. Drinki za pół ceny i darmowe przekąski ściągnęły urzędników, ponieważ w lokalu pełno było mężczyzn i kobiet w służbowych garniturach i kostiumach. Gdyby Marge musiała zgadywać, postawiłaby na prawników, ponieważ zaledwie kilka przecznic dalej znajdowały się siedziby sądów. Ci, którzy nie pracowali w wymiarze sprawiedliwości, zapewne byli bankowcami, maklerami i księgowymi z istniejących od dawna firm w Los Angeles. Przeważali ludzie młodzi, dwudziesto- i trzydziestolatkowie.

Znalezienie stolika okazało się sporym wyzwaniem, ale Marge swym sokolim wzrokiem wypatrzyła jeden w kącie sali. Usiedli razem z Oliverem i zajrzeli do karty dań i napojów. Ostatecznie zdecydowali się na półmisek warzyw z hummusem i dwie wody sodowe. Zamówienie przyjęła od nich Yvette, niebieskooka i długonoga kelnerka z platynowymi włosami do ramion i okazałym biustem. Głowę miała bardzo małą w stosunku do reszty ciała, co skojarzyło się Oliverowi z gumową lalką.

Położyła serwetki na stoliku.

- Zaraz przyniosę napoje.

- Wiesz, kiedy zaczyna pracę Crystal? - spytał ją Oliver.

- Crystal? - powtórzyła jakby trochę zbita z tropu.

- Crystal Larabee - wyjaśniła Marge. - Jest tutaj kelnerką.
- A tak... Wzięła kilka dni urlopu.
- Bo zamordowano jej przyjaciółkę - domyślił się Oliver.
- Wiem. - Yvette skinęła głową. - Mocno to przeżyła.

Zresztą nic dziwnego.

Oliver wyciągnął odznakę.

- Prowadzimy śledztwo w sprawie tego zabójstwa. Czy możemy porozmawiać z tobą kilka minut?

- Hm... Mam dużo pracy. Obsłużę klientów i wrócę do państwa.

- Dziękujemy. - Marge zwróciła się do Olivera. - Mandy wzięła kilka dni urlopu, Crystal też... Zbieg okoliczności?

- Każdy ma prawo do urlopu.

- Zadzwoń do Crystal. Ustalmy, gdzie jest.

Wybrał numer Crystal i rozłączył się po dziesięciu sygnałach.

- Nie odbiera.

- No właśnie. Mandy nie ma w domu, Crystal też.

- Chcesz pojechać do jej mieszkania?

- Powinniśmy to zrobić - odparła Marge. - Scott, mam złe przeczucia, szczególnie że Garth zniknął.

- Jak powiedział porucznik, mają prawo pójść gdzieś na kolację.

- Więc według ciebie to nic podejrzanego?

- Nie myślę, więc jestem.

Yvette, kelnerka o małej główce, wróciła z wodą sodową i przekąską. Oprócz hummusu na talerzu były oliwki, cebula, pikle, pomidory i chleb pita. Marge nagle uświadomiła sobie,

jak bardzo jest głodna.

- Wygląda smakowicie. Możemy dostać jeszcze jeden taki półmisek?

- Naturalnie.

- Ale najpierw niech pani porozmawia z nami, Yvette - powiedział Oliver. - Proszę, niech pani usiądzie.

- Dobrze, ale tylko na chwilę - zastrzegła. - Naprawdę nic ważnego nie mogę państwu powiedzieć, bo nic nie wiem.

- Ważny może się okazać nawet jakiś drobiazg. Ale zaczniemy od kwestii zasadniczych - oznajmił Oliver. - Wiemy, że Adrianna spędziła w Garage'u wieczór poprzedzający dzień, w którym została zamordowana.

- Mówimy o niedzielnym wieczorze - uściśliła Marge.

- Wiem - potwierdziła Yvette. - Też tu byłam. Jakie to dziwne...

- W jakim sensie? - spytał Oliver.

- Człowiek spotyka kogoś, a następnego dnia ten ktoś nie żyje. - Oczy zaszły jej łzami. - Crystal nalewała jej darmowe drinki. Mówiłam, żeby tego nie robiła, bo szef się wścieknie, jak się o tym dowie, ale nie chciała mnie słuchać.

- Czy Adrianna piła?

- Naturalnie.

- Coś mocnego?

- Nie wiem - odparła Yvette po chwili namysłu. - Dlaczego pan pyta?

- W jej organizmie nie stwierdzono obecności alkoholu - poinformowała Marge. - Powiedziano nam, że piła tylko napoje bezalkoholowe, bo musiała iść do pracy.

- Możliwe. Nie zwracałam na to uwagi, ale cokolwiek to było, Crystal podawała im drinki za darmo. Im, to znaczy Adriannie i jakiemuś potężnemu facetowi, z którym rozmawiała. Jestem pewna, że on pił alkohol.

- Czyli co?

- Piwo. Kiedy Crystal parę razy dołała mu piwa, ostrzegłam ją, żeby przestała, bo inaczej doniosę szefowi. - Przerwała na chwilę. - Strasznie się na mnie wkurzyła, ale to już nie miało znaczenia, bo Adrianna wyszła. A jakieś pół godziny później wyszedł tamten gość.

- Która była godzina? - spytała Marge.

- Koło wpół do dziesiątej.

- Czy wyglądali, jakby miło spędzali ze sobą czas?

- Po prostu rozmawiali, nic więcej nie mogę dodać.

- Czy ten gość jakoś się nazywa? - spytał Oliver.

- Nie słyszałam jego imienia - odparła, wzruszając ramionami.

- Czy imię „Farley” brzmi znajomo?

- Farley?

- Crystal zapamiętała, że wołano na niego Farley - powiedział Oliver.

Kiedy Yvette w odpowiedzi jedynie wzruszyła ramionami, Marge zapytała:

- A może to był Charley?

- Nie mam pojęcia - odparła Yvette.

- Jak wyglądał?

- Napakowany, potężna klata, potężne bary. Pewnie dużo ćwiczy. Doskonale by pasował w barze dla gejów. Nie był

w garniturze, ale miał na sobie marynarkę.

- Jaką marynarkę?

- Taką, jaką noszą studenci. Czarna marynarka, czarny T-shirt i dżinsy. A na nogach sandały.

- Bardziej kojarzy mi się z Hollywood niż prawnikiem czy maklerem - stwierdził Oliver.

- Dobrze skojarzenie. Naprawdę wyglądał jak ktoś z Hollywood albo przynajmniej pozował na takiego.

- Czy potrafiłaby pani opisać jego twarz? - spytała Marge.

- Dość dobrze mu się przyjrzałam. Kwadratowa twarz, męskie rysy. Aha, na pewno miał ciemne oczy.

- Czy mogłaby pani jutro przyjść na posterunek i spotkać się z rysownikiem policyjnym? - spytał Oliver.

- Tak, oczywiście.

- Świetnie - ucieszyła się Marge. - Bardzo dziękujemy. Ogromnie nam pani pomogła. Może nam pani podać numer komórki?

Yvette sięgnęła do kieszeni i podała im wizytówkę o następującej treści:

THE YVETTE JACKSON BAND

Jazz, rock, standardy

Możemy zagrać na żywo na twoim przyjęciu koktajlowym

Promocyjne stawki w dni robocze

Na wizytówce umieszczono również numer komórki i adres mejlowy.

- Śpiewa pani? - spytała Marge.

- Śpiewam, tańczę, gram. Przez pięć lat studiowałam w Western Conservatory School of Music w klasie gitary

klasycznej, ale już z tym skończyłam. Nikt nie budzi się rano z postanowieniem, że zostanie kelnerką w barze, ale zarobki są niezłe, jeśli schowa się dumę do kieszeni i dobrze wykonuje pracę. Mam ładny uśmiech i duże cycki. Jak do tej pory większość klientów pamięta o moich zaletach, kiedy przychodzi do dawania napiwków.

- Dziękuję za wizytówkę - powiedziała Marge. - Może kiedyś wynajmę pani zespół. Tak się akurat składa, że kocham gitarę klasyczną.

- Ja też, ale ma to swoje minusy. Jest na nas takie zapotrzebowanie jak na maszyny do pisania. Jest taki stary dowcip. Jaka jest różnica między gitarzystą klasycznym a pizzą?

- Poddaję się - powiedział Oliver. - Jaka?

Wstała od stolika.

- Pizzą można nakarmić czteroosobową rodzinę.

Gdy Decker wszedł do pokoju, Gabe rozmawiał przez telefon. Ubrania rozłożył na łóżku. Ton jego głosu świadczył, że jest poruszony.

- W porządku, Missy, spotkamy się kiedy indziej... - Wzniósł oczy ku niebu.

- Chyba spasuję, ale dzięki... Tak, jestem pewien. Nie ma sprawy. Tak... tak... tak, zadzwonię do ciebie, jak wrócisz. Cześć. - Rozłączył się, rzucił telefon na łóżko i spojrzał na Deckera. - Cześć.

Decker spojrzał na ubrania.

- Wybierasz się gdzieś?

- Pomyślałem sobie, że dobrze by było, gdybym pomieszkał

trochę z ciocią, ale wyjeżdża na weekend do Palm Springs. – Klapnął na łóżku i podparł głowę prawą ręką, natomiast lewą to wkładał do torby z lodem, to wyjmował. – Mama utrzymuje Missy, odkąd trzy lata temu wyprowadziła się z domu. A teraz mama zaginęła... może nie żyje. Ktoś mógłby uznać, że ciotka powinna poczuć się trochę nijako, imprezując z koleżankami w Palm Springs. – Gdy Decker milczał, Gabe dodał: – Sam już nie wiem. Może to dobry pomysł? Może Chris miał rację? Bo na pewno człowiekowi jest łatwiej, gdy się niczym nie przejmuje.

– Uważaj, żebyś zanadto nie wyziębił ręki – poradził Decker.

– Racja. – Gabe wyjął dłoń z torby i poruszał palcami. Były sztywne, ale mógł je zacisnąć. Poruszył dłonią w nadgarstku.

– Jak twoja ręka?

– Będzie w porządku. – Uniósł wzrok. – Przepraszam, panie poruczniku.

– Za to, że straciłeś czujność i dałeś się napaść?

– Powinienem mu oddać teczkę.

– To byłoby rozsądne. Cóż w niej masz aż tak cennego?

– Partytury – powiedział, uciekając wzrokiem. – Teraz jest w niej broń. Wyjąłem magazynek.

– Mogę na nią rzucić okiem?

– Jasne.

Decker zdjął teczkę z łóżka, wyciągnął broń i magazynek i wrzucił do papierowej torby na dowody rzeczowe. Usiadł na drugim łóżku.

– Gość nie żartował. Dlaczego postanowiłeś go pobić?

- Nie myślałem, co robię - przyznał Gabe.

- Z powodu partytur?

Znów umknął wzrokiem, ale tym razem milczał.

- Gabe, twój tata był wczoraj w mieście. - Gdy chłopak nadal milczał, Decker ciągnął dalej: - Wiesz, co sobie myślę? Że Chris skontaktował się z tobą i dał ci to, co nadal masz w teczce. Właśnie dlatego zareagowałaś tak ostro i zdecydowanie. Więc jeszcze raz pytam: co masz w teczce?

Gabe nie odpowiedział.

- Dobrze, jeszcze do tego wrócimy - oświadczył Decker. - Co ci powiedział twój ojciec?

- Dlaczego sądzi pan, że Chris był w mieście?

- Ponieważ obaj szukamy twojej mamy i zmierzamy w tym samym kierunku. On jest kilka kroków przede mną, bo może poświęcić na to cały swój czas i energię.

- Czyli widział go pan?

Tym razem Decker uchylił się od odpowiedzi, powiedział natomiast:

- Wydaje nam się, że znaleźliśmy samochód twojej mamy.

- Naprawdę? - Gabe uniósł wzrok. - Gdzie?

- Trafił na złomowisko. Mamy pokwitowanie i numer producenta. Próbujemy powiązać ten samochód z tym, którym jeździła twoja matka. Bo ten, który znaleźliśmy, nie należał do niej.

- To dlaczego uważacie, że znaleźliście jej samochód?

- Ile nowych mercedesów ludzie sprzedają na złom?

Gabe pomyślał chwilę, po czym spytał:

- Kto jest właścicielem samochodu?

- Atik Jains. Czy coś ci mówi to imię i nazwisko?

- Nie.

- To Hindus. Dżinizm to religia, popularna w Indiach. Czy twoja matka zna jakichś Hindusów?

- Nie - odparł Gabe, ale policzki mu się zaróżowiły.

- Wiesz, że się zaczerwieniłeś? - Decker odczekał chwilę, a potem powiedział: - Gabrieli, i tobie, i mnie przyświeca ten sam cel. Chcemy znaleźć twoją matkę. Musimy sobie pomagać.

- Nie mam pojęcia, czy zna jakichś Hindusów. Nie interesuję się jej życiem osobistym. O ile mi wiadomo, nie ma zbyt wielu przyjaciół.

- A jednak zaczerwieniłeś się, kiedy cię zapytałem, czy zna jakichś Hindusów. Dlaczego?

- To nic ważnego...

- Proszę, żebyś i tak mi o tym powiedział.

Gabe skrzywił się, ale jednak zaczął mówić:

- To było jakiś czas temu. Czekałem w szpitalu, aż mama skończy pracę. Było tam mnóstwo mężczyzn w turbanach. Pomyślałem, że to jakiś zamach terrorystyczny czy coś w tym rodzaju. Kiedy zapytałem o to mamę, powiedziała, że bardzo bogaty maharadża poddał się operacji serca, a ci wszyscy faceci to jego ochroniarze.

- Jak dawno temu to było?

- Muszę pomyśleć. Kiedy zacząłem brać lekcje w szkole Juilliarda. Czyli dwa lata temu.

- No dobrze. - Decker wyjął notes. - Co jeszcze?

- Nic więcej - odparł Gabe. - Może tylko to, że

zażartowałem z tej sytuacji. W Indiach mieszka miliard ludzi, a maharadża musiał przylecieć do Nowego Jorku, żeby znaleźć chirurga. Wtedy mama powiedziała, że syn maharadży, kardiochirurg, pracuje w tym szpitalu i chciał, żeby operowano jego ojca tam, gdzie będzie mógł nad nim czuwać. – Kilka sekund milczenia. – I tyle – zakończył Gabe.

– Czyli miałeś jakieś dwanaście lat?

– Mniej więcej. Dlatego to zapamiętałem, bo nie każdego dnia widzi się dwudziestu facetów w turbanach.

– Czy twoja matka mówiła jeszcze coś o maharadży albo jego synu?

– Nie. – Odwrócił wzrok i znów wsadził rękę do torby z lodem. – Ale znała go... znaczy się syna maharadży... który właściwie jest stary. Po pięćdziesiątce.

Decker się uśmiechnął.

– Mów dalej.

Gabe westchnął.

– Brałem lekcje w mieście, więc często bywałem na Manhattanie. Jeździłem z domu autobusem, a po lekcjach szedłem pieszo do szpitala i mama odwoziła mnie do domu. Pewnego razu, gdzieś tak z rok temu, skończyłem wcześniej, co nigdy przedtem się nie zdarzyło. Nauczyciel, z którym wtedy miałem zajęcia, był srogi, ale tamtego dnia źle się poczuł. No więc poszedłem do szpitala i zobaczyłem, jak mama rozmawia z facetem, który trochę przypominał słynnego dyrygenta Zubina Mehtę. Też miał siwe włosy, też był dobrze ubrany i dystyngowany.

– No dobrze. – Decker coś sobie zapisał. – Czy sprawiali

wrażenie, że dobrze się znają?

- Nie dotykali się, ale rozmawiali... dość długo, a mama się uśmiechała. Potem zadzwonił jego pager i się pożegnali. Wtedy mama zobaczyła mnie i wróciliśmy do domu. Spytałem ją, z kim rozmawiała. Powiedziała, że z tym kardiochirurgiem, synem maharadży, który miał tylu ochroniarzy.

Kiedy Gabe nie rozwinął tematu, Decker spytał:

- Czy wyglądała na zażenowaną, że rozmawiała z nim w twojej obecności?

- Nie, nic z tych rzeczy - powiedział Gabe. - Zachowywała się normalnie, jak zawsze konkretnie, rzeczowo. Ale zapamiętałem tamto zdarzenie, bo mama rzadko czuje się swobodnie w obecności mężczyzn. Zwykle ich unika nawet wtedy, kiedy mojego taty nie ma w pobliżu.

- Czyli nie była zmieszana?

- Już mówiłem, nie, nie była. - Gabe zebrał myśli. - Wiele razy robiliśmy coś, o czym nie mówiliśmy tacie. Chodziliśmy do kina albo restauracji, kiedy był w mieście. Raz poszedłem z nią na przyjęcie bożonarodzeniowe. Jeśli chciała coś zachować w tajemnicy, mówiła, żeby to zostało tylko między nami. Wtedy nie powiedziała nic takiego, więc niby nie było to nic nadzwyczajnego, ale i tak zapamiętałem tamtą scenkę.

- Czy potem widziałeś jeszcze mamę z tym chirurgiem?

- Nie. - Spojrzał na Deckera. - Gdybym znów ją z nim zobaczył, byłoby to dziwne. Przypuszcza pan, że to ten Hindus, który jest właścicielem samochodu?

- Gabe, nie mam pojęcia, ale chciałbym się dowiedzieć, jak

się nazywa ten chirurg.

- A gdyby się okazało, że chodzi o tę samą osobę... Sądzi pan, że ją porwał lub...

- Nie wiem. - Nawet nie dopuszczał do siebie myśli, że mogła z nim wyjechać. - Może ktoś powinien obejrzeć twoją rękę.

- Nic mi nie będzie.

- Tak na wszelki wypadek. - Gdy Gabe milczał, Decker wygłosił coś w rodzaju przemowy: - Słuchaj, synu, będę z tobą szczery. Wiem, że widziałeś się z ojcem. Lepiej, jakbyś nie ukrywał dowodów rzeczowych, które mogłyby świadczyć, że twój ojciec przyczynił się do zniknięcia twojej mamy. Nie jesteś taki jak Christopher Donatti, więc nie daj mu się pociągnąć na dno.

Gabe nie patrzył mu w oczy, gdy spytał:

- Skąd ma pan pewność, że mój ojciec był wczoraj w mieście?

- Był na złomowisku. Minęliśmy się o trzydzieści sześć godzin. Na pewno nie zadzwonił na twoją komórkę, bo uznał to za zbyt niebezpieczne, ale wiem, że skontaktował się z tobą. I wiem, że coś ci przekazał. Chcę tylko mieć pewność, że nic z tego nie było wykorzystane w celach przestępczych.

Gabe myślał gorączkowo, jak zręcznie wybrnąć z tej sytuacji.

- Widziałem go przez pięć minut - powiedział wreszcie. - Dał mi paszport, metrykę urodzenia i trochę gotówki. - Nie mów mu o wyciągach bankowych, nakazał sobie. To łatwe do namierzenia. - I tyle.

- Dobry początek - pochwalił Decker. - Co ci powiedział?
- Cytuję: „To może ci się przydać. Do widzenia”.
- I wszystko to miałeś w teczce?
- Tak. - Gabe skinął głową.
- A teraz gdzie się znajduje?

Gabe wyciągnął z plecaka metrykę urodzenia, paszport oraz plik banknotów i podał Deckerowi.

- Jeśli są to dowody rzeczowe przestępstwa, to proszę zatrzymać.

- To nie są dowody rzeczowe. - Decker przekartkował paszport chłopaka. Był w Anglii, Belgii, Niemczech, Austrii i Polsce. - Podobało ci się w Europie?

- Brałem udział w konkursach pianistycznych, więc niewiele widziałem.

- Jak ci poszło?

- Kilka wygrałem, kilka przegrałem.

- Gabe, skoro to wszystko, co ci dał - odezwał się Decker - dlaczego nie powiedziałeś mi o tym wczoraj?

- Nie wiem. - Wzruszył ramionami.

- Coś przede mną ukrywasz.

- Panie poruczniku, gdybym sądził, że Chris zabił moją mamę, to własnoręcznie odebrałbym mu życie, ale jestem przekonany, że nic złego jej nie zrobił. Dlatego wolałbym, żeby zostawił go pan w spokoju. Wiem, że pan tego nie robi, lecz skoro Chris jest niewinny, to dlaczego miałbym panu pomagać?

- Jeśli Chris nie skrzywdził twojej mamy, mógłbym go oczyścić z podejrzeń. Już to robiłem wcześniej.

- Może panu nie ufa.

- Chcesz wiedzieć, co myślę? - Przerwał na moment. - Że może masz rację. Że może nie zabił twojej mamy. Może uciekła od twojego taty. I jeśli jej szuka, to niech Bóg ją ma w swojej opiece, gdy Chris ją znajdzie. Rozumiem twoją lojalność wobec ojca, Gabe, ale lepiej będzie, jak ja pierwszy odnajdę twoją matkę.

- Zgadza się, ale nie mogę panu pomóc. Nie wiem, gdzie ona jest. Nie wiem, gdzie on jest.

- Czyli ojciec dał ci to wszystko i powiedział *sayonara*?

- Tak. To oczywiste, że nie chce mieć ze mną nic wspólnego. I bardzo dobrze.

- A jednak nadal jesteś wobec niego lojalny.

- Powiedział, że jej nie zabił. - Gabe pozostał niewzruszony. - Wierzę mu. Potem dał mi to wszystko i rozstaliśmy się. I tyle. Nie mam panu nic więcej do powiedzenia.

Decker wsadził do kieszeni metrykę urodzenia i paszport Gabe'a. Przewertował plik banknotów. Były to same setki, całkiem pokaźna suma. Oddał pieniądze.

- Proszę je zatrzymać - powiedział Gabe. - Na koszty mojego utrzymania.

- Przestań. - Decker czekał. - Zaczyna mnie boleć ręka. Weź pieniądze.

Gabe wziął plik banknotów.

- Naprawdę muszę trochę побыć sam. Moja ciocia zostawiła klucz do mieszkania pod wycieraczką. Chciałbym spędzić u niej weekend.

- Nie możesz być sam w jej mieszkaniu. Jeśli zamierzasz przeprowadzić się do ciotki, musisz poczekać, aż wróci z Palm Springs.

- Co bym tam robił według pana, panie poruczniku? Nie piję, nie biorę narkotyków. Gdybym chciał zniszczyć sobie życie, równie dobrze mogę to zrobić tu, jak i tam. Nie znam nikogo w mieście, ale zapewniam pana, że w ciągu godziny znalazłbym jakiegoś dilerę.

- Nie wątpię.

- Więc proszę mi pozwolić, bym zszedł panu z drogi i przeprowadził się do mojej ciotki. Wtedy wszyscy będą szczęśliwi.

- Jesteś za młody, Gabe. Nie mogę ci na to pozwolić.

Chłopak jęknął.

- W takim razie wyprowadzę się w poniedziałek.

- Nie wyrzucam cię z domu.

- Nie mogę tu zostać. Ściga pan mojego ojca, jest pan moim wrogiem.

- Nieprawda. Twój tata nie pozwoliłby ci tu mieszkać, gdybym był waszym wrogiem. Wie, kim jestem, i wie, że zapewnię ci dobrą opiekę. Ale wie również, że będę ci zadawał masę pytań, bo twoja matka zaginęła, a w tej chwili to dla mnie sprawa najważniejsza. Nie chodzi mi o twoje uczucia, tylko o bezpieczeństwo twojej matki. Jeśli chcesz się w poniedziałek wyprowadzić do ciotki, nie będę cię zatrzymywał. Ale to twoja decyzja, nie moja.

Gabe potarł oczy, nie zdejmując okularów.

- To wszystko jest takie popieprzone!

- Nie przeklinaj. Dlaczego uważasz, że twój ojciec nie zabił twojej matki?

- Nie wiem... - Gabe wyraźnie się zmieszał. - Po prostu wydawał się szczery.

- Twój ojciec jest mitomanem.

- Nie przeczę, ale naprawdę sprawiał wrażenie szczerze zaniepokojonego. A teraz pan mi mówi, że próbuje ją dopaść. Byłby to absurd, gdyby ją zabił.

- Mam do ciebie parę pytań. - Gabe milczał w oczekiwaniu.

- Czy twoja matka korzystała z samochodu podczas weekendu?

- Niech pomyślę... Wydaje mi się, że upłynęły od tego czasu całe wieki.

- Nie śpiesz się.

- W sobotę rano ćwiczyłem. Wróciłem do hotelu, potem pojechaliśmy do Westwood, obejrzeliliśmy film, zjedliśmy obiad. W niedzielę przez cały dzień ćwiczyłem. Nie wiem, czy mama korzystała z samochodu, ale nigdzie mnie nie zawoziła. Wspomniała, że nie chce zbytnio oddalać się od hotelu, bo miał przyjechać Chris.

- A w piątek?

- Szczerze mówiąc, nie pamiętam.

- Spróbuj sobie przypomnieć.

- W piątek, w piątek... Ćwiczyłem od... tak, od dziesiątej do czwartej. - Westchnął. - Zjedliśmy obiad w hotelu. Co robiliśmy potem? - Urwał na chwilę. - Poszedłem popływać. Był ciepły wieczór. Kiedy wróciłem do pokoju, nie zastałem jej. Wróciła godzinę później w stroju gimnastycznym, więc

pewnie była na siłowni. Potem oglądaliśmy telewizję i poszliśmy spać. Naprawdę nie robiliśmy nic szczególnego. Dlaczego pyta mnie pan, czy mama korzystała z samochodu podczas weekendu?

Decker skończył notatkę i odparł:

- Ponieważ właściciel złomowiska powiedział, że samochód dostarczono w sobotę.

- Czyli że to nie samochód mojej mamy, bo zniknęła w niedzielę, prawda?

- Owszem, zniknęła w niedzielę, ale to wcale nie znaczy, że tego dnia pojechała gdzieś samochodem. Nikt nie pamięta jej, jak opuszczała hotel. Mogła się wymknąć potajemnie.

- Dlaczego miałyby to zrobić?

- Może spotkanie z Chrisem nie przebiegło tak dobrze, jak mi się wydawało. Może poczuła się zagrożona przez twojego ojca i skorzystała z okazji, żeby zniknąć na dobre.

- Mówiła, że chce wynająć dom w Beverly Hills.

- To samo powiedziała twojemu ojcu. Poszliśmy tym tropem i wypytaliśmy większość pośredników w obrocie nieruchomościami w Beverly Hills, ale żaden z nich nigdy nie słyszał o twojej matce.

- Nie rozumiem... - Gabe posmutniał. Był wyraźnie zdezorientowany. - Dlaczego miałyby kłamać?

- Jeśli skłamała, to jak ją znam, miała ku temu ważny powód.

- Sądzi pan, że celowo wyjechała beze mnie?

- Nie wiem, Gabe, ale jeśli to zrobiła, musiała się czuć poważnie zagrożona.

Słowa Deckera nieco go pocieszyły, jeśli chodzi o intencje matki, ale tak czy inaczej, sprawa wyglądała bardzo źle. Widać było, że Gabe jest przygnębiony, wręcz zdruzgotany.

- Może z twoim ojcem nie wszystko poszło dobrze - mówił dalej Decker. - Dlatego twoja mama uciekła zaraz po jego odjeździe, myśląc sobie, że teraz albo nigdy.

- Sam nie wiem... - Gabe wzruszył ramionami. - Naprawdę tak pan sądzi?

- Nie można tego wykluczyć.

Albo, pomyślał Decker, zaplanowała to sobie jeszcze przed przyjazdem Donattiego, dlatego pozbyła się samochodu w sobotę. Wiedziała, że nie będzie jej już potrzebny. Pomyślała, że jeśli Donatti poczuje się pewnie, to wróci do domu.

Po jego wyjeździe uciekła.

Czyli wiedziała, że wyjedzie bez syna.

Może dlatego do niego zadzwoniła. Jej celem nie było wynajęcie Deckera w roli ochroniarza, ale zapewnienie synowi bezpiecznej przystani, kiedy wyjedzie na dobre.

Jeśli tak było, to nie tylko Gabe dał się nabrać.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY ÓSMY

- Dwie nasze ostatnie próby zakończyły się fiaskiem. - Oliver się rozłączył. - Ani Mandy, ani Crystal nie odbierają telefonów.

- Crystal lubi się bawić - powiedziała Marge. - Nie dziwię się, że nie odbiera telefonu stacjonarnego, ale powinna odbierać komórkę.

- Może jest w zatłoczonym barze i nie słyszy sygnału.

Jechali na północ autostradą numer pięć, z lewej strony mijali Griffith Park - rozległy zalesiony teren podarowany Los Angeles jako zadośćuczynienie przez pułkownika Griffina po tym, gdy zastrzelił swoją żonę. Jeden Bóg wiedział, jakie zwierzęta ukrywały się w mroku - zarówno czworonożne, jak i dwunożne. Udało im się uniknąć wieczornych godzin szczytu. Opadała wieczorna mgła, kiedy znaleźli się wyżej, na wzgórzu, nim ponownie zjechali do doliny.

- Zadzwoń do Seli Graydon - zaproponowała Marge. - Może jej uda się dotrzeć do Crystal.

- Dobrze. - Oliver umilkł na chwilę. - Co sądzisz o zniknięciu Mandy Kowalski?

- Z tego, co nam powiedziano, jest tak niezawodna jak to, że wszędzie słońce, a tu nagle nie odbiera telefonów.

- Co zamierzasz zrobić, jeśli nie otworzy nam drzwi do mieszkania?

- Która godzina?

- Wpół do dziewiątej.
- Czy wiemy o jakichś jej krewnych lub znajomych, którzy mogą mieć klucz do jej mieszkania?
 - Zdaje się, że nie prowadziła zbyt bujnego życia towarzyskiego - powiedział Oliver.
 - Mam złe przeczucia. Może wysłuchała czyichś zwierzeń o jeden raz za dużo. Rozumiesz, w czym rzecz. - Przerwała na moment. - Wiesz, jakim jeździła samochodem? Chciałabym sprawdzić, czy stoi przed domem. Jeśli samochód jest na parkingu, a ona nam nie otworzy, możemy mieć podstawy do wejścia do jej mieszkania bez pozwolenia.
 - Zadzwoń do wydziału komunikacji. Mam to zrobić przed telefonem do Seli Graydon czy po nim?
 - Najpierw zdobędziemy informacje o samochodzie. To łatwiejsze.

Oliver rozmawiał z wydziałem komunikacji, kiedy Marge zjeżdżała do doliny ciągnącej się równoległe do betonowego koryta rzeki Los Angeles. O tej porze przypominała ciemną przepaść widoczną po prawej stronie. Minęła zjazd do ogrodu zoologicznego w Los Angeles, wjechała na 134 Zachodnią, szybko mijając cmentarz Forest Lawn.

- Czarna toyota corolla z dwa tysiące trzeciego roku. - Oliver podał numer rejestracyjny. - Masz numer telefonu do Seli Graydon?

- Nie przy sobie.

Oliver znów gdzieś zadzwonił i po kilku minutach mógł już zadzwonić do Seli Graydon, ale nikt nie odebrał. Zostawił swój numer telefonu. Spojrzał na Marge, która głęboko się

zadumała.

- O czym myślisz?

- O niczym szczególnym - odpowiedziała po chwili milczenia.

- To zawsze niebezpieczne.

- Pamiętasz naszą rozmowę z Yvette Jackson, tą kelnerką? Spytałam ją, czy zna jakiegoś Farleya. A potem powiedziałam, że może chodzi o Charleya.

- Tak, pamiętam. Nie zna nikogo takiego.

- Więc pomyślałam sobie, że może to był Charley... od Chuck Tinsley. - Kiedy milczał, spytała: - Tak, nie, być może?

- Ciekawe - powiedział Oliver. - Szef kazał nam go jeszcze raz przesłuchać. Zróbmy to.

- Może zdobędziemy zdjęcie Tinsleya i pokażemy Yvette Jackson?

- Uważasz, że jest na tyle głupi, żeby ją powiesić na budowie, której jest kierownikiem, a potem zgłosić, że znalazł jej ciało?

- Przez tyle lat pracy w policji mieliśmy do czynienia z różnymi przestępcami - skomentowała Marge. - Uwierz mi, nie spotkałem wśród nich nikogo, kto odznaczałby się wybitnym intelektem.

Rina zapukała, ale nie zaczekała, aż zostanie zaproszona do środka.

- Zadzwoiłam do Matta Birenbauma. Przyjmie nas jutro.

- Dlaczego właśnie do niego? - spytał Decker.

- Wiem, że ekscentryk z niego, ale jest również wybitnym specjalistą w dziedzinie chirurgii dłoni.

Gabe zorientował się, że rozmowa dotyczy jego.

- Nic mi nie jest, pani Decker. Wszystkie kości mam całe.

- Być może, ale lekarz musi obejrzeć twoją dłoń. Upierałabym się przy tym nawet wtedy, gdybyś nie był pianistą. *Kal va-chomer*, powinnam to zrobić w przypadku kogoś, czyja kariera zależy od sprawnych dłoni.

Gabe nie zrozumiał wszystkiego, co usłyszał, ale uznał, że jego najlepszą obroną będzie nie sprzeczać się.

- *Kal va-chomer* oznacza, że powinnam szczególnie zadbać o to, żeby obejrzał cię lekarz - wyjaśniła Rina. - Nie pamiętam, jak brzmi ten zwrot w przypadku prawniczych dysput. Jesteśmy umówieni na jedenastą. Doktor Birenbaum szczydzi się swoimi umiejętnościami gry na fortepianie, więc przynajmniej wie, jakie są twoje potrzeby.

- Uważa się za Mozarta - powiedział Decker. - Jest okropny i słoń nadepnął mu na ucho.

- Jest trochę zarozumiały, ale właśnie taki powinien być chirurg. - Spojrzała na ubrania leżące na łóżku. - Wybierasz się gdzieś?

- Pomyślałem sobie, że podczas weekendu odwiedzę ciotkę, ale nie będzie jej w domu. Porucznik Decker okazał się na tyle uprzejmy, że pozwolił mi tu pozostać do jej powrotu w poniedziałek.

- Wyprowadzasz się?

- Tak będzie lepiej. Bardzo dziękuję za państwa gościnę. Może kiedyś będę się mógł za nią odwdzięczyć.

- Nie potrzebujemy twoich pieniędzy, ale nigdzie cię nie puszczę, nim doktor Birenbaum nie zbada twojej dłoni.

Potem możesz przenieść się do cioci. Zgoda?

Gabe skinął głową.

- Peter, idź przynieś mu prawdziwy zimny okład.

- Tak jest, proszę pani. - Decker wstał i uśmiechnął się na widok ponurej miny Gabe'a. - Nie wybrała sobie akurat ciebie, by cię gnębić. Wszystkich traktuje równie bezwzględnie.

- To nie powinno być dla niego niczym nowym. Chyba jest przyzwyczajony do bezwzględnych kobiet. - Kiedy Decker wyszedł, Rina usiadła na łóżku naprzeciwko Gabe'a. - Jak twoja ręka? Tylko proszę, odpowiedz szczerze.

- Jest spuchnięta.

- Właśnie dlatego bokserzy wkładają rękawice. Pozwól, że ją obejrzę. - Wyjął dłoń z torby z lodem i pozwolił, żeby Rina jej się przyjrzała. - Nieźle posiniaczona. Możesz poruszać palcami?

- Tak.

- Masz szczęście.

- To była głupota.

- Może głupota, może mądra reakcja. Nie wiem. Nie było mnie przy tym. Wszystko szczęśliwie się zakończyło, więc nie będę do tego wracać. Jesteś głodny?

- Właściwie nie.

- Hannah też nie, ale oboje powinniście zjeść kolację. Kiedy zaczniecie jeść, wróci wam apetyt.

- Czy Hannah jest na mnie wściekła?

- Wystąpiła w twojej obronie, więc wygląda na to, że nie. Kolacja będzie gotowa za dziesięć minut. Jesteś praworęczny

czy leworęczny?

- Praworęczny, ale lewą dłoń też mam silną...
A przynajmniej miałem.

- Nic ci nie będzie. Skoro jesteś praworęczny, lewa ręka nie jest ci tak potrzebna do gry. - Odczekała chwilę. - Po wizycie u lekarza chciałam rozejrzeć się razem z tobą za instrumentem do wynajęcia. Ale skoro zamierzasz wyprowadzić się do ciotki, nie ma to sensu. - Gdy chłopak milczał, dodała: - Jeśli chcesz z nią zamieszkać, bo jest twoją ciotką i będziesz się u niej lepiej czuł, nic mi do twojej decyzji. Trudno jest mieszkać u obcych ludzi. Ale nie planuj wyprowadzki tylko dlatego, że uważasz, że jesteśmy na ciebie źli. Lecz znając twojego ojca, uważam, że powinieneś wiedzieć, jak radzić sobie z konfliktami i nie poddawać się, nie załamywać.

- Tu nie chodzi o konflikt. Do tego jestem przyzwyczajony.
- Gabe umknął wzrokiem. - Jestem zmęczony tym, że stanowią dla państwa ciężar.

- Gabe, musisz coś zrozumieć. Gdybyś naprawdę był dla nas ciężarem, na pewno byś tu nie mieszkał. Nie biorę sobie na barki ciężarów, jestem na to za stara. Poza tym to nie mnie jest ciężko, tylko tobie. Ja doskonale sobie radzę. I nie martw się, że przez ciebie czuję jakiś dyskomfort, stresuję się. Nic z tych rzeczy. Wychowałam dwóch synów, a do aniołków nie należeli. Wiecznie pakowali się w tarapaty, chociaż muszę przyznać, że nie przypominam sobie, by ktoś przytknął któremuś z nich pistolet do żeber.

- Przyciągam kłopoty. - Gabe wzruszył ramionami. - Kiedy

jestem w pobliżu, zawsze coś się musi wydarzyć.

- Przebywanie po zmroku na parkingu w tamtej części miasta to nie najlepszy pomysł. Zamierzam zadzwonić do szkoły, niech przynajmniej zadbają o lepsze oświetlenie. - Rina spojrzała na niego. - Znając twojego ojca, przypuszczam, że przez całe życie miałeś do czynienia z bronią. - Gdy skinął głową, spytała: - Masz broń? Jeśli tak, daj mi ją, schowam w naszym sejfie na broń.

- Nie mam broni.

- Nie oszukujesz mnie, prawda?

- Nie, przysięgam. Nie użyłbym pięści, gdybym miał pistolet.

- Może byś mu nie sprawił manta, ale to wcale nie znaczy, że nie masz broni.

- Nie mam. Może pani przeszukać pokój.

- Mogę to zrobić pod twoją nieobecność - powiedziała Rina. - Nie będę czytała twojej prywatnej korespondencji, ale zajrzę pod materace i do innych trudno dostępnych miejsc, szukając broni i narkotyków.

- Nie jestem ćpunem. Nigdy w życiu nie kupiłem żadnych dragów. I nie piję. Mój ojciec jest alkoholikiem, tak samo jak obaj moi dziadkowie. Mam to w genach, więc wolę nie ryzykować.

- I nie masz broni?

- Nie. Proszę się nie krępować i sprawdzić.

Rina wzruszyła ramionami.

- Ale umiesz strzelać, prawda?

- Tak. - Umilkł na chwilę. - Chris o to zadbał.

- Jesteś dobrym strzelcem?

- Nie tak dobrym jak Chris, ale niezłym, choć szczerze mówiąc, nienawidzę broni.

- Czyli jest nas dwoje, chociaż też umiem strzelać. Nauczyłam się, bo mój mąż uznał, że powinnam, tak na wszelki wypadek.

- Podobnie jak Chris. - Zamyślił się. - Mój tata ma licznych wrogów. Powiedział, że muszę się nauczyć chronić mamę i siebie. Ćwiczył mnie. Strzelał do mnie, żebym się przyzwyczaił do świstu kul.

- To chore.

- Mój tata jest chory. - Gabe uśmiechnął się smętnie. - Może to były ślepaki. Nigdy mi tego nie powiedział.

- To okropne, Gabrieliu.

- Tak, nic przyjemnego. Gdybym mógł wybierać, z pewnością nie wybrałbym Chrisa na ojca. - Wzruszył ramionami. - Ale przypuszczam, że i tak jest lepszy od swego ojca. Chris nigdy się nade mną nie znęcał.

Rina uniosła brwi.

- Nie uważasz strzelania do własnego dziecka za znęcanie?

- Chodziło mi o przemoc fizyczną. Ojciec bił Chrisa. Normalnie pomyślałbym, że tata kłamie, ale widziałem szramy. - Spojrzał na Rinę. - Umieram z niepokoju o mamę. Bardzo mi jej brak. Ale trochę też tęsknię za Chrisem. Czy to nie dziwne?

- Nic a nic. Jestem pewna, że tęsknisz za swoim dawnym życiem.

- Tak, pewnie tak. Nie było łatwe, ale przynajmniej moje.

Minęło piętnaście minut, nim otworzyła się brama do garażu podziemnego. Marge wjechała za jakimś samochodem, wywołując paniczny lęk u kobiety siedzącej za kierownicą. Kiedy razem z Oliverem pokazali jej odznaki, uspokoiła się. Miała trzydzieści kilka lat i śniadą cerę.

- Śmiertelnie się przestraszyłam.

- Przepraszamy - powiedział Oliver. - Może zna pani Mandy Kowalski? Jest pielęgniarzką w szpitalu St. Timothy.

- Jaki jest numer jej mieszkania?

Marge podała numer i stwierdziła:

- Zwykle wieczory spędza w domu, ale nie otworzyła nam drzwi.

- Może akurat bierze gorącą kąpiel.

Mandy nie wyglądała na amatorkę gorących kąpielii.

- Zna ją pani? - spytała Marge.

- Nie, przykro mi. Mieszka tu sporo osób.

Marge dała jej wizytówkę.

- Jeśli ją pani zobaczy, proszę do nas zadzwonić.

Kobieta wsadziła wizytówkę do torebki. Marge i Oliver patrzyli za nią, póki nie zniknęła za drzwiami prowadzącymi do wind. Potem Marge rozejrzała się po garażu, szukając samochodu Mandy.

- Czterdzieści podwójnych miejsc parkingowych?

- Tak, ale tylko jedna trzecia jest zajęta - powiedział Oliver. - Ty idź w lewo, ja pójdę w prawo.

- I będę w Szkocji przed tobą - zażartowała Marge.

Dwadzieścia minut później spotkali się. Żadne z nich nie znalazło samochodu Mandy.

- Jest po dziewiątej - powiedział Oliver. - Nie podoba mi się to.

- Spróbujmy jeszcze raz zapukać do drzwi jej mieszkania - zaproponowała Marge.

- Przecież nie ma samochodu. Dlaczego sądzisz, że jest w domu?

- Rzucimy okiem, dobrze?

Wjechali na drugie piętro. Gdy wysiedli z windy, zadzwonił telefon Olivera. Spojrzał na numer i wzruszył ramionami.

- Wygląda znajomo, ale nie wiem, do kogo należy. - Nacisnął guzik. - Detektyw Oliver.

- Tu Sela Graydon. Dzwonił pan do mnie.

- Tak, pani Graydon. Bardzo dziękuję, że pani oddzwania. Staramy się odnaleźć Crystal Larabee. Może pani wie, gdzie ona jest?

- Nie. Właściwie zamierzałam zadzwonić do pana w tej sprawie. Nie mogę się z nią skontaktować i trochę mnie to niepokoi.

- Ile razy pani do niej dzwoniła?

- Cztery, może pięć.

- Kiedy ostatni raz rozmawiała pani z nią?

- Wczoraj między dziewiątą a dziesiątą rano. Wspomnialiśmy, że pójdziemy razem na kawę. To była nasza ostatnia rozmowa. Zastanawiałam się, czy może pojechać do niej do domu, ale nie chciałam się wygłupić. Ostatecznie jest dorosła.

- Może byśmy się tam spotkali? - zaproponował Oliver.

- Wie pan, gdzie mieszka Crystal?

- Tak. Możemy tam być za jakieś dwadzieścia minut.
 - Mnie zajmie to około pół godziny.
 - W takim razie do zobaczenia za pół godziny.
 - Czyli nie uważa pan, że wygłupiłabym się?
 - Troska o przyjaciółkę zawsze jest godna pochwały. Czy zna pani kogoś, kto ma klucz do jej mieszkania?
 - Ja mam klucz, choć nie wiem, czy jest dobry. Nigdy z niego nie korzystałam. Może Crystal zmieniła zamek?
 - Proszę go wziąć ze sobą, tak na wszelki wypadek.
 - To znaczy? - spytała Sela.
- Oliver nie odpowiedział, tylko się rozłączył.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DZIEWIĄTY

Mandy nie otworzyła im drzwi, ale ponieważ w garażu nie było jej samochodu, Oliver i Marge nie tyle się niepokoiли, co byli ciekawi. Może poprosiła o kilka dni urlopu, żeby wygrzać się na słońcu na jakiejś nieodległej meksykańskiej plaży. Bardziej martwili się losem Crystal Larabee. Kiedy przyjaciółki zaczynają się niepokoić, pora usiąść prosto i uważnie się rozejrzeć.

Dwupiętrowy jasnoszaro otynkowany pudełkowaty budynek, w którym mieszkała Crystal, oświetlały białe lampy. Sela Graydon, ubrana w jaskrawoczerwony kostium, czekała przed domem. Na ramieniu miała wielgachną torbę z czarnej skóry. Chodziła tam i z powrotem, pobrząkując kluczami, ale zatrzymała się, kiedy zobaczyła, że Marge wysiada z samochodu. Próbowwała powitać ją uśmiechem, lecz niezbyt jej się to udało.

- Witam. - Poprawiła torbę na ramieniu i wyciągnęła rękę.
- Dziękuję, że państwo przyjechali. Nie czuję się jak skończona idiotka.

Marge uścisnęła jej dłoń.

- Kilka dni temu zginęła pani przyjaciółka. Ma pani prawo się niepokoić.

- Jestem nerwowo wykończona. Nie potrafię się skupić w pracy. Wszystko muszę czytać dwa razy. - Ugryzła się w kciuk. - Naturalnie bardzo mi smutno. To straszne. Nie

mogę przestać myśleć o tym, w co wpakowała się Adrianna.

- Dopóki tego nie ustalimy, lepiej zachować ostrożność - poradziła Marge.

- W jakim sensie? Przecież to wszystko nie ma nic wspólnego ze mną, prawda?

- Tego nie wiemy. Proszę się zastanowić, czy istnieje jakiś powód, dla którego śmierć Adrianny mogłaby mieć coś wspólnego z panią? - spytała Marge.

- Nie. To, że byliśmy przyjaciółkami, nie oznacza, że wszystko razem robiłyśmy. - Zamilkła na dłuższą chwilę. - Czy powinnam się bać?

- Wszystko po kolei - powiedział Oliver. - Ma pani klucz do mieszkania Crystal?

- Tak. - Pokazała kółko z kilkunastoma kluczami. - Proszę.

- Crystal dała pani klucz - stwierdziła Marge. - Czyli tym samym pozwoliła pani wchodzić do swojego mieszkania. Dlatego wolimy, żeby pani otworzyła drzwi.

Weszli na górę, a kiedy dotarli do mieszkania, Oliver mocno zapukał.

- Crystal? - Ponownie zapukał. - Crystal, czy jest pani tam? Sela znów przygryzła kciuk.

- Czy to tylko moja wyobraźnia, czy naprawdę coś brzydko pachnie?

- Rzeczywiście czuć smród - potwierdziła Marge. - Czy mogłaby pani otworzyć drzwi?

- Wolę nie wchodzić do środka.

- Założmy, że zadzwoniła pani do nas i poprosiła o sprawdzenie mieszkania przyjaciółki, bo podejrzewa pani,

że coś jest nie w porządku - powiedział Oliver.

- Zadzwońłam do państwa z prośbą, żebyście sprawdzili mieszkanie Crystal Larabee, bo wydaje mi się, że coś jest nie w porządku.

- Świetnie - powiedział Oliver. - Proszę przekręcić klucz, a my zajmiemy się resztą.

Seli udało się drżącą ręką wsadzić klucz do dziurki i przekręcić. Po otwarciu drzwi smród się wzmógł, jednak nie był to zapach rozkładających się zwłok, raczej dawno niewyrzucanych śmieci.

Sela zrobiła się szara na twarzy.

- Może zaczeka pani w samochodzie? - zaproponowała Marge.

- Tak będzie lepiej. - Zatoczyła się i Oliver musiał ją złapać za ramię. - Pomogę pani zejść na dół.

- Nic mi... nie jest.

- Nie wątpię, ale stopnie są strome, a pani jest w szpilkach.

Nie opierała się, kiedy Oliver sprowadził ją na dół, ale już po chwili wbiegł na górę. Marge była w środku i rozglądała się po kuchni. Włożyła lateksowe rękawiczki i otworzyła jeden z dwóch worków na śmieci opartych o ścianę.

- Faj, ale smród! Powinnam przynieść maskę.

- Powinnam, powinnam. - Oliver też włożył rękawiczki i odgonił kilka natrętnych much. Ich obecność nie wróżyła dobrze. - Znalazłaś szczątki ludzkie?

- Nie, tylko mnóstwo zgniłych warzyw. - Uniosła wzrok, odgoniła muchę, z obrzydzeniem zmarszczyła nos. - Ponieważ ja zaczęłam brudną robotę, to ja ją dokończę. Ty

rozejrzyj się po pozostałej części mieszkania i zawołaj mnie, jak znajdziesz coś ciekawego.

Energicznie pomachał ręką przed swoją twarzą.

- Nie będę oponował.

Marge dalej grzebała w śmieciach. Poza zepsutymi warzywami znalazła kilka kartonów mleka, karton soku pomarańczowego, spleśniały ser i pozieleniałe mięso. Związała worek na śmieci i zajrzała do drugiego. Też zawierał dużo napoczętych opakowań jedzenia, między innymi keczup, musztardę, majonez, sos sojowy, pikle do hot dogów, słoik scukrzonego dżemu truskawkowego, ocet, wasabi, wiśnie w syropie, cebulki perłowe i oliwki nadziewane ostrą papryką.

Oliver wrócił do kuchni po dwudziestu minutach, akurat gdy Marge związywała drugi worek ze śmieciami.

- Na podłodze leżą ubrania, łóżko jest niezasłane.

- Ślady walki?

- Wszystko raczej świadczy o tym, że była flejtuchem.

- Jakież dowody, że ostatnio uprawiała seks?

- Nie znalazłem zużytych prezerwatyw. W pokoju panuje zaduch, ale nie czuć w zapachu spermy. W łazience też jest bałagan, lecz nie widać zakrwawionych ręczników ani krwawych plam na ścianach. A co u ciebie?

- Jeśli jest flejtuchem, to akurat postanowiła zrobić generalne porządki w kuchni.

Oliver rozejrzał się wkoło. Podobnie jak podczas ich pierwszej wizyty u Crystal, w zlewie stały naczynia, a blaty szafek były lepkie od brudu.

- Jak to? Brudno tu jak w chlewie.

- Opróżniła lodówkę. - Spojrzeli na siebie. - Albo ktoś inny to zrobił. - Ujęła dłonią w rękawiczce uchwyt starej, białej lodówki i szarpnęła je.

Na zewnątrz wysunęła się ręka.

Zajrzeli do środka. Nagie ciało Crystal Larabee tak ściśle wypełniało wnętrze lodówki, że nawet siła ciężenia nie zdołała jej uwolnić z lodowatego grobu. Zabójca wyjął półki, żeby zrobić miejsce na zwłoki. Złożył je w harmonijkę. Crystal miała zgięte stopy, a także nogi w kolanach w taki sposób, że uda dotykały brzucha i klatki piersiowej. Głowę, spuszczoną i odwróconą w prawo, wciśnięto między kolana a umocowaną na stałe półkę.

Oliver wypuścił powietrze z płuc.

- Zadzwoń do koronera. Ja przyniosę z samochodu zestaw polowy.

Marge sięgnęła po telefon.

- Kiedy będziesz na dole, porozmawiaj z Selą Graydon. Powinniśmy ją mieć na oku.

- Jako potencjalną podejrzaną czy ofiarę?

- W tej chwili raczej jako ofiarę. - Wybrała numer Deckera.

- Nie wiemy, o co chodzi. Z całą pewnością nie chcemy, aby oznaczało to, że zamordowano dwie kobiety, a trzecia została do zlikwidowania.

Sela siedziała z tyłu nieoznakowanego radiowozu. Zwymiotowała kolację, dygotała i łkała.

- Dlaczego... to... się dzieje?

- To musi przypominać koszmar - powiedziała Marge.

- To jest... koszmar! - Sela szlochała w chusteczkę jednorazową. - Boję się. A jeśli to coś takiego, jak się widuje na horrorach? Ktoś... ze szkoły średniej postanowił się zemścić?

- Mieszka pani sama?

- Tak.

- Czy może pani spędzić u kogoś tę noc?

- Moi rodzice... - Znów zaczęła szlochać. - Chcę wrócić do domu!

- Gdzie mieszkają pani rodzice?

- W Venturze.

Czyli około siedemdziesięciu kilometrów od Los Angeles.

- W obecnym stanie nie powinna pani prowadzić samochodu - oświadczyła Marge. - Może zadzwonię do nich, żeby po panią przyjechali?

- Potrzebuję samochodu. - Sela wydmuchała nos. - Rano muszę iść do pracy. Już mam zaległości, bo byłam strasznie rozkojarzona... z powodu Adrianny.

- Czy pani rodzice są małżeństwem?

- Tak, naturalnie.

- Może razem tu przyjadą, a wrócą dwoma samochodami?

- Natychmiast do nich zadzwonię. - Sela wytarła oczy.

- Zanim to pani zrobi, chciałam zadać kilka pytań. - Marge wyjęła notes. - Kogo powinnam powiadomić o śmierci Crystal?

- O Boże! - Znów się rozplakała. - Na pewno jej matkę. Już nie mieszka w Los Angeles, wyprowadziła się.

- Zna pani numer jej telefonu? - Gdy Sela zaprzeczyła

ruchem głowy, pytała dalej: - A jej nazwisko?

- Pandy Hurst. - Sela przeliterowała imię i nazwisko. - To zdrobnienie od Pandory.

- Naprawdę nie ma pani pojęcia, gdzie ona teraz mieszka?

- Naprawdę. Ale numer telefonu na pewno jest w komórce Crystal.

- Oczywiście. Odnajdziemy ją. - Marge umilkła na chwilę. - Czy domyśla się pani, dlaczego ktoś zabił Adriannę i Crystal? Jakiś przypuszczalny powód...

- Jedyne, co mi przychodzi do głowy, to ten facet, z którym Adrianna rozmawiała w barze. Może to seryjny morderca.

- Tak, sprawdzamy go. À propos, wciąż nie udało nam się odszukać Gartha Hammerlinga. Z tego, co słyszeliśmy, nie był wierny Adriannie. Czy mógł na boku kręcić z Crystal?

- Całkiem możliwe. Garth to dupek.

- A Aaron Otis? Też miał krótki romans z Adrianną.

- Nie znam go zbyt dobrze. Och... - Zbladła. - Znów mi niedobrze. - Otworzyła drzwi, wychyliła się i wymiotowała.

Marge usłyszała w oddali syreny radiowozów.

- Przepraszam na chwilę. - Wysiadła i podeszła do dwóch biało-czarnych aut policyjnych. Poleciała czwórce mundurowych, żeby zablokowali ulicę i zabezpieczyli budynek. Zbierali się gapie i Marge potrzebna była pomoc. Oliver już był na górze i zabezpieczał mieszkanie.

Sela, która przestała rzygać, siedziała z głową między kolanami. Wolno uniosła głowę, wytarła oczy i twarz.

- Boże, wyglądam okropnie! - Zaśliniła się, więc wytarła kąciki ust chusteczką. - Zabawne... - Przerwała na moment.

- A raczej ironia losu. Od roku próbowałam się od nich odsunąć, a teraz one nie żyją... A ja czuję się okropnie! Jakbym przyczyniła się do ich śmierci.

- Przecież wie pani doskonale, że to nie pani wina. - Marge znów wsunęła się na tylne siedzenie w radiowozie. - Pani też jest ofiarą, podobnie jak one.

- Tylko wciąż żyję.

Marge wiedziała, w czym rzecz. Typowe poczucie winy u tych, którzy przeżyli.

- I dziękujemy za to Bogu. Zadzwonię do pani rodziców, jeśli pani sobie życzy.

- Sama to zrobię. Poradzę sobie.

Sela w równym stopniu mówiła do siebie, co do Marge. Wybrała numer, ale kiedy rozległ się głos matki, znów zaczęła szlochać. Zdenerwowana matka Seli zaczęła tak głośno krzyczeć, że Marge ją usłyszała.

- Nic mi nie jest, nic mi nie jest, nic mi nie jest - powtarzała Sela.

Marge wzięła od niej komórkę i przedstawiła się.

Kolejna trudna rozmowa telefoniczna.

Kolejna długa noc.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY

Dwoje odzianych w czarne kurtki pracowników z biura koronera ostrożnie wyjęło ciało Crystal Larabee z lodówki i ułożyło na kocu. Starsza w zespole, czterdziestokilkuletnia Latynoska o imieniu Gloria, powiedziała do Deckera:

- Musimy poczekać, aż temperatura zwłok wzrośnie. Dopiero wtedy będziemy je mogli wyprostować. Jeśli miał pan kiedyś do czynienia z surową mrożoną wołowiną, to wie pan, że nie jest taka elastyczna jak mięso o temperaturze pokojowej. Nie chcemy uszkodzić zwłok.

- Rozumiem. - Decker ukucnął, żeby przyjrzeć się denatce. Uwolnione z ciasnej lodówki ciało trochę się wyprostowało. Crystal była teraz w pozycji embrionalnej. Pomalowane paznokcie były nietknięte, chociaż miejscami lakier odprysnął. Pracownicy biura koronera obetną je, żeby sprawdzić obecność obcego materiału biologicznego. Jakiś czas przeleżała w lodówce, bo widoczne były plamy pośmiertne. Krew spłynęła do dolnych części łydek, ud i tułowia. Decker nie dostrzegł ran postrzałowych ani kłutych. Skóra przybrała sinoniebieski odcień, a usta były barwy ciemnego indygo. Gdy przyjrzał się szyi, dostrzegł kilka fioletowych plamek - wybroczyn - na widocznym fragmencie szyi. Zwykle oznaczało to, że ofiarę uduszono.

Wyprostował się i obejrzał wewnątrz lodówki. Minął jakiś czas, odkąd ostatni raz ją umyło. Na ściankach oraz

w pojemniku na owoce i warzywa widać było kawałki zgniłych artykułów spożywczych, a dno było upačkane.

Wyjął zestaw do wstępnej analizy krwi i pobrał na patyczki higieniczne kilka próbek. Większość z nich zabarwiła się na niebiesko, co świadczyło o obecności krwi. Nie zdziwiło go to. Surowe mięso, rozmrażane w lodówce na talerzu, często pływa we własnej krwi. Jeśli nieostroźnie wyjąć talerz – a Crystal nie należała do osób przesadnie uważnych – łatwo można pochłapać wodą z krwią ścianki lodówki. Uwzględniając ilość plam, Decker gotów był się założyć, że była to raczej krew zwierzęca niż ludzka. Według niego śmierci Crystal, tak jak Adrianny, nie towarzyszył rozlew krwi.

Oliver wszedł do kuchni.

- Umieściłem w torbach na dowody pościel, ręczniki i ubrania leżące na podłodze, wszystko, co się na niej poniewierało, śmieci z sypialni i kuchni, szczoteczkę do zębów i szczotkę do włosów. Chcesz zabrać jeszcze coś z sypialni i łazienki?

- Co z muchami i czerwiami?

- Kilka much, czerwi nie znalazłem. Przypuszczam, że Crystal Larabee była na tyle rozsądna, by nie zostawiać na wierzchu surowego mięsa.

- Albo ktoś okazał się na tyle rozsądny, żeby wsadzić ją do lodówki, by nie przyciągnęła much. - Decker wypuścił powietrze z płuc. - No i w ten sposób utrudnił nam ustalenie czasu zgonu ofiary.

- Sela Graydon rozmawiała z nią wczoraj rano. - Oliver

zajrzał do notatek. - Crystal zaproponowała pójście na kawę, ale już nie oddzwoniła.

- A co z telefonem komórkowym Crystal?

- Nie znaleźliśmy go.

- Czy ma telefon stacjonarny?

- Nie.

- Znalazłeś jakieś rzeczy osobiste?

- Jedynie dużo szpargałów. Brak torebki z dowodem tożsamości. Samochód nadal stoi na parkingu.

- To logiczne. Ustalmy, z kim rozmawiała przez komórkę.

Marge dołączyła do Olivera i Deckera. Zdjęła rękawiczki.

- Okropny był z niej flejtuch. Trudno określić, co jest dowodem rzeczowym, a co zwykłymi szpargałami. - Spojrzała na zwłoki, które stopniowo się prostowały. - Jakież to smutne. Wygląda, jakby ktoś skręcił jej kark.

- Przypuszczam, że poniosła śmierć wskutek uduszenia - powiedział Decker.

- Tak, widać wybroczyny. - Marge westchnęła głęboko. - Adrianna zmarła na skutek powieszenia, czyli również została uduszona.

- Przeanalizujemy pod kątem sprawy, co je łączyło - zaproponował Decker.

Marge zaczęła wyliczać na palcach:

- Były najlepszymi przyjaciółkami, były w barze w Garage'u w niedzielny wieczór, w przeddzień śmierci Adrianny, rozmawiały z tym samym nieznajomym w barze, znały Aarona Otisa i Grega Reyburna.

- Czy Aaron nie przyznał się, że spał z Adrianną? - Gdy

Marge potaknęła głową, dodał: - Czy mógł również sypiać z Crystal?

- Być może - odparła Marge. - Może również Greg sypiał z nimi. Crystal i Greg przyjaźnili się.

- Czy Garth sypiał z Crystal?

- Nie wiemy.

- Wezwijcie Aarona Otisa i Grega Reyburna na dalsze przesłuchania - polecił. - Przekonamy się, co mają do powiedzenia na temat ostatnich wydarzeń.

Oliver spojrział na zegarek.

- Jest po jedenastej. Chcesz, żebyśmy to zrobili jeszcze dziś wieczorem?

- Można z tym poczekać do rana. Mamy tu jeszcze sporo do roboty.

- Zadzwońę do nich z samego rana - powiedział Oliver. - À propos, Marge ma ciekawą teorię.

- O czym mówisz? - spytała Marge.

- O Farleyu-Charleyu.

- A tak. - Zwróciła się do Deckera. - Adriannę zaczepił w Garage'u tajemniczy facet. Crystal wydawało się, że ktoś wołał na niego Farley. Pomyślałam, że może chodziło o Charleya, a nie o Farleya. Na przykład o Chucka Tinsleya.

- Kilka godzin temu przesłuchaliśmy Yvette Jackson, pracownicę Garage'u - wtrącił Oliver. - Powiedziała, że może uda jej się rozpoznać faceta, z którym była Adrianna. Moglibyśmy przedstawić jej sześć zdjęć, wśród nich zdjęcie Tinsleya, i przekonamy się, czy go wskaże.

- Czy Tinsley był notowany? - spytał Decker.

- Nie, ale sprawdziłam tylko kartoteki policji w Los Angeles.

- No tak. - Decker wzruszył ramionami. - Więc sprawdźcie poza Los Angeles.

W milczeniu przyglądali się zwłokom. Podeszła Gloria i dotknęła denatki dłonią w rękawiczce.

- Wciąż zimna.

- Ile potrwa, aż jej ciało osiągnie temperaturę pokojową?

- Jeszcze jakiś czas.

Decker zwrócił się do detektywów:

- Ja tu zaczekam, a wy zaczniacie wypytywać mieszkańców domu. Niewiele tu lokali, więc nie potrwa to długo. Dam wam znać, kiedy będzie można przenieść zwłoki.

- Dobrze. - Marge spojrzała na swojego szefa i starego przyjaciela. - Dobrze się czujesz?

- Jestem tylko zmęczony.

- Jak chłopak?

- Ciągle bez rodziców. - Decker pomasaował skronie. - Szkoda mi go. I głupio czuję się z tym, że zaangażowałem się w życie jego matki. - W skrócie przedstawił wydarzenia dnia.

- Nie wiem, czy rzeczywiście Terry ma kłopoty. Jeśli tak, to miałbym powód do wyrzutów sumienia, że byłem na nią wściekły. Ale mogła po prostu mnie wykorzystać, uznając mój dom za bezpieczny azyl dla syna. A kukulcza matka rozpocznie nowe życie.

- Donatti nie kontaktował się z tobą?

- Nie, ale chłopak wyjawiał, że widzieli się wczoraj.

- Czyli jest w mieście albo...

- Prawdopodobnie już dawno wyjechał. Donatti dał Gabe'owi paszport, legitymację ubezpieczenia społecznego i plik banknotów. Najpewniej dał mu też inne rzeczy, ale Gabe przyznał się tylko do tego. Jest dla mnie oczywiste, że Donatti nie zamierza szybko się zgłosić po syna.

- To prawda, że w Los Angeles mieszka jego ciotka? - spytał Oliver.

- Ciotka i dziadek.

- Czyli nie jest zdany na ciebie. Dlaczego wziąłeś na siebie ten ciężar?

- Zaproponował, że wyprowadzi się do ciotki, choć wolałby zostać z nami.

- Nie on o tym decyduje, tylko ty - powiedział Oliver.

- Wiem. - Milczał przez chwilę. - Oceniając sprawę na zimno, powinienem pozwolić mu się wyprowadzić, ale sumienie mówi co innego. Nie byłoby czymś właściwym oddanie chłopaka pod opiekę kobiety, która choć formalnie jest dorosła, to tak naprawdę jest nieodpowiedzialnym dzieciakiem.

- Widzisz, właśnie tu jest źródło twoich problemów - oświadczył Oliver. - Słuchasz głosu sumienia. Deck, a ja ci mówię z własnego doświadczenia, że nigdy nic dobrego z tego nie wynika.

O drugiej nad ranem zabrano zwłoki, zabezpieczono odciski palców w mieszkaniu, wszystkie dowody rzeczowe trafiły do toreb, mieszkanie zaplombowano. Decker nie musiał zostać ze swymi detektywami, ale postanowił towarzyszyć im do końca. Nim otrzymał wezwanie, zdążył

zjeść kolację, chociaż atmosfera przy stole była napięta, więc Hannah i Gabe jedynie grzebali w talerzach. Kiedy Marge przekazała mu telefonicznie wiadomość o śmierci Crystal, był wstrząśnięty, ale z drugiej strony poczuł ulgę, że może wyjść z domu i zająć się czymś konkretnym.

- Do zobaczenia rano - pożegnał się. - Zjawię się około ósmej.

- Bądź ostrożny. - Marge zadzwoniła kluczami. - Po drodze wstąpię do mieszkania Mandy Kowalski.

Oliver spojrzał na zegarek.

- Wiesz, która godzina?

- Nie zapukam do jej drzwi, chcę tylko sprawdzić, czy samochód jest w garażu.

- Garaż jest zamykany. Jak zamierzasz się do niego dostać?

- Zajrzę przez kraty. Słuchaj, Scotty, Mandy Kowalski zataiła przed nami, że piła kawę z Adrianną w bufecie. Teraz Crystal nie żyje. Powinnam sprawdzić, czy samochód Mandy jest w garażu.

- Chcesz, żebym z nią pojechał? - spytał Decker.

- Nie, pojedę z nią - odburknął Oliver. - To jedna z naszych zwykłych sprzeczek. Zresztą po co komu sen?

- To prawda, jest bardzo przereklamowany - podsumowała Marge.

- Odkąd to stałaś się nocnym markiem?

- Odkąd córka się wyprowadziła. Czasami trudno mi zasnąć, bo myślę, co u niej.

- Adoptowałaś ją, kiedy była nastolatką. Przez wiele lat mieszkałaś bez niej.

- To było wtedy, a teraz jest teraz. Nic nie mogę na to poradzić, że się o nią martwię.

- Dzieciaki są jak heroina - powiedział Decker. - Kiedy są w pobliżu, sprawiają ból, ale nawet kiedy nie ma ich koło nas, są jak kolejna działka. Nie można przestać o nich myśleć.

Kiedy zegar wybił szóstą, Decker się poddał. Przez zasłony wpadało przyćmione światło, bo niebo było szare. Wstał, włożył szlafrok i postanowił zaparzyć kawę. Chciał zaznać odrobiny samotności, ale nie było mu to pisane. Okazało się, że Gabe go uprzedził. Miał na sobie T-shirt i dżinsy, siedział przy stole kuchennym, laptop miał otwarty, ale odsunął go na bok. Czytał poranną gazetę Deckera.

- Cześć.

- Cześć - odpowiedział Decker nieco obrażonym tonem. A może tylko znużonym.

- Pozwoliłem sobie zaparzyć kawę. Nalać panu?

- Dziękuję, sam sobie naleję. Jak twoja ręka?

Gabe odłożył gazetę i poruszył palcami.

- Wciąż boli. Ale przypuszczam, że to normalne. Nic mi nie będzie.

- Uważaj na nią. Wcześniej wstałeś.

- Nie mogłem spać. Słyszałem, jak pan wrócił do domu. Było już późno. Wszystko w porządku?

Decker uśmiechnął się w duchu. Nikt z rodziny nie przejmował się, ile godzin spędzał w pracy.

- Normalka. - Nalał sobie kawy i usiadł. - A jak ty się czujesz? - Tym razem naprawdę chciał poznać odpowiedź.

- W porządku. Czy mogę jakoś panu pomóc?

- Twoja matka powiedziała, że dobry z ciebie dzieciak - skomentował z uśmiechem. - Nie kłamała.

- Taki już jestem. - Poprawił okulary na nosie. - Można to umieścić na moim grobie. Dobry był z niego dzieciak.

- Gdybym był na twoim miejscu, wszystko by się we mnie gotowało ze złości.

Gabe spojrział na sufit.

- Przypuszczam, że to wychodzi z człowieka. Jak ta burda z tym idiotą wczoraj wieczorem. - Pokręcił głową i wyciągnął z tylnej kieszeni spodni kartkę papieru. - Ponieważ nie mogłem spać, trochę posurfowałem w sieci i wszedłem na stronę internetową szpitala.

- Którego?

- Racja, nie potrafi pan czytać w moich myślach. Szpitala, w którym pracowała moja mama.

- Znalazłeś coś? - Decker wyraźnie się ożywił.

Gabe wręczył mu kartkę.

- Spisałem wszystkie hinduskie nazwiska osób, które przewinęły się przez oddział kardiochirurgii i chirurgii sercowo-naczyniowej w ciągu ostatnich ośmiu lat. Wcześniej mieszkaliśmy z mamą w Chicago. Niektóre z nich może należą do kobiet. Nie wiem, czy jest wśród nich nazwisko gościa, z którym mama rozmawiała, ale ponieważ i tak nie miałem nic do roboty, więc...

Decker spojrział na nazwiska: Chopra, dwa razy Gupta, Mehra, dwa razy Singh, Banerjee, Rangarajan, Rajput, Yadav, Mehta, Lahiri.

- Czy któreś z nich brzmi ci znajomo?
- Tylko Mehta, ale to z uwagi na słynnego dyrygenta. Jak powiedziałem, nie ujawniła mi nazwiska tego gościa.

- Rozpoznałbyś go na zdjęciu?

- Nie sądzę. - Pociągnął łyk kawy. - Jeśli pan chce, mogę sprawdzić w Google'u, czy ojciec któregoś z nich jest maharadzą. Nie idę dziś do szkoły, więc miałbym coś do roboty.

Decker przyjrzał się mu uważnie.

- I co byś zrobił z tą informacją?

- Przekazałbym ją panu.

- A nie ojcu?

Gabe skrzyżował ręce.

- Dlaczego jemu miałbym ją przekazać?

- A dlaczego nie? On też szuka twojej mamy.

- Panie poruczniku, jeśli jej szuka, to znaczy, że działa po omacku, jak my. Co byłoby złego w tym, gdyby odszukał ją pierwszy?

- Mówisz poważnie?

- Nie skrzywdzi jej.

- Już raz ją skrzywdził.

- Cóż, nie sądzę, że zrobi to drugi raz.

- Czy właśnie to ci powiedział podczas waszego spotkania?

- Tak.

- A ty mu uwierzyłeś?

- Tak. - W jego oczach pojawiła się złość. - Ale nie dzwoni do mnie po pomoc, a ja nie mogę się z nim skontaktować, więc cała ta dyskusja nie ma sensu. Gdybym chciał

przekazać Chrisowi tę informację, mógłbym wysłać mejla do jednej z jego firm. Ale nie zrobiłem tego. Jeśli chce pan, żebym panu pomógł, sprawdzę te nazwiska w internecie. Jeśli nie, to nie ma sprawy.

Odpuść, Decker, nakazywał sobie. Chris jest jego ojcem i nigdy tego nie zmienisz.

- Darowanemu koniowi nie zagłada się w zęby. Będę wdzięczny za każdą pomoc. Więc owszem, sprawdź to w internecie. A na przyszłość wiedz, że twoje kontakty czy wspólne działania z ojcem to twoja prywatna sprawa.

Gabe milczał przez chwilę, wreszcie wyznał:

- Nie wiem, dlaczego bronię tego drania.

- Jest twoim tatą. Wiele razem przeżyliście.

- Tak, i mało było w tym dobrego. - Urwał. - Nie, nie, to nie do końca sprawiedliwe. On ma swoje zalety, tylko rzadko je ujawnia. - Spojrzał na Deckera. - Nie ufam swojemu tacie. Nigdy mu nie ufałem. Ale nie chciałbym, żeby przeze mnie trafił do więzienia.

- To zrozumiałe. - Decker wiedział, że jeśli chce zyskać sprzymierzeńca, to nastąpiła najwyższa pora, by tak właśnie zacząć traktować Gabe'a. Uniósł kartkę z nazwiskami. - Bardzo mi to pomoże. Zrobię kopię i obaj się przekonamy, co uda nam się ustalić, dobrze?

- Jasne.

- Gabe, moim głównym celem jest odnalezienie twojej matki, a nie przyskrzynienie twojego ojca.

- Wiem, ale wiem również i to, że gdyby się okazało, że mój tato skrzywdził moją mamę, będzie pan go ścigał, nie

zważając na moje uczucia.

- To prawda.

- Zrobiłbym to samo, znaczy się gdybym był na pana miejscu.

- A jako jego syn?

- Nie wiem, panie poruczniku. Jak powiedziała by mój terapeuta, może to nie najlepsza pora na roztrząsanie tej kwestii.

Decker się roześmiał.

- Znasz ich język.

- Zawsze miałem doskonały słuch.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY PIERWSZY

Marge postawiła przed Oliverem latte.

- Może to cię postawi na nogi. Wyglądasz na zmęczonego.

- Bo jestem. Było po trzeciej, kiedy przestaliśmy się bawić w podglądaczy.

- Przecież mówiłam, że nie musisz jechać ze mną. Nie mówmy już o tym, lepiej poczęstuj się kawą. - Gdy Oliver wymamrotał podziękowania, Marge wywróciła oczami, a potem dodała rzeczowym tonem: - Mandy Kowalski wciąż nie odbiera telefonów. Zadzwoiłam do szpitala i rozmawiałam z Hilly McKennick, przełożoną pielęgniarek. Mandy miała się dziś stawić w pracy, ale się nie pojawiła.

- Niedobrze. - Pociągnął kolejny łyk kawy. - Ponieważ jest już widno, mógłbym pojechać do mieszkania Mandy i sprawdzić, co się dzieje.

- Możemy to zrobić.

- A co z Aaronem Otisem i Gregiem Reyburnem?

- Greg nie oddzwonił, ale rozmawiałam z Aaronem. Przyjdzie o dziesiątej, a jest dopiero ósma. Zdążymy obrócić.

- Powiedziałaś Aaronowi o Crystal?

- Tak, dwadzieścia minut temu. Był wstrząśnięty.

- Wyobrażam sobie. Więc czemu czekać do dziesiątej na rozmowę z nim?

- Jest w pracy i chciał załatwić kilka spraw. Uznałam, że najlepiej, jak sam powie, kiedy może przyjść, potraktować go

jak sprzymierzeńca, a nie podejrzanego, chociaż jest na tej liście. Mundurowi obserwują i jego mieszkanie, i mieszkanie Grega, bo nie można wykluczyć, że któryś z nich postanowi wziąć nogi za pas. Wszystko jest pod kontrolą. – Przewiesiła torebkę przez ramię. – Gotowy?

Oliver jednym haustem dopił latte.

– A niech cię, Marge. Od rana uwijasz się niczym pracowita pszczołka. Jak możesz funkcjonować przy tak małej ilości snu?

– W ogóle się nie kładłam. Cholernie ciężko się obudzić po trzech godzinach snu, więc wolałam nie ryzykować. I zrobiłam coś pożytecznego. Ustaliłam, gdzie mieszka matka Crystal. Można by pomyśleć, że nietrudno będzie znaleźć kobietę, która się nazywa Pandora Hurst, ale zajęło mi to prawie godzinę. Zadzwoiłam do niej o szóstej rano. U niej była już ósma. Mieszka w Missouri.

– Nie jest to najmilszy sposób rozpoczęcia dnia.

– Okropny, ale ktoś musiał to zrobić. Przygotowałam też sześć zdjęć dla Yvette Jackson, wśród nich jedno przedstawia Chucka Tinsleya. Zajęło mi to kolejną godzinę.

– Mam nadzieję, że jeszcze nie zadzwoniłaś do Yvette Jackson.

Marge spojrzała na zegarek.

– Zrobię to, kiedy będziemy jechać do mieszkania Mandy. Chodźmy.

– Nie jesteś wykończona?

– Rozruszałam się kawą i red bullem. Gdybym teraz kopnęła w kalendarz, jestem pewna, że moje serce biłoby

jeszcze wiele godzin po mojej śmierci – niczym u żaby ze zniszczonym mózgiem. Ale przyznaję, że mogę mieć trochę gorszy refleks. – Wręczyła mu kluczyki. – Więc bądź tak dobry.

- Dzięki, że zajęłaś się wszystkim. – Schował kluczyki do kieszeni. – Jestem twoim dłużnikiem. Co powiesz na kolację dziś wieczorem?

- A co powiesz na to, żebyś powstrzymał się od narzekania przez cały jeden długi dzień?

Oliver pogroził jej palcem.

- Nie przeciągaj struny.

Jedno nazwisko się wyróżniało: Paresh Singh Rajput. Przez dwa lata pracował jako chirurg sercowo-naczyniowy. Obejmowało to okres, kiedy Gabe miał dwanaście lat. Imię dosłownie znaczyło „królewski syn” i nadawano je w rodach rycerskich. Rodzina królewska, w której synowie nosili to imię, między IX a XI wiekiem władała szeregiem księstw. Obecnie w Indiach mieszkało około pięciu milionów radżputów, głównie w środkowej części stanu Uttar Pradeś, ale również na północy.

Z informacji, do jakich dotarł Decker w internecie, nie wynikało, czy ojciec Rajputa był maharadzą, bo większość artykułów dotyczyła osiągnięć naukowych doktora Rajputa, których miał sporo na swoim koncie. Był wybitnym chirurgiem, ale poświęcał również dużo czasu na pomoc dla biednych. Aktywnie działał też w organizacji Lekarze bez Granic.

Z danych biograficznych Decker dowiedział się, że Rajput

był po pięćdziesiątce, miał dwóch dorosłych synów, którzy też byli lekarzami. Z dalszych informacji wynikało, że żona Rajputa, Deepal, zmarła trzy lata temu, czyli mniej więcej wtedy, kiedy podjął pracę w Stanach. Aktualnie nie był z nikim związany.

Deckerowi udało się ściągnąć kilka zdjęć Rajputa. Przedstawiały dobrze zbudowanego mężczyznę o czekoladowej skórze, cienkim nosie, pełnych ustach, krzaczastych brwiach, czarnych oczach i bujnych szpakowatych włosach. Nosił idealnie skrojone garnitury, ale również tradycyjne stroje hinduskie. Na palcach błyszcząły duże kamienie. Były wystarczająco duże, by Decker dostrzegł je na zdjęciach. Można przypuszczać, że człowiek, który tak elegancko się ubiera i poświęca tyle czasu tym, którym nie poszczęściło się w życiu, nie musi się martwić o pieniądze.

Te informacje pozwalały na snucie ciekawych teorii, jeśli Terry nadal żyła. Nietrudno sobie wyobrazić, że Terry po trwającym wiele lat związku z psychopatą i człowiekiem agresywnym, wreszcie znalazła zbawcę w osobie bogatego starszego wdowca, nie tylko wybitnego lekarza, ale i dobroczyńcy osób uciskanych, którym nie szczędził pieniędzy, wiedzy i swoich wpływów.

Dlatego równie łatwo sobie wyobrazić, że doktor Paresh Singh Rajput przychodzi na ratunek damie w opałach. Po prostu bogaty, starszy, samotny wdowiec oswobadza błyskotliwą i zachwycającą kobietę. Terry była nie tylko olśniewająca. Odznaczała się urodą, jeśli można tak to nazwać, „skrzywdzonej kobiety”. Na jej widok nieodmiennie

miękkie serca wszystkich mężczyzn, ale jej wyjątkowość polegała na tym, że nigdy nie popisywała się tym, co było w niej najbardziej atrakcyjne.

Nie byłoby dziwne, gdyby razem pojechali do Indii, gdzie Terry rozpoczęła nowe życie.

Jeśli tak przedstawiała się sytuacja, Decker nie miał tu nic więcej do roboty. Może Donatti nie przestanie jej szukać, ale nie zamierzał w kraju, który liczył ponad miliard mieszkańców, szukać kobiety, która chciała zniknąć.

W obu scenariuszach, z Terry żywą czy martwą, Gabe nadal pozostawał bez matki. Biedaczysko. Jeszcze nie skończył piętnastu lat, a już został pozostawiony samemu sobie. Po rodzicach odziedziczył inteligencję, urodę i talent, ale ani ojciec, ani matka nie zapewnili mu poczucia bezpieczeństwa. Porzucili go, oddając pod opiekę obcych ludzi.

To wystarczy, żeby mieć ochotę skrócić komuś kark.

- Nie odbiera telefonów, w garażu nie ma samochodu - przez komórkę Marge powiadomiła Deckera. - Mamy się włamać do środka czy nie?

- Jesteście pewni, że miała stawić się dziś w pracy? - spytał Decker.

- Tak, jeśli wierzyć przełożonej pielęgniarek. Jest zaniepokojona.

- Próbowaliście skontaktować się z jej rodzicami?

- Zostawiłam wiadomość matce, ale nie oddzwoniła.

- Kiedy ostatni raz do niej dzwoniłaś?

- Dziesięć minut temu.

- A co z ojcem?

- Nie mam jego numeru, w ogóle nic mi o nim nie wiadomo.

- Przyjaciółki?

- Wiem tylko o Adriannie. Hilly nie okazała się pomocna pod tym względem.

- Rozumiem. - Decker zastanawiał się przez chwilę. - Nie wiem, co ją łączyło z Crystal Larabee, ale była jedną z ostatnich osób, które widziały Adriannę żywą. Włamcie się do jej mieszkania.

- Co mamy zrobić, jak dostaniemy się do środka?

- Rozejrzyjcie się. Może już sam wygląd mieszkania coś wam powie.

- Trochę to potrwa, a za pół godziny ma się stawić na posterunku Aaron Otis. Chcesz go przesłuchać?

- Jasne. Czego się dowiedzieliście, kiedy z nim rozmawialiście?

Marge dokładnie zrelacjonowała rozmowę, a na koniec stwierdziła:

- Czyli miał romans z Adrianną i zna Crystal, choć nie wiemy, jak dobrze. Wiemy, że Greg Reyburn przyjaźnił się z Crystal. Zadzwoiłam do niego i zostawiłam wiadomość, lecz do tej pory nie oddzwonił.

- Jeśli dasz mi jego numer, zadzwonię ponownie.

- Okej. - Podyktowała numer. - Kiedy ostatni raz skontaktował się ze mną Tim Brothers, który obserwuje dom, samochód Reyburna wciąż stał na parkingu. Mogę poprosić Tima, żeby poszedł na górę i zapukał do mieszkania

Reyburna.

- Niezły pomysł. Sama decyduj o dalszym postępowaniu.

- Dobrze. - Milczała przez chwilę. - To wszystko jest bardzo dziwne, Pete. Adrianna pożyczła pieniądze Garthowi, żeby mógł wyjeżdżać bez niej na różne eskapady. Potem wściekała się na niego i pieprzyła się z innymi facetami, nie wyłączając Aarona Otisa, a może i Grega Reyburna.

- Zapytaliście go, czy sypiał z Adrianną?

- Porucznik chce wiedzieć, czy Greg Reyburn przyznał się, że sypiał z Adrianną. - Oddała komórkę partnerowi.

- Reyburn twierdzi - powiedział Oliver - że nigdy nie pieprzył Adrianny.

- A Crystal Larabee? - spytał Decker.

- Zdarzały się telefony z podtekstem erotycznym, ale przede wszystkim byli przyjaciółmi.

- Czyli powtórzę, co zapamiętałem. Garth i Aaron pieprzyli Adriannę, Greg pieprzył Crystal, ale Adrianny nie. Czy Garth pieprzył Crystal?

- Nie wiemy.

- A Aaron?

- Nie wiemy.

- Jak się do tego wszystkiego ma Mandy Kowalski?

- Mandy pracowała z Garthem - wyjaśnił Oliver. - Poskarżyła się, że ją nachodził.

- Wszystko zapisałem - powiedział Decker. - Spróbuję to przedstawić w tabelce. - Umilkł na chwilę. - Jeśli wierzyć Kathy Blanc, Mandy poznała Adriannę z Garthem, czyli

mamy kolejne powiązanie. Więcej tego, niż sądziłem. - Przerwał na moment. - No dobrze, pogadam z Aaronem i przekonam się, co ma nam do powiedzenia.

- Byłoby nam na rękę, gdyby się przyznał, że sypiał z Crystal.

- Masz rację. Nie, żeby prawo zabraniało uprawiać seks z dwiema kobietami, które zostały zamordowane, ale po przyjrzeniu się tabelce mogę ci powiedzieć, że nie za dobrze to wygląda na papierze.

Być może świat jest płótnem malarskim, ale Aaron Otis wykorzystywał w tym charakterze własne ciało. Był wytatuowany od szyi w dół, więc twarz wyglądała jak nudna maska. Jasnobrązowa skóra, jasnobrązowe włosy, jasnobrązowe oczy i masa zmarszczek, co świadczyło, że sporo czasu spędza na świeżym powietrzu. Włosy kręcone i zmierzwione. Innymi słowy, Aaron Otis przypominał wielokolorowego lwa.

- To czysta paranoja. - W drżących dłoniach ścisnął kubeczek z kawą. - Jakiś nieprawdopodobny zbieg okoliczności.

- Zbieg okoliczności? - powtórzył Decker.

- Może nie taki nieprawdopodobny.

- Obie były pana przyjaciółkami?

- Raczej znajomymi.

Decker miał wiele znajomych, ale uprawiał seks tylko z żoną.

- Próbuję znaleźć Grega Reyburna. Nie otwiera drzwi, w telefonie od razu włącza się poczta głosowa. Nie wie pan,

gdzie on może być?

- Wczoraj wieczorem poszliśmy się zabawić. - Aaron potarł twarz. - Wszedłem z baru o pierwszej.

- Co to był za bar? - Decker wyjął notes.

- Wild Card... Przy Cahuenga, zaraz za Venturą.

- Rozumiem. Czyli wszedł pan o pierwszej. A Greg?

- Nie wiem. Podrywał jakąś dziewczynę, więc może poszedł do niej.

- Ale samochód Reyburna stoi na parkingu przed jego domem.

- Wczoraj ja prowadziłem. Nim opuściłem bar, spytałem Grega, jak dostanie się do domu, a on na to, że sobie poradzi. Więc może odsypia noc u kogoś. Nie jest jeszcze tak późno.

Było dziesięć po dziesiątej. Decker od czterech godzin był na nogach.

- Cofnijmy się nieco w czasie. Wróćmy do początku waszej wycieczki.

- Ma pan na myśli mój wypad z Gregiem i Garthem?

- Tak, właśnie o tym chcę porozmawiać.

- To dawne dzieje.

- Nie upłynął jeszcze tydzień.

Aaron początkowo się wahał, ale w końcu opowiedział wszystko, właściwie powtarzając to, co już powiedział Marge. Kiedy szykowali się do wyjazdu pod namiot, zadzwoniła do niego Adrianna. Aaron przekazał Garthowi, że Adrianna z nim zrywa. Garth wpadł w panikę, pojechał taksówką na lotnisko w Reno i wrócił do Los Angeles, żeby porozmawiać z Adrianną, natomiast Aaron i Greg

kontynuowali wyprawę. Ale się okazało, że w górach jest zbyt zimno, więc ją przerwali.

- Na ziemi leżał śnieg - wyjaśnił Aaron. - Mieliśmy ze sobą polary, ale nie byliśmy przygotowani na aż tak niskie temperatury. Więc następnego dnia wróciliśmy.

- Jak daleko ujechaliście samochodem?

- Pewnie z... Nie wiem dokładnie, ale gdzieś około trzystu pięćdziesięciu kilometrów. Zajął nam to cały dzień, bo drogi są tam bardzo kręte.

- Czy na trasie są stacje benzynowe?

- Tak, ale niewiele. Trzeba uważać, żeby nie zostać z pustym bakiem.

- Zatrzymywaliście się, żeby zatankować?

- Jasne.

- Gdzie?

- Na kilku stacjach. Powiedziałem pani detektyw, że za wszystko płaciłem kartą kredytową. - Przerwał na moment. - Byłem daleko stąd, kiedy Adrianna poniosła śmierć. Świadczy o tym moja karta kredytowa.

- Z całą pewnością stanowi to dowód, że pańska karta kredytowa była daleko stąd. Czy ktoś was widział na stacjach benzynowych?

- Jasne. Weszliśmy do sklepu spożywczego i kupiliśmy coś do jedzenia. Zapamiętałem ekspedientkę. Blond włosy i brązowe oczy, w nosie kolczyk. Naprawdę niczego sobie. Miała na imię Ellie lub jakoś tak.

Decker wiedział, że w większości sklepów na stacjach benzynowych są kamery. Gdyby udało mu się ustalić, gdzie

Otis płacił kartą kredytową, mógłby dostać kopię zapisu wideo, o ile personel sklepu nie skasował nagrania.

- Zatrzymaliśmy się tam również w drodze powrotnej - ciągnął Aaron. - Akurat pracowała ta sama ekspedientka.

- Czy mogę sprawdzić paragony, żeby ustalić nazwę tego sklepu?

- Jasne. Może pan robić, co tylko pan zechce, żeby się upewnić, że byłem daleko od Los Angeles.

- Tak, tak... Jeśli wszystko się potwierdzi, zyskamy poważną przesłankę, że nie był pan bezpośrednio zaangażowany w zabójstwo Adrianny. Więc przejdźmy do Crystal.

- Nie przyjaźniłem się z Crystal. Oczywiście znaleźliśmy się, ale była przyjaciółką Grega, nie moją.

Decker uniósł wzrok znad notesu i spojrzał Aaronowi w oczy.

- Zapytam o coś pana i oczekuję szczerzej odpowiedzi. Jeśli stwierdzę, że mnie pan okłamał, przestanę z taką wielkodusznością traktować pańskie oświadczenia. Zrozumiał mnie pan?

- Nie okłamuję pana. - Aaron odstawił kubek.

- Jeszcze nie zadałem panu pytania. - Decker przeszył go wzrokiem. - Czy kiedykolwiek uprawiał pan seks z Crystal Larabee?

- Tak... - Aaron umknął wzrokiem. - Ale dawno, jakieś dwa miesiące temu.

Decker musiał stłumić uśmiech.

- Według mnie to wcale nie tak dawno. Jak długo trwał

wasz romans?

- Nie mieliśmy romansu. Crystal przyszła do Grega, kiedy akurat byłem u niego. Greg musiał iść do pracy, a... No i koniec końców znaleźliśmy się w łóżku.

- Jak długo trwał wasz romans?

- Już mówiłem, to nie był żaden romans. Spaliśmy ze sobą może z sześć razy. Naprawdę nie traktowaliśmy tego poważnie.

- Ostatni raz uprawialiście seks dwa miesiące temu?

- Może nawet trzy.

- Dlaczego przestaliście ze sobą sypiać?

- Nie tyle przestaliśmy, co po prostu zabrakło okazji. To nie było tak, że wydzwaniałem do Crystal i namawiałem na seks. Czasami spotykaliśmy się przypadkiem i szliśmy do łóżka. - Potarł twarz. - Słowo daję, nie widziałem się z nią przynajmniej od dwóch tygodni.

- No dobrze - powiedział Decker. - Proszę mi opowiedzieć, co pan robił wczoraj, od rana do wieczora.

- Wstałem koło siódmej... Poszedłem do pracy. - Wzruszył ramionami.

- O której udał się pan do pracy?

- Około ósmej.

- Proszę mówić dalej.

- Cały dzień spędziłem w robocie. Wróciłem do domu około piątej. Zamówiłem pizzę wegetariańską w Muncher. Mniej więcej o wpół do dziewiątej wybrałem się do Wild Card. - Urwał. - I tyle.

- Czy dzwonił pan do kogoś, kiedy był pan w domu?

- Do Grega, a także do Gartha, ale nie odebrał. Zadzwoiła moja matka. Nic nadzwyczajnego.

- Dzwonił pan z komórki czy z telefonu stacjonarnego?

- Mam tylko komórkę.

- Mogę sprawdzić billingi?

- Oczywiście, nawet nalegam.

- Jak to ująć... - zastanowił się Decker. - Odnoszę wrażenie, że często uprawia pan niezobowiązujący seks. Dawniej z Adrianną, później z Crystal Larabee.

- Czy to coś złego? - spytał Aaron.

- Nie przeszkadzało panu, że sypiał pan z dziewczyną Gartha?

- Nie traktowaliśmy tego poważnie, no i spotykaliśmy się tylko wtedy, kiedy Gartha nie było w mieście. Dużo czasu spędzał w Las Vegas.

- Bez Adrianny.

- Tak, bez niej. Trochę to dziwne.

- Dlaczego?

- Że finansowała jego wyjazdy do Las Vegas. Przecież wcale jej się to nie podobało, skarżyła mi się. Oczywiście spytałem ją, dlaczego to toleruje.

- Co odpowiedziała?

- Że faceci muszą mieć trochę swobody, w przeciwnym razie mają pretensje. Cóż, w sumie jest w tym sporo racji. Więc dawała mu tę swobodę, a potem była wściekła na Gartha, miała do niego pretensje. Kiedy uprawialiśmy seks, mówiła, że nie robiłaby tego ze mną, ale Garth tak często wyjeżdża... Spotykała się też z innymi facetami. Wiem, że

sypiała nie tylko ze mną.

- Z kim jeszcze?

Aaron zorientował się, że palnął głupstwo.

- Znaczący się sama mi mówiła, że spotyka się z innymi, to wszystko - nieudolnie próbował się wycofać.

- Nie odpowiedział pan na moje pytanie. Z kim jeszcze sypiała? I proszę nie wciskać mi kitu.

Aaron uniósł ręce.

- No więc tak, spała z Gregiem. Ubóstwiała robić to z przyjaciółmi Gartha, jakby w ten sposób się na nim mściła.

- Czy Garth wiedział o tym?

- Coś podejrzewał, ale za bardzo się tym nie przejmował.

- Lecz według pańskich słów na tyle się przejął, że zrezygnował z wyjazdu z przyjaciółmi i poleciał, by spotkać się z Adrianną.

- To prawda. Spanikował, kiedy powiedziała, że z nim zrywa. Trochę mnie to zdziwiło.

- Dlaczego?

- Bo nie sprawiał wrażenia, że tak bardzo mu na niej zależy.

- Może nie zależało mu na niej, tylko się bał, że straci bank udzielający nieoprocentowanych pożyczek.

- Możliwe - po chwili milczenia odparł Aaron. - Często jeździł do Las Vegas.

- Wiem, że bywał również w Reno. Jest hazardzistą?

- Garth? - Aaron się roześmiał. - Gra w blackjacka, stawiając dwa dolary, i na jednoręcznych bandytach, wrzucając ćwierćdolarówki. Ciągle się z niego nabijam. Powiedziałem

mu kiedyś, że jest jedynym znanym mi facetem, któremu pięć dych wystarcza na cały weekend.

- Dlaczego więc tak często jeździ do Las Vegas, skoro nie jest hazardzistą?

- Żartuje pan sobie ze mnie, co? - Gdy Decker nie odpowiedział, Aaron dodał: - Jest takie powiedzenie: Co się zdarzy w Las Vegas, pozostaje w Las Vegas.

- A co takiego dzieje się w Las Vegas?

- Nic nadzwyczajnego. - Jednak Aaron sprawiał wrażenie skrępowanego. - Po prostu Garth lubi kobiety. Zalicza je, jeśli rozumie pan, co mam na myśli.

- Jakiego typu to kobiety?

- Właśnie w tym rzecz, że lubi wszystkie, młode, stare, czarne, białe, żółte, grube, chude, brunetki, blondynki, rude, łyse. Kiedyś powiedział, że jego życiowym celem jest zaliczenie wszystkich rodzajów kobiet, jakie są na kuli ziemskiej. Odparłem, że to nierealne, bo każda kobieta jest inna, a on stwierdził, że właśnie o to chodzi. Nigdy nie zaliczy wszystkich, ale przynajmniej tyle, ile da radę.

- Co pan na to odpowiedział?

- Nie pamiętam, ale pewnie wybuchnęliśmy śmiechem, bo niby co innego? Panie poruczniku, jesteśmy facetami, a kiedy facet jest młody i bez zobowiązań, to po prostu robi takie rzeczy, a już szczególnie w Las Vegas.

- Czy Garth jest dewiantem?

- Garth zawsze jest gotów spróbować czegoś nowego. - Aaron zacisnął usta. - Może mnie pan uznać za staroświeckiego, ale kręci mnie, kiedy dziewczyna ma

orgazm, i dbam, żeby go miała. A Garthowi jest to obojętne. Kilka razy mi mówił, że lubi to robić od tyłu. Wyjaśnił, że mężczyzna nie musi wtedy patrzeć dziewczynie w oczy. Podkreślił, że podczas seksu analnego facet zawsze ma całkowitą kontrolę.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY DRUGI

Mandy Kowalski nie miała serca do urządzania mieszkania.

Wyglądało, jakby przygotowała je do sprzedaży po najkorzystniejszej cenie. Urządzone zostało ze smakiem, ale standardowo, wręcz pospolicie, bez zaangażowania wyobraźni. Kolory były stonowane. Na umeblowanie składały się kanapa obita ciemnoszarym syntetycznym zamszem, stolik kawowy z drewna tekowego, fotel i otomana. Pod ścianą ustawiono stół i cztery tapicerowane krzesła. Biblioteczka mieściła książki w miękkiej oprawie, płyty DVD i książki poświęcone pielęgniarstwu. Tu i ówdzie na półkach stały świeczki i kilka bardzo ostrych zdjęć, w swoisty sposób ukazujących przyrodę. Rzucał się w oczy brak przedmiotów osobistych, świadczących o tym, że Mandy miała matkę, ojca, rodzeństwo czy przyjaciół.

W malutkiej kuchni panował idealny porządek - nieskazitelnie czysty zlewozmywak, czyste blaty szafek.

Oliver otworzył lodówkę.

- W szufladzie na warzywa i owoce jest torba sałaty. - Wyjął ją i przyjrzał się zawartości. - Wciąż świeża. - Obejrzał karton z mlekiem. - Data ważności mija za tydzień.

- Jest tam coś jeszcze? - spytała Marge, sprawdzając szafki.

- Kawa, przyprawy, opakowanie mortadeli. - Zamknął lodówkę. - Nie za bardzo jest z czego przygotować solidny

posiłek. Może stołuje się w szpitalu.

- Z tego, co nam powiedziano, spędza tam mnóstwo czasu. Zadzwońeś jeszcze raz do szpitala, żeby się upewnić, czy się nie pojawiła w pracy?

- Owszem, dzwoniłem, i nie, nie pojawiła się. - Oparł się o lodówkę. - Zniknęła niespełna dobę temu. Nie można tego uznać za zaginięcie, tym bardziej że nikt tego nie zgłosił.

Marge odparła po chwili namysłu:

- Mandy była przy końcu naszej listy podejrzanych, póki się nie okazało, że nas okłamała. No i jeszcze to nagranie. Co robiła w miejscu, gdzie podjeżdżają karetki pogotowia?

- To na pewno ona?

- Tak przypuszczam, chociaż brak nam twardego dowodu. - Wzruszyła ramionami. - Mamy kilka powodów, żeby z nią porozmawiać, więc chociaż nikt nie zgłosił jej zaginięcia, i tak musimy ją odszukać.

- Cóż, gdziekolwiek jest, jej mieszkanie nie da nam odpowiedzi na żadne pytania.

- Zostały nam jeszcze łazienka i sypialnia. - Marge weszła do jedynej łazienki w mieszkaniu. W niej też było czysto i schludnie. W apteczce nic nadzwyczajnego - ibuprofen, paracetamol, bandaże, neomycyna, jednoprocetowa maść kortyzonowa, pasta do zębów, nici dentystyczne i pilniczek do paznokci. Jedyne, co zwróciło uwagę Marge, to fakt, że prawie wszystkie specyfiki w apteczce były próbkami. Jeden z plusów pracy w szpitalu, czyli bezpłatne medykamenty. Ręczniki wisiały równiutko, wanna i sedes były czyste.

Sypialnia była naprawdę spora, z dużym oknem i drzwiami,

które prowadziły na mały balkon, z którego roztaczał się widok na dachy sąsiednich domów. Łóżko było posłane, na nocnych szafkach stał jedynie budzik i leżała ładowarka do telefonów. Ubrania w szafie rozmieszczono kolorami. Marge najpierw obejrzała ubrania na ramiączkach, potem zajrzała do szuflad komody, w których panował taki sam ład jak w szafie.

- Jeśli gdzieś wyjechała, nie zabrała z sobą wielu ubrań.

Oliver, który zaglądał pod łóżko, podniósł się z kolan.

- Nie znalazłem ani jednej walizki. Przełożona pielęgniarek powiedziała, że Mandy planowała krótki urlop. Może postanowiła go sobie przedłużyć?

- I nie zadzwoniła do szefowej?

- No tak, z opisu innych osób nie wynika, żeby była osobą działającą spontanicznie.

- Może ma swoją ciemną stronę. - Marge zaczęła mówić jakby do siebie: - No dobrze, ciemna strona. Gdzie ja bym to ukryła? Gdyby chodziło o narkotyki, może w zamrażarce albo rezerwuarze...

- Sprawdź - powiedział Oliver, ale wrócił po kilku minutach z pustymi rękami. - Tylko marnujemy czas. Mógłbym poprosić o billingi, ale ponieważ nie zgłoszono zaginięcia, nie wiem, czyby mi je udostępniono.

- Czy ma konto na MySpace albo na Facebooku? Czasami umieszczają tam informacje, które okazują się bardzo pomocne.

- Nie wiem. Jestem na to za stary.

- Chcesz powiedzieć, że wcale ci nie zależy na tysiącu

przyjaciół na Facebooku?

- Wprost przeciwnie, chciałbym się pozbyć kilku, których już mam. Zadzwoń do porucznika i spytaj, co mamy dalej robić.

Ale Marge nie była jeszcze gotowa do opuszczenia mieszkania. Wróciła do garderoby Mandy, opukała ściany i podłogę.

- Czego szukasz? - spytał Oliver.

- Może sejfu... - Westchnęła. - Scotty, tak dla spokoju sumienia sprawdzę coś jeszcze.

- Jasne, czemu nie. Ja jeszcze raz rozejrzę się w pokoju dziennym.

Marge znów zaczęła grzebać w ubraniach Marge. Komoda była na tyle niska, że od schylania rozbolełyby ją plecy, a gdyby uklękła, nie mogłaby porządnie sprawdzić górnej szuflady. Postanowiła więc wyjąć je wszystkie, położyć na łóżku i bez zbędnych utrudnień sprawdzać zawartość, zaczynając od dolnej, w której były grube swetry i bluzy. Mandy była chorobliwie pedantyczna, do wszystkich swetrów i bluz włożyła bibułki, żeby się nie pogniotły. Ubrania elektryzowały się, kiedy Marge je wyjmowała, rozkładała, a następnie znów składała. Kiedy wzięła zielony sweter robiony ścięciem warkoczowym, wyczuła coś twardego w środku.

Okazało się, że to wzmocniona torba plastikowa.

- A co to takiego? - Przyjrzała się zawartości torby. Potem oczy zrobiły jej się wielkie. - Oliver? - Cisza. - Ej, Scott.

- Czego? - zawołał z drugiego pokoju.

- Przyjdź tu! Znaleźliśmy jej ciemną stronę.

Wpadł do sypialni, kiedy Marge rozkładała na łóżku zdjęcia. Przedstawiały Mandy na czworakach, w czarnych kabaretkach, pasie do pończoch, skórzanym gorsecie. Na szyi miała nabijaną ćwiekami obrozę. Mężczyzna, który związał ją smyczą, miał na twarzy maskę. Był bez koszuli, więc można było podziwiać imponujący kaloryfer. Chociaż zasłonił twarz, można było ustalić jego tożsamość na podstawie licznych tatuży. Nie przypominały tatuży Aarona Otisa, lecz z całą pewnością trzeba będzie jeszcze raz uważnie przyjrzeć się ramionom.

Razem z Oliverem widziała mnóstwo tego typu zdjęć. Na ogół widać było, że to tylko głupie zabawy dorosłych, ale nie tym razem. Już sama poza świadczyła, że nie jest to niewinna zabawa, bo coś w minie Mandy mówiło, że nie chodzi o zwykłe igraszki. Obrazu całości dopełniała dziewięciorzemienna dyscyplina, którą mężczyzna ścisnął w prawej dłoni.

- Szybkie pytanie - odezwała się Marge.

- Mów.

- Zdjęcie jest bardzo ostre, prawda?

- Tak, widać wszystkie szczegóły. Dlaczego zwróciło to twoją uwagę?

- Nie wygląda mi to na zdjęcie zrobione aparatem z samowyzwalaczem umieszczonym na trójnogu. Zadaję sobie więc pytanie: kto je pstryknął?

Rozległo się pukanie do sali przesłuchań, a po chwili do środka weszła Wanda Bontemps.

- Sierżant Dunn na trzeciej linii. Mówi, że to ważne.
Decker skinął głową i wstał.

- Przepraszam na chwilę, Aaronie. Może byś się czegoś napił? Kawy, wody sodowej?

- Może być woda.

- Zaraz mu przyniosę - powiedziała Wanda.

Decker zamknął za sobą drzwi i odebrał telefon w gabinecie.

- Co nowego?

- Czy pojawił się Aaron Otis?

- Właśnie kończę go przesłuchiwać. Dlaczego pytasz?

- Czy mógłbyś zrobić kilka zdjęć jego ramion? - Marge wyjaśniła powód tej prośby. - Nie sądzę, że to on, ale wolę mieć pewność.

- Mogę tu go zatrzymać jeszcze przez jakieś dwadzieścia minut. Jeśli przyniesiesz zdjęcia, może rozpozna tatuaże.

- Może. A może to on, poruczniku. Zdjęcia wyglądają na pozowane, co oznacza, że ktoś je pstrykał. Jeśli Garth i Aaron wymieniali się dziewczynami, może Mandy też była jedną z nich?

- Racja. Aaron właśnie mi wyznał, że Garth lubi to robić od tyłu, bo dzięki temu ma poczucie kontroli nad sytuacją.

Marge przykucnęła i wsunęła dolną szufladę z powrotem do komody.

- Mogę ze stuprocentową pewnością powiedzieć, że facet na zdjęciach lubi mieć kontrolę nad sytuacją.

- Przyjedź tu jak najszybciej ze zdjęciami.

- A jak się wytłumaczymy z tego, że zabraliśmy osobiste

rzeczy z mieszkania Mandy?

- Prowadzimy śledztwo w sprawie dwóch brutalnych zabójstw i nigdzie nie możemy znaleźć Mandy Kowalski. Kiedy zobaczyliśmy te zdjęcia, poważnie się o nią zaniepokoiiliśmy. Grozi jej niebezpieczeństwo. Wcale nie kłamię.

Jedyne, czego pragnął, to nie zwracać na siebie uwagi.

Siedząc w gabinecie lekarskim, uświadomił sobie, że tylko sprawa kłopoty.

- Z moją ręką wszystko w porządku, pani Decker. Całe to zamieszanie jest niepotrzebne.

- Mów do mnie Rina. I skąd wiesz, co jest potrzebne, a co nie? - przejęła inicjatywę.

Gabe miał na sobie białą koszulę i dżinsy, a na dużych stopach buty sportowe. Wyglądał na zmęczonego, oczy same mu się zamykały. Czoło miał spocone, włosy wpadały do oczu i opadały na ramiona. Miał ładne włosy, grube i błyszczące.

Poruszył palcami.

- Wszystkie kości są całe.

- Poza kośćmi są nerwy i ścięgna. Byłabym bardzo niespokojna, gdybym nie kazała cię zbadać.

- Dlaczego miałyby się pani denerwować? Przecież nic nie jest mi pani winna.

Rina obrzuciła go surowym spojrzeniem.

- Nie jestem twoją matką. Nie jestem twoim ojcem. Nie jestem twoją prawną opiekunką. Ledwie cię znam - wyrecytowała. - Ale z jakiegoś powodu opatrność rzuciła mi ciebie na moje barki. I będę się tobą opiekować, póki nie

zostanę zwolniona z tego obowiązku.

- Mój tata gdzieś tu się kręci. Jestem pewien, że podpisze papiery, żebym od nowego roku szkolnego uczył się w szkole z internatem.

- Chcesz tego?

- Nie wiem. - Umilkł. - Trochę za późno, żeby starać się o przyjęcie do jakiejś szkoły, ale jestem pewien, że wszędzie mnie przyjmą. Talent otwiera wszystkie drzwi.

- Myślisz o nauce w jakiejś konkretnej szkole?

- To bez znaczenia. Powiedziałem panu porucznikowi, że jak będę miał szesnaście lat, mogę się starać o przyjęcie do szkoły Juilliarda, więc muszę gdzieś przeczekać jeden rok. Jeśli chodzi o szkoły średnie, wszystkie są takie same. - Gabe się skrzywił. - Ale dobrze byłoby znaleźć nauczyciela gry na fortepianie.

- Skoro go potrzebujesz, to z kim należałoby się skontaktować w tej sprawie?

- Jest dwóch naprawdę dobrych na Uniwersytecie Południowej Kalifornii. Będę musiał wziąć udział w przesłuchaniu, ale zaczekam, aż odzyskam pełną sprawność w lewej ręce.

- No dobrze. Czyli najpierw zajmijmy się ręką, a potem zobaczymy.

- Naprawdę doceniam, że pozwolili mi państwo zostać. - Przerwał na moment, odgarnął włosy z oczu. - Lubię ciocię Missy. Jest bardzo miła, ale strasznie niedojrzała, no i okropny z niej flejtuch. A ja wręcz chorobliwie reaguję na bałagan.

- Pokój moich synów nigdy nie wyglądał tak schludnie - pogodnie skomentowała Rina. - Może udałoby ci się odmienić sypialnię mojej córki?

- Wolę nie wchodzić do pokoju Hannah - stwierdził ze śmiertelną powagą. - Denerwuję się, gdy tam jestem.

Pielęgniarka wywołała nazwisko Gabe'a, a kiedy wstał, zwróciła się do Riny:

- Może pani też wejść razem ze mną, jeśli sobie pani życzy.

Rina wzruszyła ramionami i spojrzała na Gabe'a.

- Decyzja należy do ciebie.

- Jest mi to obojętne - odparł Gabe. - Chodzi tylko o rękę.

Po chwili zajęli miejsca w gabinecie lekarskim. Dwadzieścia minut później pojawił się Matt Birenbaum, niski mężczyzna po pięćdziesiątce z szorstkimi, siwymi włosami i kiepską zaczeską.

Rina wstała na jego widok.

- Proszę usiąść - zareagował natychmiast. - Jak tam rodzina? Co u porucznika?

- Nic nowego, zapracowany. Jak się czują chłopcy, Matt?

- Na jesieni Josh rozpoczyna studia medyczne.

- *Mazzal tow*. Widocznie spodobało mu się to, co widział na co dzień.

- Próbowałem go zniechęcić do tej decyzji, ale nie chciał mnie słuchać. - Uniósł wzrok znad kwestionariusza, który Gabe wypełnił w poczekalni. - Rina powiedziała mi, że jesteś pianistą?

- Kiedy mam wyjątkowo dobry dzień.

- I uszkodziłeś sobie dłoń podczas bójki? - Doktor

Birenbaum spojrział na niego z dezaprobatą.

- Napadł go jakiś bandyta - wtrąciła Rina.

- Ach, to straszne. - Lekarz uniósł wzrok. - Czy ucierpiała tylko twoja ręka?

- Tak. Zadałem mu kilka ciosów pięścią. Przyznaję, trochę mnie poniosło.

- Cóż, dzięki Bogu, że skończyło się na pięściach, a nie na broni palnej. - Gabe nie wyprowadził go z błędu. - Nie masz innych problemów ze zdrowiem?

- Nic mi nie dolega poza krostami. Ostatnio nie mogę sobie z nimi poradzić.

Doktor przyjrzał się czołu chłopaka.

- Byłoby ci łatwiej z nimi walczyć, gdybyś obciął włosy.

- Pewnie tak.

- Mogę ci przepisać maść. - Odłożył kartę informacyjną. - Szybko cię zbadam.

Zmierzył ciśnienie i puls, posłuchał serca, obejrzał oczy, uszy i gardło. Rina była pod wrażeniem jego skrupulatności.

- W porządku, młody człowieku - oświadczył w końcu Birenbaum. - Pozwól, że obejrzę rękę.

Gabe wyciągnął lewą dłoń, a doktor przyjrzał się jej.

- Masz duże dłonie. Ile mierzysz wzrostu?

- Metr osiemdziesiąt trzy.

- A ile masz lat?

- Prawie piętnaście.

- Czyli jeszcze trochę urośniesz. - Obejrzał dłoń z obu stron. - No tak, stłuczona. - Zgiął palce, poruszył ręką w nadgarstku. - Ale wszystkie kości całe. - Naciskał

i ciągnął, starając się znaleźć szczególnie bolące miejsca, obserwując, kiedy chłopak się krzywi. - Odczuwasz drętwienie?

- Nie.

- Boli cię, kiedy wyciągasz ramię albo palce?

- Nie.

- Próbowalesz grać na fortepianie?

- Nie, odkąd uraziłem się w rękę. - Przerwał na moment. - Właściwie od pięciu dni nie dotykałem klawiatury, jeśli nie liczyć akompaniowania szkolnemu chórowi.

Birenbaum uśmiechnął się.

- Specjalizuję się w leczeniu zawodowych muzyków. Mam pokój, w którym trzymam instrumenty muzyczne, między innymi fortepian z elektronicznymi miernikami. Kiedy muzyk gra, informacje na ekranie dają mi pojęcie o stanie dłoni i palców, o mocnych i słabych stronach. Jeśli jesteś poważnym muzykiem, chciałbym poobserwować twoje dłonie, kiedy będziesz grał.

- Nie ma sprawy.

Doktor zaprowadził ich korytarzem do dźwiękoszczelnego pomieszczenia. Na ścianach wisiały skrzypce, wiolonczela, gitara, obój, saksofon i trąbka. Fortepian stał pośrodku pokoju. Był to Steinway, ale na białych klawiszach umieszczono kolorowe nalepki: na C - czerwoną, na D - niebieską, na E - zieloną i tak dalej.

- Wykorzystuję fortepian również z tymi pacjentami, którzy nie umieją grać - wyjaśnił Birenbaum. - Dlatego klawisze są oznaczone kolorami. Jeśli nie będzie cię to rozpraszać,

zagraj. Będę obok, gdzie jest aparatura pomiarowa, i posłucham twojej gry. Nie zaczynaj, póki ci nie powiem, dobrze?

- Dobrze.

Zabrał Rinę do kabiny, która przypominała reżyserkę dźwięku. Na jednym z krzeseł siedział mężczyzna po sześćdziesiątce. Był łysy, jeśli nie liczyć siwego kucyka, średniego wzrostu, miał okrągłą twarz i ciemne oczy. Birenbaum przedstawił go. Nazywał się Nicholas Mark. Wstał, by zrobić miejsce dla Riny.

- Dziękuję, postoję - powiedziała.

- Proszę usiąść.

Gdy Rina usiadła, Birenbaum pokręcił kontrolkami.

- Słyszysz mnie, Gabe? - rzucił do mikrofonu.

- Tak, bardzo dobrze.

- Zwykle proszę pianistów o wykonanie *Fantazji- Impromptu*, bo prawie wszyscy znają ten utwór, a jest wystarczająco długi, żebym mógł odczytać wszystkie parametry. Partytura jest w taborecie. Są też partytury innych utworów, jeśli ten ci nie odpowiada. Gdy zaboli cię ręka, przerwij grę.

- Dobrze.

- Partytura jest w taborecie - powtórzył.

- Znam ten utwór. - Gabe ustawił taboret tak, żeby wygodnie naciskać pedały. Zdjął okulary, potarł oczy, znów włożył okulary na nos. Przesunął dłońmi wzdłuż klawiatury. - Ładny instrument - powiedział.

- Możesz zacząć, jak tylko będziesz gotów.

Gabe nic nie odpowiedział, tylko przez kilka chwil wpatrywał się przed siebie. Potem uniósł lewą dłoń i z na wpół przymkniętymi powiekami zaczął wykonywać serię arpeggio.

Rinie opadła szczęka.

Na pięć minut i czternaście sekund przeniosła się w inny świat. Wybrała się kilka razy na koncerty muzyki klasycznej, ale ponieważ nie była zbyt muzykalna, nawet ich nie zapamiętała. Lecz przysłuchując się grze tego chłopca, poczuła się zupełnie inaczej. Nigdy wcześniej nie słyszała, żeby ktoś grał tak dobrze technicznie i z takim uczuciem.

Kiedy Gabe przestał grać, nikt się nie odezwał. W końcu Nicholas Mark powiedział:

- Matt, spytaj go, czy zna którąś z etud Chopina z opusu dziesiątego.

Birenbaum odchrząknął i powiedział do mikrofonu:

- Siła palców jest prawidłowa. Czy znasz którąś z etud Chopina z opusu dziesiątego?

- Jasne. - Gabe zastanawiał się przez chwilę. - A może zagrać którąś z etud transcendentalnych Liszta?

Gdy Mark skinął głową, Birenbaum powiedział:

- Może być Liszt.

- Albo jedną z *Grandes études de Paganini*? Na przykład *La Campanelle*? Lubię ten utwór, powinien dać panu lepsze wyobrażenie o sile mojego uderzenia.

- Powiedz mu, że gdyby poczuł ból w ręce, ma natychmiast przerwać - odezwał się Mark.

- Dobrze, Gabe, ale uważaj na lewą dłoń - przypomniał

Birenbaum. - Jeśli poczujesz ból, przestań grać. Najważniejsza jest dłoń.

- Jasne. - Gabe znów przez kilka chwil patrzył przed siebie, przesuwając taboret. Etiuda rozpoczynała się kilkoma delikatnymi uderzeniami, ale później następowała seria pasaży przypominających odgłosy dzwonków, podczas wykonywania których Gabe musiał grać prawą ręką na drugim końcu klawiatury. Potem dały się słyszeć szybkie jak błyskawica tryle, by osiągnąć punkt kulminacyjny w finale. Był to śliczny i złożony utwór muzyczny, zawierający całe spektrum emocji, ale Rina przypuszczała, że Gabe wybrał go dlatego, by popisać się wirtuozerią. Cztery minuty i trzydzieści dwie sekundy później znów oniemiała z zachwytu.

Ten klejnot powierzono jej opiece.

Gabe potarł oczy, nie zdejmując okularów.

- Trochę niepewnie zagrałem i popełniłem kilka błędów. Lewa dłoń zdecydowanie szwankuje, ale wszystko powinno wrócić do normy, prawda?

Birenbaum znów odchrząknął i rzucił do mikrofonu:

- Wszystko się zagoi. Zaraz do ciebie przyjdę, Gabe. - Zwrócił się do przyjaciela z kucykiem. - Niesamowite...

- Można tak powiedzieć. Skąd on się wziął?

Spojrzeli na Rinę.

- To długa historia.

- Co sądzisz, Nick? - spytał Birenbaum.

- Co sądzę? - Nicholas Mark wzruszył ramionami. - Chłopak jest wybitnie utalentowany.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY TRZECI

Rina po raz pierwszy zobaczyła, jak Gabe otwarcie zdradza swoje emocje. Niestety było to zdenerwowanie. Zrobił wielkie oczy, zaczął szybko oddychać. Utkwił spojrzenie w Nicholasie Marku.

- Słuchał pan mojej gry? - Spojrzał na Rinę. - Czy pani to wszystko ukartowała?

- Niby co miałam ukartować? - spytała.

- Nikt niczego nie ukartował. Akurat tu przyszedłem, żeby zbadać rękę - wyjaśnił Mark. - Doktor Birenbaum poprosił mnie, żebym posłuchał twojej gry.

- Umiem grać lepiej, niż dziś zaprezentowałem - powiedział Gabe. - Nie popisałem się. Naprawdę umiem grać lepiej. Przysięgam. Mam niesprawną dłoń. Nie, żebym się usprawiedliwiał. Po prostu wiem, że umiem grać lepiej...

- Uspokój się. - Mark położył mu dłoń na ramieniu.

- Wiem, że zrobiłem kilka błędów. To nie był mój najlepszy...

- Proszę wybaczyć moją ignorancję, ale czy jest pan pianistą? - spytała Rina.

- Nicholas Mark jest nie tylko sławnym pianistą - wyjaśnił Birenbaum - ale również jednym z najwybitniejszych współczesnych kompozytorów fortepianowych.

- Świetnie - ucieszyła się Rina. - Szukamy nauczyciela gry na fortepianie...

Gabe wpadł jej w słowo:

- Och - mówił przez zaciśnięte zęby - nie powinniśmy zwracać panu Markowi głowy naszymi przyziemnymi problemami.

- Uspokój się. - Mark znów położył mu dłoń na ramieniu. - Wszystko w porządku. Weź głęboki oddech. - Gdy Gabe tak zrobił, spytał: - Lepiej?

- Tak. - Gabe'owi zrobiło się głupio, że tak bardzo się zdenerwował. - Już dobrze.

- Świetnie. Po pierwsze, kto cię uczył gry na fortepianie? - Kiedy Gabe wymienił kilka nazwisk, Mark spytał: - Dlaczego ich zmieniałeś? Przerastałeś swoich mistrzów?

- To również. Poza tym byłem uzależniony od humorów rodziców, jeśli chodzi o dojazd do centrum miasta, bo nie mieszkaliśmy na Manhattanie. Jestem ze wschodniej części kraju. Mieszkaliśmy na przedmieściach, jakieś pół godziny jazdy od centrum.

Mark spojrzał na Rinę i spytał:

- Jakie łączy was pokrewieństwo?

- Nie jesteśmy krewnymi - wyjaśnił Gabe. - Jestem podrzutkiem...

- Nie jesteś żadnym podrzutkiem - przerwała mu Rina. - Rodzice Gabe'a są chwilowo nieobecni, dlatego zamieszkał z nami. Kiedy uszkodził rękę, od razu pomyślałam o Matcie. Chodzimy do tej samej synagogi, jest najlepszym specjalistą.

- Czuję się zażenowany! - zachnął się Birenbaum. - Ale tylko trochę.

- Rzeczywiście jesteś najlepszym specjalistą - z uśmiechem

powiedział Mark, po czym zwrócił się do Riny: - Jak długo Gabe będzie mieszkał u państwa?

- To zależy od Gabe'a i jego rodziców. Jeśli o mnie chodzi, może u nas mieszkać, ile zechce, szczególnie gdyby dzięki temu miał takiego nauczyciela, na jakim mu zależy.

- Gdzie są twoi rodzice?

Gabe się zaczerwienił, natomiast Rina wyjaśniła spokojnym, rzeczowym tonem:

- Kłopot w tym, że tego nie wiemy, ale jego rodzice wiedzą, że Gabe mieszka z nami. Co pan mógłby zrobić dla niego jako pianista?

Gdy Gabe ukrył twarz w dłoniach, Mark stwierdził z uśmiechem:

- Powiedziałem, żebyś się odprężył. Nie trzeba wiedzieć, kim jestem, żeby uzyskać obywatelstwo amerykańskie. - Zwrócił się do Riny. - Mogę dla niego zrobić... Tak, właśnie to. Musicie wiedzieć, że nie szukam uczniów. Nie mam zbyt dużo wolnego czasu, bo wykładam na uniwersytecie, komponuję i w każdy weekend jeżdżę do Santa Fe i z powrotem.

- Mogę się przeprowadzić do Santa Fe - wyrwało się Gabe'owi.

- Nigdzie się nie przeprowadzisz - natychmiast skontrowała Rina.

Mark znów się roześmiał.

- Lista osób, które chciałyby, żebym je uczył, jest bardzo długa. Byłoby nie fair, gdybym umieścił Gabe'a na jej początku.

- Naturalnie - zgodziła się Rina. - Ale może pan kogoś polecić?

- Chwileczkę. Powiedziałem, że byłoby to nie fair, gdybym uczył go przez rok czy dwa, ale ponieważ Gabe będzie tu mieszkał tylko przez jakiś czas, chętnie dam mu kilka lekcji.

- To naprawdę bardzo miło z pana strony - ucieszyła się Rina.

- Gabe, jednak stawiam pewien warunek - zastrzegł Mark.
- Nie wymagam, żebyś grał perfekcyjnie, ale wymagam pełnego zaangażowania. Skoro znalazłem dla ciebie czas, lepiej, żebyś przychodził przygotowany. - Wyjął aparat blackberry. - Mogę się z tobą spotykać tylko raz... Nie, niech będzie dwa razy w tygodniu o... tak, o dziesiątej rano na Uniwersytecie Południowej Kalifornii. To jedyny wolny termin. Nie wiem, jak to pogodzisz z zajęciami w szkole.

- Jakoś to załatwimy - zapewniła Rina. - W jakie dni?

- Może we... wtorki i... jeśli przesunę to i to na ten dzień...

- Coś sprawdził w palmtopie. - Powiedzmy, w poniedziałki i czwartki punktualnie o dziesiątej.

- Jestem nauczycielką - wyjaśniła Rina. - Muszę być w szkole przed dziewiątą...

- Mogę jeździć autobusem - powiedział Gabe.

Rina udała, że go nie słyszy, tylko mówiła dalej:

- Mój mąż albo ja będziemy go przywozić wcześniej. Jestem pewna, że znajdzie sobie coś do roboty.

- Na uniwersytecie jest wydział muzyki - poinformował ją Mark. - Są sale prób. - Spojrzał na Gabe'a. - Nie masz prawa jazdy ani samochodu?

- Na to za wcześnie - wyjaśniła Rina. - Gabe w czerwcu dopiero skończy piętnaście lat.

- Jest młodszy, niż sądziłem. Znakomicie. Jaki masz fortepian?

- Jeszcze nie mamy - powiedziała Rina. - Jaki pan poleca?

- Dobry fortepian kosztuje kilkadziesiąt tysięcy dolarów.

- Nie sądziłam, że aż tyle - stropiła się Rina.

- Zobaczę, czy mogę wam coś wypożyczyć z uniwersytetu - obiecał Mark. - Ale żadnego grania, póki nie będziesz miał zupełnie sprawnej dłoni i nie dostaniesz pozwolenia od doktora Birenbauma.

- Mniej więcej za tydzień nie będzie śladu siniaków - zapewnił lekarz.

- Czyli umówmy się na pierwszą lekcję za tydzień od dziś, jeśli wciąż tu będziesz. - Wpisał coś do palmtopa. - Jakie znasz etiudy?

- Wszystkie etiudy Chopina z opusu dziesiątego, niektóre z opusu dwudziestego piątego. Poza tym kilka etiud transcendentalnych Liszta. Mam ich partytury, a także tych, których nie znam na pamięć.

- Przynieś je ze sobą, właśnie od nich zaczniemy. - Podał mu wizytówkę. - Całkiem dobrze poradziłeś sobie z *La Campanellą*, ale nalegam, żebyś jej nie wykonywał, póki nie opanujemy kilku innych etiud. Jeśli nie będziesz mógł przyjść, zadzwoń dzień wcześniej.

Rozpromieniony Gabe wziął wizytówkę.

- Bardzo panu dziękuję, panie Mark, za taką szansę.

- Ze wszystkich twoich nauczycieli znam jedynie Ivana

Lettecha. Zadzwoń do niego. Czy chciałbyś mi coś powiedzieć, nim porozmawiam z nim?

- Uczył mnie prawie przez rok i myślę, że dobrze mi szło. Powiedział, że powinienem częściej brać udział w ważniejszych konkursach pianistycznych, by dać się poznać.

- Skorzystałeś z jego rady?

- Moja sytuacja osobista w owym czasie nie pozwalała mi na to, ale jestem już starszy, a moje życie wygląda lepiej. No, może nie tyle lepiej, co sytuacja się ustabilizowała. Chociaż nie wiem, czy to właściwe określenie. - Przerwał na moment.

- Ale chyba zbytnio się rozwodzę?

- Można tak to ująć - pogodnie skomentowała Rina. - Panie Mark, będziemy bardzo wdzięczni za wszelkie wskazówki, jakich potrzebuje Gabe.

- Tak, tak, oczywiście.

Gabe umknął wzrokiem.

- Sądzę, że pan Lettech był zły, kiedy wyjechałem do Kalifornii. - Spojrzał na Nicholasa Marka. - Jeśli będzie pan z nim rozmawiał, proszę mu jeszcze raz powiedzieć, że ten wyjazd to nie był mój pomysł.

Okazało się, że mężczyzna w masce trzymający dyscyplinę to nie był Aaron Otis. Miał inne tatuaże.

Aaron przyjrzał się zdjęciu, a na koniec powiedział:

- To z całą pewnością nie jest Greg. Może Garth, ale nie widzę zbyt dobrze tatuaży. Można powiększyć zdjęcia?

Decker dał je Marge i polecił:

- Niech ktoś to zeskanuje, wczyta do komputera i sprawdzi,

czy da się powiększyć. – Kiedy wyszła z pokoju przesłuchań, spytał: – Rozpoznaje pan dziewczynę?

– Nie przypomina Adrianny.

– Sądzi pan, że mógłby ją pan rozpoznać, gdybyśmy powiększyli jej twarz?

– Nie. – Aaron pokręcił głową. – Naprawdę, panie poruczniku, nie wydaje mi się, żebym ją znał. – Uniósł brwi. – Wielka szkoda, bo wygląda na taką, co to lubi się zabawić.

Decker jakoś stracił poczucie humoru podczas prowadzenia śledztwa w sprawie dwóch zamordowanych kobiet. Jakby tego było mało, nie wiedział, co się stało z trzecią. Ponieważ zachował obojętną minę, Aaron się zaczerwienił i bąknął:

– Przepraszam.

– Czy Garth kontaktował się z panem?

– Nie. Powiedziałbym panu, gdyby do mnie zadzwonił. Garth to mój bliski przyjaciel, niemal jak brat, ale jeśli wdepnął w jakieś bagno, to nie chcę mieć z tym nic wspólnego.

Wszedł Oliver.

– Poruczniku, mogę prosić na słówko? – Gdy opuścili pokój przesłuchań, Oliver mówił dalej: – Marge wciąż skanuje zdjęcia, a pięć minut temu Greg Reyburn pojawił się na posterunku. Umieściłem go w sali numer trzy. Chce pan z nim porozmawiać czy ja mam to zrobić?

– Ty to zrób.

Oliver wyjął notes i przeczytał:

– Dowiedzieć się, gdzie spędził ostatnie dwadzieścia cztery

godziny, sprawdzić alibi, ponownie zapytać go o Gartha i wypad na spływ, pokazać zdjęcia, które znalazłem w mieszkaniu Mandy, poprosić o zidentyfikowanie mężczyzny z tatuażami, wypytać o Mandy Kowalski. Jeszcze coś?

- Nie, nie zapomniałeś o niczym. Aaron twierdzi, że nie rozpoznał Mandy. Utrzymuje, że nie zna kobiety ze zdjęć.

- Uważasz, że kłamie?

- Jak do tej pory dużo nam pomógł. Nie jest mężczyzną na zdjęciu, ale mógł je robić. Nawet zdobył się na żart. Rozumiesz: „Szkoda, że nie znam tej dziewczyny, bo wygląda na taką, co lubi się zabawić”.

- Ta-ra-dam - powiedział Oliver, naśladując perkusistę uderzającego w talerze.

- Rzeczywiście nie był to żart najwyższych lotów, no i bardzo nie na miejscu. Aaron powinien zmienić repertuar.

Greg Reyburn spojrział na powiększone zdjęcia zmęczonymi, zaczerwienionymi oczami.

- Ten skrzydlaty wąż na jego ramieniu to symbol medyków, prawda?

- Kaduceusz - powiedział Oliver, popełniając powszechny błąd. Kaduceusz często mylono z laską Asklepiosa, prawdziwym symbolem lekarzy, ale w sumie nie miało to w śledztwie żadnego znaczenia.

- Może i tak. Ale wiem, że Garth ma taki tatuaż. - Reyburn przesunął dłonią po czarnych lokach i skrzywił się. - Nie jestem pruderyjny, lubię się zabawić jak każdy normalny człowiek. Mogłem zrobić coś takiego raz czy dwa, wiadomo,

kiedy byłem kompletnie pijany. Ale bez względu na to, jak bardzo bym się schlał, nigdy bym sobie nie zrobił zdjęcia, kiedy zachowuję się jak dupek.

- Tak, rozumiem. - Oliver skinął głową. - Wie pan, czy Garth lubił takie przebieranki?

- O ile to Garth. Wiele osób mogło sobie kazać wytatuować tego kadu... Jak pan to nazwał?

- Kaduceusz.

- Przypuszczam, że lekarze często mają taki tatuaż.

Oliver nie poznał w swoim życiu zbyt wielu wytatuowanych lekarzy, ale kto wie, może wśród młodszego pokolenia... To zupełnie inny świat.

- Czy rozpoznaje pan inne tatuaże?

- Hm... - Reyburn znów przyjrzał się zdjęciom. - Ten. - Wskazał czarną wdowę pośrodku pajęczyny. - Taki też ma.

- Załóżmy więc, że to Garth - powiedział Oliver. - A dziewczyna?

- Nie rozpoznaję jej.

- Nigdy jej pan nie spotkał podczas jakiejś imprezy u Gartha i Adrianny?

- Być może. - Wzruszył ramionami. - Dużo imprezowali, zapraszali dziwnych ludzi. - Oddał zdjęcia Oliverowi. - Nie pamiętam żadnej dziewczyny w skórzanej obroży nabijanej ćwiekami i w gorsecie, ale nie wszystkim się przyglądałem.

Oliver ponownie wręczył Gregowi zdjęcia.

- Proszę je obejrzeć jeszcze raz.

Reyburn spełnił jego prośbę, a szczególnie zainteresowało go zdjęcie, na którym zamaskowany mężczyzna siedzi na

dziewczynie jak na koniu.

- Może tak, może nie. Tylko tyle mogę teraz powiedzieć.

- Nie domyśla się pan, kto mógłby być autorem zdjęć?

- Na pewno nie ja.

- Może Adrianna lub Crystal?

- Tylko bym zgadywał. - Pokręcił głową. - Czy mogę już iść? Jestem w szoku. Jak pan wie, przyjaźniłem się z Crystal.

- Jak blisko byliście ze sobą?

- Czy uprawialiśmy seks? Tak. - Oczy mu zaszyły łzami. Próbował to ukryć, pocierając je. - Crystal była wolnym duchem.

- Czy jako wolny duch zadawała się też z Garthem?

- Tak sądzę.

- Tylko pan sądzi? A może na pewno?

- Na pewno. Pamiętam, jak raz... Garth był wtedy pijany w sztok i zaproponował, żebyśmy zabawili się w trójkąciku.

- I?

- Nie jestem amatorem takich zabaw. - Przerwał na moment. - W każdym razie nie z nim. Gdyby to były Adrianna i Crystal... Ale Garth i Crystal to nie, wykluczone.

- Wróćmy do Adrianny. Czy spał pan z nią?

- Nie. - Greg przecząco pokręcił głową. - Choć to nie znaczy, że odmówiłbym, gdyby nadarzyła się okazja, ale jakoś nigdy do niczego nie doszło między nami.

- Aaron spał z nią.

- No i dobrze. - Reyburn wzruszył ramionami. - Ja nie.

- Czy Garthowi nie przeszkadzało, że Aaron uprawiał seks z Adrianną?

- Nigdy nie rozmawiałem z nim na ten temat. - Podrapał się w twarz z kilkudniowym zarostem. Miał pryszczki na czole i brodzie. - Garth wiedział, że Adrianna pieprzy się, z kim popadnie. A Adrianna wiedziała, że Garth pieprzy się, z kim popadnie. I oboje byli o siebie zazdrośni. Naprawdę nie rozumiem, dlaczego wciąż byli ze sobą.

- Słyszałem, że Adrianna dawała Garthowi pieniądze, dlatego z nią nie zrywał.

- Tak, kilka razy dostał od niej kilkaset dolarów.

- Co zrobił z tymi pieniędzmi?

- Wiadomo. - Reyburn znów wzruszył ramionami. - Wyjechał do Las Vegas.

- Słyszałem, że o wiele więcej wydawał na kobiety niż na hazard.

- Być może. Garth lubił cipki.

- Może dlatego nie zerwał z Adrianną, bo dawała mu pieniądze. - Kiedy oczy Grega stały się nagle rozbiegane, Oliver spytał: - O co chodzi?

Reyburn wyrzucił ręce w górę.

- Pomyśli pan, że próbowałem to ukryć, ale właśnie coś sobie przypomniałem. Być może nie tylko Adrianna dawała Garthowi pieniądze.

- Proszę mówić dalej.

- Naprawdę tak mogło być, chociaż nigdy tak do końca nie wierzyłem Garthowi. - Reyburn westchnął. - No więc raz, kiedy się upił, oznajmił Aaronowi i mnie, że ma w Las Vegas dwie kocice, które dają mu pieniądze, i to znacznie więcej niż Adrianna. Dlatego tak często jeździł do Las Vegas.

- No dobrze - powiedział Oliver. - Czy te kobiety mają jakieś imiona?

- Nigdy nam ich nie zdradził. W ogóle wspomniał o tym tylko raz, kiedy był pijany. To było ponad rok temu. Uznaliśmy z Aaronem, że nas okłamał. Nie wiem, dlaczego teraz sobie o tym przypomniałem... Pewnie takie skojarzenie, gdy wspomniał pan, że Adrianna dawała mu pieniądze.

- Czy powiedział wam coś o tych kobietach? - spytał Oliver.

Reyburn znów przesunął dłońmi po włosach.

- Mówił, że są żonami mafiosów, a on je pieprzy za pieniądze, gdy mężów nie ma w mieście. Próbowaliśmy wyciągnąć od niego więcej szczegółów, ale zaparł się i oświadczył, że nic więcej nie może nam powiedzieć. Że to wielka tajemnica, bo gdyby mężowie tych kocic poznali prawdę, to na pewno by go zabili. Wtedy uznaliśmy, że wymyślił sobie tę opowiastkę. Mogliśmy sobie wyobrazić Gartha, jak pieprzy kobiety. Mogliśmy sobie wyobrazić, jak pieprzy je za pieniądze. Ale cała ta historia z mafią... Rozumie pan: „Daj spokój, Garth, jesteś technikiem radiologiem, nie wciskaj nam kitu”.

- Czyli nie uwierzyliście mu.

- Nie w tych mafiosów. Garth często plótł głupoty po pijaku. Uwielbiał koloryzować. Ale kto nie plecie głupot, jak się urżnie?

- Gdzie się zatrzymywaliście w Las Vegas?

- Garth jeździł tam znacznie częściej od nas, ale kiedy wybieraliśmy się razem, zatrzymywaliśmy się w Luxorze albo

MGM, bo są nieco tańsze, chociaż przy Stripie.

- Naprawdę nie macie pojęcia, kim są te kobiety?

- Nawet nie wiem, czy istnieją naprawdę.

- Przepraszam na moment.

- Mogę już iść?

- Greg, według mnie lepiej będzie, jeśli zostanie pan jeszcze trochę, aż porozmawiam z dziewczyną, z którą spędził pan ostatnią noc. Stanowi pańskie alibi.

- Potem będę mógł sobie już pójść?

- Nie wszystko naraz. Chce pan jeszcze kawy, wody albo coś do jedzenia?

- Chcę iść do domu i położyć się spać.

Tak jak my wszyscy, pomyślał Oliver.

- Wrócę za minutkę. Proszę tu na mnie zaczekać, dobrze?

Reyburn w odpowiedzi smętnie skinął głową. Oliver wyszedł z pokoju przesłuchań i udał się na poszukiwanie Marge. Kiedy jej nie znalazł, skierował się do gabinetu porucznika. Decker akurat rozmawiał przez telefon, ale dał znak Oliverowi, żeby wszedł. Po chwili się rozłączył.

- Rozmawiałem z Selą Graydon. Razem z Kathy Blanc przyjadą tu jutro. Zapowiada się ciężki dzień.

- Po co zjawia się u nas?

- Żeby się dowiedzieć, co nowego, żeby popłakać na moim ramieniu, żeby nakrzyczeć na mnie, żeby przekląć świat. Wybieraj, co chcesz. - Wypuścił powietrze z płuc. - Co tam?

- Czy Aaron Otis jeszcze tu jest?

- Nie, pozwoliliśmy mu wyjść jakieś dwadzieścia minut temu.

- Cholera.
- Co się stało? Mamy go z powrotem wezwać?
- Chciałbym z nim porozmawiać. - Oliver powtórzył mu, co powiedział Reyburn o Garcie i jego kocicach. - Początkowo uznałem, że sobie to zmyślił, ale potem pomyślałem, że może Garth ukrył się gdzieś w Las Vegas. Może razem z Mandy zaczęli nowe życie jako państwo Dominatorowie lub Sadomasowscy.
- Skontaktuj się z policją w Las Vegas.
- Albo razem z Marge możemy urządzić sobie małą wycieczkę na wschód.
- Nawet jeśli, najpierw musicie się skontaktować z lokalną policją.
- Co sądzisz o opowieści Grega? - spytał Oliver.
Decker wzruszył ramionami.
- Lata pracy w policji nauczyły mnie, żeby unikać wygłaszania opinii.
Wanda Bontemps zapukała we framugę.
- Eddie Booker na drugiej linii.
- Kto? - spytał Decker.
- Powiedział tylko, że nazywa się Eddie Booker i oddzwania do ciebie, tak jak prosiłeś.
- Ja go prosiłem? - Podniósł słuchawkę. - Tu porucznik Decker.
- Witam, panie poruczniku. Mówi Eddie Booker. Moja teściowa powiedziała, że dzwonił pan parę dni temu i chciał pan ze mną porozmawiać.
- Tak, oczywiście... - Decker myślał gorączkowo, o co

chodzi,

Na szczęście Booker wybawił go z kłopotu:

- Zadzwońbym wcześniej, ale na statku nie miałem takiej możliwości.

Statek... Wycieczkowiec... Ochroniarz z hotelu, w którym zatrzymała się Terry.

- Tak, panie Booker, bardzo dziękuję, że pan zadzwonił. Proszę poczekać chwileczkę. - Zwrócił się do Olivera. - Skontaktuj się z Aaronem Otisem i przekonaj się, czy potwierdzi to, co powiedział Greg. Potem zadzwoń na policję w Las Vegas, a ja załatwię tobie i Marge wyjazd tam. Muszę porozmawiać z tym gościem.

Oliver skinął głową i wyszedł.

Decker wyjaśnił Bookerowi powód, dlaczego szukał z nim kontaktu:

- Żeby formalnościom stało się zadość, przesłuchujemy wszystkich, którzy pracowali w hotelu tego wieczoru, kiedy zniknęła pani McLaughlin. Rozumiemy, że pracował pan wtedy na nocną zmianę, a nazajutrz odszedł pan... No, zrezygnował pan z pracy. - Gdy w słuchawce zapadła cisza, Decker dodał: - O ile nam wiadomo, hotel zaproponował dodatkowe pieniądze tym, którzy wcześniej złożą wypowiedzenie.

- Zgadza się.

- I dlatego postanowił pan zrezygnować z pracy? - Znów zapadła cisza, więc po chwili Decker oznajmił: - Chcielibyśmy porozmawiać z panem. Może widział pan panią McLaughlin albo słyszał coś niecodziennego. - Ponownie

odpowiedziała mu cisza. – Może będzie lepiej, gdy przyjedzie pan na posterunek – zaproponował Decker. – Ponieważ mieszka pan w Dolinie, zapewne bliżej panu do nas niż do West Los Angeles. Czy da pan radę dotrzeć tu za godzinę?

Bookerowi drżał głos, kiedy w końcu się odezwał:

– Nie wiedziałem, że pani McLaughlin zaginęła w poniedziałek.

– Właściwie w niedzielę wieczorem.

– Nikt mnie o tym nie poinformował.

– Ale teraz pan wie. Zwracamy się o pomoc do wszystkich.

– Wiem, że powinienem coś wyznać.

– Co mianowicie? – Gdy Booker nie odpowiedział, Decker mocno się zaniepokoił. – A może woli pan, żebym przyjechał do pana do domu? – spytał.

– Nie, ja przyjadę do pana.

– Świetnie. Kiedy?

– Gdzie mieści się posterunek? W Devonshire?

– Tak jest.

– Mogę tam być za pół godziny.

– Czekam na pana. Bardzo dziękuję.

– Wyglądała, jakby nic jej nie było – powiedział Booker. – Przysięgam, że nic jej nie było, kiedy się z nią pożegnałem.

Decker powiedział uspokajająco:

– Jestem pewien, że nic jej nie było. Może nadal nic jej nie jest. Staramy się wszystko ustalić. Dlatego zwróciliśmy się do pana o pomoc...

– A co z chłopakiem? – spytał Booker. – Ma syna.

Decker roześmiał się w duchu.

- Jeśli o niego chodzi, mogę pana zapewnić, że nic mu nie jest.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY CZWARTY

Eddiemu Bookerowi coś ciążyło. Były ochroniarz powinien wyglądać na wypoczętego po rejsie pełnomorskim, a jednak na jego twarzy malował się stres. Był wysokim wychudzonym mężczyzną po pięćdziesiątce o zmęczonych ciemnych oczach. Miał szerokie usta i gęste siwe włosy. Ubrany był w białą rozpinaną koszulę i brązowe spodnie. Przesłuchanie jeszcze się nie zaczęło, a już się pocił. Decker zadzwonił do niego tylko dlatego, żeby formalnościom stało się zadość, a teraz zastanawiał się, czy nie patrzy na podejrzanego.

- Chce pan wody?

- Nie, chcę to już mieć za sobą. - Booker wyjął z pudełka chusteczkę i wytarł twarz.

- Proszę mi o tym powiedzieć - powiedział Decker.

- Wiedziałem, że coś jest nie tak. - Westchnął. - Trzydzieści sześć lat pracowałem jako ochroniarz i nigdy wcześniej nic takiego mi się nie przydarzyło. Nie wiem, co sobie myślałem. - Gdy Decker tylko skinął głową, dodał: - Moja żona uważa, że powinienem zatrudnić adwokata.

- Dlaczego?

- Też ją o to zapytałem. Bo cała ta sprawa... Po prostu oddam pieniądze, i tyle, ten pomysł cały czas siedział we mnie, ale kiedy pan powiedział, że pani McLaughlin zniknęła, może to oznaczać kłopoty. - Do oczu napłynęły mu łzy. - Przysięgam, że pierwszy raz w życiu zrobiłem coś takiego.

I wziąłem pieniądze tylko dlatego, że pani McLaughlin nalegała.

- Nalegała, żeby wziął pan pieniądze?

- Tak, proszę pana.

Decker wyciągnął notes.

- Panie Booker, proszę powiedzieć wszystko po kolei. Po pierwsze, kiedy to wszystko miało miejsce.

- Była trzecia, może wpół do czwartej po południu.

- W niedzielę?

- Tak, w niedzielę. Robiłem obchód, sprawdzałem, czy wszystko jest jak należy, i usłyszałem odgłosy kłótni dobiegające z pokoju hotelowego zajmowanego przez panią McLaughlin.

- Rozumiem. - Twarz Deckera pozostała beznamiętna. - Może mi pan bliżej wyjaśnić, co pan rozumie pod słowem „kłótnia”?

- Krzyki.

- Kto krzyczał?

- Oboje.

- Pani McLaughlin i...

- Nie wiem, jak się nazywa tamten mężczyzna. Nie przedstawił się. Tylko zaproponował mi pieniądze, a ja je wziąłem jak skończony głupiec. Zrobiłem to tylko dlatego, że pani McLaughlin nalegała na to.

- Pani McLaughlin? Na pewno ona, a nie tamten mężczyzna?

- Tak, proszę pana, ona. Była wściekła na niego, ale gdy się wtrąciłem, spojrzała na mnie ze złością, że im

przeszkodziłem. - Sięgnął do kieszeni i wyciągnął plik banknotów studolarowych. - Nie wydałem ani centa. Wiedziałem, że nie powinienem był ich brać. - Podsunął pieniądze do twarzy Deckera. - Proszę je ode mnie wziąć. To trucizna!

- Nie mogę tego zrobić, proszę pana.

- Ale ja ich nie chcę. - Rzucił pieniądze na stół.

Zwitek zaczął się prostować. Decker nie zrobił najmniejszego ruchu, żeby wziąć pieniądze, ale wiedział, że zatrzyma je jako dowód rzeczowy. Może Donatti zapłacił ochroniarzowi, żeby zrobił coś złego.

- Panie Booker, cofnijmy się nieco w czasie. Robił pan obchód. Była trzecia, wpół do czwartej w niedzielne popołudnie.

- Tak.

- Usłyszał pan odgłosy kłótni dobiegające z pokoju pani McLaughlin.

- Tak.

- Co stało się potem?

- Zapukałem do drzwi i zwołałem ją po nazwisku, pytając, czy wszystko w porządku.

- Co się stało później? Zapukał pan, zwołał do pani McLaughlin, i co dalej?

- No więc po pierwsze, przestali wrzeszczeć na siebie. Po tym, jak zapukałem, nie odezwali się ani słówkiem.

- Dobrze. Proszę mówić dalej.

- Znów zapukałem, wołając jej nazwisko. Już chciałem włożyć klucz uniwersalny do zamka, ale nie zdążyłem, bo

otworzyła mi drzwi.

- Jak wyglądała?

Twarz mężczyzny pociemniała.

- Była piękną kobietą.

- Chodzi mi o jej stan emocjonalny.

- Była zła.

- Zła i wystraszona?

- Nie, proszę pana, tylko zła. Gdyby była wystraszona, nie odszedłbym. Wyglądała na wkurzoną... Przepraszam za mój język.

- Co się stało po tym, jak otworzyła drzwi?

- Powiedziała mi... Ciekaw jestem, czy zapamiętałem dokładnie... - Znów otarł czoło chusteczką. - Powiedziała, że dziękuje za moją troskę. Że przeprasza za te hałasy, ale wszystko jest w porządku.

- Czy wyglądała, jakby ktoś ją poturbował?

- Poturbował? - Ochroniarz zrobił przerażoną minę. - Znaczą się pobił?

- Czy miała potargane włosy, jakieś ślady na twarzy...

- Nie, nie, nic z tych rzeczy. Gdybym cokolwiek podejrzewał, wezwałbym szefa, a nawet policję.

- Co miała na sobie? - spytał Decker.

- Co miała na sobie? - Booker zrobił zboląłą minę. - Muszę się zastanowić. Coś czerwonego... jakby luźną czerwoną górę. I ciemne spodnie. Włosy miała rozpuszczone, opadały na ramiona. W uszach duże kolczyki z brylantem.

- Czy miała makijaż? Umalowane usta albo oczy?

- Nie pamiętam.

- Czy wyglądała, jakby płakała?

- Nie, nie miała zaczerwienionych oczu ani ciemnych smug na policzkach. Wyglądała na wściekłą. Nigdy jej takiej nie widziałem. Zwykle była bardzo miła i przyjaźnie wszystkich zagadywała, ale nie tym razem.

- Może widział pan, z kim się kłóciła?

- Naturalnie, że tak. To właśnie on dał mi pieniądze.

- Jak wyglądał?

- Bardzo wysoki jasnowłosy facet. Miał groźny wzrok. Niepokoiłem się o nią.

- Ale nie wyglądała na wystraszoną?

- Już mówiłem, nie była wystraszona ani zapłakana, tylko zła. Kiedy zaproponował mi pieniądze za „fatygę” - Booker zrobił w powietrzu znak cudzysłowu - chciałem wezwać policję. Ale potem pani McLaughlin poprosiła, żebym wziął pieniądze. Powiedziała: „Weź pieniądze, Eddie. I zachowaj to, co tu widziałeś, dla siebie. Czułabym się zażenowana, gdybyś komuś o tym opowiedział”. - Zmarszczył brwi. - Dodała, że mężczyzna jest ojcem chłopaka i mają odmienne zdanie w kwestii jego wychowania. Dlatego zapytałem pana o syna. Naprawdę nic mu nie jest?

- Wszystko z nim w porządku. Czy uważa pan, że właśnie o niego się kłócili?

Booker znów zrobił zbolaną minę.

- Nie mogę powiedzieć ani tak, ani nie. Jeśli chce pan znać moje zdanie, to według mnie ta kłótnia dotyczyła bardziej osobistych spraw niż tego, jak wychowywać syna.

- Dlaczego tak pan uważa?

Booker wypuścił powietrze z płuc.

- Słyszałem, jak ją nazwał kłamliwą suką, a ona jego paranoikiem i wariatem. Właśnie wtedy zapukałem do drzwi i wszystko ucichło. Takie słowa... Według mnie raczej nie kłócili się o syna. Wiem, że powinienem coś powiedzieć, ale...

- Pokręcił głową zawstydzony.

- Co?

- Nie zabrzmiało to dobrze.

- I tak proszę powiedzieć.

Ukrył twarz w dłoniach.

- Dał mi tysiąc dolarów. Owszem, przydałyby mi się te pieniądze, ale ani przez chwilę nie dopuszczałem do siebie myśli, że mógłbym je zatrzymać. Zaraz po powrocie z rejsu zamierzałem je oddać.

- To dlaczego je pan wziął?

- Nie uwierzy mi pan.

- Proszę spróbować.

- Wziąłem pieniądze, bo pani McLaughlin... Jak by to powiedzieć? Już mówiłem, że jest piękną kobietą o pięknym, łagodnym głosie i uroczym uśmiechu. Uśmiechała się do mnie zawsze, kiedy ją mijałem. Zawsze zwracała się do mnie po imieniu i znalazła chwilę, żeby powiedzieć kilka słów. Zawsze traktowała nas jak ludzi, a nie mebel.

- Słyszałem, że była bardzo miła.

- Miła, ale nie zalotna. I jak już powiedziałem, bardzo ładna. - Spuścił wzrok. - Trochę się w niej podkochiwałem. Wziąłem pieniądze, bo nie chciałem, żeby była na mnie zła.

- Puściłeś go wolno? - zdziwiła się Marge.

- Na jakiej podstawie miałem go zatrzymać?
- Może po wyjściu Donattiego zakradł się do pokoju i ją zabił.
- Z detalami opowiedział, co robił. Mógł ją zabić i pozbyć się jej zwłok jedynie na terenie hotelu. Zbyt wiele osób widziało go po tym, jak wziął pieniądze, aż do powrotu Gabe'a, który stwierdził, że matki nie ma w hotelu.
- Może zamordował ją, wsadził zwłoki do szafy, a potem wrócił, żeby się ich pozbyć.
- Wyjechał do domu koło wpół do siódmej, czterdzieści minut później dotarł na miejsce. Twierdzi, że cały wieczór spędził z żoną. Pakowali się przed wyjazdem na urlop. Sprawdziłem jego twarz, ręce, ramiona i nogi. Pokazał mi nawet brzuch i plecy. Nigdzie nie miał zadrapań. Zgodził się na badanie wariografem. Widziałaś pokój hotelowy. Czy zauważyłaś tam ślady świadczące o tym, że była tam jakaś walka?
- Szefie, przyznał się, że się w niej podkochał. Może odrzuciła jego zaloty.
- Jeśli jej dotknął, to nie broniła się, a trudno mi w to uwierzyć. Nie miałem podstaw, żeby go zatrzymać. Nie jest notowany, w pracy cieszy się nieposzlakowaną opinią, płaci podatki, posyła dzieci do katolickiej szkoły. Instynkt mi podpowiada, że jest niewinny. Uwierzyłem mu i puściłem wolno.
- Nie podoba mi się jego wyznanie, że się w niej podkochał.
- Jest czarującą kobietą. Z pewnością nie on jeden się

w niej podkochał.

Marge przyjrzała mu się uważnie.

- Łącznie z tobą.

- Pamiętam ją jako małą dziewczynkę, więc dla mnie zawsze taką pozostanie. Owszem, obiektywnie rzecz biorąc, jest bardzo atrakcyjną kobietą i według mnie maksymalnie to wykorzystywała, ale nie wobec mnie. Przy mnie udawała bezradną kobietę. „Błagam, panie poruczniku, jest pan jedyną znaną mi osobą, która potrafi nad nim zapanować. Czuję się bezpiecznie, kiedy pan jest obok”. A ponieważ jestem idiotą, uwierzyłem jej.

- Jesteś zły.

- Jestem skończonym idiotą, ale przynajmniej okazałem się na tyle rozsądny, że zapytałem o zdanie moją żonę, nim zgodziłem się pomóc Terry.

- Rina powiedziała „tak”?

- Ujęła to inaczej. Poprzez mnie bez względu na to, co postanowię. Ale oboje wiedzieliśmy, że zgodzę się pomóc Terry, ponieważ Donatti zdolny jest do użycia przemocy. Możliwe, że spotkało ją coś strasznego, ale zaczynam się skłaniać ku temu, że wszystko to sobie zaplanowała, a ja dałem się nabrać. I teraz mieszka u mnie nastolatek, a moja żona wypożyczyła dla niego fortepian.

- Wypożycza fortepian dla Gabe’a? - Marge roześmiała się.

- Tak, właśnie tak - cierpkim tonem odparł Decker. - Dziś rano słyszała go, jak gra. Widocznie jest genialnym pianistą, bo zatrudniła dla Gabe’a nauczyciela. I nie wiem, co jeszcze zrobi. Wiem jedynie, że będzie mnie to kosztować sporo

pieniędzy. – Uderzył się w czoło. – Chcę odejść na emeryturę. W co ja się wpakowałem, Marge?

– Nie odejdziesz na emeryturę. Umarłbyś.

– Może nie dosłownie zostać emerytem, ale zwolnić tempo. Jakim cudem dałem się wrobić w opiekę nad chłopakiem?

– Mnie pytasz? Odkąd adoptowałam Vegę, nie przespałam spokojnie jednej nocy. – Urwała. – Teraz jest trochę lepiej, ale nadal się niepokoję, póki do mnie nie zadzwoni i nie powie „dobranoc, Marge”. – Wyrzuciła ręce w górę. – Niektórzy przygarniają bezdomne koty. My przygarniamy dwunożne stworzenia. Nie jest to najmądrzejsze, ale przynajmniej nie musimy zmieniać piasku w kuwetach.

Oliver się rozłączył.

– Rozmawiałem z Las Vegas. – Zajrzał do notatek. – Z detektywem Silverem. Powiedział, że wstąpi do hoteli, ale żebym niczego się nie spodziewał. Hotele nie ujawniają, kogo goszczą, chyba że otrzymają oficjalny nakaz albo mają ważny powód.

– Dwie martwe kobiety to nieistotny powód? – spytała Marge.

– Dlatego zgodził się pomóc, ale póki nie zdobędziemy więcej dowodów, odbijemy się od ściany.

– Moglibyśmy sami tam pojechać i pokręcić się po hotelach – powiedziała Marge – ale nie sądzę, byśmy wiele zdziałali. Może Garth przebywa tam pod zmienionym nazwiskiem. Las Vegas to miejsce, do którego ludzie przyjeżdżają, żeby udawać kogoś innego. A hotele tam są ogromne, mają wiele skrzydeł i setki pokoi.

- Igła w stogu siana.
- Tak... - Marge wzruszyła ramionami. - Co robisz w ten weekend?
- Nic.
- To tak jak ja. Nigdy nie widziałam O.
- Niezły spektakl. Tak dobry, że chętnie jeszcze raz go obejrzę.
- Sprawdzę, gdzie najtaniej można kupić bilety. - Poprawiła torebkę przewieszoną przez ramię. - Jadę na spotkanie z Yvette Jackson. Pokażę jej zdjęcia napakowanych facetów. Chcesz mi towarzyszyć?
- Jasne. - Oliver wstał i włożył marynarkę. - Powinniśmy uzgodnić nasz wypad do Las Vegas z porucznikiem. Na pewno dostaniemy przynajmniej częściowy zwrot kosztów.
- Mamy mocne argumenty, bo to sensowny wyjazd - odparła Marge. - Nie możemy jedynie liczyć na darmowe bilety na O.
- Musimy wymyślić, jak to przedstawić w dziale księgowości. Może... kurs utrwalający wiedzę z pierwszej pomocy i ćwiczenia praktyczne z resuscytacji krążeniowo-oddechowej?
- Skąd ci to przyszło do głowy? - spytała rozbawiona Marge.
- Wszystkie te kobiety pod wodą... A co, gdyby jedną z nich nagle złapał skurcz?
- Hm, a jak zamierzasz jej pomóc?
- Jestem bardzo dobry w głębokim masażu.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY PIĄTY

Była pierwsza po południu, ale Yvette wciąż miała na sobie szlafrok, zresztą z różowego atłasu. Mieszkała w kawalerce urządzonej w stylu dawnego Hollywood. Na kozetce leżały poduszki w kształcie serca i różowa atłasowa kołdra. Była tu też biała kanapa z jedwabnymi poduchami, stolik kawowy ze szkła i chromu, na którym stał wazon z liliami. Aneks kuchenny był mikroskopijny. Na szafce był ekspres do kawy. Niebieskooka i piersiasta Yvette o platynowych włosach opadających na ramiona mogła być bohaterką zwariowanej komedii z lat czterdziestych. Tylko oczy miała czerwone i poważną minę.

- Dziękujemy, że zgodziła się pani z nami spotkać - powiedział Oliver.

- Zgodziłam się, zanim się o tym dowiedziałam. - Klapnęła na białej kanapie i okryła się kocem po samą szyję. - Zadzwoiłam do pracy i powiedziałam, że jestem chora. Nie wrócę tam, póki się nie dowiem, co jest grane. Boję się.

- Od kogo pani wie o zabójstwie Crystal? - Marge wyjęła notes.

- Od jednego z barmanów, Joego Melona. Dowiedział się o tym od Jacka Henry'ego, jednego z właścicieli Garage'u. - Ścisłej opatulila się kocem. - Nie wiem, czy byłoby rozsądne pokazywać się tam w tej chwili.

- Nie wiemy, z kim mamy do czynienia - przyznała Marge.

- Jeśli ma to jakiś związek z Garage'em, im szybciej uda nam się ustalić jego tożsamość, tym lepiej dla wszystkich.

- Naprawdę przypuszczacie, że to ktoś z baru?

Marge uchyliła się od odpowiedzi, zadając pytanie:

- Czy wiadomo pani, by Crystal miała jakieś kłopoty z kimś z Garage'u?

- Z gości czy pracowników?

- I tych, i tych - powiedział Oliver.

- Nic mi o tym nie wiadomo. - Yvette umilkła. - Crystal nie miała zahamowań. Jak spodobał jej się jakiś facet, nalewała mu drinki za darmo. Może ktoś niewłaściwie to odebrał. - Milczała przez chwilę. - Nie wiem, jaki może to mieć związek z Adrianną. Nie pracowała tam, więc możliwe, że zabójcy nie mieli nic wspólnego z Garage'em.

- Zgadzam się - powiedział Oliver. - Crystal i Adrianna prowadziły bardzo bujne życie towarzyskie, które w żaden sposób nie było powiązane z Garage'em.

- Jestem pewna, że miały wielu wspólnych znajomych - dodała Yvette.

- I to jest główny przedmiot zainteresowania śledztwa - odezwała się Marge. - Więc jeśli możemy zająć pani kilka minut, to chcielibyśmy, żeby obejrzała pani zdjęcia kilku mężczyzn i stwierdziła, czy któryś z nich wydaje się pani znajomy.

Wstała z kanapy.

- Czy mogę najpierw zaparzyć kawę?

- Naturalnie.

- Napiją się państwo? To żadna różnica zaparzyć jedną

filizankę czy trzy.

- Chętnie się napiję - powiedział Oliver.

- Świetnie. - Podreptała do kuchni. - Tylko to umiem robić.

- Jakby chciała to podkreślić, otworzyła lodówkę. W środku były tylko różne gatunki kaw i kilka butelek wody gazowanej.

- Och, mam też wodę. Napiją się państwo wody?

Wyraźnie odwlekała moment oglądania zdjęć, ale kilka minut nie robiło różnicy.

- Nie, może być kawa - powiedziała Marge.

Kiedy Yvette wyjęła kawę i filtr, Oliver spytał:

- Jak dobrze znała pani Crystal?

- Nie byliśmy przyjaciółkami, tylko pracowałyśmy razem. - Nalała wodę do ekspresu. - Zabrzmi to snobistycznie, ale traktowałam to zajęcie jako sposób zarabiania pieniędzy do czasu, aż odniosę sukces jako piosenkarka. Natomiast dla Crystal pełnienie funkcji hostessy... - Wyjęła trzy kubki i postawiła je na blacie kuchennym. - Dla niej był to zawód. Najlepszy, na jaki mogła liczyć. - Odwróciła się do policjantów. - Śmietanka czy cukier?

- Dla mnie odrobina śmietanki i słodzik, jeśli można - poprosiła Marge. - Poznała pani wielu znajomych Crystal?

- Znałam Adriannę, a także jej przyjaciółkę prawniczkę. Miła z niej kobieta, z klasą. Nie wiem, dlaczego zadawała się z tymi komediantkami.

- A jeśli chodzi o przyjaciół?

- Tak, poznałam kilku, przewijali się... Ale jedyny, którego pamiętam, to Garth. - Yvette wzniosła oczy. - Całkiem przystojny, ale okropny typ.

- Dlaczego?

- Uważa się za kogoś wyjątkowego. Kiedy zrozumiał, że nie zamierzam wstąpić do klubu jego wielbicielek, zaczął traktować mnie wrogo. No, może „wrogo” to za mocno powiedziane. Ale był zły, zaczął się zachowywać jak kutas, pokrzykiwał na mnie... „Czy możemy dostać więcej orzechów?” i temu podobne. - Wzruszyła ramionami. - Ale był klientem i traktowałam go jak klienta, nie przejmowałam się tym, co o mnie myśli.

- Czy może widziała pani Gartha tamtego wieczoru, kiedy Adrianna była w barze?

- Nie pamiętam. - Nalała kawę, podała detektywom po kubku, usiadła na kanapie.

Marge upiła łyk i rozejrzała się za podstawką.

- Proszę odstawić kubek na stół - powiedziała Yvette. - Nie mam podstawek, bo rzadko przyjmuję gości. Nie gotuję, na rogu jest bar kawowy. Traktuję go jak drugi dom.

- Wygodne rozwiązanie - przyznał Oliver. - Czy jest pani gotowa obejrzeć zdjęcia?

- Tak, oczywiście.

Marge pokazała jej sześć fotografii, po trzy w rzędzie, które wybrała tego ranka. Mężczyźni mieli podobne rysy twarzy. Zdjęcie Tinsleya było na dole po prawej stronie.

Yvette z ociąganiem wzięła zdjęcia i przyjrzała im się. Nagle jej oczy zrobiły się okrągłe.

- O mój Boże, to on. - Wskazała palcem prawe zdjęcie u dołu. - To z nim Adrianna rozmawiała.

Marge i Oliver spojrzeli na siebie.

- Jest pani pewna?

- Absolutnie. Jeśli państwo wiedzieli, dlaczego mnie pytacie?

- Nie wiedzieliśmy, póki nam pani nie powiedziała - odparł Oliver.

- Ale umieściliście w zestawie jego zdjęcie - zauważyła Yvette. - Musieliście coś podejrzewać.

Marge wzruszyła ramionami, ale Yvette zaczęły się trząść ręce.

- Widział mnie! Widział mnie, obsługiwałam go. Teraz go rozpoznałam. Czy mam powód, by się bać?

Udając obojętność, Oliver pokręcił głową.

- Nie, po prostu go wezwiemy i porozmawiamy. Wiemy, gdzie go szukać.

- Skąd wiecie? Kto to taki?

- Właśnie chcemy się tego dowiedzieć.

Po wizycie u lekarza Rina wybrała się z Gabe'em na zakupy. Nalegał, że sam zapłaci, a ona nie oponowała. Ucieszył się z takiego obrotu sprawy, rozluźnił. Rina dobrze wiedziała, co robić, żeby się uspokoił, a nie czuł się przytłoczony. Nie próbowała mu matkować. Pozwoliła, by sam wybierał, ale jeśli miał pytania, służyła radą. Miała też ogromne poczucie humoru. Przypominała ulubioną nauczycielkę. Nim skończyli zakupy, Gabe niósł dwie torby ubrań i dwie pary butów sportowych. Powiedziała mu, że ma coś do zrobienia w szkole, więc podrzuciła go do domu i wręczyła komplet kluczy.

Poszedł do pokoju i znów zaczął porządkować szafę, żeby

zrobić miejsce na nowe rzeczy. Nie, żeby się wprowadzał, ale próbował trochę wygodniej się urządzić. Potem czytał, aż rozbolały go oczy. Spróbował usnąć, lecz bez powodzenia. Nudził się jak mops i czuł się opuszczony, więc wziął gitarę, choć wiedział, że nie powinien na niej grać lewą ręką.

E tam... Nie zaszkodzi, jak trochę sobie pogram. Byle nie za dużo, powiedział sobie. Powściągliwość... Nigdy mu jej nie brakowało.

Jeśli już, to raczej powinien nasycić swoją grę w równym stopniu uczuciem, co sprawnością techniczną. Lettech ciągle mu to powtarzał.

Prześladowała go pewna melodia, piosenka, którą usłyszał w radiu. *Crossfire*, utwór bluesowy, który unieśmiertelnił Stevie Ray Vaughan. Lubił Steviego Raya. Nie tylko doskonale technicznie grał na gitarze, ale też miał niesłychany gust muzyczny i jak nikt potrafił wyeksploatować każdą nutę. Podobało mu się, w jaki sposób wykorzystywał gitarę jako kontrapunkt dla swojego śpiewu, jakby prowadził dialog z instrumentem.

Podłączył wzmacniacz. Gitara była kiepska, ale wzmacniacz okazał się dobrej jakości i do pewnego stopnia niwelował słabą elektronikę instrumentu. Słyszając piosenkę w głowie, zaczął naśladować Steviego Raya, aż opanował do perfekcji melodię między partiami wokalnymi. Teraz pozostała jedynie solówka. Był tak pochłonięty muzyką, że nie usłyszał, jak otworzyły się drzwi. Kiedy uniósł wzrok, dwóch dwudziestokilkulatków gapiło się na niego. Nie wiedział, kim jest ten o jasnych włosach, ale chłopak

z czarnymi włosami i niebieskimi oczami był podobny do Riny jak dwie krople wody.

- Czy ja cię znam? - spytał czarnowłosa.

Jasnowłosa spojrział na czarnowłosego.

- Ja jestem Sam, to jest Jake...

- I mieszkamy tutaj - dodał Jake.

- A ty jesteś... - powiedział Sam.

- Gabe Whitman. - Wiedział, że się zaczerwienił. Wstał, wyłączył wzmacniacz, odłożył gitarę na łóżko. - Przepraszam, że bez pozwolenia ruszam wasze rzeczy.

- Żartujesz? - odezwał się Jake. - Moja gitara nigdy tak dobrze nie brzmiała. A już z całą pewnością nie działało się tak, kiedy ja na niej grałem. Jesteś świetny.

- Szczególnie w porównaniu z nami - dodał Sam. - W tej rodzinie słon wszystkim nadepnął na ucho.

Jake rzucił torbę na łóżko i otworzył szafę.

- Czysto i porządnie. - Spojrział na ubrania Gabe'a i wziął parę spodni z kieszeniami. - Zdecydowanie nie mój rozmiar.

Chłopak wciąż był czerwony jak burak.

- Zabiorę swoje rzeczy.

- Nie musisz tego robić - powiedział Jake. - Chodzi o to, co tu w ogóle robią twoje rzeczy?

- To długa historia, ale w skróconej wersji brzmi tak: wasi rodzice okazali się na tyle mili, by pozwolić mi się u nich zatrzymać.

- Od kiedy tu mieszkasz? - spytał Jake.

- Od pięciu dni.

- A jak długo zamierzasz tu zostać?

- To się jeszcze okaże.
 - Przyjechaliśmy tylko na weekend - wyjaśnił Sammy. - Nie zabieraj swoich rzeczy, jakoś się pomieścimy.
 - Hm, kiedy ostatnio liczyłem łóżka, były tylko dwa - powiedział Jake.
 - Mogę spać na kanapie - stwierdził Gabe.
 - Yonkelu, wiesz, że mamy łóżko wysuwane - przypomniał mu Sam. - Przez dwa dni jakoś się pomieścimy we trzech.
 - Nie będę spał na łóżku wysuwanym - oświadczył Jake.
 - Ja mogę na nim spać - zaproponował Gabe. - Albo mogę się przenieść na kanapę, żebyście czuli się swobodnie. A nawet spać na podłodze.
 - Bzdura - powiedział Sam. - Zagramy z Jakiem o to, który z nas będzie spał na łóżku wysuwanym.
 - Co takiego?
 - Wiesz, że ima nie pozwoli mu spać na kanapie. Przestań odwlekać to, co nieuniknione. Papier, kamień, nożyce. Jeśli nie zagrasz, oznacza to walkowera i śpisz na łóżku wysuwanym.
 - Odkąd właśnie ty ustalasz zasady?
 - I tak dalej, i tak dalej... Grasz czy nie?
- Obaj usiedli na łóżku i zegrali pierwszą turę. Papier Jake'a przegrał z nożycami Sama.
- Dwa na trzy - powiedział Jake.
 - Żartujesz sobie.
 - Daj spokój.
- W drugiej turze kamień Jake'a przegrał z papierem Sama.
- Kurde. Trzy na pięć.

- Ja będę spał na łóżku wysuwającym - upierał się Gabe. -
A tak w ogóle to nie ma sprawy. Na weekend przeniosę się
do ciotki.

- Kim jest twoja ciotka?

- Kim jest moja ciotka?

- Co to za pytanie? - skarcił Sammy Jake'a.

- Bardzo logiczne. Może jest zbrodniarką i dlatego nie
zamieszkał z nią.

- Ma na imię Melissa i nie jest zbrodniarką.

- To dlaczego nie mieszkasz z nią? - dopytywał się Jake.

- Yonkelu, próbujesz torturować chłopaka czy jesteś tylko
wścibski?

- I jedno, i drugie.

Gabe nadal był czerwony na twarzy.

- Wybiera się na weekend do Palm Springs z grupą
przyjaciółek. Zapropozowała, żebym pojechał z nimi, ale się
wymówiłem.

- Dlaczego?

- Dlaczego? I ona, i jej przyjaciółki uwielbiają imprezować,
a ja mam dopiero czternaście lat.

- I co w związku z tym?

- Chociaż wydaje się to dużą pokusą, to nie dla mnie.

- Ile lat ma twoja ciocia?

- Dwadzieścia jeden.

- Jest fajna?

- Bardzo fajna.

- Mam świetny pomysł - powiedział Jake. - Ty zostań tu,
a ja pojedę z Melissą.

Sammy trzepnął go w ramię.

- Pomóż mi przesunąć lampę i szafkę nocną.

- Ja to zrobię. - Gabe wyciągnął przewód z gniazdka i podniósł szafkę razem z lampą. - Gdzie mam postawić?

- W kącie - powiedział Sammy. - Wyciągnijmy to cholerne łóżko.

Bracia pochyłili się i wysunęli łóżko schowane pod jednym z łóżek. Kiedy zwolnili mechanizm, rama i materac gwałtownie się rozłożyły. Jake przesunął dłonią po materacu.

- Stosunkowo czysty.

- Wyjmij pościel - polecił Sammy.

- Ty ją wyjmij - odparł Jake.

- Ja wynająłem samochód, ty wyjmujesz pościel.

Gabe nie mógł się powstrzymać i wybuchnął śmiechem. Zdarzyło się to pierwszy raz od ponad dwóch miesięcy.

- Wiecie co? Umieć posłać łóżko. Gdzie jest pościel?

- Pójdę po nią - burknął Jacob i wypadł z pokoju.

- Wiem - powiedział Sammy. - Jesteśmy zabawni. Za dwa miesiące żenię się i kończę medycynę, on ukończył neurobiologię. Przyjeżdżamy do domu i zachowujemy się, jakbyśmy znów mieli dziesięć i dwanaście lat. Zgadnij, który z nas jest starszy?

- To nie ulega wątpliwości - odparł Gabe. - Gdzie studiujesz medycynę?

- W Kolegium Alberta Einsteina. To w Nowym Jorku.

- Znam to kolegium. Jestem z Nowego Jorku. Moja mama jest lekarzem.

- Jaką ma specjalizację?

- Medycyna ratunkowa. A ty o czym myślisz?
- O radiologii. Interesujesz się medycyną?
- Boże broń. Nie chcę mieć do czynienia z ludźmi.
- To wyklucza wiele zawodów - skomentował rozbawiony

Sam.

- Ale nie muzykowanie.

- Tak, Jake nie kłamał. Naprawdę grasz na gitarze jak zawodowiec.

- Tak naprawdę jestem pianistą. Och, zabrzmiało to pretensjonalnie. Mój główny instrument to fortepian.

- Nie mamy fortepianu.

- Wiem, ale wasza mama myśli o tym, by wypożyczyć go dla mnie.

- Czyli zostaniesz tu jakiś czas?

Gabe poczuł, że znów się czerwieni.

- Naprawdę nie wiem. Wasi rodzice są bardzo mili.

- Prawdę mówiąc, nie ma takich drugich.

Wszedł Jake i rzucił pościel Gabe'owi, który złapał ją i zaczął słać łóżko wysuwane.

- Jest pianistą - poinformował Sammy.

- Naprawdę? - spytał Jake. - Jesteś dobry?

- Niezły. - Gabe wzruszył ramionami.

Jake wyciągnął się na swoim łóżku.

- Tak poważnie, stary, co ty tu robisz?

Gabe przestał słać łóżko.

- Moja mama zniknęła i wasz tata jej szuka. - Gdy milczeli, wyraźnie nie wiedząc, co powiedzieć, dodał: - Wasz ojciec przypuszcza, że mój ojciec mógł ją zabić. Ja tak nie uważam.

Wasz tata chce porozmawiać z moim tatą, ale jest nieuchwytny.

- Wow! - wykrzyknął Jake. - Wybacz moje pytanie.

- Strasznie to wszystko pogmatwane, ale zdążyłem się przyzwyczaić.

- Jak doszło do tego, że zamieszkałeś z naszymi rodzicami?
- spytał Sammy.

- Moja matka poznała waszego ojca, gdy była nastolatką, więc kiedy przyjechaliśmy do Kalifornii, dała mi numer jego komórki, na wypadek gdyby coś się stało. Kiedy mama nie wróciła do hotelu w ostatnią niedzielę, zadzwoniłem do niego. Była późna noc, nie miałem dokąd jechać, więc zabrał mnie do domu. Pozwolili mi tu zostać, póki nie odnajdzie się jedno z moich rodziców. Mój tata wie, że tu mieszkam. Przypuszczam, że mama żyje i też wie, że tu jestem.

- A dlaczego nie chcesz się przeprowadzić do cioci?

- Kocham Melisę, ale różnimy się, jeśli chodzi o porządek. Fatalnie reaguję na bałagan.

- Kolejny pedant. - Jake przybił piątkę z Sammym. - Może mógłbyś pomóc naszej siostrze? Nie mogę wchodzić do jej pokoju.

- Ja też nie - przyznał się Gabe. - Robię się niespokojny.

- Idziemy na pizzę - oznajmił Sammy. - Wybierzesz się z nami?

Gabe był głodny, ale podziękował za zaproszenie.

- Nie, dziękuję. Wypakuję twoją torbę, jeśli chcesz.

- Nikt nie dotyka moich rzeczy - ostrzegł go Jake.

- Przepraszam. Już nie będę grał na twojej gitarze.

- Nabijam się z ciebie. - Jake zeskoczył z łóżka. - Możesz zatrzymać gitarę. Serio, już na niej nie gram. Właściwie nigdy dużo na niej nie grałem. Chodź z nami. - Lekko dźgnął Gabe'a w płaski brzuch. - Wyglądasz, jakby przydało ci się kilka dodatkowych kalorii.

Gabe poczuł, że robi mu się gorąco.

- Dzięki. Mogę zapytać, dlaczego tu przyjechaliście?

- Pomijając fakt, że tu mieszkamy?

- Przyjechaliśmy, żeby zrobić niespodziankę tacie - wyjaśnił Sammy.

- Właściwie jest naszym ojczymem, ale po tym, jak dzielnie zniósł wszystkie przykrości, których mu przysporzyłem, zasłużył sobie na miano taty.

- Porucznik kończy w niedzielę sześćdziesiąt lat - powiedział Sammy. - Zrobiliśmy niespodziankę jemu, naszej mamie i siostrze. Dzisiaj na siódmą zaplanowaliśmy wielką ucztę na posterunku. Wie o tym tylko nasza siostra przyrodnia i jej mąż.

- Czyli Cindy i Koby, tak?

- Widzę, że w krótkim czasie naprawdę się tu zadomowiłeś - stwierdził Jake. - Skoro już tu jesteś, możesz nam pomóc odebrać potrawy.

- Zamówiliśmy dość, by nakarmić cały posterunek - dodał Sam. - Odbieramy żarełko o piątej. Która jest teraz?

Gabe spojrzał na zegarek.

- Wpół do trzeciej.

- Wiesz, gdzie może być nasza matka? - spytał Jake.

- Chyba w szkole. Powiedziała, że wróci koło czwartej.

- Idealnie - ucieszył się Jake. - Powinniśmy dotrzeć do domu w samą porę. Idziesz z nami na pizzę czy nie?

- Jasne, że idę. Dziękuję. - Gabe wziął portfel i wsunął go do kieszeni spodni. - Super. Nie wiedziałem, że porucznik ma sześćdziesiąt lat.

Chociaż z drugiej strony skąd miał to wiedzieć?

Ciągle zapominał, że jest tu obcy.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY SZÓSTY

Detektywi widzieli na monitorze, jak Chuck Tinsley się wierci, umięśnioną prawą nogą poruszał w górę i w dół. Coś sobie też mamrotał pod nosem, cienkie wargi poruszały się, ale nie wypowiadały żadnych słów. Chociaż stawił się dobrowolnie – gliniarze poprosili go o pomoc – jego mina mówiła: „Wypuście mnie stąd”. Ciemnymi oczami w pooranej zmarszczkami twarzy rozglądał się po pokoju, nie potrafiąc na niczym skupić wzroku dłużej niż sekundę czy dwie. Muskularne ramiona i tors opinała szara koszulka. Poza tym miał na sobie spłowiałe dzinsy i buty sportowe. Na kolanach położył czarną, cienką nylonową kurtkę.

- Jest zdenerwowany – powiedział Decker do Olivera i Marge. – Jakby czuł się winny. Bądźcie w pobliżu, być może będę potrzebował wsparcia.

- Nigdzie się nie wybieramy.

Gdy tylko Decker wyszedł, Oliver spytał:

- Kiedy dostarczą potrawy na jego przyjęcie?

- Około wpół do siódmej. Do szóstej mamy go wyciągnąć z posterunku.

- Teraz jest czwarta. Sądziś, że uda mu się zakończyć sprawę w dwie godziny?

- Nie wiem, jak trudno będzie złamać Tinsleya. Miejmy nadzieję, że porucznik jest w szczytowej formie.

Tinsley był niemal tak zielony na twarzy jak wtedy, kiedy Decker zobaczył go pierwszy raz. Może powinien przynieść torebkę na wymiociny.

- Dziękuję, że pan przyszedł. - Postawił przed nim kubek kawy, położył kilka opakowań śmietanki w proszku i cukru. - Pomyślałem, że chętnie zajmie sobie pan czymś ręce.

Tinsley wziął kubeczek z kawą.

- Wyglądam na bardzo zdenerwowanego?

- Raczej na takiego, kto wolałby zajmować się czymś innym.

- To prawda. - Pociągnął łyk kawy, skrzywił się, dosypał śmietankę w proszku i cukier. - Nie wiem, co mógłbym jeszcze powiedzieć, czego nie powiedziałem za pierwszym razem. Jeśli mam być szczery, wolałbym zapomnieć o całym tym wydarzeniu. - Spuścił głowę. - To było straszne. Jak może pan codziennie zajmować się takimi sprawami?

- Lubię usuwać złych facetów z ulic miasta. - Decker usiadł na krześle obok Tinsleya. - Jest pan trochę spokojniejszy niż podczas naszego pierwszego spotkania. Może przypomniał sobie pan jakieś szczegóły?

- Konkretnie jakie?

- Nie wiem. - Porucznik wyjął notes. - Może zacznie pan od początku?

- To znaczy jak przyszedłem do roboty czy jak zobaczyłem...

Decker uśmiechnął się. Tinsley w nieudolny sposób próbował po swojemu pokierować rozmową, wyręczając w tym detektywa.

- Może zaczniemy od tego, jak ją pan zobaczył. To znaczy moje pytanie brzmi: kiedy po raz pierwszy zobaczył pan Adriannę Blanc?

Tinsley odchrząknął.

- Dotarłem na plac budowy za kwadrans druga. Zobaczyłem ciało jakieś pięć minut później.

- Proszę mi dokładnie powiedzieć, co się wydarzyło.

Wyrecytował wszystko z pamięci. Dotarł do domu Grossmanów za kwadrans druga. Chciał posprzątać przed wizytą inspektora. Zaczął zbierać śmieci, zauważył, że w jednym miejscu krąży dużo much, zobaczył ciało, upuścił worek na śmieci, wymiotował. Potem zadzwonił pod dziewięćset jedenaście. Cała jego relacja trwała pięć minut.

Wszystko pięknie, tylko że Yvette Jackson rozpoznała w Tinsleyu mężczyznę, z którym Adrianna rozmawiała w Garage'u. Dochodziła czwarta. Decker nie miał pojęcia, jak długo będą krążyć wokół prawdy, ale wiedział, że Tinsley wcześniej czy później się złamie. Porucznik przyglądał się swojej ofierze przez kilka sekund, próbując ją wytrącić z równowagi.

- Panie Tinsley, nie zapytałem pana, kiedy zobaczył pan zwłoki Adrianny. Spytałem pana, kiedy po raz pierwszy zobaczył pan Adriannę Blanc.

Tinsley znów odchrząknął.

- Nie rozumiem. Zobaczyłem ją, jak wisiała, jakieś pięć minut po tym, jak znalazłem się na placu budowy.

- Nie twierdzę, że było inaczej. Jestem pewien, że około trzynastej pięćdziesiąt zobaczył pan ciało powieszona na

krokwi. Ale nie o to pytam. Proszę posłuchać uważnie. – Decker się nachylił. – Kiedy po raz pierwszy zobaczył pan Adriannę Blanc?

– Koło trzynastej pięćdziesiąt w poniedziałek. – Tinsley szybko poruszał nogą. – Nie wiem, do czego pan zmierza.

– Dlaczego sądzi pan, że do czegoś zmierzam?

– Bo powtarza się pan.

– Bo nie odpowiada pan na moje pytanie. Kiedy po raz pierwszy zobaczył pan Adriannę Blanc?

– Odpowiadam na pańskie pytanie. Koło trzynastej pięćdziesiąt.

– Taka jest pańska wersja?

– Jak to „taka jest moja wersja”? – Ręce mu się trzęsły. – To prawda. Myślałem, że chce pan, żebym panu pomógł.

– Chcę pańskiej pomocy. Dlatego poprosiłem, żeby pan tu przyjechał.

– No więc jestem. Dlaczego wywiera pan na mnie presję?

– Nie nazwałbym tego wywieraniem presji, ale zdaje się, że mamy mały kłopot.

– Jaki kłopot? – Tinsley wyraźnie się zaniepokoił.

– Może zacznę od innego pytania. Gdzie pan był poprzedniego wieczoru? – Decker podał datę, żeby odświeżyć mu pamięć. – Czyli mówimy o niedzielnym wieczorze. Pamięta pan, gdzie pan był między siódmą a dziesiątą wieczorem?

Tinsley bez chwili wahania powiedział:

– Domagam się adwokata.

– Możemy panu zapewnić adwokata z urzędu. – Decker

wstał. – Albo może pan zatrudnić swojego adwokata. A na razie spisujemy pana dane i weźmiemy odciski palców...

– Jak to spiszecie moje dane i weźmiecie odciski palców?

– Może się pan spotkać z adwokatem tutaj. Postawimy pana w stan oskarżenia przypuszczalnie jeszcze dziś wieczorem...

– O co mnie oskarżacie? – Tinsley zerwał się na równe nogi.

Decker był od niego większy, ale tym ostatnim, czego pragnął, to bójki z Tinsleyem.

– Bardzo proszę, żeby pan usiadł.

Tinsley rozejrzał się, jakby nie zdawał sobie sprawy z tego, że wstał.

– Co tu się dzieje, do jasnej cholery? O co mnie pan oskarża?

– Mam do wyboru: matactwo, okłamywanie policji, może morderstwo...

– Ejże, ejże, ejże! – Tinsley z powrotem usiadł, na jego twarzy malowało się przerażenie. – Chwileczkę! Nikogo nie zamordowałem!

– Nie twierdzą tego. Spytał pan, za co pana zatrzymam...

– Nie wrobi mnie pan w to zabójstwo! – Dyszał głośno i pocił się obficie. – Nie mam nic wspólnego z jej śmiercią.

– Nie mogę kontynuować przesłuchania, panie Tinsley. Poprosił pan o adwokata.

– Proszę mi pozwolić powiedzieć tylko jedno...

– Poprosił pan o adwokata – powtórzył Decker.

– A jeśli powiem, że nie chcę teraz adwokata? Czy mogę

prosić o adwokata później?

- Panie Tinsley... - Decker westchnął. - Chuck... Mogę się do pana zwracać po imieniu?

- Może się pan do mnie zwracać, jak panu się żywnie podoba. Proszę mi tylko pozwolić coś powiedzieć.

- Jeśli chce pan ze mną rozmawiać, musi pan podpisać oświadczenie, że poinformowałem pana o przysługujących mu prawach i że zrzekł się pan pomocy obrońcy.

- Ale później mogę zażądać adwokata?

- Naturalnie.

- Gdzie mam się podpisać?

- Najpierw przedstawię panu pańskie prawa.

- Niczego nie podpiszę, póki nie powie mi pan, o co mnie pan oskarża.

- Zaczniemy od matactwa...

- Nie mataczę!

- Proszę pozwolić, że odczytam przysługujące panu prawa. Potem pan zadecyduje, co dalej.

- Nic nie zrobiłem!

- Proszę się zamknąć i mnie wysłuchać, dobrze? - W końcu Deckerowi udało się odczytać Tinsleyowi przysługujące mu prawa i obowiązki, po czym spytał go, czy wszystko zrozumiał.

- Czy wyglądam na idiotę?

- Tak czy nie?

- Tak.

- Proszę się tutaj podpisać.

Tinsley złożył podpis.

- Mogę teraz mówić?

- Chce pan zrezygnować z prawa do adwokata? Tak czy nie?

- Tak.

- Chociaż wcześniej prosił pan o adwokata, nie chce pan go teraz?

- Chcę tylko porozmawiać z panem przez kilka minut. Potem poproszę o adwokata.

Czyli chce się zorientować, ile wie policja, pomyślał Decker.

- Rezygnuje pan z prawa do adwokata, chociaż pięć minut temu prosił pan o adwokata?

- Już powiedziałem, że tak.

- Więc proszę się tutaj podpisać. Jest tu napisane, że chce pan rozmawiać z policją bez obecności adwokata. I że wie pan, że wszystko, co pan powie, może być wykorzystane przeciwko panu w sądzie.

- Dobrze, dobrze. - Złożył drugi podpis. - Czy teraz mogę powiedzieć, co mam do powiedzenia?

- Może pan powiedzieć wszystko, co pan chce, panie Tinsley. Zamieniam się w słuch.

- Nikogo nie zamordowałem! To bzdura! - Usiadł i skrzyżował ręce na piersiach. - To wszystko, co chciałem powiedzieć.

- Chuck... - odezwał się Decker. - Naprawdę sądził pan, że może pan iść do Garage'u, przez ponad godzinę flirtować z Adrianną i nikt pana nie rozpozna?

- Nie zabiłem jej.

- Nie powiedziałem, że ją pan zabił. Spytałem jedynie, czy sądzi pan, że może pan flirtować z Adrianną ponad godzinę i nikt pana nie rozpozna? - Gdy Tinsley nic nie powiedział, Decker mówił dalej: - Chuck, ma pan tam kumpli. Wołają do pana po imieniu. Chuck, chodź tu, Charley, zamów dla nas zimne piwo. Ludzie pana znają, Chuck. Nie jest pan idiotą, ale my też nie jesteśmy. Od dawna zajmujemy się naszą robotą.

- Nie zabiłem jej. Zemdliło mnie, kiedy zobaczyłem, jak wisi na belce stropowej.

- Więc jak się tam znalazła?

- Nie mam bladego pojęcia! Ja jej tam nie powiesiłem! - Do oczu napłynęły mu łzy. - Ktoś próbuje mnie zrobić. Przysięgam na Boga, że wyszła przede mną... Długo przede mną. Ktoś musiał... - Zaciśnął usta. - Nie skrzywdziłem jej. Nigdy w życiu nie skrzywdziłem żadnej kobiety!

- To niech mi pan powie, w jaki sposób Adrianna znalazła się na placu budowy, gdzie jest pan kierownikiem?

- Gdybym wiedział, powiedziałbym panu! - Otarł czoło skrajem koszulki. - Powinienem się do czegoś przyznać na samym początku, ale wiedziałem, że mi nie uwierzycie.

- Niech pan zacznie od początku, Chuck. Proszę mi powiedzieć wszystko. Poczuje się pan lepiej, jak wyrzuci pan to z siebie.

Tinsley zgarbił się na krześle.

- Nigdy wcześniej nie byłem w Garage'u.

- Więc kto pana tam zabrał?

- Kumpel zaproponował mi wypad do baru. Pojawiłem się

tam około wpół do ósmej. Adrianna już tam była, od razu ją zauważyłem.

- Co robiła?

- Rozmawiała z jedną z hostess, chyba miała na imię Emerald. Sprawiała wrażenie łatwej, znaczy się nie Adrianna, tylko hostessa. Czułem, że poszłaby ze mną do łóżka, ale nie była w moim typie. Teraz żałuję, że nie pojechałem z nią do domu. Zapewniłaby mi alibi.

Decker pomyślał, że i tak nic by to nie dało. Po pierwsze, Adriannę zamordowano w poniedziałek, nie w niedzielę w nocy. Po drugie, Crystal Larabee nie żyła. Tinsley nie wiedział, jakie ma szczęście, że nie spędził z nią tamtej nocy.

- Było około wpół do ósmej?

- Tak, mniej więcej.

- Proszę mówić dalej.

- No więc piłem z moim kumplem Paulem. Czy rozmawiał pan już z nim?

- Jest następny w kolejce - skłamał Decker. - Proszę mi przypomnieć, jak ma na nazwisko.

- Goldback.

- Przepraszam, że panu przerwałem. Proszę mówić dalej.

- No więc rozmawiałem z Paulem, ale patrzyłem na Adriannę. A ona rozmawiała z hostessą, ale patrzyła na mnie. Wie pan, jak to jest. Oboje wiedzieliśmy, że zaiskrzyło między nami.

- Rozumiem.

- Kiedy wypłem piwo, podszedłem do niej. Zaproponowałem, że postawię jej następnego drinka.

- Która była godzina?

- Może piętnaście, dwadzieścia minut później.

- Czyli za dziesięć ósma.

- Chyba tak. - Tinsley urwał. - Pomyślałem, że Adrianna jest trzeźwiejącą alkoholiczką, bo piła wodę sodową, ale potem mi wyjaśniła, że musi iść do pracy i dlatego nie zamawia nic mocniejszego. Powiedziała, że jest pielęgniarzką, że zajmuje się niemowlętami, że przysięgła sobie, że nigdy nie przyjdzie do pracy nietrzeźwa. Pomyślałem, że to bardzo uczciwe.

- Zgadza się. - Decker skinął głową.

- Potem powiedziała, że zna Emerald ze szkoły średniej, i jeśli chcę się czegoś napić, pewnie uda się ją namówić, żeby dała mi drinka za friko.

- Nie znam nikogo, kto pracuje w Garage'u i ma na imię Emerald, Chuck. Może ma pan na myśli Crystal?

- Jasne, Crystal. Adrianna rozmawiała ze mną o Crystal, o swojej pracy, to znaczy czym się zajmuje jako pielęgniarka, i takie tam. Ja opowiadałem o mojej pracy. Rozmawialiśmy ponad godzinę. Crystal podchodziła do nas i proponowała mi darmowe dolewki piwa. W końcu powiedziała, że musi iść, bo ma nocny dyżur. Znaczy się powiedziała to Adrianna.

- Która była wtedy godzina?

- Przed dziesiątą. Gdy spytałem, gdzie pracuje, odparła, że w szpitalu St. Timothy. Powiedziałem, że akurat nadzoruję pobliską budowę. Poprosiłem ją o numer telefonu i zaproponowałem, żebyśmy poszli na obiad albo na kolację.

- Co odpowiedziała?

- Żebym to ja dał jej swój numer telefonu. Nie wahałem się ani chwili, przecież wiele kobiet woli sprawdzić faceta, zanim się z nim umówi. Więc wręczyłem jej wizytówkę. Jest na niej numer komórki i adres mejlowy. Ale pamiętam, i to na sto procent, że na odwrocie napisałem adres budowy, gdzie aktualnie pracuję. Zależało mi na tym, chciałem, aby wiedziała, że naprawdę pracuję niedaleko szpitala St. Timothy, wcale nie wciskam jej kitu.

- Napisał pan na wizytówce adres domu Grossmanów?

- Tak, zgadza się.

- Znaleźliśmy jej torebkę, Chuck. Nie było w niej pańskiej wizytówki.

Tinsley pobladł, a Decker milczał, wziął go na przeczekanie.

- Kiedy znalazłem Adriannę, miała moją wizytówkę w kieszeni płaszcza. Zabrałem ją.

- Ma pan jeszcze tę wizytówkę? - Decker utkwiał w nim wzrok.

- Chyba tak.

- Chyba?

- Jest w nocnej szafce w mojej sypialni. Dostarczę ją. - Tinsley mówił bardzo przekonująco. - Nie rozumie pan, poruczniku? Ktoś znalazł moją wizytówkę w torebce albo kieszeni płaszcza Adrianny i powiesił ją na placu budowy, żeby mnie zrobić.

- Niewykluczone - zgodził się Decker.

- Tak było! Czy naprawdę sądzi pan, że jestem aż tak głupi, żeby zamordować kogoś, a potem ukryć zwłoki w miejscu,

które łatwo można powiązać ze mną? Musiałbym być idiotą.

Więzienia są pełne idiotów, o czym Decker doskonale wiedział, ale tę sentencję zachował dla siebie. Powiedział natomiast:

- Zdaje sobie pan sprawę z tego, że kiedy zabrał pan wizytówkę z kieszeni płaszcza denatki, dokonał pan ingerencji w dowody rzeczowe?

- Wiedziałem, że jak gliniarze by ją znaleźli, miałbym kłopoty.

- Teraz też ma pan kłopoty, Chuck.

- Przyznałem się do zabrania wizytówki. Czy byłbym na tyle głupi, żeby zostawić zwłoki tam, gdzie pracuję? Odpowiem na to pytanie. Odpowiedź brzmi „nie”. Ktoś zostawił wizytówkę w kieszeni płaszcza Adrianny, żeby rzucić na mnie podejrzenia.

- Możliwe, bo w tej chwili jest pan głównym podejrzanym.

- Panie poruczniku, przysięgam, że Adrianna wyszła z baru żywa. Wtedy ostatni raz ją widziałem, nim znalazłem jej zwłoki na placu budowy.

- Cofnijmy się nieco. Co robił pan po tym, jak Adrianna opuściła bar?

- Chwilę rozmawiałem z Em... z Crystal, a potem z inną laską, z Lucy. Ale nie było między nami chemii. Wyszedłem z Garage'u około jedenastej i udałem się prosto do domu. Nie pamiętam dokładnie, co potem robiłem. Zwykle kładę się spać między północą a pierwszą.

- Mieszka pan sam?

- Niestety tak.

- Proszę mi powiedzieć, co pan robił następnego dnia. W poniedziałek, w dniu, w którym znalazł pan zwłoki. O której godzinie się pan obudził?

- O wpół do ósmej. Zawsze wstaję o tej porze. Poszedłem na inną budowę, którą kieruje Keith, a konkretnie do domu pani Rosen przy Chloe Lane.

- O której godzinie się pan tam pojawił?

- Mniej więcej o wpół do dziewiątej. Spędziłem tam całe przedpołudnie, tak samo jak pani Rosen. Przyniosła mi kawę, może zaświadczyć, że tam byłem.

- Kiedy opuścił pan dom pani Rosen, żeby pojechać do Grossmanów?

- Wyjechałem około wpół do pierwszej i zatrzymałem się w Ranger's, żeby zjeść drugie śniadanie. To delikatesy. Kupiłem kanapkę z peklowaną wołowiną i musztardą. Pamiętam, bo potem to zwymiotowałem. Już nigdy nie będę mógł jeść peklowanej wołowiny, a bardzo ją lubiłem.

- Jak zapłacił pan za kanapkę?

- Jak zawsze gotówką.

- Niedobrze.

- Przykro mi - powiedział kpiąco Tinsley. - Nie wiedziałem, że będzie mi potrzebny paragon, by wybronić się przed oskarżeniem o popełnienie przestępstwa.

- O której godzinie wyszedł pan z Ranger's?

- Około wpół do drugiej i pojechałem prosto do Grossmanów. To jakieś piętnaście minut samochodem. Może pan sprawdzić.

- Co pan robił, jedząc kanapkę w Ranger's?

- Po prostu jadłem, może do kogoś zadzwoniłem. Czasami tak robię.

- Z komórki?

- Jasne. Nie poprosiłem, żeby mi pozwolili zadzwonić ze stacjonarnego.

- Czy ma pan coś przeciwko temu, żebym sprawdził billingi pańskiej komórki?

- Nic a nic.

- A jeszcze lepiej, gdyby dał nam pan komórkę.

- Proszę bardzo. - Tinsley wzruszył ramionami, po czym sięgnął do kieszeni nylonowej kurtki i wręczył telefon.

- Przepraszam na chwilkę. - Decker wstał i wyszedł.

Udał się do pokoju nagrań, gdzie Marge i Oliver obserwowali przesłuchiwanego na monitorze. Tinsley położył głowę na stole i sprawiał wrażenie, jakby usnął.

- Sprawdź to, Marge. - Dał jej komórkę. - No i co sądzicie?

- Zawsze podejrzliwie traktuję facetów, którzy próbują się zdrzemnąć po tym, jak policja ich maglowała.

- Powiedział, że wizytówka, którą dał Adriannie, jest w jego szafce nocnej - przypomniała Marge. - Może spróbujemy uzyskać jego zgodę na przeszukanie mieszkania?

- Dobry pomysł.

- Może kłamać, choć nie sądzę. Jeśli jego zeznania się potwierdzą, nie miałby dość czasu, żeby dokonać zbrodni. Niewykluczone, że od wpół do dziewiątej aż do chwili, gdy zadzwonił na policję, jest kryty.

- Tylko wtedy, gdy się wierzy w to, co mówi - powiedział Oliver. - Zresztą ile czasu potrzeba na szybki numerok?

- Gdyby to był tylko szybki numer, nie trwałoby długo - zgodziła się Marge. - Ale jeśli to bardziej wymyślna zabawa, której efektem było zabójstwo i przywiązanie zwłok kablem elektrycznym do krokwi, przy jednoczesnym rozglądaniu się, czy nie ma przypadkowych świadków, to myślę, że mogło trwać całkiem długo.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY SIÓDMY

Kiedy Marge poszła sprawdzić telefon Tinsleya, Decker wrócił do pokoju przesłuchań i usiadł za stołem.

- O czym rozmawialiście z Adrianną?

- O takich tam. - Westchnął. - Nadawaliśmy na tych samych falach.

- Na tych samych?

- Tak, zgadza się. - Spojrzał na Deckera. - Nawet nie wiem, co mówię. Chodzi o to, że dobrze nam się gadało. - Przerwał na moment. - Rozmawialiśmy o wielu sprawach.

- A bardziej konkretnie?

Tinsley wypuścił powietrze z płuc.

- Mówiłem o swoim fachu... Że lubię pracę fizyczną i fajnie jest, gdy pod koniec dnia widzę, że coś zrobiłem. - Decker tylko skinął głową, a Tinsley opowiadał dalej: - Adrianna mówiła, że właśnie z tych powodów też lubi swoją pracę. Czuje, że robi coś ważnego. - Starał się zebrać myśli. - Powiedziała, że jej praca jest stresująca, bo opiekuje się chorymi niemowlętami. - Znów umilkł. - Och, coś sobie przypomniałem. Powiedziała, że odczuwa dodatkowy stres, bo stara się zakończyć toksyczny związek. Ale i tak będzie musiała dalej pracować z tym facetem.

- Czy wspomniała, jak mu na imię?

- Nie, tylko tyle, że pracują razem. Niezbyt często w szpitalu wpadają na siebie, ale i tak jest to krępujące,

kiedy się akurat pokłóca.

- Rozumiem - powiedział Decker.

- Tak, tak, przypominam sobie coraz więcej. - Tinsley wyraźnie się ożywił. - Powiedziała, że chwila, kiedy uwolni się od tego faceta, jest coraz bliższa, potrzebuje tylko pretekstu.

- Jak pan na to zareagował?

- Powiedziałem coś głupiego w stylu: „Mam nadzieję, że posłużę ci za pretekst”, a ona roześmiała się. - Zamyślił się. - Ładnie się śmiała. W ogóle ładna była z niej dziewczyna. Miło spędziłem z nią czas. - Ukrył twarz w dłoniach. - Kiedy ją później zobaczyłem w takim stanie... Na samą myśl o tym ogarniają mnie mdłości.

Decker wiedział, że uczucia Tinsleya mogą być prawdziwe, ale to wcale jeszcze nie znaczy, że nie zabił Adrianny.

- Chuck, ma pan kilka możliwości - powiedział powoli, z naciskiem.

- Nie podoba mi się to stwierdzenie.

- Mogę pana aresztować za niszczenie dowodów rzeczowych i matactwo. Albo na razie nic nie zrobię, jeśli zgodzi się pan poczekać tutaj, póki nie sprawdzimy pańskiego telefonu i nie ustalimy, gdzie pan był w dniu popełnienia morderstwa.

- Co to za wybór? Tak czy owak, muszę tu zostać.

- Tak, ale niekoniecznie w areszcie.

- Ile to potrwa? - spytał po chwili namysłu.

- Może nawet większą część wieczoru. Mogę panu coś przynieść do jedzenia, jeśli jest pan głodny. - Gdy Tinsley

tylko wzruszył ramionami, Decker spytał: - Gdzie znalazł pan wizytówkę, którą dał pan Adriannie?

- Już mówiłem, w kieszeni jej płaszcza.
- A teraz jest w szufladzie pańskiej szafki nocnej?
- Przynajmniej była, kiedy ostatni raz tam zaglądałem.

Decker nie potrafił zrozumieć, dlaczego Tinsley po prostu nie wyrzucił tej wizytówki. Nieuwaga? Głupota? A może zatrzymał ją sobie jako łup?

- Czy będzie pan miał coś przeciwko temu, żebyśmy poszli do pańskiego mieszkania po tę wizytówkę? Mogą być na niej ślady biologiczne.

- Na przykład moje odciski palców albo DNA?
- Dotykał jej pan, więc to bardzo prawdopodobne.
- Dobra, jedźcie po wizytówkę. Może mi to pomoże.
- Jak już będziemy w pańskim mieszkaniu, możemy się po nim rozejrzeć? - spytał Decker.

- Po co?

- Będę wiedział, jak to zobaczę.

- W dolnej szufladzie komody mam kilka działek. - Uniósł rękę. - Nie wiem, dlaczego to panu powiedziałem. Chyba jestem w nastroju do spowiedzi po wszystkich tych latach, kiedy byłem niepraktykującym katolikiem.

- Jeśli kilka działek to najgorsze, co znajdziemy, to może pan być spokojny. Więc jak, tak czy nie?

- Proszę bardzo. - Tinsley sięgnął do kieszeni i dał Deckerowi klucze. - Może przy okazji pozmywacie naczynia.

- Nie sądzę. Czy w mieszkaniu jest alarm?

- Nie, nie ma tam nic, co warto by ukraść. Tylko telewizor

z płaskim ekranem. Wykupiłem pakiet z kanałami sportowymi. Dziś wieczorem grają Lakersi. Kiedy wrócicie, nie mówcie mi, jaki wynik. Zaprogramowałem nagrywanie i obejrzę po powrocie do domu... bez względu na to, kiedy to będzie.

We wszystkim, co zaplanowane, najważniejsze jest wycucie czasu. Potrawy dostarczono dziesięć minut po tym, jak Decker ponownie udał się do pokoju przesłuchań. Kto tylko był obecny, zakasał rękawy i rozstawiał jedzenie, więc kiedy przesłuchanie zbliżało się do końca, wszystko było gotowe. Gdy Decker wyszedł z pokoju przesłuchań, usłyszał głośny okrzyk:

- Niespodzianka!

Kompletnie zdezorientowany rozejrzał się wokół i zobaczył, co rodzina i pracownicy zorganizowali na jego urodziny.

Rina podeszła do niego i mocno objęła.

- Wszystkiego najlepszego, poruczniku.

Deckerowi aż odebrało dech, gdy dostrzegł, że są obecni również jego synowie.

- Co wy tu robicie, chłopaki?

- Możesz liczyć na mnie wszędzie tam, gdzie jest darmowa wyżerka. - Jacob mocno go uściskał. - Wszystkiego najlepszego z okazji urodzin, tato.

Następny był Sammy.

- Wszystkiego najlepszego z okazji urodzin, tato. - Objął go w niedźwiedzim uścisku. - Jak mówią, sto dwadzieścia lat.

- Czyli osiągnąłem półmetek. - Decker wciąż był oszołomiony, słysząc wkoło śmiech. - To wszystko dla mnie?

- Nie, dla Chucka Tinsleya - powiedziała Marge.
- À propos, poprosił o hamburgera.
- Będzie się musiał zadowolić peklowaną wołowiną z chlebem żytnim.
- Peklowana wołowina wywołuje u niego mdłości. Może lepiej indyk.

Znów rozległy się śmiechy.

Marge klasnęła w dłonie, żeby skupić na sobie uwagę, i oznajmiła:

- Czas płynie, niektórzy z nas muszą wracać do pracy. Proszę się częstować.

Następne dwadzieścia minut Decker ścisnął dłonie, obejmował członków rodziny, przyjmował życzenia urodzinowe. Policjanci utworzyli długą kolejkę do bufetu. Na półmiskach leżały pieczone kurczaki, peklowana wołowina, pastrami, wędzony indyk, mortadela, sałatka ziemniaczana, surówka z białej kapusty, siekana wątróbka, oliwki i pikle, cebula i pomidory. W koszykach było pieczywo żytnie oraz chałki.

Decker zwrócił się do Riny:

- Jak to wszystko zaplanowałaś bez mojej wiedzy?
- Akurat ja nic nie zaplanowałam, wszystko przygotowali chłopcy i Cindy. Nadal nie pojmuję, jak im się to udało zrobić w tajemnicy przede mną.
- Szkoda, że nie widziałeś ich min na nasz widok - powiedział Sammy. - Mina Riny była zabawna, a Hannah wprost bezcenna.
- Oszalałam z radości na ich widok. - Hannah położyła

głowę na ramieniu Sammy'ego.

- Jak się czuje Rachel, Sam? - spytał Decker.

- Wkuwa do końcowych egzaminów. Kazała cię pozdrowić.

- Ilana też - wtrącił Jacob. - Bardzo chciała przyjechać, ale też ma egzaminy końcowe.

- Będzie jeszcze okazja - powiedział Decker. - Zostajecie na weekend?

- Jasne, że tak! Nawet wysunęliśmy zapasowe łóżko, bo okazało się, że zastąpiliście nas nowszym modelem. - Kiedy Gabe się zaczerwienił, Jacob dodał: - Idź, zjedz peklowanej wołowiny, chłopcze. Potrzebujesz dużo białka.

- Jeszcze nie zgłodniałem po pizzy.

- W takim razie przygotuj kanapkę dla mnie, bo ja zgłodniałem.

- Słucham? - odezwała się Rina. - Czy tak nauczyłam was traktować gości?

- Nie jest gościem, tylko intruzem.

- W porządku. - Gabe uśmiechnął się nieśmiało. - Z czym chcesz kanapkę?

- Z pastrami i wędzonym indykiem na chlebie żytnim, do tego musztarda i wszystkie dodatki oprócz majonezu.

- Rozumiem. - Gabe się odwrócił, żeby przypuścić szturm na bufet.

Kiedy się oddalił, Jacob powiedział:

- Miły z niego dzieciak. Zdaje się, że ma problemy.

- Jak my wszyscy. - Decker objął synów. - Dziękuję, Yonkelu. Dziękuję, Shmueli. Nigdy nie zapomnę tego dnia.

- Kocham cię, staruszkule - powiedział Jacob. - A teraz...

mogę pożyczyć samochód?

Zbliżyła się Cindy, gryząc udko, i pocałowała ojca w policzek.

- Wszystkiego najlepszego z okazji urodzin, tato. Zasłużyłeś sobie na to wszystko i na więcej.

- Kocham cię, księżniczko. - Pocałował ją w policzek i zerknął na jej lekko zaokrąglony brzuch. - Jak się czujesz?

- O tej porze dnia jak zwykle umieram z głodu.

- Kiedy wielki dzień?

- Albo na Boże Narodzenie, albo na Nowy Rok - powiedziała Cindy. - No, jakoś tak mniej więcej.

- Nie znasz daty porodu? - spytał rozbawiony Jake.

- Niezbyt uważnie słuchałam, kiedy wynik testu okazał się dodatni. - Cindy zmierzwiła mu włosy i ugryzła kolejny kęs kurczaka. - Ach, jakie dobre. Koby, możesz mi przynieść jeszcze jedno udko?

Jej mąż dokończył kanapkę z indykiem na chlebie żytnim i wytarł dłonie w serwetkę.

- Nie ma sprawy. Też chętnie wezmę dokładkę. Czy jeszcze ktoś czegoś sobie życzy?

- Dla mnie jeszcze jedna kanapka - powiedział Sammy.

- Hannah? - spytał Koby.

- Wędzony indyk z chlebem żytnim.

- Rina?

- To samo co Hannah.

- Panie poruczniku?

- Ja dziękuję.

- Przecież nic nie zjadłeś - oburzyła się Rina.

- Nadal próbuję zrozumieć, jak do tego wszystkiego doszło.
- Próbuj dalej, a ja przyniosę ci kanapkę.
- Jest mnóstwo jedzenia - oznajmiła Rina. - Niech wszyscy jedzą do woli.

- Może weźmiemy trochę na szabas, żebyś nie musiała nic szykować? - zaproponował Sammy.

- Pierwszy raz od lat będę miała całą rodzinę wokół siebie - powiedziała Rina. - Naprawdę sądzicie, że podam w szabas zimne mięsa?

- To może pozwolimy moim współpracownikom zabrać to, co zostanie, do domu, żeby poczęstowali swoje rodziny?

- Jasne, świetny pomysł - zgodziła się Rina.

- Skoro na obiad nie będzie zimnych mięs, czy mogę prosić o łopatkę jagnięcą? - spytał Jacob. - Średnio wysmażoną, z zieloną fasolką i purée z czosnkiem?

Rina wzniosła oczy.

- Jeszcze jakieś życzenia, Yonkel?

- Placek z jabłkami nigdy nikomu nie zaszkodził.

Koby przyniósł Cindy udko, które spałaszowała na cztery razy.

- Kocham was wszystkich, ale nie możemy dłużej zostać. Czas wracać do pracy.

- Chwileczkę - powiedział Sammy. - Musicie poczekać na tort.

- Tort? - zdziwił się Decker. - Chyba nie zamierzacie mi zaśpiewać *Sto lat*? - Zwrócił się do Riny po pomoc. - Nie pozwól im tego zrobić.

- Decyzja nie należy do mnie.

Decker robił się coraz bardziej zdesperowany.

- Muszę wracać do pracy. W pokoju przesłuchań siedzi podejrzany o zabójstwo i zadaje sobie pytanie, co się dzieje.

- Prawdę mówiąc, właśnie u niego byłem - odezwał się Oliver. - Jest bardzo zadowolony z wędzonego indyka na chlebie żytnim.

- Yonkelu, idź po tort - powiedział Sammy.

- Ty przynieś tort.

- Ja przyniosę tort - oświadczyła Marge i zwróciła się do Olivera: - Chodź, detektywie, wprawmy porucznika w zakłopotanie.

Wniesiono tort, który bardziej przypominał palnik spawalniczy niż wyrób zakładu cukierniczego. W polewę czekoladową wetknięto sześćdziesiąt świeczek. Decker przygotował się na męki, kiedy wszyscy obecni w sali zaczęli śpiewać *Sto lat*, niemiłosiernie fałszując. Jego zdaniem jedynym plusem było to, że za jednym razem udało mu się zdmuchnąć wszystkie świece.

Kiedy Rina kroїła tort, Decker odszedł z Marge na bok i spytał:

- Co z telefonem Tinsleya?

- Tinsley rozmawiał z kilkoma osobami w poniedziałek, kiedy podobno jadł drugie śniadanie w Ranger's. Poprosiłam, żeby sprawdzono, skąd dzwoniono.

- Czy Ranger's obsługuje ta sama antena co dom Grossmanów?

- To też sprawdzamy.

- Tinsley pozwolił nam wziąć wizytówkę, którą wyjął

z kieszeni płaszcza Adrianny, a także przeszukać mieszkanie.

- Dobra robota, szefie. Teraz wiem, dlaczego to ty nim jesteś.

- Wiesz co, naprawdę muszę wracać do pracy. Nie mogę odwlekać tego bez końca.

- Nie, Pete, powinieneś zostać tutaj razem ze swoimi gośćmi. Ja z Oliverem pojedziemy do mieszkania Tinsleya. - Wyciągnęła rękę. - Poproszę o klucze.

- Nie chcesz mnie od tego uwolnić, prawda?

- Wszystko ma swój czas. - Położyła dłoń na ramieniu Deckera. - To jest twój czas, szefie.

Podczas przeszukiwania mieszkania Tinsleya znaleźli wizytówkę w szafce nocnej, kilka gramów taniej trawki, a także, co według detektywów było najistotniejsze, torbę z biżuterią damską. Tinsley przysięgał, że świecidełka są własnością jego zmarłej matki, ale Decker oczywiście wiedział, że zabiójcy często zabierają łup. Musiał się upewnić, że biżuteria nie należy do Adrianny Blanc, a to oznaczało telefon do Kathy Blanc i poproszenie jej, by obejrzała te wszystkie jubilerskie cacka. Jutro zapowiadał się okropny ranek.

Sprawdzono kartotekę Tinsleya. Okazało się, że nie był poszukiwany ani nigdy wcześniej aresztowany. Przekazano jego odciski palców do AFIS, ale nic się nie pojawiło. Pobrano też próbki śliny, żeby wyodrębnić DNA. Decker miał dylemat. Mógł albo dokonać aresztowania na podstawie oskarżeń o drobniejsze przewinienia, wiedząc, że wtedy Tinsley nie zgodzi się współpracować z policją, albo mógł go

wypuścić, nie przekreślając szans na pomoc Tinsleya w przyszłości. Koniec końców postanowił puścić go wolno, ale nie spuszczać z oka. Przydzielił radiowóz, by śledził każdy krok Tinsleya.

Zarówno Ranger's (delikatesy, gdzie Tinsley jadł), jak i dom Grossmanów (gdzie pracował) obsługiwała ta sama antena, czyli nie można było ustalić, skąd dzwonił. Pozostawało drugie wyjście, niestety mniej pewne i wiarygodne, to znaczy udanie się do delikatesów i wypytanie personelu, czy ktoś może potwierdzić, że Tinsley jadł tam drugie śniadanie w poniedziałek o dwunastej trzydzieści.

Była pierwsza w nocy, nim Decker dokończył papierkową robotę i udał się do domu. Wciąż był podekscytowany przyjęciem urodzinowym, ale dobry humor trochę mu psuła świadomość, że jutro czeka go wyjątkowo pracowity dzień. Miał nadzieję, że zazna odrobiny samotności przed położeniem się spać. Kiedy otworzył drzwi, w domu panowała cisza, paliła się tylko jedna lampa w pokoju dziennym. Spodziewał się, że zastanie Rinę przy lekturze, ale zobaczył Gabe'a owiniętego kocami.

- Co tu robisz o tak późnej porze?

Chłopak zdjął okulary i odłożył książkę.

- W pokoju jest bardzo ciasno, kiedy wysunie się dodatkowe łóżko, więc zaproponowałem, że prześpię się na kanapie.

- Bardzo ładnie z twojej strony, ale wcale nie śpisz.

- Ostatnio mam kłopoty ze snem.

- Jak twoja dłoń?

- Będzie sprawna. - Pomasował ramiona. - To naprawdę był łut szczęścia, że ją sobie nadwerżyłem. Inaczej nigdy nie przesłuchałby mnie sam Nicholas Mark. Lista studentów, którzy chcą się u niego uczyć, jest bardzo długa.

- Musiałeś wyrzucić na nim wrażenie.

- Nie wiem, jak mi się to udało, bo popełniłem wiele błędów, chociaż na pewno mniej, niż gdybym wiedział, że przysłuchuje się mojej grze. - Przyciągnął kolana do brody. - Czy mogę porozmawiać z panem chwilkę?

- Jasne. - Decker usiadł. - O co chodzi?

- Wie pan, że we wtorek rozmawiałem z Chrisem. Nie chciałem się do tego przyznać, bo obiecałem mu, że przez trzy dni zachowam to w tajemnicy. Chciał zyskać czas na wyjazd z Los Angeles.

- Właśnie to ci powiedział? - spytał Decker. - Że potrzebny mu czas na wyjazd z Los Angeles?

- W sumie o to chodziło. Prawdopodobnie sądzi pan, że gdzieś się ukrył. Według mnie chciał pana zgubić, żeby szukać mamy bez policyjnej asysty, że tak to ujmę. - Gdy Decker milczał, po chwili Gabe dodał: - Tak czy owak, może pan obejrzeć, co mi dał. Informacje dotyczące banków i billingi moich rozmów telefonicznych. Jest mi to obojętne. Dotrzymałem danej mu obietnicy i mam czyste sumienie. Może teraz uda mi się usnąć.

- Skoro już o tym mówimy... Rozmawiałem dziś z ochroniarzem z hotelu. Miał dużo do powiedzenia o twojej matce i ojcu.

- Ma pan na myśli ich kłótnię?
- Czyli wiedziałeś o niej.
- Chris mi powiedział. Mówił, że okropnie się posprzeczcza-
li i że pan się o tym dowie. Przysiągł, że mama żyła, kiedy się
z nią rozstawał.
- A ty mu wierzysz?
- Tak. Chris powiedział też, że zaproponował facetowi
pieniądze, a on je przyjął. Czyli na ile jest wiarygodny, skoro
wziął łapówkę?
- Ochroniarz miał z tego powodu wyrzuty sumienia i oddał
mi pieniądze. Według mnie można wierzyć jego relacji. -
Decker starannie dobierał słowa. - Ale powiedział mi o twojej
mamie kilka rzeczy, które skłaniają mnie do zadania sobie
pytania, czy Chris mówił prawdę, czy nie. Mianowicie
ochroniarz powiedział, że twoja matka wyglądała bardziej na
wściekłą niż przerażoną, kiedy im przeszkodził.
- Wściekłą czy zdenerwowaną?
- Wściekłą, czyli złą. Takiego użył słowa. Twoja mama była
zła na ochroniarza, że wtrącił się w ich sprzeczkę. A wygląda
na to, że ostro się awanturowali. Słyszał, jak twój tata nazwał
twoją mamę kłamliwą suką, a twoja mama nazwała twojego
tatę szalonym paranoikiem. Chodzi mi o to, że według
ochroniarza twoja mama nie wyglądała na przestraszoną.
- To dziwne. - Gabe oblizwał usta. - Chris był przekonany, że
śmiertelnie ją wystraszył.
- Powiedział ci to?
- Tak. - Gabe skinął głową.
- Ciekawe - mruknął Decker. - Bo... Wiesz, zastanawiam

się, czy po tych wszystkich latach twoja mama nie nauczyła się w końcu, jak bajerować ludzi. Według mnie Chris szybciej dałby jej spokój, gdyby była przerażona, a nie zła.

Gabe milczał.

- Naprawdę bardzo chciałbym porozmawiać z twoim tatą. Nie mam wyrobionego zdania w kwestii jego winy bądź niewinności i bardzo by mi pomogło, gdybym mógł poznać jego punkt widzenia. Gdybyś mógł się z nim skontaktować i poprosić, żeby zgodził się na rozmowę ze mną... Może nawet by się poddał badaniu wariografem, które prawdopodobnie nic by nie wykryło, nawet gdyby zamordował twoją mamę. - Decker zastanowił się chwilę. - Jeśli Chris nic jej nie zrobił, chciałbym się skupić na innych tropach. A jeśli twoja matka zniknęła z własnej woli... - Na przykład wyjechała z bogatym doktorkiem do Indii, dodał w duchu. - Cóż, dobrze by było nie marnować pieniędzy podatników na szukanie osób, które nie chcą, żeby je odnaleziono.

- Panie poruczniku, nie mogę zadzwonić do Chrisa i prosić o przysługę. Uzna, że go zdradziłem albo coś w tym rodzaju.

- Gabe potarł oczy. - Muszę poczekać, aż sam się ze mną skontaktuje.

- Skąd pewność, że to zrobi?

- Bo znam tatę. Będzie chciał wiedzieć, co pan wie, a najlepszym sposobem, by to ustalić, to wypytać mnie. Wtedy mogę mu powiedzieć „Decker chce, żebyś przyszedł i poddał się badaniu wariografem”. Prawdopodobnie odpowie na to „pieprzę go” albo coś w tym rodzaju, ale

przynajmniej będę mógł mu przedstawić pańską prośbę, nie wychodząc przy tym na zdrajcę.

Uczciwy kompromis, uznał Decker.

- Dobrze. Zaczekam, aż skontaktuje się z tobą. Kiedy zadzwoni, pozwól, żeby głównie on mówił.

- Dobrze. Chociaż Chris posługuje się milczeniem równie sprawnie, jak swoim mauserem. Ale wiem, jak z nim postępować. - Gabe znów potarł oczy. - Będę musiał coś mu dać w zamian.

- Powiedz mu o Atiku Jainsie. Prawdopodobnie i tak o nim wie. Nie wspominaj o tym, że twoja mama poznała hinduskiego lekarza.

- Czy miał pan okazję sprawdzić nazwiska, które podałem?

- Tak, i może otrzymam jakieś informacje. - Urwał. - Ile chcesz wiedzieć, Gabe? Bo jeśli będziesz coś wiedział, wtedy być może będziesz musiał okłamać ojca.

- Ma pan rację. Lepiej, jak nic nie będę wiedział. - Skrzyżował ramiona na piersiach. - Poza tym, jeśli specjalnie wyjechała, to co mi do tego? - W jego oczach błysnął gniew. - Niech sobie zaczyna nowe życie beze mnie. Ma do tego prawo.

- Jestem pewien, że jeśli zrobiła coś takiego, uznała, że najlepiej ci będzie bez niej.

- Taak... Czy nie wszystkie matki to mówią, kiedy oddają dzieci do adopcji?

- Nie jesteś już dzieckiem, tylko niezależnym facetem. Wie, że dasz sobie radę.

- No właśnie... I oto jak sobie daję radę.

- Wytrzymała przez prawie piętnaście lat. Po tym, jak twój tata ją pobił, przestała czuć się bezpieczna.

- Wiem. - Westchnął. - Ma pan rację. Prawdopodobnie uznała, że to ostatnia okazja odzyskania wolności. Miała słuszne powody, żeby zrobić to, co zrobiła, ale to nie zmniejsza bólu.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY ÓSMY

Zabrana z mieszkania Tinsleya biżuteria leżała na folii plastikowej na biurku Deckera. Wyjaśnił Kathy Blanc, na jakim etapie jest śledztwo i jaki jest cel identyfikacji tych przedmiotów.

Wściekła się, kiedy powiedział jej, że wypuścił Tinsleya.

- Pozwolił pan, żeby ten potwór wyszedł stąd jako wolny człowiek?

- Nie siedzi w areszcie, ale jest obserwowany - wyjaśnił Decker. - Możemy go zatrzymać w każdej chwili, kiedy zdobędziemy jakieś dowody rzeczowe świadczące przeciwko niemu.

- Nie wystarczy, że pracownica baru rozpoznała go jako tego, z kim rozmawiała moja córka? Nie wystarczy jego wizytówka w kieszeni płaszcza mojej córki? Nie wystarczy, że zwłoki mojej córki znaleziono w miejscu jego pracy? Jakże jeszcze potrzebne są wam dowody, żebyście dokonali aresztowania?

Pytania były retoryczne, ale Decker i tak na nie odpowiedział:

- Gdybyśmy znaleźli wizytówkę Tinsleya w jej torebce, mógłbym go zamknąć w areszcie. Bo prawda jest taka, że sam nam powiedział o wizytówce. Gdyby nie to, w ogóle byśmy o niej nie wiedzieli.

Kathy przyszła wyfiokowana i obwieszona biżuterią,

w szarych spodniach i czerwonej koszulce. Twarz miała koloru koszulki.

- Rzucił wam kość, a wy to kupiliście.

- Nie spuszczaamy go z oka, nasi ludzie nie odstępują go ani na krok. Niestety potrzebuję niezbitych dowodów. Niedawno rozmawiałem z zastępczynią prokuratora. Oświadczyła, że nie wniesie oskarżenia, póki nie zdobędziemy więcej dowodów winy Tinsleya.

- W takim razie jest idiotką.

- Pani Blanc, to, co mam na Tinsleya, łatwo można wytłumaczyć tym, co nam opowiedział. Poza tym nadal nie wiadomo, gdzie są Garth Hammerling i Mandy Kowalski. Można snuć przypuszczenia, dlaczego Garth się nie pojawił, ale z pewnością nie stawia go to w dobrym świetle.

- Powiedział mi pan, że Garth był osiemset kilometrów stąd, kiedy to się stało.

- Nie, powiedziałem, że Garth był osiemset kilometrów stąd, kiedy Adrianna udała się do pracy w niedzielę wieczorem. Wiemy, że wrócił do Los Angeles. Natomiast nie wiemy, czy widział się z Adrianną.

- W takim razie dlaczego go nie odszukacie? Czy nie za to wam płacą?

- Owszem, właśnie za to, a my robimy wszystko, co w naszej mocy, żeby odszukać Gartha i Mandy Kowalski. Jeśli jest z nią, to mamy podstawy do niepokoju.

Kathy skrzyżowała ręce na piersiach.

- Nigdy jej nie ufałam.

- Ciekawe, że to pani mówi. Przynajmniej raz okłamała

policję. Czy mogę spytać, dlaczego jej pani nie ufała?

- Nie wiem. - Ściszyła głos. - Sprawiała wrażenie miłej, ale była bardzo poważna. - Do oczu napłynęły jej łzy. - Gdyby była przyjaciółką Bei, pewnie inaczej bym ją oceniała, ale Adrianna nie miała takich przyjaciółek jak jej siostra. Lubiła osoby podobne do siebie, na luzie. Czułam również, że Mandy nie pochwałała zachowania mojej córki.

- Skoro tak bardzo nie pasowała do Adrianny i jej środowiska, dlaczego według pani zostały przyjaciółkami?

- To zabrzmiało okropnie... I nie mam żadnych podstaw, żeby tak myśleć...

- Proszę powiedzieć - poprosił Decker. - Lubię przypuszczenia.

- Odniosłam wrażenie, że Mandy lubiła Adriannę, bo mogła się przy niej czuć lepsza, na przykład kiedy jej pomagała w szkole pielęgniarstwa. Bo naprawdę pomogła. Ale kiedy Adrianna przestała być od niej zależna, według mnie Mandy stała się rozgoryczona.

- Czy to pani powiedziała, że Mandy przedstawiła Gartha Adriannie?

- Tak. - Kathy urwała. - Może dlatego Mandy była rozgoryczona, bo lubiła Gartha i wiązała z nim jakieś plany? Sama nie wiem... Tak czy owak, Mandy z całą pewnością różniła się od pozostałych przyjaciółek Adrianny.

- Na przykład od Crystal Larabee?

- Biedna Crystal. - Łzy popłynęły Kathy po policzkach. - Dziś przyjeżdża jej matka. Zaprosiłam Pandy, żeby zatrzymała się u nas do czasu, aż obie dziewczyny... -

Zaczęła szlochać. – Będą mogli spocząć w pokoju.

– To bardzo ładnie z pani strony.

Kathy wytarła oczy chusteczką.

– Czy wybiera się pan na pogrzeb?

– Kiedy się odbędzie?

– Jutro o jedenastej.

Czyli nie dość, że w szabas, to jeszcze w pierwszy od lat weekend, kiedy będzie obecna cała rodzina.

– Naturalnie, że przyjdę – powiedział.

– Bardzo ładnie z pana strony. – Znów otarła oczy chusteczką i utkwiała wzrok w złotej biżuterii. – Co dokładnie mam zrobić?

– Znaleźliśmy to w mieszkaniu Chucka Tinsleya. Twierdzi, że biżuteria należy do jego zmarłej matki. Chciałbym, żeby pani stwierdziła, czy któraś z tych rzeczy mogła należeć do Adrianny. Jeśli będzie pani chciała coś wziąć do ręki, by lepiej się przyjrzeć, dam pani lateksowe rękawiczki.

Przez jakiś czas oglądała biżuterię, trzymając ręce na kolanach.

– To wszystko żółte złoto, a Adrianna nigdy takiego nie nosiła. Uważała, że jest bardzo staroświeckie.

Decker zauważył łańcuszek z żółtego złota na szyi Kathy Blanc.

– Czyli zgodnie z pani wiedzą, nic z tych rzeczy nie należało do Adrianny.

– Zgodnie z moją wiedzą tak właśnie jest. Nie znam całej jej biżuterii, ale ta nie jest w jej stylu. Bardziej już w moim, ale na pewno nie w jej.

- Bardzo nam pani pomogła. Dziękuję, że zechciała się pani tu pofatygować. - Spojrzał na biżuterię i na dłużej zatrzymał na niej wzrok. Coś mu nie dawało spokoju.

- Czy pomogłoby panu w śledztwie przeciwko Tinsleyowi, gdybym zidentyfikowała którąś z tych rzeczy jako należącą do Adrianny? - spytała Kathy.

- Naturalnie. Byłby to ważny dowód.

- I aresztowałby go pan?

- Prawdopodobnie tak.

- Powinnam była skłamać. Powinnam była wziąć pierwszy przedmiot z brzegu i powiedzieć, że należał do Adrianny. - Na jej twarzy malowała się wściekłość. - Ależ jestem głupia. Tinsley powinien trafić za kratki.

- Tylko jeśli to zrobił. - Decker przestał wrzucać biżuterię do torby i spojrzał na panią Blanc. - Kathy, musi mi pani uwierzyć w jedno. Nie chciałaby pani, żeby przez panią niewłaściwy człowiek trafił do więzienia.

- Nie wiem, panie poruczniku. - Zacisnęła usta. - Pewnie bym wolała, żeby niewłaściwy człowiek trafił do więzienia... niż żaden.

W dyżurce, oficjalnie nazywanej centralą bezpieczeństwa szpitala St. Timothy, Peter był milczący jak zwykle, ale w jego oczach pojawił się błysk, kiedy skinął głową Marge i Oliverowi, co świadczyło, że traktuje ich już jak kumpli. Ivan Povich usadził detektywów przed wyłączonym monitorem i nalał kawy ze szklanego dzbanka do czterech styropianowych kubeczków.

- Świeża - zapewnił. - Peter dopiero co ją zaparzył.

Marge napiła się łyk.

- Dobra. Czy jest coś, czego Peter nie umie dobrze robić?

Milczący technik zasalutował jej.

- To hawajska kona - wyjaśnił Povich. - Zawiera mniej kofeiny, nie jest taka kwaśna. Peter, możesz pokazać oryginalne nagranie z kamery umieszczonej tam, gdzie podjeżdżają karetki pogotowia? To, które potem powiększaliśmy.

Peter zaczął grzebać w kasetach i wsunął jedną do odtwarzacza.

- Jak poszło? - spytała Marge. - Czy można kogoś rozpoznać?

- Sama się pani przekona. - Po chwili na monitorze pojawiły się czarno-białe obrazy. - To oryginalne nagranie. - Povich wykadrował obraz tak, żeby samotna kobieta, która czaiła się koło karetek, znalazła się w środku. Stopniowo powiększał obraz. - Im większe powiększenie, tym obraz jest bardziej zamazany, prawda? A teraz patrzcie. Peter, daj taśmę z powiększonymi kadrami.

Kiedy nowe obrazy pojawiły się na monitorze, Marge nie kryła zachwytu. Widziała różnicę: większy kontrast, ostrzejsze kontury.

- Ach. To zupełnie co innego.

Povich przewijał taśmę, aż dotarł do miejsca, które ich interesowało. Znów wszyscy skupili uwagę na postaci stojącej z boku. Povich powiększał obraz, aż szara ziarnista twarz osiągnęła maksymalną wielkość i ostrość.

Marge wpatrywała się w monitor.

- Wygląda mi na Mandy Kowalski. - Zwróciła się do Olivera. - A co ty sądzisz?

- Nie założyłbym się o własne życie. - Rozsiadł się na krześle. - Ale gotów jestem postawić pieniądze.

- Z której godziny pochodzi ten kadr? - spytała Marge.

- Z jedenastej czternaście - powiedział Povich.

- A Tinsley znalazł zwłoki o trzynastej czterdzieści pięć? - spytał Oliver.

Marge skinęła głową i dodała:

- Masa czasu, żeby powiesić ciało na placu budowy. Szpital St. Timothy znajduje się o rzut beretem. Iwanie, może pan cofnąć taśmę?

- O ile?

- O parę minut. Interesuje nas Mandy, ponieważ sądzimy, że mogła mieć coś wspólnego z zabójstwem Adrianny, i że pomogła załadować zwłoki do samochodu, by je wywieźć.

- Czyli szukacie worka na zwłoki? - spytał Povich.

- Worka na zwłoki, worka na śmieci, dużego pudła... Czegoś w tym rodzaju. - Marge wzruszyła ramionami. - Jeśli Mandy albo Garth ukradkiem wywieźli ciało, przypuszczalnie byli na tyle sprytni, by unikać kamer, dlatego szukam czegoś mniej oczywistego. Na przykład samochodu albo osoby, która nie pasuje do tego miejsca.

- Może lepiej byłoby to obejrzyć na posterunku - powiedział Povich.

- Kiedy może pan przynieść nagranie?

- Możecie je zatrzymać. To kopia. Peter zrobił ją dla was.

Marge zwróciła się do milczka.

- Zrobił pan kopię dla nas?

- Tak, zrobił - powtórzył Povich. - Ale nie wygadajcie się przed kierownictwem szpitala. - Wyjął kasetę. - Proszę. I powodzenia.

- Bardzo panom dziękujemy. - Marge wsadziła kasetę do torby. - Bardzo dziękujemy za okazaną pomoc.

- Tak, dziękujemy - powiedział Oliver.

Detektywi wstali i uścisnęli dłonie ochroniarzom. Kiedy wychodzili, Marge mocno klepnęła Petera po plecach - mówiąc w ten sposób bez słów „dobra robota”.

- O, tutaj! - Marge wskazała tył samochodu z otwartym bagażnikiem. - Nie spuszczaaj go z oka, bo za chwilę się znajdzie w rogu monitora.

- I obserwuj, co się będzie działo - powiedział Oliver.

Decker oglądał nagranie klatka po klatce. Jakiś mężczyzna w szarym mundurze pojawiał się i znikał z obrazu. Na jednym z ujęć trzymał czarny worek na śmieci, który z trudem umieścił w bagażniku. Potem zamknął bagażnik i zniknął z pola widzenia, a po kilku minutach samochód odjechał.

Marge włączyła światło i wyjęła kasetę. Dziś miała na sobie granatowy sweter i jasnobrązowe spodnie.

- Kiedy ten facet taszczył worek, a potem pakował go do bagażnika, o jedenastej czternaście na nagraniu pojawiła się Mandy. Jakies dwie minuty później samochód odjechał. Niestety nie widać numeru rejestracyjnego, ale wyraźnie widać bagażnik. Odwiedzę kilku dilerów samochodów, może któryś na podstawie tego będzie mógł określić markę

i model.

- Facet w mundurze jest mniej więcej tego samego wzrostu i tuszy co Garth, ale tylko tyle możemy o nim powiedzieć - dodał Oliver.

- Weźcie zdjęcia Mandy i Gartha, pokażcie je ludziom, którzy pracowali w izbie przyjęć w poniedziałek. Spytajcie, czy pamiętają, by widzieli ją lub jego. - Decker pomasaował skronie. - Jeszcze coś?

- W tej chwili nie - powiedziała Marge. - Dobrze się czujesz, Pete?

- Nic mi nie jest. - Przesunął dłonią po włosach. - Może dlatego, że kończę sześćdziesiątkę. Tak czy owak, wysłałem Wandę Bontemps do baru Ranger's, żeby spróbowała znaleźć kogoś, kto może potwierdzić zeznania Chucka Tinsleya. Spotkała kelnerkę, która go zna. Powiedziała, że zawsze u nich jada. Wydaje jej się, że był tam w poniedziałek około wpół do pierwszej, ale nie jest pewna.

- Może Tinsley nie kłamie - powiedziała Marge. - Może ktoś znalazł jego wizytówkę w kieszeni płaszcza Adrianny i go wrobił.

- Całkiem możliwe.

- Nie lubisz Tinsleya, prawda? - spytał Oliver.

- To on zgłosił znalezienie ciała, a poprzedniego wieczoru poznał w barze Adriannę. Nie powiedział nam o tym. Nie, nie lubię go. - Decker przygładził wąsy. - Coś jest z nim nie tak. Czułbym się lepiej, gdybym go zamknął. Ale nie siedzi w areszcie i mam wrażenie, że o czymś zapomniałem.

- Przypomnisz sobie.

- Tak, z pewnością. Miejmy nadzieję, że nie za późno.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY DZIEWIĄTY

Dom Deckera był znacznie mniejszy od domu Gabe'a w Nowym Jorku, więc kiedy wszyscy się zjechali, zrobiło się ciasno. Bracia zaprosili starych przyjaciół i cały ten tłumek zajął każdy centymetr kwadratowy wolnego miejsca. Ścisk i hałas sprawiły, że Gabe stał się nerwowy. Kiedy spróbował się schronić w kuchni, okazało się, że pełno tam garnków i patelni, a przygotowywane potrawy pachną smakowicie. Rina była w fartuchu, czoło miała mokre od potu. Przez grzeczność Gabe spytał, czy może w czymś pomóc. Poczuł ulgę, kiedy mu podziękowała za dobre chęci.

- W takim razie może pójde się przejść.

- Prawdziwy dom wariatów. Nawet ja się od tego odzwyczaiłam. - Rina dała mu kartkę i ołówek. - Na wszelki wypadek napisz numer swojej komórki i wstukaj numer mojej komórki do swojego telefonu. To na wypadek, gdyby coś się wydarzyło niespodziewanego.

- Dobrze, chociaż uważam, że nic mi się nie przytrafi.

- A co, jeśli ten bandyta wróci, żeby się zemścić?

Gabe wyjął iPoda i się uśmiechnął.

- Prawą rękę wciąż mam sprawną. Może kupić coś po drodze?

- Nie, mam wszystko. - Rina zmierzwiła mu włosy. - Nie zatrać się w swojej muzyce.

- Prawdę mówiąc, to idealny sposób zatrać się.

Uciekł od gwaru, ale nie minęło dziesięć minut, kiedy poczuł, że telefon wibruje w kieszeni. Wyciągnął go i zobaczył na wyświetlaczu, że numer jest zastrzeżony. Wiedział, że telefon stacjonarny w domu Deckera jest zastrzeżony. Prawdopodobnie dzwoniła Rina, żeby sprawdzić, co sływać. Rozwagał, czy nie pozwolić, by telefon dzwonił, ale prawdopodobnie Rina będzie wybierała numer aż do skutku. Wyjął z lewego ucha słuchawkę, nacisnął zielony guzik i powiedział:

- Cześć, wciąż żyję.

- Cieszę się, że to słyszę. Co ci się stało w rękę?

Głęboki głos po drugiej stronie nie należał do Riny.

- Chris? - Gabe zaczął się trząść. - Gdzie jesteś?

- Odpowiedz mi na pytanie. Co ci się stało w rękę?

- Nic. Wszystko w porządku.

- W takim razie po co byłeś u chirurga ortopedy?

Ten człowiek miał oczy naokoło głowy.

- To drobiazg, Chris. Nie warto o tym mówić.

- I tak mi powiedz.

- Wdałem się w bójkę. Trochę bolała mnie ręka. To nic poważnego, ale Rina... pani Decker nalegała, żebym poszedł do lekarza. Skąd o tym wiesz? Gdzie jesteś?

- Wdałeś się w bójkę? - W słuchawce zaległa cisza. - Nie znam nikogo, kto bardziej od ciebie unika konfrontacji. Co się wydarzyło, do jasnej cholery?

- Ktoś próbował mi wyrwać teczkę. Sprawilem mu manto i uciekłem.

- Dlaczego to zrobiłeś, do jasnej cholery?

- Bo miałem tam to wszystko, co mi dałeś.
- Gabrielu, to wszystko można odtworzyć, ale twoich rąk nie da się. Czy zupełnie ci odbiło?
- Nie wiedziałem, jak łatwo odtworzyć to, co mi dałeś, uwzględniając fakt, że ostatnio jesteś trudno osiągalny i bardzo się złościś, kiedy zawracam ci głowę.
- No to bym się zezłościł. Lepsze to, niż zmarnować sobie życie. Uważaj na dłonie, dobrze?
- Przecież nie zrobiłem tego celowo. Gdzie jesteś?
- Muszę kończyć.
- Decker uważa, że jesteś niewinny. Donatti zmusił się do śmiechu.
- Podpuszcza cię. Chce mnie załatwić.
- Być może. Chciałby, żebyś przyjechał na posterunek i poddał się badaniu wariografem.
- Pieprzę to.
- Uważa, że oczyści cię to z podejrzeń. Powiedział, że wariograf nic nie wykaże, nawet jeśli zamordowałeś mamę. Tym razem śmiech Donattiego był szczery.
- Ma rację. Powiedz mu, żeby się wypchał.
- Może powiem, że nie jesteś zainteresowany. Będzie wiedział o tym telefonie, bo sprawdza moje połączenia. Co mam mu powiedzieć?
- Mów, co chcesz.
- Co się dzieje z mamą?
- Spytaj swojego kumpla Deckera. Podąża moimi śladami. Co jeszcze ci powiedział?
- Niech się zastanowie... - Pauza, udawaj, że myślisz,

nakazał sobie. - Wie, że we wtorek byłeś w mieście. Powiedział, że obaj podążacie tym samym tropem, tylko jest parę kroków za tobą.

W słuchawce znów na moment zapadła cisza.

- Mów dalej.

- Decker sądzi, że być może znalazł samochód mamy. Powiedział, że szukałeś go w tym samym miejscu co on.

- I?

- Samochód, który znalazł, nie jest zarejestrowany na mamę. Więc może to nie jej samochód. Sprawdza to. Znalazłeś mamę?

- Nie, Gabrielu, nie znalazłem jej. Co jeszcze powiedział o samochodzie?

Staraj się nie mówić tak, jakbyś wyuczył się tekstu na pamięć, poinstruował się w duchu.

- Powiedział, że właścicielem samochodu jest jakiś Hindus. Podał mi jego nazwisko, ale zapomniałem.

- Atik Jains.

- Tak, zgadza się.

- Znajomo ci brzmi to imię i nazwisko?

- Nie znam nikogo takiego. A ty?

- Też nie. - Donatti urwał. - Więc nigdy nie widziałeś mamy z żadnym Hindusem? Spędzałeś z nią znacznie więcej czasu niż ja.

To, co teraz powie, musi zabrzmieć naprawdę bardzo przekonująco.

- Wcale tak dużo z nią nie przebywałem. Byłem albo w szkole, albo ćwiczyłem. Widywaliśmy się tylko dlatego, że

miałem lekcje w mieście.

- To ciekawe, Gabe, ale nie odpowiedziałeś na moje pytanie. Czy kiedykolwiek widziałeś ją z jakimś Hindusem?

- Nie pamiętam mamy z żadnym facetem, nie mówiąc już o Hindusie - skłamał. - Znaczący się jestem pewien, że rozmawiała z mężczyznami, ale nie zapamiętałem nic osobliwego.

W słuchawce znów zapadła długa cisza.

- No dobrze. Jak się czegoś dowiesz, daj mi znać. Zgoda?

- Jasne - znów skłamał Gabe. - Jesteś w Los Angeles?

- Nie. Zadzwoń do ciebie, jeśli znajdę twoją matkę. - Donatti umilkł. Przez chwilę Gabe sądził, że się rozłączył. W końcu Chris powiedział: - Dobrze ci tam, gdzie jesteś?

- To naprawdę bardzo mili ludzie, szczególnie gdy się wie, że jestem dla nich kimś obcym.

- Kiedy opadnie kurz, możesz zamieszkać ze mną. Jeśli chcesz wrócić do Nowego Jorku, zatrudnię ci gospodynię. Ale musisz coś wiedzieć. Uważam, że nigdzie ci nie będzie lepiej niż tam, gdzie jesteś teraz.

- Zgadza się głównie dlatego, że znalazłem nauczyciela.

Chwila milczenia.

- Kogo takiego?

W głosie ojca wychwycił prawdziwe zainteresowanie. Gabe'a łączyły z Chrisem tylko dwie rzeczy: mama i muzyka. Obie odgrywały w ich życiu dominującą rolę.

- Nicholasa Marka.

- Jak ci się to udało? - Donatti nie krył zaskoczenia.

- Zobaczył mnie w gabinecie tego lekarza od rąk.

Przypadkiem usłyszał moją grę i zgodził się udzielić kilku lekcji. Mam nadzieję, że dostrzeże, jak bardzo kocham muzykę, i przyjmie mnie na ucznia na stałe. Potrzebuję kogoś jego kalibru, jeśli w ciągu pięciu lat chcę wziąć udział w Międzynarodowym Konkursie Chopinowskim.

- Co dla niego zagrałeś?

- *Fantazję-Improptu* i *La Campanellę*.

- Zagrałeś *La Campanellę* z bolącą lewą dłonią?

- Tak. Robiłem błędy, ale uwzględniając okoliczności, nie aż takie straszne. Byłem odprężony, bo nie wiedziałem, że gram przed Nicholasem Markiem. Najważniejsze, że zgodził się udzielić mi kilku lekcji.

- Może w końcu zaczniesz wykorzystywać swój potencjał. Zawsze ci powtarzałem, że gdybyś przestał się objać, byłbyś jednym z najwybitniejszych pianistów.

- Dziękuję za komplement.

- Nie bądź gnojkiem. - Donatti milczał przez chwilę. - Tacy jak Mark się cenią. Jeśli potrzebujesz więcej pieniędzy, zadzwoń do jednej z moich firm, a ja przeleję więcej środków na twoje konto. Miło się z tobą gawędziło, Gabrielu, ale obowiązki wzywają. Muszę kończyć.

Ale Gabe nie był jeszcze gotowy się rozłączyć.

- Nie martwisz się, że mogę ustalić miejsce twego pobytu na podstawie tego telefonu?

- Ustalają, skąd prowadzi się rozmowę przez komórkę, sprawdzając wieże przekaźnikowe. Ale jeśli się dysponuje, czym trzeba, można temu zapobiec.

- Jeśli znajdziesz mamę, proszę, nie zrób jej krzywdy.

- Nie zrobię jej krzywdy. Skończyłem z tym. - Powiedział to bardziej do siebie niż do Gabe'a. - Jestem cholernie wkurzony, ale nie straciłem rozsądku. Trudno ze mną wytrzymać. Jeśli musi się z czymś uporać, rozumiem to. Chcę ją odszukać głównie dlatego, że ją kocham, poza tym wszystkie moje firmy są zarejestrowane na jej nazwisko. Zbliża się termin płatności podatków, więc musi podpisać dokumenty, bo inaczej leżę.

- Dlaczego nie podrobisz jej podpisu?

- Cały czas to robię, ale nie w tym rzecz. Jeśli została oficjalnie uznana za zaginioną... nie martwą, tylko zaginioną... to nie może niczego podpisać. Po prostu wszystko, co posiada, jest w stanie zawieszenia, póki sprawa nie zostanie prawnie rozstrzygnięta. Wolałbym, żeby żyła. Ale wolałbym, żeby była martwa niż zaginiona. Jeśli nie żyje, ty wszystko dziedziczysz. Nie przeszkadza mi to. Jeśli będziesz czegoś potrzebował, zadzwoń do jednego z moich lokali w Elko, dobrze?

- Co to znaczy, że ja wszystko dziedziczę?

- Ty jesteś spadkobiercą mamy, nie ja.

- Ale przecież to nie moje, tylko twoje.

- W świetle prawa będzie twoje.

- I będę musiał podpisać jakieś dokumenty, żeby ci to przekazać?

- Gabe, nie mogę być właścicielem burdeli i kasyn. Jestem przestępcą.

- Myślałem, że cię ułaskawili.

- Wypuszczono mnie z więzienia, ale nadal widnieję

w policyjnej kartotece. Nie martwię się tym, że mój majątek będzie oficjalnie należał do ciebie. Nie okradniesz mnie, bo to byłoby bardzo głupie. Jeśli potrzebujesz pieniędzy, mogę ci je dać. Uważaj na siebie. I nie wdawaj się więcej w bójki. – Umilkł. – Nie mogę uwierzyć, że pokonałeś bandytę. To zupełnie do ciebie niepodobne.

– Może mam w sobie więcej z Whitmana, niż obaj sądziliśmy.

– Może. – Chris umilkł. – Więc może rzeczywiście jesteś moim synem.

– Masz wątpliwości? – Gabe roześmiał się.

– Powstałeś w wyniku nieostrożności, która zakończyła się wpadką, a przez całe swoje życie byłem nieostrożny.

– Dzięki, że przypisujesz moje istnienie wpadce.

– Nie bądź takim palantem. Utrzymuję cię, prawda?

– Zrób testy na ojcostwo, Chris. Jestem na nie gotów.

– Może ty jesteś, ale ja nie. – Chwila milczenia. – Masz krewnych, Gabe. Masz mamę, ciocię i dziadka. I ojca... kimkolwiek jest.

– Zachowujesz się śmiesznie...

– Kto wie? – ciągnął Donatti. – Założę się, że w przyszłości twoja mama urodzi dziecko innego faceta i będziesz miał brata albo siostrę. A z całą pewnością, w przeciwieństwie do mnie, będziesz miał swoje własne dzieci.

– Wiesz, że powszechnie jestem uważany za twojego syna...

– Ja nie mam nikogo. Nie mam matki, nie mam ojca, nie mam braci ani sióstr, nie mam dziadków. Moi rodzice byli jedynakami, więc nie mam ciotek ani wujków czy kuzynów.

Nie znam żadnych krewnych poza tobą.

Zamilkł, a Gabe wyczuł, że powinien to przeczekać. Że to jeszcze nie koniec tego monologu.

- Gdyby się okazało, że nie jesteś moim synem - znów zaczął mówić - że twoja matka mnie zdradziła i pieprzyła się z jakimś innym facetem, kiedy ja siedziałem w pudle, powiem „adios” i palnę sobie w łeb. Wolę umrzeć, niż żyć jak ostatni przedstawiciel jakiegoś zagrożonego gatunku.

Marge zapukała we framugę otwartych drzwi do gabinetu Deckera, po czym weszła do środka.

- Z tego, co mówią dilerzy, to honda civic rocznik 2004. Takim samym wozem jeździ Garth.

Decker wskazał krzesło naprzeciwko biurka.

- Już wystawiliśmy nakaz poszukiwania tego wozu w całej Kalifornii. Zadzwoń do policji w Las Vegas i poproś o pomoc. Powiedz im, że może to być narzędzie przestępstwa.

- Już to zrobiłam. - Marge usiadła.

- Czy są skłonni do współpracy?

- Właściwie tak, ale sądzę, że detektyw Silver potraktowałby nas jeszcze poważniej, gdybyśmy osobiście się tam udali. Rozmawiałam z Oliverem. Chcemy tam pojechać w weekend i się rozejrzeć.

- Zgoda. Pojechałbym z wami, ale cała moja rodzina jest w mieście, no i muszę jutro iść na pogrzeb Adrianny Blanc.

- Pete, jeśli chcesz, możemy pojechać później, a ja pójdę na pogrzeb. Wiem, co sądzisz o pracy w szabas. No i jak często masz wszystkie swoje dzieci obok siebie?

- Dziękuję, ale muszę tam pójść. Jeśli się nie pojawię,

Kathy Blanc będzie na mnie wściekła, a już wystarczająco się wścieka. Pogrzeb jest o jedenastej, więc będę miał masę czasu dla rodziny po południu. Poza tym, chociaż to zupełnie irracjonalne, wciąż mam odrobinę nadziei, że pojawią się Garth i Mandy lub chociaż jedno z nich.

- Złudzenia sprawiają, że warto żyć.

- Mogę wam załatwić bilety na samolot do Las Vegas, jeśli wolicie zrezygnować z samochodu.

- Dzięki, ale uznaliśmy, że jazda samochodem nie tylko będzie mniej kłopotliwa, ale zabierze również mniej czasu. No i nie będziemy musieli wynajmować auta. Zachowamy rachunki za benzynę i hotel, żeby zwrócono nam pieniądze.

- W porządku. Gdzie jest Scott?

- Nadal w szpitalu St. Timothy. Próbuje znaleźć kogoś, kto widział Mandy albo Gartha tam, gdzie podjeżdżają karetki pogotowia. Rozmawiał z kilkoma sanitariuszami, którzy pracowali w poniedziałek, ale powiedzieli mu, że byli zbyt zajęci swoją pracą, by zwracać uwagę na cokolwiek.

- Dobrze wiedzieć, że sanitariusze poważnie traktują swoje obowiązki.

- Dobrze dla społeczeństwa, źle dla nas. - Marge przeciągnęła się. - Pójdę zadzwonić do Lonniego Silvera z policji w Las Vegas. Mam też informacje o beretce, którą mi dałeś wczoraj. - Kiedy spojrzał na nią skonsternowany, powiedziała: - Tę, którą się posłużono podczas napadu na Hannah.

- Ach, tak. Naturalnie skradziona.

- Tak, dwa lata temu. Należała do... - zajrzała do notatek -

doktora Raya Olsona z Pacific Palisades. Poddajemy ją badaniom balistycznym. Dam ci znać, jeśli coś ustalimy.

- Dobrze by było, gdyby przyniosło to coś dobrego.

- Jak sobie radzi Hannah?

- Chyba nieźle. - Pokręcił głową. - To straszne, co przeżyła. Powiniennem jej okazać więcej współczucia.

- Przynieś jej kwiaty, na ogół wszyscy je lubią. Kilka przecznic stąd jest kwiaciarnia. Kup jej coś słodkiego, na przykład słoneczniki.

- Co ja bym bez ciebie zrobił?

- Lepiej nie zaczynaj - odparła ze śmiechem. - À propos, zadzwonił Chuck Tinsley. Chce dostać z powrotem biżuterię.

W tym momencie Decker wreszcie doznał olśnienia.

- Marge, gdzie znalazłaś biżuterię? - spytał.

- Jak to gdzie? W miesz...

- Ale gdzie konkretnie? - wpadł jej w słowo. - Czy była na widoku?

- W szufladzie z bielizną.

- W torbie czy jak?

- Zaraz, niech pomyślę... Tak, w papierowej torebce na drugie śniadanie.

- Spisałaś wszystko, co zawierała?

- Naturalnie.

- I cały czas byłaś w rękawiczkach?

- Oczywiście. Nie chciałam zniszczyć DNA, gdyby się okazało, że coś z tego należało do Adrianny.

- Tak, jasne... - Decker skinął głową. - Powiedz Tinsleyowi, że biżuteria gdzieś się zawieruszyła, ale mamy spis. Jeśli nie

uda nam się jej odnaleźć, zwrócimy równowartość w gotówce. Przy obecnych cenach złota nie powinien narzekać.

- Rzeczywiście się zapodziała?

Z szuflady biurka wyciągnął torbę na dowody z biżuterią.

- Sama się przekonaj.

- O co chodzi, Pete?

- Kiedy zmarła matka Tinsleya?

- Nie mam pojęcia.

- Dlaczego ktoś taki jak Tinsley miałby zatrzymać biżuterię matki? Niektóre wyroby wyglądają na cenne, na przykład duża złota bransoletka wysadzana rubinami, a także brylantowy wisiołek w kształcie litery R. Można by za nie dostać niezłe pieniądze. Czy uważasz Tinsleya za osobę sentymentalną?

- Sądzisz, że jest złodziejem?

- Coś mi tu śmierdzi.

- Poproszę Wandę, żeby sprawdziła w wykazach skradzionej biżuterii. I dowiem się, kiedy zmarła matka Tinsleya.

- A przy okazji ustal, jak ona miała na imię.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY

Po wyjeździe synów, kiedy Hannah coraz rzadziej bywała w domu, Decker zapomniał, jak ciasno może być na dwustu czterdziestu metrach kwadratowych. Rina lubiła eufemizmy w rodzaju „funkcjonalny” i „przytulny”. Robiła ostatnie poprawki przy *tichel*, czyli chuście, którą wkładała w szabas. Zgodnie z żydowskim prawem mężatki miały obowiązek zakrywać włosy. Wybrała chustę z jedwabnego szantungu przetykaną błyszczącą nitką. Na jej twarzy prawie nie było widać oznak upływu lat, jedynie kurze łapki w kącikach oczu, jedna czy dwie zmarszczki na czole. Brakowało jej kilku lat do pięćdziesiątki, czyli według Deckera była jeszcze młodką.

- Ile czasu mi zostało do początku szabasu? - spytał.

- Jakies piętnaście minut. - Rina nałożyła jasnoróżowy błyszczek na usta. Po chwili dodała: - Jak miło, że będziemy wszyscy razem.

- Cudownie - powiedział Decker. - Chłopcy dobrze wyglądają.

Oczy Riny zaszyły łzami.

- Niezbyt często ich widuję. To już mężczyźni.

- Masz rację. Naprawdę bardzo ładnie z ich strony, że znaleźli czas, żeby przyjechać.

- Była wyjątkowa okazja.

- Według mnie posłużyło im to za wygodny pretekst. Przynajmniej moje sześćdziesiąte urodziny przydały się na

coś.

- To wyjątkowa rocznica urodzin. - Rina spojrzała w lustro.
- Która mija w rekordowym tempie. Jak dobrze, że są tu wszyscy.

- Zgadza się. A wiesz, co jest jeszcze lepsze? - Pocałował ją w czubek głowy. - Że za kilka dni wyjadą.

Myślał, że Rina go zbeszta, ale powiedziała:

- Wiem, co masz na myśli. Sześć dorosłych osób, do tego dorodnych, zajmuje dużo miejsca. A nawet siedem, jeśli policzyć Gabe'a. A ponieważ je z nami, to musimy go uwzględnić. Sądzę, że przygotowałam dość jedzenia, ale mogłam zapomnieć, ile są zdolni pochłonąć mężczyźni.

- Ja ostatni nałożę sobie na talerz - powiedział Decker.

- Nie, ty jesteś jubilatem - odparła Rina. - Poczęstujesz się jako pierwszy. Przygotowałam jagnię. To nie tylko twoja ulubiona potrawa, ale również Yonkela. Wprost promienieje szczęściem.

- Mówiąc „jagnię”, masz na myśli łopatkę jagnięcą?

- Tak.

- Ojej! Ile łopatek przyrządziłaś?

- Kiedy odejmie się kości, to wcale nie ma tak dużo mięsa, więc potrzebowałam ich sporo.

Decker się skrzywił.

- Ile to wszystko kosztowało?

- Lepiej, żebyś nie wiedział. - Rina stanęła na palcach i cmoknęła go w policzek. - I spokojnie możesz jeść, bo nie odniosę ich do sklepu. Upiekłam też całego indyka. Starczy na jutro i jeszcze zostanie. Wiem, że uwielbiasz kanapki

z indykiem na zimno.

- Jutro w porze obiadu chyba nie będzie mnie w domu.

Rina umilkła na chwilę, wreszcie spytała:

- Chyba czy na pewno?

- O jedenastej jest pogrzeb Adrianny Blanc. Spróbuję wrócić do domu na drugą.

- Nie śpiesz się, zaczekamy na ciebie. - Włożyła buty. - Biedni rodzice. Cóż za bestialskie morderstwo. Ile miała lat? Była w wieku Cindy?

- Trochę starsza od Sammy'ego. Zabójstwo człowieka bez względu na wiek jest czymś strasznym, ale szczególnie przeraża, gdy ofiara jest młoda. Bardziej tragiczna jest tylko śmierć dziecka. - Przez chwilę milczał. - Co dziś na deser?

- Gdybyśmy trzymali się tradycji, zrobiłabym dla ciebie tort, ale zamiast tego upiekłam placki.

- I bardzo dobrze. Ubóstwiam placki.

- Dlatego się na to zdecydowałam. Masz do wyboru placek z brzoskwiniami, z truskawkami i z wiśniami. Do tego koszerne lody waniliowe lub koszerna bita śmietana, jeśli ktoś sobie zażyczy.

- Muszę wybrać jeden placek?

- Możesz zjeść wszystkie trzy. To jeden z przywilejów jubilata.

- W takim razie zjem po kawałku każdego. Jak znam życie, zbyttno się objem i mnie zemdli. Powinnaś przyrządzić tylko sałatkę.

Rina się roześmiała.

- Moja rodzina jest w komplecie po raz pierwszy od

wieków, a ja miałam zrobić sałatkę?

- Nie potrafię się opanować, jeśli chodzi o jedzenie.

- Jak zajrzysz do apteczki, przekonasz się, że mamy zapas renazolu i pepto-bismolu, jest też tums. Znasz moją zasadę: jedz, pij, a potem łyknij rennie.

Nabożeństwo trwało czterdzieści pięć minut, potem pastor ogłosił, że każdy, kto chce zabrać głos, może to zrobić. W kościele było ze sto osób, ale nikt nie palił się do wystąpienia. W końcu Sela Graydon podeszła do mikrofonu i szlochając, wygłosiła ściskającą za serce mowę pogrzebową ku czci swoich dwóch najlepszych przyjaciółek. Postarzała się, miała zapadnięte oczy i ziemistą cerę. Po Seli wystąpiła Alicia Martin, która się przedstawiła jako najlepsza przyjaciółka Kathy. Potem do mikrofonu podeszła kolejna przyjaciółka i jeszcze jedna, i następna. Nabożeństwo skończyło się kilka minut po pierwszej.

Decker nie chciał się narzucać pogrążonym w rozpacz rodzicom, ale zdaje się, że dla Kathy jego obecność była ważna. Czekał cierpliwie na końcu kolejki, by złożyć wyrazy współczucia i pocieszenia. Kathy jak zawsze ubrana była sztywno. Miała czarną dzianinową sukienkę ze złotym paskiem, czarne pantofle i okulary przeciwsłoneczne w szylkretowej oprawce. Zobaczyła Deckera na końcu kolejki i dała mu znak, żeby podszedł. Chociaż widział ją wyraźnie, przecież górował nad większością żałobników, niełatwo było postawnemu mężczyźnie precyzyjnie przycisnąć się przez zbitą ludzką ciżbę. Kiedy w końcu mu się to udało, Kathy ujęła jego wyciągniętą rękę w obie dłonie.

- Dziękuję, że pan przyszedł. - Do jej oczu napłynęły łzy. - Sam pogrzeb jest tylko dla rodziny. Mam nadzieję, że pan to rozumie.

- Owszem. Chcą się państwo pożegnać bez obecności osób postronnych.

Odwróciła wzrok i osuszyła oczy chusteczką jednorazową. Potem znów spojrzała w twarz Deckera.

- To Pandora Hurst. - Wskazała kobietę po swojej prawej stronie. - Matka Crystal.

Decker podał jej dłoń.

- Bardzo mi przykro w związku z poniesioną przez panią stratą, pani Hurst.

Pandora Hurst spojrzała na niego wyblakłymi suchymi oczami. Miała długi nos, cienkie usta i bladą cerę. Nie odezwała się ani słowem.

- Czy mogę przeprosić na chwilę? - powiedziała Kathy.

- Naturalnie - odparł Decker. - Proszę przekazać moje kondolencje swojemu mężowi.

- Dziękuję. - Kathy odeszła kilka kroków i padła w ramiona Alicii Martin, po czym wybuchnęła szlochem.

Decker skupił uwagę na Pandorze Hurst. Miała na sobie długą czarną sukienkę przypominającą przebranie czarownicy. Siwe włosy upięła w kok przytrzymywany kilkoma grzebykami z kości słoniowej.

- Jeśli czegoś pani potrzebuje, pani Hurst, proszę mi powiedzieć.

- Może mi pan mówić Pandy. - Jej głos pozbawiony był wszelkich emocji. - Kiedy oddadzą mi państwo zwłoki córki,

żebym mogła je pochować?

- Spytam osoby, które się tym zajmują.

- Chcę ją zabrać ze sobą do Missouri. - Pandy skrzyżowała ramiona. - Dostałam całą masę formularzy do wypełnienia. Nigdy nie byłam w tym dobra.

- Postaram się, żeby ktoś pani pomógł przy ich wypełnianiu.

- Kiedy byłoby to możliwe?

- Kiedy tylko pani zechce. Mnie najbardziej odpowiadałby poniedziałek rano, ale może być wcześniej.

- Czy wydadzą mi w poniedziałek ciało córki?

- Nie wiem. Muszę zadzwonić i się dowiedzieć. Czasami w weekend wszystko działa wolniej.

- Nikt nie umiera w soboty i niedziele?

- Zwykle w weekendy pracuje mniej osób. Jeśli to tylko możliwe, wstrzymują się z pracą do poniedziałku.

- Czyli pracują tak, jak im wygodniej.

- Natychmiast zadzwonię i poinformuję panią, jak tylko do mnie oddzwonią - powiedział Decker. - Wiem, że to dla pani trudny okres, ale pomogłoby mi w śledztwie w sprawie śmierci pani córki, gdybym mógł porozmawiać z panią o Crystal.

- Nie teraz. - Pokręciła głową. - Nie teraz.

- A jutro albo w poniedziałek?

- Może w poniedziałek. Pomoże mi pan przy formularzach?

- Naturalnie.

- Chcę ją zabrać ze sobą do Missouri. - Pandy potarła ramiona. - Nigdy nie lubiła Missouri.

- Nie wiedziałem o tym.
- No cóż... Teraz pan wie.
- Myślałem, że wychowywała pani Crystal w Los Angeles.
- I słusznie pan myślał. Wyprowadziłam się stąd z uwagi na męża. Pięć lat później rzucił mnie i zaczął się uganiać za młodymi mężczyznami. Byłam albo głupia, albo ślepa, kiedy wychodziłam za Jacka. Kiedy mi się przyznał do swojej orientacji seksualnej, powiedziałam mu, że nie mam do niego pretensji, ale Crystal trudno było się z tym pogodzić.
- Dzieci zwykle mocno przeżywają rozwód rodziców.
- Tak, na dodatek dowiedziała się, że jej ojciec jest gejem.
- Wzruszyła ramionami. - Po tym, jak rozstaliśmy się z Jackiem, zabrałam Crystal do Missouri, żeby odwiedzić moich rodziców. Chciałam, żeby poznała dziadków, ale nic jej się tam nie podobało. Narzekała na upał, na komary, na wilgotność powietrza, na obóz, na który ją wysłałam, na inne dzieciaki. Kiedy postanowiłam się tam przenieść na stałe, wprost zaniemówiła. Nie mogła zrozumieć, czemu chcę mieszkać na mokradłach z prostytutkami. Próbowалаm jej tłumaczyć, że tęsknię za bliskimi, że chcę być wśród ludzi, którym na mnie zależy.
- Rozumiem - powiedział Decker.
- Pan może rozumie, niestety ona za nic nie mogła tego pojąć. Ale taka właśnie była Crystal. Nigdy nie rozumiała, co to prawdziwa przyjaźń. Każdy, kogo spotkała, był jej najlepszym przyjacielem.

Autostrada numer I-15 z Los Angeles do Las Vegas biegła prosto jak strzała, więc pokonanie prawie czterystu

pięćdziesięciu kilometrów powinno im zająć około czterech godzin, gdyby się nie zatrzymali w jednej z ulubionych restauracji Olivera. Lokal słynął z niskich cen, dużych porcji i czystych toalet, więc trudno było nie skorzystać z takiej okazji. Scott zamówił cheeseburgera z frytkami, a Marge wybrała zapiekankę z tuńczykiem. Oboje wzięli na deser jabłecznik.

Dotarli do głównej arterii Las Vegas o drugiej po południu. Niebo było bezchmurne, temperatura wynosiła około trzydziestu stopni. Kiedy wolno jechali w kierunku północnym Las Vegas Boulevard, na złotej szklanej elewacji Mandalay Bay odbijała się fasada Four Seasons. Bezlitosne słońce oślepiało ich, gdy jechali wzdłuż Stripu. Olbrzymie hotele nie dawały cienia, bo wznosiły się pionowo niczym monolity pobudowane pośrodku pustyni Mojave. Oliver zarezerwował pokoje w małym motelu w bok od Stripu. Hol przypominał jasno oświetlone atrium. Znajdowały się tam bar kawowy, recepcja i cały rząd automatów do gier, które pobrząkiwały i błyskały światelkami, nawet kiedy nikt na nich nie grał.

Kiedy się zameldowali i rozpakowali w swoich pokojach, Marge walnęła się na łóżko i zadzwoniła do detektywa Lonniego Silvera.

- Mówi sierżant Dunn.
- Witamy w Las Vegas. Czy był duży ruch?
- Nie, nie było tak źle. Pogoda nam sprzyja.
- Tak, na dworze jest ślicznie. Zbyt ślicznie, by siedzieć w pracy.

- Czy coś wiadomo o Garcie Hammerlingu? - spytała Marge.

- Nie znalazłem ani jego, ani tamtej kobiety, ale godzinę temu dostałem intrygującą wiadomość. Dobrze, że przyjechaliście.

- Zabrzmiało to groźnie.

- To intrygujące, nie groźne, przynajmniej jak do tej pory. Jestem akurat zajęty przy innym śledztwie, ale czy możemy się spotkać za dwie godziny?

- Gdzie?

Silver spytał Marge, gdzie się zatrzymali, a potem zdecydował:

- Przyjadę do państwa i zadzwonię, jak dotrę. W holu jest bar kawowy, możemy tam porozmawiać.

- To jesteście umówieni.

Po chwili Oliver zapukał do drzwi łączących ich pokoje. Gdy tylko wszedł do środka, Marge powiedziała:

- Mamy spotkanie za dwie godziny. Wprawdzie Lonnie Silver nie znalazł Gartha Hammerlinga, ale ucieszył się z naszego przyjazdu. Powiedział, że właśnie dotarła do niego jakaś intrygująca wiadomość.

- To znaczy?

- Nie mam pojęcia, ale wkrótce się dowiemy. - Spojrzała na zegarek. - Mamy trochę czasu, pogoda jest idealna, więc popływam w basenie.

- Baw się dobrze.

- A co ty będziesz robił?

- Przez ostatnie pięć godzin siedziałem, więc pójdę na

spacer. Zobaczą, co się dzieje w mieście.

- Wiesz, co się dzieje w takim mieście, Oliverze. Ludzie zaprzędają duszę hazardowi. Ile wzięłaś ze sobą pieniędzy na przetracenie?

- Odkąd jesteś taka zasadnicza?

- Mam w nosie, że w Las Vegas prawie wszyscy dostają kręcka na punkcie hazardu, nie chcę jedynie, żeby mój przyjaciel i partner splukał się do ostatniego grosza. - Wyciągnęła rękę. - Dawaj połowę forsy. Później mi podziękujesz, kiedy stracisz ochotę na grę, a w kieszeniach poczujesz pustkę.

Oliver rozważył słowa Marge, a potem odliczył pięć banknotów studolarowych i wcisnął jej do ręki.

- Nie wiem, dlaczego to robię.

- Może dlatego, że mam rację.

- Wrócę za godzinę - burknął. - Spróbuję szczęścia w ruletkę. W dzień obowiązują niższe stawki. Poznałem nowy system i chcę go wypróbować. I à propos, nie zamierzam przegrać.

- Jak wszyscy, Scott, jak wszyscy. Dlatego zjeżdża tu tyle luda, a hotele się rozbudowują.

Decker z przyzwyczajenia włączył komórkę po wyjściu z nabożeństwa żałobnego za Adriannę Blanc i jak zwykle zobaczył liczne SMS-y. Postanowił je przeczytać, żeby potem w spokoju zjeść obiad i cieszyć się swoją rodziną. Podczas wczorajszej kolacji panował hałas, młodzi rozmawiali z prędkością karabinu maszynowego. Chwilami czuł się jak na meczu tenisowym, kręcąc głową to w lewo, to w prawo,

by śledzić rozmowy. Ale świetnie się bawił, bo wiedział, że nie potrwa to długo. W poniedziałek w domu znów zapanują cisza i spokój.

W poczcie głosowej zostawiono mu dwie wiadomości.

Pierwsza brzmiała:

Cześć, szefie, tu Wanda. Przepraszam, że zakłócam ci spokój w szabas, ale wyniknęło coś, o czym na pewno chciałbyś wiedzieć. Oddzwoń jak najszybciej.

A druga tak:

Czołem, panie poruczniku, tu Gabe Whitman. Detektyw Bontemps zostawiła wiadomość na automatycznej sekretarce, próbuje się z panem skontaktować. Mówi, że to ważne. Rina powiedziała, że powinien pan jechać na posterunek i nie przejmować się obiadem. Zje z panem, kiedy wróci pan do domu. Wybrano mnie, żebym do pana zadzwonił, bo nie jestem Żydem. Cieszę się, że mogłem się na coś przydać.

Chociaż Deckera rozbawił żartobliwy ton wiadomości od Gabe'a, jej treść sprawiła, że westchnął w duchu. Zawrócił samochód i pojechał do pracy.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY PIERWSZY

Gdy tylko Decker wszedł do budynku policji, Wanda Bontemps wstała od biurka, mając pod pachą plik dokumentów. Decker skinął do niej, nalał sobie kawy. Przekręcił klucz w drzwiach do swojego gabinetu, włączył światło i poprosił, żeby Wanda usiadła. Miała na sobie żółtozieloną koszulę z długimi rękawami, czarne spodnie i buty na kauczukowych podszewkach. Uszy ozdabiały złote kółka, długie paznokcie pomalowała na brązowo, pod kolor swojej skóry.

Decker wciąż był w czarnym garniturze i niewygodnych mokasynach. W samochodzie zdjął krawat. Teraz zdjął marynarkę i powiesił ją na krześle.

- Jak tam nabożeństwo? - spytała Wanda Deckera.

- Przygnębiające. Kathy Blanc przedstawiła mnie matce Crystal Larabee.

- Jak przebiegła rozmowa?

- Również przygnębiająco. Nazywa się Pandora Hurst, w poniedziałek przyjdzie na posterunek. Od jakiegoś czasu nie mieszkała z córką, ale zawsze można się czegoś nowego dowiedzieć. - Decker rozsiadł się w fotelu. - A więc co nowego?

Wanda wzięła dokumenty, które ścisnęła pod pachą, i położyła kolorowe zdjęcie na biurku Deckera.

- Coś ci to przypomina?

Ujrzał przed sobą złoty łańcuszek z wysadzonym brylantami wisiorkiem z żółtego złota w kształcie litery R. Miała go na szyi dziewczyna o ciemnych włosach do ramion i brązowych oczach, którymi spoglądała w bok. Zdjęcie przedstawiało ją do pasa. Ciemny sweter z dekoltem łódką kontrastował z szarzielonym tłem.

- Zdjęcie z ostatniej klasy szkoły średniej?

- Tak.

- Kim była?

Wanda zauważyła, że szef użył czasu przeszłego.

- Roxanne Holly, dwudziestosześcioletnia kasjerka bankowa. Została uduszona. Matka dała detektywom właśnie to zdjęcie, bo wyraźnie na nim widać wisiorek. Roxanne zawsze go nosiła, ale kiedy znaleziono jej zwłoki, nie miała wisiorka na szyi.

- Jak dawno to było?

- Ponad trzy lata temu.

- Gdzie popełniono zabójstwo?

- W Oxnard. Kiedy to zobaczyłam, zapoznałam się z aktami sprawy. Wyszła się napić i już nie wróciła do domu. Ciało znalazł dzień później Burt Barney, bezdomny alkoholik, który rok temu zmarł na skutek marskości wątroby. Zawsze był głównym podejrzanym, ale policji nie udało się zgromadzić dość dowodów rzeczowych, żeby oskarżyć go o zabójstwo. Chociaż nie brakowało innych podejrzanych. To miasto rolnicze, ale całkiem spore, liczy około dwustu tysięcy mieszkańców.

- Duże miasto, więc niektóre rejony są niebezpieczne.

Dużo imigrantów, dużo robotników dniówkowych.

- Dużo robotników budowlanych, którzy lubią popić po pracy. Bywalcy barów, jak nasz przyjaciel pan Tinsley.

Decker uważnie przyjrzał się zdjęciu.

- Jak na to natrafiłaś?

- W całym stanie sprawdziłam zabójstwa powiązane z biżuterią. No i wyskoczyło mi to.

- Czy komuś udało się ustalić imię matki Tinsleya?

- Tak, mnie. Miała na imię Julia.

- Ciekawe. Skontaktowałaś się z policją w Oxnard?

- Jeszcze nie, najpierw chciałam porozmawiać z tobą. Jeśli chcesz, zaraz mogę do nich zadzwonić.

- Teraz najważniejsze jest to, żeby Tinsleya jeszcze ściślej obserwowano.

- Załatwione. Pilnują go Sanford i Wainwright.

- Świetnie. - Postukał palcami w biurko. - No dobrze, zabawię się w adwokata diabła. Z pewnością są setki takich wisiorków jak ten. To, że znaleźliśmy biżuterię w mieszkaniu Tinsleya, nie znaczy jeszcze, że kogoś zabił.

- Ale przyłapaliśmy go na kłamstwie, bo Julia nie zaczyna się na literę R.

- Bardzo możliwe, że Tinsley jest tylko złodziejem. Ukradł wisiorek, który jest podobny do tego, jaki nosiła Roxanne. Albo jest paserem.

- Jeśli jest paserem, dlaczego wciąż ma ten wisiorek i osiem innych wyrobów jubilerskich? - Wanda oblizwała usta.

- Nie chcę wyciągać pochopnych wniosków, ale musielibyśmy być idiotami, nie uznając tego za łupy.

- Możemy tu ściągnąć Tinsleya i ponownie go przesłuchać.
- Decker myślał gorączkowo. - Ale trudno będzie go aresztować.

- A co z tą marihuaną znaną w jego mieszkaniu?

- To jedynie wykroczenie, więc po godzinie byłby wolny. Kiedy mówię „aresztować”, mam na myśli „aresztować”. Zgodził się na pobranie wymazu z błony śluzowej jamy ustnej, więc zaczekajmy na jego DNA. Czy to jedyna sztuka biżuterii, którą znalazłaś w komputerze?

- Jak na razie tak.

- No dobrze. - Pomyślał chwilę. - Czy Tinsley całe życie mieszkał w tych stronach?

- Od dziesięciu lat płaci podatki w Kalifornii.

- Odszukaj wszystkie niewyjaśnione przypadki uduszenia na tym terenie. Skontaktuj się z detektywami prowadzącymi niezamknięte śledztwa, spytaj, czy zgłoszono kradzież biżuterii ofiarom. Ponieważ tamto zabójstwo popełniono na terenie hrabstwa Ventura, szukaj na północ i na południe od Los Angeles. Jeśli się okaże, że Tinsley ma jeszcze jakąś sztukę biżuterii należącą do ofiary zabójstwa, porozmawiamy z zastępcą prokuratora. Jestem gotów się założyć, że to nam wystarczy, by go zatrzymać na jakiś czas. Tinsley może utrzymywać, że jeden wisiołek to zbieg okoliczności, ale trudniej będzie mu się wytłumaczyć z posiadania dwóch sztuk trefnej biżuterii.

- Chcesz, żebym zadzwoniła do Oxnard?

- Tak, i spytaj, czy udostępnią nam akta śledztwa oraz DNA ofiary. Powiedz im, że prowadzimy dochodzenie w sprawie

uduszenia, a konkretnie powieszienia, i sprawdzamy podobne zabójstwa popełnione na północ i na południe od Los Angeles. Ale nic im nie mów o wisiorku, na razie chcę to zachować w tajemnicy.

Wanda zapisała instrukcje szefa, po czym powiedziała:

- Pamiętasz wizytówkę, którą Marge i Oliver znaleźli w jego mieszkaniu? To też może być łup.

- Być może. - Decker starał się uporządkować myśli. - Wyślij wisiorek do laboratorium. Jeśli Tinsley zerwał go z szyi Roxanne, mógł otrzeć jej skórę i zachować się ślad krwi. I niech sprawdzą, czy na łańcuszku są ślady DNA. Na szyi jest dużo gruczołów potowych. Komórki skóry łuszczą się szczególnie mocno wtedy, gdy jest gorąco, a w Oxnard zdarzają się latem upały. Jeśli dopisze nam szczęście i na wisiorku znajdziemy ślady DNA ofiary, Chuck będzie się musiał gęsto tłumaczyć.

- Jestem na dole - powiedział Silver.

Zadzwoił akurat wtedy, kiedy Marge wycierała włosy mokre od chlorowanej wody.

- Zaraz zejść.

- Czeka.

Marge spojrzała na zegarek. Dochodziła piąta. Zapukała do pokoju Olivera.

- Jesteś tam?

Usłyszała niewyraźne odgłosy kroków, a po chwili drzwi się otworzyły. Na twarzy Scotta malował się szeroki uśmiech.

- Jestem.

- Silver czeka na dole. - Przyjrzała się partnerowi. -

Wygrałeś?

Wcisnął jej do ręki plik banknotów.

- Zgodnie z tym, jak poprzednio ustaliliśmy, to połowa.

Marge rozłożyła banknoty.

- O rany, to ponad tysiąc dolarów - stwierdziła zdumiona.

- Dokładnie tysiąc dwieście siedemdziesiąt osiem. Pani Dunn, co pani powie na kolację dziś wieczorem? Wiesz, że jestem dżentelmenem.

- Jasne. - Jej uśmiech był szczery. - Poszczęściło ci się, Scott. Jeśli przechowam to, co mi dałeś, nawet jeśli resztę wydasz, to i tak wrócisz do domu bogatszy.

- Za późno. Wszystko przepuściłem.

- Na co? - spytała rozbawiona.

- Na dwa bilety na spektakl *O* wystawiany przez Cirque du Soleil i na parę mokasynów od Gucciego. Poza tym idziemy na kolację. Ja stawiam.

- Dziękuję, mój dżentelmenie. Przekonajmy się, co detektyw Silver ma do powiedzenia o Garcie Hammerlingu.

- Prawdopodobnie coś ciekawego.

- Podoba mi się twój optymizm, Scott. Zawsze taki bądź.

- Moja droga, czuję się tak, że mógłbym ozłocić detektywa Silvera.

Jedynymi gośćmi hotelowego baru byli dwaj mężczyźni w średnim wieku, średniego wzrostu i średniej budowy ciała. Mieli na sobie białe koszule z krótkimi rękawami, ciemne spodnie i mokasyny. W istotny sposób różnili się tym, że jeden z nich miał jeszcze trochę włosów na głowie, a drugi już nie.

Marge pomachała im, a oni w odpowiedzi zrobili to samo. Po chwili nastąpiła wzajemna prezentacja i już wszystko było wiadomo w kwestii, kto jest kim.

Lonnie Silver okazał się tym łysym w ciemnoniebieskich spodniach. Pił kawę i jadł jabłecznik. Rodney Major był łysy na czubku głowy, a niżej miał wianuszek siwych kręconych włosów. Był w ciemnobrązowych spodniach i zjadał się kanapką z kurczakiem i frytkami. Gdy tylko Marge i Oliver usiedli, chuda jak patyk kelnerka z natapirowanymi siwymi włosami podeszła do nich i podała karty dań. Zgodnie z sugestią Silvera, Marge i Oliver zamówili kawę i babeczki jagodowe z otrębami.

Zaczęli prowadzić rozmowę towarzyską.

Jak im się jechało? Jak długo tu zabawią? Czy wybierają się na jakieś przedstawienia? Niech idą na kolację do Delucciego. Kiedy skończyli jeść, przystąpili do rozmowy o tym, co było powodem spotkania.

Pierwszy przemówił Silver:

- Kiedy zadzwoniliście dwa dni temu i spytaliście o Gartha Hammerlinga, muszę szczerze przyznać, że nie przejąłem się tym zbyt. Dużo osób przyjeżdża do Las Vegas, żeby rozpocząć nowe życie. Może facet, którego szukacie, tu jest, a może nie. Jedno jest pewne, a mianowicie to, że trudno będzie go znaleźć. Jeśli ktoś chce się ukryć, przyjeżdża do Las Vegas, chociaż jeśli ten facet jest naprawdę przestępcą, uda nam się go wytropić. Rzecz w tym, że nie wiecie, czy jest przestępcą, więc nie mamy jak uzasadnić podjęcia poważnych poszukiwań.

- Dlatego przyjechaliśmy - powiedziała Marge. - Doszliśmy do wniosku, że możemy trochę się tu pokręcić. Prosimy jedynie o wskazówki, gdzie się skierować.

- Jeśli o to chodzi, możemy wam pomóc - odezwał się Major.

- Tak, i to znacznie więcej, niż sądziłem - dodał Silver.

- Podoba mi się to, co słyszę - stwierdził Oliver.

- Tak już mam, że jak coś mnie zaintryguje, to trudno mi o tym zapomnieć - powiedział Silver. - Więc zacząłem się zastanawiać, jak odszukać tego faceta. Z całą pewnością nie możemy pukać do drzwi pokoi w dużych hotelach z kasynami. I nie mogę ich prosić o wykaz gości. Mamy do czynienia z tysiącami ludzi, a wy nawet nie wiecie, czy ten Hammerling rzeczywiście coś przeszkrobał. Poza tym znam wszystkich morderców ze Stripu, ale żaden z nich nie pasuje do tego, którego szukacie.

- Co to za zabójstwa?

- Bójki w barach, walki gangów, napady rabunkowe, które zakończyły się zabójstwem - wyjaśnił Silver. - Żadne z nich nie wydarzyło się w dużych hotelach. Pilnują tam goście o wiele lepiej od nas, bo my mamy skromny budżet, a oni mają wielką kasę, motywację i ludzi, którzy wystawiają za próg podejrzanę typki. Nie mówię, że tam nigdy nic się nie wydarzyło, bo skłamałbym, ale hotelowe korytarze są dobrze monitorowane i najpewniej by zauważono, gdyby ktoś krzyczał albo wywlekał zwłoki z pokoju.

- Mają więcej kamer, niż ich jest w Pentagonie - wtrącił Major. - I przez dwadzieścia cztery godziny na dobę ktoś

patrzy na monitory. Nie zawracają sobie głowy tymi, którzy figlują za zamkniętymi drzwiami, ale jeśli mają chociaż cień podejrzenia, że chodzi o prostytutkę zorganizowaną albo handel narkotykami, rozprawiają się z tym we własnym zakresie i bez rozgłosu. Właścicielami hoteli od czterdziestu lat nie są już gangsterzy, tylko łebscy biznesmeni. Po co im lewe interesy, skoro zarabiają miliardy na działających legalnie kasynach?

- Nie twierdzę, że Garth zajmuje się sutenerstwem - powiedziała Marge - ale słyszeliśmy od jego przyjaciół, że często przyjeżdża do Las Vegas i wydaje znacznie więcej pieniędzy na kobiety niż na gry hazardowe.

- Gdy usłyszałem o tym od pani w naszej rozmowie telefonicznej, dało mi to do myślenia - oświadczył Silver.

- Staje się niebezpieczny, kiedy myśli - wtrącił Major.

- Tak, czuć swąd palącego się drewna. - Silver uśmiechnął się. - Tak czy owak, wielu młodych byczków spędzających tu dużo czasu, na przykład każdy czy co drugi weekend, nie ma dość pieniędzy, żeby zatrzymać się w dużych hotelach. Jeśli szukają taniej rozrywki, kierują się poza Strip. Z mojego punktu widzenia to nawet lepiej, bo skala jest mniejsza.

Marge i Oliver skinęli głowami. Silver był gawędziarzem i nie było sensu go poganiać.

- Więc zacząłem dzwonić tu i tam - ciągnął Silver. - Do centrum... Jest w miarę efekciarskie i trudno tam kogoś namierzyć. Nic nie wskórałem. Zadzwoiłem do Boulder City. Mają tam własny mały Strip, ale zaprowadziło mnie to donikąd. Potem skoncentrowałem się na mniejszych

obiektach, jak motel, w którym się zatrzymaliście. Tutaj nie mają prywatnych armii, jak duże hotele, więc zdają się na policję. Mam dobre stosunki z kierownictwem. Jeszcze nie mogę zapisać na swoim koncie sukcesu, ale się nie poddałem. Mam wrażenie, że zmierzam we właściwym kierunku, jakby mnie popychała jakaś niewidzialna ręka. Po tylu latach pracy w wydziale zabójstw człowiek uczy się, żeby ufać intuicji.

- Święta prawda - przyznała Marge.

Podeszła kelnerka i naląła im kawy. Kiedy zostali sami, Silver powiedział:

- No więc zacząłem się zastanawiać, gdzie jeszcze mógł się zatrzymywać ten gość. I pomyślałem o północnej części Las Vegas i moim kumplu.

Wskazał na Rodneya Majora, który stwierdził:

- Jeśli ktoś jest spragniony tańszej rozrywki, powinien jej szukać w North Las Vegas.

- North Las Vegas nie podlega policji metropolitarnej Las Vegas - wyjaśnił Silver.

- Tak, jesteśmy jak kropka nad dużym „i” w Las Vegas Strip. Mamy swoje kasyna, w których jest taniej niż na Stripie.

- Zadzwoń do Rodneya i spytałem, czy może porozmawiać ze swoimi ludźmi i ustalić, czy Garth Hammerling jest stałym gościem w jednym z tamtejszych hoteli.

- Podzwoniłem tu i tam i zgadnijcie, co się okazało? - spytał Major. - Że był stałym gościem w dwóch tamtejszych

hotelach.

Marge i Oliver spojrzeli na siebie.

- Znaleźliście go? - spytał Oliver.

- Od razu wam powiem, że nie - oświadczył Major. - Na moim terenie jest siedem głównych hoteli i poinformowano mnie, że już od jakiegoś czasu nikt go tam nie widział.

- Trochę mnie to rozczarowało - przyznał Silver. - Więc powiedziałem Rodneyowi: słuchaj, nie znam tak dobrze wszystkich zabójstw na waszym terenie, jak znam te u siebie. Czy ostatnio miało miejsce jakieś niecodzienne zabójstwo, na przykład kogoś powieszono?

Major się roześmiał.

- Odparłem: gdyby kogoś u nas powieszono, z całą pewnością byś o tym usłyszał.

- Tak, Las Vegas nie jest aż tak duże. Gdyby ktoś zadyndał na stryczku, wiadomość trafiłaby na pierwsze strony gazet - powiedział Silver.

- Powieszenie to u nas również sensacja - zauważyła Marge. - Nie zdarza się często.

- Racja - zgodził się Silver. - No więc spytałem Rodneya, czy ostatnio były przypadki uduszenia. Bo powieszenie to właściwie uduszenie.

- A ja odparłem, że nie przypominam sobie.

Marge roześmiała się, po czym rzuciła komentarz:

- Nasi zabójcy zwykle posługują się nożami, bronią palną i butelkami, które rozbijają na głowach pijanych ofiar.

- Już miałem się poddać. Ale potem zadzwoniliście z informacją, że przyjeżdżacie. I powiedzieliście, że Garth

może podróżować z niejaką Amandą Kowalski.

- Tak przypuszczamy - zastrzegł się Oliver. - Bo ona też zaginęła.

- No właśnie - powiedział Silver. - Więc znów zadzwoniłem do Rodneya. Bo już wiedziałem, że Garth woli jego rewir od mojego. Powiedziałem, że poszukiwany może podróżować z kobietą, więc czy mógłby sprawdzić podróżujące pary.

- Obiecałem, że to zrobię - powiedział Major. - Bo jego ciekawość okazała się zaraźliwa. Wziąłem zdjęcie Gartha i udałem się do kasyn, hoteli i moteli, by zapytać, czy go nie widzieli w towarzystwie kobiety. Powiedziałem, że nazywa się Garth Hammerling, ale może używać innego nazwiska. Nic. Zadzwoniłem do mniejszych moteli z tym samym pytaniem, ale nadal nic. Więc zacząłem się zastanawiać. Może facet miał wypadek samochodowy? Zadzwoniłem do drogówki z pytaniem, czy w ciągu ostatniego tygodnia zdarzyły się w okolicy jakieś poważne kraksy. Od razu powiem, że nie udało mi się trafić na Gartha Hammerlinga. Ale wczoraj coś się ruszyło. Na środku pustyni znaleziono wrak samochodu. Dwóch chłopaków ruszyło w trasę na rowerach crossowych i natknęło się na wrak samochodu z trupem na miejscu dla kierowcy.

- Oho - odezwała się Marge. - Niedobrze.

- To cud, że znaleźli samochód, ale na tym nie koniec cudów. Kiedy policja dotarła na miejsce i zbadała puls rzekomego trupa, okazało się, że ofiara, dwudziestokilkuletnia kobieta, żyje.

- Była w okropnym stanie - dodał Silver. - Poparzona,

mnóstwo złamań, ale oddychała.

- To traciła przytomność, to odzyskiwała - powiedział Major. - Zawieziono ją na oddział poparzeń Centrum Medycznego Las Vegas. Poszkodowana znajduje się w stanie śpiączki farmakologicznej. Koroner początkowo przypuszczał, że chciała popełnić samobójstwo, ale tak naprawdę nic nie wiemy, bo nie miała przy sobie dokumentów tożsamości. I nie może mówić, bo jest nieprzytomna.

- A co z samochodem? - spytał Oliver.

- To toyota corolla, starszy model, rocznik 2002 albo 2003. Przypomina kupę żelastwa, miejscami nadpaloną, ale ogień nie strawił samochodu całkowicie. Badają go w laboratorium. Uprzedzając wasze pytanie, nie udało nam się ustalić nazwiska właściciela na podstawie numeru identyfikacyjnego pojazdu.

- Czy ma poparzoną twarz? - spytała Marge.

- O ile mi wiadomo, tylko nogi. Miała zapięty pas bezpieczeństwa, więc ma obrażenia odniesione w wyniku wybuchu poduszki powietrznej. Ale da się ją rozpoznać po wyglądzie. Czy wiecie, jak wygląda Amanda Kowalski?

- Tak - potwierdził Oliver.

- Taką miałem nadzieję - ucieszył się Silver. - Dlatego rano zadzwoniłem do lekarki, która się nią opiekuje, i spytałem o stan pacjentki. Nadal jest w śpiączce, ale Julianne Hara, ta lekarka, jest dobrej myśli. Poinformowała mnie, że w organizmie pacjentki stwierdzono obecność wystarczającej ilości xanaxu, by spowodować śmierć. Więc wygląda to tak,

jakby chciała popełnić samobójstwo. Zażyła śmiertelną dawkę xanaxu, nacisnęła pedał gazu i...

- Przypuszczamy, że ofierze zabójstwa, w którego sprawie prowadzimy śledztwo, podano leki usypiające, zanim ją powieszono - wtrąciła Marge.

- Nie mamy jeszcze wyników pełnej analizy toksykologicznej - dodał Oliver. - Ale stwierdziliśmy brak jakichkolwiek ran obronnych. Czyli wszystko świadczy o tym, że ją uśpiono, zanim powieszono.

- Ciekawe - powiedział Silver.

- Naprawdę ciekawe - zgodził się z nim Major. - Bo później pani doktor powiedziała jeszcze coś à propos. Lubię „à propos”. To zawsze coś pikantnego. Pani doktor oświadczyła, że ktoś mógł próbować ją udusić. Kiedy obrzęki częściowo zeszły, stwierdziła sine ślady na szyi. Powiedziała, że powinniśmy przyjechać i ją obejrzeć. Dodała, że jeśli to nie wypadek ani samobójstwo, może to być próba zabójstwa.

- Czyli sprawa dla policji - wtrącił Silver. - Uznaliśmy, że powinniście pojechać z nami do szpitala. W normalnych okolicznościach poprosiłbym was o przesłanie zdjęcia Mandy Kowalski, ale skoro tu jesteście, łatwiej wam będzie ją zidentyfikować.

- Może to fałszywy trop - zastrzegł Major - ale jeśli nawet, możecie się pokręcić i sami popytać o Hammerlinga. Mogę wam pomóc dotrzeć do hoteli.

- Cóż, nawet jeśli się okaże, że to fałszywy trop, i tak jesteśmy waszymi dłużnikami - powiedziała Marge.

- Może wybierzemy się wieczorem do Delucciego? -

zapropował Silver. – Mam ochotę na coś z kuchni włoskiej, a restauracja jest czynna do pierwszej w nocy.

– Świetnie. – Oliver sięgnął do kieszeni i wyjął z niej dwa bilety. – Wybieraliśmy się dziś wieczorem na *O*, ale musimy zrezygnować. Chcecie bilety?

– *O* jest niesamowite – powiedział Silver. – Koniecznie musicie to obejrzeć.

– Tak, koniecznie – zawtórował Major.

– Ustalcie tożsamość ofiary, stwierdźcie, czy to wasza Kowalski, czy nie, i znajdźcie czas na spektakl. Nie musicie jej od razu przesłuchiwać.

– No właśnie – powiedział Major. – Jeszcze przez jakiś czas pozostanie w szpitalu, a wy jesteście w Las Vegas. Zauważyliście, że w kasynach nie ma zegarów? Bo to miasto nigdy nie śpi.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY DRUGI

Po wpisaniu do komputera takich haseł jak „zabójstwo”, „kobieta”, „uduszenie”, Decker, Wanda i Lee Wang otrzymali kilkanaście niezamkniętych spraw prowadzonych przez policję Los Angeles. Liczba ta znacznie wzrosła, kiedy uwzględnili niewyjaśnione morderstwa, których rozwiązaniem zajmowała się specjalna komórka. A ograniczyli się do terenu Los Angeles, pomijając pobliskie San Fernando, Culver City, Beverly Hills, Oxnard, Venture, San Bernardino, San Diego i masę innych, mniejszych miejscowości na północy i południu stanu. Owszem, dokonali selekcji, ale dalej już nie mogli iść na skróty. Musieli zapoznać się z aktami spraw, skontaktować z osobami prowadzącymi śledztwo i wypytać o szczegóły.

Podczas lektury akt mieli zwracać szczególną uwagę na to, czy pojawia się w nich nazwisko Chucka Tinsleya jako świadka lub podejrzanego i jakiegokolwiek wzmianki o biżuterii należącej do ofiar. Decker nie potrzebował Sherlocka Holmesa. Potrzebował takich detektywów jak Wanda i Lee, potrafiących czytać godzinami i skupiać się na szczegółach. Było to nużące zajęcie, które nieraz wywoływało ból głowy i nadwerężało wzrok, i w sumie dość rzadko przynosiło konkretne wyniki. Ale innej drogi nie było.

O piątej po południu Decker był gotów rzucić to w diabły, kiedy zabrzęczała komórka. Dzwonił ktoś z numeru

zastrzeżonego. Nawet miało to sens, bo nikt, kogo dobrze znał, nie zadzwoniłby do niego w sobotę.

- Decker.

- Mówi Eliza Slaughter.

- Witam, pani detektyw. Co nowego?

- Nic specjalnego. Chciałam tylko pana poinformować, że technicy zbadali samochód wypożyczony przez Donattiego. Spryskaliśmy luminolem cały wóz łącznie z bagażnikiem i podwoziem. Nie znaleźliśmy śladów krwi. Wypożyczalnia samochodów umyła samochód, ale niedokładnie. Znaleźliśmy masę włosów i włókien. Sprawdzimy, czy nie należą do Terry, ale szczerze mówiąc, nie spodziewam się wiele.

- Rozumiem. A co ze złomowanym mercedesem?

- Nie wiem nic o Atiku Jainsie. Mógł być właścicielem samochodu, ale nie ma prawa jazdy wydanego w Kalifornii. Sprawdzam prawa jazdy wydane poza Kalifornią. Wcześniej znów pojechałam do hotelu i wypytałam tych, którzy wciąż tam pracują. Nikt nie widział Terry odjeżdżającej swoim samochodem. Nie wiem, co powiedzieć. Możliwe, że zaplanowała zniknięcie na długo przed niedzielą i nie wiadomo, gdzie przebywa.

- To prawda.

- Owszem, nadal nie znaleźliśmy jej męża, ale nie dysponując zwłokami, miejscem przestępstwa i świadkami, coraz trudniej nam prowadzić sprawę. Wygląda na to, że albo to dzieło męża, albo zniknęła na własne życzenie.

- Zaczynam się skłaniać ku temu drugiemu.

- Dlaczego?

- Rozmawiałem z Gabe'em. Powiedział mi coś ciekawego. Widział raz, jak jego matka rozmawiała z hinduskim lekarzem, starszym mężczyzną, kardiologiem, którego ojciec był maharadzą w Indiach.

- Czy to znaczy, że jest bogaty?

- Myślę, że tak.

- Wiemy, jak się nazywa?

Decker uchylił się od odpowiedzi, wyjawiając półprawdę:

- Gabe nigdy nie poznał jego nazwiska.

- Dlaczego ten doktor tak mu utkwił w pamięci? Jestem pewna, że jego matka rozmawiała z wieloma lekarzami.

- Właśnie o to chodzi, że nie. Powiedział mi jedynie, że było coś takiego w ich rozmowie, co wzbudziło jego czujność. Wiesz, jak spostrzegawcze są dzieciaki pod tym względem.

- Rozmawiał o tym z matką?

- Spytał ją, z kim rozmawiała. Właśnie wtedy powiedziała mu, że to kardiolog, którego ojcem jest maharadża.

- I?

- I tyle.

- Podejrzewasz, że miała z nim romans?

- To całkiem możliwe. I jeśli rzeczywiście uciekła do Indii, przypuszczalnie facet jest bogaty i dobrze chroniony. Terry potrzebuje jednego i drugiego, żeby uciec przed mężem.

- Co to oznacza dla nas?

- Sprawa jest otwarta. Jeśli Terry żyje, w końcu spróbuje się skontaktować z synem. Po prostu musimy czekać.

- Gdzie jest dzieciak?

- Mieszka u mnie.

- Rozumiem.

- Tak, nie drażmy tego tematu. - Brzęknął telefon, że ktoś czeka na połączenie. Na wyświetlaczu pojawił się numer Marge. - Muszę odebrać drugą rozmowę. Informuj mnie na bieżąco.

- Dobrze. Cześć.

Przycisnął guzik.

- Co się dzieje, pani sierżant?

- Przepraszam, że ci zawracam głowę w szabas, ale znaleźliśmy Mandy Kowalski.

- Nie żyje? - Decker usiadł prosto.

- Żyje, ale jest w poważnym stanie. Ma poparzone pół powierzchni ciała od pasa w dół. Znajduje się w śpiączce farmakologicznej.

- To straszne. - Decker poczuł, że serce szybciej mu bije. - Co się stało?

- Trafiła do Centrum Medycznego Las Vegas jako N.N., ofiara wypadku samochodowego na środku pustyni Mojave. Początkowo policja przypuszczała, że chodzi o samobójstwo, bo w wypadku ucierpiał tylko jeden samochód, a w organizmie wykryto obecność xanaxu. Po tym, jak zidentyfikowaliśmy ją jako Mandy Kowalski, nie wykluczamy próby zabójstwa.

- Ktoś nacisnął pedał gazu w jej samochodzie?

- Być może. Nie wygląda na taką, która urządza sobie wyścigi na pustyni po zażyciu psychotropów.

- Jak ją znalazłaś?

- To nie moja zasługa, tylko policji z Las Vegas. -

Przekazała mu szczegóły. – Powiedzieli, że bardziej się postarali, bo my też zrobiliśmy dodatkowy wysiłek, przyjeżdżając do Las Vegas.

– Jesteście pewni, że to ona?

– Stuprocentowo. Jest poparzona od pasa w dół, ale twarz prawie wcale nie ucierpiała. Ma obrażenia wywołane wybuchem poduszki powietrznej, lecz rozpoznanie nie nastęrcza żadnych trudności.

– Jeśli to było zabójstwo, ciekawe, dlaczego sprawca nie odłączył poduszki powietrznej.

– Pewnie nie jest aż tak sprytny. Naturalnie mogło to być samobójstwo. Może była świadkiem czegoś, co nie pozwalało jej dalej żyć, na przykład widziała morderstwo swojej przyjaciółki.

– Może.

– Mama Mandy, Frieda Kowalski, jest wdową. Mieszka w Mar Vista. Nie znam jej adresu, ale mam numer telefonu. – Podyktowała go Deckerowi. – Czy mógłbyś kogoś do niej wysłać, żeby ją poinformował, co się stało?

– Sam to zrobię. Tak czy inaczej, chciałbym z nią porozmawiać. A co z Garthem Hammerlingiem?

– Wciąż nic o nim nie wiemy, ale nawet jeszcze nie zaczęliśmy rozmawiać z ludźmi. Mam spis hoteli, w których się zatrzymywał. Razem ze Scottem spróbujemy spotkać się z jak największą liczbą osób. Na ogół zatrzymywał się w North Las Vegas.

– O ile dobrze pamiętam, jeden z jego przyjaciół wspomniał, że był gościem hoteli przy Stripie.

- To nie jest wykluczone. Może lubi zmiany.
- Kiedy wyprowadzą Mandy ze śpiączki?
 - Zaczną ją wybudzać jutro, ale nawet po odzyskaniu przytomności przez jakiś czas będzie pod wpływem środków odurzających. Lekarka mówi, że upłyną dni, nim znikną z jej organizmu. Poza tym nie można wykluczyć, że nie będzie pamiętała ani wypadku, ani tego, co go poprzedzało.
 - Będzie pamiętała zabójstwo Adrianny, jeśli przy nim była?
 - Nie mam pojęcia, jak wypadek wpłynie na jej pamięć. Nie jestem lekarzem, ale nawet oni tego nie wiedzą. Wszyscy jednak mamy nadzieję, że coś nam powie o Garcie Hammerlingu.
 - Czy wiemy na pewno, że razem podróżowali?
 - Nie, nie wiemy, ale znaleźliśmy Mandy żywą, więc może przekaże nam jakieś ważne informacje.
 - Oby tak było - powiedział Decker. - Porozmawiam z panią Kowalski. Kiedy się o tym dowie, będzie chciała pojechać do Las Vegas. Wypytam ją, kiedy i czym. Spotkacie się z nią i zawieziecie do szpitala.
 - Ja mogę to zrobić.
 - Razem ze Scottem pracujecie w weekend. W poniedziałek was zmienię. Chcę być obecny, kiedy Mandy zacznie mówić.
 - Możesz tu przyjechać, kiedy tylko chcesz. W Las Vegas nie brak hoteli. - Marge zastanowiła się chwilę, a potem powiedziała: - Dlaczego dziś pracujesz? Czy to nie twoje urodziny?
 - Tak naprawdę są jutro. Wybieram się z całą rodziną na

kolację, ale w ciągu dnia będę pracował. - Decker opowiedział o zabójstwie Roxanne Holly i zniknięciu wisiorka. - Z pewnością jest więcej wisiorków w kształcie litery R wysadzanych brylantami, więc zapoznajemy się z innymi przypadkami uduszenia, starając się znaleźć powiązanie między wyrobami jubilerskimi znajdującymi się w posiadaniu Tinsleya a zabójstwami.

- Czyli znów wrócił na sam początek listy podejrzanych - zauważyła Marge.

- Bezwzględnie. W niedzielny wieczór był w Garage'u z Adrianną i Crystal. Nadal staramy się ustalić, co robił w dzień zabójstwa Adrianny.

- Gdzie teraz jest?

- Mamy go pod stałą obserwacją. Kathy Blanc nie była tym zachwycona. Gdyby wiedziała, co ustaliliśmy, chybaby mnie zabiła. Zadzwoń do ciebie, jeśli znajdę jeszcze coś na Tinsleya.

- A ja będę cię informowała, jeśli dowiemy się czegoś o Garcie. Och, zapomniałabym powiedzieć, że dziś wieczorem między ósmą a dziesiątą będę miała wyłączony telefon. Idziemy obejrzeć O.

- Spektakl Cirque du Soleil?

- Tak. Silver i Major, gliniarze z Las Vegas, którzy nam pomogli, nalegali, żebyśmy koniecznie zobaczyli to przedstawienie. Potem wybieramy się na kolację. Ale kiedy zjemy, znów włączę telefon.

- Cieszę się, że znaleźliście trochę czasu na rozrywkę - rzucił obojętnym tonem Decker.

- Wydaje mi się, że dosłyszałam sarkazm w twoim głosie, szefie - powiedziała Marge. - Ale ponieważ jestem głupia i naiwna, wezmę twoje słowa za dobrą monetę i po prostu ci podziękuję.

Rozmowa z Friedą Kowalski wiązała się z koniecznością opuszczenia posterunku. Był to jedyny plus tej wizyty. Kiedy powiedział matce Mandy, co spotkało jej córkę, zaniemówiła, złapała się za serce, cofnęła pod ścianę. Decker podtrzymał ją, żeby nie upadła, pomógł usiąść na kanapie w kwiaty, przyniósł szklanekę wody. Wypiła kilka łyków. Jej oczy pozostały suche, ale blada i pokryta piegami twarz stała się ziemista. Frieda Kowalski była po pięćdziesiątce, miała ciemne oczy i rude tapirowane włosy. Była malutka i drobniutka, ważyła zapewne ze czterdzieści pięć kilogramów.

Kiedy w końcu mogła mówić, spytała o szczegóły. Decker powtórzył to, co wiedział, starając się omijać bardziej drastyczne fragmenty, a potem pomógł zarezerwować bilet na lot do Las Vegas.

- Jest tam sierżant Dunn z mojego zespołu. - Decker podał numer komórki Marge. - Odbierze panią z lotniska i zawiezie do szpitala.

- Dziękuję - szepnęła.

- Wiem, że jest pani ciężko, ale wszystko, co może pani powiedzieć o Mandy, bardzo nam pomoże. O jej hobby, przyjaciółkach, chłopakach. Czy pije? Czy zażywa narkotyki?

Frieda Kowalski była zaszokowana takimi pytaniami. Jednak zebrała się w sobie i zaczęła mówić:

- W co drugą niedzielę Mandy zawsze do mnie dzwoni. Jutro miała zadzwonić. - Spojrzała Deckerowi w twarz. - Nie chodzi o to, że panują między nami złe stosunki. Jesteśmy po prostu... zupełnie inne. Samotnie ją wychowywałam i choć może nie byłam najlepszą matką, to naprawdę troszczyłam się o nią.

- Nie wątpię.

Skinęła głową. Wciąż miała suche oczy.

- Cóż, nawet jako dziewczynka była bardzo skryta. Nie opowiadała mi o swoich przyjaciółkach, a już z całą pewnością nie o chłopakach.

- Czyli miała chłopaków? - spytał Decker.

Frieda się zastanowiła.

- Na bal maturalny poszła z kimś. Wtedy pierwszy i ostatni raz widziałam ją z chłopakiem.

- Pamięta pani, jak się nazywał?

- Nie.

- Może Garth Hammerling?

- Garth i jak dalej? - Frieda potarła dłonie.

- Hammerling. - Żadnej reakcji. - Jest technikiem w szpitalu St. Timothy, gdzie pracuje również Mandy. - Nadal żadnej reakcji. - Garth zaginął, a my chcielibyśmy z nim porozmawiać.

- Co on ma wspólnego z Mandy?

- Nie wiemy, czy coś ich łączy. Po prostu interesujemy się nim.

- Nie mogę panu pomóc. Nie wiedziałam dużo o córce, kiedy mieszkała ze mną, i z całą pewnością nie wiem wiele

o niej, odkąd mnie zostawiła... Odkąd się wyprowadziła z domu.

- Ma ojca?

- Każdy ma ojca. Zostawił nas, kiedy Mandy miała sześć miesięcy. Nie wiem, gdzie jest, nigdy nie wysłał mi ani centa na utrzymanie córki. Sądzę, że był taki okres, kiedy chciała go odszukać. Nie broniłam jej, ale poprosiłam, żeby mnie w to nie wciągała.

- Jak się nazywa?

- James Kowalski. Nie wiem, czy go znalazła, a jeśli tak, nie wiem, co jej powiedział. Uznałam, że jeśli kiedykolwiek go znajdzie, sama wyciągnie wnioski. - Wstała. - Powinnam trochę odpocząć. Jutro zapowiada się długi dzień. Dziękuję panu za okazaną mi pomoc.

- Jeśli będzie pani czegoś potrzebowała, proszę do mnie zadzwonić. - Decker dał jej wizytówkę.

- Czy bardzo cierpi?

- Jestem pewien, że robią wszystko, co w ich mocy, żeby zmniejszyć jej cierpienia. W poniedziałek wybieram się do Las Vegas, żeby porozmawiać z Mandy, więc zapewne spotkam panią w szpitalu.

- Kiedy pan tam dotrze?

- W poniedziałek po południu.

- Możemy się nie spotkać. - Kiedy Decker nic nie powiedział, dodała: - Mandy nigdy nie lubiła, kiedy... jej się narzucałam. Poza tym już zaniedbałam swoje problemy zdrowotne. - Otworzyła drzwi. - Jeszcze raz dziękuję panu. I do widzenia.

Nadal miała suche oczy. Prawdopodobnie już dawno temu
wypłakała wszystkie łzy.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY TRZECI

O dziewiątej wieczorem Decker dostał wytrzeszczu oczu od wpatrywania się w monitor komputera i coraz mniej widział. Kiedy Rina zapukała do jego gabinetu, trzymając dużą papierową torbę, był wdzięczny, że mu przerwała. Odsunął fotel od biurka i wstał.

- Cześć. - Pocałował ją. - Co cię sprowadza do czyścica?

- Może szukam dowcipu i czarar?

- W takim razie źle trafiłaś.

Rina usiadła przed biurkiem męża.

- Zostało nam masę jedzenia z obiadu. Pomyślałam, że może zgłodniałeś.

- Nie może, tylko tak. Przez cały dzień wypilem kawę i na śniadanie zjadłem płatki śniadaniowe, to całe moje menu. - Spojrzał na zegar i usiadł naprzeciwko niej. - Przepraszam, że nie wróciłem do domu. Szczególnie rozczarowani muszą być chłopcy, bo przejechali taki kawał, żeby się ze mną spotkać. Bardzo się na mnie gniewają?

- Wcale się nie gniewają. - Rina usiadła. - Prawdę mówiąc, bardzo miło spędziliśmy czas.

Decker jednocześnie się ucieszył i zasmucił.

- No tak, wszyscy już tak przywykli do moich nieobecności, że traktują to jak coś normalnego.

- Nie chodzi o to, że nam ciebie nie brakowało. Wznosiliśmy toasty za twoje zdrowie i pomyślność. -

Otworzyła torbę i podała pakunek owinięty w papier. – Kanapka z chleba żytniego z indykiem, chrzanem i musztardą. Ale jutro będziesz na kolacji, prawda? Jesteś honorowym gościem.

– Naturalnie, że będę.

– W takim razie wszystko w porządku. Co takiego robisz, że zajmuje ci tyle czasu?

– Znaleźliśmy podejrzane przedmioty w mieszkaniu Chucka Tinsleya. Próbuje znaleźć więcej obciążających dowodów rzeczowych. Od czterech godzin pracuję na komputerze, ale nie natrafiłem na nic, co mógłbym wykorzystać. – Odwinął kanapkę i zaczął się posilać.

– Mm, dobra. – Znów ugryzł. – Jak zacząłem jeść, zrobiłem się głodny.

– Czasami tak bywa.

– Pyszna. Jest coś do picia?

Rina sięgnęła do torby.

– Cola dietetyczna czy Dr Pepper?

– Mogę prosić o jedno i drugie? – Gdy wręczyła mu puszki, otworzył Peppera. – Do plusów tego dnia można zaliczyć to, że Marge i Scott znaleźli w szpitalu w Las Vegas kobietę, która zaginęła. Miała wypadek samochodowy. Jest w ciężkim stanie, ale żyje.

– Chyba nie chodzi o Terry, co?

– Nie, nie o nią. – Wypił pół puszki napoju. – Nadal pozostaje zaginiona. Nie sądzę, że uda mi się ją szybko znaleźć. Bo albo Donatti ją dopadł, a ponieważ jest zawodowcem, prawdopodobnie nigdy nie odnajdziemy jej

ciała, albo jest w Indiach, gdzie mieszka miliard ludzi, więc z całą pewnością nie będę jej tam szukał. Już powiedziałem detektyw z West Los Angeles, która zajmuje się tą sprawą, że jeśli Terry żyje, a uważam, że tak, to wcześniej czy później skontaktuje się z synem. – Gdy Rina skinęła głową, spytał: – Jak sobie radzi Gabe? Jadł razem ze wszystkimi?

– A z kim innym miał jeść?

– Ciekaw jestem, jak się zintegrował. Wypożyczysz dla niego fortepian?

– Tak. Zapłaci pieniędzmi, które mu dał ojciec. Dzięki temu nie czuje się jak pasożyt.

– Czy to dla ciebie problem – spytał Decker – że chłopak zostaje z nami?

– Szczerze mówiąc, nie przeszkadza mi to. A tobie? Sprawiasz wrażenie, jakbyś wciąż miał wątpliwości.

– Jasne, że je mam. Nie ma teraz mowy o przejściu na emeryturę i podróżach.

– Emerytura źle by na ciebie wpłynęła, a jak dużo zamierzasz podróżować w sytuacji, kiedy twój pierwszy wnuk jest w drodze?

– Może nie za dużo – przyznał Decker. – Cindy będzie musiała użyć służbowego gnata, żeby trzymać mnie z dala od wnuka.

– Takiego cię lubię. – Uśmiechnęła się. – Więc skoro nie przechodzisz na emeryturę, a rejs dookoła świata nie jest w naszych najbliższych planach, chłopak może zostać z nami.

Decker uśmiechnął się szyderczo.

– O ile nie będzie ćpał, pił, palił, zalecał się do mojej córki,

nie okradnie mnie ze wszystkiego, to będzie w porządku.

- Wiesz, to zabawne - powiedziała Rina. - Nie, żebym odczuwała wyjątkowe współczucie. Nie przeszkadza mi Gabe, bo nie jest uciążliwy. Zajmuje się swoimi sprawami i od czasu do czasu wychyla głowę, żeby dostać jeść. - Urwała. - Powinieneś posłuchać jego gry, Peter. Wygląda wtedy, jakby bujał w obłokach. Potem przestaje grać i znów jest czternastolatkiem.

- No właśnie, nawet jeszcze nie ma prawa jazdy. Pięknie. To oznacza, że jedno z nas będzie go musiało odwozić do szkoły. - Decker się zastanowił. - Nie będzie chciał się uczyć w żydowskiej szkole. Co będzie z jego nauką?

- W środku tygodnia ma umówione na uniwersytecie lekcje z tym sławnym nauczycielem gry na fortepianie. Codziennie ćwiczy ponad sześć godzin. Powinniśmy rozważyć dla niego nauczanie domowe. Nie przeze mnie czy przez ciebie, ale przez kogoś innego. Jest bystry i na pewno w ciągu roku przerobi program szkoły średniej.

- Tak, wspomniał coś, że w przyszłym roku chciałby iść do szkoły Juilliarda.

- Powiedział również, że chciałby studiować na uniwersytecie, na przykład na Harvardzie. Ponieważ ma talent, stoi przed nim wiele możliwości. Jeśli jego matka żyje, kiedyś z pewnością zechce znów mieć go przy sobie. Jest nie tylko wyjątkowym chłopcem, ale również jej jedynym dzieckiem.

Jej jedynym dzieckiem, pomyślał Decker, unosząc brwi.

- Chyba możemy sobie pozwolić na to, by mieszkał z nami

przez rok... O ile nie okaże się świrusem jak jego tata.

- Czas pokaże, ale jak do tej pory nie widzę u niego żadnych skłonności psychopatycznych - podsumowała Rina.

- Kim jest ta kobieta, która trafiła do szpitala?

- To pielęgniarka, była przyjaciółka Adrianny Blanc. Pracowały w St. Timothy. Zniknęła kilka dni temu. Szukając chłopaka Adrianny w Las Vegas, Marge i Scott przeprowadzili rozmowę z gliniarzami, którzy powiedzieli im o kobiecie o nieustalonej tożsamości, przebywającej w szpitalu. Kraksa samochodu pośrodku pustkowia może oznaczać wypadek, samobójstwo albo próbę zabójstwa. Bez względu na to, co to było, wie znacznie więcej, niż nam powiedziała podczas przesłuchania. - Dokończył jeść kanapkę. - Dzięki, uratowałaś mi życie.

- Masz ochotę na deser?

- Nie... A co masz?

- Jabłecznik.

- Zostaw mi go. Może się skuszę. - Spojrzał na zegarek. - Postaram się wrócić do domu za godzinę.

- Czyli za dwie godziny. Zobaczymy się około jedenastej, tak?

- Mhm.

Rina wstała.

- Kiedy tu szłam, widziałam Wandę i Lee siedzących za swoimi biurkami. W torbie jest też pół tortu czekoladowego, którym możesz się podzielić.

- Nic dziwnego, że wszyscy cię kochają. Nikt nie gotuje ani nie piecze lepiej od ciebie.

- Racja. - Uśmiechnęła się szeroko. - Gdziekolwiek się pojawię, przynoszę radość i kalorie.

Przed jedenastą Wandzie udało się wypatrzeć coś na komputerze. Był to złoty pierścionek z opalem otoczonym brylancikami. Prezent z okazji ukończenia szkoły średniej, подарowany Erin Greenfield przez jej dziadków.

Młoda kobieta dopiero co skończyła dwadzieścia dwa lata. Znalaziono ją uduszoną na niezabudowanej działce w Oceanside w Kalifornii. Było to dwa lata temu. Według słów jej współlokatorki, Erin wyszła z domu poprzedniego wieczoru i nie wróciła. Kiedy następnego dnia nie pojawiła się w pracy, wszczęto poszukiwania. Jej nagie zwłoki znaleziono po południu.

Decker włożył rękawiczki i przyjrzał się uważnie pierścionkowi znalezionemu w mieszkaniu Chucka Tinsleya. Porównał go z kiepską fotografią, którą dla niego wydrukowali.

- Policzyłam diamentyki wokół opala - powiedziała Wanda. - I na pierścionku, i na zdjęciu jest ich dziewięć. Moją uwagę zwróciło to, że jest pozłacany. Sprawdziłam, czy na pierścionku jest próba złota, lecz jej nie znalazłam. Kamienie wyglądają na prawdziwe, ale nie osadzono ich w złocie. Pomyślałam sobie, że to niespotykane.

- Nie znam się na biżuterii - odparł Decker. - Chciałbym mieć lepsze zdjęcie pierścionka na palcu Erin.

- Zobaczę, co się uda zdziałać Lee - powiedziała Wanda. - Zebrałam informacje o Oceanside. Przyjemne małe kąpielisko morskie w pobliżu Camp Pendleton. Niższy niż

przeciętny wskaźnik zabójstw, ale nieco wyższy od przeciętnego wskaźnik gwałtów i napaści. Całkiem sporo barów nastawionych na obsługę żołnierzy piechoty morskiej. Samotny facet niezbyt by się wyróżniał w tłumie.

- Tym bardziej gdyby był w mundurze.

- Racja. Poza tym mundur wzbudza zaufanie.

- Czy w Oxnard nie ma bazy marynarki? - Decker kliknął kilka razy w klawiaturę komputera. - Tak, mieści się tam baza marynarki wojennej Ventura County. I baza lotnictwa marynarki wojennej Point Mugu. I baza marynarki wojennej Port Hueneme. Kiedy sprawdzałaś dane Tinsleya, może natknęłaś się na informacje, czy służył w wojsku?

- Nie pamiętam. Zobaczę, co uda mi się ustalić w internecie, ale za późno, żeby gdzieś zadzwonić.

- Zrób, co się da. - Patrząc na pierścionek, który wciąż leżał na jego biurku, Decker wybrał numer komórki Marge. Odebrała po trzecim sygnale. - Jak tam O?

- Śliczne.

- Pracujecie czy ciągle trawicie linguine?

- Pracujemy. A ty?

- Znaleźliśmy kolejny przedmiot wśród biżuterii zabranej z mieszkania Tinsleya, który można powiązać z uduszoną kobietą.

- Gratuluję.

- Dziękuję. Kiedy przeszukiwaliście jego mieszkanie, czy ty albo Scott znaleźliście mundur wojskowy?

- Ja nie. Spytam Scotta, ale najpierw muszę go odszukać. Oddzwonię do ciebie.

- Dobrze. - Zadzwoił do swojej żony. - Czy mogę prosić o jeszcze godzinę? Znalazłem trop, który muszę sprawdzić.

- W porządku. I tak nie śpię, tylko rozmawiam z dziećmi. Jest dużo śmiechu.

- Jak znam życie, śmiejecie się ze mnie.

- Czy potrafisz realnie ocenić, kiedy uda ci się dotrzeć do domu?

- Za godzinę.

- Do zobaczenia o północy. Nie przemień się w wampira.

- Bardzo chciałbym być wampirem. One wysysają krew, ja się w niej taplam.

Oliver powiedział przez telefon:

- Wisiało coś w jego szafie, ale bardziej przypominało przebranie na Halloween niż mundur. Koloru khaki, z galonami, ale uszyte z taniej tkaniny. Z całą pewnością nie był to mundur, jaki noszą żołnierze.

Gdy Decker wyjaśnił mu, dlaczego o to pyta, Oliver dodał:

- To nie był prawdziwy mundur, lecz przypuszczam, że w mrocznym barze pijana dziewczyna mogła nie zauważyć różnicy.

- Bardzo chciałbym go obejrzeć. Czy jest jakiś sposób, żeby dostać się znów do jego mieszkania? Prawdopodobnie nie zgodzi się dobrowolnie nas wpuścić do środka.

- Porozmawiam z Marge i może coś wymyślimy - obiecał Oliver. - Przypominam ci jednak, że Tinsley nie miał na sobie munduru, kiedy rozmawiał z Adrianną.

- Ale tylko dlatego, że żołnierze w typie macho niespecjalnie podobają się wyzwolonym laskom z Los

Angeles - odparł Decker. - Chociaż zabójstwo Adrianny pasuje do dwóch niewyjaśnionych przypadków morderstw, są też pewne różnice. Ciała tamtych ofiar znaleziono na otwartej przestrzeni, jedno na niezabudowanej działce, drugie na polu z kwiatami. A nie w samym środku dzielnicy mieszkaniowej powieszono na kablu elektrycznym.

- Czyli co sądzisz? - spytał Oliver.

- Tinsley to zdecydowanie nasz podejrzany - powiedział Decker. - Ale wciąż nie udało nam się znaleźć Gartha, a Mandy leży w szpitalu. Zastanawiam się, czy Garth razem z Mandy nie zamordowali Adrianny, a Tinsley miał pecha i znalazł jej zwłoki. A może wcale nie był to przypadek. Garth wrobił Tinsleya, bo znalazł jego wizytówkę w kieszeni płaszcza Adrianny.

- To jak się ma do tego wszystkiego biżuteria, którą znaleźliśmy u Tinsleya? - spytał Oliver.

- Może przypadkiem natknęliśmy się na seryjnego mordercę.

- Jeśli Tinsley nim jest, to dlaczego się zgodził, żebyśmy przeszukali jego mieszkanie?

- Bo szukaliśmy przedmiotów związanych ze śmiercią Adrianny, a jej nie zabił. Wiesz, jacy są ludzie tego typu. Ulepieni z tej samej gliny. Wyjątkowo aroganccy. Kto zabrał biżuterię z mieszkania Tinsleya jako dowody rzeczowe?

- Marge.

- Dobry ruch. Wanda i Lee Wang właśnie weszli do pokoju. Będę was informował na bieżąco i tego samego oczekuję od was. - Decker się rozłączył i wskazał krzesła.

Wanda podwinęła rękawy żółtozielonej koszuli. Wang miał na sobie czarną koszulkę polo i spodnie w kolorze khaki.

Kiedy usiedli, Wang powiedział:

- Niemal wszystkie strony dotyczące armii są niedostępne, jeśli się nie ma hasła. Lepiej poczekać do rana, żeby się tym zająć.

- Możemy się z tym nie śpieszyć, ale pod warunkiem, że będziemy mieli Tinsleya na oku. Zresztą wcale nie jestem pewny, czy służył w wojsku. - Decker streścił im rozmowę ze Scottem.

- No dobrze - powiedziała Wanda. - Czyli mógł się podszywać pod żołnierza, jak Dusiciel z Bostonu.

- Czyli Albert DeSalvo - powiedział Decker.

- Co teraz robimy, szefie?

- W chwili obecnej nie możemy z całkowitą pewnością twierdzić, że biżuteria należała do ofiar.

- Czyli nie zatrzymamy Tinsleya? - spytał Wang.

- Jeszcze nie. - Decker przygładził wąsy. - Będziemy go obserwować i trzymać kciuki za to, żeby technikom udało się uzyskać próbki DNA z biżuterii. Jeśli próbki okażą się zgodne z DNA Erin Greenfield i Roxanne Holly, wtedy będzie można udowodnić, że Chuck Tinsley posiada ich biżuterię. Ale może to potrwać parę tygodni. W tym czasie jedno z was powinno skontaktować się z policją z Oxnard, a drugie z Oceanside, żeby uzyskać więcej szczegółów o obu zabójstwach. - Głośno wypuścił powietrze z płuc. - Jestem wykończony. Chodźmy do domu i prześpijmy się trochę.

Wang potarł oczy.

- Uważam, że to dobry pomysł. Chcesz, żebym odniósł biżuterię do magazynu dowodów rzeczowych?

- Tak, Lee. Dziękuję.

- Naprawdę sądzisz, że natrafiliśmy na seryjnego mordercę?

- Może tak, może nie.

- To byłoby coś niezwykłego - powiedziała Wanda. - W literaturze nazywa się to „aktem sprawiedliwości”.

- W prawie żydowskim nazywamy to *Midah KeNeged Midah*.

- Co to znaczy?

- Miarka za miarkę. Jak ty komu, tak on tobie.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY CZWARTY

Naturalnie dwunasta przeciągnęła się do pierwszej w nocy. O wpół do drugiej wykończony i przygnębiony Decker zaparkował na podjeździe przed domem. Był dzień jego urodzin, synowie przylecieli ze Wschodniego Wybrzeża, żeby spędzić z nim czas, a on nie tylko zniknął prawie na cały dzień, lecz w dodatku zrobił to w szabas. Zastanawiał się, dlaczego to robi. Przestępczość zawsze będzie istniała. Zawsze będzie „jeszcze tylko jedna sprawa”, którą weźmie na swe barki. Chociaż była też druga strona medalu. Dlaczego miał przestać pracować, przestać korzystać z doświadczenia, które zdobywał latami, i się obijać, starając się wymyślić, czym się zająć, żeby być użytecznym, skoro właśnie teraz robił to, co użyteczne?

Cicho zamknął drzwi samochodu. Rina upierała się, że zaczeka na niego, on powtarzał jej, że powinna położyć się spać. Nie wiadomo, komu udało się kogo przekonać. Kiedy podszedł do drzwi frontowych, zauważył na wycieracze dużą szarą kopertę. Gdy ją podniósł, zobaczył napisane odręcznie nazwisko, ale nie jego.

Gabriel Whitman.

Co tu jest grane?

Wsadził klucz do zamka, przekręcił i wszedł do środka. Rina, owinięta w bawełniany szlafrok, nie spała. Położyła palec na ustach, a potem wskazała kanapę. Gabe spał

mocno, jedna noga wystawała mu poza kanapę. Małżonkowie przeszli do kuchni. Decker pokazał żonie kopertę.

- Znalazłem to na wycieraczce.

- Nie było jej tam, kiedy wróciłam do domu - powiedziała Rina. - Na pewno bym ją zauważyła. Napijesz się kawy albo herbaty?

- Herbaty ziołowej. Sam ją zaparzę. Jestem podenerwowany. Muszę się czymś zająć. - Napełnił czajnik wodą, postawił go na kuchni. Potem rozciął nożem kopertę, ale nie zajrzał do środka.

- Jeśli to dotyczy Terry, Gabe będzie chciał to zobaczyć. Muszę go obudzić.

- Dobrze. Chcesz, żebym tu zaczekała?

- Nie, chcę, żebyś poszła ze mną i zapewniła mi wsparcie moralne.

Wrócili do pokoju dziennego. Decker usiadł na skraju kanapy, ale nie obudziło to chłopaka, więc położył dłoń na jego ramieniu i delikatnie potrząsnął.

- Gabe. Gabe, to ja, porucznik Decker.

Chłopak drgnął.

- Już wstaję, już wstaję. - Potarł oczy i sięgnął po okulary leżące na stole. Kiedy je wymacał, włożył na nos. - Już nie śpię.

- Muszę zapalić światło - uprzedził Decker.

- Proszę bardzo. - Gabe zmrużył oczy, kiedy w pokoju zrobiło się jasno. - Co się stało?

Decker wręczył mu kopertę.

- Przepraszam, że cię zbudziłem, ale znalazłem to na

wycieraczkę, kiedy wróciłem do domu. Pomyślałem, że chciałbyś na to rzucić okiem. Rozciąłem kopertę, ale nic z niej nie wyjąłem.

- Co to jest?

- Nie wiem.

Gabe wolno wyjął to, co było w środku. Zawierała plik dokumentów dotyczących pełnomocnictwa dla jego taty do zarządzania firmami. Ale potem dostrzegł odręcznie napisany list. Kiedy go czytał, ręce zaczęły mu drżeć.

Najdroższy Gabrielu!

Kiedy będziesz to czytał, powinnam już być daleko, tam, gdzie będę bezpieczna i poza zasięgiem wszystkich. Nie ma słów na opisanie tego, co się wydarzyło, i dlaczego to zrobiłam. Mogę tylko powiedzieć, że szczerze wierzyłam, że nie mam innego wyjścia. Nie próbuj mnie szukać, a jeśli porucznik Decker mnie szuka, to proszę, powiedz mu, żeby nie tracił cennego czasu na próbę ustalenia miejsca mojego pobytu. Wyjechałam i nie chcę, żeby mnie odnaleziono.

Z całego serca przepraszam Cię za to, na co Cię naraziłam, nie tylko w ciągu ostatniego tygodnia, ale przez ostatnie czternaście lat. Jesteś kimś tak wyjątkowym i nadzwyczajnym, że zasługujesz tylko na to, co dobre, i na szczęście. Mam nadzieję, że zostawiłam Cię w dobrych rękach, daleko od konfliktu Twoich szalonych rodziców, którego byłeś świadkiem. Może teraz nie zrozumiesz motywów mojego postępowania, ale mam nadzieję, że w przyszłości, kiedy sam będziesz człowiekiem dorosłym, uda mi się Ci wytłumaczyć, co zrobiłam i dlaczego to zrobiłam.

Wierzę, że Twój ojciec zaakceptuje to, że zamieszkałeś z państwem Decker, i pozwoli Ci u nich zostać. Zrzuciłam na Deckerów ogromną odpowiedzialność, ale mam nadzieję, że mnie za to nie potępia. Bo są jedynymi ludźmi, którym mogłam powierzyć swój skarb. Proszę, spróbuj nie żywić do mnie nienawiści. Wiedz, że kocham Cię bardziej niż kogokolwiek na całym świecie, boli mnie serce, kiedy to piszę, przebywając tak daleko od Ciebie. Ale uznałam, że szczęśliwy zbieg okoliczności sprawił, że trafiłeś do rodziny, która w końcu spróbuje Ci zapewnić takie życie, na jakie zasługujesz. Nawet tak głupia i samolubna matka jak ja zdaje sobie sprawę z tego, że zasługujesz na szansę, by się wybić.

Wiem, że pozostajesz w kontakcie z ojcem. Wiem, że do niego zadzwonisz, gdy tylko otrzymasz tę przesyłkę. Proszę, przekaż mu dokumenty. Pozwolą mu prowadzić interesy, póki nie uporządkujemy tego obrzydliwego bałaganu.

Twoja kochająca

Mama

Bez słowa trzęsącymi się dłońmi wręczył list Deckerowi. Potem położył się na kanapie, nie zdjęwszy okularów, i utkwiał wzrok w suficie.

Kiedy Decker skończył czytać list, podał go Rinie, a potem powiedział:

- Chciałbym, żeby grafolog porównał to z innymi próbkami pisma...

- To jej pismo.

- Na wszelki wypadek. Nigdy nie wiadomo.

- To jej pismo. Co więcej, to jej styl wysławiania się.

„Obrzydliwy bałagan” to jeden z jej ulubionych zwrotów.

- Twój ojciec na pewno też zna jej ulubione zwroty.

- Nie napisał tego, podszywając się pod mamę. Ona jest autorką listu. Trzeba spojrzeć faktom w oczy. Zostawiła mnie i podrzuciła państwu. Przykro mi.

Rina usiadła obok niego.

- Już wypożyczyłam fortepian, więc możesz równie dobrze tu zostać.

Gabe uśmiechnął się do niej, ale po chwili do oczu napłynęły mu łzy.

- Dziękuję. - Ze złością wytarł oczy. - Powiniennem poinformować o tym tatę. Chris zadzwonił do mnie wczoraj. Powiedziałbym panu o tym już wcześniej, ale nie było pana w domu.

Gdy czajnik zaczął gwizdać, Rina wstała.

- Zrobię herbaty. Ty też się napijesz, Gabe?

- Nie, dziękuję.

- Radzę ci, żebyś się napił.

Gabe skinął głową, a kiedy Rina wyszła z pokoju, powiedział:

- Cieszę się, że moja mama żyje, ale pieprzyć ją. Pieprzyć ich oboje. Mają mnie w dupie. Więc czemu ja mam się nimi przejmować? Jest mi tylko głupio, że zwałem się państwu na głowę. - Spojrzał na Deckera mokrymi od łez oczami. - Naprawdę mogę zamieszkać z ciocią.

- Zostaniesz tutaj. Dogadamy szczegóły. À propos, jak twoja ręka?

- Bardzo dobrze. To też minie.

Decker milczał, dając chłopakowi kilka chwil na to, by zaczęła do niego docierać cała okropność tego, co się nazywa „nadużyciem zaufania”. W końcu spytał:

- Kiedy rozmawiałeś z tatą, powiedział ci coś?

- Nic, o czym pan nie wie. Wiedział o Atiku Jainsie. Spytał mnie o innych mężczyzn, z którymi była. Powiedziałem mu, że nic nie wiem, bo to prawda. Znaczący się nie wiem, czy uciekła z tym hinduskim lekarzem. - Gdy Decker milczał, dodał po chwili: - Założę się, że mój tata jest teraz w Indiach i próbuje ją dopaść. Cóż, krzyżyk na drogę dla obojga. Już się nie będę nimi zajmował.

- Dlaczego sądzisz, że Chris jest w Indiach?

- Nic nie wiem na pewno, ale mam wrażenie, że wyjechał z kraju i wie, gdzie jest mama. - Spojrzał na Deckera. - A czy pan uważa, że mama przebywa w Indiach?

- Nie wiem, Gabe. Przysięgam na Boga.

- Wystarczyłoby, gdyby mi powiedziała: „Gabe, wyjeżdżam do Indii. Nie próbuj mnie szukać. Napiszę do ciebie, kiedy będę mogła”. Wystarczyłoby, gdyby mi to powiedziała.

- Może bała się, że powtórzysz to ojcu.

- Nie powiedziałbym nic tacie. Zresztą i tak sam by się o wszystkim dowiedział. Nie musiała zachować się tak teatralnie.

Weszła Rina z herbatą.

- Proszę, Gabe.

- Dziękuję. - Napił się trochę. - Dobrze mi robi.

- Proszę bardzo. - Przyjrzała się Gabe'owi, a potem Deckerowi. - Już późno. Idę spać.

Decker cmoknął ją w policzek.

- Zaraz do ciebie dołączę.

Rina zmierzwiła mu włosy.

- Skoro tak mówisz.

Kiedy wyszła, Decker powiedział:

- Gabe, nie wiem, gdzie jest twoja matka, i nie wiem, dlaczego nic ci nie powiedziała. Ale przypuszczam, że cokolwiek to jest, prawdopodobnie nie chce, żebyś się o tym dowiedział, póki nie będziesz trochę starszy.

- Dlaczego pan tak mówi? - spytał wyraźnie rozżłoszczony.

- Ponieważ gdybyś się teraz dowiedział, czemu cię zostawiła, może nie potrafiłbyś jej wybaczyć.

- Nie potrafiłbym jej wybaczyć? - Gabe roześmiał się gniewnie. - A co ona takiego zrobiła? Obrabowała bank? Zgwałciła kózła? - Kiedy Decker milczał, dodał: - Serio, co mogłaby takiego zrobić, czego nie potrafiłbym jej wybaczyć? Zdradzić mojego tatę? Rzucić mojego tatę? Powinna to zrobić już dawno temu.

- Pamiętasz, o co się pokłócili, kiedy twój tata ją pobił?

- Naturalnie. Chris sądził, że to ona, a nie moja ciocia usunęła ciążę.

- Co byś powiedział, gdybym ci zakomunikował, że twoja ciocia nie usunęła ciąży? Że te dokumenty nie dotyczyły twojej cioci, tylko twojej matki?

- Wykluczone. - Gabe pokręcił głową. - Moja mama była zdecydowaną przeciwniczką aborcji. Nigdy nie usunęłaby ciąży.

- Sądzę, że masz rację. Gdyby twoja mama zaszła w ciążę,

urodziłaby dziecko. Chodzi o to, że twój tata od początku to podejrzewał. Rozumiesz, że gdyby zaszła w ciążę, prawdopodobnie nie byłoby to jego dziecko.

Gabe milczał, a Decker dał mu chwilę na przemyślenia, po czym mówił dalej:

- Uważam, że dokument, który zobaczył twój tata, to nie był rachunek za usunięcie ciąży, tylko za badanie ginekologiczne. Wyszczególniono w nim zabieg aborcji, by chronić twoją mamę. Kiedy twój tata wpadł w szal, mama uspokoiła go, mówiąc, że dokument dotyczy twojej cioci, a nie jej. Bo nawet się zarejestrowała, wykorzystując personalia twojej cioci. Ale z jakiegoś powodu zachowała swoje drugie imię. Gdyby twój tata to sprawdził, i może tak zrobił, z łatwością by stwierdził, że twoja ciocia nie ma na drugie imię Anne, jak powiedziała twoja mama, tylko Nicole.

Gabe wyglądał na załamane.

- Jest pan tego pewien? Że mama była w ciąży?

- Nie, to tylko domysły, ale zauważyłem, kiedy zobaczyłem twoją mamę, że nosi luźne ubrania, a jej twarz jest nieco pełniejsza. Jak powiedziałeś, nigdy nie zdecydowałyby się na aborcję. Mogła ukrywać przed twoim tatą wiele rzeczy, ale nie ukryłaby tego, że jest w ciąży. I nie mogła twierdzić, że to dziecko Chrisa, kiedy jego prawdziwym ojcem jest śniady Hindus. Musiała podjąć jakąś decyzję i wybrała życie swojego nienarodzonego dziecka.

Gabe zaczął coś mówić, ale urwał. Łzy zebrały mu się w oczach, a potem potoczyły się po policzkach. W końcu szepnął:

- Rzuciła jedno, bo miała drugie. Chciała zacząć nowe życie nie tylko bez Chrisa, ale również beze mnie.

- Zabrałaby cię ze sobą, gdyby mogła.

- Więc dlaczego, do diabła, tego nie zrobiła? - Był wściekły.

- Gabe, twój ojciec może pozwolić wyjechać twojej mamie, ale nigdy nie pozwoliłby jej zabrać ciebie. Jesteś jego jedynym dzieckiem. Ma tylko ciebie.

- Chris ma mnie w nosie! - wykrzyknął Gabe. - Wie pan, że nawet nie wierzy, że jestem jego synem. I po tym, co mi pan powiedział, może rzeczywiście nim nie jestem.

Decker spojrzał na niego uważnie.

- Chyba w to nie wierzysz.

- Chris tak sądzi i może ma rację.

- Twój tata wielokrotnie się mylił w wielu sprawach. Chris nigdy nie sądził, że twoja mama okaże się na tyle odważna, by zakochać się w innym mężczyźnie. Nigdy nie sądził, że odważy się go rzucić. Nigdy nie sądził, że zdoła się przed nim ukryć, i nigdy nie sądził, że może go okłamać. Mylił się i głęboko się myli, jeśli sądzi, że nie jesteś jego synem. Tamta Terry to nie obecna Terry. Twoja matka była bez reszty w nim zakochana. Wtedy w jej oczach twój ojciec był kimś absolutnie wyjątkowym. Gabe, jesteś synem Chrisa Donattiego.

Następnego ranka, mając pozwolenie Gabe'a, Decker zapoznał się z dokumentami, które Terry przysłała synowi. Nie interesowało go samo pełnomocnictwo, tylko kto je sporządził i poświadczył notarialnie. Chciał sprawdzić, czy

podpis złożyła Terry, a nie ktoś w jej imieniu. O ósmej rano zadzwonił do kancelarii prawniczej i nagrał się na automatyczną sekretarkę. Poinformował, że ma pilną sprawę i musi jak najszybciej porozmawiać z Justinem Keelerem.

Oddzwoniono do niego dwie godziny później.

- Mówi Justin Keeler.

- Porucznik Peter Decker z policji w Los Angeles. Od tygodnia zajmuję się sprawą zaginionej osoby. Nazywa się Terry McLaughlin...

- Pozwoli pan, że panu przerwę. Nie uzyska pan ode mnie żadnych informacji, bo obowiązuje mnie tajemnica zawodowa.

- Czyli że jest pańską klientką.

- Nie mogę tego panu powiedzieć.

- Mam dokumenty, które przekazano jej synowi Gabrielowi Whitmanowi. Podobno są przez nią podpisane i zostały poświadczone notarialnie. Sporządził je pan, a poświadczyła Carin Wilson. Czy pracuje u pana?

- Tak, Carin Wilson jest naszą pracowniczką. Skąd ma pan dokumenty?

- Gabriel mieszka ze mną i z moją rodziną. Wczoraj w nocy znalazłem kopertę na wycieracze przed drzwiami do mojego domu. Listu nie wysłano pocztą, ktoś dostarczył go osobiście. Chodzi mi jedynie o potwierdzenie, że Terry McLaughlin podpisała te dokumenty, że nie zostały one sfalszowane.

- Jeśli Carin Wilson je poświadczyła, mogę pana zapewnić, że nie zostały sfalszowane. Ma pięćdziesiąt dwa lata i od dwudziestu lat jest notariuszem.

- Wiem, że jestem trochę upierdliwy, panie Keeler, ale podejrzewam, że ktoś, kto legitymował się dokumentem tożsamości Terry, podpisał te dokumenty. Chcę się upewnić, że kobieta, którą uważa pan za Terry, to naprawdę Terry McLaughlin. Czy mogę złożyć panu wizytę i pokazać panu jej zdjęcie?

- Czy powiem „tak”, czy „nie”, naruszę obowiązującą mnie tajemnicę zawodową. Może wyśle mi pan zdjęcie pocztą? Jeśli coś się nie będzie zgadzało, poinformuję pana.

- Panie Keeler, próbuję jedynie przekazać biednemu chłopcu jakieś informacje na temat jego zaginionej matki. Mąż Terry jest człowiekiem gwałtownym, zdolnym do zabójstwa. Chcę się tylko upewnić, że Terry McLaughlin żyje.

Keeler westchnął.

- Żyje. - Urwał na chwilę. - Nie powinienem był panu tego powiedzieć, ale jeśli jej syn przeczytał dołączony list, to wie, że jego matka żyje.

- Czyli Terry McLaughlin rzeczywiście napisała ten list?

- Nie mogę panu nic więcej powiedzieć.

- Z pewnością zna pan jego treść.

- Nic więcej nie mogę panu powiedzieć. Proszę przeczytać ten cholerny list.

- Przeczytałem go.

- Więc proszę uszanować jej wolę, do jasnej cholery. I jeśli przejmuję się pan jej losem, niech pan sprawi, żeby jej mąż gwałtownik zostawił ją w spokoju. - Keeler rozłączył się.

Decker akurat pocierał skronie, kiedy do kuchni wszedł Gabe. Był jeszcze w piżamie. Twarz miał bladą i ziemistą, na

czole, chociaż posmarował je kremem, wciąż widać było pryszczę.

- Przyszedłem nie w porę?

- Skądże znowu. - Decker zmusił się do uśmiechu. - Siadaj. Co nowego?

- Chciałem panu powiedzieć, że właśnie zadzwoniłem do sekretarki mojego ojca. Poinformowała mnie, że ojca nie ma, ale przekaże mu, że dzwoniłem. Czyli musimy poczekać.

- Dobrze. Powiadom mnie, kiedy ojciec oddzwoni. Nadal zależy mi na rozmowie z nim.

- Powtórzę mu. - Podrapał się w czoło. - Czyli... Czy skreślił pan Chrisa z listy podejrzanych? Bo skoro mama żyje, to na pewno jej nie zabił. - Gabe znów podrapał się w czoło i zaczęła mu lecieć krew. Wytarł ją serwetką. - Boże, muszę okropnie wyglądać.

- Ładny z ciebie chłopak, ale przydałoby ci się trochę więcej snu. Ja jadę do pracy, a Rina z dziećmi wybiera się z wizytą do ich dziadków. Będziesz miał cały dom tylko dla siebie. Spuść rolety i połóż się spać. Jak twoja ręka?

- Będzie w porządku na pierwszą lekcję z Nicholasem Markiem. Tylko to jest dla mnie ważne.

Decker postukał w stół.

- Właśnie skończyłem rozmowę z prawnikiem, który sporządził dokumenty dla twojej matki. Nie mógł mi nic powiedzieć z uwagi na obowiązującą go tajemnicę zawodową, ale z tego, co wywnioskowałem, dokumenty są jak najbardziej prawdziwe. I według mnie list napisała twoja matka. Czyli, odpowiadając na twoje pytania, Chris nie jest

już podejrzany. Możesz mu powtórzyć, że to powiedziałem. Ale i tak chciałbym z nim porozmawiać, dowiedzieć się, co wie. Jestem ciekawski.

Gabe odwrócił wzrok.

- Mam nadzieję, że to nie żadna pułapka ani nic z tych rzeczy.

- Nie, Gabe, to nie jest pułapka. Uważam, że twoja matka żyje i prawdopodobnie przebywa w Indiach.

- Ona i miliard innych ludzi. Miliard i jeden, uwzględniając jej małe dziecko. Ale nie jestem rozgoryczony. - Gabe wstał.

- Dziękuję panu, panie poruczniku, że mnie pan przyjął pod swój dach... Dziękuję panu i Rinie. Dziękuję z całego serca. Obiecuję, że nie będę kłopotliwym lokatorem.

- Nie płacisz czynszu, więc nie jesteś lokatorem. Jesteś tylko pasożytem.

Gabe uśmiechnął się smutno.

- Będę niekłopotliwym pasożytem.

- Mówisz mojej żonie po imieniu. Do mnie też możesz się zwracać „Peter”.

- Dziękuję, ale wolę mówić do pana „poruczniku”, jeśli nie ma pan nic przeciwko temu.

- Nie, nie mam. - Wzruszył ramionami. - Mogę zapytać dlaczego?

- Czułbym się skrepowany, zwracając się do pana po imieniu. Poza tym... zabrzmiałoby trochę głupio... ale kiedy mówię do pana „poruczniku”, czuję się bezpieczny.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY PIĄTY

Kiedy Decker wszedł o jedenastej do budynku policji, Wanda Bontemps pstryknęła palcami, żeby zwrócić na siebie uwagę. Rozmawiała przez telefon i wskazała aparat, z którego chwilowo nikt nie korzystał.

Decker wcisnął klawisz i bezgłośnie podniósł słuchawkę.

- Nie rozumiem, jak mogliście zapodziać całą torbę biżuterii!

To mówił Chuck Tinsley. Decker wziął notes.

- Jestem pewna, że nie zginęła, panie Tinsley - powiedziała Wanda - tylko ktoś jej nie odłożył na miejsce. Chcę pana zapewnić, że zrobiliśmy zdjęcia wszystkich przedmiotów i je opisaliśmy. Jeśli zajdzie taka konieczność, otrzyma pan pełną rekompensatę pieniężną.

Gdy Decker pokazał jej uniesione kciuki, uśmiechnęła się.

- Mam w nosie rekompensatę pieniężną - żołądkował się Tinsley. - Te przedmioty miały dla mnie wartość pamiątkową. Należały do mojej zmarłej matki. W jaki sposób zamierza mi pani zrekompensować pamiątki, co?

- Jestem pewna, że się znajdzie...

- Wie pani, nigdy nie darzyłem policji specjalnym szacunkiem. A wie pani dlaczego? Bo wy nie szanujecie ludzi, którym służycie. Chodzi mi o to, że potraktowaliście mnie jak przestępcę, a prawdziwy morderca, który zabił Adriannę, przebywa na wolności. Jesteście bandą klaunów, wiecie

o tym?

- Wiem, że jest pan rozgoryczony, panie Tinsley...
- Co pani robi z moją własnością? Zabierze ją do domu?
- Skontaktuję się z panem, kiedy się odnajdzie.
- Tak, akurat. Do tego czasu dajcie mi pieniądze.
- Chce pan otrzymać rekompensatę pieniężną za biżuterię?
- Nie, chcę biżuterię, ale skoro nie możecie jej znaleźć, to dawajcie forszę. I lepiej, żebym nie czekał na nią przez rok, jeśli rozumie pani, co mam na myśli.

- Jeśli pan sobie życzy, natychmiast wystąpię z wnioskiem o wypłatę rekompensaty.

W słuchawce zapanowała cisza.

- A co będzie, jak znajdziecie biżuterię? - spytał wreszcie Tinsley.

- Oddam ją panu, a pan zwróci pieniądze.

- Powinienem dostać i biżuterię, i pieniądze za te wszystkie przykrości, na jakie mnie naraziliście. - Rozłączył się.

Wanda i Decker odłożyli słuchawki.

- Chce dostać z powrotem swoje trofea - powiedziała.

- Niewątpliwie sprawia wrażenie, że się do nich przywiązał.

- Nie ma co nawet wspominać, że jest tylko złodziejem. To już martwa hipoteza. Gdyby tak było, z radością przyjąłby pieniądze i nie musiałby się targować z paserem. - Wstała i się przeciągnęła. - Siedzę tu od paru godzin. Muszę się przejść. Sama zaniosę biżuterię do laboratorium. Chcesz wiedzieć, co nowego ustaliłam?

- Jak zawsze.

Przekartkowała notes.

- Rozmawiałam z policją z Oxnard. Jadę tam jutro, żeby zapoznać się z aktami i porównać notatki. Detektyw, który kierował śledztwem, już nie pracuje w policji. Zostawiłam mu wiadomość. Byłoby doskonale, gdyby nazwisko Tinsleya widniało w aktach w Oxnard.

- Pomarzyć zawsze można. A co z policją w Oceanside?

- Lee Wang się z nią skontaktował, więc z nim porozmawiaj. Szukaliśmy również powiązań Tinsleya z wojskiem, ale jak na razie nic nie znaleźliśmy.

- Sądząc po jego zachowaniu, nie pozwoli nam zbliżyć się do swojego mieszkania - stwierdził Decker.

- Zastanawiam się również - powiedziała Wanda - czy podświadomie nie wyczuwa, że coś na niego mamy.

- Bądź w ścisłym kontakcie z ekipą, która go obserwuje.

- To oczywiste, ale... Zastanawia mnie również... Sama nie wiem, szefie, ale jeśli biżuteria stanowiła jego trofeum, to teraz, kiedy myśli, że je stracił, może spróbuje zdobyć nowe na miejsce tamtych?

- Przydzielmy jeszcze jedną ekipę do obserwowania Tinsleya.

- Świetnie, dzięki temu poczuję się trochę lepiej.

Marge powiedziała przez telefon:

- Frieda Kowalski jest z nią na OIOM-ie. Trzyma ją za rękę.

- Jak daje sobie radę?

- Mandy czy Frieda?

- Jedna i druga.

- Mandy wyjdzie z tego, ale jeszcze dużo się nacierpi. Jest

poparzona od pasa w dół, ma złamaną rękę i pewnie coś jeszcze, a także obrażenia twarzy od wybuchu poduszki powietrznej.

- A matka?

- Wyczuwam u niej pewną rezerwę. Na samym wstępie poinformowała mnie, że nie jest blisko związana z Mandy. Ja też nie utrzymuję ze swoją mamą bliskich stosunków, ale gdybym leżała w szpitalu poparzona i połamana, nie sądzę, żeby to były pierwsze słowa, jakie padłyby z jej ust.

- Sprawiała wrażenie sparaliżowanej, kiedy z nią rozmawiałem. Pewnie doznała szoku. Czy dziś wybudzą Mandy?

- Tak, ale to długi proces, potrwa kilka dni. Lekarka uprzedziła nas, żeby niczego się nie spodziewać wcześniej, niż jutro po południu. Może nim tu dotrzesz, będzie na tyle przytomna, by coś powiedzieć.

- Jak poszukiwania Gartha?

- Na tym polu robimy pewne postępy. Pracując całą noc, znaleźliśmy kilka osób, które powiedziały, że był z Mandy tutaj, w North Las Vegas. Rozpoznała ich kelnerka w Gold, restauracji w New Lodge Inn. Byli tam... chwileczkę... w środę wieczorem. A także w czwartek... Niech sprawdzę... Widziano ich w Gin and Rose Bar and Casino. Ale ani mnie, ani Scottowi nie udało się ustalić, gdzie się zatrzymali. Nadal nad tym pracujemy.

- Jaki samochód prowadziła Mandy, kiedy miała wypadek?

- Jest właścicielką corolli rocznik 2002.

- Skoro rozbiła swój samochód, czym teraz jeździ Garth?

- Nie mam pojęcia. Ma samochód, ale nie wiem gdzie.
- Czy wyjechali osobno?
- Niewykluczone. A może sprzedał wóz, żeby mieć gotówkę. Rozglądamy się.
- Dobrze. Kiedy po raz ostatni Garth zatrzymał się w hotelu w North Las Vegas?
- Dawno temu... Może siedem miesięcy temu.
- Ale w ciągu ostatnich siedmiu miesięcy wiele razy był w Las Vegas.
- Wiem, i to daje mnie i Scottowi do myślenia. Może wynajął mieszkanie. Czynsz miesięczny byłby niższy, niż musiałby zapłacić za nocleg w hotelu, gdyby dość często tu przyjeżdżał.

Decker zastanowił się nad tym.

- Jeśli Garth wynajmuje mieszkanie, może trzymać samochód w garażu.
- Samochód albo motor terenowy - powiedziała Marge. - Chcielibyśmy z Oliverem zostać tu jeszcze jeden dzień. Zajmie trochę czasu sprawdzanie domów mieszkalnych, poza tym chcielibyśmy tu być, kiedy Mandy zacznie mówić.
- Mogę wam załatwić jeszcze jeden dzień delegacji. Spotkam się tam z wami jutro rano albo po południu. Muszę najpierw wyjaśnić kilka spraw.
- Odbiorę cię z lotniska.
- Nie, szkoda twojego czasu. Wezmę taksówkę.
- Świetnie. - Marge się uśmiechnęła, chociaż Decker tego nie widział. - Jeśli chcesz, Pete, możemy wrócić razem samochodem. Minęło trochę czasu, odkąd ostatni raz

wybrałam się gdzieś pohulać po amerykańskich drogach.

- Chyba nie wytrzymałbym czterech i pół godziny ze Scottem Oliverem.

- Nie jest taki zły. Chrapie przez sen, ale przynajmniej nie śmierdzi.

Decker roześmiał się i odłożył słuchawkę. Dochodziła druga po południu. Obiad zaplanowano wcześniej, ponieważ chłopcy wracali na Wschodnie Wybrzeże nocnym lotem. Postanowił zrobić sobie przerwę i był już prawie przy drzwiach, kiedy zadzwonił telefon. Decker wzniósł rękę i odebrał.

- Masz chwilkę? - spytała Wanda.

- Naturalnie. Co nowego?

- Kiedy technik oglądała wisiołek w kształcie litery R, znalazła fragment włosa w zapięciu łańcuszka. Powiedziała, że pod mikroskopem wygląda na jeden z cienkich włosków na szyi, które przeszkadzają, kiedy się nosi biżuterię.

- Och. W końcu uśmiechnęło się do nas szczęście.

- Co więcej, włoszek jest z cebulką.

Decker poczuł, że serce szybciej mu zabiło.

- Czyli da się uzyskać próbki DNA?

- Bardzo możliwe. Mieliśmy szczęście, że Tinsley przechowywał biżuterię w papierowej torbie. Wtedy jest mniejsze ryzyko, że ulegnie uszkodzeniu.

- Jak szybko możemy uzyskać wyniki, Wando?

- Powiem, że to pilne, ale i tak potrwa kilka tygodni.

- Wzięliśmy wymaz z błony śluzowej jamy ustnej Tinsleya. Jak najszybciej prześlemy do laboratorium. Jeśli włos należał

do matki Tinsleya, jego DNA powinno się zgadzać z DNA uzyskanym z włosa. Jeśli będzie inaczej, to znaczy, że nas okłamał. A jeśli to włos Roxanne, skąd się wziął u niego jej wisiołek? Czy śledczy, który kierował dochodzeniem w sprawie jej śmierci, oddzwonił do ciebie?

- Tak. Nazywa się Ronald Beckwith. Jesteśmy umówieni jutro na dziesiątą.

- Zadzwoń do niego i dowiedz się, czy dysponują DNA Roxanne.

- Już to zrobiłam. Mają.

- Spytaj go też, czy mają jakieś dowody rzeczowe, z których można by uzyskać DNA sprawcy.

- Dobrze.

- Bierzmy się ostro do pracy. Tinsley wciąż przebywa na wolności, czym coraz bardziej się denerwuję.

Decker rozłączył się, potarł oczy, potem kark. Był zmęczony, ale ostatnie dwa dni okazały się owocne. Wiedzieli, że Gartha widziano z Mandy w Las Vegas, czyli są na dobrym tropie. A Mandy, chociaż znajduje się w poważnym stanie, to jednak żyje. Kiedyś na tyle oprzytomnieje, by móc mówić. I jakie szczęście, że w zapięciu łańcuszka znaleziono włos z cebulką. DNA powinno wyjaśnić wiele wątpliwości.

Wyglądało na to, że w końcu nastąpił pewien przełom w sprawie, ale wciąż wiele ważnych pytań pozostawało bez odpowiedzi.

Gdzie jest Garth?

Jakie wydarzenia doprowadziły do śmierci Adrianny?

Jakie wydarzenia doprowadziły do śmierci Crystal Larabee?

Czy istnieje jakiś związek między śmiercią obu kobiet?

I czy Chuck Tinsley jest seryjnym mordercą?

Tyle zbrodni, tak mało czasu.

Ocierając pot z twarzy, Marge spojrzała na rozpalone niebo. Pustynne słońce, które wczoraj tak sobie chwaliła, gdy odpoczywała nad basenem, teraz przemieniło się we wroga, kiedy w ponad trzydziestostopniowym upale wlekli się od domu mieszkalnego do kolejnego domu mieszkalnego.

I trzeba przyznać, że w hrabstwie Clark jest naprawdę dużo domów mieszkalnych.

Były tu bloki, mieszkania własnościowe, osiedla i obskurne hotele, w których można wynająć pokój na dłuższy okres. Od wielu godzin zajmowali się tym, nim w końcu postanowili zrobić przerwę na obiad. O piątej po południu był otwarty jedynie sklep, czynny cały dzień, którego właściciele utrzymywali, że mają najlepszego grilla w mieście. I nic a nic nie przesadzali. Żeberka były pikantne, takie, jakie Marge lubiła. Kiedy je zjadła, wytarła dłonie wilgotną serwetką.

- Ale było dobre - powiedziała znów zadowolona z życia.

Oliver wciąż obgryzał kość.

- Cholernie dobre.

- Co nam zostało?

- Jeśli upierasz się, żeby dalej pracować, w promieniu kilku kilometrów jest masa osiedli domów jednorodzinnych.

- Masa, czyli ile?

- Pięć, a każde liczy około trzydziestu mieszkań

własnościowych. W dwóch z nich administracja znajduje się na miejscu.

- Zaczniemy od nich. - Marge dała znak kelnerce, żeby przyniosła rachunek.

- Szukamy czegoś, co może wcale nie istnieje. - Oliver urwał. - Jak na przykład miłość.

Podeszła kelnerka, korpulentna kobieta z siwymi tapirowanymi włosami.

- Nie zjedzą państwo deseru?

- Bardzo byśmy chcieli - powiedział jej Oliver - ale musimy wracać do pracy.

- Pracujecie w niedzielę? Czym się zajmujecie?

- Jesteśmy gliniarzami. - Oliver pokazał odznakę. - Prawdziwymi.

Spojrzała na odznakę, nie przyglądając się jej zbyt uważnie.

- W takim razie zapakuję wam parę pączków na wynos. Na koszt zakładu.

- Bardzo dziękujemy, ale możemy za nie zapłacić - powiedziała Marge.

- Nawet nie chcę o tym słyszeć.

Oliver powiedział zupełnie szczerze:

- To bardzo miło z pani strony.

- No pewnie. - Delikatnie dotknęła jego ramienia i odeszła.

- Czego niektórzy nie zrobią dla darmowego pączka - zauważyła Marge.

- Zaproponowaliśmy, że zapłacimy, ale się nie zgodziła.

- Ja zaproponowałam, że zapłacę - poprawiła go Marge.

- Taak, ty jesteś dobrą policjantką, a ja złym policjantem.
Już to ustaliliśmy. Możemy do tego nie wracać?

Marge się uśmiechnęła.

- Upewnij się, czy zapakowała klonowe zawijasy.

- Ja mam się upewnić?

- Jesteś pozeraczem serc niewieścich, Scott. Jak ją ładnie poprosisz, założę się, że zapakuje ci dwa.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY SZÓSTY

Właśnie spałaszowali tort czekoladowy - połowa gości siedzących w restauracji dołączyła do nich i fałszując niemiłosiernie, zaśpiewała mu *Sto lat* - i pili kawę, kiedy Cindy stuknęła łyżeczką w szklankę z wodą, żeby zwrócić na siebie uwagę. Decker z miłością i dumą spojrzał na pierworodną i wszystkie pozostałe dzieci. Czas zbyt szybko mijał. Nawet ciąża Cindy zdawała się szybko rozwijać. W ostatnim tygodniu wyraźnie urósł jej brzusek.

- Jako najstarsza z klanu Deckerów - powiedziała - uznałam, że pierwsza zabiorę głos. - Wymienili się uśmiechami z Kobym. - Będę się streszczać, bo wiem, że chłopcy muszą zdążyć na samolot. Jak wszyscy wiecie, spodziewamy się z Kobym dziecka.

- No, no - powiedział Decker, uderzając w stół. Był lekko spocony i miał wesoły nastrój, do czego niewątpliwie przyczyniło się wino. Ale ostatecznie obchodził urodziny, i to okrągłe. Rina uparła się, że odwiezie go do domu, żeby mógł się napić.

- Dodam, że najwyższy czas - odezwał się Jacob.

- I kto to mówi?

- O co ci chodzi? Przecież jestem kawalerem.

- No właśnie. Twój brat działa zgodnie z planem, a ty jakie masz wytłumaczenie?

- Jestem niedojrzały psychicznie.

- Mnie to nie przeszkodziło - zauważył Decker.
- Dajcie Cindy dokończyć - poprosiła Rina.
- Dziękuję, Rino - powiedziała Cindy. - Mamy inną nowinę.
- Czego dotyczy? - Decker wyraźnie się ożywił.
- Naturalnie dziecka.

Przy stole zapadła cisza.

- W zeszłym miesiącu, kiedy poszłam z Kobym na badanie kontrolne do ginekologa - ciągnęła Cindy - lekarz usłyszał bicie dwóch serc.

- O nie! - wykrzyknął Jacob. - Twoje dziecko ma dwa serca?

Tym razem trzepnęła go w ramię.

- Urodzę bliźniaki.

Rozległy się radosne okrzyki *mazzal tow*.

- Jaki wspaniały prezent urodzinowy! - zawołał Decker. - Nie śpieszyło ci się, dziewczyno, ale jak już, to zrobiłaś to jak należy.

- Dziękuję, tato.

- Jestem taki szczęśliwy! - wykrzyknął Decker.

- Cieszę się. - Cindy się roześmiała. Tata trochę się upił. - Mamy jeszcze jedną nowinę. Koby, chcesz im ją przekazać?

- To wszystko dzięki twojemu wysiłkowi, więc ty im powiedz.

- No dobrze. - Cindy zrobiła krótką przerwę. - Bliźniaki są jednojajowe.

- Czyli będą identyczne - powiedziała Rina.

- O mój Boże, ale szął! - wykrzyknęła Hannah.

- Szął? - zdziwił się Decker.

- Szał w znaczeniu „niesamowite”.
- Może dla was niesamowite, za to dla nas kosztowne - powiedział Koby.
- Zaoszczędzicie na pobycie w szpitalu - skomentował Sammy. - Urodzi się dwoje za cenę jednego.
- Masz rację - zgodził się Koby.
- Czy urodzisz siłami natury? - spytała Hannah. - Mogę być twoją doułą?
- Znajdziemy dla ciebie jakieś zajęcie, Hannah Banana - obiecała jej Cindy.
- Czy w twojej rodzinie rodziły się bliźniaki? - spytała Rina męża.
- U Deckerów nie.
- Mój wuj ma brata bliźniaka - odezwał się Koby. - I mam kuzynów bliźniaków.
- Czyli wszystko jasne - powiedział Decker.
- Czy dacie mi dokończyć? - spytała Cindy.
- To jeszcze nie wszystko? - zdziwił się Jacob.
- Nie, jeszcze nie.
- Czy urodzisz również psa przyjaciela rodziny?
- Próbuję powiedzieć coś ważnego - zdenerwowała się Cindy.
- Oho - odezwał się Koby. - Nie denerwujcie jej. To może bardzo źle się skończyć.
- No dobrze, zamieniam się w słuch - powiedział Jacob.
- I mam nadzieję, że zamkniesz gębę.
- Ooo...
- Pozwólcie jej dokończyć! - poleciła Rina.

- Proszę! - Cindy klepnęła Jake'a w ramię.

- Już się zamykam.

- No dobrze. No więc w rodzinie Koby'ego, w odróżnieniu od zwyczajów aszkenazyjskich, istnieje tradycja nadawania dzieciom imion dziadków, nawet jeśli wciąż żyją... Szczególnie, jeśli nadal żyją. Według mnie to bardzo miły zwyczaj. No więc pierworodny syn albo córka otrzymują imię po dziadkach ze strony ojca. Drugi syn albo córka otrzymują imię po dziadkach ze strony matki. Więc jeśli urodzą się dwie dziewczynki, otrzymają na imię Rachel po matce Koby'ego i Judith, bo tak brzmi po hebrajsku imię mojej mamy. Ale jeśli to będą chłopcy, otrzymają imiona Aaron po ojcu Koby'ego i Akiva. - Spojrzała na swojego ojca. - Po kimś, kogo wszyscy znamy i kochamy.

Decker uśmiechnął się szeroko.

- Będę trzymał kciuki, żeby to byli chłopcy.

- No dobrze, czyli ustalone. Ponieważ mam więcej niż trzydzieści pięć lat, kilka tygodni temu zrobiłam biopsję kosmówki. Badanie to umożliwia wykrycie chorób genetycznych. Ponieważ chodzi o bliźniaki jednojajowe, wystarczyła jedna biopsja. I z radością informuję, że wszystko jest w porządku.

- I znacie płeć dzieci - powiedział Sammy.

- Owszem - potwierdziła Cindy. - Początkowo chcieliśmy to zatrzymać dla siebie, ale ponieważ zebraliśmy się tu dziś wszyscy, a nieczęsto się to zdarza, pomyślałam, że będzie stosownie poinformować gościa honorowego, że tak, to chłopcy. Więc tato, będziesz miał ten zaszczyt, żeby jeszcze

za twojego życia ktoś otrzymał imię na twoją cześć. Sto lat. - Nachyliła się i pocałowała Deckera w policzek.

On z kolei pocałował i uściskał Cindy i Koby'ego.

- Jesteś najlepszym teściem i niezrównaną złotą rączką - powiedział Koby. - A to bezcenne.

- Oddajmy głos jubilatowi - zaproponował Jacob.

Wszyscy utkwili wzrok w Deckerze. Poczuł, jak mu się ściska gardło.

- Jestem... zachwycony. - Nagle tak się wzruszył, że do oczu napłynęły mu łzy. - Wprost brak mi słów.

- Chcesz, żebym przemówił w twoim imieniu? - spytał Jacob.

- Jasne, mądralo. - Decker wytarł oczy. - Proszę, mów.

- Właściwie nie chcę mówić w twoim imieniu, tylko chcę tobie coś powiedzieć. - Spojrzał na Sammy'ego. - Pozwolisz, że powiem pierwszy?

- Mów, byle szybko, bo zabraknie nam czasu.

- Dobrze już, dobrze. - Jake zatarł ręce. - Chciałem ci tylko podziękować za to, że jesteś moim ojcem. W przeciwieństwie do większości ojców mogłeś sam zdecydować, czy adoptować mnie i Sama, czy też nie...

- Nieprawda - wtrąciła się Rina. Wszyscy się roześmieli. - Zabiłabym go, gdyby się nie zgodził.

- Czy pozwolicie, że będę trochę sentymentalny?

- Ty sentymentalny? - zdziwiła się Cindy.

- Tak, nawet ja nie mam serca z kamienia. Chciałem powiedzieć, że pojawiłeś się w naszym życiu, Sammy'ego i moim, po tym, jak mieliśmy za sobą dość dramatyczne

wydarzenia. Pamiętam... Kiedy cię poznałem... Pomyślałem, że musisz być najwspanialszym facetem pod słońcem.

- Ale szybko zmieniłeś zdanie - przypomniał mu Decker.

- Wcale nie. - Jacob przygryzł usta. - Nadal uważam cię za wspaniałego faceta. I chciałem ci podziękować, że byłeś ze mną, Samym i imą w trudnym okresie naszego życia. - Spojrzał na Cindy. - Twoje dzieci będą super do kwadratu. Mają to po dziadkach.

- Dziękuję, Yonkelu.

- Sto lat, tato. - Zwrócił się do Sammy'ego. - Czy wystarczająco się streściłem?

- Jak na ciebie wyjątkowo dobrze. - Sammy umilkł na chwilę. - Teraz chyba moja kolej. No więc... Może nie miałeś wyboru i musiałeś nas adoptować, tato, ale z całą pewnością mogłeś zdecydować, czy będziesz ojcem, czy też nie. I zdałeś ten egzamin celująco. Nie jesteś naszym biologicznym ojcem, lecz jeśli chodzi o poświęcenie, z całą pewnością jesteś naszym prawdziwym ojcem. I chociaż jestem aszkenazyjczykiem, naprawdę się cieszę, że jeden z twoich wnuków otrzyma imię po tobie. Zasłużyłeś sobie na ten zaszczyt.

Decker pocałował synów i mocno ich uścisnął.

- Dziękuję wam, chłopcy.

Wszyscy spojrzeli na Hannah.

- No cóż, z uwagi na moje rude włosy chyba nikt nie ma cienia wątpliwości, że jesteś moim biologicznym ojcem. Jestem bardzo przejęta wyjazdem do Izraela na studia, ale wiem, że będę ogromnie tęskniła za tobą i imą. Więc lepiej

często mnie odwiedzajcie. - Do oczu napłynęły jej łzy i potoczyły się po policzkach. - Bardzo cię kocham, abba. Sto lat.

Decker objął ją niedźwiedzim uściskiem.

- Kocham cię, mój skarbie. I będziemy cię często odwiedzać.

- Cóż, chyba pora na mnie - powiedziała Rina. - Ja też będę się streszczać. Nie chcę się rozczulić w obecności dzieci, ale to prawdziwe szczęście, że spędziłam tyle lat jako żona człowieka, którego tak bardzo kocham. I dostałam prawdziwego szczęścia, że mam taką cudowną rodzinę, nie wyłączając mojej ślicznej pasierbicy i zięcia oraz moich przyszłych wnuków. Peter, bardzo cię kocham i mam nadzieję, że spędzimy razem jeszcze wiele lat. Zawsze byłam z ciebie bardzo dumna. Jesteś po prostu najlepszy pod słońcem.

Wszyscy wydali głośne „ach”, kiedy Rina pocałowała Deckera prosto w usta.

- A teraz pora na przemówienie jubilata - powiedział Jacob.

- Nie, wszystko już powiedzieliście za mnie - odparł Decker. - Rozkoszuję się swoim szczęściem.

Jacob trącił w bok Gabe'a, który przez cały wieczór nie zabierał głosu.

- Teraz masz okazję przemówić lub zamilknij na wieki.

Gdy Gabe się zaczerwienił, Decker powiedział:

- Yonkelu, daj mu spokój.

- Przepraszam - powiedział Jacob. - Wiesz, że tylko się z tobą przekomarzam.

- Właściwie może powinienem coś powiedzieć - odezwał się Gabe. Wszyscy wokół stolika umilkli. Chłopak poprawił okulary na nosie. - Po pierwsze, gratulacje dla przyszłych rodziców.

- Dziękuję - powiedziała Cindy.

- Proszę bardzo - odparł Gabe. - Po drugie, sto lat, panie poruczniku.

- Bardzo dziękuję - powiedział Decker.

- Proszę bardzo - powiedział Gabe. - I po trzecie... - Próbował zebrać myśli, które kłębiły mu się w głowie. - Moi rodzice nie są ludźmi religijnymi... - Prawdopodobnie złamali wszystkie dziesięć przykazań, pomyślał. - Więc nie wiem, dlaczego posłali mnie do katolickiej szkoły. - Umilkł na chwilę. - I zakonnice uczyły nas tam różnych rzeczy... Niestety niewiele z tego zapamiętałem.

- Nie szkodzi - pocieszyła go Hannah. - My też nie słuchamy rabinów.

- Hannah! - wykrzyknęła Rina.

- Chcę tylko okazać trochę empatii.

Gabe uśmiechnął się.

- No więc zakonnice wciąż podkreślały, że trzeba być dobrym i miłym, nastawiać drugi policzek i temu podobne. Ale kiedy się nad tym zastanawiam, wcale nie chodziło im o to, żeby być dobrym, tylko posłusznym. Być dobrym... Co to właściwie znaczy? To abstrakcyjne pojęcie. No więc właściwie nie wiedziałem, co to znaczy być dobrym, bo... No cóż, szczerze mówiąc, moi rodzice są trochę zwariowani... Bardzo zwariowani. I niezbyt sobie cenią to, że można

i warto być dobrym. No, może trochę moja mama. – Wzruszył ramionami. – Ale po tak krótkim pobycie w domu z porucznikiem, Riną i Hannah zaczynam rozumieć, co to takiego może być. Panie poruczniku, Rino i wy wszyscy tu obecni... Dziękuję, że jesteście tacy dobrzy.

Nikt się nie odezwał.

Gabe znów się zaczerwienił.

– To tyle.

– Dziękuję, Gabe. – Decker mu zasalutował. – Zaproponuję ci to samo, co zaproponowałem wszystkim moim dzieciom. Wytrzymaj ze mną, a ja postaram się wytrzymać z tobą.

– Chyba da się to zrobić – powiedział Gabe.

Sammy spojrział na zegarek. Dochodziła dziewiąta. Samolot do Nowego Jorku odlatywał o jedenastej.

– Chętnie bym z wami został, ale na nas już pora. Musimy jeszcze oddać samochód.

Właśnie wtedy zadzwoniła komórka Deckera, którą miał w kieszeni. Nie od razu odebrał, ale w końcu wyjął ją i spojrział na wyświetlacz. Zobaczył numer Marge. Natychmiast wytrzeźwiał.

– To może być ważne. Pozwolicie, że odbiorę?

– Niektóre rzeczy nigdy się nie zmieniają – zauważyła Rina.

– Bardzo śmieszne. – Decker nacisnął zielony guzik. – Cześć. Czy mogę do ciebie oddzwonić za dziesięć minut?

– Dobrze. Ale koniecznie oddzwoń.

Ciekawość wzięła górę.

– Co tam?

– Przepraszam, że przeszkodziłam w trakcie przyjęcia

urodzinowego, Pete, ale coś się wydarzyło.

- To znaczy co?

- Nie zapowiada się obiecująco - powiedziała Rina.

- Rozumiem - powiedział Decker. - Marge, zaraz do ciebie oddzwonię. Chłopcy jadą na lotnisko, chcę się z nimi pożegnać.

- Może skorzystaj z okazji i zabierz się z nimi?

- Jestem wam potrzebny w Las Vegas?

- Tak, i to pilnie.

- Znaleźliście zwłoki Gartha Hammerlinga?

- Nie, szefie, wciąż go szukamy, ale jeśli chodzi o zwłoki...

- Urwała. - Powiem tylko, że lepiej będzie, jak zobaczysz to na własne oczy.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY SIÓDMY

Kiedy Decker czekał na lot do Las Vegas, Marge pokrótce zrelacjonowała, co się wydarzyło. Mówiła jak karabin maszynowy, aż zabrakło jej tchu. Decker słyszał, jak głośno nabiera powietrza, by mówić dalej:

- No więc razem ze Scottem przez cały dzień chodziliśmy po budynkach mieszkalnych i osiedlach mieszkaniowych. Nic nie udało nam się ustalić, ale spodziewaliśmy się tego. Koło szóstej zrobiliśmy przerwę, zjedliśmy kolację i postanowiliśmy zajrzeć jeszcze do dwóch tanich osiedli znajdujących się w pobliżu. To miała być ostatnia próba. Było koło siódmej.

Decker spojrział na zegarek. Dochodziła jedenasta.

- Rozumiem.

- Musisz pamiętać, że byliśmy na zupełnym odludziu. Domki graniczą z pustynią, dalej są kilometry pustki. Żeby kupić taki dom, nie trzeba wносить żadnej przedpłaty, są tylko niskie miesięczne raty. Na dodatek dwie trzecie domów jeszcze nie powstało. Razem ze Scottem nie zauważyliśmy, żeby prowadzono jakieś prace budowlane. Doszliśmy do wniosku, że to idealne miejsce dla samotnika, który nie ma zbyt dużo pieniędzy.

- Domyślam się dalszego ciągu.

- Tak, a nie jest on zbyt przyjemny. No więc w jednym modelowym domku mieści się biuro. Szczęśliwym trafem

w środku jest kobieta. A przypominam ci, że jest niedziela, nic się nie dzieje. Mówi nam, że jest późno i zaraz zamyka biuro. Zapewniamy ją, że zabierzemy jej tylko kilka minut. Pytamy o Gartha Hammerlinga. Nic. Potem Oliver pokazuje zdjęcia Gartha, a jej twarz się ożywia, chociaż stara się to ukryć. Ale nawet ślepiec by się zorientował, co jest grane.

- Czyli nie była to pokerowa mina - domyślił się Decker.

- O nie. A ostatecznie jesteśmy w Las Vegas. No więc przycisnęliśmy ją... Nazywa się Carlotta Stretch. - Przeliterowała mu. - Gdy ją przycisnęliśmy, przyznała, że ktoś podobny do Gartha kupił dom na osiedlu jakieś sześć miesięcy temu. Czyż to nie zdumiewające?

- Rzeczywiście niezwykle zdumiewające.

- No właśnie. Ale okazało się, że są pewne trudności. Nabywca nie nazywa się Garth Hammerling, tylko Richard Hammer. Razem ze Scottem zadzwoniliśmy do Lonniego Silvera i Rodneya Majora i zapytaliśmy ich, co o tym sądzą. Dobrze z nich chłopaki, natychmiast przyjechali. Carlotta chce wracać do domu, ale gramy na zwłokę. Naradziliśmy się i doszliśmy do wniosku, że ponieważ Carlotta rozpoznała na zdjęciu Gartha Hammerlinga, każdy logicznie myślący człowiek uznałby, że Richard Hammer to Garth Hammerling. Ale to nie koniec kłopotów. Po pierwsze ani Garth, ani Richard nie są o nic oskarżeni, po drugie, nie mamy nic na Gartha Hammerlinga poza tym, że zaginął w tajemniczych okolicznościach.

- Czyli nie mieliście pretekstu, żeby wejść do jego domu.

- No właśnie.

- A co z grożącym mu niebezpieczeństwem?

- No właśnie, też wpadliśmy na taki pomysł. Garth i Mandy zaginęli mniej więcej w tym samym czasie. Mandy niemal poniosła śmierć, więc Garthowi też może grozić jakieś niebezpieczeństwo. Czyli wykazalibyśmy się dużą niesumiennością, gdybyśmy nie sprawdzili domu. Silver zadzwonił do sędziego. Powiedział, że możemy wejść do domu i rozejrzeć się, ale nie wolno nam zdemolować pomieszczeń. Żadnego wyciągania szuflad i temu podobnych. Jeśli zobaczymy coś na wierzchu, możemy to obejrzyć. Poza tym mamy związane ręce. Dochodziła ósma, kiedy w końcu weszliśmy do środka.

- Wszystko wydawało się w porządku - ciągnęła Marge. - Zobaczyliśmy parę zdjęć Gartha, więc wiedzieliśmy, że jesteśmy we właściwym miejscu. Bardzo chcieliśmy zajrzeć do szuflad, przekonać się, czy nie ma tam więcej zdjęć Gartha i Mandy w maskach, ale niestety nie mogliśmy. Powiedzieliśmy, że trudno, jest jak jest.

- Marge, już proszą pasażerów do samolotu. Zostało mi jeszcze może dziesięć minut.

- Postaram się streszczać. Zaczęliśmy rozważać, jakie mamy opcje. Czy mamy zostawić radiowóz na wypadek, gdyby Garth wrócił? Ale potem uznaliśmy, że byłby to idiotyzm. Nie ma się tam gdzie ukryć. Ciągle się jeszcze nad tym zastanawialiśmy, kiedy zadzwoniła do nas Frieda Kowalski. Powiedziałam ci, że dziś rano zaczęli wybudzać Mandy ze śpiączki farmakologicznej?

- Tak.

- No więc Frieda zadzwoniła do mnie. Była bardzo zdenerwowana. Zaczęła coś mówić, kiedy wciąż jeszcze byliśmy na osiedlu, starając się zaplanować kolejny ruch. Poza tym czas nas nagli. Carlotta Stretch chce zamknąć wszystko i jechać do domu.

- Co ci powiedziała Frieda?

- No więc lekarze zaczęli wybudzać Mandy Kowalski ze śpiączki koło dziewiątej rano. Wczesnym wieczorem, według Friedy koło siódmej, Mandy na tyle odzyskała przytomność, że otworzyła oczy i rozpoznała matkę. Wie, że jej stan jest poważny. Jest niezwykle poruszona. Podskoczyło jej ciśnienie krwi, serce wali jak szalone, dygocze, jakby doznała ataku. Lekarze pomyśleli, że może za szybko ją wybudzili albo cierpi w wyniku oparzeń. Bo według słów jej mamy, skręcała się z bólu.

- To straszne.

- Cieszyłam się, że tego nie widziałam.

Decker usłyszał głębokie westchnienie.

- Frieda zaczęła się domagać środków przeciwbólowych dla córki, lecz nim je podali, Mandy zaczęła coś mamrotać. Początkowo Frieda nic nie mogła zrozumieć, ale potem Mandy zaczęła się powtarzać. W końcu mamie wydało się, że usłyszała słowo „loch”.

- O Boże!

- No właśnie. Frieda miała dość przytomności umysłu, żeby powtórzyć słowo „loch” córce. I wtedy ciśnienie krwi u Mandy znów podskoczyło. Była tak rozemocjonowana, że rozległy się brzęczyki. Wbiegła pielęgniarka, już miała podać

środek uśmierzający ból, ale Frieda, dzięki Bogu, powstrzymała ją. Doszło do ostrej wymiany zdań między nimi. Frieda zażądała, żeby lekarz podał środek uspokajający. Pielęgniarka poczuła się dotknięta, nabzdyczyła się i wyszła, za to wezwano lekarza.

- Brawa dla mamusi.

- Masz rację, bo nim lekarz zdążył podać coś Mandy, mamie udało się zrozumieć jeszcze kilka wyrazów: „loch”, „dom”... „zabójstwo”. A potem Mandy zaczęła powtarzać w kółko „dziewczyna, dziewczyna, dziewczyna”.

- Wielki Boże!

- No właśnie. Ale już pojawił się lekarz. Był zły na Friedę, a ona była zła na lekarza i pielęgniarkę. Więc wszyscy są źli na wszystkich, ale w końcu lekarz podał Mandy lek, pacjentka się uspokoiła i znów zapanował spokój w Mieście Grzechu. Zrobiło się wpół do ósmej. Frieda w końcu na tyle ochłonęła, by zacząć myśleć. Uznała, że powinna zadzwonić do mnie i powtórzyć, co Mandy powiedziała, będąc w malignie. Kiedy odebrałam ją z lotniska, dałam jej numery moje i Scotta, więc mogła do mnie zadzwonić. I zadzwoniła.

- Zadziwiające, że w takiej sytuacji zachowała przytomność umysłu.

- Tak, i zadzwoniła w samą porę, bo kiedy ona zdaje mi telefonicznie relację, Carlotta idzie do samochodu i zamierza odjechać. Usłyszawszy takie słowa, jak „loch”, „dom”, „zabójstwo” i „dziewczyna”, uznaliśmy, że mamy powód, by wrócić do domu i uważniej go przeszukać. Scott pobiegł za Carlottą, złapaliśmy ją w ostatniej chwili. Prawdę mówiąc,

niemal go uderzyła. Nie potrafię ci opisać, co to było za szaleństwo.

- Wyobrażam sobie. Marge, już wsiadam do samolotu. Za kilka minut będę musiał wyłączyć komórkę.

- Postaram się streszczać. Wróciliśmy do domu i zaczęliśmy się rozglądać. Próbowaliśmy znaleźć klapę w podłodze albo podwójną ścianę lub w ogóle coś, co świadczyłoby o ukrytym pomieszczeniu. Nic. Sprawdziliśmy garaż. Nic. Udałam się na tyły domu, żeby się rozejrzeć. A przypominam ci, że to nie jest eleganckie osiedle.

- Rozumiem.

- Do każdego domu należy mała działka oddzielona od sąsiedniej niskim murem z pustaków. I można zajrzeć przez mur do ogródka sąsiada. No więc zaglądam do ogródków sąsiadów, bo pomyślałam, że może Garth nas zobaczył i ukrył się w którymś z domów. Byliśmy zdesperowani. Nagle zauważyłam, że oba domy, które sąsiadują z domem Gartha, mają patia z betonowych płyt. Patio w domu Gartha jest z cegieł. Pomyślałam, dlaczego komukolwiek mogłoby zależeć na podniesieniu standardu na takim osiedlu? Przyjrzałam się uważniej. Owszem, patio jest z cegieł, ale nie są związane zaprawą murarską ani cementem, Pete. Cegły ułożono na piasku, a tych z prawej strony nie ułożono zbyt równo.

- O rany.

- Rozumiesz, co sobie pomyślałam. Ponieważ Mandy wspomniała o dziewczynie, lochu i zabójstwie, zaczęliśmy odwalać cegły. Pod patio wykopano w ziemi... - Urwała. -

Coś jakby schron przeciwlotniczy. Z pustaków, z klapą zamykaną na kłódkę. Rodney Major ją wyłamał, podnieśliśmy klapę i natychmiast poczuliśmy fetor. Jakby to było szambo, ciemne i śmierdzące. Silver miał latarkę. Wzięłam ją i zaproponowałam, że pierwsza tam zejść. Trzęsłam się jak galareta. Wiesz, jakie uczucia budzą we mnie ciemne ciasne pomieszczenia.

Decker wiedział to aż nadto dobrze. Odkąd Marge wyratowała grupkę dzieci, wyprowadzając je z siedziby zwolenników pewnego kultu tunelem wykopanym w ziemi, cierpiała na klaustrofobię.

- Dobra robota, Dunn.

- Tak, dziękuję za poklepanie po ramieniu. Bo loch nie dość, że mały i ciemny, naprawdę cuchnął. Ale wtedy kierowała mną czysta adrenalina. Zeskoczyłam... dobre dwa i pół metra. - Westchnęła głęboko. - Znalazłam dziewczynę, Pete. Nagą, owiniętą w plastikowe worki na śmieci, z pętlą na szyi. Szacując na podstawie tego, kiedy Mandy trafiła do szpitala, przypuszczam, że leżała tam od dwóch dni. - Marge załamał się głos. - Sprawdziłam tętno... Nic. W dole było zimno, dziewczyna była zimna, ale nie lodowato zimna. Lecz się nie ruszała. Uznałam, że nie żyje. No bo dlaczego miałyby żyć? Potem poświeciłam jej w oczy, a ona zamrugowała!

- Och... - Deckerowi odjęło mowę.

- Jest nieprzytomna, ale żyje. Zdjęłam pętlę z szyi, wezwaliśmy karetkę. Sanitariusze ją wyciągnęli i zawieźli do szpitala. W tej chwili jej stan jest krytyczny. Nie wiadomo, czy przeżyje, ale wciąż żyje. Wyobrażasz sobie coś takiego?

- Czy Mandy zna tę dziewczynę?
- Wciąż jest pod wpływem środków uspokajających. Musimy poczekać, aż przestaną działać, nim będziemy mogli z nią porozmawiać.

Personel zamykał drzwi do samolotu. Deckerowi zostało trzydzieści sekund.

- Wspomniałaś o intensywnym fetorze. Czy oprócz tej dziewczyny znaleźliście jeszcze kogoś?

- Są tam jeszcze zwłoki dwóch osób w różnym stanie rozkładu. Na razie pracownicy koronera wydobyli jedno. Są wzdęte, pełne robaków, prawie cała skóra zesła. Okropny widok. A te pierwsze są w lepszym stanie od tych drugich.

- O rany! Jak sądzisz, ile czasu zajmie im opróżnienie tego pomieszczenia?

- Nie wiem, Pete. Mają do wydobywania jeszcze jedno zwłoki, a potem wezmą się za kości. Zwłoki spoczywały na stosie kości.

Ponieważ nic nie zasłaniało horyzontu, słońce wzeszło w pełnej glorii - gorąca złota tarcza pulsująca światłem. O siódmej rano wyłączono reflektory punktowe na zewnątrz, które pozwoliły policji pracować w nocy, ale w środku wciąż świeciły pełną mocą. Minie jeszcze wiele godzin, nim z betonowego grobowca uda się wydobyć cały materiał biologiczny.

Wysłano list gończy za Garthem Hammerlingiem. Policja z North Las Vegas również sporządziła ulotki i przefaksowała je nie tylko do policji Las Vegas, ale również do większości posterunków w stanie Nevada, a szczególnie do tych w Reno

i na tym brzegu jeziora Tahoe, który znajduje się w Srebrnym Stanie. Policja z North Las Vegas przesłała ulotki również do klubów, gdzie grano w pokera, w południowej Kalifornii i do kasyn w Atlantic City. Wszyscy wiedzieli, że to zaledwie drobny ułamek, bo w całym kraju są tysiące kasyn w rezerwatach dla Indian i nielegalnych lokali, w których uprawia się gry hazardowe. Trudno było zdecydować, jak postąpić w tej sytuacji, chociaż bardzo pilnie należało coś przedsięwziąć. Po omówieniu sytuacji wszyscy się zgodzili, że Garth Hammerling właściwie nie jest hazardzistą. Raczej lubił to, co towarzyszy hazardowi, czyli łatwe kobiety, które mógł poderwać, uwieść, a potem zamordować.

Wiadomość o domu na pustyni trafiła na pierwsze strony gazet. Poszukiwania Gartha Hammerlinga przemieniły się w polowanie na seryjnego mordercę prowadzone na terenie całego kraju. Wszyscy mieli nadzieję, że uda się go ująć, nim przymus zabicia kolejnej ofiary nie stanie się zbyt silny.

W poniedziałek po południu, dokładnie tydzień po znalezieniu zwłok Adrianny Blanc, Mandy zaczęła mówić, chociaż niezbyt składnie. Było tyle pytań, które chciało zadać tak wielu detektywów, że miną dni, jeśli nie tygodnie, nim uda się poznać pełny obraz sytuacji.

Cztery dni po tym, jak Mandy wybudzono ze śpiączki farmakologicznej, Decker był na pokładzie samolotu linii Southwest lecącego do Burbank. A Marge i Oliver jechali autostradą I-15 do domu. Cała trójka wiedziała, co się wydarzyło z punktu widzenia Mandy. Decker, opierając się

na notatkach, otrzymał niewiarygodną opowieść o czterodniowej odysei pełnej przemocy. Zawierała luki, nie wszystko było logiczne, ale nieustannie przewijał się wątek, który można było śledzić od początku do końca. Spisał wszystko podczas lotu powrotnego do domu.

Dziesięć dni temu około wpół do dziewiątej rano Mandy zobaczyła, jak Adrianna z trzaskiem odkłada słuchawkę telefonu w jednym z pokoiów dla pielęgniarek i ukrywa twarz w dłoniach. Ponieważ sprawiała wrażenie bardzo zdenerwowanej, Mandy podeszła do niej, żeby spytać, co się stało. Adrianna zaczęła płakać.

Mandy się zdziwiła, że Adrianna jest wciąż w szpitalu, bo jej zmiana skończyła się o ósmej. Ale wciąż tu była, a Mandy, będąc dobrą przyjaciółką, wyczuła, że potrzebuje pomocy. Poprosiła Adrianę, żeby zaczekała na nią w szpitalnym bufecie. Pojawiła się tam dziesięć minut później, żeby porozmawiać z przyjaciółką.

Adrianna wyznała, że jest wściekła na Gartha za jego wieczne wyjazdy, na które jej nie zabiera, i w ogóle za jego wkurzający sposób bycia. Tym razem postanowiła ostatecznie się z nim rozstać. Mandy pogratulowała jej, bo uważała, że przyjaciółka była za dobra dla Gartha. Ale potem Adrianna się załamała. Podczas rozmowy telefonicznej Garth błagał ją, żeby wszystko jeszcze raz przemyślała. Zapewniał, że ją kocha i udowodni to, odwołując wyjazd do Reno, żeby przyjechać do niej i z nią porozmawiać. Adrianna powiedziała Mandy, że nie wie, co robić. Z jednej strony ma dość Gartha, ale z drugiej strony wciąż go kocha. Mandy,

grając rolę mądrej terapeutki, namawiała przyjaciółkę, żeby wytrwała w swoim postanowieniu i ostatecznie z nim zerwała.

Naturalnie zaraz na początku przesłuchania okazało się, że Mandy miała osobiste powody, by nakłaniać Adriannę do rozstania z Garthem. Bo Garth wcale nie zamierzał się wybrać ze swoimi kumplami w góry. Planował, że wróci do Los Angeles i potajemnie wyjedzie gdzieś z Mandy na parę dni.

Mandy zakochała się w Garcie.

Poradziła Adriannie, żeby pojechała do domu i się położyła spać. Adrianna też chciała wrócić do domu, ale Garth tu jechał. Mieli się spotkać w szpitalu, więc musiała tam zostać. Mandy zaproponowała, że porozmawia z Garthem. Znowu nakłaniała Adriannę, żeby pojechała do domu i przez parę dni spróbowała ochłonąć. Wtedy, mając jaśniejszy umysł, porozmawia z Garthem. Ale Adrianna uparła się, że zaczeka i spotka się z nim.

I to był pierwszy błąd.

Mandy nie kryła niezadowolenia. Od sześciu miesięcy szykowała się do tego wyjazdu i była wściekła, że trzeba będzie wszystko odwołać. Adrianna nie mogła sobie wybrać gorszej pory na rozmowę z Garthem. Przez dwa lata tolerowała oczywisty fakt, że ugania się za spódniczkami, a teraz postanowiła pokazać, że potrafi być nieugięta, czym psuła romantyczny wyjazd Mandy. Dlatego Mandy musiała się jej pozbyć. Nie chciała jej zabić, twierdziła zdecydowanie. Nigdy nawet jej to nie przeszło przez myśl. Chciała tylko,

żeby Adrianna pojechała do domu i usnęła na bardzo długo.

Ponieważ Adrianna upierała się, że zostanie w szpitalu, Mandy zaproponowała, żeby poszła do jednego z pustych gabinetów i przespała się parę godzin, nim pojawi się Garth. Adrianna się zgodziła. Właśnie wtedy Mandy uniosła wzrok i zobaczyła w bufecie przełożoną pielęgniarek, która spoglądała na nią gniewnie. Zrozumiała, że musi działać szybko.

Mandy znalazła dla Adrianny pusty pokój. Zaproponowała przyjaciółce, żeby łyknęła ambien, by łatwiej jej było usnąć, ale Adrianna nie zgodziła się, tłumacząc, że po ambienie będzie spała przez dwanaście godzin. A potrzebowała tylko kilku godzin, żeby odpocząć. Więc Mandy dała jej dwie tabletki krótkodziałającego benadrylu. Ułatwią zaśnięcie, ale nie będzie nieprzytomna przez cały dzień.

Mandy zostawiła ją i wróciła do pracy, rozmyślając nad tym, jak Adrianna rujnuje sobie życie. Wiedziała, że Garth spotyka się z nią tylko dlatego, że dawała mu pieniądze. Mandy zaakceptowała to. Garth potrzebował pieniędzy. Ale nie zamierzała pozwolić, żeby Adrianna zepsuła jej dwa dni sam na sam z ukochanym. Garth dotrze do szpitala za parę godzin i jedyne, czego chciała Mandy, to żeby Adrianna była „niedysponowana”. Wtedy powie Garthowi, że Adrianna wyjechała i nie chce, żeby się z nią kontaktował. I będą mogli wyjechać, jak to zaplanowali. Garth prawdopodobnie wróci do Adrianny, ale przynajmniej spędzą trochę czasu tylko we dwoje.

Ponieważ Mandy pracowała na OIOM-ie, postanowiła

podać Adriannie pawulon, silny środek zwiotczający mięśnie, stosowany w chirurgii. Związek chemiczny o nazwie pankuronium powoduje wiotczenie mięśni i stosowany jest u pacjentów przed intubacją. Zwiotczenie mięśni trwa od dwóch do czterech minut po podaniu leku, działanie kliniczne utrzymuje się przez półtorej godziny. U zdrowych dorosłych osób po dwóch, trzech godzinach lek zostaje całkowicie wydalony z organizmu.

Decker słyszał co nieco o pawulonie, ponieważ między innymi ten specyfik wybrał sobie seryjny morderca Efren Saldivar. Wykorzystywał pawulon, żeby zabijać pacjentów podczas dziesięciu lat pracy w Glendale Adventist Medical Center, gdzie obsługiwał respiratory. Klinika mieściła się niespełna dwadzieścia kilometrów od domu i miejsca pracy Deckera. O sprawie pisały gazety w całym kraju. Śledztwo ciągnęło się długo, sprawca najpierw przyznał się do winy, potem wszystko odwołał, ekshumowano zwłoki ofiar. Co najistotniejsze, obecności leku nie wykryto podczas rutynowych testów toksykologicznych.

Kiedy Adrianna spała, Mandy, doświadczona pielęgniarka, która potrafiła delikatnie obchodzić się z pacjentami, wstrzyknęła jej lek do żyły szyjnej. Koroner nie zauważył miejsca wkłucia, ponieważ kabel elektryczny spowodował otarcia na skórze szyi. Gdy pojawił się Garth, Mandy próbowała go przekonać, że Adrianny nie ma w szpitalu, ale jej nie uwierzył. Kiedy stał się niebezpieczny, Mandy w końcu wyznała, że Adrianna śpi w jednym z gabinetów.

- Co to znaczy, że stał się niebezpieczny? - spytał Decker.

- Właściwie nie stał się niebezpieczny... - wyszeptała. Jedynie znał kilka kompromitujących faktów o niej. Po tym wyznaniu monitor, do którego podłączono Mandy, zaczął pikać. Ciśnienie krwi znów podskoczyło, wbiegły pielęgniarki. Mandy wystarczająco długo mówiła jak na jeden dzień.

Koniec przesłuchania.

Decker przyszedł nazajutrz. Minęło trochę czasu, nim dotarli do miejsca, w którym wczoraj skończyli, ale wreszcie Mandy powiedziała, że Garth zmusił ją do przyznania się, że podała Adriannie pawulon.

Potem ciągnęła swoją opowieść.

Kiedy zdradziła, że Adrianna wciąż przebywa na terenie szpitala, Garth nalegał, żeby we dwójkę poszli i ją obudzili. Minęły dwie godziny i lek powinien przestać działać. Lecz kiedy próbowali ją obudzić, Adrianna nie reagowała. Prawdę mówiąc, sprawiała wrażenie martwej.

Mandy wpadła w panikę. Garth ją uspokoił i obiecał, że jej pomoże. Powiedział, że najlepiej będzie upozorować zabójstwo Adrianny. Początkowo Mandy była przerażona. Muszą zgłosić się na policję i wyjaśnić, co się stało. Przecież to był wypadek. Ale Garth stwierdził, że zostanie oskarżona o zabójstwo z premedytacją. Wtedy zupełnie straciła głowę. Kiedy zaproponował jej wyjście z sytuacji, przyjęła je. Wyjaśnił swój sposób rozumowania.

Adrianna nie żyje. Nie mogą nic zrobić, żeby przywrócić jej życie. Jeśli została „zamordowana”, oboje mają alibi i nikt nie będzie im mógł zarzucić. On ma alibi, bo wyjechał w góry

z przyjaciółmi. Aaron i Greg to poświadczą. Natomiast ona była w pracy.

Po pierwsze, musieli wywieźć ciało ze szpitala. Kiedy wsadzali ją do plastikowego worka na śmieci, na podłogę wypadła wizytówka Chucka Tinsleya. Mandy ją podniosła i oboje zrozumieli, że to wizytówka, którą jakiś facet dał Adriannie. Na wizytówce było jego imię i nazwisko, zawód – kierownik budowy, adres domowy, a na odwrocie – numer komórki i miejsce pracy – jakiś dom w pobliżu szpitala. Garth rozzłościł się, czytając wizytówkę. Mandy uznała, że to dobrze. Im bardziej będzie się wściekał na Adriannę, tym chętniej pomoże przy pozbyciu się zwłok.

Wsadzili Adriannę do worka na śmieci, a potem wrzucili do niego jakieś niepotrzebne papiery i inne śmieci na wypadek, gdyby ktoś ich zapytał, co jest w worku, i musieli go rozwiązać.

Ale nikt o nic ich nie zapytał, kiedy taszczyli worek na rampę, gdzie podjeżdżają karetki pogotowia. Garth podjechał swoim wozem, otworzył bagażnik i umieścił tam worek. Obiecał Mandy, że do niej zadzwoni i się spotkają. Ani przez chwilę nie pomyślała o kamerach zainstalowanych przed wejściem do izby przyjęć. Był to ogromny błąd, który naprowadził policję na właściwy trop.

Kiedy zabójstwo Adrianny wyszło na jaw – informowano, że jej zwłoki znaleziono powieszona na krokwi – Mandy domyśliła się, jak tam trafiły. Garth zawiózł zwłoki Adrianny pod adres podany na wizytówce, żeby skupić uwagę policji na Chucku Tinsleyu, a kiedy nie wezwano go natychmiast na

przesłuchanie, doszli do wniosku, że coś schrzanili.

Decker uniósł wzrok znad notesu.

Los zrządził, że Chuck Tinsley jako pierwszy pojawił się na placu budowy i natknął się na ciało. Znalazł swoją wizytówkę w kieszeni płaszcza denatki i ją zabrał, aby policja się nie dowiedziała, że spotkał się z Adrianną poprzedniego wieczoru.

Decker wrócił do swoich notatek.

Nazajutrz, czyli we wtorek, Garth i Mandy zatrzymali się w motelu i zaczęli się zastanawiać, co dalej. W środę wszystko wymknęło się spod kontroli. Musieli wyjechać z Los Angeles i spokojnie rozważyć sytuację, nie czując na karkach oddechu policji. Garth powiedział, że ma dom w Las Vegas. Mogą się tam ukryć.

Ruszyli w drogę.

Od tego momentu wspomnienia Mandy były zamazane. Dnie i noce wypełniały seks, alkohol i duża ilość narkotyków. Ale niewyraźnie pamiętała, że Garth sprowadził do domu młodą dziewczynę, uciekinierkę. Wszyscy troje zażyli narkotyki, Mandy przypominała sobie, że Garth miał stosunek z dziewczyną. Potem wszystko stało się jeszcze bardziej niewyraźne. Mandy kojarzyła, że dziewczyna zniknęła... Ale nie została zamordowana. Po prostu odeszła. Nie pamiętała również swojego wypadku samochodowego.

Wszystko ładnie i pięknie, pomyślał Decker, ale w opowieści były spore luki.

Mianowicie co się wydarzyło z Crystal Larabee.

O tak, powiedziała Mandy. Crystal.

Jeszcze mniej składowanie opowiedziała o śmierci Crystal, niż o tym, co się stało z młodą uciekinierką. Garth poszedł do mieszkania Crystal, żeby ją wypytać o śledztwo w sprawie śmierci Adrianny. Kiedy powiedziała mu, że szuka go policja, naprawdę się zaniepokoił. Potem Crystal zaczęła opowiadać o facecie, z którym Adrianna rozmawiała w Garage'u. Powiedziała Garthowi, że wydał jej się podejrzany, no i że po wyjściu Adrianny z baru zaczął się przystawiać do niej. Crystal uważała, że prawdopodobnie miał coś wspólnego z jej śmiercią. Nie trzeba było geniusza, żeby się domyślić, że Crystal mówiła o Chucku Tinsleyu.

Potem Garth wpadł na pewien pomysł. Wykombinował, że jeśli Crystal zostanie zamordowana, podejrzania padną na Chucka Tinsleya, który rozmawiał z obiema kobietami, które zostały zabite. Więc Garth zamordował Crystal.

Tak po prostu.

Chociaż Mandy było żal Crystal, nie czuła się winna. Nie znała zamiarów Gartha, nie była świadkiem zabójstwa. Crystal nie straciła życia przez nią. Nie poczuwała się też do winy za spowodowanie śmierci Adrianny. Mandy od razu powiedziała, że cała ta historia - czyli śmierć Adrianny - to był okropny „wypadek”.

Lecz wplątała się w coś, co ostatecznie zakończy się dla niej wyrokiem, może nawet dożywociem. Dlaczego zgodziła się na plan Gartha? Jak ją przekonał do udziału w takich strasznych czynach?

- On by mnie wydał - powiedziała.

Aparatura znów zasygnalizowała wzrost ciśnienia

u Mandy. Decker domyślał się, że zostało mu niewiele czasu.

- Przecież wiedziała pani, że wszystko wyjdzie na jaw. Że podała pani Adriannie pawulon. Dlaczego wszystko dodatkowo pani skomplikowała? Dlaczego nie zgłosiła się pani na policję? W pierwszym odruchu chciała pani to zrobić i była to właściwa decyzja.

- Nie chodziło tylko o Adriannę - jęknęła. - Tylko o coś innego... On by mnie wydał.

- Chodzi pani o zdjęcia w skórzanym stroju? - spytał Decker.

Znów rozległ się sygnał urządzenia monitorującego ciśnienie. Mandy milczała.

Decker wyciągnął logiczny wniosek.

- Były też nagrania.

- On by mnie wydał.

Pojawiła się pielęgniarka i znów poprosiła Deckera, żeby wyszedł.

Za kilka godzin wracał do Los Angeles. Wiedział, że musi uzyskać odpowiedź teraz, bo kolejna okazja nie nadarzy się prędko.

- Kto robił zdjęcia i kręcił filmy, Mandy? - spytał. - Może to pani pomóc. Ważne, żebyśmy to wiedzieli.

- Crystal Larabee - szepnęła Mandy. - Suka...

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY ÓSMY

Decker sądził, że o siódmej rano będzie miał salę swojego wydziału dla siebie, ale Wanda Bontemps już siedziała za biurkiem, wpatrując się w ekran monitora. Nawet nie odwróciła głowy, kiedy wszedł.

- Dzień dobry - przywitał się głośno.

Wanda posłała mu uśmiech, który rozświetlił jej twarz. Nie był to uśmiech w rodzaju „miły dzień, nieprawdaż”, tylko „dorwaliśmy drania”.

- Masz chwilkę?

Decker wskazał jej swój gabinet. Wanda miała na sobie zgniłozieloną bluzkę i czarne spodnie, a na nogach buty Vans. Pod pachą ścisnęła segregator. Zamknął drzwi i usiedli.

- Co masz dla mnie?

Położyła dokumenty na biurku.

- Kopie akt sprawy dotyczącej zabójstwa Roxanne Holly.

- Teczka jest bardzo gruba. Może podasz najważniejsze fakty?

- Proszę bardzo. - Wzięła notatki. - Według słów współlokatorki Roxanne Holly, Latitii Bohem, Roxanne wyszła się napić do pobliskiej restauracji El Gaucho i już nigdy nie wróciła do domu. Restauracja mieści się cztery przecznice od mieszkania Roxanne. Chodzi tam wielu okolicznych mieszkańców. Wieczór był ciepły, więc

postanowiła się przejść.

- Sama, po zmroku?

- Tak.

- To nigdy nie jest dobry pomysł.

- W jej przypadku rzeczywiście nie okazał się dobry. Po znalezieniu zwłok przesłuchano barmana i kelnerki pracujące tamtego wieczoru. Według ich zeznań Roxanne była w restauracji od dziesiątej do północy, ale lokal był na tyle zatłoczony, że nikt dokładnie nie pamiętał, kiedy wyszła. Zamykają o pierwszej.

- Skąd więc wiedzą, że wyszła o północy?

- Koło północy uregulowała rachunek. Mogła zabawić nieco dłużej, ale założmy, że wyszła o tej porze. Barman pamiętał, że rozmawiała z ludźmi, z kobietami i facetami. Sprawiała wrażenie, że miło spędza czas. W aktach nie ma żadnej wzmianki o tym, by w restauracji byli żołnierze albo w ogóle ktokolwiek w mundurze.

- To może być ślepa uliczka.

- Zgadza się. Detektywi wrócili do El Gaucho kilka dni później, żeby ponownie przesłuchać personel i bywalców. Wśród tych, którzy zapamiętali, że w restauracji była Roxanne, znalazł się niejaki Chuck Tinsley.

- Ho, ho! - Decker nie krył zdumienia. - Zwykle tak się nie zdarza. Mów dalej.

- Chuck pracował w składzie drzewnym. Mieszkał sześć przecznic od El Gaucho, dziesięć przecznic od mieszkania Roxanne.

Decker uniósł brwi.

- Co znalazłaś w aktach na temat Chucka?
 - Twierdził, że znał ją z widzenia, może parę razy zamienili kilka słów w El Gaucho. Nic nadzwyczajnego. Ale okazuje się, że jeden z bywalców zapamiętał, że rozmawiali ze sobą tamtego wieczoru, kiedy zniknęła Roxanne.
 - To rzeczywiście istotne.
 - Jako alibi Chuck podał, że był w restauracji aż do zamknięcia. I potwierdził to barman.
 - Czyli jeśli napadnięto na Roxanne o północy, nie mógł to być on, ponieważ do pierwszej nad ranem siedział w restauracji.
 - No właśnie. Ale panował duży ruch i nikt nie pamiętał, kiedy Roxanne wyszła. Tinsley mógł równie dobrze wyjść razem z nią i potem wrócić. No bo, szefie, skąd u niego wziął się wisiorek Roxanne?
- Decker zastanowił się chwilę.
- Może nam się poszczęści i na podstawie fragmentu włosa uda się ustalić DNA zgodne z DNA Roxanne. Dopiero potem możemy twierdzić, że Tinsley ma jej wisiorek. Na razie to tylko przypuszczenie.
 - No, trochę więcej niż przypuszczenie.
 - Zgoda. To, że Tinsley był w pobliżu, to z jednej strony dobrze, ale z drugiej strony źle. Można założyć, że miał coś wspólnego z zabójstwem. Albo że znalazł jej zwłoki i zerwał wisiorek z szyi. - Kiedy Wanda spojrzała na niego znacząco, Decker powiedział: - Tak będzie twierdził adwokat.
 - Pamiętasz głównego podejrzanego, Burta Barneya? - spytała Wanda.

- Bezdomnego, który znalazł zwłoki?

- Tak. Policja z Oxnard maglowała go wiele godzin. W kółko go pytali, co zrobił z wisiorkiem. Nic z niego nie wyciągnęli, szefie. Przysięgał, że nie zabił Roxanne, a kiedy znalazł jej zwłoki, nie było żadnego wisiora.

- Adwokat powie, że Tinsley zabrał wisiora, zanim Barney znalazł ciało.

- To już zbyt naciągane, szefie.

- Musimy mieć niezbitą pewność. Tinsley sprawiał wrażenie seryjnego mordercy, kiedy sądziliśmy, że ma coś wspólnego z zabójstwem Adrianny Blanc. Ale wiemy, co spotkało Adriannę i Crystal, Tinsley nie miał nic wspólnego z ich śmiercią. To sprawa Gartha Hammerlinga. - Umilkł na moment. - Który też jest seryjnym mordercą.

Wanda pokręciła głową.

- Na ilu seryjnych morderców natknąłeś się w ciągu całej swojej kariery zawodowej?

- Podczas trzydziestu lat pracy w policji, wliczając Florydę, miałem do czynienia z trzema seryjnymi mordercami, chociaż jeden przypadek był niepewny, bo oskarżono sprawcę tylko o jedno zabójstwo, choć podejrzewano, że mógł zabić więcej osób. Z pewnością istnieją seryjni mordercy, ale nie jest ich tylu, jak to przedstawiają media. To bardzo mało prawdopodobne, by jeden seryjny morderca był świadkiem zabójstwa popełnionego przez innego seryjnego mordercę. Dlatego nie wolno nam się śpieszyć, żeby nie popełnić błędu.

- W takim razie co robimy z Tinsleyem?

- Jeśli uzyskamy DNA Roxanne z wisiorka, możemy aresztować Tinsleya za kradzież, bo będzie utrzymywał, że jest tylko złodziejem. Zobaczył ciało na niezabudowanej parceli i podjął złą decyzję. Byłoby cudownie znaleźć świadka, który widział, jak Chuck i Roxanne razem wychodzili. Czy ktoś, wspomniany w aktach sprawy, wygląda obiecująco?

- Musiałabym jeszcze raz je przeczytać.

- Przy okazji sprawdź kumpli Tinsleya z tego okresu. Może zwierzył się któremuś, chociaż jeśli naprawdę jest seryjnym mordercą, wątpię, by to zrobił.

- Okej, jeszcze raz przejrzę akta.

- A co ustalił Lee Wang i policja z Oceanside?

- Nadal szuka. Wysłaliśmy do laboratorium pierścioneek znalezione w mieszkaniu Tinsleya. Może dopisze nam szczęście i uda się uzyskać DNA Erin Greenfield.

- Czy Tinsley był w Oceanside, kiedy zamordowano Greenfield?

- Nie wiem. Zadzwońię do Lee i porównamy nasze notatki.

- Jedna sztuka biżuterii to może być przypadek - powiedział Decker. - Ale nie tak łatwo się wytłumaczyć z posiadania dwóch sztuk biżuterii z DNA pasującym do DNA dwóch zamordowanych kobiet. A my możemy jedynie trzymać kciuki i pokładać nadzieję w nauce.

Po trzech tygodniach pobytu w szpitalu Jacqueline Mars, szesnastoletnia uciekinierka, którą Garth i Mandy uprowadzili, próbowali udusić i zawinęli w worek na śmieci, na tyle doszła do siebie, że można ją było wypisać. Niestety

jeszcze mniej od Mandy Kowalski pamiętała, co się stało w interesującym policję okresie. Na razie nie przypominała sobie tych tragicznych dni, kiedy była pod wpływem alkoholu i narkotyków.

Mandy Kowalski aresztowano za zabójstwo z premedytacją Adrianny Blanc i próbę zamordowania Jacqueline Mars. Uniknęła oskarżenia o zabójstwo Crystal Larabee. Do czasu udowodnienia winy uważano ją za niewinną.

Po tym, jak rozeszła się wiadomość o przestępstwach popełnionych pod wpływem narkotyków przez Gartha Hammerlinga i Mandy Kowalski, w szpitalu St. Timothy zaczęto sprawdzać przypadki śmierci pacjentów, które nastąpiły na ich zmianach. Na Mandy nic nie znaleziono, ale stwierdzono kilka podejrzanych przypadków śmierci w ciągu lat pracy Hammerlinga. Miesiąc po makabrycznym odkryciu w jego domu w Las Vegas nadal prowadzono dochodzenie w sprawie zgonów tych pacjentów.

Decker w końcu otrzymał kopię raportu badania toksykologicznego Adrianny Blanc. Trwało to nieco dłużej niż zwykle, ponieważ trzeba było zlecić badanie krwi na obecność pawulon. Wprawdzie znaleziono w jej organizmie pawulon i nie wykluczono, że mógł spowodować śmierć, jednak jego poziomu we krwi nie uznano za śmiertelną dawkę. Najprawdopodobniej Adrianna wciąż żyła, tylko była sparaliżowana, kiedy Garth powiesił ją na krokwi budowanego domu. Koroner jako przyczynę śmierci podał uduszenie na skutek powieszenia.

Niewykluczone, że Garth był przekonany o śmierci

Adrianny, ale Decker i jego detektywi uważali inaczej. Zgodnie doszli do wniosku, że nawet gdyby wiedział, że Adrianna wciąż żyje, i tak zrealizowałby swój zamiar. Zwłoki Crystal Larabee, dwa trupy i stos kości znalezione w jego domu w Las Vegas świadczyły, że Garth po prostu lubił zabijać.

Sześć tygodni po tym, jak wysłano do laboratorium biżuterię znaną w mieszkaniu Tinsleya, żeby ustalić DNA, policja otrzymała dokładne profile DNA. Na wisiorze znaleziono DNA Tinsleya, a także DNA identyczne z tym, jakie uzyskano z cebulki włosa należącego do Roxanne Holly. Badanie pierścionka zajęło nieco więcej czasu, ponieważ materiał biologiczny był bardziej skąpy. Trzeba było wielokrotnie powielić tę samą próbkę DNA. W końcu udało się wyodrębnić dwa profile: Tinsleya i Erin Greenfield.

Następnego dnia aresztowano Chucka Tinsleya. Nie mogło się to wydarzyć w lepszej chwili dla Lydii i Nathana Grossmanów, właścicieli nieruchomości. Właśnie zakończono inspekcje budowlane.

Roxanne Holly i Erin Greenfield zamordowano na terenie niepodlegającym jurysdykcji policji z West Los Angeles. Decker bardzo chciał wziąć udział w przesłuchaniach podejrzanego, ale stało się to dyskusyjne po tym, jak Tinsley poprosił o adwokata.

Chociaż aresztowanie Tinsleya mogło stanowić powód do świętowania, wiązały się z nim też pewne problemy. Tinsley pozwolił detektywom przeszukać swoje mieszkanie, ale dotyczyło to jedynie dowodów dotyczących śledztwa

w sprawie śmierci Adrianny Blanc. Adwokat oświadczył, że zabranie biżuterii było nieuzasadnione, bo nie miała nic wspólnego z Adrianną Blanc. A bez biżuterii nie można było oskarżyć Tinsleya o zabójstwo Holly i Greenfield.

Prokurator okręgowy twierdził, że policja zabrała biżuterię, posiadając pozwolenie Tinsleya, bo chciała sprawdzić, czy któreś z przedmiotów nie należą do Adrianny Blanc. Kiedy policja znalazła dwie sztuki biżuterii identyczne z tymi, które należały do dwóch zamordowanych kobiet, uznała, że nie dopełniłaby obowiązków, odstępując od próby ustalenia DNA. A ponieważ Tinsley pozwolił na zabranie biżuterii, wszystko było zgodne z prawem.

Po licznych odroczeniach sędzia skłonił się ku stanowisku prokuratora okręgowego i dopuszczono biżuterię jako dowód rzeczowy. Oczywiście adwokaci Tinsleya złożyli apelację. Po wielu miesiącach sędzia rozpatrujący apelację podzielił zdanie sędziego sądu pierwszej instancji. Charlesa Michaela Tinsleya oskarżono o zamordowanie z premedytacją Roxanne Holly i Erin Greenfield. Póki nie zostanie mu udowodniona wina, jest uważany za niewinnego.

Garth Willard Hammerling wciąż pozostaje na wolności. Każdy, kto ma jakieś informacje o miejscu jego pobytu, proszony jest o skontaktowanie się z policją Los Angeles bądź policją North Las Vegas.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY DZIEWIĄTY

Kiedy zaczął się koszmar, Gabe zrobił to, co zwykle.

Przystosował się do nowej sytuacji.

Ojciec nie oddzwonił do niego. Gabe schował dokumenty do szafy, przypuszczając, że wcześniej czy później staruszek się z nim skontaktuje. Zajął się swoimi sprawami. W ciągu tygodnia Rina znalazła dla niego nauczyciela, żeby mógł się uczyć w domu. W ciągu miesiąca dokończył materiał dziesiątej klasy. Jedyne, czego nie zapewniał mu nowy nauczyciel, to nauka języków obcych. Ale okazało się, że nie jest tak źle. Rina знаła jidysz, więc mógł z nią ćwiczyć niemiecki. Porucznik mówił po hiszpańsku, który Gabe szybko chwycił. I chociaż to nie to samo, co włoski, oba języki były dość do siebie podobne.

Kiedy tylko miał wolny czas, chodził na koncerty i do opery. Parę razy towarzyszyła mu Hannah, ale zazwyczaj chodził sam. Kochał operę - to był główny powód, dlaczego zależało mu na tym, by się nauczyć niemieckiego i włoskiego. Chciał się dowiedzieć, jak łączyć słowa z muzyką, a jedynym sposobem ustalenia tego była znajomość języka, w którym napisano libretto.

Większość czasu spędzał, grając na fortepianie. Muzyka zawsze była dla niego ratunkiem w trudnych chwilach, może dlatego w sposobie jego gry można było wyczuć pewną desperację i pośpiech. Kiedy zamieszkał z Deckerami i zaczął

brać lekcje u Nicholasa Marka, Gabe odkrył, jaką radość może sprawiać nauka. Każde spotkanie z Markiem przybliżało go do tej wspaniałej chwili, gdy zostanie prawdziwym pianistą. Mógł dążyć do celu nieco wolniej, słuchać uważniej, dłużej siedzieć przy fortepianie, bo po raz pierwszy jego życie stało się przewidywalne. Wszystko było na czas i nie towarzyszyły temu żadne dramatyczne okoliczności. Nie, żeby dramat był czymś złym, ale lepiej mieć z nim do czynienia w teatrze niż w życiu. Zawsze cieszył się swobodą, ale teraz tej swobodzie nie towarzyszył lęk.

Niezależność sprawiła, że stał się hojny i uczynny. Często chodził z Hannah na próby chóru, żeby akompaniować śpiewakom, a robił to ze zwykłej uprzejmości. Kiedy zaczął się zbliżać koniec roku szkolnego, pani Kent ubłagała go, żeby tego wieczoru zagrał coś wyjątkowego. Tak długo przymilała się do niego wraz z Hannah, że w końcu się zgodził.

No bo niby czemu nie?

Początkowo zamierzał wykonać jakiś utwór trudny technicznie – na przykład coś Rachmaninowa, co zachwyci słuchaczy. Ale trzydzieści minut przed rozpoczęciem uroczystości zmienił zdanie.

Przecież to nie koncert fortepianowy, tylko szkolna uroczystość. Wszyscy się cieszą. Niektórzy rodzice naprawdę kochają swoje dzieci i są dumni z ich osiągnięć.

W ostatniej chwili znalazł działający komputer i drukarkę w synagodze, gdzie miała się odbyć uroczystość zakończenia

roku szkolnego, i ściągnął osiemnaście stron partytury *II Rapsodii węgierskiej* cis-moll Liszta. Znał ten utwór, podobnie jak większość melomanów, ponieważ nagminnie wykorzystywano go w starych kreskówkach, kiedy była scena pościgu. Wiedział, że może bez trudu wykonać ją *a vista*. Kiedy miał zacząć grać, rozłożył pierwszych pięć stron na stojaku i poprosił panią Kent, żeby podawała mu następne, a te, które już zagrał, rzucał na podłogę. Fruwające kartki, szczególnie pod koniec utworu, kiedy tempo przyśpieszyło, dały niezamierzony efekt komiczny, który wykorzystał z wielkim wdziękiem. Wszyscy się śmiali. Jeszcze bardziej uszczęśliwił i tak szczęśliwych słuchaczy. I nauczył się czegoś nowego: że gra przed publicznością musi przede wszystkim dostarczać rozrywki.

Ani na chwilę nie przestał myśleć o swoich rodzicach. Nie powinien ich porównywać z Deckerami, ale i tak to robił. Kiedyś tłumaczył sobie, że ich zwariowane zachowanie było wynikiem złożonych relacji, jakie między nimi panowały. Ale teraz uznał, że to bzdura. Deckerowie byli ludźmi zrównoważonymi, ale ich stosunki były równie skomplikowane, a może nawet bardziej, niż relacje między jego rodzicami.

Rina i porucznik przyjęli go do siebie z otwartymi ramionami i traktowali jak członka rodziny. Dotarło to do niego, kiedy nalegali, żeby poleciał z nimi do Nowego Jorku na uroczystość ukończenia medycyny przez Sammy'ego. Uwzględnili go na liście gości na weselu Sammy'ego. Zabrali go też do Izraela, kiedy zapisali tam Hannah do seminarium.

Zapłacili za bilet, wynajęli dla niego osobny pokój w hotelu, zadbali, żeby miał własnego przewodnika. Razem z nim objechał całą Ziemię Świętą, a także obejrzał Petrę w Jordanii i piramidy w Egipcie. Poznał starożytne cywilizacje i przekonał się, że powiedzenie, że to odrębny świat, jest w pełni uzasadnione.

Deckerowie nie próbowali mu zastępować rodziców. Po prostu mu pomagali, a ponieważ byli dla niego mili, starał się nie sprawiać im kłopotów. Nie, Rina nie była jego matką, a porucznik nie był jego ojcem. Ale prawdę mówiąc, wiedział, że na tym etapie życia lepiej mu z Riną i porucznikiem niż z mamą i tatą.

W połowie listopada w Nowym Jorku padały zimne deszcze, a w Chicago spadł pierwszy śnieg, natomiast w Los Angeles niebo było bezchmurne i świeciło słońce. Temperatura powietrza spadła, ale nie było wcale zimno, niektóre drzewa nadal były kolorowe. Lecz najbardziej zdumiało Gabe'a to, że miasto pozostało zielone. Na Wschodnim Wybrzeżu po chłodnej jesieni następowała mroźna zima, a Rina uprawiała kwiaty w ogródku. To naprawdę było dziwne.

Chociaż nie tak dziwne, jak telefon od taty.

- Masz dokumenty, które należą do mnie - powiedział Chris jednostajnym głosem.

Nie przywitał się. Gabe spodziewał się telefonu, ale kiedy słyszał ojca, zawsze zaczynał się jękać.

- Tak - powiedział. - Gdzie je mam wysłać?

- Nie ufam poczcie. Przyjadę po nie do Los Angeles. Poza

tym chciałbym się z tobą zobaczyć. Jaki masz plan dnia?

- Jestem do twojej dyspozycji poza poniedziałkami i czwartkami między dziesiątą a dwunastą.

Donatti milczał przez chwilę.

- Rzuciłeś szkołę?

- Rina zatrudniła dla mnie nauczyciela. Uczę się w domu, co mi bardzo odpowiada. W czerwcu powinienem ukończyć szkołę średnią.

- Na wyciągach karty kredytowej nie widziałem opłat za prywatnego nauczyciela.

- To tylko dwie godziny w tygodniu, Chris. Płacę mu w gotówce.

- A co takiego robisz w poniedziałki i czwartki między dziesiątą a dwunastą?

- Mam lekcje gry na fortepianie z Nickiem na Uniwersytecie Południowej Kalifornii.

Znów chwila milczenia.

- Masz na myśli Nicholasa Marka?

Donatti jakby trochę się rozzłościł, na co Gabe się uśmiechnął.

- Możesz przyjść i popatrzeć, jak mnie gnębi.

- Powinieneś być do tego przyzwyczajony.

- Jest aniołkiem w porównaniu z tobą.

- Nie musisz być taki złośliwy. Będę jutro o drugiej.

Nazajutrz był czwartek.

- Nie zdążę dojechać do domu autobusem na drugą - powiedział Gabe. - Może spotkamy się na terenie uniwersytetu.

- Dobrze. Zadzwoń, kiedy tam dotrę. - Donatti się rozłączył.

Rozmowa trwała minutę i dwadzieścia osiem sekund. Nie powiedzieli sobie nic szczególnego, lecz jedno zdanie utkwiło mu w głowie: „Poza tym chciałbym się z tobą zobaczyć”.

Nie „muszę”, tylko „chcę”.

Niby to niewielka różnica, ale zawsze. Gabe poczuł się lepiej.

Telefon zadzwonił punktualnie o drugiej.

- Jestem w ogródku baru kawowego na terenie kampusu - poinformował Gabe ojca. - Odpowiada ci?

- Może być.

Wy tłumaczył Chrisowi, jak tam dotrzeć. Pięć minut później zobaczył ojca, wysokiego, opalonego, przystojnego mężczyznę. Gdziekolwiek się pojawił, wszyscy się za nim oglądali, dziś też było tak samo. Każda kobieta, którą mijał, oglądała się za siebie. Chris miał na sobie białą koszulę, brązowe sztruksy i tweedową marynarkę. W oczach studentek wyglądał jak ideał profesora. Chris miał wiele złych cech, ale w głębi serca Gabe był dumny z tego, że to jego ojciec.

Jego ojciec - na dobre i na złe.

Kiedy Chris znalazł się obok stolika, wyciągnął rękę.

Gabe dał mu szarą kopertę, a Chris usiadł i do niej zajrzał.

- Jesteś głodny? - spytał Gabe.

- Zamów dla mnie kawę.

- Nie będziesz miał nic przeciwko temu, jak zamówię sobie coś do jedzenia?

Donatti bez słowa wyjął banknot studolarowy.

- Nie prosiłem o pieniądze - obruszył się Gabe.

- Weź je.

- Naprawdę mam pieniądze.

- Nie bądź idiotą. Jak ktoś ci daje kasę, bierz. A teraz zamknij się i pozwól mi to przeczytać.

Koniec czułości. Gabe wziął banknot, stanął w kolejce, kupił burgera, frytki, dietetyczną colę i kawę. Usiadł i zaczął jeść. Minutę później Chris spojrzął na niego ze złością. Gabe nie jadł szczególnie głośno, ale ojciec był w takim nastroju, że wszystko go drażniło.

- Może przesiądę się do drugiego stolika i zjem - zaproponował Gabe.

Zajął tam miejsce i jadł spokojnie, czytając powieść Evelyną Waugh, pisarza uwielbianego przez Rinę. Był śliczny dzień, Gabe już dawno nie czuł się taki szczęśliwy. Wiedział, że przestał się denerwować, bo w końcu pozbył się pryszczu. Jak dobrze było zajadać się hamburgerem i czytać świetną książkę. Brakowało może jedynie muzyki Mozarta - tylko utwory skrzypcowe, żadnych na fortepian. Tak go pochłoneła lektura, że usłyszał, jak staruszek odchrząknął, dopiero wtedy, gdy Chris był już dobrze poirytowany.

Gabe uniósł wzrok i wrócił do stolika, przy którym siedział ojciec.

- Wszystko w porządku?

- Przynieś mi jeszcze jedną kawę. Dużą.

- Już idę.

Kiedy Gabe wrócił z kawą, Chris porządkował papiery

i wkładał je z powrotem do koperty.

- Wydaje się, że wszystko w porządku. Pokażę dokumenty prawnikowi. Zobaczymy, co dalej. - Spojrzał na Gabe'a. - Wiesz, gdzie jest twoja matka?

- Jeśli miałbym zgadywać, powiedziałbym, że gdzieś w Indiach, sądząc po właścicielu samochodu. W liście też pisała, że jest daleko stąd. Wsadziłem kopię jej listu do koperty.

- Widziałem. Masz rację, jest w Indiach. A dokładniej w Uttar Pradeś. - Chris wyjął kilka zdjęć i rozłożył na stole.

Gabe przyjrzał się im.

- Kiedy ją znalazłeś?

- Wiele miesięcy temu.

- I nie powiedziałeś mi?

- Wiedziałeś, że żyje. Co za różnica, gdzie jest?

Co racja, to racja. Gapił się na zdjęcia.

- Rety, chyba wkrótce urodzi.

- Już urodziła. - Wyjął ostatnie zdjęcie. - Poznaj swoją siostrzyczkę.

Niemowlę było grubiućkie, pyzate, miało czarne włoski.

- Skąd to masz?

- Nie twoja sprawa.

Mimo wszystko Gabe się uśmiechnął. Małe dzieci są takie słodkie. Nie odczuwał zazdrości, bo i tak już stracił matkę.

- Mogę je zatrzymać?

- Proszę bardzo. Dla mnie to tylko bękart. Ale wcale się nie dziwiłeś. Wysłała ci jeszcze jeden list?

- Gdyby to zrobiła, zadzwoniłbym do ciebie. - Spojrzał

w obojętne niebieskie oczy ojca. – Tylko raz się ze mną skontaktowała. Od tamtej pory nie miałem od niej żadnych wiadomości. – Gabe poprawił okulary. – Decker się domyślił, że jest w ciąży i dlatego musiała tak nagle wyjechać.

– Czy mu to powiedziała? No wtedy, gdy się z nim spotkała?

– Nie. Później sam się domyślił.

– A ty mu uwierzyłeś?

– Decker stracił dużo czasu, szukając mamy. Nie zrobiłby tego, gdyby wiedział, że chciała zniknąć.

Donatti zastanowił się i uznał, że jest w tym sporo racji.

– Jak tam Decker?

– To mili ludzie, są dla mnie dobrzy. U mnie wszystko w porządku, jeśli o to ci chodzi.

– Czyli Decker wszystkiego się domyślił. – Donatti zabębnił w stolik. – Twojej mamie udało się ukryć, czym ty jesteś synem, ale w przypadku hinduskiego bękarta nie mogłaby mi wmówić, że to moje dziecko.

Gabe nie dał się złapać na przynętę.

– Czy mama wie, że o niej wiesz?

– Jeszcze nie.

– To jakie masz zamiary?

Donatti wzruszył ramionami.

– Gabrielu, rozważałem wszystko, od zabicia suki do poprzestania na niczym.

– I?

– Ostatecznie uznałem, że jest mi to obojętne. – Wyjął paczkę papierosów i zapalił. – To nieprawda. Zależy mi na

niej, ale nie na tyle, żeby zniszczyć sobie życie, chociaż wiem, że uszłoby mi to na sucho. Chciałbym ją zabić, ale nie chcę jej śmierci.

- Nie, żebyś mnie pytał o zdanie, ale według mnie porzucenie na niczym to mądra decyzja.

- Poza tym zemściłem się najlepiej, jak mogłem. Ona jest w Indiach. - Donatti uśmiechnął się, ale nie był to przyjemny uśmiech. - A ty jesteś tutaj.

- I co z tego? Nie zależy jej na mnie. - Powiedział to bardziej do siebie niż do ojca. - W przeciwnym razie zabrałaby mnie ze sobą.

- O nie, nie, nie, nie. - Donatti pogroził palcem. - Nie śmiałyby cię zabrać do Indii. Może jej pozwoliłbym wyjechać - ostatecznie na świecie jest wiele kobiet - ale czy jesteś bękartem, czy nie, nadal jesteś moim jedynym synem. Gdyby wyjechała z tobą, podpisałaby na siebie wyrok śmierci. - Zgasił papierosa i zapalił kolejnego. - Doskonale znam twoją matkę. Urodziła sobie małego bękarta, ale jej prawdziwym dzieckiem jesteś ty. Ogromnie cierpi psychicznie, co mnie bardzo cieszy. - Wstał. - Chodźmy stąd.

- Podrzucisz mnie do domu?

- Znaczący się do Deckerów?

- Mój dom jest u Deckerów. - Gabe uśmiechnął się szeroko. - Ale ty zawsze będziesz moim jedynym tatą.

- Póki się nie dowiesz, z kim przespała się twoja mama tamtego lata.

Gabe udął, że tego nie usłyszał, i wstał.

- Jeśli ci nie po drodze, zawsze mogę pojechać autobusem.

- Nie, w porządku. Poza tym chcę posłuchać, jakie robisz postępy ze swoim kumplem Nickiem.

- Jest moim nauczycielem, Chris, nie kumplem. Znęca się nade mną za każdym razem, kiedy się spotkamy. Ale przypuszczam, że to cena za to, żeby stać się kimś lepszym.

- Lepiej rób postępy, skoro wydajesz wszystkie moje pieniądze na lekcje. - Donatti niezbyt delikatnie złapał go za kark. - W tę stronę.

Czekała na nich długaśna limuzyna, ale Gabe'a wcale to nie zdziwiło. Ojciec zawsze potrzebował dużo miejsca na swoje długie nogi. Natomiast zdziwiła go chudziutka dziewczyna siedząca z tyłu. Wyglądała na czternaście lat, chociaż Gabe wiedział, że ma przynajmniej osiemnaście. Chris już nie zadawał się z małolatami. Była nawet ładna - miała mały, zadarty nosek, dołeczki w policzkach, kręcone kasztanowe włosy i brązowe oczy. Sprawiała wrażenie inteligentnej.

- Talia. - Chris wskazał dziewczynę. I powiedział do niej: - To mój syn.

- Gabe Whitman. - Gabe podał jej rękę.

- Miło mi, że w końcu mogę cię poznać. - Uścisnęła jego dłoń. - Ciągle o tobie mówi.

- Nieprawda. - Donatti sprawiał wrażenie zirytowanego i przez całą drogę nie zwracał na nią uwagi, słuchając uważnie, jak Gabe opowiada o lekcjach, muzyce, swoich kompozycjach, czego się uczy, czego się nauczył od Nicholasa Marka, a na koniec o zbliżającym się konkursie. Donatti palił papierosy i pił kawę, ani na chwilę nie

spuszczając wzrok z twarzy Gabe'a, który nawet się nie zorientował, gdy dojechali na miejsce i limuzyna zatrzymała się przed domem Deckerów.

Jeszcze nigdy czas nie zleciał mu tak szybko.

- No cóż, tu wysiadam - powiedział Gabe.

- Zadzwoń, jeśli będziesz czegoś potrzebował.

- Dobrze. - Zwrócił się do Talii. - Miło było cię poznać.

Opiekuj się nim w moim imieniu.

- Daj spokój. - Donatti podał mu pusty kubeczek po kawie, do którego wrzucił niedopałki. - Wiesz, jak nie znoszę, gdy ktoś mówi takie bzdury. Bądź tak dobry i wyrzuć to.

- Jasne. - Wsiadł i nim dotarł do drzwi frontowych, samochód ruszył.

Chris dał mu śmieci do wyrzucenia. Jakie to znamienne.

Spojrzał na trzymany kubeczek z petami.

No cóż.

Otworzył drzwi i skierował się do swojego pokoju. Właściwie nie był to jego pokój, ale po siedmiu miesiącach był kimś więcej niż tylko lokatorem. W swoim pokoju usiadł na łóżku i włączył komputer.

Pukanie do drzwi wkurzyło go. Donatti nie lubił dwóch rzeczy: obliczać podatków i kiedy mu przeszkadzano.

- Czego?

- Mogę wejść? - spytała Talia.

- Ponieważ i tak już mnie rozkojarzyłaś, czemu nie.

Otworzyła drzwi.

- Przepraszam.

- Akurat. Czego chcesz?

Na jej ustach pojawił się uśmiech.

- Przyniosłam ci kawę. - Postawiła ją na biurku z drewna różanego. Gabinet Chrisa był wyłożony orzechową boazerią, był tu też kamienny kominek. Znajdowało się tu dużo dobrych dzieł sztuki, pachniało skórą i tytoniem. Na półkach stały butelki z najlepszą whisky i kryształowe szklaneczki. Pokój wyglądał, jakby był komnatą w angielskim zamku, w niczym nie kojarzył się z gabinetem właściciela burdeli. W kącie stała olbrzymia choinka, którą Talia sama ubrała. Pod nią leżał stos prezentów przysłany przez zadowolonych klientów. Przed poznaniem Chrisa Talia nigdy nie ubierała choinki, ale teraz robiła to z przyjemnością.

Donatti zmierzył ją wzrokiem od stóp do głów. Trzymała jakiś pakunek.

- Połóż go pod choinką.

- To od Gabe'a.

- Cholera! Muszę mu coś podarować. Który dziś jest?

- Dziewiętnasty.

- Dobrze. Mamy czas. Idź i kup mu motor. - Gdy Talia utkwiała w nim wzrok, Donatti rzucił: - Czego?

- Chris, on jeszcze nie zrobił prawa jazdy. Ma dopiero piętnaście lat.

- Już ma piętnaście lat? Cholera, przegapiłem jego urodziny.

- Nie martw się. Wysłałam mu kartkę i koszulę.

Donatti utkwiał w niej wzrok.

- Posłałaś Gabe'owi koszulę na urodziny?

- Nie było cię w mieście. Czy koszula to zły prezent?

Przysłał mi kartkę z podziękowaniami, więc pewnie mu się spodobała. – Zrobiła nadąsaną minę.

Donatti ciągle zapominał, że była niewiele starsza od Gabe'a.

– Dziękuję, że wysłałaś mojemu synowi koszulę. Tym razem podarujmy mu coś większego. Na przykład ferrari.

– Ferrari? – wykrzyknęła Talia.

– Tak, ferrari. Mam ci przeliterować?

– Wiem, co to ferrari. Nie bądź taki sarkastyczny. – Umilkła na chwilę. – Czy mogę coś powiedzieć?

– Nie. – Kiedy Talia umilkła, Donatti z niezadowoleniem wypuścił powietrze z płuc. – Czego?

– Lecimy do Paryża na Nowy Rok. Może poprosisz go, żeby nam towarzyszył? Założę się, że spodoba mu się to bardziej niż ferrari.

– Nie chcę, żeby nam towarzyszył.

– Dlaczego nie? – Nawet nie próbowała ukryć zdumienia.

– Bo nie i już, jasne?

– Jak chcesz. – Wzruszyła ramionami.

– Słuchaj, Talio, Gabe dobrze sobie radzi i ja też. To nie najlepszy pomysł, żeby wszystko popsuć.

– Skoro tak twierdzisz... – Urwała na moment. – Co mam zrobić z prezentem?

– Daj go tutaj.

Podawała mu pakunek.

– Gdzie znajdę dilerę ferrari? To Elko, nie Las Vegas.

– Masz rację. Wiesz co? Jutro polecimy do Penske-Wynn i razem mu go kupimy. Każ przygotować odrzutowiec.

Wylecimy o jedenastej, jeśli zostawisz mnie w spokoju wystarczająco długo, żebym uporał się z podatkami. – Skinął jej ręką. – Do widzenia.

- Nie musisz mi dziękować za kawę.

- Dziękuję i do widzenia. – Kiedy w końcu zamknęła drzwi, Donatti się uśmiechnął. Nie kochał Talii, ale czasami jej niewinność go bawiła. Spojrzał na prezent od swojego syna. Dobry dzieciak z tego Gabe'a. Ma to po matce.

Częściej myślał o Terry, niż powinien. Wyjechała, ale jeszcze z nią nie skończył. Nadal byli formalnie małżeństwem i wcześniej czy później znów będą musieli się spotkać.

Kiedyś, pomyślał. Kiedyś.

Rozwiązał wstążeczkę i uniósł wieczko. W środku był plik papierów spiętych zszywką i krótka notatka sporządzona starannym pismem Gabe'a.

Wesołych Świąt, Tato.

Papiery były z jakiegoś laboratorium medycznego... Jakieś wyniki badań lekarskich.

Cóż to takiego?

Kartkując dokument, Donatti odczytywał poszczególne słowa.

DNA pobrane z niedopałka papierosa.

DNA pobrane z kubeczka po kawie.

Pozytywny wynik na ojcostwo – 99,9%.

Donatti odrzucił głowę do tyłu i wybuchnął głośnym śmiechem.

Mały bękart.

A może i nie.

Podniósł słuchawkę i usłyszał komunikat poczty głosowej Gabe'a.

Proszę zostawić wiadomość, postaram się jak najszybciej oddzwonić.

- Dzięki za dokumenty. Jeśli kiedyś będzie mi potrzebna nerka, będę wiedział, do kogo się zwrócić.

Donatti się rozłączył i wrócił do obliczania podatków.

Godzinę później znów zadzwonił do Gabe'a.

Ponownie rozległ się ten sam komunikat, Donatti zaczekał, aż usłyszał sygnał, i powiedział:

- Na Nowy Rok wybieram się do Paryża. Ktoś tam wykona *Toccatę* i *Fugę d-moll* Bacha. Rozważam kupno biletów. Talia jest pozbawiona słuchu, a wiem, że ty masz fioła na punkcie muzyki organowej. - Przerwał na chwilę. - Wylatujemy dwudziestego siódmego, więc oddzwoń do mnie jak najszybciej. Jeśli masz ważny paszport, nie masz nic lepszego do roboty i chciałbyś wysłuchać tego utworu, to możesz do nas dołączyć.

Tytuł oryginału: *Hangman*
Pierwsze wydanie: William Morow & Company, 2010
Opracowanie graficzne okładki: Emotion Media
Redaktor prowadzący: Grażyna Ordęga
Opracowanie redakcyjne: Władysław Ordęga
Korekta: Sylwia Kozak-Śmiech

© 2010 by Plot Line, Inc.

© for the Polish edition by HarperCollins Polska sp. z o.o., Warszawa
2016

Wydanie niniejsze zostało opublikowane na licencji HarperCollins
Publishers, LLC.

Wszystkie prawa zastrzeżone, łącznie z prawem reprodukcji części lub
całości dzieł w jakiegokolwiek formie.

Wszystkie postacie w tej książce są fikcyjne. Jakiegokolwiek podobieństwo
do osób rzeczywistych – żywych lub umarłych – jest całkowicie
przypadkowe.

HarperCollins jest zastrzeżonym znakiem należącym do HarperCollins
Publishers, LLC.

Nazwa i znak nie mogą być wykorzystane bez zgody właściciela.

Ilustracja na okładce: iSTOCK. Wszystkie prawa zastrzeżone.

HarperCollins Polska sp. z o.o.
02-516 Warszawa, ul. Starościńska 1B lokal 24-25

www.harlequin.pl

ISBN: 978-83-276-1692-0

Konwersja do formatu EPUB:
Legimi Sp. z o.o.